



*Tajemnica
morskiej
latarni*

Bestsellerowa autorka
Francuskiego ogrodnika.
Zajmująca i urzekająca.

Penny Vincenzi

Santo
Montepiore

Świat Książki

Santa Montefiore

Tajemnica morskiej latarni

Z angielskiego przełożyła
Joanna Dziubińska

Świat Książki

Prolog

Już jesień, ale zdaje się, że to jeszcze lato. Słońce mocno przygrzewa i jaśnieje na przejrzystym, bezchmurnym niebie. Rybitwy i siewki harczą po piasku, a pszczoły zbierają nektar w fioletowym wrzoście, korzystając z grzejących je promieni, szczęśliwe, że nie ma jeszcze przymrozków. Zające szukają schronienia wśród wysokich traw, a motyle, które wylęgły się na skutek nietypowej dla tej pory roku pogody, fruują nad żółtymi kwiatami kolcolistu w poszukiwaniu pożywienia. Tylko cienie są już dłuższe, a noc, wilgotną, ciemną i zimną, zapada wcześniej.

Stoję na szczycie klifu i wpatruję się w ocean, który sięga końca świata - tam, gdzie woda zlewa się w jedno z niebem, a wieczność jawi się jako woal utkany z bładoniebieskiej mgły. Podmuch wiatru jest lekki jak szept; jest w nim jakaś ponadczasowość, jakby oddech Boga wzywał mnie do domu. Obejmuję wzrokiem szeroką linię wybrzeża Connemary, rozciągającego się w lewo i prawo. Bezludne plaże, miękki aksamit nakrapiany bielą owiec, poszarpane skały w miejscu, gdzie ląd kruszy się, wpadając do morza. Patrzę w dal na wyspę Carnbrey, niewielki kopiec ziemi i skał oddalony ode mnie o niespełna kilometr jak opuszczony piracki statek z innej epoki. Stara latarnia morska nosi wyraźne ślady pożaru, który strawił ją od środka, pozostawiając opustoszałą białą skorupę w miejsce potężnej, dumnej budowli, wskazującej żeglarzom bezpieczną drogę do lądu. Teraz zapuszczają się tam tylko mewy, żeby wydziobywać resztki pechowych krabów i krewetek uwięzionych w skalnych bajorkach i siadać na kruchym szkielecie spalonego drewna, który upiornie skrzypi i jęczy na wietrze. Dostrzegam romantyzm w samotności budynku i stoję jak zahipnotyzowana, tęsknie przywołując wspomnienie pierwszego razu, gdy wkrótce po naszym ślubie wypłynęłam łodzią na zwiady. Już wtedy latarnia była ruiną, ale tak jak oczekiwałam, płynęło z niej tajemnicze ciepło, jak z dziecięcego domku na drzewie, w którym echo wesółych zabaw maluchów rozbrzmiewa długo po tym, jak zebrały rzeczy i poszły do domu. Zagłębiłam się w świecie fantazji, niepomna nasilającego się wiatru i burzących się groźnie fal. Gdy czarne chmury zasnuły niebo i wreszcie zdecydowałam się powiosłować do brzegu, okazało się, że jestem uwięziona niczym rozbitek z roztrzaskanego okrętu. Ale w przeciwieństwie do mnie tacy rozbitekowie zwykle nie mają bohaterских mężów, przybywających na ratunek w lśniących motorówkach. Do dziś pamiętam wykrzywioną wściekłością twarz Conora i strach malujący się w jego oczach. Nadal czuję dreszcz emocji, jaki przeszedł mnie na widok jego lęku. „Mówiłem, żebyś nigdy nie wypływała tu w pojedynkę” - warknął, ale drzenie w jego głosie szarpnęło mnie za serce.

Przycisnęłam usta do warg męża, czując słodki smak jego miłości. Latarnia nigdy nie przestała mnie przyciągać; opustoszałe, pełne romantyzmu miejsce było bardzo fascynujące. W pewnym sensie odzwierciedlało moją osamotnioną, romantyczną duszę.

Teraz mruga do mnie znad fal światłem, którego nie widzi nikt oprócz mnie, i jestem niemal przekonana, że dostrzegam postać ubranego w biel dziecka, biegnącego po trawie z wyciągniętymi rączkami. Cóż, zawsze miałam bujną wyobraźnię. To pewnie tylko duża, pikującą mewa.

Odwracam się nagle - moją uwagę rozproszyli ludzie zmierzający do stojącej za mną kaplicy z szarego kamienia. To kilka minut drogi pod górkę z parkingu i z zaciekawieniem obserwuję, jak ubrani w czerń żałobnicy pną się na wzgórze niczym drepczące za sobą przepiórki. Nasz dom znajduje się poza granicami wioski Ballymaldoon, która może się pochwalić o wiele większym kościołem. Jednak ta targana wiatrem i deszczem kaplica ma w sobie coś szczególnego. Stoi otoczona starymi nagrobkami, owiana legendą, co zawsze mnie urzało. Krążą wieści, że w czternastym wieku pewien młody żeglarz wybudował ją dla zmarłej żony, aby mogła czuwać nad nim, gdy wypływa w morze. Teraz kamienie nagrobne noszą widoczne ślady niszczycielskich żywiołów, uniemożliwiające odczytanie wyrytych na nich napisów. Lubię sobie wyobrazić, że grób na samym końcu, ten najbliżej szumiących fal, to miejsce spoczynku żony żeglarza. Jasne, że już jej tam nie ma - zostały tylko kości i ubrania, w których złożono ją do grobu. To jednak urocza opowieść i nieraz zastanawiałam się, jaki los spotkał pogrążonego w rozpacz marynarza. Musiał darzyć żonę wielką miłością, skoro wybudował ku jej pamięci kaplicę. Czy Conor postawi dla mnie świątynię?

Kaplica zapełnia się ludźmi, ale ja trzymam się na uboczu. Widzę moją matkę, spiętą i znużoną jak mizerna czarna kura, kryjącą twarz pod szerokim rondem czarnego kapelusza ozdobionego strusimi piórami. To nakrycie głowy jest zdecydowanie zbyt pretensjonalne na taki skromny pogrzeb, ale ona zawsze starała się zgrywać wielką damę. Jest i ojciec; kroczy przy niej, wysoki i dystyngowany, ubrany w stosowny czarny garnitur. Ma dopiero sześćdziesiąt pięć lat, ale smutek i żal sprawiły, że jego włosy stały się mlecznobiałe, a plecy przygarbiły, przez co wydaje się starszy. Przyjechali z Galway. Ostatnią podróż w te strony odbyli z okazji mojego ślubu z Conorem, ale wtedy cieszyli się, że się mnie pozbywają. Żadna z moich sześciu siostr się nie pofatygowała. Nie dziwi mnie to - zawsze byłam czarną owcą i już za późno, by coś zmieniać.

Rodzice znikają w kaplicy i zajmują miejsca wśród stałych mieszkańców, a ja się zastanawiam, czy czują wstyd w oślepiającym świetle miłości - tak, tu jestem nią otoczona. Nawet mężczyzna, którego nigdy w życiu nie spodziewałabym się tu

ujrzeć, siedzi w milczeniu w ławce, kryjąc swoją tajemnicę za kamienną maską. Podchodzę niepewnie. Rozbrzmiewająca muzyka przyciąga mnie pod same drzwi, jakby wyciągała namacalne ramiona, zamierzając mnie objąć. To stara irlandzka ballada, którą dobrze znam, bo to ulubiona pieśń Conora Kiedy uśmiechną się irlandzkie oczy. Na moje usta wypływa smutny uśmiech na wspomnienie podróży helikopterem z Dublina do Connemary, kiedy wszyscy śpiewaliśmy na całe gardła, przekrzykując warkot śmigieł. Naszych dwoje małych dzieci siedziało z wielkimi słuchawkami na uszach, starając się przyłączyć, ale nie mogły nadążyć za słowami.

Szukam schronienia w przeszłości, ale zostaję z niej nagle wyrwana, przenosząc się znów do teraźniejszości, gdzie na ścieżce pojawia się postawna sylwetka o rozwichrzonych włosach - mój mąż. Trzyletni Finbar i pięcioletnia Ida trzymają go mocno za ręce. Ich małe stópki potykają się co jakiś czas, starając się dorównać długim krokom ojca. Jego ciemne oczy skupione są na kaplicy, a na przystojnej, pociągłej twarzy widnieje grymas, jak gdyby już odpierał oskarżenia mamrotane przeciw niemu zza dłoni i oparcie ławek. Dzieci zdają się oszołomione. Nie rozumieją. Jak miałyby to pojąć?

Wtem wzrok Finbara pada na mewę o czarnym grzbiecie, spacerującą ścieżką przed nim. Puszczą rękę ojca, by pobiec za ptakiem. Macha ramionami i wydaje świszczące dźwięki, żeby go przestraszyć, ale ten spokojnie podskakuje na trawniku, zachowując jedynie bezpieczną odległość. Ida mówi coś do taty, ale Conor jej nie słyszy. Wbija spojrzenie w kaplicę. Przez chwilę wydaje mi się, że mnie widzi. Patrzy wprost na mnie. Serce bije mi mocniej. Całe moje jestestwo rwie się do niego. Chcę, by wziął mnie w ramiona, tak jak zawsze to robił. Tęsknię za jego dotykiem, tak jak życie pragnie miłości. Jednak wyraz jego twarzy nie zmienia się, więc wycofuję się w cień. Dostrzega tylko cegły i kamień. I własne osamotnienie.

Pragnienie, by przygarnąć do piersi moje dzieci, pali mnie, jakbym była w piekle, i raptem zdaję sobie sprawę, czym ono jest. To nie kraina ognia i cierpienia wewnątrz kuli ziemskiej, ale płomieni i tortur w środku ludzkiej duszy. Moja tęsknota jest ciągła i nie do zniesienia. Nie mogę ucałować ślicznych czótek moich maluszków, musnąć wargami ich skóry, szepnąć do uszu słów miłości. Jestem pewna, że ich serduszka doznałyby ukojenia, gdyby wiedziały, że jestem blisko. A jednak nie mogę dać im znać. Jestem tu uwięziona i tylko bezradnie obserwuję, jak mijają mnie w drodze do kaplicy, krocząc przed trumną niesioną przez sześciu milczących żałobników. Trumną, która w swym dębowym wnętrzu kryje najstraszniejsze kłamstwo.

Jeszcze chwilę stoję na zewnątrz. Z kaplicy dobiega śpiew. Wiatr niesie woń lilii. Słyszę przenikliwy głos ekscentrycznej matki Conora, Daphne, wzbijający

się ponad zgodny chór pozostałych żałobników, ale nie czuję rozbawienia, którego zwykle bym doznała. Zamiast tego budzi się we mnie furia, gotująca się, wrząca gdzieś w brzuchu, bo to Daphne jest tu, by naprawiać rozsypane kawałki życia i leczyć pęknięte serce syna, nie ja. Patrzę na Finbara i Idę oraz trumnę, która spoczywa przed nimi, i zastanawiam się, co czują, stając ze śmiercią twarzą w twarz po raz pierwszy w swoim młodym życiu.

Muszę znaleźć sposób, żeby ich powiadomić. Z pewnością mogę zrobić coś, by dowiedzieli się prawdy. Zbieram się na odwagę jak wojownik przygotowujący oręż. Nie podejrzewałam, że będzie mi aż tak trudno. Sądziłam, że na tym etapie wszystko okaże się o wiele łatwiejsze. Jednak sama jestem sobie winna, więc dzielnie zniosę ból. W końcu znalazłam się tu z własnego wyboru.

Ale teraz się boję. W milczeniu przekraczam próg kaplicy. Śpiew ustał. Ojciec Michael zajmuje miejsce na mównicy i jego smętny głos płynie monotonicznie; wierzę, że czuje autentyczny smutek, nie udaje. Zebrani siedzą czujnie, ani drgną. Na chwilę rozpraszają mnie ogromne dekoracje z lilii o długich łodygach, ustawione po obu stronach ołtarza. Wyglądają jak piękne białe trąby wyciągające się bezgłośnie ku niebu. Wibruje w nich wyższa energia, która mnie do nich przyciąga, i muszę zebrać całą siłę woli, by im nie ulec. Jestem niczym strużka dymu ulatująca przez otwarte okno. Skupiam się na swoim celu i bezgłośnie zmierzam ku trumnie. Stoi skąpana w promieniach słońca wpadających przez zakurzone okna, sprawiających wrażenie reflektorów na scenie. Nigdy nie zostałam sławną aktorką, choć niegdyś o tym marzyłam. Ale oto wreszcie doczekałam się momentu chwały. Oczy wszystkich zwrócone są na mnie. Powinnam pławić się w ich oddaniu, ale czuję tylko frustrację i rozpacz - i żal, to prawda: dławi mnie poczucie żalu. Bo już za późno.

Odwracam się i patrzę wprost w twarze zebranych. A potem krzyczę najgłośniejszym głosem, jak potrafię. Głos rozbrzmiewa w kaplicy pełną mocą, odbija się od wiekowych ścian i sufitu, ale tylko ptaki na zewnątrz słyszą mój wrzask i w panice podrywają się w powietrze. Conor nie odrywa wzroku od trumny; ból wykrzywia mu twarz. Finbar i Ida siedzą między ojcem a babką, matką Conora, nieruchomi jak figurki z wosku, a ja obejmuję wzrokiem trumnę, w której spoczywa moja śmierć. Rozumiecie, śmierć, ale nie moje życie – bo to ja nim jestem, a jestem wieczna.

Nikt nie ma pojęcia, że oto stoję tu przed nimi jako aktorka, która złożyła ostatni ukłon i zeszła ze sceny. Truizm niesie w sobie prawdę. Mój kostium i maska leżą w tej trumnie, bo ktoś przez pomyłkę uznał, że to ja, a mój mąż i dzieci opłakują mnie jakbym odeszła. Jak mogą myśleć, że kiedykolwiek bym ich opuściła? Nie zrobiłabym tego za wszystkie skarby niebios. Miłość do nich trzyma mnie tutaj, gdyż jest potężniejsza od najmocniejszego łańcucha. Dociera do mnie,

że miłość jest wszystkim – to nasze jestestwo, choć nie zdajemy sobie z tego sprawy.

Podchodzę do dzieci i wyciągam rękę, ale stanowią jedynie najdelikatniejsze drzenie, jak światło, więc niczego nie czują, nawet ciepła mojej miłości. Przymiłam twarz do ich buzi, ale nie są świadome mojej bliskości, bo nie mam oddechu, który połaskotałby ich skórę. Odczuwają jedynie stratę, a ja nie mogę ich pocieszyć ani otrzeć ich łez. Moje własne łzy płyną wewnątrz, bo jestem duchem, zjawą, widmem – nieważne, jak mnie nazwiecie. Nie mam namacalnego ciała, więc ból odczuwam w duszy. Owładnięta furją, ciskam się po kościele, licząc na jakąś reakcję. Rzucam się wokół jak oszalały pies, ale jestem tylko szeptem i nikt poza ptakami nie słyszy, jak wyję.

Najdziwniejsze w umieraniu jest to, że nie ma w nim nic dziwnego. W jednej chwili żyłam sobie spokojnie, w następnej znalazłam się poza swoim ciałem. Była to najnaturalniejsza rzecz pod słońcem, jakbym setki razy wcześniej poza nie wykraczała, tylko o tym nie pamiętała. Byłam po prostu zaskoczona, że stało się to tak wcześnie, kiedy miałam jeszcze tyle spraw do załatwienia. Nie czułam bólu ani strachu. Przynajmniej nie w tamtym momencie. Prawdziwe cierpienie miało dopiero nadejść. To, co opowiadają o świetle i bliskich, którzy przychodzą, by cię odprowadzić, to prawda. Nikt nie wspomina jednak o tym, że ma się wybór. Ja postanowiłam zostać.

Ojciec Michael odchrząkuje i spojrzeniem wilgotnych oczu obejmuje poważne twarze zebranych.

- Caitlin jest teraz z Bogiem, spoczywa w pokoju -mówi, a we mnie rodzi się niemożliwa do urzeczywistnienia chęć wyrwania mu z rąk Biblii i rzucenia jej na podłogę. - Pozostawiła w żałobie męża Conora oraz dwoje dzieci, Finbara i Idę, których kochała całym swym gorącym, szlachetnym sercem. - Zwraca się teraz bezpośrednio do moich dzieci i mówi z wielkim przejęciem: -Choć odeszła do Jezusa, pozostawiła z nimi część siebie: miłość, którą będą nosić w sercach przez całe życie.

„Ale ja jestem czymś więcej niż tylko wspomnieniem! - chcę krzyknąć. - Jestem bardziej rzeczywista niż wy. Moja miłość jest silniejsza niż kiedykolwiek i stanowi wszystko, co mi pozostało”.

Nabożeństwo dobiega końca i żałobnicy wychodzą gęsiego na zewnątrz, by pochować mnie na przykościelnym cmentarzu. Chciałabym spocząć przy żonie żeglarza, ale składają mnie przy kamiennym murze trochę dalej w dół zbocza. To niemal farsa patrzeć, jak trumna znika w głębi ziemi, podczas gdy ja siedzę na trawie nieopodal. Byłoby to nawet śmieszne, gdyby wokół nie panował przejmujący smutek. Conor wrzuca do dołu białą lilię, a moje dzieci ofiarowują

własnoręczne rysunki, po czym wycofują się w cień taty i przytulają lękliwie do jego nóg, blade i zapłakane. Jestem zmęczona próbami zwrócenia na siebie ich uwagi. Pojedyncza mewa zbliża się do mnie podskakując, ale przeganiam ją, czerpiąc I przyjemność z faktu, że reaguje.

Tu, gdzie jestem, czas nie istnieje. Właściwie dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że czasu nie ma też tam, gdzie wy się znajdujecie. Jest tylko i wyłącznie chwila, która trwa. Rzecz jasna, na Ziemi obowiązuje pewien psychologiczny czas, który jest w użyciu, żeby można było planować dzień jutrzejszy i pamiętać wczorajszy, ale to tylko sfera abstrakcji; rzeczywistość jest tylko tu i teraz. Tak więc dni, tygodnie, lata nic dla mnie nie znaczą. Rozciąga się przede mną tylko wieczna teraźniejszość, w której obserwuję rozpad wszystkiego, co kocham.

Zdaje się, że wraz z moją śmiercią życie uleciało i z zamku Ballymaldoon. To tak, jakbyśmy umarli razem. Patrzę na mężczyzn za kierownicami dużych vanów wjeżdżających na podjazd pod dębami, które tłoczą się wzdłuż drogi, tworząc pomarańczowo-czerwony tunel. Z jego sklepienia sypią się delikatne liście, trzepocząc na wietrze jak ćmy. Po obu stronach drogi ciągnął się niegdyś niski mur z szarych kamieni, mający za zadanie zagrozić drogę owcom, których jednak nie ma tu, odkąd niemal dwadzieścia lat temu Conor kupił zamek i przylegające do niego ziemie, więc teraz pola zarosły dziko. Wolę je takie. Wpatruję się w wysokie trawy kołysane wiatrem z oddali wyglądają jak fale dziwnego, zielonego oceanu. Ciężarówki podjeżdżają pod zamek, gdzie wojska Cromwella stanęły cztery wieki temu, żeby zdobyć go dla pewnego oficera w nagrodę za jego lojalność. Teraz zastęp silnych mężczyzn przybył, by wywieźć cenniejsze obrazy i meble, jako że Conor zabija okna deskami i rygluje drzwi - przenosi się do mniejszego domu nad rzeką. Zawsze był samotnikiem; to częste w przypadku ludzi twórczych, ale teraz widzę, jak chowa się jeszcze bardziej w głąb siebie. Nie jest w stanie mieszkać tu beze mnie, bo to ja tchnęłam życie w te mury, ale już nie żyję.

Od pierwszego wejrzenia zakochałam się w tym zamku, przycupniętym jak kwarc dymny u stóp góry. Wyobrażałam sobie, jak na potężne szare mury wspinali się niegdyś książęta przybywający na ratunek królewnom więzionym w maleńkich celach w wieży, wznoszącej się ponad dachem jeżącym się wieżyczkami. Oczami wyobraźni widziałam łabędzie sunące po jeziorze i zakochanych leżących na brzegu, by w promieniach zachodzącego słońca podglądać ptasie zaloty. Puszczając wodze fantazji, patrzyłam, jak trzy koziołki z norweskiej baśni przeprawiają się przez stary kamienny mostek, nieświadome, że poniżej, w mroku, czai się głodny troll. Przywoływałam obrazy rycerzy i dam nawiedzających długie korytarze wyłożone czerwonymi dywanami, ani przez chwilę nie podejrzewając, że dołączę do ich grona, uwięziona pragnieniem w moim sercu. Nigdy nie

przypuszczałam, że umrę młodo.

Patrzę bezradnie, jak większość elementów, które własnoręcznie doбираłam z największą starannością, jest podnoszona, wynoszona i układana w coraz wyższe sterty na ciężarówkach pod nadzorem naszego zarządcy Johnny'ego Byrne'a i jego syna Joego. Czuję, jakby rozbierali mnie na części, kawałek po kawałku, i od nowa układali moje członki w trumnie; tym razem odczuwam to z całą pewnością. Stół biblioteczny z dębu ogłowionego w stylu Jerzego VI, lustro w pozłacanej ramie, zestaw dwudziestu krzesel do jadalni w stylu Jerzego IV, które wylicytowałam w domu aukcyjnym Christie's. Marmurowe popiersia, chińskie lampy, moje biurko z klonowego drewna. Hebanowe komody, wiktoriańskie fotele i sofy, niemieckie donice ogrodowe, leżanka w stylu regencji, hinduskie dywany - biorą wszystko, zostawiając tylko przedmioty bez wartości. Następnie sięgają po obrazy i druki, odsłaniając wyblakłe kwadraty na ogołoconych ścianach, a ja wzdygam się, zażenowana ich brakiem delikatności, jakby ci siłacze zdzierali ubranie z kobiety.

Obawiam się, że zaraz usuną największy skarb - mój portret, którego namalowanie Conor zlecił tuż po ślubie słynnemu irlandzkiemu malarzowi Daraghowi Kelly'emu. Pyszni się nad głównym kominkiem w holu. Mam na sobie moją ulubioną szmaragdową suknię wieczorową, pod kolor oczu, a rude włosy spływają lśniącoymi falami na ramiona. Byłam piękna, to prawda. Ale uroda zdaje się na nic, gdy leży się dwa metry pod ziemią. Wpatruję się w malowidło, nie mogąc oderwać oczu od twarzy, która kiedyś należała do mnie, ale na zawsze zniknęła z tego świata. Nie, nie ma sensu ciskać się po zamku jak wtedy, w kaplicy, bo i tak nie usłyszy mnie nikt poza duchami, które z pewnością tak jak ja czają się w zakamarkach tego czyścica. Jestem przekonana o ich obecności, choć jeszcze żadnego nie spotkałam, Chyba chciałabym je ujrzeć, bo doskwiera mi samotność.

A jednak obraz zostaje na swoim miejscu jako jedyny w całym zamku. Nie mogę powstrzymać przyływu dumy, kiedy po zaryglowaniu drzwi jestem już sama, by podziwiać piękność, którą kiedyś byłam. Znajduję pocieszenie w portrecie, jakbym miała przed sobą kostium, w który mogę się wśliznąć, żeby znów stać się sobą.

Conor z dziećmi przenoszą się do Reedmace House, zbudowanego nad rzeką, blisko kamiennego mostka, gdzie spacerują wytworzone przez moją wyobraźnię koziołki i czai się troll. Matka Conora, Daphne, wprowadza się do nich, żeby ich doglądać. Powinnam się cieszyć, że dzieci mają miłą i troskliwą babcie, ale nie potrafię się wyzbyć zazdrości i żalu. To ona je tuli i całuje, a nie ja. Kąpie je i pomaga szczotkować zęby, co było niegdyś moją rolą. Czyta im do snu. Gdy ja to robiłam, zmieniałam głos, by pasował do postaci w bajce. Ona czyta monotonie,

bez mojego polotu, i widzę, że maluchy szybko się nudzą i żałują, że to nie ja. Wiem, jak bardzo tęsknią, bo płaczą cichutko w łózkach i wpatrują się w moje zdjęcie, które Conor powiesił im w pokoju. Nie mają pojęcia, że ani na chwilę ich nie odstępuję. Nie wiedzą, że zawsze będę przy nich, dopóki ich życie nie przeminie.

I czas mija. Nie mam pojęcia, jak szybko. Pory roku następują po sobie. Dzieci rosną, stają się wyższe. Conor spędza czas w Dublinie, ale nie ma filmów do produkcji, bo zabrakło mu już chęci i zapału. W pustym zamku zagnieżdża się chłód, gdy deszcz i wiatr siekają mury tak samo jak skały na wzgórzu. Ja wtapiam się w otoczenie jak rośliny i drzewa; poza ptakami nie mam z kim rozmawiać. I wtem, pewnej nocy, Finbar mnie widzi.

Śpi niespokojnie. Jak co noc siedzę w nogach jego łóżka, obserwując, jak z każdym oddechem jego pierś unosi się i opada delikatnie, rytmicznie. Jednak dziś chłopiec przewraca się z boku na bok. Wiem, że śni o mnie.

- Już dobrze, kochanie - mówię, jak już nieraz mówiłam z oddali mojego świata. - Jestem tutaj. Tuż przy tobie.

Nagle chłopiec siada i patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami. Wlepia wzrok wprost we mnie. Nie przeze mnie, ale we mnie. Jestem tego pewna, bo jego spojrzenie obejmuje moje włosy, nos, usta, całe ciało. Pełne zdumienia, spija każdy szczegół mojej postaci, a ja jestem równie zaskoczona jak synek.

- Mama? - szepcze.

- Mój syneczku - odzywam się.

- To naprawdę ty?

- To ja.

- Ale... ty żyjesz.

Uśmiecham się jak ktoś, kto posiadał przecudną tajemnicę.

- Tak, Finbarze. Nie umarłam. Śmierci nie ma. Daję słowo.

Czuję lekkość w sercu, widząc, jak jego policzki rumienią się z radości.

- Nigdy mnie nie zostawisz?

- Nigdy, przenigdy, Finbarze. Wiesz, że cię nie opuszczę. Zawsze będę przy tobie. Zawsze.

Z podekscytowania zaczyna się wybudzać i powoli przestaje mnie widzieć.

- Mamo... mamusiu... jesteś tu jeszcze?

- Jestem tu - zapewniam, ale już mnie nie widzi.

Przeciera oczy.

- Mamo!

Jego krzyk budzi Daphne, która wbiega do sypialni w koszuli nocnej. Finbar wciąż wlepia we mnie wzrok, starając się dostrzec mnie w mroku.

- Finbarze! - podnoszę głos. - Finbarze, wciąż tu jestem!

Daremny trud. Stracił mnie.

- To sen, Finbarze - uspokaja malca Daphne, łagodnie układając go w łóżku.

- Wcale nie, babciu. To było naprawdę. Mama siedziała na moim łóżku.

- Śpij dalej, kochanie.

Jego głosik staje się mocniejszy, a lśniąco od łez oczy mrugają w bezgranicznym zdumieniu.

- Była tu. Jestem tego pewien.

Daphne wzdycha i gładzi go po głowie.

- Może i tak. W końcu jest teraz aniołem, prawda? Myślę, że zawsze jest w pobliżu i nie spuszcza cię z oka.

Wiem, że w to nie wierzy. Na szczęście jej słowa zadowolają Finbara.

- Pewnie tak - mruży, po czym zamyka oczy i odpywa w sen.

Daphne przez chwilę czuwa przy nim. Czuję jej smutek, ciężki jak deszcz. Potem wstaje i wychodzi z pokoju, a ja znów zostaję sama. Tylko tym razem w moim sercu tli się iskierka nadziei. Skoro ujrział mnie raz, może uda się znowu?

Ellen Trawton wylądowała na lotnisku Shannon z jedną jedyną walizką, ubrana w sztuczne futerko, obcisłe dzinsy i wysokie kozaki z delikatnej skóry, które już wkrótce miały się okazać bardzo nieodpowiednie na surowe wiejskie okolice Connemary. Nigdy nie była w Irlandii i nie miała wspomnień związanych z siostrą matki, Peg, u której planowała przez jakiś czas zamieszkać pod pretekstem potrzeby świętego spokoju i samotności, by móc się oddać pisaniu powieści. Jako dziewczyna z Londynu Ellen nie pałała entuzjazmem do wsi, kojarząc ją z błotem i przesadną ciszą, ale dom ciotki był jedynym miejscem, gdzie matka nie zapuściłaby się, by ją odnaleźć - jak również jedynym, gdzie można było spędzić trochę czasu, nie wydając fortuny. Rzuciła pracę w firmie marketingowej i zatrudniła się w niewielkim sklepie jubilerskim w Chelsea, więc nie stać jej było na ekstrawagancję. Miała skrytą nadzieję, że ciotka Peg jest bogata i mieszka w wielkiej rezydencji w cywilizowanej części kraju, w pobliżu tętniącego życiem miasta pełnego sklepów i kawiarni. Nie sądziła, by udało się jej wytrwać, gdyby znalazła się na pustkowiu, mając za towarzystwo jedynie owce.

Przeszła do terminalu przylotów i zaczęła się przyglądać podekscytowanym twarzom w tłumie, wyglądając ciotki. Matka Ellen była przy swoich pięćdziesięciu ośmiu latach wciąż piękną kobietą - smukłą, o długich mahoniowych włosach i wysokich kościach policzkowych - więc dziewczyna założyła, że ciotka Peg będzie wyglądać podobnie. Jej wzrok natychmiast padł na elegancką damę w płaszczu z wielbłądziej wełny, zaciskającej dłonie o nienagannym manicure na błyszczącej markowej torebce. Ellen westchnęła z ulgą, bo przecież kobieta mieszkająca pośrodku bagien nie miałaby na nogach tak stylowych czółenek i nieskazitelnych tweedowych spodni. Pociągnęła za sobą walizkę na kółkach.

- Ciociu Peg! - zawołała, uśmiechając się od ucha do ucha.

Dama odwróciła się i spojrzała na nią obojętnie.

- Słucham?

- Ciocia Peg? - Nie musiała jednak pytać, by nabrać pewności, że popełniła błąd. - Przepraszam - wydukała. - Z kimś panią pomyliłam.

Przez chwilę czuła się zagubiona na obcym lotnisku i jej determinacja osłabła. Zaczęła żałować, że nie jest w domu, w Eaton Court, choć przecież ucieczka kosztowała ją tyle zachodu.

- Ellen! - rozległ się głos tuż za nią. Odwróciła się szybko i stanęła twarzą w twarz z kobietą o życzliwym, promiennym obliczu. - Spójrzcie no! Panna jak z

żurnała! - Dziewczyna zdziwiła się, że krewna mówi z tak silnym irlandzkim akcentem, skoro jej mama wystawiała się raczej jak królowa. - Od razu cię poznałam. Taka podobna do matki!

Ciotka Peg przypominała uśmiechnięte jajko. Miała krótkie, sterczące siwe włosy i wielkie niebieskie oczy, pełne żartobliwych iskierek. Ellen odetchnęła z ulgą na jej widok i schyliła się, by pocałować ją w policzek. Peg przytuliła ją mocno i przycisnęła buzię do twarzy siostrzenicy. Pachniała konwaliami i mokrą psią sierścią.

- Mam nadzieję, że miałaś spokojny lot, kochanie - mówił dalej, szybko łapiąc oddech i wypuszczając dziewczynę z objęć. - Jesteś punktualnie, a w dzisiejszych czasach to się rzadko zdarza. No, chodźmy do auta. Ballymaldoon jest o kilka godzin drogi stąd, więc jeśli potrzebujesz pójść do toalety, to lepiej zrób to teraz. Oczywiście możemy też stanąć na stacji benzynowej. Nie jesteś głodna? Pewnie nie nakarmili was jak trzeba w tym samolocie. Ja zawsze biorę kanapki na drogę. Nie znoszę sera, który pakują do tych swoich bułek. Smakuje jak guma, zauważyłaś?

Ellen pozwoliła ciotce ciągnąć walizkę przez hol. Od razu dostrzegła mocne sznurowane buty i grube brązowe spodnie, na których nogawki Peg naciągnęła wysokie myśliwskie skarpety. A jednak ciocia mieszka na bagnach - pomyślała z przygnębieniem. Sądząc po szorstkich, zniszczonych dłoniach, na pewno sama rąbała sobie drewno do kominka i pielila chwasty.

- Zupełnie nie przypominasz mamy - wyrwało się dziewczynie, zanim zdążyła się ugryźć w język.

- Cóż, przede wszystkim jestem o wiele starsza, a poza tym... nigdy nie byłyśmy ani trochę podobne - odparła kobieta bez cienia goryczy. Siostry nie zamieniły z sobą słowa od trzydziestu dwóch lat, ale ciotka Peg nie wyglądała na obrażalską. Z kolei matka Ellen należała do osób, które dzień bez urazy uznają za stracony.

Z lady Anthony Trawton lepiej było nie zadzierać. Ellen aż za dobrze знаła jej zaciśnięte usta, zadarty nos i absolutnie obowiązkowe, wyrażające dezaprobatę prychnięcie. Niewiele było trzeba, by popaść w niełaskę, ale znalezienie się w gronie osób „złego sortu” zaliczało się do najgorszych grzechów. Ellen była zbuntowaną nastolatką, niepodobną do złotowłosych sióstr, które w najlepszym razie stanowiły uosobienie cnót, a w najgorszym okazywały się po prostu mdłe. Nie wymagały kształtowania, bo dzięki nieznanemu zrządzeniu losu były dokładnie takie, jak życzyła sobie matka: posuszne, ładne i wdzięczne, z podbródkiem bez wyrazu po ojcu, jasnymi włosami i lekko wybałuszonymi oczami. Ellen była ich przeciwieństwem. Cechowała się usposobieniem dzikim i twórczym, tym bardziej

wyzwolonym, im bardziej matka w sposób nieuzasadniony sprzeciwiała się jej niezależności, jakby samodzielność mogła zrobić z dziewczyny osobę „złego sortu”. Kruczoczarne włosy i buntownicza natura sprawiały, że Ellen zdawała się czarną owcą w idealnej rodzinie. Trudno ją było uformować; matka próbowała z całych sił, starając się na wszelkie sposoby wcisnąć córkę w formę dla ułożonych młodych arystokratek, i przez pewien czas Ellen ulegała, pozwalając się popychać. Łatwiej było się poddać, odpuścić walkę - odczuła wręcz ulgę. Jednak kobieta może żyć wbrew swej naturze tylko przez pewien czas, a potem, owładnięta nieszczęściem, wraca do prawdziwej postaci. Dziewczyna nie umiała stwierdzić, kiedy dokładnie uznała, że ma dość, ale jej przyjazd do Irlandii był wynikiem trwającej od dziecka walki o wolność.

Ciotka Peg nie przyjechała na ślub żadnej z sióstr Ellen, chociaż Leonora wyszła za hrabiego, Lavinia za baroneta - niższe tytuły wywołałyby u ich matki znaczące prychnięcie - a jej imienia nigdy nie wspominano. Dziewczyna przez lata łowiła urywki rozmów, z których wynikało, że matka i ciotka są w konflikcie. Kartki z bożonarodzeniowymi życzeniami, które przychodziły co roku, oraz listy z Ballymaldoon przyjmowano pogardliwym prychnięciem, po czym jak najprędzej wrzucano na dno szuflady w gabinecie lady. Ellen, nie mogąc poskromić ciekawości, kilka razy przejrzała papiery i dowiedziała się, że matka miała jakąś sekretną przeszłość, ale nie ośmieliłaby się jej o to zapytać. Kartki zawsze ją interesowały i czasem, kiedy przytapywała matkę na smutnym patrzeniu w dal, zastanawiała się, czy to przypadkiem nie one są powodem nostalgii. Może, jak budzący tęsknotę zapach liści palonych jesienią, listy wydzielają tajemną woń, przenikającą przez szufladę i wzywającą damę z powrotem w przeszłość. Teraz, kiedy Ellen potrzebowała kryjówki, korespondencja dostarczyła jej wszelkich niezbędnych informacji do odnalezienia ciotki. Wystarczyło spojrzeć na naklejkę adresową na górze strony - był tam nawet numer telefonu. Czując podekscytowanie i lekką obawę, wiedziała, że wkrótce odkryje, co matka ukrywała przez tyle lat. Wolała nie myśleć o straszliwych konsekwencjach, które nastąpiłyby, gdyby ktoś dowiedział się o jej wyprawie. Przyjrzała się szorstkim dłoniom Peg i przypomniała sobie gładkie, białe palce matki o perfekcyjnie pomalowanych paznokciach. Matka dobrze wyszła za mąż, ciotka najwyraźniej nie. Ich ścieżki się rozeszły. Tylko dlaczego?

- Na początku twój telefon wystraszył mnie na śmierć - powiedziała Peg. - A tu taka cudowna niespodzianka. Naprawdę wspaniała! Ze wszystkich ludzi na świecie, którzy ni stąd, ni zowąd mogliby zadzwonić, odezwał się ty! Wciąż trudno mi w to uwierzyć.

- Miałam nadzieję, że nie będziesz miała nic przeciwko temu.

Potrzebowałam odetchnąć, wyrwać się z Londynu. Taki tam tłok i hałas, że nie ma jak pozbierać myśli.

- To rzeczywiście raczej nie najlepsze miejsce dla rozwijającej skrzydła powieściopisarki - trudno się z tym nie zgodzić. Nie mogę się doczekać, aż mi opowiesz o swoim pisarstwie. Ależ z ciebie mądra dziewczyna!

Ellen zawsze uwielbiała słowa. Ilekroć wyglądała przez okno, czuła, że musi opisać, co widzi. Zapełniała dzienniki wierszami i opowiadaniem, ale dopiero niedawno postanowiła zmienić swoje życie, dochodząc do wniosku, że szczęście można osiągnąć jedynie poprzez robienie tego, co się kocha. Wiedziała, że jeśli teraz nie napisze powieści, już nigdy tego nie zrobi. Matka wyśmiewała jej aspiracje do bycia „pisarzyną”, ale pęd dziewczyny do tego, by wyrażać siebie, był silniejszy niż matczyne pragnienie zduszenia w niej wszelkiej kreatywności. Connemara miała być idealnym miejscem, żeby być wobec siebie szczerą.

- Nie przyjechałam tylko po to, żeby pisać, ciociu Peg. Chciałabym cię poznać. W końcu... jesteśmy rodziną - dodała serdecznie. Tempo, w jakim mówiła ciotka, podsuwało przypuszczenie, że nie przywykła do towarzystwa.

- To miło z twojej strony, Ellen. Zapewne twoja matka nie wie, że jesteś u mnie.

- Nie.

- Tak myślałam. A więc gdzie według niej przebywasz?

Ellen ujrzała w myślach liścik, który zostawiła na stole w holu, pod owalnym lustrem, przed którym matka każdego ranka poprawiała fryzurę i makijaż, zanim wyszła na lunch z paniami lub na spotkanie charytatywne. Na pewno już go znalazła. Niewątpliwie też wywołał kolosalne prychnięcie. Zastanawiała się, co zirytuje matkę bardziej: to, że Ellen zniknęła, nie meldując jej o swoim zamiarze, czy fakt, że zasugerowała, iż być może nie poślubi jednak Williama Sackville'a. Pewnie lady musiała usiąść, by dojść do siebie po przeczytaniu tej ostatniej linijki. Choć William nie szczyił się tytułem baroneta jak mąż Lavinii ani hrabiego jak małżonek Leonory, jego rodzina miała liczne koneksje i posiadała rozległe tereny łowieckie w Szkocji. Matka doszukała się nawet dalekiego, lecz dość pewnego związku rodu z królową matką.

- Powiedziałam, że zatrzymam się u przyjaciółki na wsi - skłamała Ellen.

- Odważna z ciebie sztuka - pochwaliła Peg. - A teraz... hm, zobaczmy, czy pamiętam, gdzie zaparkowałam samochód.

Przeszukawszy rząd po rzędzie lśniących pojazdów, Peg radośnie ruszyła ku najbrudniejszemu autu w całym garażu. Było to stare volvo, model przypominający solidne pudło.

- Wybacz bałagan, ale zwykle jeździmy tylko ja i Pan Borsuk.

- Pan Borsuk?

- Mój owczarek. Dziś został w domu. Będziesz miała przyjemność go poznać.

- O, super - odparła Ellen, starając się nadać głosowi entuzjastyczne brzmienie. Jej matka miała maleńkiego papillona imieniem Wafel, który wyglądem przypominał bardziej zabawkę niż zwierzę, choć jego neurotyczny szczek był jak najbardziej psi i w dodatku mocno irytujący. Leonora i Lavinia też nalegały na zakup piesków w Harrodsie, żeby móc nosić je w torebkach - nie dlatego, że lubiły czworonogi, ale - jak domyślała się Ellen - zwierzaki stanowiły modne dodatki, na równi z kalendarzem od Smythsona i skórzanymi kótkami do kluczy firmy Asprey. Gdyby można było kupić sobie dziecko w Harrodsie, siostry już stałyby w kolejce.

Peg siadła za kierownicą i zmiotła ręką gazety z miejsca pasażera. Ellen zauważyła psią sierść na skórzanej tapicerce.

- Gdzie mieszkasz? - spytała, ale marzenie o cywilizowanym miasteczku z eleganckimi sklepami i restauracjami już rozwiewało się na widok błota na dywaniku.

- Tuż za Ballymaldoon, w cudownej miejscowości nad samym morzem. Zobaczysz, idealny spokój do pisania książki.

- To prawdziwa wieś?

- O tak, jak najprawdziwsza. Jest u mnie mnóstwo zwierząt. Mam nadzieję, że lubisz zwierzaki. Pewnie zauważyłaś mój wiejski strój. Tu, na zachodnim wybrzeżu, robi się naprawdę zimno, a w dodatku panuje wilgoć. Przywiozłaś ze sobą jakieś buty na zmianę, skarbie?

- Nie, mam tylko te.

- Cóż, są niewątpliwie bardzo szykowne, ale nie przetrwają tu ani dnia. Na szczęście mam zapasową parę, którą mogę ci pożyczyć.

Ellen spojrzała na praktyczne skórzane obuwie ciotki i przeszedł ją dreszcz.

- Dziękuję, ale chyba nie trzeba. Pewnie nie będę zbyt często wychodzić.

Peg zmarszczyła brwi, a potem roześmiała się serdecznie.

- To najśmieszniejsza rzecz, jaką słyszałam w tym tygodniu.

Ellen pożałowała, że matka nie pokłóciła się z jakimiś krewnymi mieszkającymi, dajmy na to, w Dublinie.

- No, to opowiadaj. Jak się miewa Maddie? - spytała Peg, gdy wyjechały już na szosę. Jej głos nie zdradzał żadnych emocji, ale Ellen zauważyła, że kobieta mocniej zacisnęła dłonie na kierownicy, nie odrywając wzroku od drogi.

- Maddie?

- Twoja mama.

Ellen w życiu nie słyszała, żeby ktoś zwracał się do niej w ten sposób.

- Przyjaciele mówią na nią Madeline, a wszyscy inni zwracają się lady Trawton...

- A, no jasne. Zawsze była wielką damą. Pewnie dalej wyraża się jak księżna?

Ellen była zbyt niecierpliwa, żeby ukryć ciekawość.

- O co się pokłóciłyście?

Peg zacisnęła usta.

- Lepiej spytaj matkę.

Dziewczyna zdała sobie sprawę, że musi poruszać się ostrożniej.

- Przepraszam, pewnie to bolesna sprawa.

- To przeszłość. - Peg wzruszyła ramionami. - Było, minęło.

Ellen pomyślała o listach i kartkach bezceremonialnie wrzucanych przez mamę na dno szuflady i zrobiło jej się żal ciotki. Chyba była samotna.

- Pewnie ci przykro, że nie masz kontaktu z rodziną.

Peg aż się zdrygnęła.

- Mnie jest przykro, że nie mam kontaktu z rodziną? Dziecko, cóż ta wariatka ci naopowiadała? To raczej jej powinno być żal, że nie widuje swoich krewnych, choć pewnie nie roni z tego powodu zbyt wielu łez. Od trzydziestu lat się do nas nie odezwała.

Ellen była zdumiona. Wyobrażała sobie, że Peg jest starą panną.

- Och... ja... myślałam... - Zawahała się, nie chcąc urazić ciotki. - Masz dzieci, ciociu Peg?

Tamta nie odzywała się przez chwilę, a na jej twarzy pojawił się cień jak na krajobrazie, który ciemnieje, gdy niebo zasnują chmury.

- Trzech synów, wszyscy mają już po trzydzieści kilka lat, pracują. To dobrzy chłopcy i jestem z nich bardzo dumna — odparła cichym głosem. — Maddie i ja mamy czworo rodzeństwa. Pewnie i o tym nie wiedziałaś?

Ellen była w szoku.

- Naprawdę? Czworo? Gdzie mieszkają?

- Tu, w Connemarze. Jesteśmy wielką rodziną, bliską i żyłą. Masz mnóstwo kuzynów.

- Serio? W życiu bym nie przypuszczała. Słyszałam tylko, jak matka wspomina o tobie, i to w chwilach, kiedy nie powinnam słuchać. No i wysyłasz co roku kartkę świąteczną.

- Która, jak znam życie, ląduje w koszu na śmieci! -zauważyła gorzko Peg.

- Tak jakby. W dolnej szufladzie.

- Cóż, kiedyś byliśmy sobie z Maddie bardzo bliskie. Dwie dziewczynki w rodzinie zdominowanej przez chłopców, więc trzymałyśmy się razem. To ona podjęła decyzję, żeby wyjechać z Irlandii i zerwać więzi rodzinne, nie odwrotnie, a opuszczając nas, złamała serce naszej mamie. Chyba nie ma nic złego w tym, że ci to mówię. Bracia nigdy jej nie wybaczyli.

- Nigdy nie poznałam mojej babci.

- Niestety, już nie będzie ci to dane.

- Nie żyje, prawda?

- Tak, zmarła dziesięć lat temu.

- Madeline nie pogodziła się ze swoją matką przed jej odejściem, prawda?

Peg pokręciła głową i znów mocno zacisnęła usta.

- A dziadek? - dopytywała się Ellen. - Mam dziadka?

- Zginął w wypadku samochodowym, kiedy byliśmy jeszcze małe. Mama przejęła obowiązki na farmie i wychowała nas całkiem sama. Maddie nie znosiła brudzić sobie rączek, ale ja zawsze kochałam zwierzęta. Kiedy mama zmarła, Desmond, nasz najstarszy brat, zajął się gospodarstwem. Ja założyłam własną małą farmę. Tylko to umiem w życiu robić. Nie będzie ci przeszkadzało, jak zapalę?

Nagle wydała się wykończona, jakby podekscytowanie związane z poznaniem Ellen kosztowało ją całą energię.

- Palisz? - spytała dziewczyna, czując nagły przyptyw optymizmu.

- Obawiam się, że tak. Próbowалаm rzucić, ale chyba jestem już za stara na zmiany.

- U nas w domu „palenie” to brzydkie słowo. Muszę kryć się po kątach i wychylać z okna łazienki, jeśli sama mam ochotę na papierosa.

- Palenie jest teraz wszędzie źle widziane. Wszystkie te nakazy i zakazy... Świat robi się mdły i ponury. Najlepsze imprezy to te na ulicy.

- To prawda. Ja zawsze stoję na zewnątrz i zamierzam, zaciągając się z rozkoszą, ale za to w najlepszym towarzystwie. Choć przyznaję, że byłabym idiotką, gdybym nie starała się rzucić. Po prostu potrzebuję dobrego powodu.

- Na razie zajrzyj do mojej torebki i znajdź paczkę rothmansów. Poczęstuj się i odpal jednego dla mnie. Grzeczna dziewczynka.

- Nie mów, że nadal mieszkasz z rodzicami! W twoim wieku?!

- Mam trzydzieści trzy lata.

- O wiele za dużo, żeby żyć na garnuszku mamusi.

- Cóż, nie zawsze tak było. Studiowałam na uniwersytecie w Edynburgu, a potem, po powrocie do Londynu, mieszkałam z Lavinią, zanim wyszła za mąż. Matka przekonała mnie, żebym wróciła pod ich dach, kiedy zaczęłam mieć kłopoty

finansowe. Odrzucenie oferty darmowego zakwaterowania wydawało się głupie, szczególnie że dom jest ogromny i miejsca w nim aż za dużo. Mama od lat próbuje wydać mnie za mąż. - Pomyślała o Williamie i zrobiło jej się zimno. Wysłała mu esemesa, nie odważyła się jeszcze włączyć iPhone'a, żeby sprawdzić, czy odpisał. - Takie obsesyjne myślenie o małżeństwie wydaje mi się przestarzałe.

- No, książkę William już zajęty, więc Maddie jest pewnością bardzo zawiedziona. Dobrze, że został jeszcze Harry.

Ellen się roześmiała.

- Nie mylisz się, ciociu! - Buszując w gobelinowej torbie przypominającej dywanik, opowiedziała Peg o doskonałych partiach, jakie stanowią mężowie jej siostr. —Według mamy nie jest się osobą „właściwego sortu”, jeśli nie odda się ręki odpowiedniemu mężczyźnie. Lavinia i Leonora są obecnie żonami „najlepszego sortu” na świecie.

- Wielkie nieba, Maddie musiała skakać z radości, ciesząc się ich szczęściem!

- Ja natomiast nie przynoszę jej zbytnej chluby. Jestem najstarsza, więc teoretycznie powinnam być pierwsza w kolejce do ołtarza. Niestety, nie jestem pewna, czy mam ochotę wyjść za mężczyznę podsuniętego przez matkę.

- Idź za głosem serca, skarbie, a nigdy nie zbłądzisz. Okazałe posiadłości i tytuły nie znaczą nic w obliczu prawdziwej miłości. Szczerze mówiąc, sądzę, że tylko przyciągają kłopoty. Masa ciężkiej pracy i odpowiedzialności. Życie im banalniejsze, tym lepsze.

Ellen zapaliła papierosa i podała go Peg, a potem odpaliła jednego dla siebie. Uchyliła trochę okno i dym uciekł siną smugą w przesiąknięte wilgocią lutowe powietrze.

- A czy istnieje pan Peg? - odważyła się spytać, zaciągając się głęboko i czując, jak napięcie w ramionach ustępuje.

- Lata temu był pewien pan Peg, ale nasze drogi się rozeszły.

- Przykro mi.

- Niepotrzebnie. Mam oparcie w najmłodszym synu i braciach.

-Chyba nie da się stwierdzić, które małżeństwo przetrwa, a które nie. Mama i tata wydają się dość szczęśliwi, ale kto to wie...

- Cóż, nie przewidzisz, co zgotuje ci los i jak na to zareagujesz. Jedne rzeczy zbliżają ludzi do siebie, inne dzielą.

- Widujesz się czasem ze swoim byłym mężem?

- Nie, wyemigrował do Ameryki. Chłopcy oczywiście jeżdżą w odwiedziny. Ożenił się ponownie z o wiele młodszą kobietą i ma malutką... - Urwała, by zaciągnąć porządnie. - Malutką córeczkę - dodała cicho, głos jej się załamał, jakby

te słowa sprawiły jej ból. — No, teraz nie jest już pewnie taka mała. Tak czy owak on nie ma powodu, żeby tu wracać.

Ellen zauważyła zmianę nastroju w samochodzie. Nagle powietrze zrobiło się ciężkie od smutku, jakby wilgoć z zewnątrz wśliznęła się przez uchyloną szybę. Dziewczynie zrobiło się żal ciotki, bo na pewno nie było jej lekko, kiedy były mąż ponownie brał ślub i zakładał nową rodzinę.

- Opowiedz o synach, ciotciu — poprosiła wesołym tonem, zmieniając temat.

Peg uśmiechnęła się i nastrój natychmiast się poprawił.

- Cóż, to porządni chłopcy - zaczęła. - Dermot, Declan i Ronan. Dermot i Declan mają już żony i dzieci i od czasu do czasu wpadają z wizytą, a Ronan nadal mieszka w Ballymaldoon i nie zanosi się, żeby w najbliższym czasie miał się ustatkować.

Zbliżały się do serca Connemary i Ellen nie przerywała trajkoczącej o synach ciotce. Dziewczyna z zaskoczeniem chłonęła piękno zmieniającego się krajobrazu. Czuła nieznaną dotąd zew płynący znad dzikiego, szerokiego pasma skalistych gór i z głębi bujnych dolin, gdzie potoki szemrały wśród wrzosów, a tu i ówdzie na wzgórzach ruiny kamiennych domostw białały niczym kości szkieletów wystawionych na działanie wiatrów i mgieł nadciągających znad morza. W ogromie niezagospodarowanej przestrzeni kryła się melancholia, jakby istoty ludzkie uległy nieokiełznanej naturze, uniosły ręce w górę w geście rozpacz i porzuciły swe mieszkania, by szukać bezpieczeństwa w miasteczkach i metropoliach. Nie było tu słupów wysokiego napięcia, a masztów telefonicznych zaledwie kilka - w zasadzie Ellen nie dostrzegała śladów ludzkiej obecności z wyjątkiem długiej, prostej drogi, przecinającej bagna porośnięte wysokimi trawami i wznoszące się ku niebu poszarpane wzgórza, których wierzchołki ginęły w chmurach. Dziewczyna w życiu nie widziała niczego podobnego i patrzyła - trochę zafascynowana, a trochę przerażona - jak cywilizowany, miejski świat, który dotąd знаła, zostaje wyparty przez tę wyzywająco milczącą krainę.

Jadąc doliną, dotarły wreszcie do miasteczka Ballymaldoon i Ellen dostrzegła w oddali lśniący ocean, potężny i nieujarzmiony jak krajobraz Connemary. Ciotka Peg ominęłaby miasto, ale czuła, że siostrzenicę ucieszy odrobina zwiedzania.

- Nie ma wiele do oglądania - zaznaczyła, gdy przejeżdżały cichą ulicą z równym rzędem pomalowanych na pastelowe kolory domków, oddzielonych kamiennymi murkami i żywopłotem. Nad miasteczkiem górował wysoki gotycki kościół, po królewsku rozpierający się na wzniesieniu, otoczony tarczą rozłożystych jaworów i skałą. - Nie chodzę na msze - wyznała Peg. - Ksiądz Michael ma mnie za

bezbożnicę. Myli się, oczywiście; czuję, że Bóg stale jest przy mnie, ale ten ojczulek irytuje mnie jak cholera, zresztą zawsze tak było. Sprawa prosta jak drut. Więc nie musisz chodzić, jeśli nie chcesz. Jak tam uważasz, mnie wszystko jedno.

- Uwierzysz, że w Londynie mama każdego ranka uczęszcza na mszę? - powiedziała Ellen.

- Wcale mnie to nie dziwi. Ale szczerze mówiąc, nie sądzę, żeby Bóg miał z tym wiele wspólnego.

Roześmiały się obie.

- O, jakiś pub! Zaczyna mi się podobać! - zawołała Ellen, kiedy Peg zwolniła przy lokalu o nazwie Sagan Złota. - Przyjemne miejsce?

- Przychodzą tu okoliczni mieszkańcy, w tym członkowie mojej rodziny. Ja tam wolę siedzieć w domu. Ale jak będziesz miała ochotę, chłopcy cię tu przyprowadzą.

- Twoi synowie?

- Nie, mam na myśli mojego brata Johnny'ego i jego najstarszego syna Joego. Johnny jest zarządcą zamku, a Joe pracuje dla niego. Chyba niemal każdego wieczoru można spotkać ich w pubie. Idź z nimi. Joe pozna cię ze wszystkimi, których warto znać. Jak już mówiłam, masz masę kuzynów. Nie wszyscy, rzecz jasna, mieszkają w Ballymaldoon, ale wielu z nich. Spodoba ci się w Saganie. Myślę, że znajdziesz tam co najmniej kilkoro bohaterów do swojej powieści. - Zachichotała pod nosem, jakby sama już dawno dokonała wyboru najbardziej osobliwych postaci.

Zjechała do portu, gdzie na wodzie stały kutry przymocowane łańcuchami do kei lub - odrobinę dalej w morze - do boi. Na kamieniach piętrzyły się stosy więcierzy do połowu homarów. Paru ogorzałych rybaków w grubych swetrach i czapkach siedziało z papierosami w zębach, gawędząc przy naprawie sieci. Na bruku leżał chudy psiak, trzęsąc się z zimna. Ellen pomyślała, że mężczyźni wkrótce przeniosą się do Sagana Złota, a pies znajdzie ciepłe miejsce przy ogniu. Ballymaldoon było ładną miejsciną, ale najwyraźniej brakowało tu przyzwoitych sklepów, które mogłyby ją zainteresować. Może i lepiej - pomyślała, bo nie miała zbyt dużo pieniędzy, a nie mogła prosić rodziców o wsparcie po liście, który im zostawiła. W tej kwestii bez wątplenia spaliła za sobą mosty. Zaświtało jej w głowie pytanie, ile czasu upłynie, zanim zacznie się dusić tu, na tym końcu świata, i wróci do Londynu, spragniona rozrywki jak ryba wody, skruszona i posłuszna. Było ślicznie, ale już na pierwszy rzut oka dało się zauważyć, że zbyt wiele tu się nie dzieje.

Ciocia Peg przejechała przez miasteczko. Pokonała prawie dwa kilometry wzdłuż wybrzeża, po czym skręciła w polną drogę i dodała gazu, żeby wjechać na

wzgórze z murkami z szarego kamienia i bujną zielenią pastwisk upstrzoną bielą owiec. Wreszcie dotarły do kilku skromnych białych budynków gospodarczych na szczycie.

- Nic wykwińskiego, ale to mój dom - oświadczyła ciotka, zatrzymując auto przed chatką po lewej stronie. Ellen była zawiedziona. Wyobrażała sobie, że ciotka posiada większe lokum. Jednak mimo wszystko budynek był uroczy i malowniczy ze swoim wysokim dachem ze strzechy, w którym rysowały się okienka sypialni o ramach pomalowanych na czerwono pod kolor drzwi. Przed żywiołami chronił go jedynie niski kamienny mur i Ellen zrozumiała, że domek jest przysadzisty, żeby przetrzymać wściekłe zimowe wichury.

O ile sama chatka sprawiła gościowi zawód, o tyle widok z pewnością stanowił wynagrodzenie - Ellen rozglądała się wokół z zapartym tchem. Przez wieczorną mgłę połyskiwał ocean, a pośrodku, wyłaniając się ze zmierzchu jak duch, wyrastały osmalone zgłiszcza latarni morskiej. Dziewczyna zapatrzyła się przez chwilę. Słońce skryło się już za horyzont i w oddali, na prawo, widać było światła Ballymaldoon, jaśniejące razem z pierwszymi gwiazdami wyglądającymi zza chmur. Powoli latarnia rozpyływała się w nocnej mgle, aż wreszcie zniknęła, jakby nigdy jej tam nie było. Z zadumy wyrwał Ellen dźwięk drepających łapek. Odwróciwszy się, zobaczyła Pana Borsuka, biało-czarnego border collie, za którym podążała chrumkająca ruda świnia.

- Mam nadzieję, że lubisz zwierzęta - powiedziała Peg, wracając do samochodu po walizkę Ellen.

- Jasne - zapewniła dziewczyna, nie mogąc się zdecydować, czy pogłaskać świnkę, czy wziąć nogi za pas.

- Nie bój się Bertiego, jest grzeczny i przystosowany do mieszkania w domu. O, popatrz, już cię polubił - dodała, gdy prosiak wepchnął ryjek między nogi Ellen i zachrumkał. Dziewczyna odskoczyła w panice. - Podrap go za uchem, skarbie, uwielbia to. - Ale Ellen puściła radę ciotki mimo uszu i czmychnęła do domu.

W środku było ciepło, przytulnie i pachniało wilgotną psią sierścią. Przedpokój wyłożono kwadratowymi szarymi kamieniami, ściany były w kolorze złamanej bieli i ozdobione amatorskimi akwarelami przedstawiającymi morze. W kuchni, przy wyspie, leżała zakurzona brązowa poducha służąca za poślanie Pana Borsuka.

Przy żółtej kuchence firmy Stanley, podsuniętej pod komin, obok równiutkiej sterty polan rozłożono słomianą matę. Ellen zgadła, że to łóżko Bertiego, jeśli świnie miewały łóżka. Półki uginały się od garnków i sprzętu, stojów na torebki herbaty, kawę, długopisy. Na piecu stał staromodny czajnik, czekając,

by zagotowano w nim wodę. Peg zerknęła na zegar ścienny i uśmiechnęła się.

- Chyba jeszcze za wcześnie na kropelkę czegoś mocniejszego. Masz ochotę na herbatę, skarbie? Pewnie jesteś głodna. Mam szynkę i świeżo upieczony chleb.

- Zajrzała do lodówki. - Ugotowałam gulasz na później, ale może przegryzłabyś coś już teraz? Nie ma to jak długa podróż na zaostrenie apetytu. A może wolisz najpierw zobaczyć swój pokój i się odświeżyć?

- Byłoby świetnie, dziękuję - odparła Ellen, patrząc, jak Bertie przemierza truchtem kuchnię i lokuje się na swoim legowisku.

- Chodźmy. - Peg wtaszczyła walizkę po schodach pomimo sprzeciwu Ellen, upierającej się, że wniesie ją sama - Jestem silna jak wół. Ta torba to pestka w porównaniu z owcami, które podnosiłam.

Otworzyła drzwi sypialni z tapetą w kwiatowy wzór, niskim sufitem z belkami, dużym sosnowym łóżkiem, szafą i komodą. Przeszła po dywanie i uchyliła okno, żeby wypuścić bzyzącą muchę, objającą się w panice o szybę.

- Masz widok na morze.

Serce Ellen забиło mocniej.

- I na latarnię! - ucieszyła się.

- Tak - przyznała Peg, ale jej głos lekko zadrżał.

- To ruina. Uwielbiam ruiny - zachwycą się dziewczyna, stając w oknie wraz z ciotką.

- Ta była świadkiem tragedii. Pięć lat temu młoda matka zginęła tu w pożarze. Cóż, licho wie, co tam w ogóle robiła w środku nocy.

Ellen wpatrzyła się w mrok, lecz niczego nie była w stanie dostrzec.

- Strasznie smutne.

- Joe ci wszystko opowie. Bardzo przeżywa tę historię. Mąż dziewczyny, Conor Macausland, wyniósł się z zamku po jej śmierci i zamieszkał w mniejszym domu w obrębie posiadłości, ale Johnny i Joe nadal tam pracują, dbając o ogrody. Była zapaloną ogrodniczką. -Ciotka zniżyła głos. Mówiono, że została zamordowana.

- Przez kogo? - zapytała Ellen głosem pełnym przerażenia.

- Przez własnego męża. - Peg zamknęła okno i zaciągnęła zasłony. - Przez pewien czas był głównym podejrzanym. Policjanci włązili w każdy zakamarek zamku jak mrówki, ale nie znaleźli żadnych dowodów jego winy. Niektórzy zaznaczają jednak, że nie odkryto też niczego, co wskazywałoby, że tego nie zrobił.

- To okropne! Co ty o tym myślisz?

Peg westchnęła.

- Według mnie to był tragiczny wypadek, ale niektórych taka wersja nie satysfakcjonuje. Ludzi pociągają tajemnicze zbrodnie. - Uśmiechnęła się gorzko. -

Widzisz, tutejszym mieszkańcom doskwiera czasem nuda, a wtedy lubią podkolorować rzeczywistość, żeby było ciekawiej. Ja sama wolę spokój. - Peg ruszyła do drzwi. - Twoja łazienka jest w końcu korytarza, drugie drzwi na prawo. Uważaj, żeby nie otworzyć pierwszych, bo tam śpi Reilly.

- Reilly?

- Wiewiórka, którą uratowałam tuż przed Bożym Narodzeniem. Nie mógł mi się trafić miłszy prezent. - Uśmiechnęła się z czułością, jakby mówiła o małym dziecku. - Od tamtej pory hibernuje sobie w szafie na pościel. Przy bojlerze jest ciepłutko, więc doszłam do wniosku, że tam będzie mu najprzytulniej. Za miesiąc czy dwa się obudzi i spróbuję go oswoić. Jeśli będziesz potrzebowała czystego prześcieradła, poproś mnie, bo wiem, na której półce śpi mój gość.

Ellen posłała ciotce beztroski uśmiech, jak gdyby wiewiórka w szafie na pościel była zjawiskiem zupełnie naturalnym.

- Jasne! - zapewniła. — Czy powinnam uważać na jeszcze jakieś zwierzęta?

- Nie w domu. No, na strychu są myszy i nietoperze, ale nie będą ci dokuczać. Bertie nie wchodzi na górę, ale jeśli zejdziesz do kuchni w środku nocy, może na ciebie skoczyć biorąc cię za intruza. Kiedy był małym prosiątkiem zaatakował Oswalda i złamał mu nogę, więc wyobraź sobie, jakie szkody mógłby wyrządzić teraz!

- Kim jest Oswald?

- To mój bliski przyjaciel. Polubisz go. Wynajmuje ode mnie sąsiednią chatkę, a wieczorami często wpada na karty.

- Pomaga na farmie?

Peg chrząknęła, troszkę jak Bertie, i wybuchnęła śmiechem.

- Nie, i gdybyś znała Oswalda, sama byś się śmiała! To emeryt, angielski dżentelmen, który maluje w trzyczęściowym tweedowym garniturze, nic dodać, nic ująć. Te akwarele na dole to jego dzieła. Zarabia na nich wystarczająco, żeby opłacić czynsz, ale wiele mu nie zostaje. Chyba tworzy dla przyjemności. To dobry przyjaciel. Polubisz Oswalda. - W oczach ciotki rozbłyły iskiereki, kiedy mówiła o owym angielskim dżentelmenie, i Ellen się zastanowiła, czy czasem Peg się w nim nie podkochuje.

- Nie mogę się doczekać, kiedy go poznam - powiedziała.

- Na dole jest przyjemny salonik, może ci służyć za miejsce do pisania. Rozpalę ogień i możesz się tam rozgościć, kiedy wyjdę. Odśwież się i zejdź na dół, jak będziesz gotowa. Zaparzę herbaty.

Ellen wyjęła z torebki telefon i go włączyła. Po chwili rozległo się powiadomienie o dwóch połączeniach i dźwięk dwóch esemesów. Miała dwa nieodebrane telefony od matki, ale skasowała nagrania na poczcie głosowej bez

odsłuchiwania. Jedną z wiadomości tekstowych była od Williama: „Kochanie, o co w tym wszystkim chodzi? Nie rozumiem. Proszę, zadzwoń, żebyśmy mogli porozmawiać”. Jego chłód nie był dla niej niespodzianką. William należał do tych Anglików z wyższych sfer, którymi nic nie było w stanie wstrząsnąć. Wychowano go w przekonaniu, że wszystko mu się należy i że wszystko w końcu się uda. Jego doświadczenie to potwierdzało, więc nie miał powodu przypuszczać, że nagła ucieczka Ellen przyniesie inny efekt. „Ach, te kobiety!” - wzdychał teraz pewnie, przewracając oczami, zupełnie jak jego ojciec, który wzruszeniem ramion komentował wy-bryki matki. Drugi esemes był od najlepszej przyjaciółki Ellen, Emily: „O Boże, naprawdę to zrobiłaś! Twoja matka dzwoniła dwa razy, ale ze strachu nie odebrałam. Co mam jej powiedzieć? Zadzwoń, proszę Cię!”. Ellen wyłączyła telefon i podeszła do okna. Otworzyła je na oścież i zaczerpnęła wilgotnego nocnego powietrza. Po skórze przebiegł jej dreszcz. Nie była pewna, czy to z powodu zimna, czy podniecenia wywołanego wyrwaniem się z domu. Nieważne. Wreszcie czuła się spuszczone z łańcucha obowiązku. Przez trzydzieści trzy lata życia zajmowała się zadowalaniem rodziców; teraz w końcu była wolna, mogła szukać własnego szczęścia.

Na dole Peg siedziała przy kuchennym stole i czytała gazetę, jedząc kromkę z serem. Wzrok dziewczyny natychmiast zatrzymał się na groźnie wyglądającym ptaku, przycupniętym na oparciu krzesła ciotki. Miał pióra czarne jak smoła, ale oczy jasne jak kwarc.

- To pewnie kolejny przyjaciel? - spytała, wysuwając dla siebie krzesło jak najbardziej oddalone od ptaszyska.

- A, tak, to moja kawka - roztkliwiła się Peg. - Wykarmitam ją, gdy wykluła się z jajka, no i tak już ze mną została. Regularnie próbuję ją odgonić, ale zawsze wraca. Nie da się jej pozbyć. - Roześmiała się i Ellen zrozumiała, że ciotka wcale nie chciała, żeby ptak odfrunął. - Napijesz się teraz herbaty?

- Bardzo chętnie, dziękuję. - Ptak nie spuszczał oczu z gościa. - Jak ma na imię?

- Kafka - przedstawiła go Peg ze śmiechem. - Może trochę dziwnie jak na ptaka, ale pasuje mu. Słyszac swoje imię, Kafka sfrunął na stół i zaczął dziobać okruszki herbatnika, które zostawiła tam dla niego gospodyni. Był tak wielki, że puszka na ciastka wydawała się przy nim małą miseczką.

- Masz mnóstwo zwierząt.

- Nie umiem odmawiać, w tym cały problem. W dodatku wszyscy o tym wiedzą. Każde bezdomne czy ranne stworzenie przynoszą na mój próg. - Peg podała Ellen kubek z herbatą. - Mleko jest w dzbanku. O szóstej wpada Oswald na kieliszek wina. Ten to nie pociągnie na samej herbatce. Trzymam butelkę clareta na lodówce specjalnie dla niego, ale jeśli masz ochotę, częstuj się śmiało. Jutro przedstawię ci osiołka Charliego, lamę Larry, kury i owce. Mam tylko tuzin owiec. Śnieżka jest moją ulubienicą. Wyrosła już oczywiście na dużą dziewczynkę, ale chowałam ją sama, bo lis zabił jej mamę. Całymi nocami nie spałam przez jej zachcianki. Gorsza niż chłopcy, kiedy byli mali!

Ellen popijała herbatę, czując się dziwnie na miejscu.

- Poza koszmarnym Waflem, mama nie lubi zwierząt.

- Domyślam się, że Wafel to pies. Z takim imieniem mam nadzieję, że to pies.

- Tak, taki malutki.

- Maddie nawet jako dziewczynka zawsze się martwiła, że ubrudzi ubranie. Ludzie chyba wiele się nie zmieniają. Była jak łabędź pośród gęsi.

- Ty nie jesteś gęsią, ciociu! - Ellen się roześmiała.

- W porównaniu z twoją matką bez wątpienia jestem! Urodziła się jako ostatnia i chyba cała uroda czekała na nią. Nie chodzi o to, że to ma jakieś znaczenie. Teraz jestem stara i mądra i wiem, że śliczna buzia w ogóle się nie liczy, jeśli człowiek nie ma pięknego wnętrza.

- Nie sądzę, żeby matkę interesowało czyjekolwiek wnętrze.

- Cóż, kiedyś było dla niej ważne. Zresztą niech robi, co chce, skoro jest szczęśliwa. - Wzruszyła ramionami. - Masz jeszcze ochotę na papieroska, zanim przyjdzie Oswald? Nie lubi zapachu dymu, więc staram się zapalić trochę przed jego wizytą, żeby nie śmierdziało, kiedy się zjawi.

- Z przyjemnością - powiedziała Ellen. Rzeczywiście, Peg nie dorównywała siostrze urodą, ale miała szeroką, przyjazną twarz kogoś, kto zawsze dostrzega w ludziach dobro. - Cieszę się, że cię odnalazłam, ciociu Peg. I po-myśleć, że gdybym nie dotarła do listów, które wysyłałaś do mamy, nigdy nie dowiedziałabym się o twoim istnieniu.

Ciotka podała Ellen paczkę i wsunęła papierosa do ust

- Nigdy nie jest za późno. Wszystkie rzeki w końcu wpłyną do morza. Próbowała utrzymać nas w tajemnicy, ale trafiłaś tu na własną rękę.

Zapaliły i popijały herbatę w przytulnym ciepłe kuchni. Peg trajkotała o swojej rodzinie, a jej irlandzki akcent zawijał się wokół słów jak świńskie ogonki; Ellen czuła się ukojona delikatnym wznoszeniem i opadaniem intonacji. Bertie chrząkał przez sen na swojej słomiance, a Pan Borsuk zwinął się w kłębek na poduszce. Kafka wrócił na oparcie krzesła swojej pani, ale przyglądał się Ellen z uwagą, jakby jeszcze nie ufał nieznajomej, która znalazła się pośród nich.

Dziewczyna czuła się w tej kuchni tak wspaniale, jakby to miejsce miało ramiona i ją nimi obejmowało. Londyńska kuchnia rodziców była królestwem pani Leonard. Rodzina spożywała posiłki w jadalni, a pani Leonard gotowała i sprzątała ze stołu. Jako starsza kobieta kucharka należała do pokolenia, które widziało wyraźną granicę między „państwem” a służbą. Podział ten od osiemnastego wieku symbolizowały, obecne w każdym bogatszym domu, drzwi obite zielonym sukmem, dzielące kuchnię od salonów, i pani Leonard czuła się za nimi doskonale. Poza nią w posiadłości pracowała pani Roland, gospodyni, która zajmowała mieszkanie w piwnicy, a także Janey, energiczna dziewczyna prosto po studiach, pełniąca funkcję osobistej asystentki Madeline Trawton, choć Ellen trudno było sobie wyobrazić, co dziewczyna robiła całymi dniami, skoro lady sama nie miała żadnej pracy. Ojciec zatrudniał kierowcę, który większość czasu spędzał na wożeniu matki Ellen po sklepach na Bond Street i na charytatywne lunche. Gdy sięgała pamięcią wstecz, jej dzieciństwo było zdominowane przez certyfikowane nianie po najlepszym szkołach, ubrane w szare mundurki. W jej wspomnieniach nie było dnia, w którym

rezydencja nie byłaby pełna służby.

Ellen zastanowiła się nad swoim domem. W zasadzie wcale nie był to dom, ale atrapa na pokaz, udekorowana i regularnie upiększana przez słynnego francuskiego projektanta Jacques'a Le Paona, a kuchnia, którą pani Leonard okupowała niczym zaborcza kwoka, stała się miejscem praktycznym i bezosobowym, rzadko odwiedzanym przez członków rodziny. Zupełnie inaczej niż u Peg. Ellen oparła się wygodnie na krześle, powoli stapiając się w jedno z pomieszczeniem. Kuchnia ciotki stanowiła serce domu i dziewczyna z wdzięcznością chłoneła wszechobecną miłość.

Po chwili Peg wstała, żeby otworzyć okno i zagotować w rondlu czarną kawę dla zabicia zapachu dymu. Zerknęła na zegar ścienny, którego dłuższa wskazówka powoli zbliżała się ku dwunastce. Za pięć szósta wyjęła z szafki dwa kieliszki i sięgnęła na lodówkę po na wpół już opróżnioną butelkę clareta. Odkorkowała ją i ostrożnie ustawiła na kawałku drewna przy piecu, żeby trochę ją ogrzać. Pięć minut później w drzwiach wejściowych stanął chudy jak szczapa mężczyzna w wieku około sześćdziesięciu pięciu lat, w trzyczęściowym tweedowym garniturze, kaszkiecie i okularach.

- Wielkie nieba, to już ta godzina?! - zakrzyknął wesoło, wchodząc do kuchni. - A to pewnie piękna Ellen, która przybyła aż z Miasta Wielkiego Smogu.

- Przedstawiam ci Oswalda, skarbie - powiedziała Peg, a uśmiech rozpromienił całą jej twarz.

Ellen podniosła się i wyciągnęła rękę.

- Miło cię poznać - odezwała się. - Dużo o tobie słyszałam.

W siwych oczach mężczyzny błysnęły zawadiackie ogniki, kiedy ścisnął dłoń dziewczyny.

- My, artyści, dogadamy się śpiewająco jak para kaczek na stawie - orzekł. Mówił z angielskim akcentem, doskonałym i eleganckim jak chińska porcelana. Na oko wcale nie wyglądał na malarza. Miał miękkie, czyste dłonie, a tweedowy garnitur i koszula były starannie odprasowane.

Peg pospiesznie postawiła na stole kieliszki, a po chwili wróciła z butelką. Oswald rozsiadł się za stołem i pozwolił, by przyjaciółka nałata mu porządną porcję clareta.

- Czy nie jest uroczo? - Upił łyk, a potem uniósł kieliszek w geście toastu ku Ellen. - Witaj na ojczyściej ziemi.

Roześmiała się, już czując sympatię do starszego pana.

- Dziękuję.

- To kraina syren i magii. Niech ci się nie wydaje, że historie, które słyszałaś o Irlandii, to jakieś ludowe bujdy. Nie, nie ma w nich ani odrobiny kłamstwa. Miej

oczy otwarte, a na pewno zobaczysz, jak małe zielone skrzaty wyglądają z wrzośca i podkradają monety, które potem chowają w wielkim saganie znajdującym się na końcu tęczy.

- Doprawdy, Oswaldzie, łobuz z ciebie. - Peg śmiała się, podając Ellen kieliszek i zajmując miejsce na krześle z Kafką na oparciu. Postawiła przed sobą szklaneczkę Jamesona, dobrej irlandzkiej whisky, i dzbanek wody. - Nie wierz w ani jedno jego słowo, skarbie. W głowie tylko mu skrzaty i wróżki.

- Wróżki też są, a jakże! - powiedział Oswald poważnie, zniżając głos. Ellen nie była pewna, czy tylko żartuje, żeby dokuczyć ciotce. - Słyszysz wszystko - nie dawał za wygraną. - Lepiej trzymaj cenne rzeczy pod kluczem, bo ci je ukradną - ostrzegł, rozglądając się nerwowo wokół.

- Nabiera cię - przerwała mu Peg. - A wypił dopiero łyczek.

- Przecież to prawda. No, przyznaj, Peg. Ciągłe mi mówisz, że znalazłaś coś nie na swoim miejscu albo że coś całkiem przepadło.

Potrząsnęła głową.

- W domu pełnym zwierząt raczej trudno się temu dziwić. Bertie ma słabość do błyszczących przedmiotów.

- Złapałaś go na gorącym uczynku?

- Nie, ale wiem, że to on.

- Sama widzisz - brak jakichkolwiek dowodów. Mówię ci, że to wróżki. Ellen poznała już Dylana?

- Jeszcze nie. Pewnie pozna jutro - odparła Peg. Dziewczynie wydawało się, że nieco nerwowym tonem.

Oswald zwrócił się do Ellen z wyjaśnieniem.

- Dylan wie, gdzie pochowały się wszystkie krasnale, i na pewno podzieli się z tobą tą tajemną wiedzą, jeśli postawisz mu szklaneczkę whisky. Jest twórcą jak my, moja droga, w związku z czym ma bardzo wrażliwą duszę, choć niestety na skutek picia robi się coraz bardziej ekscentryczny. Nie można mieć pewności, czy skrzaty, które widzi, nie pływają w trunku w tej jego zachlanej łepetynie. - Uśmiechnął się, ukazując dwa krzywe kły, które nadawały mu wygląd wilka. - Cóż, nadal dysponuje jednak sporą dawką słynnego irlandzkiego uroku. Nie da lubić Dylana.

- To wszystko może być doskonałym materiałem do mojej książki - zauważyła Ellen.

- O, tak. Nie zabraknie ci tu inspiracji - zgodził się Oswald, unosząc brwi. - O czym piszesz?

- O miłości, tajemnicy... no wiesz - odpowiedziała wymijająco. - Szczerze mówiąc, jeszcze nie jestem pewna.

- Im mniej skonkretyzowany plan, tym lepiej. Będziesz mogła wchłonąć atmosferę i pozwolić wyobraźni ponieść cię w nowe, magiczne miejsca. Zapomnij o londyńskich bajeczkach, nie ma na nie miejsce tu, w Connemarze.

Rada Oswalda podniosła Ellen na duchu. Przywykła do tego, że matka studzi jej entuzjazm. Rzeczywiście nie mogła się doczekać, aż zacznie odkrywać okolicę i znajdzie inspirację pośród kamiennych ruin i skalistych wzgórz. Tu, ukrywając się w odległym zakątku Irlandii, mogła spokojnie i bez pośpiechu pomyśleć o swojej pracy. Peg wyglądała na zadowoloną z jej towarzystwa, a William i mający na horyzoncie ślub oraz przytłaczająca, autokratyczna matka zostali daleko, w bezpiecznej odległości.

Oswald zdjął tweedowy kaszkiet i został na obiedzie, który ciotka nazywała „herbatą”. Ellen założyła, że mężczyzna chyba często stołuje się u Peg. Dziś zaserwowała gulasz, kapustę na ciepło i ziemniaki w mundurkach, na które mówiła „kartofle” i które wyłożyła na stół, aby każdy sam sobie obrał. Na deser podała domowej roboty placek z syropem z melasy, który okazał się ulubionym przysmakiem Oswalda, czego jednak nikt by się nie domyślił, sądząc po jego mizernym wyglądzie. Przypominał tatarak zakończony kępą kręconych siwych włosów.

Po kolacji wyszedł z Ellen do holu i pokazał jej obrazy, które ofiarował Peg, tłumacząc, że ilekroć miał kłopot z uzbieraniem pieniędzy na czynsz, równoważył to swoim dziełem.

- Przyjdzie dzień, kiedy te widoczki będą warte majątek i Peg stanie się niewyobrażalnie bogata.

- I co mi z tego przyjdzie?! — zawołała Peg z kuchni.

- Sama nie wiesz, co dla ciebie dobre.

- Pieniądze przynoszą tylko zgryzotę. Świetnie mi się żyje bez nich, dziękuję pięknie.

- Pieniądze niewiele mają wspólnego z życiem w szczęściu, trudno się z tym nie zgodzić, ale jednak sprawiają, że żyje się wygodniej, gdy gonisz za szczęściem - odparł. A potem zniżył głos i wskazał na obraz przedstawiający latarnię morską, jeszcze zanim strawił ją ogień.

- Oto twoja tajemnica — szepnął, pukając w płótno paznokciem.

- Peg opowiedziała mi o pożarze.

- Straszliwa historia. Biedna dziewczyna. Była taka młoda... niewiele starsza od ciebie... a jaka ładna! Płomiennie rude włosy sphywające kaskadą po plecach, zielone oczy, mleczna cera, ale diabeł pod skórą. Było w niej też coś z dziecka. Chyba znała się z wrózkami i skrzatami. - Zachichotał i jeszcze ściszył głos. - Ale nie powtarzaj tego Peg. Nie przyzna się, że wierzy w takie rzeczy.

- Ciocia mówiła, że ten mąż...

- Conor, tak, biedaczysko. Ja na jego miejscu dawno bym stąd czmychnął... wytykany przez wszystkich palcami i obrzucany milczącymi oskarżeniami o morderstwo. Ma jednak dom ukryty gdzieś na terenie posiadłości i nikomu nie pokazuje się na oczy. Nie wchodzi w relacje z nikim, a większość czasu spędza w Dublinie... przynajmniej tak mi się wydaje. Odnosił wielkie sukcesy jako producent filmowy, ale chyba niewiele osiągnął po śmierci Caitlin. Dzieci posłał do szkoły w mieście.

- Podobno mieszkali w zamku.

- Tak, też go malowałem. Ciekawe miejsce. Johnny i Joe zabiorą cię tam, żebyś mogła się rozejrzeć. Dla powieściopisarki to chyba wymarzona sceneria.

- Już czuję się zainspirowana - zapewniła entuzjastycznie.

- Nie masz chłopaka?

- Nie - skłamała, krzyżując ręce na piersi.

- To obronny gest - zauważył celnie Oswald.

- Miałam, ale to już skończone.

- Ach, więc zostawiłaś jakiegoś nieszczęśnika w Londynie ze złamanym sercem, tak? - Posłał jej ciepły uśmiech, zerkając znad szkielek okularów. - Cóż, lepiej złamać mu serce teraz, niż potem unieszczęśliwiać was oboje.

Ellen pomyślała, że najboleśniej pęka chyba serce jej matki.

Pomogła ciotce przynieść tacę z kawą. Gospodyni już wcześniej rozpałała w kominku i zaciągnęła zasłony. W pokoju przyjemnie pachniało drzewnym dymem. Pan Borsuk wszedł za nimi, wspiął się kanapę i zaczął się układać do snu z psią nonszalancją. Peg i Oswald zajęli miejsca przy stoliku karcianym ustawionym w okiennym wykuszu, a Ellen usiadła wygodnie w fotelu przy ogniu i patrzyła, jak Kafka wlatuje i sadowi się na wysokiej komodzie w rogu pokoju.

- Masz ochotę zagrać? - zaproponowała siostrzenicy Peg.

- Nie, dziękuję. Nie lubię kart - odmówiła Ellen, zastanawiając się, gdzie może stać telewizor i czy ciotka odbiera kanał Sky News.

Peg jakby czytała jej w myślach.

- Nie mam telewizora. Ale jest tu pełna biblioteczka, z której możesz korzystać podczas pisania własnej książki. Co lubisz czytać?

- Beletrystykę. Romanse, tajemnicze historie, opowieści o pięknych miejscach. Chyba można to nazwać literaturą eskapistyczną - odparła, automatycznie robiąc w myślach przegląd rzeczy, od których musiała uciekać. - Lubię też powieści historyczne, uwielbiam Philippę Gregory. Przeczytałam wszystko, co napisała.

- Musisz też czytywać klasykę - wtrącił się Oswald, po czym dodał, kiwając

mądrze głową: - „Na dłuższą metę, ludzie trafiają tylko w to, w co celują. Warto zatem celować wysoko”. Proszę, oto cytat w sam raz dla ciebie. Oscar Wilde, Dumas, Maupassant, Austen, Dickens. Sięgaj po wielkich, Ellen, a może będziesz pisać jak oni.

- Stosujesz tę metodę w stosunku do swojego malarstwa? - spytała z uśmiechem.

- Nie, bo starzec już ze mnie i osiągnąłem szczyt moich możliwości. Ty jesteś młoda i masz długą drogę przed sobą.

- Nie wiem, czy masz rację, Oswaldzie. Chyba nigdy nie jest się za starym na bycie wielkim.

- Teraz to ty się ze mną droczysz - zachichotał.

- Kuba Bogu...? - Cmoknęła Peg, patrząc na niego z uczuciem.

- Rozdawaj, Peg, staruszeko, grajmy.

Ellen zrozumiała, że nie uniknie sięgnięcia po książkę, skoro ciotka i Oswald mają zamiar grać w karty co wieczór, a rozrywka w postaci telewizji odpadła. Była ciekawa, co powiedziałyby na to wszystko Emily. Przyjaciółka nie wytrzymałaby pięciu minut w domu bez telewizora. Sama nie była pewna, czy wytrzyma. Cóż, dom z dwójką ekscentrycznych staruszków i bez seriali był i tak zdecydowanie lepszy niż mieszkanie w Londynie z narzeczonym, którego nie kocha, i despotyczną matką, która na siłę pcha ją przed ołtarz z egoistycznych powodów.

Padła na sofę i wpatrzyła się w ogień, rozmyślając. Wiedziała, że Williamowi należy się od niej coś więcej niż esemes - naprawdę powinna wszystko mu wyjaśnić.

„Potrzebuję czasu do namysłu” nie było równoznaczne z: „Nie Kocham cię, więc nie chcę za Ciebie wyjść”. Data ślubu została wyznaczona na czerwiec, czyli za pięć miesięcy. Kościół Niepokalanego Poczęcia na Farm Street zamówiono na sobotę dwudziestego drugiego, a przyjęcie w Claridges stanowiło wymarzoną wymówkę dla matki, żeby co tydzień jadać tam lunch z przymilnym panem Smeamanem, organizatorem przyjęć. Umówiła się już też z Sarah Burton, która projektowała suknię księżnej Cambridge, bo Madeline Trawton uparła się, że nie może być ubrana gorzej niż jej najstarsza córka. Ellen dobrze wiedziała, że zrobienie wrażenia na przyjaciółkach było dla matki priorytetem, przyćmiewającym chęć sprawienia przyjemności własnemu dziecku. Śluby Leonory i Lavinii były pełne przepychu, ale ostatecznie panny młode stały w cieniu matki, lśniącej jaśniej niż obie córki razem wzięte.

Podczas gdy Ellen roztrząsała swoje zmartwienie, a starsi państwo rozgrywali partyjkę pod oknem, Kafka zaczął krakać ze swojego miejsca na komodzie. „Kak-kak” - wołał, nerwowo chodząc po szczycie mebla. Chwilę potem

Pan Borsuk podniósł głowę i zastrzygł uszami. Zesztywniał cały, jakby wszystkimi zmysłami odbierał coś dostrzegalnego tylko dla psa. Ellen obserwowała go najpierw z roztargnieniem, które szybko przerodziło się w pełną uwagę. Zaczął merdać ogonem i wodzić za czymś wzrokiem, jakby coś niewidzialnego przemieszczało się po pokoju. Nagle szczerknął radośnie, a jego ogon z podwójną mocą uderzył w poduszki. Było to szalenie intrygujące, ale Peg ani Oswald zdawali się niczego nie zauważać. Ellen podniosła się z kanapy i uklękła przy psie, żeby go pogłaskać. Zerknął na nią przelotnie, odnotowując jej gest, ale natychmiast przeniósł uwagę na niewidzialną istotę.

- Ciociu, spójrz na Kafkę i Pana Borsuka - odezwała się dziewczyna. - Dziwnie się zachowują.

Ciotka rzuciła okiem i się uśmiechnęła.

- Obawiam się, że to dość ekscentryczne zwierzaki.

- Widzą wróżki - wyraził opinię Oswald, nie odrywając wzroku od kart.

Peg potrząsnęła głową.

- Nie strasz mi siostrzenicy, dopiero przyjechała. Nie pozwolę, żeby uciekła mi zaraz do Londynu, przerażona twoimi bajkami o duchach.

- Jeśli to duch, to przyjazny - powiedziała Ellen. Kiedy po chwili Kafka wyfrunął z pokoju, dodała: - Nie wiem, jak twój ptak, ale Pan Borsuk darzy to coś sympatią. Patrz, jak wodzi wzrokiem.

- Psy lubią wróżki - pouczył ją Oswald tonem znawcy. - Za to nie przepadają za skrzatami.

- Zagrasz w końcu, Oswaldzie, czy będziesz tak siedzieć i pleść trzy po trzy? Położył kartę.

- Proszę, staruszek, to cię usadzi.

Ellen pogładziła Pana Borsuka po pysku. Pies wkrótce się uspokoił i złożył łeb między łapami. Przymknął oczy i westchnął ciężko, po czym odpiął się w sen, poddając się rytmicznej pieśńce dziewczyny.

Ta zastanawiała się, co go tak podekscytowało. Nie wierzyła we wróżki i skrzaty, ale istnienie duchów wydawało jej się dość naturalne.

- Jak stary jest ten dom? - spytała ciotkę.

- Postawiono go w osiemnastym wieku - padła odpowiedź.

- Czyli mogłyby tu mieszkać duchy?

- Mówiłem ci, kochana, to wróżki. Całe roje wróżek - sprostował Oswald, po czym wybuchnął wesołym rechotem. - Ha, patrz, Peg! To był świetny ruch, prawda?

- Czy wiecie o kimś, kto umarł pod tym dachem? - nie odpuszczała Ellen. Nie doczekała się odpowiedzi, a była zbyt zafrapowana pomysłem, że dom jest

nawiedzony, aby zauważyć, jak palce Peg zawisły nad kartami. - Niewykluczone, że macie tutaj domową zjawę!

- Nie wierzę w duchy - odezwała się ostro Peg. Potem dodała ciszej: - Ludzie widzą zjawy, bo chcą je widzieć. To pragnienie przeżycia czegoś wyjątkowego sprawia, że dostrzegają i słyszą rzeczy, które nie istnieją. Wyobraźnia płata im figle. Pan Borsuk poluje na ziarnko kurzu, które załśni w słońcu, albo na miniaturową muszkę, ledwo widoczną gołym okiem. Nie daj się nabrać bajdurzeniu Oswalda o wrózkach. Irlandia uderzyła mu do głowy. Mam dość wysłuchiwania tych głupot. Może lepiej zajrzyj do biblioteczki... to drzwi obok... i wybierz sobie coś do czytania.

Ellen zdała sobie sprawę, że w jakiś sposób zraniła ciotkę, i zrobiło jej się przykro. Wstała i wyszła z pokoju, zostawiając dwoje starszych ludzi nad partyjką. Idąc korytarzem, słyszała jeszcze, jak rozmawiają przyciszonymi głosami, ale w bibliotece nie dobiegały jej już żadne odgłosy z wyjątkiem tykania starego stojącego zegara.

Dwie ściany niewielkiego pomieszczenia w całości pokrywały uginające się od książek półki. Po przeciwległej stronie było okno, pod którym ustawiono biurko, a na przylegającej ścianie rozpieął się wielki, otwarty kominek, wygasły i ciemny. Na dywanie rozłożono dodatkowo małe dywaniki, a pośrodku podłogi stał stolik kawowy, zavalony stertami przypadkowych czasopism i książek. Pachniało tu resztkami dymu, którym przesiąknęły tkaniny i firanki. Deski podłogowe skrzypiały pod stopami dziewczyny, kiedy podchodziła do półek w poszukiwaniu czegoś pasjonującego. Nie przypuszczała dotąd, że w dzisiejszych czasach można żyć bez telewizji. Skąd ciotka czerpała informacje o tym, co się dzieje na świecie? Ellen przebiegła wzrokiem po grzbietach tomów, aż w oko wpadł jej tytuł Zamki Irlandii. Nie była to powieść, ale trudno. Przekartkowała książkę, czytając nagłówki na szczycie każdej strony. Trzymała w rękach historię zamków - niektóre z nich były w ruinie, inne zdawały się nietknięte przez czas i wspaniale prezentowały się na lśniących, kolorowych fotografiach. Książka wzbudziła ciekawość Ellen. Nie było chyba nic romantyczniejszego niż ruiny.

Kogut paniem oznajmił nadejście świtu, ale Ellen już nie spała. Z okna sypialni wyraźnie widziała latarnię morską. Część niezniszczonych przez ogień murów nadzwyczajnie białała w promieniach wstającego słońca, ale nad wszystkim górował czarny szkielet, wystawiony niczym zwęglone żebra starego okrętu na działanie wiatru i bezbronny wobec mew, które odważyły się tam zapuszczać. Dziewczyna stała dłuższą chwilę przy szybie. Przyciągał ją widok zaniedbanej budowli, a w jej sercu zrodziła się melancholia. Latarnia była dla niej równie atrakcyjna jak ruiny zamków, a Ellen pragnęła się dowiedzieć, jak zginęła tamta dziewczyna i dlaczego w ogóle się tam znalazła.

Morze było gładkie jak atlas, skały zdawały się nie stanowić najmniejszego zagrożenia dla budzącego się ze snu świata. Cisza była nowością dla Ellen, przyzwyczajonej do zgiełku miasta, i dziewczyna czuła, jak spokój okolicy powoli otacza ją i otula ramionami delikatnymi jak puch; przez chwilę zatoneła w atmosferze krajobrazu. Myśli przestały kłębić się w jej głowie, ciężar zsunął się z piersi i istniała, po prostu istniała tu i teraz, czując nieskończoność w nieruchomym ponadczasowym widoku.

Nagle usłyszała krzątanicę Peg w kuchni na dole, stukanie psich pazurków i chrupkanie świni. Drzwi wejściowe się otworzyły i Ellen patrzyła, jak ciotka wychodzi z domu z Bertiem i Panem Borsukiem, który z zapalem wachał ziemię i z przekrzywioną głową wpatrywał się w płot. Kobieta przeszła przez pastwisko ubrana w ciepłą brązową kurtkę i ciężkie buty, z wełnianą czapką ściągniętą nisko na czoło. W osłoniętej rękawiczką dłoni niosła duże czarne wiadro. Zdawało się, że gdyby tylko nabrała ochoty, sturlałaby się ze wzgórza na sam dół.

Ellen dziwnie się czuła, myśląc, że w żyłach Peg płynie ta sama krew, co w żyłach Madeline Trawton - kobiety smukłej, nienagannie ubranej i zadbanej. Ta trzy razy w tygodniu czesała się w eleganckim salonie fryzjerskim, regularnie też poddawała się zabiegom kosmetycznym na twarz i dłonie. Ellen nie mogła sobie wyobrazić, żeby Peg kiedykolwiek w życiu miała robiony manicure, a jej twarz na pewno nie znała maseczek. Szła teraz samotnie, lekko zgarbiona, o sylwetce okrągłej jak jabłuszko i dziewczyna nie mogła się nadziwić, ile ciepłych uczuć żywi do osoby, którą ledwo poznała. Przyglądała się, jak w ten rzeński poranek ciotka liczy owce, a potem gwizdże głośno, wypuszczając przy tym z ust kłęby pary. Ellen myślała, że gwizd ma przywołać psa, ale zaraz pojawił się właściwy adresat - na wzgórzu pojawił się szary osioł. Zbliżył się do Peg i włożył łeb do wiadra,

pozwalając, żeby pani pieśczośliwie głaskała go po głowie i uszach. Po chwili gospodynię otoczyły też i owce, aż Pan Borsuk zabrał się do roboty, odganiając je zazdrośnie. Jedna z owiec, o wyjątkowo długiej szyi, nic sobie nie robiła z pasterskich poczynań psa i przysunęła miękkie, wełniste ciało bliżej Peg. Ellen zorientowała się nagle, że to wcale nie owca, tylko lama, i ekscentryczność ciotki wywołała uśmiech na jej twarzy. Ciekawe, co powiedziałyby na to matka.

Na myśl o niej Ellen odeszła od okna i wyjęła z torebki iPhone'a. Włączyła go i czekała, aż ściągną się wiadomości. Serce zaczęło jej bić jak szalone i dopadł ją ten sam lęk, który prześladował ją w Londynie, niszcząc spokój, którym cieszyła się dosłownie kilka minut wcześniej. Poczowała, że się poci, kiedy esemesy, maile i nagrane wiadomości zaczęły pojawiać się w telefonie. Wieści musiały się szybko rozejść. Z drżeniem serca patrzyła w ekran urządzenia. William, matka, ojciec, który na ogół pozostawał wyłączony z życia rodzinnego, Leonora i Lavinia, Emily i spora grupa koleżanek - wszyscy w jakiś sposób próbowali się z nią skontaktować. Ellen ogarnęła fala paniki. Bała się, że się w niej utopi. Przecież od tego właśnie uciekała: od ludzi, niezliczonych ludzi, dyktujących jej, jak ma żyć. Chciała, żeby wszyscy zniknęli.

Czując się jak klaustrofobiczka, pospiesznie włożyła džinsy i sweter. Wcisnęła iPhone'a do tylnej kieszeni i zbiegła po schodach, przeskakując po dwa stopnie. Ignorując rząd gumiaków Peg, wsunęła stopy we własne kozaki i narzuciła sztuczne futerko. Gdy tylko znalazła się na zewnątrz, mroźne powietrze uderzyło ją w twarz i rozpałiło płuca, w mgnieniu oka ją otrzeźwiając. Już dawno powinnam to zrobić - pomyślała, złoścąc się na siebie. Przeszła przez żwir i znalazła się na polu, gdzie Peg rozmawiała z lamą.

- Dzień dobry - przywitała ją ciotka, widząc, jak siostrzenica zmierza ku niej zdecydowanym krokiem. Jednak spoważniała, kiedy zobaczyła przejęty wyraz twarzy Ellen. - Wszystko w porządku, skarbie?

Dziewczyna głęboko odetchnęła i zadrzała, starając się nie zwracać uwagi na przypatrującą jej się z wyższością lamę.

- Idę nad morze - oznajmiła, wciskając ręce w kieszenie.

- Teraz? Przed śniadaniem?

- Spacer mnie orzeźwi.

Peg zmarszczyła czoło. Umiała rozpoznać strach, zwłaszcza kiedy ktoś tak wyraźnie nim emanował.

- Chcesz, żebym poszła z tobą?

- Nie, nie, w porządku - odpowiedziała Ellen, siląc się na uśmiech.

- Co chciałybyś zjeść, kiedy wrócisz? Jajka, bekon, owsiankę?

- Nigdy nie próbowałam prawdziwej owsianki. Zazwyczaj jem owoce.

Mama mówi, że nie powinnam jeść I dużo, bo mogłabym przytyć...

Zamierzała dodać „przed ślubem”, ale ugryzła się język. Peg zafrasowała się jeszcze bardziej, jakby siostrzenica mówiła do niej w innym języku.

- Jezu słodki!!! Dziecko, musisz jeść! Spójrz no na siebie, sama skóra i kości. Twojej matce chyba brak piątej klepki. Przyszykuję ci owsiankę z miodem i bananem i poczujesz się jak zupełnie inna osoba.

Ellen przełknęła łzy. Niczego nie pragnęła bardziej niż stać się kimś innym.

Ciotka popatrzyła znacząco na jej nogi.

- Jesteś pewna, że chcesz sobie zniszczyć te butki?

- Nie zależy mi. - Dziewczyna odwróciła głowę. - Skóra jest wytrzymała, a zresztą naprawdę nie dbam o to. Niedługo wrócę.

Owce rozstały się przed nią i Ellen ruszyła dziarskim krokiem w dół zbocza. Peg odprowadzała ją wzrokiem, stojąc z rękami na biodrach, z głęboko zmarszczonym czołem ukrytym pod wełnianą czapką.

Im szybciej szła, tym lepiej się czuła. Powietrze było rześkie, więc policzki Ellen rozgrzały się i wy płynął na nie mocny rumieniec. Dotarła do drogi i przecięła ją, wybierając ścieżkę wiodącą przez wysokie trawy i prowadzącą wprost nad morze. Opuszczona kamienna chatka stała samotnie przy niszczejących pozostałościach płotu. Drobne krzewy i chwasty porosły jej dach i rozsiały się w szczelinach ścian z kamienia. Z czasem budynek się rozsypie, a fale zmyją pamięć po nim. Dziewczyna pomyślała filozoficznie, że nadejdzie czas, gdy nie będzie już po nim śladu, bo to, co materialne, nie jest wieczne. To dlatego muszę żyć według własnych pragnień, zanim i ja zniknę z tego świata - skonstatowała.

Był odpływ, więc plaża ciągnęła się szerokim pasmem bladożółtego piasku. Czarne skały, rozrzucone tu i ówdzie, przypominały śpiące foki, a białe mewy podskakiwały w płytkich kałużach, szukając pożywienia. Wiatr hulał w opuszczonej latarni jak duchy bawiące się starymi kośćmi i Ellen odetchnęła głęboko, nabierając pełne płuca świeżego powietrza. Robiąc wydech, czuła, jak opuszcza ją napięcie, mięśnie się rozluźniają. Widok bezkresnego morza i nieba zdjął ciężar z jej barków i ogarnęło ją wspaniałe poczucie ulgi. Przeszła po piasku, nie przejmując się, że przemoczy drogie kozaki, i pomaszerowała ku falom. Gdy zbliżyła się do wody, szum morza się nasilił. Był to przyjemny dźwięk, zupełnie nieprzypominający ryku ruchu drogowego. Ellen łapczywie wdychała słone powietrze. Wiatr targał jej włosy poskręcane przez wilgoć, tak że kasztanowe loki odbijały się od jej pleców i siekły po twarzy. Bez chwili wahania czy żalu wyjęła iPhone'a z kieszeni džinsów i cisnęła go jak najdalej w morze. Z cichym pluskiem zniknął w toni.

Ogarnęło ją niezwykle poczucie wolności. Koniec z dręczącymi wiadomościami. Koniec kontaktu z Londynem. Było tak, jakby do wody wrzuciła

właśnie matkę z Williamem, siostry i przyjaciół - całe swoje życie. Zatonęli wraz z telefonem, a ona stała samiuteńka na pustej plaży, wreszcie wyzwolona od odpowiedzialności, obowiązków i koszmarnych konwenansów, które ją obezwładniały. Przeszła przez most i doszczętnie go za sobą spaliła. Teraz może zostać kimkolwiek zechce. Uśmiechnęła się z zadowoleniem i pozwoliła, by wiatr porwał jej przeszłość i poniósł ją w dal. Wpatrując się w bezmiar morza, zrozumiała, że świat jest pełen niekończących się możliwości.

W drogę powrotną przez plażę ruszyła sprężystym krokiem; przeszła przez drogę i wspięła się na wzgórze, gdzie w milczeniu pasły się owce, a osiołek stał samotnie, wpatrując się w morskie fale. Kiedy w polu widzenia pojawił się dom, zauważyła, że na żwirowym podwórku obok brudnego volvo ciotki zaparkowano kilka innych samochodów. Były równie stare i ubłocone jak auto gospodyni. Ellen zastanawiała się, kto przybył z wizytą tak wczesnym rankiem.

Kiedy otworzyła drzwi, uderzyło ją ciepło wypełnione zapachem bekonu. Pan Borsuk wypadł do holu z entuzjastycznym powitaniem. Ellen pogłaskała go, po czym zdjęła buty i kurtkę. Na skórze kozaków, tam gdzie buty zamoczyła woda, widniały ciemne plamy, ale Ellen było wszystko jedno. Kozaki stanowiły część życia, które teraz zdecydowanie gotowa była pożegnać. Z kuchni dobiegały głosy - w większości niskie, męskie. Ellen nieśmiało weszła do środka.

- Jesteś, skarbie. Chodź, poznaj swoją rodzinę. - Peg promieniała radością. Wokół stołu siedziało pięciu mężczyzn, każdy z kubkiem parującej herbaty w dłoniach. Czterej byli w wieku Peg, a jeden, młodszy, miał pewnie tyle lat co Ellen. Dziewczyna patrzyła na nich oszołomiona. - To twoi wujkowie: Johnny, Desmond, Ryan i Craic, a ten to Joe, syn Johnny'ego. - Żaden nie podniósł się, żeby ją przywitać, ale wszyscy grzecznie uchylili czapek. Malująca się w ich oczach ciekawość była równie źle zakamuflowana jak głód w ślepiach wilków. - Chyba kiedy usłyszeli o twoim przyjeździe, każdy z osobna postanowił, że pozna cię pierwszy - wyjaśniła ciotka.

To jest moja rodzina - pomyślała Ellen z niedowierzaniem, przyglądając się szorstkim, zarośniętym mężczyznom, jakby należeli do jakiegoś innego, egzotycznego gatunku. Na pierwszy rzut oka w niczym nie przypominali jej matki. Czy w ich żyłach naprawdę płynęła ta sama krew? Wysiliła się, żeby zebrać się w sobie, i uprzejmie wyciągnęła rękę. Szkoła z internatem nauczyła ją, by nie afiszować się z uczuciami. Zawsze potrafiła zasłonić się dobrymi manierami, kiedy trafiała się nowa, niejasna sytuacja, która mogła zaburzyć jej równowagę.

- A więc jesteście braćmi mamy? - odezwała się.

Po kolei ściskali jej dłoń, powtarzając swoje imiona i wpatrując się w nią z uwagą, jakby próbowali dopatrzeć się w jej twarzy własnych rysów.

- Jestem Desmond, najstarszy z Byrne'ów - przedstawił się pierwszy tonem ważnej osoby. - Moja żona Alanna też chciała tu być, ale musiała jechać do pracy, więc poznasz ją innym razem.

- Już się cieszę na to spotkanie - odparła Ellen, nieco przestraszona spojrzeniem groźnych oczu Desmonda. Był najpostawniejszym z braci, z piersią jak beczka, solidnymi, umięśnionymi ramionami i krótką, grubą szyją. Włosy miał czarne i szorstkie, przeplatane siwizną, a wełnista czarna broda pokrywała szeroką, poważną twarz. Wyglądał na faceta, który powała przeciwnika pstryknięciem palców.

- Ja jestem Johnny, a to mój syn Joe - wtrącił się niższy mężczyzna siedzący obok. Podobnie jak Desmond miał głęboko osadzone niebieskie oczy, ale ich wyraz był o wiele serdeczniejszy i zdradzał większą wrażliwość niż u brata. Również nosił brodę, ale zakrywała ona mniejszą część twarzy niż u Desmonda. W odróżnieniu od starszego brata, którego natura obdarzyła bujną szopą włosów, Johnny już lekko łysiał.

- Cześć - przywitał się syn Johnny'ego, Joe. Uścisk jego ciepłej dłoni był mocny i Ellen niemal jęknęła, kiedy jej kości chrupnęły przy powitaniu. - Oj, przepraszam, nie chciałem ci zrobić krzywdy. - Uśmiechnął się krzywo. Był bardzo przystojny, kiedy się uśmiechał, i wyobraziła sobie, że jego ojciec za młodu musiał cieszyć się dużym powodzeniem, bo byli do siebie bardzo podobni, z wyjątkiem oczu, które u Joego miały kolor głębokiej mchu.

- Chłopak nie zna własnej siły - powiedział Ryan, kręcąc kasztanową głową z udawanym politowaniem. - Przepraszam za bratanka, wszystko poszło w mięśnie! - Roześmiał się, ukazując pożółkłe, krzywe zęby. - Tak się to robi, chłopcze - zwrócił się do Joego, delikatnie potrząsając dłonią dziewczyny. - Miło cię poznać, Ellen. Jestem Ryan.

- Witaj, Rynie.

Wybuchnęła śmiechem, ściskając dłoń wuja, ciepłą i miękką jak ciasto.

- A ja jestem Craic - przedstawił się ostatni z braci, a w jego bladoszarych oczach kryła się jakaś nieśmiałość. Miał jaśniejszą karnację niż pozostali. Ze wszystkich wujów to on najbardziej przypominał jej matkę i Ellen posłała mu szczery, serdeczny uśmiech, czując przyptyw pewności siebie na widok znajomych rysów w obcych, wpatrzonych w nią twarzach. Jednak pomimo dostrzeżonego podobieństwa i tak dzieliły ich całe światy. Irlandzki akcent pobrzmiwał mocno w głosach mężczyzn, ich dłonie były potężne i szorstkie. Ellen przypomniła sobie nieskazitelną, delikatną skórę rąk ojca i jego czyste paznokcie. Miał dłonie człowieka, który pracował w wyłożonym pluszem gabinecie w Mayfair i wybierał się długie lunche z przyjaciółmi w ekskluzywnych restauracjach. Wujkowie mieli

dłonie jak robotnicy, którzy ciągle remontowali coś w Eaton Court, starając się zaspokoić niekończące się żądania pani Trawton - lub przynajmniej jej potrzebę zabicia nudy, bez względu na koszty.

- Chodź, siadaj, skarbie. Mam tu dla ciebie owsiankę i herbatę.

Kafka przycupnął na oparciu krzesła Ryana, siedzącego u szczytu stołu. Wuj nie zwracał uwagi na obecność ptaszyska - może był już przyzwyczajony do dziwacznych mieszkańców domu siostry i podchodził do nich tak, jak przeciętny gość traktowałby krzesło czy czajnik. Ellen zajęła wolne miejsce na końcu stołu. Peg postawiła przed nią miskę owsianki. Dodała złocistego miodu. Śniadanie parowało i pachniało kusząco.

- A wy nie jecie? - spytała Ellen, przerywając niezręczną ciszę. Wszyscy wpatrywali się w nią, jakby była egzotycznym zwierzem, którego gospodyni uratowała i przywiozła z dalekiego kraju. - Ciocia Peg przyszykowała dla was ucztę!

- Jajka na bekonie dla chłopaków - powiedziała Peg, nalewając siostrzenicy herbaty. - Wcinaj, skarbie. My tu nie robimy ceregieli.

- Codziennie jecie tu śniadanie? - Ellen skierowała pytanie do Joego, bo był w jej wieku i najmniej ją przerażał.

Uśmiechnął się, a w oczach błysnęły mu wesołe iskierki.

- Oj, nie, nie. Kubek herbaty to wszystko, co zwykle znajduje się w menu. Prawda, Peggine?

Żartobliwie przyłożyła mu w głowę. Miał gęstą, lśniąca czarną czuprynę i smukłą twarz o zadziornym wyrazie. Ellen widziała, z jakim uczuciem patrzy na ciotkę.

- Peg nie zagląda do knajpy, więc my musimy wpadać do niej - dorzucił z uśmiechem Johnny.

- Dlaczego nie chodzisz do pubu, ciociu? - spytała Ellen.

- Za duży tłok - odparła, wzruszając ramionami.

- Kuchnia Peg to znakomite miejsce na pogawędkę po męczącym dniu - wtrącił Johnny serdecznym tonem. - Parzy najlepszą herbatę!

- Prowadzę pub - powiedział Craic. - Ale nie biorę do siebie tych komentarzy - dodał, puszczając do siostry perskie oko.

- Sagan Złota jest twój? - powtórzyła Ellen z uznaniem. Nigdy dotąd nie poznała właściciela lokalu.

- Tak, to kara za moje grzechy.

Desmond podniósł swój kubek i uśmiechnął się krzywo.

- Trening czyni mistrza - tak nas uczy życie, ale nie jest mistrzem, kto trenuje picie!

- Kto to powiedział? - zainteresowała się Ellen.

- Nie wiem, ale na pewno był Irlandczykiem!

Na to wszyscy wybuchnęli szczerym śmiechem. Niezręczność sytuacji wyparowała i wszyscy zaczęli mówić jeden przez drugiego, głosami grubymi jak ryk niedźwiedzia. Peg skakała przy nich, piekąc więcej grzanek i parząc kolejne porcje herbaty, a Ellen przypomniała sobie, jak samotnie ciotka wyglądała na pastwisku, tak odmienna od promieniejącej gospodyni, którą była teraz, krzątającej się po kuchni, z twarzą jaśniejącą radością.

Ellen nie wiedziała, jak to jest mieć dużą rodzinę. Jej ojciec Anthony pochodził z arystokratycznego rodu z Norfolk, który od ponad czterech wieków posiadał przepiękną i rozległą posiadłość Hardingham Hall. Po śmierci ojca Anthony'ego jego starszy brat Robert odziedziczył rodzinną siedzibę i tytuł markiza Zelden. Synowi Roberta, George'owi, przypadł tytuł hrabiowski, a Anthony'emu zostało się jedynie lordostwo. Jego siostra Anne wyszła za Szkota i wyjechała do Edynburga, a Anthony osiadł oczywiście w Londynie. Pozostając w raczej chłodnych stosunkach, krewniacy nie spędzali wiele czasu razem, z wyjątkiem bożonarodzeniowego zjazdu rodzinnego w Hardingham Hall, gdzie zgodnie odgrywali parodię wzajemnego przywiązania, paradowali razem do miejscowego kościoła i obiecywali, że włożą więcej wysiłku w częstsze spotkania w nadchodzącym roku. Nigdy nic z tego nie wyszło. Teraz Ellen siedziała pośród nowo poznanych krewnych, próbując wsłuchiwać się w ich radosną gadaninę, zadziwiona światem, od którego matka zdecydowała się uciec, i żałując, że nie zawsze stanowiła jego część.

- Chciałabym napić się z wami dziś wieczorem w Saganie Złota - zaproponowała, z żalem przetykając ostatnią łyżkę owsianki. - Nigdy nie byłam w prawdziwym irlandzkim pubie

- Oj, to wiele straciłaś - skomentował Johnny

- Przyjadę po ciebie - zaferował Joe.

- Poznasz wszystkich - dorzucił Johnny.

- Tylko czy jesteś na to gotowa? - Ryan pokręcił kudłatą rudawą głową.

- Już teraz nieźle mi idzie, prawda? A jest was tu niezła gromada. - Zaśmiała się.

- Będziesz się świetnie bawić, skarbie - dodała jej otuchy Peg i pogłaskała po ramieniu, jednocześnie zabierając pustą miskę po owsiance. - Widzisz, tego ci trzeba było, żebyś nabrała rumieńców.

- No, to co tam u Maddie? - odważył się wreszcie spytać Desmond, rozpierając się na krześle. Zapadła cisza i natychmiast powróciła niezręczna atmosfera, gęsta jak gradowa chmura. Bracia wymienili spojrzenia, ale Desmondowi nawet nie drgnęła powieka. Nie wyglądał na człowieka, któremu

zależy na byciu taktownym.

- Mama ma się świetnie - odparła Ellen z pozorną bez troską.

- Co ona na to, że przyjechałaś tu do nas? - spytał Johnny, drapiąc nerwowo brodę.

- Nie wie, że ona tu jest - odpowiedziała za nią Peg.

Mężczyźni wybałuszyli oczy.

- Nie wie, że się u nas zatrzymałaś? - nie dowierzał Ryan. To gdzie, u licha, jesteś według niej?

- Na jakiejś angielskiej wsi, pracując nad powieścią.

- Jesteś pisarką? - spytał Joe. - Ale ekstra.

- Dopiero zaczynam - sprostowała Ellen, pociągając nosem, jakby kwestia wydawania książek wcale nie była taka istotna

- Co piszesz? - dopytywał się Joe.

- Powieści o tajemnicy, związkach między ludźmi, życiu - odparła poważnie.

- Oswald opowiadał mi o zamku. Wydaje się idealną scenerią książki.

- Możesz pójść dziś ze mną i Joem, jeśli masz ochotę. Pracujemy tam. Ja jestem zarządcą, a Joe tylko pali i się przygląda - powiedział Johnny, chichocząc. - Leniwy gamoń!

- Mhm, ciesz się, póki możesz - odparował Joe, przewracając oczami. - Jak dla mnie możesz sobie myśleć, że pracujesz tam sam. - Potem zwrócił się do Ellen.

- Pełno tam duchów do opisania.

- Nie słuchaj go, skarbie. Jedyne zjawy, które się tu błakają, to ci dwaj, jak dostaną głupawki po pijackim wieczorze w Saganie Złota - przerwała mu Peg.

- Chyba nie mają tam zbyt wiele do roboty - powiedział Ryan. - Zamek zamknięty na cztery spusty, a pan Macausland przeważnie jest w Dublinie. Gdyby duchy zaczęły urządzać sobie pikniki w zamkowym ogrodzie, nikt by się o tym nawet nie dowiedział.

- Skoro twoja mama nie wie, że tu jesteś, to jak nas znalazłaś? - Desmond wrócił do tematu Madeline, przesywając Ellen spojrzeniem.

- Dzięki listom i kartkom świątecznym od ciotki Peg, które matka trzyma w szufladzie. Myślałam, że ciotka to jej jedyne rodzeństwo. Nie wiedziałam, że ma czterech braci.

- Właśnie widzę - wymamrotał Desmond. - A co zamierzasz jej powiedzieć? Ellen wzruszyła ramionami.

- Nic jej nie powiem. Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Nie musi wiedzieć, że was odnalazłam.

Spuściła wzrok, bo wyczuła, że ciotka Peg nie daje się zwieść przybranej przez nią pozie. Starsza kobieta przyglądała jej się z namysłem z miejsca przy

piecu. Historia, którą Ellen przedstawiła ciotce, miała pełno dziur, które aż prosiły się o wypełnienie, ale dziewczyna nie była jeszcze na to gotowa. Poczucie winy rozpaliło jej policzki, bo wiedziała, że Peg podejrzewa już, że Ellen uciekła z domu.

- Bardzo chętnie rozejrzałabym się po zamku - powiedziała, chcąc się wyplątać z niewygodnego tematu. Nie miała ochoty rozmawiać o matce. Nie podobało jej się to przesłuchanie, szczególnie że miała sporo do ukrycia.

- Cóż, nie ma to jak od razu brać się do rzeczy - orzekł Johnny, odsuwając krzesło od stołu. - Dzięki za śniadanie, siostrzyczko.

- Tylko nie myślcie, że jutro znowu was nakarmię, dobra?

- Za późno, Peggine - śmiał się Joe. - Nie ma to jak zacząć dzień twoim śniadaniem.

- Sfora wygłodniałych wilków - fuknęła Peg. - Zmykać mi stąd, ale już. Mam dużo roboty.

- A jak tam wiewiórka? - spytał Craic.

- Hibernuje sobie. A na imię ma Reilly.

- Och Peg, nie ma drugiej takiej jak ty - pochwalił Desmond, gładząc jej ramię.

- Nie podlizuj się, Desmondzie Byrne, nic ci po tym. A teraz sio!

Wyprowadziła ich za próg jak stado owiec.

- Na pewno nie zajrzysz do pubu? - spytał Desmond; jego głos przybrał nagle zaskakująco czuły, pełen sympatii ton.

- Nie - odparła równie ciepło, jakby między nimi wisało coś niewypowiedzianego, czego oboje byli doskonale świadomi, ale czego żadne z nich za nic by nie wypowiedziało.

- Dobra, no to wypijemy sobie z naszą siostrzenicą - podsumował.

- Tylko żeby mi wróciła do domu w jednym kawałku.

- Włos jej z głowy nie spadnie.

Peg zauważyła, że Ellen wkłada futrzaną kurteczkę. Było to najmniej odpowiednie okrycie na przechadzkę po wiejskiej okolicy.

- Weź moje buty, skarbie. Kiedy pojedziesz z chłopcami, na zamku ubłocisz sobie kozaki. Zbiera się na deszcz, więc pożycz też sobie moją kurtkę. Twoje futerko może i wygląda uroczo, ale zniszczysz je tam sobie.

Ellen zdecydowała, że jednak nie rozstanie się z własną kurtką, ale zgodziła się na buty ciotki. Dawno wyszły z mody, ale były wygodne i pasowały na nią jak ulał.

- Nosimy ten sam rozmiar! - zawołała do Peg.

- Może jesteśmy spokrewnione? - odparła ciocia, chichocząc. - Do zobaczenia później. Tylko nie bierz sobie do serca wszystkiego, co nagada ci Joe.

Opowiada same bzdury.

- Uwielbiam opowieści o duchach - przyznała Ellen, wychodząc za mężczyznami.

- Mnie też kiedyś sprawiały przyjemność - szepnęła do siebie Peg. A kiedy Ellen odwróciła się jeszcze, zobaczyła na twarzy ciotki bezbrzeżny smutek, jakby kiedyś ogień wypalił jej serce, zupełnie jak wnętrze latarni.

Jestem w czyścicu, przywiązana do ziemskiego świata, ale niestanowiąca już jego części. Fakt, iż mogę znaleźć się, gdziekolwiek sobie zażyczę, nie stanowi wielkiego pocieszenia. Nie mam ciała. Jestem jak smuga dymu, która nigdy nie zanika, niesiona z miejsca na miejsce siłą woli. Teraz jestem w Dublinie, minutę później w Connemarze. Jak wspaniale byłoby się tak przenosić, nie tracąc cielesności! Przez lata stałam się samotna. Mogę jedynie obserwować życie ukochanych osób, jakbym żyła we śnie. Nie odczuwam potrzeby spania i nigdy nie cierpię głodu. Nie doskwiera mi chłód ani wilgoć deszczu na skórze, a jednak tętni we mnie głęboka i trwała przyjemność z przebywania na pięknej irlandzkiej wsi. Zawsze tak było, ale teraz to uczucie jest jeszcze silniejsze - poza nim prawie nic mi nie zostało.

Frustracja, jaka paliła mnie z początku, przygasła i teraz z rezygnacją przyjmuję swoje nieistnienie. Jestem samotną, ale nie sama. Duchy mijają mnie w zamkowych korytarzach, ale nic sobie nie robią z mojej obecności. Mogłabym je gonić, ale oszaleję, gdy zacznę przeszukiwać komnaty, pragnąc ich towarzystwa. Są niczym mgła, która rozplywa się w powietrzu jak para oddechu w mroźny poranek. Wiem, że były tu już za mojego życia, unosząc się w równoległym wymiarze, równie niezainteresowane moją osobą jak teraz. Nie wiem, gdzie bywają dlatego nie chcą się ze mną komunikować. Byłoby miło znaleźć przyjazną duszę.

Nigdy nie lubiłam Dublina. Jestem dziewczyną z Galway, urodzoną i wychowaną na tej ziemi. Nie znosiłam miejskiego zgiełku i wszechobecnego betonu za życia i nie cierpię go po śmierci. Jednak bez zajknięcia znoszę niedogodności, żeby być blisko moich dzieci. Cieszy mnie ich dobre zdrowie i szczęście, bo muszę przyznać, że są szczęśliwe. Pochowały swój żal jak psy, które zagrzebują kości głęboko w ziemi i ich nie wyciągają, ale też nigdy o nich nie zapominają. Pewnego dnia odkopią mnie na powrót i zapłaczą nad swoją stratą, bo tak działają żal i smutek. Niełatwo wymazać tak głęboki ból. Człowiek może go ukryć i mieć nadzieję, że z czasem zapomni. Jednak nieuniknione jest, iż w którymś momencie będzie zmuszony stanąć z nim twarzą w twarz i pokonać cierpienie, bo tak jak ziemia w końcu wyrzuca z siebie zagrzebane kości, tak ludzkie serce wyrzuca z siebie ból. Może nie zdołam wziąć ich w ramiona, kiedy będą potrzebowały matczynego wsparcia, ale jestem przy nich jak cień, którego nie widzą, i znajdę się obok nich, kiedy nadejdą trudne chwile.

A Conor? Nie pochował rozpaczy jak Ida i Finbar. Nosi ten rozżarzony

węgiel w głębi serca. Gdybym wiedziała, jak wielka jest jego miłość do mnie, nigdy bym tak nie postąpiła. Och Conorze, najdroższy mój, dlaczego nie potrafiłeś kochać mnie równie mocno, kiedy żyłam.

Większość czasu spędza teraz w Dublinie, a jednak filmy, w które włożył tyle pracy i do których produkcji podchodził z takim entuzjazmem, przywiodły jak długo niepodlewane hortensje. Wlewa w siebie zbyt dużo alkoholu i za wiele baluje, w nadziei, że hałas, ludzie i muzyka odciągną jego uwagę od bólu w sercu i nękających go wyrzutów sumienia. Kiedy przywozi dzieci do Ballymaldoon, trzyma się z dala od zamku. Wyjeżdża konno na wzgórze, wiatr zawiewa mu włosy na twarz, okalając je czarną grzywą, koń przeskakuje murki i rowy. Spaceruje po plażach - ciemna, samotna postać na tle białego piasku i wzburzonych fal. Nie wie, że jestem z nim, bo moje stopy nie zostawiają śladów, a kiedy wyciągam rękę, żeby ująć jego dłoń, mój dotyk jest chłodny i ulotny jak szalejący wokół wiatr.

Nie zapuszcza się do miasteczka. Sagan Żłota huczy od plotek, a Conor nie może znieść oskarżycielskich spojrzeń i szeptów. Już samym faktem, że kupił zamek, wzbudzał podejrzenia miejscowych. Był mieszczuchem z Dublina, synem Angielki i Irlandczyka, i choć sam uważał się za Irlandczyka, to miejscowi zawsze widzieli w nim przede wszystkim Anglika. Niestuszenie - to nie pasuje do Conora i nigdy nie pasowało. Kocha Irlandię całym sercem, nie zostawiając w nim miejsca dla Anglii. Jednak tutejszym ludziom się nie podobało, że trzyma się na uboczu i nie organizuje wystawnych przyjęć dla mieszkańców miasteczka, a co gorsza - nie uczęszcza na msze. Conor nie jest religijny, choć jest myślicielem, i wiem, że czuje się bliżej Boga, gdy znajduje się blisko natury, a nie w czterech ścianach kościoła. Zastanawiam się, czy sądzi, że Bóg go zdradził - a może w ogóle zwątpił w Jego istnienie? Chciałabym powiedzieć, że teraz, kiedy znalazłam się po drugiej stronie, poznałam odpowiedź, ale zdecydowałam się pozostać na ziemi, więc o Bogu wiem tyle co Conor. Mam tylko pewność, że nie umieramy, bo sama jestem tego najlepszym dowodem, Jednak dalszej drogi nie znam - dopiero przyjdzie czas, kiedy się przekonam, dokąd wiedzie. W tej chwili interesują mnie tylko ci, których kocham; nie mam odwagi unieść wzroku ku niebu, bo co będzie, jeśli mnie skusi?

Kiedy Conor brał mnie za żonę, byłam irlandzką dziewczyną z głową pełną marzeń i ambicji, by zostać aktorką. Poznaliśmy się na planie kręconego w Galway filmu, którego mój przyszły mąż był producentem. Miałam bardzo małą rolę i wszyscy twierdzili, że specjalnie podrywałam Conora, żeby zrobić karierę w filmie. A jednak prawda jest taka, że zakochaliśmy się w sobie. Pasowałam do jego romantycznej, twórczej osobowości, on do mojej. Mówił, że jestem dziewczyną, która inspirowała poetów do pisania wierszy i pieśni, malarzy do tworzenia dzieł. Niestety, pomimo moich pragnień okazało się, że nie jestem typem aktorki, która

mogłaby zagrać główną w znaczącej produkcji. Całą energię poświęciłam w więc zamkowi Ballymaldoon i wychowywaniu dwojga dzieci. Zadowalałam się wierszami, które pisał o mnie Conor, oraz portretem, który zamówił i powiesił nad kominkiem w głównym holu. Mąż był wszystkim, czego pragnęłam, i wiedziałam, że dopóki jestem z nim, moje serce nigdy nie będzie pożądać niczego więcej. Nie rozpaczałam nad niespełnionym snem o aktorstwie i nie tęskniłam do sławy i pochwał, bo jeśli byłam wszystkim w oczach męża, nie potrzebowałam szukać uznania w niczyich innych. Ale miłość to niezbadane uczucie. Choć czasami człowiek obdarowany jest wielką miłością, sięga po więcej.

Kiedy przytłacza mnie już ciężar Dublina, latam nad koronami drzew porastających wzgórze Connemary, a moje serce wypełnia radość. Ślizgam się po wodach jeziora w których odbijają się obłoki jak sceny mojego życia, na które patrzę z dystansem, jakby należały do kogoś innego. Staję na szczycie klifu, wpatrując się w ruiny latarni, w której moje życie dobiegło końca. Przyglądam się z daleka, bo nie potrafię się tam zbliżyć. Przebywam w miejscach, które kocham: w zamku, w kościółku marynarza, na plażach, klifach, wzgórzach. Latarni nie mogę jednak odwiedzić, gdyż związane z nią wspomnienia są zbyt bolesne. Żal tkwi w moim sercu jak drzazga, od chwili mojej śmierci nieustannie zadając cierpienie.

Aż tu pewnego mroźnego lutowego poranka, gdy nawiedzałam zamkowe ziemie, nagle spostrzegłam obcą postać: kruczowłosą nieznaną dziewczynę idącą w towarzystwie Johnny'ego i Joego Byrne'ów. Kiedy Conor przebywa w Dublinie, to oni dbają o posiadłość. Jednak poza panią Haggett, która zagląda raz na tydzień, żeby odkurzyć i pozamiatać muszlę, która kiedyś była moim domem, nie stanęła tu dotąd stopa żadnej kobiety. Aż do teraz.

Zamarłam. Już dawno nikt nie wzbudził mojego zainteresowania. Podlatuję bliżej i widzę, że kobieta jest naprawdę niezwykle piękna. Ma głęboko osadzone oczy, rudobrązowe ze złotymi plamkami. Jej skóra jest młoda i jędrna, a pełne usta pokrywa błyszczący. Na pewno nie jest stąd, bo rozgląda się z zaciekawieniem osoby, która znalazła się w zupełnie nowym otoczeniu. Ma na sobie najbardziej nedorzecznym płaszcz, jaki w życiu widziałam, ale niewykluczone, że tam, skąd pochodzi, sztuczne futro nie jest szczytem bezguścia. Może to dziewczyna Joego, chociaż chyba nie, bo nie dotykają się jak kochankowie i w ogóle między nimi nie iskrzy. Wyglądają jak brat i siostra, ale wiem, że Joe ma samych braci.

Spaceruję po ziemiach należących do zamku. Widzę, że wspaniałość mojego domu robi na dziewczynie niemałe wrażenie. Trudno się temu dziwić. Niebo jest dziś równie błękitne jak morze, z puszystymi białymi obłokami jak z morskiej piany, ślizgającymi się po sklepieniu niczym statki po falach. Słońce świeci jasno, a od czasu do czasu, kiedy przepływa przed nim chmura, dolinę ogarnia

cień, a w powietrzu czuć wilgoć i chłód. Potem obłok wędruje w dal i światło spływa promienną falą zboczami wzgórz, połykając cień i oblewając zamek rażącym wybuchem blasku. To tak, jakby Bóg otworzył skrzynię pełną złota, które rozświetla całe niebo. Piękno chwili rozprasza mnie na parę sekund, ale wtem dźwięk mojego imienia przywołuje mnie z powrotem do grupki wędrującej wokół jeziora.

- Jaka była Caitlin Macausland? - pyta dziewczyna. Mówi z angielskim, arystokratycznym akcentem, zupełnie jak matka Conora.

- Trochę zwariowana - odpowiada Joe. - Miała głowę w chmurach.

- Była wariatką?

- Nie, właściwie nie. Powiedziałbym raczej, że była ekscentryczna.

- Zapierało dech na jej widok! - włącza się do rozmowy Johnny, a w jego głosie brzmi podziw. - Miała w sobie coś dzikiego. Kiedyś była aktorką. Urodziła się do występowania w filmach, ale zrezygnowała z tego, gdy poślubiła Macauslanda. Wielka szkoda, bo pewnie byłaby w tym świetna.

Joe z sympatią śmieje się z ojca. Johnny jest niski i przysadzisty w porównaniu z wysokim synem.

- Tata się w niej podkochiwał - zdradza chłopak z uśmiechem. - Prawda, tato? No, dalej, przyznaj się Ellen. Wszystko zostanie w rodzinie.

Ach, więc dziewczyna należy do klanu Byrne'ów. Może to kuzynka z Anglii, choć nie wiem, jak by to było możliwe.

Johnny z nonszalancją wzrusza ramionami. Już się przyzwyczył do przytyków syna.

- Cóż, żał mi jej było, że tak się błąka sama po wielkim zamku, a mąż wiecznie w rozjazdach. Należała do kobiet, które potrzebują opieki.

- A z ciebie w tym sprawach ekspert jak się patrzy, tato! - naigrawa się Joe.

- Musisz się jeszcze wiele nauczyć o kobietach, chłopcze - prycha Johnny. - Szczególnie o pięknych kobietach, a ona była wyjątkowo urodziwa.

- Czy wtopiła się w lokalną społeczność? - pyta Ellen.

- Kiedy pan Macausland wyjeżdżał, śpiewała w Saganie Złota z nami wszystkimi - wspomina Joe. - Miała porządny, mocny głos. A czy ty czasem śpiewasz, Ellen?

Zanim jednak dziewczyna zdoła odpowiedzieć, wcina się Johnny, a w jego głosie pobrzmiwa nostalgia.

- Była fascynująca. Nie dało się oderwać od niej oczu - mówi.

- Fascynująca? W jakim sensie? - docieka Ellen.

- Cóż, miała bardzo zielone oczy, a kiedy zwróciła na ciebie wzrok, przeszywała cię tym spojrzeniem i czułaś się jak ryba na haczyku. I ta jej uroda!

Ogniście rude włosy, skóra jak mleko. Dostojna jak dama z obrazu.

- Namalowano ją zresztą - wtrąca Joe. - W zamkowym holu wisi jej ogromny portret. Pan Macausland kazał nam go zostawić tam, gdzie był. Wyraził się w tej kwestii bardzo konkretnie. Po jej śmierci wywieźliśmy wszystko, co miało jakąś wartość, z wyjątkiem tego obrazu. - Chowa ręce do kieszeni spodni, a jego oddech unosi się parą w wilgotnym powietrzu. - Potem pan Macausland przeprowadził się nad rzekę, a zamek zabito deskami. To trochę tak, jakby to ją chciał zamknąć w tych komnatach.

- Chcecie powiedzieć, że nie potrafił żyć w tych murach bez niej?

- Nie po tym, co zaszło w latarni.

Twarz Johnny'ego przybiera kamienny wyraz. Miejsce nostalgii zajmuje gniew.

- Boże, co za ogromna strata! - mówi zapalczywie.

- Czy naprawdę została zamordowana? - pyta Ellen, a powietrze wokół niej nieruchomieje.

- Nie, nie została zamordowana, a pan Macausland nie jest mordercą. Kto ci naopowiadał tych bujdy? - warczy na nią Johnny.

Dziewczyna wzdryga się na ostry ton jego głosu.

- Ciocia Peg powiedziała, że ludzie tak uważają.

- Plotą trzy po trzy, idioci! To nie znaczy, że mówią prawdę. Joe zaczyna opowiadać. Słyszałam tę historię wiele razy, za wiele, ale ciekawa jestem tej dziewczyny i jej reakcji. Widać, że nie może się doczekać.

- W noc, kiedy zginęła, była w latarni z panem Macauslandem. Najwyraźniej się pokłócili i Caitlin pobiegła na samą górę. Nagle nie wiadomo jak wybuchł pożar i musiała skoczyć, by się ratować. Jej ciało znaleziono u stóp latarni, roztrzaskane o skały. To było około północy. A pół godziny wcześniej Dylan Murphy szedł plażą z psem i przysięga, że widział, jak jakiś mężczyzna odpływa stamtąd łódką.

- Kto to był? - pyta zaintrygowana Ellen.

- Do dziś nie wiadomo. - Johnny wzrusza ramionami.

- A przynajmniej nikt nie chce powiedzieć - dodaje ponuro Joe. - Pan Macausland utrzymuje, że tylko on i Caitlin byli tamtej nocy w latarni

- Macie jakieś podejrzenia co do tego tajemniczego wioślarza?

Johnny drapie się po miękkiej, przetykanej siwizną brodzie.

- Jeśli chcesz znać moje zdanie, to tylko wytwór chorej wyobraźni Murphy'ego. Cały wieczór siedział w pubie i pewnie był nieźle zalany.

- A dlaczego latarnia stanęła w płomieniach? Myślałam, że była nieużywana.

- Policja znalazła mnóstwo świec porozstawianych na całej wysokości schodów - wyjaśnia Joe.

- Caitlin Macausland była kobietą, która lubiła dramaturgię - dodaje Johnny. - Często sama wiosłowała do latarni, ale tylko wtedy, kiedy mąż wyjeżdżał. Zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa i zabraniał jej wypływać, nawet w dzień. Oczywiście się stawiała. Taką miała naturę. Była dzika, bez dwóch zdań. Nie raz, nie dwa widziałem światło świec mrugające w oknach latarni, kiedy późnym wieczorem wychodziłem od Peg. Nie wiadomo, co tam robiła, ale wszyscy dobrze wiedzieli, że to ona, i właściwie nikt nie wnikał w to, co się tam dzieje, aż do pożaru.

- Ciekawe, co tam robiła całą noc? - zastanawia się Ellen. - Musiało być straszliwie zimno. Nikt jej nigdy nie spytał, po co tam chodzi?

Joe śmieje się w głos wraz z ojcem, jakby usłyszeli dobry żart.

- Caitlin Macausland nie była kobietą, którą można tak po prostu wypytywać - tłumaczy Joe. - A jeśli już spytałaś, odpowiadała zagadkami. Nie było szans wyciągnąć z niej jakiegokolwiek informacji, którą sama nie chciała się podzielić.

- Myślę, że bała się męża - wyznaje Johnny z powagą, kiwając głową, jakby lęk przed Conorem miał być kluczem do całej zagadki. - Kiedy tylko się zjawiała, znikala. Nie odwiedzała pubu i nie pokazywała się w miasteczku.

- Ci, którzy widywali ją przed szkołą, mówili, że kiedy był w domu, robiła się nerwowa i wycofana. Zupełnie nie przypominała beztroskiej dziewczyny, którą widzieliśmy podczas jego nieobecności.

Joe jest zadowolony z tego, ile zna plotek.

- Ciekawe dlaczego - szepcze Ellen.

- Cóż, pan Macausland to wymagający człowiek -zdradza Johnny. - Wiem, że jej serce było zawsze tu, w Connemarze. Pochodziła ze wsi. Nie znosiła miasta. Sama mi to powiedziała. Przychodziła pomagać mi w ogrodzie i narzekała na wizyty w Dublinie, bo wolała przebywać tutaj. Czasem strasznie się kłócili. Macausland podobno chciał, żeby dzieci uczyły się w stolicy, a ona się upierała, by mieszkać tutaj. Wygrała bitwę. W zasadzie wygrywała większość utarczek. Pan Macausland jej ustępował, może po to, żeby nie komplikować sobie życia, i uciekał do Dublina, kiedy tylko mógł. To małżeństwo cuchnęło jak skisłe mleko.

- Tuż po jej śmierci Macausland wywiózł dzieci do Dublina - mówi Joe tonem, który sugeruje, że to informacja największej wagi. - Już nie przyjeżdżają tak często, a kiedy zjawiają się w okolicy, pan Macausland niezmiennie wygląda na przynębionego.

- To akurat szczerą prawdą. Jakby ktoś wyssał z niego całe życie -

przytakuje Johnny.

- A jednak nie potrafi całkiem opuścić tego miejsca - zauważa Joe. - Mógłby przecież sprzedać zamek, prawda? Ale tego nie robi. Dlaczego?

Obaj mężczyźni wzruszają ramionami i kręcą głowami. Docierają do drzwi frontowych zamku. Ellen się rozgląda, patrzy na wieże i wieżyczki, a na jej twarzy maluje się zachwyt - jak na mojej, kiedy po raz pierwszy ujrzałam to miejsce. Wspaniałość okolicy zapiera dech, nawet w zimny lutowy ranek, kiedy mury są wilgotne, a drzewa nagie i powykęcane jak dotknięty artretyzmem starzec.

Johnny wyjmuję z kieszeni klucz i wkłada go do zamka. Wchodzę z nimi do środka. Szkoda, że w holu nie pali się ogień i że podłogi ogołococono z dywanów, a pokoje z mebli, przez co nieznajoma nie doceni, jak piękny był kiedyś mój dom. Teraz, odarty ze wszystkiego, co go ożywiało, stoi pusty i samotny - zupełnie jak ja. W środku panuje chyba większy chłód niż na zewnątrz, a powietrze ma stęchły zapach, jak w katedrze. Chcę otworzyć okna, ale są zabite deskami. Ellen czuje panujący tu smutek, wyraźnie to widzę, bo wkłada ręce w kieszenie i prawie się nie odzywa. Podchodzi do mojego portretu - kolorowe plamy na bezbarwnych ścianach - i podnosi wzrok. Dziewczyna bezwiednie otwiera usta i wydaje z siebie mimowolny okrzyk.

Patrzę w dół wprost na nią oczami z obrazu. Przyglądamy się sobie nawzajem. Dziewczyna skupia uwagę na obrazie, a ja koncentruję swoją na niej. Widzi mnie. Tak, widzi mnie, jakbym stała przed nią żywa. Trzymam ją jak rybę na haczyku, nie dając uciec. Johnny i Joe podchodzą i stają przy niej w milczeniu. Patrzę na mnie, tak jak wiele razy przez ostatnie pięć lat, próbując rozszyfrować zagadkę mojej śmierci. Johnny z szacunkiem ściąga czapkę, a Joemu nagle kończą się dowcipy. Wszyscy podziwiają mnie bez słowa. Na policzkach Johnny'ego pojawia się rumieniec, bo darzy mnie miłością. Joe widzi w portrecie życie, którego wcześniej nie dostrzegał. A Ellen, cóż, poza moją urodą fascynuje ją moja tragedia. Przechodzi ich dreszcz i nagle czuję, że nie jestem sama. Kiedy chowam się w obrazie, mogę niemal udawać, że istnieję naprawdę.

Wreszcie cisza zostaje przzerwana.

- W tej zielonej sukni wygląda jak gwiazda filmowa z dawnych lat - szepcze Ellen.

- Była staromodną dziewczyną - przytakuje ze smutkiem Johnny. - Nie pasowała do dzisiejszego świata.

- Jej skóra jest taka przejrzysta, prawda? Bez skazy. Ile miała lat, kiedy zginęła?

- Trzydzieści cztery - odpowiada krótko Johnny. - Była taka młodziutka. Zostawiła dwoje małych dzieci, które dorastają jedynie ze wspomnieniami swojej

zjawiskowej matki.

- Nie wydaje wam się, że ona nam się przygląda? -pyta nerwowo Joe.

- Tak, rzeczywiście - przyznaje dziewczyna. - Wygląda jak żywa.

- Mam gęsią skórę - mówi Joe, odsuwając się o kilka kroków. - To miejsce jest nawiedzone. Poczekam na was na zewnątrz. - Wychodzi.

Odniosłam triumf. Joe wie, że nadal tu jestem. Czuje to w kościach. A Ellen, śliczna nieznajoma, której spojrzenie wciąż przykuwam, też wyczuwa moją obecność. Jestem tego pewna. Wpatruje się we mnie długo, przenikliwie, pytania cisną jej się na usta. Gdy tak przede mną stoi, czy tam jej myśli tak wyraźnie, jak gdyby wypowiadała je na głos: „Dlaczego umarłaś, Caitlin? Kim był człowiek w łódce? Po co się tam pojawił? Dlaczego w ogóle udałaś się na wyspę? Co tam robiłaś, Caitlin? Powiedz mi, co robiłaś całkiem sama w opuszczonej latarni”.

- Gdzie ona teraz jest, Johnny? - pyta cicho Ellen.

- Jak to?

- Gdzie ona jest? Myślisz, że gdzieś tutaj?

Johnny wierzy w życie i śmierć jako dwa odrębne stany, tak różne od siebie jak dzień i noc.

- Nie wierzę w duchy, jeśli o to ci chodzi. Caitlin jest teraz z Panem, Ellen - pada odpowiedź.

Ale ona nie odrywa spojrzenia od moich oczu i czuje moją obecność pod warstwami farb i płótnem. Nie byłabym tego taka pewna - myśli, a ja zdaję sobie sprawę, że Ellen jest moją szansą na porozumienie się ze światem.

Ellen wyszła do czekającego na zewnątrz Joego. Kulił się z zimna, kończąc papierosa. Na jej widok wydmuchnął dym kątem ust i potrząsnął głową.

- Ten portret przyprawia mnie o gęsią skórkę - wyznał szczerze. - Zapalisz? - Wyciągnął paczkę z kieszeni.

Zawahała się chwilę, ale ustąpiła.

- Tylko jednego.

- I jak wrażenia?

- Była niezwykle piękna - odparła Ellen. Wsunęła papierosa do ust i odpaliła od podanego przez Joego niedopałka.

- Moim zdaniem było w niej coś z czarownicy. Jak widzisz, przy tacie nie można powiedzieć o niej ani jednego złego słowa.

- Jak myślisz, co naprawdę zdarzyło się tamtej nocy na wyspie?

Joe ściszył głos i niepewnie zerknął w stronę drzwi.

- Nie sądzę, żeby zabił ją mąż, ale z całą pewnością to on w taki czy inny sposób doprowadził do jej śmierci.

- Jak to? - Oboje skakali sobie do oczu, przynajmniej z tego, co widziałem. Wrzeszczała na niego, a on na nią. Macausland to choleryk, ma niezły charakterek.

- Wydmuchnął obłok dymu. - Powiem tak: gdyby tamtej nocy nie zjawił się na wyspie, Caitlin byłaby dziś wśród żywych.

Zamilkli oboje, gdy z zamku wyłonił się Johnny. Zamknął drzwi na klucz.

- Poza obrazem nie ma w środku wielu atrakcji - powiedział, dotaczając do nich na żwirowym podjeździe.

- Chyba widziałam wystarczająco dużo - uspokoiła go Ellen.

- Nie dziwię się, że masz dość. Zamek pełen duchów. - Joe cisnął niedopałek na ziemię i zgniótł go podeszwą. - Jezu, ciarki mnie przechodzą, jak tylko spojrzę na ten portret.

- Nie wygłupiaj się! - Johnny zachichotał.

Joe zwrócił się do kuzynki.

- Wyglądała, jakby za chwilę miała wyjść z tego cholernego płótna. - Zaśmiała się nerwowo.

- Coś w tym jest, Joe. W życiu nie widziałam tak realistycznego malowidła. Patrzyła mi prosto w oczy.

- Chodźcie się napić - zasugerował Johnny. - Pokażmy Ellen Sagan Złota. Pogadamy sobie w cieple zamiast tu marznąć.

We trójkę zapakowali się na przednie siedzenia czerwonej ciężarówce Johnny'ego

- Szkoda, że zamek jest niezamieszkały - powiedziała Ellen, gdy przejeżdżali pod koronkową kopułą z bezlistnych gałęzi dębów.

- Zanim opróżniliśmy je do czysta, to miejsce było wyjątkowe - zgodził się Johnny.

- Wprowadzą się kiedyś z powrotem?

- Wątpię - ocenił Joe. - Dla Macauslanda kryje się tu zbyt wiele wspomnień.

- A więc w końcu sprzeda zamek?

- Nie, przekaże go synowi Finbarowi, kiedy ten dorośnie na tyle, by tu zamieszkać - powiedział Johnny.

- Biedne dzieci - szepnęła Ellen. - Straciły matkę, a jednocześnie dom.

Wpatrywała się w zimowy krajobraz, skąpany teraz w promieniach słońca. Poszarpane pola rozciągały się w obu kierunkach, oddzielone kamiennymi murkami, miejscami rozpadającymi się i zaniedbanymi. Stado lśniących czarnych wron klóciło się nad trupem jakiegoś nieszczęsnego stworzenia, a ich donośne krakanie przecinało powietrze jak odłamki lodu. Było w nich coś złowrogiego, jakby symbolizowały śmierć przenikającą zamkowe ziemie. Gdy samochód wyjechał wreszcie na główną drogę, Ellen poczuła ulgę, że opuszcza to miejsce.

- I co, jesteś zainspirowana? - dopytywał się Joe, podnosząc znacząco brwi.

- Mogłabyś napisać cholernie dobrą opowieść o duchach.

- Nie wiem, czy chcę wrócić do zaniku dla pracy nad książką - wyznała. - Jak możecie codziennie tam wytrzymać?

- Ja nie wchodzę do środka - odparł Joe. - Ale czasem, kiedy jestem w ogrodzie, mam wrażenie, że ktoś mi się przygląda.

Johnny przewrócił oczami.

- Jezu drogi! Już nie mogę was słuchać!

- Daję głowę, że zamek jest nawiedzony - upierał się Joe. - Może to dlatego Macausland nigdy nie przestępuje jego progę. Boi się, że żona dopadnie go z zamiarem zemsty!

- Idiota z ciebie, synu - warknął Johnny pod wąsem. - Nie wchodzi tam, bo serce pękłoby mu z bólu. Koniec, kropka.

Tymi słowami uciszył wreszcie Joego. W milczeniu pokonywali wzniesienia prowadzące ku Ballymaldoon.

Sagan Złota mieścił się przy głównej ulicy, w budynku pomalowanym na krwistoczerwony kolor, z szyldem ze złotych liter nad wejściem. Johnny zostawił samochód na parkingu za lokalem i wspólnie obeszlili budynek.

- Witaj w moim drugim domu - powiedział Johnny. Wizja piwa i solidnego

posiłku wymalowała mu na twarzy szeroki uśmiech.

- Drugim domu, tato? - dokuczał mu Joe.

- Dość żartów, młody! - huknął na niego ojciec, ale kiedy popychał drzwi, w jego oczach błyskały iskierki radosnego oczekiwania.

Ellen weszła za nimi do środka, gdzie było ciepło i duszno. W dywanach i obiciach mebli utrzymywał się zapach papierosowego dymu jeszcze z czasów, kiedy palenie w lokalach nie było zabronione. W kominku wesoło buzował ogień, a ściany były pokryte grafikami, rysunkowymi żartami i innymi drobiazgami. Ellen natychmiast poznała brata Johnny'ego, Craica. Posłał im uśmiech zza baru. Coś w tym uśmiechu sprawiło, że ile dziewczynie przypomniała się matka. Poczła nagłe ukłucie winy, które szybko się rozptynęło, zanim zdążyła się nad nim zastanowić.

- Przyszliście trochę za wcześnie - pouczył Craic brata. - Chyba nie wykorzystujesz Ellen jako wymówki, żeby nie pracować?

- Jestem za stary i zbyt skonany, abym potrzebował wymówek - bronił się Johnny, opierając się o bar, jakby był wielkim liniowcem przybijającym do rodzimego portu.

- Czego się napijesz, Ellen?

- Chyba Guinnessa.

Johnny nie krył zadowolenia.

- No, widać, że jesteśmy rodziną - zachichotał. Craic wziął kufel i zaczął nalewać do niego piwa z kija. Ellen starała się powstrzymać grymas. Wolałaby zamówić colę, ale wciąż obawiała się nieco Johnny'ego i wydawało jej się, że robi lepsze wrażenie, jeśli poprosi o piwo. Craic postawił je przed nią na barze. Przynajmniej kremowa pianka z wierzchu wyglądała nie najgorzej. Ellen miała ochotę zgarnąć trochę palcem i skosztować, ale Johnny i Craic bacznie jej się przyglądali. Nie miała wyjścia - musiała przyłożyć szklankę do ust. Napój był gorzki i gorszy od wszystkiego, co kiedykolwiek piła, ale przełknęła go z udawaną lubością. Jej gra aktorska pomyślnie przeszła próbę. Craic nalał jeszcze bratu i bratankowi, a potem zaczął mówić o rzeczach, o których dziewczyna nie miała bladego pojęcia. Rozważała, czy dużo straci wizerunkowo, jeśli poprosi o szklankę wody. Piwo paliło ją w gardle.

Zabrali napoje i usiedli przy stole w rogu, żeby Ellen miała dobry widok na mieszkańców miasteczka wchodzących do środka. Każdy, kto się pojawiał, szedł prosto do Johnny'ego, jakby był gospodarzem jakiejś prywatnej imprezy, ale to od jego siostrzenicy nikt nie mógł oderwać zaciekawionego wzroku.

- Rozeszła się wieść, że do miasteczka zawitała córka Maddie - Joe szepnął Ellen na ucho. - Obawiam się, że wszyscy się zjadą zobaczyć, jak wyglądasz.

- Gdyby ktoś mnie ostrzegł, lepiej bym się przygotowała - odparła, boleśnie

świadoma niedociągnięć swojego stroju i fryzury. - Jestem jak małpa w zoo.

- Nieczęsto się zdarza, że ktoś nowy zawita w nasze strony, ale zdaje się, że jesteś czymś więcej niż zwykłą ciekawostką. Twoja matka była znana w mieście...

- Opowiedz, co się stało. Dlaczego od tak dawna nie odzywa się do własnych krewnych?

Joe wzruszył ramionami.

- Musisz spytać Peg. Nie najlepiej mi wychodzi opowiadanie rodzinnych historii. - Upił łyk Guinnessa, który zostawił biały ślad nad jego górną wargą. - Dopiero dziś rano dowiedziałem się o twoim istnieniu.

- Wcale mnie to nie dziwi. A Peg powiedziała, żebym spytała matkę. Ale ona nigdy, przenigdy ze mną o tym nie rozmawiała. Myślałam, że ma tylko siostrę. Nie miałam pojęcia, że jest też czterech braci. Nie byłam świadoma, że w ogóle mam kuzynów. To tak, jakbyście w ogóle nie istnieli.

Z przykrością pokręcił głową.

- To musiał być cios dla babci.

- Jaka ona była... nasza babka?

Joe błysnął zabójczym uśmiechem.

- Miała charakter, niech ją Pan Bóg ma w swojej opiece. Była taka drobna, a jednak sama wychowała szóstkę dzieci. Nie było jej lekko, bo gospodarstwo nie przynosiło zbyt dużych dochodów, ale dzięki silnej wierze jakoś przetrwała. Ksiądz Michael to jej kuzyn w pierwszej linii i przychodził na lunch w każdą niedzielę bez wyjątku. Od śmierci dziadka aż do końca życia chodziła w żałobnej czerni. Już kiedy przyszedłem na świat, nie miała w szafie ani jednej kolorowej rzeczy. Czarny strój sprawiał, że wyglądała surowo, ale w środku była ciepła i łagodna. Potrafiła opróżnić kufel w mgnieniu oka, gdy czasem siadła pić z nami wszystkimi, ale zdarzało się też, że suszyła komuś głowę za to, że zachował się jak półgłówek. Jednak kiedy znalazłeś się w opałach albo miałeś gorszy dzień, zawsze służyła pomocą. Była gotowa walczyć jak lwica, by bronić swoich bliskich. Rodzina była dla niej wszystkim. To dlatego fakt, że twoja mama wyjechała i już nigdy nie wróciła, złamał jej serce. A mimo to nigdy o tym nie wspominała. Nie należała do tych, co się skarżą.

- Co zrobiła mama? - Ellen przygryzła wargę, starając się odgadnąć, dlaczego matka porzuciła bliskich. - Zrobiła coś strasznego? - zagadnęła cicho. - Coś tak okropnego, że nikomu nie chce to przejść przez gardło, nawet jej samej?

Wtem ich uwagę przyciągnęły drzwi, które ktoś otworzył z rozmachem, wpuszczając do środka lodowaty podmuch wiatru. Ukazał się ciemny zarys ludzkiej sylwetki. Przybysz wkroczył do pubu w czarnej czapce naciągniętej nisko na oczy i w ciężkim czarnym płaszczu, po czym powiódł wzrokiem po wnętrzu lokalu,

skupiając wreszcie spojrzenie na Ellen, jakby zapisując swój cel. Dziewczyna się wzdrygnęła. W oczach nieznanego lśniła odrobina szaleństwa.

- Boże, a to kto? - syknęła do Joego.

- To, moja droga, jest Dylan Murphy - odparł kuzyn tonem sugerującym, że nazwisko to nie niesie ze sobą nic dobrego. - I zmierza tu, by poznać ciebie.

- Gryzie? - Rzuciła spłoszone spojrzenie Johnny'emu, który zaczął nerwowo drapać się po brodzie.

Joe wybuchnął śmiechem.

- Nie, skądże. Po prostu ma swoje dziwactwa. Witaj, Dylanie! Dylan zajął miejsce naprzeciw Ellen, nie czekając na zaproszenie. Zdjął płaszcz, witając się z Johnnym i Joem, jakby widzieli się zaledwie przed kilkoma minutami.

- Jesteś córką Maddie, tak? - zwrócił się do niej, przyglądając się jej przez stół oczami brązowymi jak błota Connemary.

- Tak, jestem Ellen, miło mi.

Jeszcze mocniej wbił w nią wzrok.

- Wiesz, że twoje imię pochodzi z powieści, prawda? - zaskoczył ją.

Ellen pokryła zmieszanie śmiechem.

- Wiem, że po grecku znaczy „jasne światło”. - Ellen to piękna bohaterka z powieści Wiek niewinności amerykańskiej pisarki Edith Wharton. Ellen Olenska, niesławna hrabina Olenska. - Wciągnął powietrze przez nos, smakując dźwięk nazwiska postaci, po czym powtórzył je jeszcze śpiewnym głosem, podnosząc, a potem obniżając ton. - Hrabina Olenska.

- Przyłączysz się do nas na wspólny obiad? - spytał uprzejmie Johnny.

Ellen założyła, że chodzi o wieczorny posiłek, ale wkrótce wynikało z kontekstu, że mówią o lunchu. Kilka minut zeszło mężczyznom na rozmowie na temat jedzenia. Pub zapęłnił się rybakami w grubych swetrach i dziewczyna zauważyła psa, którego widziała parę dni wcześniej. Zwierzę zbliżyło się do ognia, jakby rozpalono go tylko dla niego.

- Pójdę złożyć zamówienia - zaproponował Joe. - Na co masz ochotę, Ellen Olenska? - spytał, kładąc nacisk na i nowe przezwisko.

Zignorowała docinek.

- Wezmę gulasz z jagnięciny. I szklankę wody, dobrze?

- Tak naprawdę nie przepadasz za guinnessem, prawda?

- Cóż... ja...

- Wszystko w porządku, Ellen, jeśli wolisz wodę, to mnie nic do tego.

Ellen zerknęła na Johnny'ego, ale nie słuchał. Nachylał się ku Dylanowi i z marsem na czole mówił coś przyciszonym głosem, tak że nie docierały do niej jego słowa. Wpatrzyła się w swój kufel piwa, czując się niezręcznie pod spojrzeniami

obcych ludzi, kierowanych w jej stronę ze wszystkich zakamarków pubu.

- I jak ci się podoba Ballymaldoon? - spytał Dylan, a zmiana tonu głosu zdradzała, że dostało mu się od Johnny'ego za jego zachowanie.

- Na razie niewiele widziałam, ale to, co już zobaczyłam, bardzo mi się podoba.

- Dobrze.

Nastąpiła niezręczna przerwa w wymianie zdań. Bojowy duch, z którym Dylan przekroczył próg baru, zniknął i mężczyzna wyglądał, jakby ktoś spuścił z niego powietrze. Przyglądał się dziewczynie z zakłopotaniem, jakby z jej twarzy chciał wyczytać odpowiedzi na niezadane pytania.

- Właśnie wracamy z zamku - powiedziała, starając się usilnie wypełnić panującą ciszę i modląc się w duchu, by odwrócić od niej już to szalone spojrzenie.

- To smutne miejsce, takie opustoszałe.

- Pokazałem jej portret - wtrącił Johnny. - Szkoda, że nie słyszałeś, jak ci dwoje nakręcałi się nawzajem historiami o duchach!

Dylan zdawał się poczuć ulgę, mając nowy temat do rozmowy, i jego spojrzenie nieco złagodniało.

- Johnny to stary cynik - powiedział, a kącki ust zadrgały mu w powstrzymywanym uśmiechu. - Wierzy tylko w to, co zobaczy.

- Nie twierdzę, że duchy nie istnieją, tylko że nie ma wśród nich Caitlin Macausland. Jakbyś spytał Joego, to zaraz ci opowie, że pani na zamku siedzi z nim w ogrodzie i pilnuje, żeby nie wyrwał niczego, co nie jest chwastem. Co za bzdury!

Dylan potrząsnął głową i zerknął na Ellen. W tym spojrzeniu ujrzała nagle prawdziwą twarz tego mężczyzny - przystojnego, dowcipnego, pewnego siebie.

- A ty, Ellen Olenska? Uważasz, że gadanie Joego to tylko bajki? Zdziwiła się, jaką sympatię poczuła nagle do tego człowieka, który teraz uśmiechał się do niej łobuzersko.

- Spytaj za tydzień. Jestem tu zaledwie od wczoraj. Dopiero poznałam Joego, więc jeszcze nie potrafię stwierdzić, czy mówi od rzeczy, czy nie.

- Ha, podoba mi się, jak to wymawiasz - zachichotał Dylan. - Z takim arystokratycznym akcentem.

- Moja siostrzenica to prawdziwa dama - wtrącił Johnny. - Ptaszyna prosto z Londynu.

Do stołu wrócił Joe, niosąc szklanekę wody dla Ellen. Wzięła ją od niego z wdzięcznością.

- Mogę się założyć, że się zdziwiłaś, kiedy się okazało, że twoja rodzina wywodzi się z klasy robotniczej - zagadnął, zajmując swoje miejsce.

- Porządnej klasy robotniczej - podkreślił Johnny. - Nie ma się czego

wstydzić!

- Ciocia Peg mówi, że mama zawsze zachowywała się jak dama. Czy to prawda?

Johnny rzucił spojrzenie Dylanowi, po czym przeniósł wzrok z powrotem na Ellen. Upił łyk Guinnessa.

- Była damą... chyba w swojej wyobraźni - odparł wymijająco.

- Nic nie wiem na temat jej dzieciństwa - powiedziała Ellen, licząc, że skłoni Dylana do wspomnień. Nie uszły jej uwadze porozumiewawcze spojrzenia, które posyłała sobie wujek z Murphym. Może nie ona jedna miała tu tajemnice. - To tak, jakby wymazała całą swoją przeszłość. Przez dłuższy czas było mi żal cioci Peg, że nie zna nas wszystkich, a tu okazuje się, że sprawa przedstawia się dokładnie na odwrót. To my nie mamy kontaktu z większą częścią rodziny! Nie miałam pojęcia, że mama ma brata, a co dopiero czterech! To niewiarygodne.

- A ty masz rodzeństwo, Ellen Olenska? - spytał Dylan, nerwowo trąc brodę.

- Dwie młodsze siostry.

Uniósł brwi.

- Doprawdy?

- Obie wyszły już za mąż.

- Tak?

Wzruszyła ramionami.

- Ja jestem ostatnia do ołtarza, jeśli w ogóle wezmę ślub.

Już miała dodać, że jej matka staje na głowie, aby wydać ją za mąż, ale ugryzła się w język. Jakiś wewnętrzny głos ostrzegł ją przed zdradzaniem zbyt wielu spraw.

- Nie ma się co spieszyć - pouczał Joe. - Życie jest długie.

Dylan przyglądał jej się zza stołu bez słowa. Nutka szaleństwa w jego oczach ustąpiła poważnemu zainteresowaniu i teraz pożerał dziewczynę wzrokiem, jakby się głodził od lat.

- To jaka była moja matka jako młoda dziewczyna? - dopytywała się Ellen, kierując rozmowę jak najdalej od małżeństwa i marząc, by Murphy przestał jej się przypatrywać z taką dziką intensywnością. Czuła się bardzo nieswojo pod jego przenikliwym spojrzeniem.

- Dzika jak żmija - odpowiedział Johnny, dopijając piwo.

- Naprawdę? Mama? Jesteś tego pewny?

- Równie pewny jak tego, że siedzę tu teraz z wami. Peg zawsze była wrażliwa, ale Maddie... Cóż mogę rzec? - Potrząsnął głową. - Uparta jak osioł. To była tylko kwestia czasu, kiedy popełni jakieś straszne głupstwo.

Ellen zmarszczyła brwi.

- Więc co takiego zrobiła?

W tej chwili zjawiała się kelnerka z kilkoma daniami. Pochyliła się nad stołem.

- Kiełbasa z ziemniakami puree dla ciebie, Johnny? -upewniła się, okraszając pytanie serdecznym uśmiechem. - I dla ciebie, Dylanie?

- I jeszcze jedną rundkę Guinnessa - poprosił Johnny, odbierając z jej rąk gorący talerz. - I... chwileczkę... - Zajrzał do kubka Ellen.

- Jeszcze jedną wodę - dokończył Joe, wzruszając z żalem ramionami. Johnny potrząsnął głową.

- Jeszcze woda, Jezu, nie pozwólmy dobremu piwu się zmarnować!

To rzekłszy, podniósł szklanę Ellen i pociągnął długi łyk.

Kelnerka przyniosła resztę dań i wszyscy z zapałem zabrali się do jedzenia.

Ellen nie dawała za wygraną.

- No więc co takiego zrobiła moja matka? Ktoś musi chyba wiedzieć?

Popatrzyła na Dylana, ale unikał jej spojrzenia i milczał.

- Uciekła - skwitował krótko Johnny

- Tak po prostu? - Tak po prostu - potwierdził, żując spory kęs kiełbasy. -

Poznała twojego tatę, zakochała się i tyle ją widzieli.

- Ale to nie ma sensu - upierała się Ellen.

- Tak, my też tak mówiliśmy.

- Czyli wyjechała z ukochanym?

- Można tak to ująć. Jak już wspomniałem, była nieujarzmiona. Od początku nie ulegało wątpliwości, że popełni jakieś życiowe głupstwo.

- Czy babcia miała coś przeciwko jej wybrankowi? Ludzie nie uciekają z domu bez powodu.

- Mama chciała, żeby jej córka poślubiła porządnego irlandzkiego katolika.

A wybór Maddie padł na porządnego angielskiego protestanta. I tyle.

Ellen zamilkła. Może i Madeline Byrne wyszła za protestanta, ale sama była zagorzałą katoliczką. Wszystkie córki wychowała w katolickim duchu, a Leonora i Lavinia miały mężów katolików. Nie ulegało wątpliwości, że matka nigdy nie wyrzekła się swojej wiary.

- I dlatego nigdy nie wróciła do domu? Myślała, że jej matka nie zaakceptuje zmiany wyznania? To nie ma sensu! Matka jest gorliwą katoliczką. Co rano sterczy w kościele!

- Twoja mama marzyła o innym życiu, Ellen - powiedział łagodnie Johnny. - Nikt jej stąd nie wyganiał i nikt by jej nie powiedział złego słowa, gdyby zechciała wrócić. Podjęła taką, a nie inną decyzję.

- A ty przyjechałaś tu w poszukiwaniu czegoś konkretnego? - spytał Dylan, nie odrywając od niej wzroku. Szaleństwo już całkiem zniknęło z jego oczu; pozostał tylko smutek i dawno zawiedziona nadzieja.

„Wolności” - brzmiałaby szczerą odpowiedź Ellen. Zamiast tego odparła:

- Nie, w zasadzie trafiłam tu przez przypadek. Nie spodziewałam się, że odnajdę zaginioną rodzinę. - Spuściła wzrok, przyglądając się zawartości talerza. - Sądzę, że matce raczej nie przyszłoby do głowy, że chcę was odszukać.

- A więc nic nie wie o twoim przyjeździe? - dopytywał się Dylan, ale pokiwał głową, jakby sam sobie odpowiedział na to pytanie, a teraz kilka klocków układanki w jego głowie wskoczyło na swoje miejsce. Uśmiechnął się, a w jego oczach błysnęły iskiereki optymizmu.

- Czasem los wyciąga pomocną dłoń, kiedy ludzie robią się zbyt uparci.

Ellen zmarszczyła brwi.

- Uważasz, że to los sprawił, że tu trafiłam i odnalazłam rodzinę?

- Tak, dokładnie to miałem na myśli. - Posłał jej piękny uśmiech i znów zaskoczyło ją ciepło kryjące się w rysach jego twarzy. - Zbiegi okoliczności nie istnieją, Ellen Olenska. Wszystko dzieje się z jakiejś konkretnej przyczyny.

- Ellen jest pisarką - wtrącił Johnny. - Przyjechała pisać o naszym zamku i jego duchach.

- Pisarka, tak? Proszę, proszę - mruknął Dylan pod nosem, a kąciki ust znów lekko mu zadrgały. - A więc wybrałaś Ballymaldoon, żeby pracować tu nad książką, choć mogłaś pojechać w dowolne miejsce na świecie? - Znów pokiwał głową i nabił na widelec ostatni kawałek kiełbasy. - Proszę, proszę.

- Los tak chciał - powiedział Joe, puszczając oko do - Dylan zna się na rzeczy.

- Oswald mówi, że wiesz, gdzie znajdują się wszystkie skrzaty. To prawda? - Ellen zwróciła się do Dylana.

- Oswald to świr - ocenił Johnny. - Ale Peg jest z nim szczęśliwa.

- Denny malarzyna - dorzucił Dylan. - Ale szatan w grze w karty - dodał Joe.

- Ciekawy człowiek - przyznała Ellen, unosząc szklankę wody. - A takie osoby to rzadkość i trzeba o nie dbać. Zbyt wielu ludzi jest przeraźliwie mdłych jak chleb bez soli. Nie znoszę rzeczy zwykłych i mdłych. Oswald składa się z wyrazistych barw. Jest jedyny w swoim rodzaju.

- Naprawdę jesteś pisarką? - Dylan nie mógł się nadziwić.

Ellen poczuła się jak oszustka i się zarumieniła.

- Właściwie to nie. Niczego nie opublikowałam i pewnie żadna moja książka nigdy nie trafi na półki.

- Jeszcze - powiedział Dylan. - Jeszcze niczego nie opublikowałaś.

- Dziękuję za wsparcie.

- Dylan jest też miejscowym wróżbitą - zaśmiał się Johnny z twarzą rumianą od wypitego piwa. - Dalej, stary. Powiedz dziewczynie, co ją czeka.

- Masz oczy pisarki. - Murphy nie dawał się zbić z pantałyku. - Mądre i dociekliwe. - Zaśmiała się, zawstydzona. - I masz piękny uśmiech - dodał, a w jego głosie zabrzmiała nostalgia. - Zupełnie jak twoja matka.

Po lunchu Johnny odwiózł Ellen do Peg. Auta ciotki nie było przed domem, więc dziewczyna doszła do wniosku, że pojechała po zakupy lub załatwić coś w miasteczku. Gdyby Elen była pisarką z prawdziwego zdarzenia, doceniłaby luksus cichego domu, świetnie nadającego się do posiedzenia przed laptopem. Ona jednak bała się zacząć pisać, bo nigdy wcześniej nie pracowała nad powieścią. Przez chwilę stała pod drzwiami, niepewna, co ze sobą zrobić. Pod nieobecność gospodyni mogła skorzystać z domowego telefonu, żeby zadzwonić do Emily w Londynie i wypytać się o najświeższe wieści, ale szczerze mówiąc, nie była pewna, czy chce wiedzieć, że matka odchodzi od zmysłów, próbując ją namierzyć, a William cierpi katusze ze zmartwienia. Nie bez powodu cisnęła iPhone'a w morską wodę. Schowała dłonie do kieszeni i przygarbiła ramiona. Słońce schowało się za chmurami, przez co powietrze zrobiło się mgliste i wilgotne. Widziała latarnię majaczącą we mgle jak statek widmo. Budynek zdawał się samotny i zmarznięty. Zastanawiała się, po co Caitlin Macausland wiosłowała tam tak często, i to w nocy. Zadrzała na myśl o znalezieniu się samotnie pośrodku morza, tylko w towarzystwie mew.

Postanowiła pójść na spacer zamiast zamykać się w pustym domu z komputerem. Skierowała się w stronę pola, gdzie wełnista lama i zmęczony osiołek żuły trawę wraz z owcami. Dziwnie się czuła, nie mając kontaktu z londyńskim życiem. Była przyzwyczajona do natychmiastowej łączności z przyjaciółmi - wystarczyło wcisnąć guzik. Esemesy i maile pojawiały się w jej codzienności równie często jak przecinki i kropki na stronie książki. Teraz jednak nie zamierzała korzystać z żadnych form komunikacji - być może z wyjątkiem domowego telefonu w ciotki.

Connemara była niezmiernie cichą okolicą. Słyszała krzyki mew, czuła na twarzy podmuchy wiatru i mżawkę. Dobiegał ją ryk oceanu i z radością wdychała sól i morski ozon, którymi przesycone było powietrze. Kiedy tak chłonęła świat wokół siebie, zdała sobie sprawę, że zagościł w niej pewien spokój, którego nigdy wcześniej nie dostrzegała. W Londynie była w ciągłym biegu: pędziła, żeby zdążyć do pracy, biegła na spotkanie, spieszyła się, by zdążyć przygotować się na wyjście ze znajomymi - wiecznie szybciej, szybciej, szybciej, a w tle nieustanny hałas i zgiełk. Nie było czasu, żeby po prostu być. Nawet kiedy wyjeżdżała do przyjaciół na wieś, nigdy nie była sama tak jak teraz: nigdy całkiem sama i świadoma, że ten sam spokój, który odkryła w sobie, znajdował się w sercu każdej skały, kwiatu, drzewa.

Tu, w Connemarze, nie było powodu, żeby się spieszyć. Nie miała do roboty nic innego, jak tylko „być”, a to oddanie się chwili sprawiło, że zrozumiała, jakie puste życie dotąd wiodła. Zastanawiała się, schodząc w dół zbocza ku morzu, czy może celowo uciekała w przyszłość z Williamem, żeby uwolnić się od niezadowolającej terażniejszości w domu. Tylko czym była jej terażniejszość? I dlaczego nie przynosiła żadnej satysfakcji? Spokój pozwalał jej przyjrzeć się sytuacji, jak gdyby odpowiedź zawsze nosiła w sobie, niezauważoną, wypowiedaną ciekim głosikiem, który nie potrafił się przebić przez całą tę bieganinę. Żyła tak, jak życzyli sobie tego jej rodzice, a jednocześnie wbrew sobie. Miała już dość wiecznej walki o spełnianie ich oczekiwań, ciągłego udawania kogoś, kim nie jest. Czuła się tak, jakby od lat chodziła w źle dopasowanym stroju, a teraz wreszcie zrzuciła go z siebie.

Mijając opuszczoną chatkę na plaży, zrozumiała też, że ucieka przed samą sobą. Nie podobała jej się kobieta, którą się stała, ani osoba, którą miałyby zostać, gdyby poszła śladem sióstr i przystała na komfortowy, lecz pozbawiony pasji żywot pani Williamowej Sackville. Dostrzegła coś przerażająco pustego w jej londyńskiej rutynie: imprezach, udawanych cmoknięciach na powitanie, pozornych przyjaciółach, zakupach, lunchach. Było to życie powierzchowne, bez żadnej głębi. Nie dawało poczucia spełnienia. Objęła się ramionami, by chronić się przed wiatrem, i wyszła na plażę, idąc tuż przy skraju wody. Leonora i Lavinia wyśmiałyby ją, gdyby wyznała, że ma powyżej uszu wakacji w St. Barts i czytania nad basenem kolorowych czasopism, które obiecywały, że dzięki nowej szmince czy torebce osiągnie pełnię szczęścia; że przejadły jej się wyjazdy na narty do St. Moritz, że ma dość ludzi - niekończących się szeregów płytkich ludzi, żyjących dla zaproszeń na imprezy i życia towarzyskiego w wyższych sferach; huczącej masy sztucznych karierowiczów, starających się wdrapać na kolejny szczebel społecznej drabiny. Zaśmiała się gorzko, zaskoczona nagłym olśnieniem, jak również faktem, że mówi sama do siebie. Matka natychmiast umówiłaby ją na wizytę do terapeuty, ojciec gapiłby się ze zdumieniem, kręcąc po raz kolejny głową nad jedyną ze swych córek, której nigdy nie potrafił zrozumieć. Nic w dotychczasowym życiu nie dawało jej szczęścia. Zdarzały się radosne chwile, wiele radosnych chwil, ale okazywały się ulotne niczym przebłyśki słońca zza ołowianych chmur; głęboko na dnie duszy była niespokojna - i nieszczęśliwa.

Zawsze czuła potrzebę tworzenia. Nie była pewna, czy miałyby to być książka, wiersz, piosenka czy ogród - wiedziała tylko, że pragnie w jakiś sposób się wyrażać. Jako nastolatka nauczyła się gry na gitarze, ale kiedy poprosiła o lekcje w szkole, matka zmarszczyła nos i powiedziała, że nie życzy sobie, aby córka przyłączyła się do jakiegoś zespołu „czy czegoś równie niepoważnego”, i zamiast

tęgo zapisała ją na dodatkowe lekcje francuskiego, bo przecież każda młoda dama powinna władać arystokratycznym językiem. Tak więc stworzyła zespół na przekór matce i pisała piosenki popowe z przyjaciółmi, występując na szkolnych koncertach, na które jej rodzice nie byli zapraszani. Próbowwała się, pisząc opowiadania, była uzdolniona plastycznie i śpiewała w chórze. Jednak potem wpadła w towarzystwo dziewczyn buntowniczek i większość szkoły średniej spędziła, paląc papierosy ukryta w krzakach i przeklinając wszelkiego rodzaju władze, zamiast zająć się czymś, co by ją rozwijało. Żałowała teraz zmarnowanego czasu. Było jej przykro, że pozwoliła przywiędnąć swojej kreatywności. Nigdy jednak nie było za późno, żeby otworzyć się i wpuścić do środka słońce. Miała czas, żeby napisać książkę, skomponować utwór muzyczny, posadzić coś w ogrodzie. Właśnie teraz życie zdawało się otwierać przed nią drzwi, których się nie spodziewała, prowadzące hen, za horyzont.

Głęboko odetchnęła i się rozluźniła. W tym pięknym miejscu czuła spokój - taki, który osiągnąć można tylko przez harmonię z naturą. Zalała ją tak wielka fala radości, że po policzkach popłynęły jej łzy. Płacz tak bardzo ją zaskoczył, że jednocześnie zaczęła się śmiać. Nigdy jeszcze te dwie rzeczy nie przydarzyły jej się naraz, i to w dodatku w samotności. Było to najbardziej niezwykle uczucie, jakiego kiedykolwiek doznała. Niebo zasnuło się ciemnymi chmurami, z których lunął deszcz. Jej sztuczne futerko, zupełnie nieodpowiednie na plażę, natychmiast przemokło i przylgnęło do niej jak sierść mokrego psa. Gdyby nie było tak zimno, zdjęłaby je i rzuciła w fale, żeby utonęło bezpowrotnie jak iPhone.

Problem polegał na tym, że nie wiedziała, czym - czy też kim - chciała być. Miała tylko świadomość tego, czego nie chce. Jednego była pewna: nie wróci do Londynu, zanim - bez sterowania przez rodziców - nie zdobędzie pewności, kim naprawdę jest. Do czasu uzyskania tej wiedzy zostanie w Connemarze. Ruszyła z powrotem w kierunku domu Peg. Lało jak z cebra i przemokła do suchej nitki. Przyspieszyła kroku i przebiegł ją dreszcz, kiedy lodowate krople zaczęły spływać jej po plecach. Jeśli zamierza zostać u ciotki, musi płacić za dach nad głową. Było oczywiste, że Peg nie jest zamożna i życie na jej garnuszku - choć wygodne - nie byłoby w porządku. Jeśli zdecyduje się zostać dłużej niż tydzień, trzeba będzie dołożyć się do wydatków.

Na szczyt wzgórza dotarła niemal biegiem. Napędzała ją wizja gorącej kąpieli i kubka herbaty. Potykając się o kępy mokrej trawy, minęła beztroskie owce, którym pod grubą warstwą wełny było sucho i ciepło, i biednego osiołka, który wyglądał na dość nieszczęśliwego w strugach deszczu, mimo że u stóp wzgórza postawiono dla niego wiatę, aby mógł schronić się przed wiatrem. Kiedy w polu widzenia pojawił się dom, Ellen nie zdziwiła się, widząc więcej niż jeden

pojazd na podjeździe. Stawało się jasne, że duża rodzina Peg nie zamierza pozwolić, by dziewczyna choć przez chwilę czuła się samotna.

Wpadła do środka, witana entuzjastycznie przez podskakującego Pana Borsuka. Prosiak Bertie nie podniósł się z miejsca przy piecu, bo akurat głośno chrapał. Peg zerwała się od stołu, gdzie piła herbatę z młodym mężczyzną.

- Jezu słodki! Dziecko, jak ty wyglądasz?! Gdzieś ty była?! Johnny zostawił cię pod zamkiem?! Szybko, ściągnij tę kurteczkę, rozwieszę ją, żeby wyschła!

- Wybrałam się na spacer - wyjaśniła Ellen, odlepiając z siebie futerko jak drugą skórę.

- W taką pogodę?! Zwariowałaś?!

- Wyrzuć kurtkę, ciociu, jest całkiem zniszczona.

- Zwierzętom nie przeszkadza woda – zauważył młody mężczyzna.

- Ale nie sztucznym - odparła Ellen.

- To mój syn Ronan. - Peg wskazała na chłopaka.

Mężczyzna, który wydawał się w podobnym wieku co Ellen, spojrzał na dziewczynę spod gęstej blond grzywki, ale nie obdarzył jej uśmiechem.

- Podałabym ci rękę - przeprosiła Ellen - ale tylko cię zamoczę.

- Podasz, jak się wysuszysz - powiedział kuzyn.

- Chyba powinnam iść na górę i wziąć kąpiel.

- Zdecydowanie, skarbie. Wy, londyńczycy, naprawdę nie macie pojęcia o pogodzie, prawda? - Peg odwróciła się do syna: - Szkoda, że nie widziałeś kozaczków, w których przyjechała...

Idąc na górę, Ellen rozmyślała o wszystkich członkach rodziny, których poznała tego dnia. Bez wyjątku byli przystojni i mieli wyraźnie zarysowane, silne charaktery. Czuła się tak, jakby przeszła przez magiczną szafę C.S. Lewisa i wkroczyła do zaczarowanego świata, który zawsze krył się za futrzanymi płaszczami. Poczowała wściekłość na matkę za to, że ich wszystkich ukrywała: w końcu stanowili również i jej rodzinę! Rodzinę Lavinii i Leonory! Jak Madeline mogła trzymać to wszystko w tajemnicy przed córkami? Co tak naprawdę zrobiła, że musiała spalić za sobą wszystkie mosty? Czy wspomnienia z dzieciństwa w ogóle się nie liczyły? Jak mogła spać po nocach? Nie męczyła jej tęsknota za bliskimi?

Ellen wykąpała się w gorącej wodzie, aż okna łazienki zaparowały. Deszcz bił w nie od zewnątrz, wydając odgłosy, jakby ktoś ciskał w szyby garście kamyczków. Kiedy po chwili Ellen zeszła na dół, ubrana w dzinsy i sweter, ciotka wciąż siedziała przy stole z Ronanem.

- Chodź, napij się herbatki, skarbie - zachęciła, wstając po czajnik, który trzymała rozgrzany na piecu. - Wyglądasz znacznie lepiej. Co zrobiłaś z mokrym ubraniem?

- Zostało w łazience - odpowiedziała dziewczyna, zajmując miejsce naprzeciw kuzyna.

- No, tam raczej nie wyschnie. Znieś je potem na dół, rozwiesimy przy kuchence.

- O, ciasto! - ucieszyła się wygłodniała Ellen, zerkając na Kafkę, który jak zwykle siedział na oparciu krzesła. - Aż dziw, że ptak jeszcze wszystkiego nie wydziobał - powiedziała do Ronana.

- Wie, że go przegonimy - odparł kuzyn. - Smaczne. Spróbuj.

Ellen ukroiła sobie gruby kawałek, a ciotka zajęła się parzeniem świeżego czajniczka herbaty.

- Chłopcy wzięli cię pewnie na lunch do pubu? - spytała Peg, siadając z powrotem przy stole z herbatą i kubkiem dla siostrzenicy.

- Tak, poznałam Dylana Murphy'ego - powiedziała, uważnie przyglądając się ciotce.

- Tak, Dylan. Oryginał - rzekła Peg jakby nigdy nic.

Ellen odważyła się mówić prosto z mostu.

- Kochał się w mojej mamie, prawda? - Peg zamarła na chwilę z dzbankiem w ręce. Zdawała się zbita z tropu. - Widziałam to wyraźnie. Wpatrywał się we mnie tymi wielkimi, smutnymi oczami.

- Pewnie szukał w tobie rysów matki - przyznała ciotka, lejąc dalej herbatę.

- Opowiedz mi o nim.

- O Dylanie? Chyba nie stanie się nic złego, jak poznasz prawdę. To już zamierzchłe czasy. Ciebie też pewnie zainteresuje ta historia, Ronanie. - Dołała mleka do kubka i zamieszała w nim zamyślona. - W zasadzie Dylan wychował się z nami, ale zawsze największym uczuciem darzył Maddie. Przez pewien czas i ona go kochała. Ale potem poznała twojego ojca i... cóż, resztę już znasz, prawda?

- Chciałabym poznać całą historię - nalegała Ellen. Peg westchnęła i nałożyła sobie kolejny kawałek ciasta. Dziewczyna podejrzewała, że to z nerwów. - Proszę, ciciu. Chyba mam prawo dowiedzieć się czegoś, skoro tu trafiłam. A jeśli ty mi nie opowiesz, z pewnością ktoś w końcu to zrobi.

- No, dobrze. Prawda jest taka, że twoja mama była zaręczona z Dylaniem, kiedy poznała twojego ojca.

Ellen się tego nie spodziewała.

- Miała za niego wyjść?

Ronan również nie krył zdziwienia.

- Ale numer! - zawołał, a na jego poważnej dotąd twarzy pojawił się znaczący uśmiezek. - Stary Dylan Murphy to dopiero człowiek-zagadka!

- Za młodu był bardzo przystojny. - Peg uśmiechnęła się do siostrzenicy. -

Wiele kobiet uważa, że nadal jest niczego sobie. Nigdy się nie ożenił, pewnie dlatego, że nie może wyrzucić z serca twojej matki. Biedna stara Martha ma do niego anielską cierpliwość i dobra z niej kobieta. Powinien się z nią ożenić, ale chyba nigdy nie zapomni Maddie.

- Nic dziwnego, że tak mi się przyglądał.

- Wszyscy sądziliśmy, że twoja matka pójdzie z Dylanem do ołtarza. Pasowali do siebie jak ulał. Oboje byli twórczy, mieli w sobie dusze artystów. No, ale poznała twojego ojca.

- Jak? Co tu robił?

- Spędzał lato u Martinów, dawnych właścicieli zamku.

- Mieszkał na zamku? Tym samym, który dziś odwiedziłam?

- Właśnie tak. Conor Macausland kupił go od Petera Martina. Staruszek musiał go sprzedać i omal nie pękło mu przez to serce. Zamek od pokoleń był w rękach Martinów. Niestety, Peter wdał się w jakieś interesy budowlane, które doprowadziły go do bankructwa. Przeprowadzili się do Australii - na koniec świata. Pewnie chciał wyjechać jak najdalej od zamku Ballymaldoon.

- Ależ to dziwne! Pomyśleć, że moi rodzice tu się poznali, a ja nie miałam o tym pojęcia!

- A gdzie według ciebie się poznali? - spytał Ronan.

Ellen zrozumiała nagle, że rodzice ją okłamali.

- W Szkocji - odparła cicho. - Mama mówiła, że poznali się na polowaniu w Szkocji.

- Tak jakby twoja matka kiedykolwiek była na czymś takim - fuknęła Peg, omal nie rozlewając herbaty. - Doprawdy, zawsze wiedziałam, że ma aspiracje do bycia damą, ale udawanie, że od zawsze wiodła takie życie, jest po prostu śmieszne. Jej stopa nigdy nie postąpiła poza granicami Irlandii.

- Wiedziałaś w ogóle, że masz matkę Irlandkę? - spytał Ronan.

Ellen zjeżyła się na to pytanie. Kuzyn patrzył na nią z niedowierzaniem, jakby uznawał jej łatwowierność za skrajną głupotę.

- Naturalnie, że wiedziałam, że mama pochodzi z Irlandii, ale nigdy o niej nie mówiła. Wspomniała tylko kiedyś o tobie, Peg, ale nigdy w mojej obecności. Kiedy pytałam ją o przeszłość, zaciskała usta i zmieniała temat. Nauczyłyśmy się nie wnikać w jej przeszłość i szczerze mówiąc, nie bardzo nas interesowała. Czy to naprawdę takie straszne, ciociu, uciec z angielskim protestantem?

Peg przez chwilę obracała kubek w dłoniach.

- Nie na tym polegał problem - powiedziała powoli. - Chodziło o to, że miała wziąć ślub z Dylanem. Jednego dnia planuje wesele, a następnego pakuje walizkę i wyjeżdża w pośpiechu.

- A więc naprawdę uciekła z innym?

- Obawiam się, że tak. - Zawahała się, jakby wiedziała o czymś jeszcze, czego nie chciała wyjawić, a potem dodała: - Spotykała się z twoim ojcem za plecami Dylana. Nieładnie z jej strony, biorąc pod uwagę, że Murphy świata poza nią nie widział. To dlatego już nigdy się tu nie pokazała. Przez poczucie winy - oświadczyła stanowczo.

- Ale wyrzuty sumienia przez trzydzieści lat to chyba lekka przesada.

Peg najwyraźniej miała ochotę zamknąć temat.

- Wybrała inną drogę, skarbie. Wyszła za bogacza, zaczęła nowe życie i nie chciała mieć nic wspólnego z przeszłością. I tyle.

Ellen była przerażona.

- Wstydziała się was?

- Tak mi się wydaje - szepnęła Peg. - Chyba nie byliśmy dla niej dość dobrzy. Nasza Maddie miała wielkie aspiracje. Postanowiła zostać księżniczką i nie było sposobu, by ją powstrzymać. Wzgardziła życiem, które oferował Dylan. Pragnęła czegoś lepszego i kiedy tylko nadarzyła się okazja, skorzystała z niej, bezlitośnie łamiąc serce narzeczonego. Nie zapominaj, że była piękna, wręcz zniewalająca. Wystarczyło, że pstryknęła palcami, a mężczyźni padali u jej stóp, ofiarowując gwiazdkę z nieba. - Peg ugryzła kawałek ciasta. - No i chyba dostała swoją gwiazdkę.

- Ale wykluczenie was z naszego życia jest po prostu samolubne!

- Obawiam się, że Maddie zawsze była dość egocentryczna.

- To takie niesprawiedliwe - denerwowała się Ellen. - Żałuję, że nie znałam was od dziecka.

Twarz Peg złagodniała.

- To urocze, co mówisz, skarbie. Ale nie podchodź do tego tak emocjonalnie. Matka postąpiła tak, jak uznała za słuszne, i wyrosłyście z siostrami na wspaniałe dziewczyny, prawda? A teraz nas znalazłaś i... cóż, nawarzyłaś piwa. Kto wie, jak zareaguje Maddie, kiedy się dowie. - Peg wydawała się zmartwiona. - Tylko jej nie mów, że opowiedziałam ci całą historię!

- W życiu cię nie wydam, masz moje słowo. Ale budzi to we mnie gniew. Już nigdy tam nie wrócę.

Peg spojrzała na nią surowo.

- To zachowasz się tak samo jak matka.

Ellen uświadomiła sobie, że uciekając przed własnym ślubem, już dopuściła się czegoś niewybaczalnego.

- Biedny Dylan - powiedziała ze smutkiem.

Upiła łyk herbaty. Tak się zajęła rozmową, że bawarka niemal całkiem

wystygła.

- Należę ci świeżej - zaproponowała Peg, wstając od stołu. - Wiesz, ludzie składają się z sumy swoich doświadczeń. Trudno się dziwić, że Dylan zagląda do kieliszka, kiedy weźmie się pod uwagę, co go spotkało. Był szczęśliwym dzieckiem i szczęśliwym młodym mężczyzną, ale Maddie złamała mu serce. Nigdy się nie pozbierał. Zraniła go do żywego. Od tamtej pory nosi w sobie smutek. Chyba całe jego życie to jedno wielkie rozczarowanie.

Ronan zmarszczył czoło.

- Nie znałem tej historii, mamó. Biedak! To straszne kochać tak mocno i stracić tę miłość.

- Czym Dylan się zajmuje? - chciała wiedzieć Ellen.

- Píše piosenki. Ma ogromny talent. Wielka szkoda, że pije, bo mógłby naprawdę coś osiągnąć w życiu. Miał kiedyś własny zespół. Odnosili sukcesy, przynajmniej w Irlandii. - Peg się zaśmiała. - Trudno to sobie wyobrazić, co? Gra na gitarze i śpiewa.

Ellen przyszło na myśl, że może odmowa matki dotycząca jej lekcji gry na instrumencie miała związek z Dylanem.

- A teraz przesiaduje w pubie - wtrącił Ronan ze smutkiem. - Biedaczysko! - powtórzył. - A ja zawsze miałem go za nieudacznika. Idiota ze mnie!

- Nie obwiniaj się, synku. Skąd miałeś wiedzieć. - Zwróciła się do Ellen. - Najpierw pisał dla swojego zespołu, a potem, kiedy przestał występować, komponował dla innych twórców. Zdziwiłabyś się, gdybyś wiedziała, dla jakich gwiazd pisał piosenki. Jedna czy dwie ballady okazały się hitami. Daj mi chwilę, a może przypomnę sobie melodię i wam zanucę.

- A czym ty się zajmujesz, Ronanie? - zagadnęła kuzyna Ellen, widząc, że zamilkł, i starając się wciągnąć go w rozmowę.

- Jestem stolarzem - odparł, posyłając dziewczynie wyzywające spojrzenie.

- Nie musisz się tego wstydzić, Ronanie - skarciła go matka. - Stolarzka to świetny zawód, a ty jesteś naprawdę bardzo zdolny. Umie wyczarować z drewna wszystko, o czym tylko zamarzysz. Otworzysz jakikolwiek magazyn z wymyślnymi kuchniami, Ronan wykona identyczne meble. W życiu nie zauważysz różnicy. Ma wielki talent.

- Gada jak typowa mamuśka. - Ronan przewrócił oczami.

- Caitlin Macausland zamówiła u niego większą część wystroju do zamku. Na dźwięk tego imienia mężczyzna spochmurniał.

- Tak, cóż, to było dawno temu. Od tamtej pory zrobiłem wiele innych rzeczy.

- Ronan nie lubi być uwiązany - ciągnęła Peg ku zażenowaniu syna. -

Najlepiej czuje się, pracując w pojedynkę, kiedy ma na to ochotę.

- Samozatrudnienie to wielka wygoda - przyznała Ellen, bo zależało jej, żeby kuzyn się uśmiechnął. - Ja próbuję sił w pisarstwie. Przez ostatnie sześć lat pracowałam w dziale marketingu firmy jubilerskiej w Londynie i mam dość przesiadywania w biurze pięć dni w tygodniu od dziewiątej do piątej. Starłam się z całych sił, ale nie potrafiłam dojechać na czas. Zrobię, co w mojej mocy, żeby też być sobie szefem, tak jak ty.

- Co już napisałaś? - spytał.

- Jeszcze nic specjalnego, ale mam nadzieję, że tutejsza okolica dostarczy mi inspiracji.

- Ellen może wykorzystać w powieści motyw zamku i latarni - podsunęła Peg.

- Dlaczego? - chciał wiedzieć Ronan.

- Bo są owiane tajemnicą - odpowiedziała matka.

- Masz ochotę pisać o tajemnicy związanej z morderstwem? - zwrócił się do Ellen.

- Ronanie, wystarczy już! - Peg podniosła głos na syna. - Nie chcę więcej słuchać twojego gadania na ten temat. Żałuję, że w ogóle go poruszyłam.

- Cóż, jak zdecydujesz się pisać o zabójstwie, to rzeczywiście warto wniknąć w historię latarni.

- Nie zamierzam spisywać ich historii - przerwała mu Ellen. - W sumie nic o nich nie wiem. Po prostu latarnia i zamek wydają mi się bardzo romantycznymi miejscami.

- Ja tam nie dostrzegam w nich zbyt wiele romantyzmu - rzucił cynicznie. - Tych dwoje skakało sobie do oczu jak wściekłe psy.

- Teraz tak o tym mówisz, Ronanie? Kiedyś byłeś pełen podziwu dla Caitlin - zdziwiła się Peg.

- Widziałam dziś jej portret. Była niezwykle piękna - zauważyła Ellen.

Ronan ukroił sobie kolejny kawałek ciasta.

- Na nic cała jej uroda, skoro nie żyje - mruknął.

Dziewczyna odstawiła kubek.

- Powiedz, dlaczego mąż kazał wynieść wszystko z zamku z wyjątkiem obrazu? Dlaczego tak postąpił? Nie chciał mieć portretu blisko siebie?

Ronan westchnął z niecierpliwością.

- Może jest za duży i nie pasuje mu do wystroju? Co za różnica?

- Jestem ciekawa. No wiesz, dlaczego go nie spakował? Pozostawienie go w pustym zamku wydaje się trochę straszne. Jakby ona nadal tam była.

- Nie wiem, Ellen, i szczerze mówiąc, nie obchodzi mnie to - mruknął.

Peg uśmiechnęła się z pobłażaniem.

- Nie zwracaj uwagi na Ronana, skarbie, jest po prostu zmęczony.

- Jak spędzisz tu trochę czasu, to też cię to zmęczy, gwarantuję - powiedział chłopak. - Tyle czasu upłynęło, a ludzie dalej nie mają innych tematów. - Ugryzł kęs ciasta i przeżuwał go z zapalem. Teraz Peg pokiwała głową.

- Tu akurat masz rację, synku. Pięć lat, a oni wciąż o tym gadają. Może trudno przestać, skoro latarnia stoi nam tuż pod nosem i nie pozwala zapomnieć.

- Czy to dlatego unikasz wizyt w pubie, ciociu? - spytała Ellen. - Ze względu na głupią, plotkarską gadaninę?

- Nie, nie zaglądam tam, bo wolę towarzystwo moich zwierząt - odparła krótko. - Może zawieziesz Ellen, Ronanie? Joe miał po nią przyjechać, ale dam mu znać, że już ją podwiozłeś. Możesz ją przedstawić reszcie rodziny.

Ronan rzucił kuzynce zagadkowe spojrzenie spod uniesionych brwi.

- Na pewno jesteś gotowa na rodzinę Byrne'ów w śmiertelnej dawce?

- Nie wiem. Może lepiej zostanę w domu i pogram w karty z Oswaldem i ciocią Peg.

- Mówiłaś, że nie lubisz kart, skarbie, no i nie mam telewizji. Więc lepiej jedź z Ronanem. Zatrzyma się o ciebie, prawda, synku?

- Będziesz się świetnie bawić - zapewnił Ronan, ale dziewczyna nadal nie doczekała się serdeczności z jego strony. Ellen miała nadzieję, że w Saganie Złota uda jej się wywołać choć cień uśmiechu na jego twarzy. - Muszę najpierw podrzucić narzędzia do domu - powiedział, podnosząc się z krzesła. - Jak nie masz nic przeciwko temu, zatrzymamy się na chwilę u mnie, a potem pojedziemy dalej.

- Super - ucieszyła się Ellen, starając się swoim entuzjazmem przełamać ponury nastrój kuzyna. - Bardzo chętnie zobaczę, gdzie pracujesz.

- Ha, warsztat Ronana to jak grota pełna skarbów! - zachwalała Peg.

- Tak, mam, prawie jak u Michała Anioła - mruknął, ale kiedy spojrzał na matkę, wyraz jego twarzy złagodniał, a w kąciку ust zamajaczył ledwo dostrzegalny uśmiech.

Dom Ronana znajdował się niedaleko. Umiejscowiony był pomiędzy chatą matki a Ballymaldoon i roztaczał się z niego ten sam urzekający widok na morze. Chłopak zaparkował swojego vana przed domem i ściągnął z naczepy ciężką skrzynkę z narzędziami.

- Możesz wejść i się rozejrzeć, jeśli chcesz - powiedział do kuzynki. - Mój warsztat znajduje się z tyłu.

Ellen poszła za nim ścieżką, która przecinała gęstwinę wysokich traw i chwastów, aż na koniec zapuszczonego ogrodu. Światło dnia przygasało i na ciemniejącym niebie migotały pierwsze gwiazdy niczym odległe łodzie, które płyną do brzegu przez mgłę. Powietrze było wilgotne i chłodne, a od morza dął chłodny wiatr. Dziewczyna szczelnie opatulila się kurtką, którą pożyczyła od ciotki, i zadrżała.

Warsztat Ronana znajdował się w dużej drewnianej szopie, postawionej przy wysokim, porośniętym trawą brzegu. Z zewnątrz nie robił szczególnego wrażenia, ale kiedy kuzyn otworzył drzwi do środka i włączył światło, Ellen zdała sobie sprawę, że dokładnie tak jak powiedziała Peg, to miejsce jest pełne skarbów. Rzędy narzędzi wisiały na ścianach na schludnych wieszakach, deski surowego drewna leżały w równych stertach, dziwne maszyny wystawały spośród kopców trocin, a na środku pomieszczenia stał solidny stół do pracy, z najróżniejszymi narzędziami zatkniętymi w pomysłowe, wykonane specjalnie na nie otwory. Już sam stół wyglądał jak dzieło sztuki. Ellen przejechała palcami po powierzchni blatu, zachwycając się genialnym projektem.

- Sam to wymyśliłeś, prawda? - powiedziała, na co Ronan, najwyraźniej wyczuwając podziw w jej głosie, odłożył skrzynkę z narzędziami i zaczął ją wprowadzać.

- Potrzeba matką wynalazku - oznajmił. - W miarę zleceń wykonałem kilka rzeczy na własny użytek, żeby usprawnić swoją pracę.

- Twoja mama miała rację, rzeczywiście potrafisz zrobić z drewna wszystko.

- To nic wielkiego. To tylko moje miejsce pracy - odrzekł. - Chcesz zobaczyć moje portfolio?

- Z przyjemnością - odpowiedziała, patrząc, jak z dumy policzki kuzyna robią się rumiane, gdy wyciągał zza biurka wielki czarny folder. Palcami startł z niego warstwę kurzu.

- Nie pokazuję go zbyt często, bo wszyscy mnie tu znają i większość moich

zamówień to prace z polecenia. Dokumentuję jednak wszystkie moje projekty, właściwie tylko i wyłącznie dla własnych celów. To chyba dlatego, że lubię moje dzieła.

Wtedy w końcu się uśmiechnął. Ellen czuła, jak dzięki temu poprawia się jej humor, jakby był szybowcem, którego unosi prąd ciepłego powietrza. Usiedli na stole roboczym i Ronan pokazał jej wszystkie swoje zamówienia. Były wśród nich pełne kuchnie i łazienki, ogrodowe domki zabaw dla dzieci, komody, stoły i krzesła.

- Jak się tego nauczyłeś? - zapytała, przyglądając się misternie wyciętym sercom w okiennicach domku zabaw.

- Cóż, mój wujek Ryan ma firmę budowlaną i jego stolarz Lee potrafi wyczarować cuda z drewna. Wszystkiego mnie nauczył.

- Byłeś jego czeladnikiem?

- Przez osiem lat. Wtedy Lee przeszedł na emeryturę, a ja zacząłem pracować dla Ryana, a potem założyłem własną firmę. Do tego czasu zdążyłem już wyrobić sobie renome.

Ellen przewróciła stronę i od razu rozpoznała ławkę nad zamkowym jeziorem.

- To pewnie zrobiłeś dla Caitlin Macausland. - Poczwała, jak Ronan zastyga w bezruchu przy jej boku. - To przepiękna ławeczka - dodała prędko. Wkrótce zdała sobie sprawę, przewracając kolejne strony, że kuzyn zrobił dla niej nie tylko ławkę. Wykonał siedzisko okalające drzewo, letnią altanę w kształcie pięciokąta, huśtawkę, bramę do ogrodu i inspekty w ogrodzie warzywnym. - Mój Boże, ale ty masz zapał do pracy. Założę się, że kiedy pracowałeś dla niej, nie miałeś już czasu robić nic innego.

Pokiwał głową.

- To prawda. Dała mi szansę robić rzeczy, o których inni stolarze mogą tylko marzyć.

- Musiałeś ją bardzo dobrze poznać - wypaliła bez zastanowienia. Wtedy, przypomniawszy sobie jego wcześniejszą reakcję na wspomnienie Caitlin, dodała: - Przepraszam, wiem, że masz dość tego całego zamieszania.

- Mam dość kłamstw, Ellen - odpowiedział ku jej zaskoczeniu, po czym głęboko odetchnął. - Wszyscy twierdzą, że coś wiedzą, ale o niczym nie mają pojęcia. Są tylko dwie osoby, które mogą wyjaśnić, co tamtej nocy wydarzyło się w latarni. Jedna nie chce mówić, a druga nie może.

- Więc skoro ty też niczego nie wiesz, to skąd ta pewność, że on ją zabił? - dociekała Ellen, uśmiechając się, by ująć powagi swojemu pytaniu. - Różnisz się od innych?

Ronan wciągnął głęboko powietrze w nozdrza.

- Znałem ją i wiem, że się go bała. Macausland to dopiero potrafił być porywczy. Myślę, że w gniewie byłby zdolny do wszystkiego.

- Czyli nie mówimy o morderstwie?

- Jeśli mamy być precyzyjni, to nazwijmy to nieumyślnym zabójstwem. Ale jakkolwiek to nazwać, zabił ją i koniec.

- Ale nie wiesz tego na pewno.

- Nie, nie wiem - przyznał Ronan z niechęcią, po czym, nie mogąc znaleźć bardziej konkretnego dowodu, na którym mógłby oprzeć swoje twierdzenie, zatrasnął portfolio.

- Ale to on jest winny. Niech mnie szlag, jeśli kłamię - dodał stanowczo i Ellen poznała po tym, jak skamieniała jego twarz, że kuzyn chciał wierzyć w swoje słowa. Zastanawiała się, czy w Ballymaldoon mieszkał choć jeden mężczyzna, który nie był zakochany w Caitlin.

- Nie wiem, jak ty, ale ja chętnie bym się czegoś napił - oznajmił Ronan, wstając. Odłożył portfolio za biurko i wyłączył światła.

Kiedy Ellen i Ronan dotarli do Sagana Złota, w środku było już pełno miejscowych. Powietrze stało się mgliste od ciepła ciał i dymu z nieosłoniętego kominka, a w lokalu panował harmider. Kiedy jednak do środka weszła Ellen, wrzawa trochę przycichła, a dziewczyna mogła zauważyć, jak ludzie wyciągają szyje, żeby lepiej się jej przyjrzeć. Z ulgą dostrzegła Johnny'ego i Joego przy stoliku pod ścianą i pospiesznie ruszyła w ich stronę.

- Jesteś jak gwiazda filmowa - skomentował Johnny, kiedy do niego podeszła. - Niedługo będą cię prosić o autograf.

- A ja będę pobierał funta od każdego - dokończył Joe, zacierając ręce.

Ellen rozpoznała Desmonda, który przedstawił ją swojej żonie Alannie. Była to kobieta o jasnej cerze i szlachetnych rysach oraz włosach w kolorze truskawkowego blondu, których piękne pukle opadały na jej wąskie ramiona. Alanna uśmiechnęła się i poklepała miejsce na ławce koło siebie.

- Chodź tu i usiądź. Cały dzień tylko wysłuchuję, jaka jesteś piękna. Przynieś jej coś do picia, Joe. Na co masz ochotę? Ja piję wódkę z tonikiem.

- Wiem, na co nie masz ochoty, prawda, Ellen? - Joe uśmiechnął się zawadiacko i mrugnął do niej.

Odwzajemniła uśmiech, czując, jak jego droczenie się wzbudza w niej przyjemne wrażenie, że jest w gronie bliskich.

- Chciałam wywrzeć na tobie wrażenie - odpała.

- Cóż, może i udało ci się nabrać tatę, ale nie mnie.

Odchylił głowę do tyłu i się roześmiał.

Alanna była zdezorientowana.

- O co wam chodzi?

- Powinnaś zobaczyć jej minę, kiedy dziś po południu spróbowała Guinnessa. Bezcenny widok!

- Oj, przestań się już tak nad tym rozwodzić, Joe! - Alanna stanęła w obronie Ellen. - Nie słuchaj go, zawsze się tak wydurnia, ale nikt nie zwraca na niego uwagi!

- Tylko sobie nie myśl, że się nie odegram, Joe Byrne! - odpowiedziała Ellen.

- Będę czekał z zapartym tchem. A więc czego się napijesz?

- Tego samego co Alanna.

- I bardzo dobrze. Wstydziłbym się prosić o wodę! - Joe zniknął w tłumie.

- Kogo tu jeszcze nie znasz? - zastanawiała się Alanna, przymrużając oczy i rozglądając się po sali.

Ellen zauważyła mroczną postać Dylana, który stał przy barze. Był pochłonięty rozmową z Ronanem i popijał Guinnessa. Od czasu do czasu zerkał na Ellen spod swojej nieokiełznanej czarnej grzywy i obserwował ją ciemnymi oczami niczym myszołów, który śledzi swoją zdobycz. Próbowwała go ignorować. W końcu nic nie mogła poradzić na to, że darzył jej matkę niespełnionym uczuciem. Zastanawiała się, czy gdyby teraz ją spotkał, żałowałby tylu zmarnowanych na tęsknocie lat.

Skupiła się na poznawaniu żon swoich wujków i ich dorosłych dzieci. W głowie się jej nie mieściło, by kiedyś mogła zapamiętać wszystkie ich imiona. Miała więcej kuzynów, niż mogła sobie wymarzyć. Jej rodzinne życie w Londynie wydało się takie sterylne i nudne w porównaniu z radosnym klanem Byrne'ów. Nie dało się zaprzeczyć, że byli bardzo hałaśliwi. Nie minęło wiele czasu, gdy stary wilk morski Eddie zaczął grać na akordeonie i w pubie rozbrzmiał gromki śpiew.

Ellen pomyślała o Caitlin Macausland, która śpiewała, jak ujął to Joe, jak jedna z nich. Potrafiła ją sobie wyobrazić pośród tych wszystkich ludzi, błyszczącą jaśniej i piękniej niż anioł, ale jednocześnie poza ich zasięgiem. Nic dziwnego, że jej śmierć nadal zdumiewała i zasmucała ludzi. Ellen domyślała się, że po śmierci Caitlin stała się jeszcze bardziej intrygująca niż za życia. Zawsze tak się działo.

- Jak ci się mieszka u cioci Peg? - zapytała Alanna, kiedy śpiewy przycichły, a ludzie zaczęli rozchodzić się do domów.

- Zdążyłam już pokochać ciocię Peg - szczerze odpowiedziała Ellen. - To taka urocza kobieta.

- Pewnie ogromnie się cieszy z twojego przyjazdu.

- Mam nadzieję, że nie będę dla niej ciężarem.

- Ależ skąd. Jestem przekonana, że raduje się z towarzystwa.

- Ma przecież Ronana.
- To prawda, i Ronan świetnie się zajmuje swoją mamą. Dobry z niego chłopak, choć niełatwy, ostrzegam.
- Jest poważny, nie to co Joe.
- O tak, z Joem mamy ubaw po pachy! - Alanna się roześmiała.
- Naprawdę polubiłam Johnny'ego i Joego. Nie chcę już wracać do Londynu.

- A po co miałybyś wracać? Dopiero co przyjechałaś.
- Już czuję się tu jak w domu.
- Connemara działa tak na wiele osób. - Alanna lekko się zaśmiała. - Urodziłam się tu, tak jak wszyscy Byrne'owie, i nadal nigdzie mnie nie wywiało. Jest choć jeden powód, dla którego musiałybyś wracać?

Ellen westchnęła. Zapragnęła być uczciwa i powiedzieć swojej nowej rodzinie, że zostawiła w Londynie narzeczonego, ale zbytnio przejmowała się tym, co o niej pomyślą.

- Cóż, nie powiedziałam matce, że tu jestem - wyznała, co przynajmniej było zgodne z prawdą.

- Tak, Desmond mi powiedział.
- Więc powinnam jej w pewnym momencie to wyjawić, prawda?
- Daj jej po prostu znać, że jesteś bezpieczna. Wszystkie matki się o to martwią. Wtedy da ci spokój.
- Nie byłabym taka pewna. Myślę, że się wścieknie za to, że szperałam w jej przeszłości.

- Musisz jej mówić?
- No cóż, w najbliższym czasie nie mam zamiaru tego robić. Przez jakiś czas zostanę z cicią Peg i napiszę moją powieść...

- O czym ona będzie?
- Nie jestem jeszcze pewna. Mam nadzieję, że coś mnie tu zainspiruje.
- Nie mam co do tego wątpliwości. - Alanna się zaśmiała.
- Mogłabym napisać o cici Peg i jej zwierzakach. To by dopiero była zabawna książka.

- Wiem, zapełnia nimi cały dom, prawda? A zwierzęta nie są głupie: jeśli któreś jest ranne albo potrzebuje ciepłego lokum, zawsze znajdzie drogę do domu Peg.

- Szkoda, że nie chodzi do pubu.
Twarz Alarmy spoważniała.
- Nie czuje się swobodnie z powodu tych wszystkich plotek.
- Tak mi właśnie powiedziała.

- W takiej mieścinie jak Ballymaldoon ludzie zawsze gadają.

- To zadziwiające, że po tylu latach nadal plotkują o Caitlin i Conozze Macauslandach.

- O nie, to nie te plotki powstrzymują ją przed pojawieniem się w pubie. Chodzi o plotki na jej temat.

- Ale dlaczego ludzie mieliby o niej plotkować?

Alanna odstawiła szklanekę i ściszyła głos.

- Wiesz, że twoja ciotka straciła córeczkę, prawda?

Ellen utkwiała w niej pełne przerażenia spojrzenie.

- Nie, nie wiedziałam. Kiedy?

- Wiele lat temu. Urodziła synów, a potem miała dziewczynkę imieniem Ciara.

- Co się z nią stało?

- Zmarła w wieku siedmiu lat, niech spoczywa w pokoju. Co to była za tragedia.

- Jak umarła?

- Utopiła się. Oczywiście to był wypadek. Ale Peg nigdy się z tym nie pogodziła. Nie wydaje mi się, żeby jakaś matka była w stanie pogodzić się ze śmiercią dziecka, po prostu uczy się z tym żyć.

- Boże, to straszne - jęknęła Ellen. Wyobraziła sobie samotną postać Peg, która przechadza się po pastwisku, doglądając owiec, i wiedziała już, skąd wokół cioci ta aura smutku. - Wyłowili ją?

- Tak, tylko na moment spuścili z niej wzrok, a po chwili leżała twarzą w wodzie. Peg i jej mąż o coś się kłócili, więc oczywiście obwiniali się później o to, co się wydarzyło. Już przedtem ich małżeństwo było trudne, ale później stało się nie do zniesienia.

- Biedna Peg. To okropne. Co za straszny ciężar.

- Bracia się nią zajmują. Są bardzo opiekuńczy. A Ronan mieszka w pobliżu. Nikt o tym nie mówi, ale wszyscy pamiętamy. To niemożliwe żyć dalej w spokoju po czymś takim.

-Więc dlatego jej mąż wyjechał do Ameryki.

- Taka tragedia albo spaja ze sobą ludzi, albo ich od siebie oddala. To nie była niczyja wina, ale obwiniali samych siebie i siebie nawzajem, a kiedy Bill powiedział, że chce wyjechać, Peg stanęła okoniem. Chciała zostać, żeby być blisko Ciary. Pochowano ją w tutejszym kościele.

Ellen głęboko współczuła ciotce. Wiedziała już, dlaczego tak posmutniała, gdy w samochodzie mówiła o mężu i jego córeczce.

- Czy to dlatego nadal nazywa się Peg Byrne?

- Zawsze była Peg Byrne, mimo nazwiska po mężu. Nigdy się jakoś nie przyjęło. - Alanna poklepała Ellen po ramieniu i spojrzała na nią znacząco. - Nie wspomnisz o tym nikomu, prawda?

- Nie, oczywiście, że nie.

- Pewnie nie powinnam ci o tym mówić, ale jeśli masz z nią mieszkać, to lepiej, żebyś wiedziała, dlaczego jest taka, jaka jest.

- Nie sądzę, żeby moja matka o tym wiedziała.

- Niby skąd? Wydaje mi się, że kiedy wyjechała, Ronana nie było jeszcze na świecie.

- Jestem pewna, że byłaby zrozpaczona faktem, że nie pocieszała własnej siostry, gdy ta straciła dziecko.

- Nie mów jej. Peg powinna zrobić to sama, jeśli kiedykolwiek zechce.

- Nie powiem, obiecuję.

Ellen opuściła pub w ponurym nastroju. Johnny, jego żona Emer i Joe odwieźli ją do Peg po drodze do domu, zbyt rozbawieni, by zauważyć zmianę w jej nastroju. Przez chwilę stała na zewnątrz, gdy tylne światła auta zniknęły na drodze ze wzgórza. Kontury latarni odznaczały się na tle nieba, które teraz było jasne i gwiazdziste. Ellen pomyślała o Ciarze, która utonęła w tym morzu, i zastanawiała się, jak Peg była w stanie znosić patrzenie na nie każdego ranka, kiedy rozsuwała zasłony. Być może otuchy dodawała jej myśl, że gdzieś tam, niedaleko, jest duch jej dziecka. Może bliskość miejsca, gdzie utonęła córeczka, sprawiała, że Peg czuła się bliżej niej.

Dziewczyna stała tak, wdychając wilgotne powietrze i wpatrując się w odległy horyzont i bezkresne morze. Sierp księżycy świecił jasno jak wydęty przez wiatr żagiel małej łódki, powoli wznosząc się w górę i skrapiając wodę bladą wstążką srebra. Ellen czuła do Peg jeszcze większą sympatię, skoro wiedziała już o jej rodzinnej tragedii. Pomyślała, że Oswald też pewnie o tym wie, bo był jej bliskim przyjacielem, a może nawet powiernikiem. Przypomniała sobie dzisiejsze śniadanie i pogodne przekomarzanie się ciotki z braćmi. Posiadanie dużej rodziny przynosiło ukojenie. Pomyślała o swojej, którą zostawiła w Londynie. Niewielką znalazła w tym pociechę.

Później położyła się do łóżka i słuchała huku fal i wycia wiatru, który omiatał ściany domu. Kojąca kołysanka. Nie dobiegały jej odgłosy syren, warkot motorów czy samochodów. Żadne pokrzykiwania pijanych hulaków, którzy chwiejnym krokiem szli ulicami po wypadzie na miasto, ani hałaśliwych sąsiadów włączających głośną muzykę. Odgłosy wsi były delikatne i tajemnicze, a ciemność głęboka i niezmierna. Nie minęło wiele czasu, zanim Ellen odpięła w sen.

Rano obudził ją jazgot kawki i szczekanie Pana Borsuka, który przeganiał z

Peg owce na pastwisku. Leżała tak przez chwilę, delektując się tym, że nie musi wstawać do pracy. Była to dla niej pewna nowość. Dzień rozpościerał się przed nią jak puste strony jej powieści. Mogła je kreować tak, jak tylko przyszło jej do głowy.

- Jak było wczoraj w pubie? - zapytała ją ciotka, kiedy dziewczyna pochylała się nad miską owsianki.

- Bardzo głośno - odpowiedziała. - Poznałam tylu moich krewnych. Wychodzi na to, że macie przewagę w miasteczku.

- Tak mi się zdaje. Choć oprócz nas jest w tym rejonie kilka dużych klanów. - Peg karmiła Kafkę z ręki kawałkiem chleba. Łapczywie chwycił go dziobem. - Co będziesz dzisiaj robić? Zaczyniesz pisać?

- Chyba pójdę na długi spacer i po południu spróbuję wymyślić fabułę.

- Dobry pomysł, skarbie. W okolicy jest wiele pięknych miejsc w sam raz na przechadzkę.

Ellen upiła łyk herbaty, zastanawiając się, dlaczego w kuchni Peg smakuje lepiej niż w jej własnej.

- Przywieź ci coś z miasteczka?

- Co masz na myśli?

- Jedzenie.

- Ach, to. Nie, wczoraj byłam po sprawunki.

Ellen uznała, że sprawunki oznaczały zakupy spożywcze. Zaczynała się już przyzwyczajać do irlandzkiego akcentu i słownictwa.

- Chciałabym się dorzucić, ciociu Peg.

Ciotka momentalnie się rozpromieniła.

- Czyli podoba ci się tu?

- Tak.

- I dobrze. - Ellen miała skonsternowaną minę. - Jeśli masz zamiar się dołożyć, znaczy to, że zamierzasz tu trochę pobyc. Nikt nie składa takiej propozycji, jeśli chce się zatrzymać tylko na kilka dni.

Ellen odwzajemniła uśmiech, nieco zawstydzona.

- Jeśli to nie problem.

- Oczywiście, że nie problem, skarbie. Możesz zostać, ile tylko będziesz miała ochotę. Nie mam kolejki chętnych na twój pokój.

- Więc na razie go zaklepuję.

- Świetnie. I nie bądź niemądra. Jeśli będę potrzebowała twojego wkładu, to o niego poproszę. Mówię wszystko prosto z mostu, więc nie będę się krępować, żeby powiedzieć, o co mi chodzi.

- W porządku, umowa stoi.

- Jest taki piękny dzień, idealny na zwiedzanie okolicy. Możesz wziąć moje

auto, jeśli chcesz. Nigdzie się dziś nie wybieram.

- Myślisz, że Johnny i Joe będą mieli coś przeciwko temu, jeśli powłóczę się w okolicach zamku?

- Sądzę, że będą zachwyceni. Jak każdą wymówką, by przestać pracować. - Cmoknęła. - Nie mogę sobie wyobrazić, że tym dwóm uda się tam czegokolwiek dokonać. Kiedy pani Macausland żyła, ciągle tylko sadzili i sadzili nowe rośliny w ogrodzie. Mój Ronan zbudował ławkę wokół drzewa, żeby mogła nacieszyć się widokiem jeziora, i domek dla dzieci. Miała mnóstwo pomysłów. Chyba się nudziła.

- Odniosłam wrażenie, że Ronan bardzo ją lubił.

- I to jak. Wiele zarobił na zleceniach od niej. - Zachichotała czule na wzmiankę o synu. - Ronan był w nią chyba lekko zapatrzonej. Śmierć Caitlin bardzo nim wstrząsnęła. Rozprawiał zawzięcie o tym, jak to zabił ją mąż, i jeśli mam być szczerą, wszyscy mieliśmy go trochę dość. Policja nigdy nikogo nie aresztowała i nie było żadnego dowodu na ingerencję osób trzecich, ale Ronana nie dało się przekonać. Tak naprawdę nikt nie wie, co darzyło się tamtej nocy, ani Ronan, ani nikt inny, oprócz Connora Macauslanda. Ronan może sobie myśleć, co mu się podoba. Teraz nie lubi jej wspominać, nawet kiedy Inni o niej mówią.

- To rozumiałe. Był jedną z niewielu osób tutaj, które naprawdę ją znały.

- Cóż, nie należała do niego, ale umiała sprawić, by każdy w jej towarzystwie czuł się wyjątkowo. Ronan uważał, że jest przy niej wyjątkowy, ale tak samo było z Jimmym i Joem. Była jak czarodziejka, a oni wszyscy ulegali jej zaklęciom. To rozumiałe, że Ronana dotknęła jej śmierć. Jest nieodwracalna. Trudno się nią pogodzić.

Ellen odwróciła wzrok. Znając historię córki Peg, czuła się nieswojo, patrząc na ciotkę, gdy ta mówiła o śmierci, jak gdyby samo spoglądanie na nią było jakimś wścibstwem.

Chwilę później Ellen jechała drogą pod dębami do zamku Ballymaldoon. Choć początkowo wydawał jej się straszny, teraz przyciągało ją jego piękno. Słońce świeciło przez gałęzie, tworząc na drodze przecinające się wzory cieni, które drgały, gdy gałęziami poruszał wiatr. W oślepiającym świetle dnia sam zamek wyglądał niegroźnie, a jego wieże i wieżyczki sprawiały bajkowe wrażenie. Czerwona ciężarówka Johnny'ego stała zaparkowana przed zamkiem obok kolejnego małego auta, które prawdopodobnie należało do sprzątacza lub zarządcy. Choć Ellen bardzo chciała się porozglądać po wnętrzu zamku, wiedziała, że gdyby ktoś przyłapał ją w środku, uznałby, że myszkuje. Zadowolona się więc terenem wokół budowli.

Spacerowała sobie, rozglądając się za Johnnym i Joem, ale posiadłość była

tak wielka i pełna otoczonych murami ogrodów, arboretów i sadów, że szybko się poddała i zaczęła iść przed siebie, nie wiedząc, dokąd zmierza. Od czasu do czasu słońce zniknęło za chmurą, pograżając ją w cieniu, by wyłonić się chwilę później, rozpraszając cienie nad pagórkami i w dolinie. Widok był spektakularny. Ellen poczuła, jak poprawia jej się nastrój, a serce wypełnia radością, kiedy sama przemierzała dzikie tereny. Szła po stromych zboczach i przeskakiwała małe strumienie, wspinała się po skalistych graniach i wijących się skalnych ścianach. W powietrzu rozbrzmiewał śpiew ptaków, a wiatr niósł zapach żyznej ziemi i różowych irlandzkich wrzosów, które wyrastały pomiędzy skał, dodając surowemu krajobrazowi zaskakujące przebliski koloru. Dała się pochłoniąć naturze, pozwalając swojej ciekawości pchać się dalej i dalej w jej otchłanie.

Ellen szła i szła. Nie wiedziała dokładnie, jak długo, bo zapomniała rano zegarka. Żołądek przypominał jej, że zbliża się pora lunchu, i zganiła się po cichu za to, że nie wzięła ze sobą nawet herbatnika. Starając się przypomnieć sobie, z której strony przyszła, zaczęła wracać po swoich śladach. Problem polegał na tym, że dla jej niedoświadczonego oka każdy pagórek i dolina wyglądały tak samo. Kiedy już zdawało się jej, że jest na dobrej drodze, pojawiał się przed nią kolejny horyzont, udowadniając, że nie ma racji.

Na początku nie panikowała. Była przekonana, że w końcu znajdzie ścieżkę do zamku albo zauważy jego wieże, a nawet morze. Zachciało jej się pić, a z każdym krokiem jej stopy stawały się coraz cięższe, ale wspaniałość krajobrazu sprawiała, że przestawała myśleć o dyskomforcie i nabierała otuchy. Szła jakieś pół godziny, zanim postanowiła wspiąć się na szczyt wzgórza. Stamtąd z pewnością dostrzeże zamek i odnajdzie właściwy kierunek. Pospiesznie ruszyła pod górę, czując, jak gardło zaciska się jej w wyczekiwaniu. Jednak gdy zbliżała się do szczytu wzniesienia, zdała sobie sprawę, że za nim znajduje się kolejny szczyt, na który trzeba wejść. Nie była nawet blisko prawdziwego wierzchołka góry, za to naprawdę się zgubiła. Zaczęła panikować. A jeśli nigdy nie znajdzie drogi do domu? Czy zamarznie tu na śmierć? Był w końcu środek lutego. Czy ktokolwiek będzie wiedział, gdzie jej szukać? Gdyby zaczęła krzyczeć, czy usłyszałby ją ktoś oprócz ptaków?

Zaczynał ogarniać ją strach, ale w tej samej chwili usłyszała, jak ktoś gwizdże, a potem przywołuje swojego psa. Serce zaczęło jej bić mocniej na myśl o ratunku, zaczęła więc biec w stronę głosu, na ile tylko pozwalały jej zmęczone nogi. Wdrapywała się na skały i potykała na zboczach, aż w końcu zsunęła się po jednym z nich niemal wprost na wielkiego konia kasztanowej maści i jego jeźdźca, który szedł w jej kierunku po grzbiecie wzgórza.

Zaskoczony koń zarzucił łbem i podniósł przednie kopyta. Mężczyzna

uspokoił wierzchowca doświadczoną ręką i rzucił Ellen gniewne spojrzenie.

- Co pani, u diabła, wyrabia?!

Ellen czuła jednak tak obezwładniającą ulgę, że go nie słyszała.

- Dzięki Bogu! - wydyszała, chwiejnym krokiem schodząc mu z drogi.

Z trudem łąpała powietrze i była cała czerwona po biegu, a chęć wybuchnięcia płaczem niemal zupełnie ją obezwładniła. Nie zauważyła irytacji mężczyzny, która szybko zmieniła się w skrywaną troskę, kiedy zobaczył, jak bardzo dziewczyna jest przestraszona.

- Nic pani nie jest? - zapytał szorstko.

Jego irlandzki akcent był łagodny w porównaniu z wymową Byrne'ów. Ellen energicznie pokiwała głową, łapiąc oddech. Chwilę później na krawędzi wzgórza pojawił się jasnobrązowy mastif i zaczął biec w ich stronę.

- Jaki wielki pies - powiedziała Ellen, kiedy mięśnie jej nóg przestały drżeć ze zmęczenia.

- Proszę się nie martwić. Nie zje pani. Jest pani za mała - poinformował ją mężczyzna. Jego głos złagodniał. - Nie jest pani stąd, prawda?

- Nie. Jestem z Londynu.

- Przebyła więc pani długa drogę.

Kąciki jego ust podniosły się lekko w niewyraźnym uśmiechu.

Ten żart i u niej wywołał uśmiech.

- Chciałam powiedzieć, że stale mieszkam w Londynie. Teraz zatrzymałam się u ciotki.

- Którą jest...?

- Peg Byrne.

Pokiwał głową na znak, że kojarzy.

- Kolejny członek rodziny, co? - Zmierzył ją wzrokiem.

- Tak, jest nas strasznie dużo, prawda?

- Jak pani na imię?

- Ellen.

- Co tu robisz, Ellen?

Jego władczy ton sprawił, że serce zaczęło jej łomotać. Wpatrywała się w jego twarz, którą częściowo zasłaniały brązowy kapelusz i miękka czarna broda. Rozpoznała go po obrazie, jaki stworzyła w swojej głowie, rozmawiając z Johnnym i Joem. Był przystojny, miał śniadą cerę i najbardziej błyszczące chabrowe oczy, jakie kiedykolwiek widziała, głęboko osadzone i otoczone gęstwiną czarnych rzęs. Włosy sięgały mu do ramion i sprawiały wrażenie, jakby od dawna nikt ich nie czesał. Patrzył na nią władczym wzrokiem, czekając na odpowiedź, i Ellen od razu zgadła, kim jest. Nie mógł to być nikt inny. Sprawiał wrażenie mężczyzny, który

panuje nad każdym skrawkiem tych wzgórz.

- Obawiam się, że mogłam wejść na pana teren - powiedziała, zapominając o zmęczeniu, teraz, kiedy już wiedziała, z kim ma do czynienia.

Skinął głową.

- Obawiam się, że tak. - Jednak jego uśmiech upewnił ją, że się nie gniewa.
- Jestem Conor Macausland. To moja ziemia, a ty pewnie się zgubiłaś.

- Tak. Spacer sprawił mi tyle przyjemności, że nawet nie przyszło mi na myśl, że mogę nie być w stanie znaleźć drogi do domu. Nie miałam zamiaru tak daleko się zapuścić.

- Z której strony przyszłaś?

- Spod zamku. Byłam z Johnnym i Joem - dodała pośpiesznie, chcąc usprawiedliwić swoją obecność. - Trochę im pomagałam...

- A teraz chcesz wrócić?

- O, tak. Pokaż mi tylko drogę, a jestem pewna, że dam sobie radę.

Była zawstydzona, że zachowała się tak nierozsądnie.

Conor roześmiał się i pokręcił głową.

- Podoba mi się twój hart ducha, ale nie mógłbym ci pozwolić iść cały ten szmat drogi aż do zamku. To dalej, niż ci się wydaje, a wyglądasz na wyczerpaną. Mój dom jest niedaleko. Jeśli ze mną pójdziesz, odwiozę cię do zamku samochodem.

Serce zaczęło jej bić jak młotem. Sama myśl towarzyszenia Conorowi Macauslandowi do jego domu była dość niepokojąca. Odrzuciła jednak swoje wątpliwości i uciszyła słaby głosik, który podpowiadał jej, by nigdzie nie chodziła z obcymi, a co dopiero z mężczyzną, który być może zabił żonę, po czym ruszyła za nim po zboczu wzgórza ku dolinie.

Dobrze znam to spojrzenie. To, jak usta Conora unoszą się w kącikach, a jego oczy nabierają wyrazu i ciepła. Potrafią być lodowatoniebieskie. Nie ma jednak nic lepszego na to, by odtajały do delikatniejszego, modrego odcienia, niż obecność pięknej kobiety. Kiedyś patrzył na mnie tymi łagodnymi oczami, a wtedy moja niechęć roztopiała się jak lód i zanurzałam się w beztroskiej amnezji. Zapominałam o awanturach i oskarżeniach. Zapominałam o samotności i pożerającej mnie tęsknocie za miłością, którą nieustannie odczuwałam. Kiedy tak na mnie patrzył, niczego mi nie brakowało.

Teraz jego ciekawość pobudziła ta dziwna dziewczyna, która bezprawnie weszła na jego ziemie. Ledwie dotrzymuje mu kroku, tak trzęsą się jej nogi. Boi się go, ale nie daje tego po sobie poznać. Johnny i Joe Byrne nie na żarty wystraszyli ją tą swoją głupia paplaniną. Niepokoi ją też Magnum, który bardziej przypomina lwa niż psa, a alergia na końską sierść sprawia, że oczy zaczynają jej łzawić, a skóra swędzieć. Jej urodę maskują policzki oblane rumieńcem aż po nos, gdzie twarzy dosięgał chłód, ale sądzę, że Conor nie daje się im zwieść. Tak jak pies, który na kilometr potrafi wyczuć sukę, Conor ma zmysł, który reaguje na atrakcyjne kobiety, nawet jeśli mają napuszone włosy, a ich zmysłowe ciało skrywa wielka kurtka.

Rozmawia z nią i zadaje jej osobiste pytania. Dziewczyna odpowiada mu ostrożnie, niewiele zdradzając. W końcu w zasięgu wzroku pojawia się dom i czuję jej ulgę na jego widok. Wydaje mi się, że jest bardziej zmęczona, niż daje po sobie poznać. Reedmace House to prosta posiadłość z szarego kamienia, z oknami o białych framugach i z dzielonymi szybami i zwykłym dachem krytym dachówką, a mimo to ma w sobie pewien urok. Latem przód domu porasta biała wisteria, a w ogrodzie na drzewach owocowych rosną jabłka. Wiosną wiatr niesie białe płatki ich kwiatów niczym śnieg. Kiedy mieszkaliśmy w zamku, Conor odnowił ten dom z zamiarem oddania go rodzicom, jednak jego ojciec zmarł, a matka postanowiła zostać w Dublinie, zamiast mieszkać sama w posiadłości na pustkowiu, kilometry od najbliższych sąsiadów. Dom pozostał więc pusty niczym śliczna dziewczyna, która wystroiła się na wieczór, choć nie ma gdzie pójść.

Uwielbiam potok, który wije się w dolinie, i szary kamienny most, który teraz częściowo zarósł bluszczem. Kiedyś, kiedy ludzie przemieszczali się konno i w powozach, most stanowił część szlaku komunikacyjnego. Kiedy samochody stały się dla niego za ciężkie, trasę poprowadzono gdzie indziej, stary nieutwardzony

trakt został porzucony na łaskę drzew i wrzosów, a most na pastwę trolli i koziołków z mojej wyobraźni. Jest w nim coś magicznego, jakby był częścią wyśniewionej krainy, do której trafiło się całkiem przypadkowo, choć ma się wrażenie, jakby wtargnęło się tam bezprawnie i nie powinno się tam przebywać. Teraz jednak mogę siedzieć tu tyle, ile tylko zechcę. Czasem widzę, jak światło tańczy tu niczym małe wróżki, ale może to być tylko zwodnicza gra słonecznych promieni.

Kiedy docierają do domu, Conor odprowadza konia do stajni z siedemnastego wieku, która znajduje się za domem. To podniszczony budynek, z zegarem o łaskawym obliczu tuż nad łukowatymi drzwiami, które otwierają się jak witające cię objęcia. Zegar nie działa od lat, może nawet wieków. Zatrzymał się, pokazując piętnastą czterdzieści pięć, i tak pozostanie już pewnie na zawsze. Lubię sobie myśleć, że sto lat temu o piętnastej czterdzieści pięć stało się coś magicznego, co zatrzymało zegar na zawsze: coś romantycznego i smutnego, jak śmierć ukochanego.

Ellen przycupnęła na starych kamiennych stopniach, po których wsiada się na konia, i zaczyna palić papierosa. Widzę, że trzęsą się jej dłonie. Cała się rozpromieniam na ten widok, bo Conor gardzi tym nałogiem. Podczas gdy ona wciąga w płuca truciznę, mój mąż wprowadza konia do środka i przekazuje go synowi pary, która zajmuje się posiadłością, kiedy on jest w Dublinie. Nie pochodzą z Ballymaldoon. Conor postarał się o ludzi, którzy nic nie wiedzieli o skandalu związanym z moją śmiercią. Meg i Robert są dyskretni. Jeśli czegokolwiek się dowiedzą, nie przekazują tego dalej. Meg sprząta i gotuje, a Robert zajmuje się stajnią i ogrodami. Ich syn Ewan to energiczny dziewiętnastoletni chłopak, który chętnie bawi się z Finbarem i Idą, kiedy przyjeżdżają z miasta na wakacje. Mają teraz ferie i budują obóz z kamieni i drewna. Mają zamiar rozpalić ognisko i zaparzyć sobie herbatę. Gdybym żyła, snułabym urokliwe historie i przykryci kocami siedzielibyśmy razem pod gwiazdzistym niebem, aż nastalaby pora snu. Finbar i Ida uwielbiali moje opowieści. A teraz, kiedy podrośli, jeszcze bardziej by je docenili. Nadal mają Daphne, choć jej czytanie nie poprawiło się wraz z upływem lat. Muszę być wdzięczna; są przez nią kochani.

- Wyglądasz na zziębniętą i zmęczoną, Ellen - powiedział Conor, stając nad nią z rękami opartymi na biodrach. Zauważyłam jego biodra, kiedy po raz pierwszy się spotkaliśmy; jego dzinsy wisały na nich nisko, co podkreślała sprzączka paska. Jest wysoki, ma szerokie ramiona i długie nogi. Jest postawny i wysportowany, a ubrania dobrze na nim leżą. Nawet teraz, kiedy przez swoje nieszczęście nie stroni od alkoholu, nie stracił formy. Podoba mu się ta dziewczyna. Ale podobało mu się wiele dziewczyn i wiele z nich zabrał nawet do łóżka, by następnego dnia pozbyć się ich jak butelek po winie, które tylko chwilowo uśmierzało jego ból.

Uśmiecha się do niej. Pod wpływem uśmiechu jego twarz kompletnie się zmienia. Usta Conora są życzliwe i zmysłowe, a to, jak unoszą się w kącikach, sprawia, że wygląda piekielnie pociągająco. Kiedy żyłam, nie nosił brody, ale teraz stał się leniwy w kwestii dbania o siebie i nie przejmuje się ani długością włosów, ani brody. To zewnętrzna oznaka jego głębokiej rozpacz, tak jakby teraz, skoro mnie nie ma, życie straciło sens.

Spogląda na nią swoimi ciepłymi błękitnymi oczami, a ona nie może mu się oprzeć. Odwzajemnia uśmiech, a jej obawy rozptywiają się w jasnym świetle jego charyzmy. Wiem, jak ona się czuje; też to kiedyś przeżyłam. Nie może jednak myśleć, że to potrwa. Kobiety Ignęły do Conora jak biedronki do słońca i wszystkie czuły ten sam chłodny dreszcz rozczarowania, kiedy odwracał się od nich i zostawiał w cieniu. Tylko ja byłam na stałe; nawet jeśli odwracał się ode mnie, zawsze przychodził z powrotem. Zawsze. I mimo że nie żyję, nadal pławię się w wiecznym blasku jego miłości.

- Wejdźmy do środka. Zrobię ci herbaty, żebyś się rozgrzała - mówi.

- Na pewno? Nie chcę sprawiać kłopotu.

Gasi papierosa i wstaje.

Conor uśmiecha się, jakby jej słowa uważał za niedorzeczne.

- To żaden kłopot, naprawdę. Jeśli mam być szczery, sam bym się chętnie napił.

Idą w stronę domu i wchodzi do środka tylnym wejściem. Dzieci siedzą w kuchni z Daphne. Właśnie skończyły podwieczorek. Na widok Magnuma zrywają się od stołu i biegną, by go przytulić. Ellen wygląda na zdumioną tym, że ktokolwiek odważył się objąć taką bestię. Ale Magnum jest bardzo łagodny. Dzieci tęsknią za nim, kiedy są w mieście, a ja nie mam wątpliwości, że pies też za nimi tęskni, ale jest za duży, by rzucić się do powitań.

- Mamo, poznaj Ellen, siostrzenicę Peg Byrne - mówi Conor. - A te dwie małe łasiczki to moje dzieci, Finbar i Ida.

- Miło cię poznać, Ellen - odpowiada Daphne i marszczy czoło, zastanawiając się, gdzie Conor znalazł tę nieznaną dziewczynę. - Proszę mówić mi Daphne - proponuje, podczas gdy Ellen próbuje zdusić w sobie kichnięcie. Jej oczy są teraz napuchnięte i przepelnione łzami. Finbar szepcze coś do swojej siostry i oboje chichoczą.

- Moja droga, wyglądasz, jakbyś miała na coś alergię - życzliwie mówi Daphne.

- Na konie - odpowiada Ellen.

- Przyniosę ci lek antyhistaminowy. Finbar latem dostaje kataru siennego, więc zawsze jakiś mamy w szafce z lekami.

- Przepraszam, zwykle nie mam tak złego wpływu na kobiety - żartuje
Conor.

Ellen śmieje się i znów kicha. Chwilę później Daphne wraca z tabletką.

- Zaparzę wam obojgu herbaty. Wyglądacie na przemarzniętych.

- Spotkałem Ellen na wzgórzu - mówi Conor, siadając przy kuchennym
stole.

- Zgubiłam się - wyjaśnia dziewczyna.

- Nic dziwnego, że przemarzłaś. Może ściągniesz kurtkę i buty i usiądziesz?

Jesteś głodna? Jadłaś coś?

- Naprawdę nic mi nie jest.

- Postawię na stole coś do jedzenia i jeśli zechcesz, zrobisz sobie kanapkę.

Daphne cieszy się z towarzystwa. Chciałaby, żeby syn wrócił do życia. Powiedziałabym jej, żeby nie marnowała na to sił. Conor nigdy nie wróci do życia. Minęło pięć lat. A mimo to Daphne ma nadzieję. Na stole stawia jedzenie i herbatę. Ellen obejmuje dłońmi różowy kubek i pochyla się nad nim jak żebrak nad garnuszkiem z monetami. Mówiła że nie jest głodna, ale wkrótce robi sobie kanapkę i łapczywie zatapia w niej zęby. Conor zawsze jest głodny. Mężczyźni sprawiają wrażenie, że nigdy nie są syści. Odkrawa sobie kawałek sera i pajdę chleba i zabiera się do nich, jakby nie jadł od tygodni. Dzięki posiłkowi oboje odzyskują siły. Finbar i Ida bawią się z psem i przeszkadzają ojcu, zadając mu pytania, Daphne nalewa sobie filiżankę herbaty, podczas gdy w kuchni dyskretnie pojawia się Meg i zaczyna przygotowywać obiad dla dzieci.

- Wiesz co, nigdy bym nie pomyślał, że jesteś jedną z Byrne'ów - mówi
Conor, mrużąc oczy i mierzając ją wzrokiem. Ellen ściąga kurtkę i wzrok swojego
męża grzeźnie na moment na jej wydatnych piersiach skrytych pod swetrem.

- Pewnie dlatego, że całe życie spędziłam w Londynie - odpowiada.

- To wyjaśnia twój akcent. W ogóle nie mówisz jak oni.

- Oni twierdzą to samo. Mój ojciec jest Anglikiem, a matka zgubiła irlandzki
akcent.

Conor unosi brwi.

- Twoja matka wyszła za Anglika. Rodzina musiała być zachwycona.

Zerka na swoją matkę, która sama jest Angielką poślubioną Irlandczykowi,
choć ona przynajmniej była katoliczką.

- Nie wydaje mi się, żeby łatwo to przełknęli. Mój ojciec jest protestantem,
ale mnie oczywiście wychowali jako katoliczkę.

- A na jak długo przyjechałaś? - pyta Daphne.

Moja teściowa jest rzeźbiarką, ekscentryczną, jak zwykle bywają artyści.
Ma na sobie szerokie spodnie khaki, fioletowe trampki i jaskrawy szalik w kwiaty,

który zwisa wzdłuż grubego podkoszulka. Ma dłonie artystki - szorstkie i pokryte resztkami starej gliny.

Ellen lubi Daphne, widzę to. Na początku też ją lubiłam, zanim zaczęła się wtrącać.

- Jeszcze nie wiem - odpowiada dziewczyna. - Nie mam planów. Przyjechałam tu napisać książkę, więc myślę, że szybko nie wyjadę. Poza tym naprawdę mi się tu podoba. Już czuję się jak u siebie, mimo że to dopiero mój trzeci dzień.

- To właśnie wpływ Connemary - mówi Daphne z szerokim uśmiechem. Ona też zakochała się w tym miejscu.

Ellen odwzajemnia uśmiech.

- Wszyscy tak mówią.

- Mają rację - zgadza się Conor. - Przyjechałem tu kiedyś na zdjęcia w plenerze, a skończyło się na tym, że kupiłem zamek.

Śmieje się, jakby nagle uznał swoją impulsywność za absurdalną.

- Pracujesz teraz nad jakimś filmem? - pyta Ellen.

Wiem, że nie ma chęci. Że od mojej śmierci nie wyprodukował ani jednego filmu, ale teraz wzrusza ramionami.

- Szykuje się kilka projektów - kłamie, a jego matka zastania twarz filizanką. Zna prawdę. Connor przesiaduje w pubach w Dublinie, podczas gdy powinien być w biurze, a frustrację rozładowuje, uderzając piłkami o ściany kortu do squasha. Jego lęk jest niestały jak nasiona sykomory na wietrze, które nie mają gdzie osiąść.

- Domyślam się, że przemysł filmowy ucierpiał przez recesję - mówi Ellen.

Conor odkrawa kolejny kawałek chleba.

- Dobra fabuła to dobra fabuła, ale one są jak diamenty trudne do znalezienia. Można się natknąć na mnóstwo chłamu.

- Przyjechałam tu w poszukiwaniu inspiracji - mówi Ellen i oczy jej się rozjaśniają. - Muszę przyznać, że czuję się bardzo zainspirowana. To piękno coś porusza w człowieku. - Uderza się w pierś, tam, gdzie znajduje się serce. - O tu.

- Masz rację, Ellen. Piękno to najbardziej inspirująca rzecz pod słońcem - przytakuje jej Daphne. Bierze swój kubek i siada przy stole. - Kiedy żył jeszcze ojciec Conora, każde lato spędzaliśmy we Francji. Bugenwille było zachwycające, a te prześliczne miejskie ryneczki z małymi ławeczkami i fontannami tak urocze. Nigdy nie brakowało mi inspiracji. Ale nic tak nie inspiruje jak Connemara. Wydaje mi się, że to tu stworzyłam moje najlepsze prace. Może z tobą będzie podobnie.

Conor milczy. Widzę, że chciałby im powiedzieć, że Connemara przypomina mu o mnie i że od mojej śmierci nie czerpie przyjemności z przebywania w tym miejscu. Gdyby nie dzieci, którym tak się tu podoba, pewnie w

ogóle by tu nie przyjeżdżał. Ale z jakiegoś powodu nie sprzedał ani zamku, ani posiadłości. Być może trzyma je, by pozostać ze mną w kontakcie, żeby on i dzieci mieli coś po mnie, czego mogą dotknąć. Gdyby tylko znali prawdę: jestem w wietrze, który owiewa mury zamku i most trolla, jestem w blasku słońca, które ogrzewa ich twarze, kiedy szukają drewna na opał, by rozpaść sobie ognisko, i kamieni, by je otoczyć. Jestem na plaży i we wzgórzach. Jestem z nimi. Zawsze. Gdyby tylko o tym wiedzieli.

Ellen nie mówi im, że widziała mój portret w zamkowym holu. Conor jest onieśmielającym mężczyzną i choć uśmiecha się czarująco i schlebia jej swoim zainteresowaniem, dziewczyna pewnie dostrzega, że łatwo popada w złość. Mimo pogody swojego uśmiechu ma w oczach mrok. Zawsze to w nim kochałam. To mężczyzna, którego nie można okiełznać. Starłam się, ale mi się nie udało. Mogę się teraz do tego przyznać - poza śmiercią to moja największa porażka.

Kiedy tak rozmawiają, podchodzi do nich Ida i siada ojcu na kolanach. Ten obejmuje ją w pasie i przyciąga bliżej do siebie, wtulając twarz w jej ramię. Jego rysy łagodnieją, a Conor wydaje z siebie długie westchnienie zadowolenia. Ellen przygląda się mu i widać po niej, że jest poruszona jego nieskrywaną czułością dla swoich dzieci.

- Ile masz lat, Ido? - pyta Ellen.

- Dziesięć - odpowiada dziewczynka nieśmiało.

- Dziesięć to całkiem sporo. To już dwie cyfry. Jesteś już dużą dziewczynką.

- Ida uśmiecha się z dumą. - Kiedy masz urodziny?

- Ósmego lipca.

- Latem.

- W zeszłym roku w moje urodziny byliśmy w Hiszpanii i Manuela pomalowała mi paznokcie na różowo i narysowała kwiatki z brokatem.

- Musiały wyglądać ślicznie - odpowiada Ellen. Ścisza głos, udając, że mówi do Idy w zaufaniu. - Wiesz, ja też tak potrafię. Jestem bardzo dobra w zdobieniu paznokci. Mam siostrzenice w Londynie, które lubią malować sobie paznokcie u stóp i ozdabiać je brylancikami.

Ida robi wielkie oczy. Uwielbia wszystko, co błyszczący, i na samą myśl o błyskotkach na paznokciach u stóp nie może się opanować.

- To prawdziwe brylanty? - pyta. Dorośli śmieją się z jej naiwności.

- Nie, nie są prawdziwe, inaczej trzeba byłoby zanieść cię do banku i zamknąć w sejfie. Nie sądzę, żeby ci się tam podobało.

Ida marszczy nos i kręci głową.

- Widzę, że masz bujną wyobraźnię - mówi Daphne,. Nigdy nie pomyślałabym o wsadzeniu dziecka do sejfu!

Finbar słyszy ich śmiechy i podchodzi do stołu. Chce usiąść na kolanach ojca, ale nie ma dla niego miejsca. Daphne wyciąga do niego dłoń, którą on ujmuję. Czuję w sercu małe ukłucie zazdrości. Daphne przyciąga go do siebie i całuje w miękki policzek. Tęsknię za dotykiem jego skóry, tam, gdzie tuż za uchem zaczynają się włosy, pamiętam jej zapach. Zostawiam ich i idę do ogrodu, gdzie na jabłoniach pojawiły się pierwsze pąki. Ida powiesiła karmnik na jednej z gałęzi. Podchodzę bliżej i moja obecność płoszy modre sikorki, które odlatują w krzaki.

Po chwili Conor i Ellen odjeżdżają rangę roverem Conora. Podążam za nimi z ciekawości. Rozmawiają już jak starzy dobrzy przyjaciele. Nie ma to jak wspólny posiłek, by ludzie zaczęli czuć się przy sobie swobodnie. Podróż autem do zamku nie jest długa, ale pieszo, wzgórzami - tak. Samochód ciotki Ellen stoi zaparkowany przed wejściem i Conor zatrzymuje się obok niego. Przez chwilę jeszcze rozmawiają, po czym mój mąż wysiada, aby otworzyć dziewczynie drzwi. Jest dżentelmenem w starym stylu. Ja poczekałabym na niego na swoim siedzeniu, ale Ellen już otworzyła drzwi i zaczęła wysiadać.

- Bardzo dziękuję - mówi i nagle pojawia się między nimi dziwne skrępowanie, jak gdyby nie wiedzieli, jak się ze sobą pożegnać. Patrzę na nich z rozbawieniem, bo wiem, że prawdopodobnie już nigdy się nie spotkają. Conor nie bywa w miasteczku i na pewno też nie wybierze się do Peg z wizytą.

- Cieszę się, że cię uratowałem na tamtym wzgórzu - mówi i obdarza ją jednym ze swoich najbardziej czarujących uśmiechów.

-Ja też, choć trochę mi głupio, że zajęłam ci tyle czasu i że wyjadłam całą lodówkę.

- Po takim spacerze zaostrzył ci się apetyt. Ja zawsze jestem tu głodny jak wilk.

- Tak czy inaczej dziękuję raz jeszcze.

- Jedź ostrożnie.

Widzę, że Conor chętnie przedłużyłby rozmowę.

- Dobrze.

- I powodzenia z książką.

- A tak, dziękuję. Już dziś zacznę pisać. Jeśli będę dłużej zwlekać, nigdy się do tego nie zabiorę.

Conor się śmieje - myślę, że zaśmiałyby się bez względu na to, co powiedziałaaby dziewczyna - i patrzy, jak Ellen wsiada do samochodu ciotki i uruchamia silnik. Na chwilę spogląda na zamek i jego twarz momentalnie pochmurnieje. Ellen macha mu, mijając go. Conor odwraca wzrok od zamku i odmachuje. Patrzy, jak jej samochód znika za dębami, i wtedy znów spogląda na zamek. Wiem, że próbuje oprzeć się impulsowi, by wejść do środka i popatrzeć na

mój portret. Stoi tak przez pewien czas, tylko patrząc na budowlę, ale nie rusza w jej stronę. W końcu opiera się tej myśli i wraca do samochodu.

Teraz jeszcze bardziej zainteresowałam się Angielką, bo najprawdopodobniej jest ona dla mnie jedynym sposobem komunikowania się z otoczeniem. Już raz mnie wyczuła - wyczuje mnie ponownie. Jestem o tym przekonana. Nie wiem jak, ale jestem pewna, że dzięki niej będę mogła dać znać Conorowi i moim dzieciom, że nie odeszłam.

Dobrze znam dom Peg z czasów, kiedy mieszkał w nim Ronan, ale nie byłam tam od swojej śmierci. Znam owce i obrzydliwą lamę, łagodnego osiołka i świnię. Pan Borsuk stał na wzgórzu i czekał na mnie, kiedy byłam w latarni, jak gdyby wiedział o niebezpieczeństwie, które mi groziło, i chciał mnie ostrzec. Stoję na wzgórzu i patrzę w morze, na miejsce mojej śmierci. Woda jest teraz czarna, bo niebo zasnuło się chmurami. Fale napływają i odpływają, białą pianą rozbijając się o skały. W lutym zmrok zapada wcześniej i kontury latarni odznaczają się na tle nieba w kolorze indygo. Pamiętam czasy, kiedy latem kochaliśmy się tu na trawie. Czasy, kiedy Connor trzymał mnie w objęciach i szeptał mi do ucha, że jestem dla niego wszystkim. Pamiętam noce pod gwiazdami, kiedy patrząc na księżyc, wiedziałam, że zrobiłby dla mnie wszystko. Absolutnie wszystko. Och, jakie to uczucie być tak kochaną. A teraz? Latarnia była moja. Moja własna sekretna wyspa. Jedyne miejsce, w którym naprawdę czułam się bezpieczna - jedyne miejsce, w którym nigdy bezpieczna nie byłam.

A teraz stoję na wzgórzu i czekam na Ellen. Widzę dziewczynkę przed domem Peg. Ubrana jest na biało i ma w sobie blask, którego pozbawieni są żywi. Ma długie czarne włosy, które lśnią tak, jak nie lśnią ziemskie. Wpatruje się we mnie wielkimi, odważnymi oczami, a jej uśmiech jest nieśmiały, ale spokojny. Pojmuję wtedy, że to zjawą, ale w przeciwieństwie do mnie otacza ją jasność nie z tego świata. Ja jestem z tego świata, ale ona? Nie, ona nie. Jest jaśniejsza, jak gdyby powstała z najdelikatniejszych promieni. Uśmiecham się do niej.

Drzwi się otwierają i z domu wychodzi Peg, by przespacerować się z Panem Borsukiem. Nie widzi dziewczynki, ale to mnie nie dziwi. Tkwię w tym zawieszeniu wystarczająco długo, by wiedzieć, że żyjący bardzo rzadko widzą dusze zmarłych. A kiedy już nas dostrzegają, nie brak osób, które wyzywają ich od wariatów, naiwniaków lub kłamców. Gdybym tylko wiedziała wtedy to, co wiem teraz. Nic dobrego nie wynika jednak z myślenia o rzeczach, których nie można mieć. Tego też się nauczyłam. Patrzę na dziecko i nagle zdaję sobie sprawę, że małą zjawą jest córka Peg, która utonęła. Nie mam pojęcia, skąd to wiem, ale jestem tego pewna.

Peg idzie do owiec. Wchodzi na pastwisko. Pan Borsuk zbliża się do małej dziewczynki i wtedy dzieje się coś niesłychanego. Nie mogę w to uwierzyć.

Dziewczynka wyciąga rękę i gładzi psa po głowie. Dotyka go palcami, a on czuje jej dotyk. Zauważam, jak włosy kładą się pod jej dłonią, a mimo to wiem, że ona nie ma ciała. Duch dziecka jest snopem światła, ale w jakiś sposób potrafi wpływać na materialny świat, czego ja nie umiem zrobić.

Peg odwraca się i widzi, że coś rozproszyło Pana Borsuka. Z czułością kręci głową, uznając, że jej pies jest zwyczajnym ekscentrykiem. Gwiżdże na niego i zwierzę stawia uszy. Dziewczynka cofa dłoń i Pan Borsuk biegnie na pastwisko. Rusza za nim, radośnie podskakując. Patrzę w górę, na niebo, pewna, że księżyc już się wyłonił i teraz na nas świeci. Ale nie - chmury są gęste i szare, a powietrze wilgotne od mżawki. Nie widać księżyc, ale mała dziewczynka sama w sobie jest światłem i kiedy staje koło Peg, stara kobieta zostaje skąpana w jego blasku. Zastanawiam się, czy gdzieś w podświadomości jest w stanie to poczuć.

Ellen zaparkowała samochód w zatoczce i głęboko odetchnęła. Po raz pierwszy od przyjazdu tutaj miała ochotę zadzwonić od Emily, żeby podzielić się z nią swoim podekscytowaniem. „O, Boże! To najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego w życiu widziałam - powiedziała do siebie. - Conor Macausland! Właśnie zjadłam posiłek ze słynnym Conorem Macauslandem”. Zamknęła oczy i znów je otworzyła, aby się upewnić, że nie śni, i chwyciła mocno kierownicę, by dłonie przestały się jej trząść.

Wiedziała, że nie powinna czuć podekscytowania z powodu mężczyzny, którego wielu obwinięło o śmierć zony. Nie miała wątpliwości, że jest niebezpieczny - matki przestrzegają córki przed takimi mężczyznami. Ale mrok, który otaczał jego imię, tylko dodawał mu uroku i uwydatniał jego charyzmę. To, że mógł okazać się niebezpieczny, zwyczajnie sprawiało, że zyskiwał na atrakcyjności.

Niespodziewanie to jedno przypadkowe spotkanie zburzyło cały jej świat. Tak długo skupiała się wyłącznie na Londynie, a teraz skoncentrowana była jedynie na małym irlandzkim hrabstwie Connemara. A konkretnie na dzikim i pięknym zamku Ballymaldoon i fascynującym mężczyźnie, do którego należał. Jej rodzice, William i londyńscy znajomi zeszli na drugi plan, by nie zasłaniać nowego źródła fascynacji. Teraz istniał tylko Conor Macausland... i pożądanie, które niespodziewanie nią zawładnęło.

Wyobrażała sobie jego nonszalancki uśmiech i ciemne niebieskie oczy, które błyszczały jak najjaśniejszy błękit w kontraście z brązową, wysmaganą wiatrem twarzą i długimi czarnymi rzęsami. Tragedia, która go spotkała, wzbudzała w niej jedynie większą do niego czułość. Nigdy wcześniej nie znalazła się pod urokiem mężczyzny z brodą, ale w owłosieniu na jego twarzy było coś dzikiego i emocjonującego, jak gdyby był bohaterem baśni albo dawnym rycerzem. Zresztą broda Conora sprawiała wrażenie niewiarygodnie miękkiej. Ellen wyobrażała sobie, jak to jest poczuć ją na swojej skórze, i ta myśl wzbudziła w niej dreszcz, jakby była czymś zakazanym. Pozostała w samochodzie, aż zrobiło się za zimno, żeby siedzieć w nim bez ogrzewania. Jej dłonie zgrabiwały, ale reszta ciała dzięki kurtce ciotki Peg była rozgrzana. Zanim jeszcze uruchomiła silnik, przeniosła wszystkie swoje pragnienia na tego mężczyznę, który wydawał się zdolny z łatwością je zaspokoić, i zaczęła się zastanawiać, co mogłaby zrobić, aby znów go zobaczyć.

U cioci Peg zjawiała się w radosnym nastroju; zastała ją przy kuchennym stole z Ronanem i Oswaldem. Na jej widok Bertie podreptał do niej i trącił ją mokrym ryjkiem. Ponieważ była taka zadowolona, nachyliła się i pogłaskała go po spiczastej głowie. Była bardziej miękka, niż się spodziewała.

- Proszę, proszę! - zakrzyknęła Peg, krzyżując ramiona na wełnianym swetrze. - Już mieliśmy wysłać ekspedycję ratunkową.

Ellen pomyślała, że jak na trzy osoby, które miały za chwilę wysłać ekipę ratunkową, wyglądali na bardzo spokojnych i odprężonych.

- Gdzieś ty, do diabła, była? - zapytał Oswald. - Cała się rumienisz. Przeskrobałaś coś?

Peg wstała z krzesła.

- Należę ci herbaty. Wyglądasz na przemarznąętą do szpiku kości. Jadłaś coś, skarbie?

Ellen ściągnęła buty.

- Zjadłam lunch z Conorem Macauslandem - odpowiedziała nonszalancko, zadowolona z tego, jaki efekt zapewne wywoła ta informacja. Peg stanęła jak wryta w pół drogi do kuchenki, a Oswald wpatrywał się w nią z rozdziawionymi ustami, podczas gdy twarz Ronana pociemniała od gniewu.

- Jadłaś lunch z panem Macauslandem? - powtórzyła Peg. - Dobrze cię usłyszałam, czy robisz sobie ze mnie żarty, dziewczyno?

- Jak mogłaś sobie pozwolić na coś takiego? - Ronan podniósł głos.

Ellen rzuciła z ramion kurtkę Peg i powiesiła ją przy drzwiach.

- Zgubiłam się, a on mnie uratował - powiedziała, nie umiając ukryć błysku w oczach.

- Rycerz w lśniącej zbroi - stwierdził Oswald z westchnieniem.

- Na pewno! - rzucił Ronan sarkastycznie.

- Jak to: się zgubiłaś? - zapytała Peg.

Ellen kręciła się przy stole, mając na nogach tylko skarpetki, i usiadła na krześle obok Oswalda, naprzeciw Ronana.

- Poszłam na spacer po wzgórzach. Było tak pięknie. Wyszło słońce, wszystko wspaniale pachniało. Czułam przyływ weny.

- Ach, wspaniała Connemara. - Oswald znów westchnął.

- I co dalej? - dopytywała się Peg.

- Szłam i szłam, aż w końcu pomyślałam, że muszę już wracać do domu. Tylko że się zgubiłam. Każde wzniesienie wyglądało tak samo. Chyba kręciłam się w kółko. Naprawdę zaczęłam się bać. Zupełnie nie wiedziałam, gdzie jestem. Wtedy zza wzgórza wyłonił się Conor na koniu i mnie uratował.

- Czy sięgnął po miecz i sieknął twoich wrogów? - droczył się Oswald.

Ellen cmoknęła z niezadowoleniem i przewróciła oczami.

- Zaprosił mnie do swojego domu i zjadłam lunch z jego matką Daphne oraz z dwójką dzieci, które są przeurocze. Za to jego pies jest dość przerażający.

Peg wyglądała na zbulwersowaną.

- Pan Macausland też jest trochę przerażający.

- A ja powiedziałabym, że twoi bracia, ciociu, wyglądają na przerażających, ale kiedy się ich pozna, okazuje się, że są bardzo przyjaźnie nastawieni do świata. Conor właśnie taki jest. Na pierwszy rzut oka, z ciemną brodą i rozczochranymi włosami, wyglądał niepokojąco. Ale okazał się bardzo czarujący.

Ronan nachylił się nad stołem, kładąc łokcie na blacie.

- Nie bądź naiwna, Ellen. W Conorze Macauslandzie nie ma nic czarującego. Nie daj się zwieść jego przystojnej twarzy. - Nie mógł jednak powstrzymać ciekawości. - O czym więc rozmawialiście? - zapytał.

- Nie wiem - odrzekła wymijająco. - O wielu rzeczach. Pytał o mnie. Powiedziałam, że jestem twoją siostrzenicą, Peg, a on zażartował na temat liczebności naszej rodziny.

- Cóż, dobrze zna Johnny'ego i Joego, więc właściwie nie byłaś obcą osobą. Postawiła czajnik na kuchence.

- Daphne jest artystką tak jak ty, Oswaldzie - dodała Ellen.

- Irlandia jest pełna artystów - odpowiedział Oswald, nieporuszony.

- Co tu teraz robi? - zapytał Ronan.

- Dzieci mają ferie - odrzekła Ellen, czując się ważna, skoro teraz to ona miała istotne informacje.

- Pewnie wróci do Dublina tym swoim eleganckim helikopterem, kiedy tylko się skończą.

- Tak myślisz? - spytała Ellen, zawiedziona.

- Rzadko tu bywa, prawda, mamó? Na jego miejscu też bym się tu zbyt często nie pokazywał - dodał.

Peg pokiwała głową.

- To była straszna sprawa. Straszna. Nie dziwię się, że rzadko przyjeżdża. Pewnie każdy zakątek posiadłości przypomina mu o jego pięknej żonie.

Ronan upił ostatni łyk. Ellen zauważyła, że cień wściekłości zachmurzył jego twarz.

- Miałam do niego tyle pytań - mówiła dalej.

- Nie sądzę, żeby nadal wydawał ci się taki czarujący, gdyby na nie odpowiedział - odrzekł Ronan nadąsanym tonem.

- Nie jestem głupia - oznajmiła Ellen. - Nie odważyłabym się wściubiać nos w nie swoje sprawy. Biedak tyle wycierpiał.

W oczach Ronana pojawił się błysk.

- Ale żyje, prawda?

Gwałtownie wciągnął powietrze w płuca, jak gdyby powstrzymywał się od powiedzenia kolejnego słowa. Kafka sfrunął ze swojej żerdzi na oparciu i usiadł na drążku karnisza nad kuchennym oknem. Na zewnątrz było ciemno jak w grobie i wzmógł się wiatr. Wył wokół domu jak upiór.

- Sam jest sobie winien - cicho dodał Ronan. - Oboje są.

- Ach, wszystkie te plotki i insynuacje - powiedział Oswald. - Za dwadzieścia lat ludzie nadal będą o tym rozmawiać.

- I nikt nie będzie wiedział więcej niż teraz - dorzuciła Peg, ściągając czajnik z kuchenki i nalewając wrzątek do imbryka. - Napijmy się jeszcze herbaty i dla odmiany porozmawiajmy o czymś innym.

Wkrótce potem Ronan pojechał do pubu, a Peg zaprowadziła Ellen do małego saloniku, gdzie rozpałała w kominku. Ogień trząskał w palenisku, poprawiając im nastrój.

- Czy Ronan ma dziewczynę? - zapytała Ellen, podpinając laptopa do kontaktu za biurkiem.

- To by było coś - odparła Peg. - Jak widzisz, to bardzo trudny młody człowiek. - Westchnęła ciężko. - To prawdopodobnie moja wina. Dzieci nigdy nie przechodzą bez konsekwencji rozwodu rodziców.

- Jest bardzo przystojny.

- O tak, urody mu nie brakuje. Mężczyźni z tej rodziny zawsze mieli dobrą prezencję. - Peg zaciągnęła zasłony. - Co za wietrzna noc. Dobrze, że dziś nigdzie się nie wybierasz.

- Miło tu zostać. To taki uroczy pokój.

- Dopóki będziesz chciała z niego korzystać, jest do twojej dyspozycji.

- Ciociu, cały czas myślę o tym, jakim jestem dla ciebie ciężarem.

Peg odwróciła się i uśmiechnęła do siostrzenicy.

- Nie jesteś ciężarem, Ellen. Powiedziałabym ci, gdyby tak było. To miło mieć w domu jakąś dziewczynę. Zawsze kręcili się tu tylko chłopcy. Odkąd Ronan się wyprowadził, jest tu tak cicho. Mam Oswalda. - Uśmiechnęła się szerzej. - To cudowny kompan, ale miło jest móc zaopiekować się dziewczyną. - Zawahała się przez chwilę, zastanawiając się nad obiekcjami siostrzenicy. — Wiesz co, jeśli chcesz, możesz pomóc mi z zakupami. Nie potrzebuję twoich pieniędzy. Mam wystarczająco dużo, by starczyło na nas obie. Jak łatwo zauważyć, nie jestem rozrzutna. Ale jeśli chcesz, mogłabyś jeździć po zakupy do Ballymaldoon. Byłabym ci bardzo wdzięczna. Od tej wilgoci w powietrzu bolą mnie kości.

Ellen ucieszyła się, że jest coś, co mogłaby zrobić, choć domyślała się, że

Peg po prostu stara się być dla niej życzliwa. Wilgoć nie powstrzymywała jej od spędzania czasu na zewnątrz ze swoimi zwierzętami.

- Z przyjemnością. Daj mi tylko listę, a przywiezę ci wszystko, o co tylko poprosisz. Pomogę nawet przy inwentarzu. Możesz mnie uznać za swoją prawą rękę.

- No to jesteśmy umówione. - Peg zerknęła na zegarek. - A teraz lepiej pójde zająć się Oswaldem, jest bardzo upierdliwy. Chce, żebym pomogła mu wybrać obrazy na wystawę w ratuszu. Pan Borsuk może tu zajrzeć i położyć się przed kominkiem. Uwielbia ciepło ognia. Niech cię to nie niepokoi. Nie będzie ci przeszkadzał. Gdybyś mnie potrzebowała, będę u Oswalda po drugiej stronie drogi.

- Dziękuję, ciociu Peg. Jestem ci bardzo wdzięczna za to, że cieszy cię moja obecność. Już czuję się tu jak w domu.

Peg się uśmiechnęła.

- Miło to słyszeć, skarbie. Czy teraz zabierzesz się w końcu do pisania?

- Tak.

Peg wyszła, pozostawiając lekko uchylone drzwi. Ogień zaczął skwierczeć i strzelać, pochłaniając podpałkę i liżąc drewno pomarańczowymi językami. Ellen włączyła komputer i czekała zamyślona, aż się uruchomi. Podparła podbródek dłońmi i pozwoliła, by jej myśli powróciły do chwili, kiedy Conor wyłonił się na koniu na skraju wzgórza. Nie była świadoma, że na jej twarz zakradł się uśmiezek, kiedy wyobrażała go sobie w filcowym kapeluszu z nieokiełznanymi włosami i smutnymi oczami. Monitor się zaświecił, ale tego też sobie nie uświadamiała aż do chwili, kiedy Pan Borsuk wszedł do środka i położył się przed kominkiem, wzdychając zadowolony. Uświadomił jej tym samym swoją obecność i wyrwał z marzeń.

Już miała otworzyć skrzynkę mailową, kiedy przypomniała sobie, że Peg nie ma łącza internetowego. Brak kontaktu z ludźmi, przez których uciekła do Irlandii, pewnie wyjdzie jej na dobre. Zamiast tego otworzyła pusty dokument i napisała BEZ TYTUŁU ozdobnym fontem, dodając pod spodem swoje imię i nazwisko. Przynajmniej przez dwadzieścia minut bawiła się czcionkami. Kiedy przejechała kursorem na następną stronę, odkryła, że nie ma o czym pisać. Czysta biel sprawiła, że poczuła gorycz porażki. Dopóki nie wymyśli fabuły, nie ma nawet sensu zaczynać. Miała za to swojego bohatera; znów oparła głowę na dłoniach, zagłębiając się w rozmyślaniach o nim.

Była dwudziesta trzecia, kiedy do drzwi zapukali Johnny i Joe. Ellen była w łóżku i czytała powieść Daphne du Maurier, którą znalazła w bibliotece Peg. Odłożyła książkę i nastawiła uszu. Słyszała, jak w korytarzu Peg gromi ich za to, że

ją obudzili, chociaż prawdę mówiąc, dopiero co skończyła grać w karty z Oswaldem i położyła się do łóżka ledwie dziesięć minut przed ich przyjściem. Ellen zarzuciła sweter na pizamę złożoną z T-shirtu i spodni w paski i zbiegła na dół, żeby sprawdzić, o co to całe zamieszanie.

- A oto i osoba, z którą chcieliśmy się zobaczyć - powiedział Joe na widok kuzynki. Obaj z rozbawieniem zmierzili ją wzrokiem, przyglądając się jej pizamie i włosom w nieładzie. - Przepraszamy, że wyrrywamy cię z łóżka - dodał cierpko.

- Obudzili cię, skarbie? - zapytała Peg.

- Nie, czytałam - odrzekła Ellen. - O co chodzi?

Johnny usiadł przy stole i spojrzał na nią z powagą.

- Do pubu przyszedł dziś Conor Macausland i wypytywał o ciebie.

Ellen poczuła, jak serce podskoczyło jej w piersi.

- Naprawdę?

- Przyszedł do pubu - powtórzył Joe. - Dasz wiarę? Od pożaru jego noga tam nie powstała.

- Co powiedział? - zapytała dziewczyna, starając się nie wyrzec wrażenia zbyt zainteresowanej, co zupełnie się jej nie udało.

- Wszedł i w całej knajpie momentalnie zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Można byłoby nawet usłyszeć pierdnięcie myszy - ciągnął Joe.

- Craic nalał mu pintę piwa i przez chwilę rozmawiali - z powagą dorzucił Johnny. - Trzeba mieć sporo odwagi, żeby pojawić się w tak wrogim miejscu jak Sagan Złota.

- Trzeba mu to oddać - dodała Peg, wstawiając wodę na herbatę.

Joe usiadł przy ojcu. Ellen była tak rozkojarzona, że odsunęła krzesło Kafki, zapominając, że ptak przysiadł na oparciu. Wróciła do rzeczywistości, gdy poczuła, że dziobie ją we włosy.

- Dobry Boże! - krzyknęła, wstając i przenosząc się na drugi koniec stołu. - Ten ptak to już przesada!

- Minęła dobra chwila, zanim udało mu się skierować rozmowę na twój temat - powiedział Joe z szelmowskim uśmieszkiem. - Najpierw zaczął mówić o posiadłości. Potem oznajmił, że spotkał cię, kiedy zgubiłaś się na wzgórzach, i zaprosił cię na lunch.

- To wszystko prawda — stwierdziła Ellen z podekscytowaniem.

- Powiedział, że jego córka chce, byś pomalowała jej paznokcie.

Ellen się uśmiechnęła.

- Wyjawiłam jej, jaka jestem dobra w zdobieniu ich klejnocikami.

Peg obserwowała wszystko, stojąc zamyślona przy kuchence.

- Chce, żebyś do nich przyjechała i zrobiła jej manikiur, czy jak to się tam

nazywa. - Uniósł brwi. - Mam wrażenie, że wpadłaś mu w oko.

Ellen się zaczerwieniła.

- Nie bądź niemądry. Dobrze sobie radzę z dziećmi, to wszystko.

- Musiałaś wpaść mu w oko, skoro zadał sobie tyle trudu i przyjechał za tobą do pubu. Pewnie myślał, że cię tam spotka.

- Dlaczego zwyczajnie do ciebie nie zadzwonił? - zapytała Peg. - Może i nie mam Internetu czy telewizora, ale telefon jak najbardziej!

- To by było zbyt oczywiste. Starał się być subtelny - powiedział Joe, puszczając do Ellen oko.

- We wkroczeniu Macauslanda do pubu nie było nic subtelnego - zaproponował Johnny. - Zawsze możesz powiedzieć, że jesteś zajęta pisaniem. Dopilnuję, aby otrzymał wiadomość.

- Myślisz, że nie powinnam tam pójść? - zapytała Ellen, zaskoczona.

- Oczywiście, że nie - powiedziała Peg, nadal stojąc przy kuchence. - Nie pozwolę ci się w to wszystko mieszać.

- Pójdę tylko pomalować dziewczynce paznokcie.

Peg przymrużyła oczy.

- Pchasz się w paszczę lwa, skarbie. Za tydzień już go tu nie będzie.

Ellen poczuła w sobie nagły niepokój. Jej myśli były rozbiegane jak mysz, która próbuje znaleźć wyjście z labiryntu.

- To może pojedziesz ze mną, ciociu? - zasugerowała. Peg zrobiła oburzoną minę. - Myślę, że odmowa pomalowania Idzie paznokci byłaby niegrzecznością. Chodzi mi o to, że nie ma matki, która mogłaby to dla niej zrobić, prawda? Biedne maleństwo. Miała taką podekscytowaną minę, kiedy powiedziałam, że mogłabym przykleić do jej paznokci diamenty.

- Ale gdzie tu kupisz takie rzeczy? - zapytała Peg.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- W miasteczku na pewno jest jakiś sklepik z pamiątkami.

- Owszem, Alanna ma mały butik, ale na pewno nie sprzedaje tam diamentów na paznokcie.

- Na pewno ma w nim coś, co mogłabym wykorzystać. Coś, co da się pociąć i przytwierdzić lakierem.

- W drogerii na pewno dostaniesz lakier.

- Tyle mi wystarczy. Jutro pojedę do miasta, żeby się rozejrzeć. - Triumfalnie odwróciła się do Johnny'ego. - Możesz powiedzieć panu Macauslandowi, że ciocia Peg i ja przyjedziemy na herbatę, by pomalować Idzie paznokcie. Będziesz się z nim widział jutro w zamku, prawda?

Johnny zmarszczył brwi i spojrzał na siostrę.

- Tak zrobię. Ale czy na pewno chcesz jechać, Peg? Co powie Desmond? Ani trochę mu się to nie spodoba.

- Oczywiście, że nie chcę jechać - odrzekła Peg. - Ale nie chcę też, aby Ellen pojechała sama, więc nie mam wyboru.

- Masz rację, nie powinna jechać tam sama, jeśli w ogóle musi jechać - skwitował Johnny poważnym tonem.

Ellen się zaśmiała.

- Mam przyzwoitkę, jakbym była bohaterką powieści Jane Austen.

Peg jej nie zawtórowała.

- Nie wiesz, w co się pakujesz. Ja wiem, a ponieważ zatrzymałaś się u mnie, jestem za ciebie odpowiedzialna. Twoja matka dostałaby chyba zawału, gdyby wiedziała, że masz zamiar się zbliżyć do kogoś pokroju Conora Macauslanda. Nic dobrego z tego nie wyniknie, możesz mi wierzyć.

- Spokojnie, Peggine - powiedział Joe. - Ona tylko pojedzie pomalować dziewczynce paznokcie.

Peg rzuciła mu stanowcze spojrzenie.

- Nieprawda. Wypije popołudniową herbatę z panem Macauslandem. Malowanie paznokci Idy to tylko wymówka. Naprawdę, Joe, myślisz, że urodziłam się wczoraj? - Ściągnęła czajnik z gotującą się wodą z kuchenki. - A skoro tu już jesteście, równie dobrze i my możemy napić się herbaty.

Ellen nie mogła zasnąć z podekscytowania. Conor Macausland z jej powodu dzielnie przekroczył próg pubu, a widzieli się tylko raz! Ale skoro jeden raz wystarczył, by wzbudzić jej zainteresowanie, to czemu nie miał starczyć i jemu? W ciemnościach sypialni zaczęła jednak wątpić w swoją atrakcyjność. Może odważył się na wizytę w pubie ze względu na Idę: bądź co bądź dziewczynka nie miała matki, a Conor bez wątplenia bardzo ją kochał. Może rzeczywiście chodziło o paznokcie i nie miało to nic wspólnego z zainteresowaniem jej osobą.

Dziewczyna przekręcała się z boku na bok, nie potrafiąc znaleźć wygodnej pozycji. Serce biło jej jak oszalałe, nie dając spać. Myślała o Caitlin i o tym, dlaczego tamtego nieszczęsnego wieczoru znalazła się w latarni, i zastanawiała się, czy Conor rzeczywiście doprowadził do jej śmierci. Czy to on był mężczyzną, który odpłynął łódką od płonącej latarni? I dlaczego zostawił w zamku jej portret? Czy dlatego, żeby mógł nadal na nią patrzeć? Czy dlatego, że chciał zamknąć Caitlin w zamku razem z resztą wspomnień o niej, w ten sposób czyniąc go grobowcem zmarłej żony?

Czy była tak szalona jak ćma fruująca wokół płomienia? Czy spłonęłaby, gdyby podleciała zbyt blisko? A może Conor został niesłusznie oskarżony?

W tej samej chwili pomyślała o Williamie i o tym, jaki bezpieczny wydawał

się w porównaniu z Conorem. Zastanowiła się nad tym. Czy próbował się z nią skontaktować? Wzdrygnęła na myśl o ostatnim esemesie, który mu wysłała. Zasługiwał na lepsze traktowanie. Ale czy ona sama nie była zwyczajnie niezdecydowana i tylko sprawdzała różne opcje, nie chcąc palić za sobą mostów, na wypadek gdyby poczuła nagłą potrzebę, żeby biegiem wrócić po nich do bezpiecznej, a przez to nudnej przyszłości?

Nie minął jeszcze tydzień od jej przyjazdu, a przez te kilka dni wydarzyło się tyle co przez całe miesiące. Do tej pory dużo podróżowała. Wakacje w Afryce Południowej i Szwajcarii, Tajlandii i Indiach, wyjazdy na zakupy do Nowego Jorku i Mediolanu, weekendy we Włoszech i Francji, a mimo to żadne z tych miejsc nie dało jej poczucia przynależności. Zawsze była turystką, gościem, który jest tu tylko przejazdem. Za to Connemara pozwalała jej odczuć pewnego rodzaju stabilność. To miejsce było czymś więcej niż zwykłym celem podróży; jakby potrafiące się przemieszczać drzewo w końcu znalazło swoje korzenie. Z tą pocieszającą myślą Ellen w końcu zapadła w sen.

Następnego ranka wcześniej wybudziła się z płytkiego niespokojnego snu. Zaczynało dzień, a brzask oblewał latarnię delikatnym różowym światłem. Stała przy oknie i patrzyła, jak wokół wyspy wzbierają fale i pienia się biało, rozbijając się o otaczające ją skały. Wielkie białe mewy przysiadły na zwęglonym drewnie i sprzeczały się między sobą o jeżowce, które zostały rzucone na mieliznę przez fale przyptywu. Chwilę wcześniej Peg wyszła z domu z Panem Borsukiem i udała się na pastwisko policzyć owce oraz porozmawiać z osiołkiem i lamą. Ellen patrzyła na nią, ubraną w brązowe spodnie wielką kurtkę i wełnianą czapkę naciągniętą na krótkie siwe włosy, i czuła, jak serce wypełnia jej współczucie. W przygarbionej postawie Peg było coś przejmującego, jakby ciężar żalu z upływem lat przygniatał ją do ziemi. Czy kiedykolwiek można pogodzić się ze śmiercią swojego dziecka? Ellen patrzyła, jak Peg głaszcze lamę za uszami. Wyglądała na pastwisku na bardzo samotną na tle morza. Oczywiście, że nie można pogodzić się z czymś takim, jej ciotka po prostu nauczyła się z tym żyć.

Po porządnym śniadaniu, złożonym z owsianki i herbaty, Ellen pożyczyła samochód ciotki i pojechała do miasta po lakier i ściwiedelka, którymi mogłaby ozdobić paznokcie ldy. Zaparkowała przy przystani pełnej rybaków zajętych pracą na swoich łodziach i porannym połowem i wyruszyła na poszukiwanie sklepu Alanny. Błądziła wąskimi uliczkami, mijając śliczne domki i sklepiki w pastelowych kolorach, urządzone tak, by zachęcały spędzających tu lato turystów rybackimi swetrami, garnkami, owczymi futrami i kryształami. Nietrudno było znaleźć sklep Alanny, położony pomiędzy kawiarenką a drogerią. Jego fasadę pomalowała na jaskrawy fuksjowy róż.

Kiedy dziewczyna otworzyła drzwi, zadźwięczał dzwonek. Alanna wyjrzała zza biurka na tyłach sklepu i rozpromieniła się na widok znajomej twarzy.

- Popatrz tylko na siebie, Ellen! Wyglądasz teraz jak miejscowa.

- A więc to jest twój sklepik. Jaki uroczy.

Dziewczyna omiotła wzrokiem gęsto zastawione półki, pełne błyszczących figurek, ładnej papeterii, malowanych naczyń, haftowanych obrusów, mydeł sprawiających wrażenie starych i zapachowych świec. Był to pełen aromatów skarbiec przedmiotów, których nikt tak naprawdę nie potrzebował. Ellen uwielbiała takie miejsca.

- O tej porze roku biznes nie idzie najlepiej - narzekała Alanna. - Rozkręci się latem, kiedy przyjadą turyści. Teraz muszę jakoś przetrwać. Mary, która mi

pomaga, musiała pojechać do Waterford do chorej matki, ale i tak nic teraz po niej.

- Ale ja przyszłam coś kupić - oznajmiła Ellen.

Alanna uniosła brew.

- Czyli nie wpadłaś z towarzyską wizytą?

- Też. Ale potrzebuję czegoś błyszczącego i brokatowego, czym mogłabym ozdobić paznokcie.

- No tak, Desmond mi mówił. Jesteś umówiona na herbatę z Conorem Macauslandem. - Zafascynowana Alanna otworzyła szerzej oczy. - Tylko uważaj na siebie, dobrze? Może i jest przystojny, ale obawiam się, że ten mężczyzna to same kłopoty.

- Wiem, ale nic nie poradzę na to, że jestem ciekawa. Byłabym chyba szalona, gdybym nie pojechała, prawda? Jako pisarka czuję wewnętrzny przymus, by szukać inspiracji we wszystkim, co mi podsuwa życie.

Alanna roześmiała się i wstała z krzesła.

- Myślę, że trudno jest oprzeć się urokowi przystojnego drania. A teraz poszukajmy czegoś, co mogłoby ci się przydać. Mam cekiny. - Podeszła do stojaka na tyłach sklepu, na którym wisiały różnego rodzaju opakowania. - Te są ładne.

- O tak, świetnie się nadadzą. Rewelacja. - Ellen zaczęła przeglądać opakowania. - To takie ładne miasteczko.

- O tak. Jest sympatyczne i mieszkają tu dobrzy, pracowici ludzie. Nie mogłabym mieszkać w takim Londynie. Za dużo hałasu, przestępstw i pośpiechu. Byłam tam kilka razy i za każdym wracałam do domu wykończona. Wolę spokojniejsze życie.

- Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo potrzebny był mi pobyt na wsi, dopóki nie wyjechałam z miasta. To chyba prawda, że czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Teraz jednak skoro wiem, jak to jest stać samotnie na wzgórzach, chyba już nigdy nie będę w stanie żyć bez dużej przestrzeni.

- Rozumiem, że się tam zgubiłaś.

- Tak. Głupio tak stracić orientację, ale nie urodziłam się na wsi.

Ellen odwróciła się, by nie dać po sobie poznać, że się zarumieniła.

- Bądź ostrożna - powtórzyła Alanna. - Nie mam wątpliwości, że rozsądna z ciebie dziewczyna, ale nie zapomnij, kim on jest, kiedy zaczniesz malować paznokcie tej małej dziewczynki, a on będzie na ciebie patrzył tymi przepastnymi oczami. Ten mężczyzna to same kłopoty.

- Nie wyglądał mi na faceta, który mógłby zamordować żonę - odparła dziewczyna w jego obronie.

- Och, ale ja wcale nie myślę, że on ją zamordował. Ależ skąd. Wiem, że

Ronan tak uważa, ale trudno się temu dziwić. W jego oczach Caitlin była zamkniętą w wieży księżniczką, a Conor ogrem, który ją uwięził. - Zaśmiała się. - Biedny Ronan, nie może sobie poradzić z jej śmiercią.

- Więc co się według ciebie stało? - zapytała Ellen.

- Jej śmierć była podejrzana, a ludzie lubią spiskowe teorie, ale nie sądzę, by Conor był zdolny do czegoś takiego. Jest zapewne samolubny i rozpuszczony, no i bardzo arogancki. Nigdy nie przyszedł do pubu ani nie chciał integrować się z miejscowymi. Trzymał się z dala, odizolowany w swoim zamku, jakby był za dobry na bratanie się ze zwykłymi ludźmi. Za to Caitlin przychodziła do Sagana Złota, kiedy Conor przebywał w Dublinie, i nachylała się nad barem, żeby szczerze porozmawiać sobie z Craicem. Zamawiała kufel ciemnego piwa i śpiewała razem z innymi. Wydaje mi się, że to były jej ulubione wieczory, kiedy mogła wyjść ze swojej złotej klatki i po prostu być sobą. Była bardzo piękna, ale rozpaczliwie nieszczęśliwa. Każdy mógł to zobaczyć w jej oczach. Mam wrażenie, że niełatwo było być żoną Macauslanda mimo tego całego bogactwa. Biedaczka, zasługiwała na coś lepszego.

- Dobrze ją znałaś?

- Nie, właściwie to nie, zwykle trzymała się męża. Ale zaprzyjaźniłam się z Molly, nianią, która u niej pracowała.

- Tak?

Zainteresowanie Ellen nagle wzrosło.

- Chyba jej się nudziło i lubiła zająrzeć do mnie, kiedy dzieci przebywały w szkole. To była urocza dziewczyna, miła i taka łagodna. Uwielbiała swoją chlebobawczynię i kiedy tylko o niej mówiła, jej oczy zaczynały błyszczeć. Wydaje mi się, że Molly trochę się bała Conora. Chyba widziała zbyt dużo. W każdym razie po całej tragedii powiedziała mi, że Caitlin wiedziała, że tego wieczoru, kiedy sama popłynęła łódką do latarni morskiej, Conor wróci do domu, ale i tak nie zrezygnowała z tego zamiaru. Molly myślała, że to dziwne, biorąc pod uwagę, że jej tego zabronił. Widzisz, wyprawy tam były niebezpieczne, a on martwił się o nią w tej małej łódeczce. Ale ona była krnąbrna i zdeterminowana. Tak czy inaczej, jak mówiła mi Molly, tamtej nocy Caitlin miała jakiś plan. Jak gdyby chciała, żeby Connor ją tam przyłapał. Kiedy w latarni rozbłyły świece, Molly pomyślała, że Caitlin chce go uwieść. Nie układało im się w małżeństwie, więc może próbowała zdobyć go na nowo.

- Ale dlaczego w latarni, skoro on nie znosił, kiedy się tam udawała?

Alanna wzruszyła ramionami.

- Nie wiem, ale Molly mówiła, że poprzednio zawsze się upewniała, że jej nie przyłapie. To był jedyny raz, kiedy wiedziała, że ją tam zastanie. Chciała, żeby

za nią popłynął. Dlaczego? Tego nie wiem, Molly też nie. Nie potrafiłyśmy tego ustalić. Molly była przesłuchiwana przez straż przybrzeżną, ale najwyraźniej funkcjonariusze uznali, że to, co mówi, nie ma związku ze sprawą.

Ellen utkwiała wzrok w Alarmie i serce zaczęło jej szybciej bić.

- Chyba nie myślisz, że zwabiła go tam, aby go zamordować, ale wszystko skończyło się na odwrót?!

Alanna szeroko otworzyła oczy.

- Jezu, Ellen! Do głowy mi to nie przyszło!

- Chyba oglądam za dużo seriali kryminalnych - zaśmiała się dziewczyna, odrzucając tę myśl.

- Tylko nie mów chłopakom, bo się jeszcze nakręcą, dobrze?

- Peg nieźle by mnie zgromiła, gdyby usłyszała, że opowiadam takie rzeczy.

- Z pewnością. Ty, Ronan i wasze czarne scenariusze.

- Docieram do sedna tajemnicy - powiedziała Ellen z lubością.

- Cóż, uważaj na siebie - ostrzegła Alanna. - Mężczyźni tacy jak on polują na młode i ładne dziewczyny, a potem rzucają je, kiedy już się nimi nacieszą. Ja omijałabym go szerokim łukiem. Jeśli chcesz porządnego Irlandczyka, jest tu wielu kawalerów.

- Ale ze wszystkimi jestem spokrewniona!

- Co prawda, to prawda. Tylko się nie zakochaj w jednym ze swoich kuzynów. Nic by ci z tego nie przyszło!

- Joe jest przystojny. Dlaczego nie ma dziewczyny?

- Bo jest zbyt zajęty podrywaniem. Po co zadowalać się jedną, kiedy może ich mieć na pęczki?

Ellen znalazła różowy lakier do paznokci w sąsiedniej drogerii i kupiła jeszcze kilka innych rzeczy z listy cici, już miała wracać, kiedy w drzwiach pojawił się Dylan Murphy i utkwił w niej swój obłądny wzrok, jak gdyby cały dzień nie robił nic innego, tylko jej szukał.

- Ellen Olenska! Jak miło cię widzieć - powiedział i się uśmiechnął. Ubrany w marynarkę i krawat wyglądał bardzo elegancko, Ellen nie była jednak przekonana, czy chce samodzielnie stawiać mu czoło.

- Witaj, Dylanie. Co słyhać?

- W porządku - odpowiedział, wkładając dłonie w kieszenie płaszcza. Czuć było od niego mocną woń papierosów. - Jak ci idzie pisanie książki?

- Nie napisałam jeszcze ani słowa.

- Ale napiszesz. Widać, że zdolna z ciebie dziewczyna.

Ten komplement ją rozbroił, podobnie jak przelotna słodycz jego uśmiechu. Znikła tak szybko, jak się pojawiła, jakby się zawstydził, że ujawnił swoje

delikatniejsze wnętrze.

- Słyszałem, że razem z Peg jedziecie na herbatę do Macauslanda.
- Rany, nic się w tym mieście nie uchwaja, co?
- Tutaj tylko ryby nie wyjawiają twoich sekretów.
- Poprosił, żebym pomalowała paznokcie jego córce.
- To raczej nie należy do ojcowskich obowiązków.
- Ani babcinych - dodała Ellen. - Ale z chęcią to zrobię.
- Lepiej uważaj...
- Ty też? Wszyscy mnie ostrzegają, jakby Conor był jakimś demonem. Był dla mnie bardzo miły.

dla mnie bardzo miły.

- Oczywiście. W końcu piękna z ciebie dziewczyna, a w jego żyłach płynie krew, nie woda.

Ellen trochę się zawstydziała, słysząc, jak Dylan podkreśla słowo „piękna”. Prawie je zaśpiewał.

- Ciocia Peg pojedzie ze mną - powiedziała i zaraz zaczęła się zastanawiać, skąd u niej nagła potrzeba usprawiedliwiania się.

- Powinno być ciekawie.

Nie wiedziała, co Dylan ma na myśli.

- Muszę już iść.

Jego twarz zachmurzyło rozczarowanie.

- Po zakupy, tak?

Wyciągnęła z kieszeni płaszcz listę od Peg.

- Muszę iść do sklepu mięsnego i spożywczego.

- Pokażę ci, gdzie są.

- Naprawdę nie trzeba. Nie chcę ci sprawiać kłopotu. Na pewno znajdę je sama. Miasteczko nie jest znów takie duże.

Ellen uśmiechnęła się do siebie, kiedy po minięciu I pięciu witryn stanęli przed sklepem rzeźnika.

- Jak dobrze, że ze mną przyszedłeś - zażartowała. - Inaczej mogłabym go nie znaleźć.

Dylan uśmiechnął się nieśmiało.

- Czasem to nie takie proste dostrzec coś, co ma się tuż pod nosem - powiedział i otworzył przed nią drzwi. Ellen weszła do środka. - Więc jak długo masz zamiar tu zostać?

- Nie wiem. - Podeszła do lady i zaczęła przyglądać się mięsu za szybą. - Na razie nie mam zamiaru wracać do Londynu. - Westchnęła. - Myślę, że w końcu jednak będę musiała wrócić.

- Do czego masz tam wracać?

Do tego, od czego staram się uciec - pomyślała, ale zamiast tego powiedziała:

- Do mojego życia.

- Co za bzdury, Ellen Olenska. To ty jesteś swoim życiem i ono toczy się tam, gdzie przebywasz.

Ellen zaskoczyła mądrość jego słów i odwróciła wzrok od lady z mięsem.

- Nigdy nie myślałam o tym w ten sposób.

- Ale to prawda. Nie możesz uciec ani porzucić gdzieś swojego życia, bo ty jesteś tym życiem. Ludzie to co innego. Od nich można uciekać bez najmniejszych problemów.

Patrzyła na niego, nie odwracając wzroku. Nagle wydał się jej mniejszy i zapragnęła objąć go i przytulić za to, że jej matka złamała mu serce w tak bezduszny sposób. Ale byli w sklepie, a rzeźnik czekał na jej zamówienie. Wyciągnęła listę.

Kilka chwil później szli chodnikiem w stronę sklepu spożywczego. Niebo miało kolor szarej owsianki, ale od czasu do czasu chmury rozstępowały się i przebijało przez nie słońce, zadziwiająco ciepłe jak na luty.

- Przypominasz matkę - powiedział cicho, patrząc przed siebie, jak gdyby jej widok w tej chwili mógł sprawić mu ból.

- Przykro mi z powodu tego, co się stało - wyrwało jej się niespodziewanie.

- Ciocia Peg wyjawiała mi, że kiedyś byliście zaręczeni.

- To prawda. Dawno temu.

Ellen poczuła że zawisły między nimi jego niewypowiedziane słowa: „jakby to było wczoraj”. Szli dalej w milczeniu, aż dziewczyna poczuła, że musi je przerwać.

- Nie zdawałam sobie sprawy, o ilu rzeczach się dowiem, kiedy przyjadę do Irlandii. Nie miałam pojęcia, że mama ma tak dużą rodzinę, i nie wiedziałam, że od nich wszystkich i od ciebie uciekła. Całkowicie zmieniła swoją tożsamość. Ciekawe, co powie, kiedy do niej dotrze, że tu jestem i że znam prawdę.

- Że to nie twoja sprawa?

- Tak, pewnie masz rację. Tylko że to moja sprawa, a przynajmniej sprawa mojej rodziny.

W tej chwili Dylan skierował na nią swoje przeszywające spojrzenie. Poczuła jego moc, jakby za chwilę miał jej powiedzieć coś bardzo ważnego. Popatrzyła na niego wyczekująco. Jednak Murphy się rozmyślił i nie otworzył ust, spuszczać wzrok na chodnik.

- Może nie powinnam jej mówić - powiedziała, by rozładować niezręczną sytuację.

- W końcu będziesz musiała, Ellen Olenska. Nie można otworzyć puszeki Pandory, a potem udawać, że nic takiego się nie stało.

- Boję się.

Nie wyjawiała mu jednak całej prawdy, więc Dylan nie mógł sobie wyobrazić, czego się bała. Dotknął jej ramienia, a dziewczynę zaskoczyła naturalna czułość, z jaką lekko je ścisnął.

- Maddie, którą znałem, miała wielkie i szczodre serce. Z pewnością była uparta i trochę nieokiełznana, ale miała w sobie dużo miłości. Wybacz ci.

- Może uda mi się ją przekonać, by tu przyjechała i pogodziła się z rodziną. Potrafię być katalizatorem, wokół którego wszyscy się gromadzą.

Dylan zarechotała cynicznie.

- Myślę, że będzie to znacznie trudniejsze, niż jesteś w stanie sobie wyobrazić.

- Niekoniecznie. Co się stało, to się nie odstanie. To wszystko przeszłość. A rodzinę ma się tylko jedną.

- Jesteś bardzo młoda, Ellen Olenska, i podziwiam twoją odwagę, ale nie pchałbym się w jaskinię lwa. Może się obudzić i coś ci odgryźć.

Doszli do sklepu spożywczego. Dylan pomógł jej znaleźć whisky Jameson i herbatę Barry's, które znajdowały się na liście Peg. Następnie ściągnął z półki butelkę jarzębiaku i pokazał ją dziewczynie z niecnym uśmiechem na ustach.

- Ksiądz Michael sam pędzi!

- Nie mówisz chyba poważnie! To księdzu wolno?

- Witamy w Irlandii. Mocna rzecz. - Zaśmiał się. - Ksiądz sprzedaje to tylko w okolicznych sklepach i zawsze skapnie mu za to trochę grosza, ale on usprawiedliwia ten biznes, przekazując wszystkie wpływy na kościół. Ze sprzedaży ginu opłacił remont kościelnej iglicy.

- To się nazwa żyłka do interesów! I to w słusznej sprawie. - Przypomniała sobie, jak Alanna wspomniała, że ksiądz i Peg są w konflikcie. - Jaki jest ten ksiądz Michael?

- W gruncie rzeczy to dobry człowiek, czasem może tylko trochę apodyktyczny. Uwielbia dźwięk swojego głosu, ale powiedz mi, który ksiądz tego nie lubi? Nigdy nie poznałem małomównego kaznodziei! - Zaśmiał się pod nosem.

- Nadal komponujesz, Dylanie? - zapytała.

Zrobił zdziwioną minę.

- Czyli Peg powiedziała ci już o mnie wszystko, co?

- Czasem nawet nuci twoje melodie.

Znów się zaśmiał.

- Masz coś jeszcze do kupienia, Ellen Olenska?

- Nie sędę, by Peg miała ochotę na jarzębiak.
- Przynajmniej nie z tej gorzelni.
- Nadal komponujesz?

Spojrzał na nią i przymrużył oczy.

- Trochę tu, trochę tam.
- Na pewno twoja muzyka jest wspaniała.

Wzruszył ramionami.

- Nie jestem najlepszym krytykiem własnej twórczości.

- Chętnie bym posłuchała - powiedziała, idąc za nim do lady. - Ale nie przyszłoby mi do głowy ją oceniać.

Uśmiechnął się i jeszcze raz zaskoczyło ją, jaki jest uroczy.

- Dobra z ciebie dziewczyna, Ellen Olenska - powiedział, ale nie obiecał, że coś dla niej zagra. - W porządku, chodźmy zapłacić, a przy okazji kupię sobie trochę tytoniu.

Ellen wróciła do Peg, czując, że wzbierają w niej serdeczne uczucia wobec Dylana, choć poprzednim razem czuła się przy nim nieswojo. Rozstali się przy przystani i pomachał jej na pożegnanie, kiedy odjeżdżała. Zastanawiała się, co teraz powiedziała by o nim jej matka. Nadal był przystojny. Prawdę mówiąc, im lepiej go poznawała, tym wydawał się przystojniejszy. Z jego oczu wycierała inteligencja, a kiedy się uśmiechał, zniknęło całe szaleństwo i twarz dość niespodziewanie wyglądała znów jak u młodego mężczyzny, który zakochał się w jej matce.

Wtedy był pewnie szczuplejszy i mniej kudłaty, jego żywiołowości nie zdążyła jeszcze zatruć gorycz rozczarowania, a radości nie przyćmiło cierpienie. Był wówczas pewnie łobuzerski i szczery, podobny do Joego. Potrafiła sobie wyobrazić, jak śpiewa w zespole i pisze wiersze, bo niewątpliwie zaliczał się do wrażliwych myślicieli. Mówił o miłości tak, jak jej ojciec nigdy nie potrafił z powodu angielskiej flegmy i tłumionej emocjonalności. Dylan i jej ojciec różnili się jak niedźwiedź od pstrąga; Ellen nie miała wątpliwości, że matka wolała bezpieczeństwo od namiętności.

Kiedy dotarła do Peg, ciotka była w ogrodzie za domem i przycinała krzewy wielkim sekatorem. Kiedy zobaczyła siostrzenicę, uśmiechnęła się z czułością.

- Kupiłaś wszystko, co jest ci potrzebne do paznokci, skarbie? - zapytała.
- Tak, mam wszystko i spotkałam Dylana.

Ciotka wróciła do przycinania.

- Pewnie szedł wężykiem.
- Właściwie to był zupełnie trzeźwy.
- To się chyba wcześniej nie zdarzyło.

- Był w garniturze i pod krawatem.
- Matko święta! W zwykły dzień? Co mu strzeliło do głowy?
- Wyglądał bardzo elegancko.

Peg zaśmiała się ochryple.

- Nie sądziłam że „elegancki” i Dylan Murphy mogą znaleźć się w jednym zdaniu!

- Wszyscy już wiedzą, że wybieramy się do Conora.
- Oczywiście, że wiedzą. Tutaj wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich.

Twoich sekretów nie wyjawią tylko...

- Ryby - dokończyła Ellen.

- Otóż to. - Peg podeszła do niej. - Jesteś głodna? Zjemy coś? Na co miałabyś ochotę?

Ellen za bardzo denerwowała się faktem, że znów zobaczy Conora, by mieć ochotę na jedzenie, ale poszła za ciotką do domu i pomogła jej przygotować lunch. Dziewczyna odniosła wrażenie, że podstawą każdego posiłku w jej domu są ziemniaki, gotowane w mundurkach i królujące zawsze na talerzu na środku stołu, podawane z masłem. Ellen nakryła do posiłku, obserwowana przez Kafkę, który świdrującym wzrokiem śledził każdy jej krok. Bertie leżał przed kuchenką, wyciągając się w błogim śnie, a Pan Borsuk wchodził i wychodził przez kuchenne drzwi, jakby nie był do końca pewien, gdzie ostatecznie chce przysiąść.

- Dylan powiedział mi, że jestem bardzo podobna do matki - powiedziała Ellen, nalewając im obu herbaty.

- Czyli w końcu o niej wspomniał.

- Tak. Mam wrażenie, że chce o niej rozmawiać.

Peg odcedziła ziemniaki i postawiła je na stole.

- Powinien zapomnieć o Maddie dawno temu, ożenić się i założyć rodzinę, a nie wciąż to rozpamiętywać.

- Szkoda mi go.

- Cóż, jest czego żałować - zgodziła się Peg. - Strumień życia niesie większość z nas z prądem do przodu, ale jego zepchnął gdzieś w tatarak.

- Zastanawiam się, co pomyślałaby o nim teraz mama, gdyby go zobaczyła.

Peg wypuściła powietrze przez nos.

- Nie sądzę, byśmy kiedykolwiek się tego dowiedzieli. - Zupełnie celowo zmieniła temat. - Napisałaś coś wczoraj?

- Właściwie to nie - odparła Ellen, po czym dodała pośpiesznie: - Rozmyślałam nad kilkoma pomysłami. Muszę mieć naprawdę dobrą fabułę, zanim przystąpię do pisania.

- Rozumiem. - Usiadły razem do posiłku. - A nie sądzisz, że powinnaś

zadzwoń do matki, aby dać jej znać, że nic ci nie jest?

- Wyrzuciłam telefon do morza.

- Domyślam się, że te telefony są bardzo drogie. - Peg zmierzyła siostrzenicę wzrokiem spod przymrużonych powiek. - Chcesz skorzystać z mojego?

- Mama na pewno się nie martwi - odrzekła Ellen, ale ledwie wypowiedziała te słowa, wiedziała, że nie brzmią przekonująco.

- Nie ma najmniejszego znaczenia, ile masz lat ani jak bardzo jesteś niezależna. Nadal pozostajesz dzieckiem swojej matki, a ona na pewno się o ciebie martwi, zwłaszcza jeśli wcisnęłaś jej jakąś bujdu.

Dziewczyna odłożyła nóż i widelec i objęła dłońmi kubek z herbatą.

- No dobrze, masz rację co do kłamstw. Przyjechałam tu, bo chciałam od niej uciec, a wiedziałam, że to jedyne miejsce, gdzie nie będzie mnie szukać.

Peg uśmiechnęła się życzliwie.

- Domyśliłam się. Ale mimo wszystko mogłaś jej przekazać wiadomość przez którąś z przyjaciółek albo sióstr, skoro nie chcesz z nią bezpośrednio rozmawiać. Bez względu na to, co was poróżniło, to nadal twoja matka i od czasu do czasu musisz dawać jej znać, że u ciebie wszystko dobrze. Zgoda? Możesz tu zostać tak długo, jak tylko chcesz, ale nie powinnaś dodawać Maddie powodów do zmartwień.

- Dobrze, zadzwonię do Emily. Tylko ona wie, gdzie się podziewam.

- Dobra z ciebie dziewczyna. Wiedziałam, że zrozumiesz.

Peg nałożyła sobie kolejnego ziemniaka i zaczęła w ciszy ściągać z niego skórkę. Nie zapytała, dlaczego Ellen chciała uciec od matki. Nie musiała, bo kiedy tylko siostrzenica wyznała, że nie chce, by Maddie ją odnalazła, wszystkie żale zaczęły wylewać się z niej falą oskarżeń i zarzutów, ale z pominięciem Williama. Ellen za bardzo wstydziła się tego, że była zaręczona i miała stanąć przed ołtarzem za niespełna pięć miesięcy.

Kiedy dziewczyna skończyła, Peg lekko dotknęła jej dłoni i powiedziała kilka mądrych słów:

- Nie powtórz błędu swojej matki, skarbie. Życie jest cenne i krótkie.

Potem wstała i zebrała talerze. Ellen poczuła się lepiej, powiedziawszy, co leży jej na sercu, i choć ciotka nie dała się wciągnąć w długą dyskusję, dziewczyna wiedziała, że słuchała jej pełna współczucia.

Peg umyła naczynia, które jej siostrzenica wytarła, po czym nakarmiła Pana Borsuka i Bertiego zawartością różnych toreb trzymany pod blatem. Kilka razy dziennie głaskała prosiaka po grzbiecie. Kiedy Ellen zapytała dlaczego, wytłumaczyła, że jeśli może wyczuć kręgi swojego pupila, to jest za chudy, a jeśli nie - za gruby.

- Nie chcemy zagłodzić ani utuczyć naszego Bertiego, prawda?

Peg roześmiała się, drapiąc świnkę za uszami, na co ona zaczęła kwiczeć z uciechy. Pan Borsuk podszedł zazdrosny i wepchnął jej nos pod pachę, domagając się swojej porcji czułości. Peg musiała głaskać obu równocześnie, aż przewróciła się na worek fasoli, a po chwili oba pieszczochy położyły się jej na brzuchu.

- Bądź tak dobra, Ellen, pójdz do mojej sypialni i otwórz dolną szufladę komody przy ścianie po prawej stronie. Znajdziesz tam album w starej okładce. Przyniesiesz mi go?

- Po co?

- Są tam zdjęcia twojej matki, kiedy była mała.

Twarz dziewczyny pojaśniała.

- Chętnie je zobaczę - powiedziała i pobiegła po schodach po dwa stopnie na raz.

Pokój Peg pachniał talkiem i fiołkami. Był prosto urządzony, udekorowany tapetą i zasłonami w różowe róże. Panował w nim porządek. Z okna rozpościerał się widok na ocean, nad którym stała latarnia odporna na deszcz i wiatr, z uporem domagając się uwagi, jakby rzucała Ellen wyzwanie, by odkryła jej sekrety.

Popatrzyła na stolik nocny, gdzie stało zdjęcie małej dziewczynki w ładnej białej sukience, oprawione w srebrną ramkę, obok migoczącej wotywniej świecy i figurki Matki Boskiej. Ellen cicho podeszła bliżej, żeby się przyjrzeć. Przykucnęła, zauważając dwa wytarte miejsca pod kolanami, gdzie Peg klękała pewnie do modlitwy. Poczula, jak coś dławi ją w gardle, gdy popatrzyła na buzię dziecka, które ciotce odebrało morze. W tej samej chwili nie wiadomo skąd pojawił się podmuch wiatru, który zdmuchnął płomień. Dziewczyna wyprostowała się przestraszona. Czy zdmuchnęła świeczkę oddechem? Z pewnością nie - stała za daleko, a tak duży płomień wymagałby od niej wysiłku. Rozejrzała się wokół spanikowana. Gdzie są zapałki? Świadoma tego, że Peg może wkrótce zacząć się zastanawiać, co tak długo robi w jej sypialni, szybko podeszła do komody i wyciągnęła album. Przed wyjściem jeszcze raz spojrzała na świecę, zdumiona dziwnym zgaśnięciem silnego płomienia. Nad knotem unosiła się smużka dymu, która rozpływała się w powietrzu. Ellen zerknęła w stronę okna. Było zamknięte.

Już nie jestem sama. Choć ta mała dziewczynka ze mną nie rozmawia, wiem, że jest świadoma mojej obecności. Musi być chyba aniołem, bo jest jasna i złota, jakby powstała z promieni słońca, podczas gdy ja przypominam cię i szwendam się po ziemi. Ale uśmiecha się do mnie, kiedy nasze spojrzenia się skrzyżują, a ja odwzajemniam uśmiech. Zastanawiam się, czy widzi rozpacz w moich oczach. Staram się jej tego nie okazywać.

Teraz już wiem, że to, co widziałam na wyspie, nie było przelatującą nisko mewą, ale tym małym promyczkiem, zdającym się cieszyć zabawą z ptakami w ruinach, jakby było zwykłym dzieckiem kierującym się ciekawością. Jest pełna radości; właściwie to powiedziałabym, że światło i radość jest tym samym, bo z tego właśnie dziewczynka jest stworzona, podczas gdy ja składam się z samych wad, tak jak za życia, tylko jestem w mojej samotności bardziej nieszczęśliwa.

A jednak moje istnienie nagle stało się ciekawsze dzięki temu, że Conorowi wpadła w oko ta dziewczyna z Londynu. Jest ładna, ma lśniąco ciemne włosy i brązowe oczy. Jej skóra jest gładka i promienna, a na nosie ma rozsiane małe piegi, ale nie jest skończoną pięknoscią. Conorowi zawsze podobały się wyróżniające się czymś kobiety. Nie mogę powiedzieć, by Ellen spełniała to kryterium, choć trzeba przyznać, że jej buzia w kształcie serca ma w sobie pewien wdzięk. Jestem niemal pewna, że gdybym żyła, na pewno nie czułabym się przez nią zagrożona, ale skoro nie żyję, jestem zazdrosna o każdą kobietę, która staje mojemu mężowi na drodze, choć większość z nich nie zagościła w jego życiu na dłużej niż na jedną noc.

Conor jest czterdziestoczteroletnim wdowcem, a ona młodą trzydziestolatką, więc pewnie moje obawy są bezpodstawne, jednak mimo wszystko w jego oczach dostrzegłam zainteresowanie, kiedy spotkał ją na wzgórzu i kiedy szukał jej w Saganie Złota. Coś musiało w nim zaiskrzyć, skoro udał się do miejsca, gdzie, jak dobrze wie, nie jest mile widziany. Patrzyłam, jak miejscowi milkną na jego widok, i usłyszałam, jak szepczą między sobą, kiedy podszedł do baru i zamówił sobie pintę. Craic udawał, że jego obecność w knajpie nie jest niczym nadzwyczajnym, i zagadywał go, kiedy napełniał kufel ciemnym piwem. Zauważyłam, że Conor rozgląda się po sali za dziewczyną i niecierpliwie gładzi się po brodzie, skanując twarze zebranych w poszukiwaniu tej jednej. Nie dało się nie zauważyć jego rozczarowania, kiedy jej nie znalazł. Nie mając przyjaciół, z którymi mógłby porozmawiać, przyłączył się do Joego i Johnny'ego i zobaczyłam, jak na wzmiankę o Ellen rozjaśnia mu się twarz. Joe i Johnny zgodzili się przekazać

zaproszenie do pomalowania paznokci Idy. Nie spodobało mi się, że wykorzystał własną córkę do ściągnięcia dziewczyny z powrotem do swojego domu. Jestem przekonana, że ona uśmiechnie się na ten głupi pretekst, ale przyjdzie. Oczywiście, że przyjdzie - urok Conora jest bardzo silny. Nikt nie wie o tym lepiej niż ja. Pomyśleć tylko, że sama pokładałam w niej nadzieję. Jestem zawiedziona, że okazała się jej niewarta. Rozczarowało mnie, że spojrzała z pożądaniem na mojego męża i ostatecznie nie będzie miała z niej pożytku.

Nie chcę, żeby przychodziła malować paznokcie Idy. Nie chcę, żeby po raz kolejny przekroczyła próg mojego domu. Chcę, żeby wróciła do Londynu i zostawiła moją rodzinę w spokoju. Ale nie, wróci, w dodatku ze swoją ciotką, a ja w żaden sposób nie mogę jej przed tym powstrzymać. Umalowała się, bo jej rzęsy wydają się gęste, a na ustach lśni błyszczak. Widzę, że się denerwuje, bo ręce jej się trzęsą, kiedy zapala papierosa w samochodzie i wydmuchuje dym przez okno. Uśmiecham się zwycięsko na myśl, że Conor poczuje od niej zapach tytoniu, kiedy będą się witać. Wiele lat temu sam palił, ale zmusiłam go, by rzucił. Jak można cieszyć się zapachem ogrodu, kiedy nos wypełnia ci tytoniowy odór? Teraz Connor zupełnie nie toleruje tego nałogu.

Ida nie posiada się z radości. Ubrała się w odświętną różową sukienkę, a Daphne przewiązała jej włosy wstążką. Tęskni za zamkiem, bo bawiła się tam w księżniczkę na wieży, teraz zaś jest jedynie domową księżniczką. Dziś w każdym calu wygląda jak mała królewna i nie mogę się pogodzić z tym, że to nie ja pomaluję jej paznokcie, tylko jakaś londyńska parweniuszka.

Dojeżdżają na miejsce i Peg parkuje samochód przed domem. Ellen wysiada pierwsza i na widok Conora w drzwiach na jej twarzy pojawia się szeroki uśmiech. Widzę teraz, dlaczego dziewczyna wpadła mu w oko. To bardzo proste. On jest ciemny, a ona jasna, więc Conora jak wszystkie ponure postaci przyciąga światło. Jej uśmiech jest nieskrępowany i pewny siebie, a to, jak całuje go na powitanie, jest bardzo „londyńskie”. Dziewczyna ma w sobie finezję, której brakuje reszcie jej rodziny. Jeśli Conor lubi wyróżniające się kobiety, to można śmiało powiedzieć, że Ellen jednak spełnia to kryterium: nie jest Irlandką, nie jest melancholijna ani na tyle doświadczona życiowo, by mogły ją zatruć tragedia albo rozczarowanie. Przepętnia ją zaraźliwa żywiołowość.

Ida stoi za ojcem w korytarzu. Nagle zrobiła się nieśmiała, ale Ellen przykuca przy niej i pokazuje, co ma w torbie. Oczy mojej córki robią się wielkie jak spodki na widok błyskotek, które dziewczyna umieści na jej paznokciach. Wzdycha z zachwytem, a Conor podziwia swobodę, z jaką Ellen nawiązuje kontakt z jego dziećmi. Może i jestem cyniczna, ale to nie sztuka kupić sobie na jakiś czas uczucia dziecka. Ida pokochałaby wiedźmę, gdyby ta uśmiechnęła się do niej i

zapropozowała, że pomaluje jej paznokcie.

Peg czuje się niezręcznie, ale w korytarzu miło wita ją Daphne. Obie kobiety znały się już wcześniej. Dawno temu, gdy Ronan nie miał samochodu, Peg wozila go do zamku do pracy. Nie są jednak koleżankami. Peg bardzo się różni od mojej teściowej, ale jedno je łączy. Obie są na swój sposób ekscentryczne i już po chwili razem piją herbatę przy kominku w bawialni i rozmawiają jak stare dobre znajome. Irlandczycy są świetni w rozmowach i mimo że w żyłach Daphne nie płynie irlandzka krew, jest gadatliwa, jakby mieszkała tu od urodzenia. Obu kobietom nie zamykają się usta.

Domyślam się, że Peg przyjechała jako przyzwoitka Ellen. Po tym, jak przywitała się z Conorem, widzę, że nie ma o nim najlepszego zadania. Za to jej siostrzenica nie ma podobnych zastrzeżeń. Stawia lakier, brokat i małe błyskotki na stoliku po przeciwnej stronie pokoju, podczas gdy Connor, który siedzi razem z Idą, przygląda się jej z podziwem. Policzki Ellen stają się różowe i raz po raz dziewczyna podnosi wzrok i patrzy mu prosto w oczy, jakby fascynowało ją wszystko, co ma do powiedzenia. Zachowują się jak nastolatki podnieceni wzajemną obecnością, którzy nie mogą być ze sobą sam na sam, i świadomość, że jest to zakazane, czyni ich spotkanie jeszcze bardziej ekscytującym.

Bacnie ich obserwuję i czuję siłę wzajemnej fascynacji, która przepływa między nimi i drga niczym elektryczne fale. Mówią ściszymi głosami, ale od czasu do czasu rozmowę przerywa wybuch śmiechu Conora lub chrapliwy chichot Ellen. Zaniepokojona Peg zerka na nich, ale Daphne po cichu jej mówi, że od lat nie słyszała, by syn śmiał się tak bez troski. Peg znów na nich spogląda, ale tym razem już bez niepokoju, a ze współczuciem, jakby widziała Conora w zupełnie innym świetle. Jakby po raz pierwszy dostrzegła w nim mężczyznę, który stracił żonę, a nie dwuwymiarową postać z szekspirowskiej tragedii.

Daphne lubi Peg, widzę to. Od pięciu lat opiekowała się synem i jego dziećmi i za każdym razem, kiedy przyjeżdżała do Connemary, oprócz swojej rodziny nie miała z kim porozmawiać. Jest wdzięczna za towarzystwo, ale jeszcze bardziej cieszy ją fakt, że może zwierzyć się Peg. Mogłabym jej powiedzieć, że ma rację, otwierając serce przed kobietą, która tak samo dużo w życiu wycierpiała. Może i Peg nie wywodzi się z tych samych sfer co Daphne i jest zdecydowanie mniej obyta w świecie, ale moja teściowa nie ocenia ludzi tak powierzchownie. Za życia zauważyłam, że za bardzo się mieszała w nasze sprawy, ale po śmierci doceniam fakt, że to przede wszystkim dobry człowiek, o wielkim sercu. Peg nie zerka już na siostrzenicę, i jeśli chodzi o Ellen i Conora, równie dobrze mogliby być sami, żeby swobodnie flirtować i żartować.

Ida jest zachwycona swoimi błyszczącymi paznokciami. Nie można

odmówić Ellen kreatywności. Wycięła z małych kawałków papieru brokatowe serduszka i gwiazdki, po czym umieściła je na małych paznokietkach ldy, pokrywając je blad różowym lakierem. Rezultat jest bajeczny i moja córeczka zeskakuje z krzesła, żeby pochwalić się babci. Daphne i Peg podziwiają jej paznokcie, wydając z siebie pełne zachwyty ochy i achy niczym dwa gruchające gołębie, po czym Ida biegnie do brata, który ogląda telewizję i z pewnością nie będzie tym zainteresowany.

Conor pyta Ellen o jej życie i jest naprawdę zainteresowany tym, co ona mówi, jakby każde słowo dziewczyny było fascynujące. Jednocześnie spogląda jej głęboko w oczy, tak jak tylko on to potrafi i czemu tylko garstka kobiet potrafi się oprzeć. Dziewczyna odwzajemnia to przeciągłe spojrzenie, a jej policzki rumienia się z zadowolenia, i wiem, że pławi się w jego zainteresowaniu, tak jak kiedyś ja, kiedy po raz pierwszy na mnie spojrzał. Kończą herbatę i Conor oznajmia, że zabierze Magnuma na spacer i pokaże Ellen ogrody, jak gdyby w lutym można było zobaczyć coś więcej niż nagie drzewa i puste klomby! Peg i Daphne zostają przy kominku, nie chcąc, by ktoś im przerywał.

Ellen nadal trochę się obawia wielkiego psa i nerwowo mu się przygląda, kiedy Conor przyprowadza go z kuchni. Uradowany faktem, że wyszedł na dwór, Magnum podnosi tylną łapę przy cisowym krzewie, po czym biegnie na trawnik. Przechadzają się po trawie i Ellen podziwia karmnik dla ptaków, przy którym gile, rudziki i stada sikorek kłócą się o ziarno. Delikatny świergot ptaków wypełnia powietrze, a na ziemi rosną kępki przebiśniegów, w miejscach, gdzie płaty śniegu roztopiło słońce. Przez stwardniałą korę zaczynają się przebijać świeże pąki, a na ziemi widać zielone pędy, które mozolnie wyrastają spod warstwy gleby. Powietrze wibruje obietnicą wiosny, a to zdaje się pobudzać Conora i Ellen, radośnie przechadzających się pomiędzy jabłoniemi, na których zaczynają się pojawiać świeże pąki.

Po pewnym czasie oddalają się od ogrodu, od Daphne, Peg i dzieci. Idą spokojnym krokiem w dziką naturę, by mogli zostać zupełnie sami. Conor zabiera Ellen na mostek koziołków; wychylają się nad balustradą i patrzą na szemrzący pod nimi strumyk. Narasta we mnie wściekłość. Czuję się tak, jakby wdarli się na moje terytorium. To zapomniane miejsce stanowi kawałek nieba, który przez pomyłkę znalazł się na ziemi. To moje chwilowe schronienie, do którego mogę się udać, by rozmyślać o tym, co na pewno się stanie, kiedy w końcu będę mogła przejść na drugą stronę. Jestem głęboko przeświadczona, że tych dwoje nie powinno tu być, nie razem, nie z łączącą ich wzajemną fascynacją, która pulsuje falami rosnącej energii. To bezczęści pamięć o mnie.

Wściekam się i miotam w moim świecie ciszy. Zachowanie Conora

doprowadza mnie do szału. Czy on nie wie, że wybrałam jego i dzieci zamiast nieba? Nie zdaje sobie sprawy, co poświęciłam, by pozostać blisko niego? Długo rozmawiam w tym magicznym miejscu pośród tańczących sfer światła przypominających wróżki. Pod nimi szemrze strumień, a ja żałuję, że pod mostem nie ma trolla, który mógłby pożreć ich oboje.

Ellen wychyliła się nad mostkiem i spojrzała na Conora. Jego wzrok był skupiony i wiedziała już wtedy, że chce ją pocałować. Nie miała czasu na zastanowienie, ale nawet gdyby miała - nie ruszyłaby się ani nie zniszczyła tej chwili kiepskimi wymówkami. Lekko myślnie chciała, by ją pocałował, przytłumiając pożądaniami rozsądek.

Conor nie potrzebował zachęty. Wplótł palce w jej włosy i przycisnął usta do jej ust. Zamknęła oczy, pozwalając mu na głęboki pocałunek. Jego oddech delikatnie muskał jej skórę, jego wargi były ciepłe i namiętne, i przez tę długą chwilę Ellen żyła tylko nią, świadoma dreszczu podniecenia, który przebiegał jej ciałem.

- Jesteś urocza, Ellen - szepnął, odrywając się od niej i powoli odgarniając jej za ucho kosmyk włosów.

Czuła, jak się rumieni.

- To wszystko dzieje się tak szybko. Zwykle nie...

- Zwykle nie pozwalasz, żeby obcy faceci całowali cię na mostach? - wszedł jej w słowo.

- Nie, zwykle nie.

- Cieszę się, że to słyszę. Jeśli poprawi ci to nastrój, to nadal cię szanuję.

W jego oku pojawił się błysk i Ellen zdała sobie sprawę, że Conor się z nią droczy. Zaśmiała się ze swojej naiwności. Jak jednak mogła wytłumaczyć fakt, że wszyscy ją przed nim ostrzegali? Że kazali jej na siebie uważać? Co ich zdaniem miał niby zrobić?

Przejechał powoli palcem po policzku dziewczyny, wpatrując się w jej twarz swoimi niebieskimi oczami, jak by patrzył teraz na nią w innym świetle. Nie wyglądał na mężczyznę, który mógłby zabić żonę.

- Cieszę się, że zgubiłaś się na wzgórzach, ale za to znalazłaś drogę do mnie - powiedział cicho.

- Ja też - odrzekła, czując, jak jej żołądek zareagował na jego czuły ton przyjemnym uciskiem.

Uśmiechnął się i uniósłszy jej podbródek, jeszcze raz ją pocałował, tym razem goręcej, i Ellen poczuła, jakby sama jego obecność otulała ją z każdej strony i unosiła nad ziemię.

Poszli w górę rzeki, trzymając się za ręce, brnęli przez mokre wrzoście i wysokie trawy przy akompaniamencie płynącej wody. Rozmawiali i śmiali się, a od

czasu do czasu Conor przyciągał Ellen do siebie i mocno obejmował, by znów ją pocałować.

- Nie chcę, żeby to się skończyło - powiedział, przyciskając swoje wargi do jej ust i uniemożliwiając przez to odpowiedź.

Conor wiedział po tym, jak obejmowała go w pasie, że ona także tego nie chciała. Wkrótce jednak światło dnia zaczęło słabnąć, a powietrze stało się chłodne i oboje niechętnie ruszyli w stronę domu.

Peg i Daphne nadal siedziały w salonie, kiedy wrócili. Ledwie zauważyły, jak długo Ellen i Conora nie było w domu. Daphne opowiadała Peg o swoim życiu i do streszczenia pozostało jej jeszcze czterdzieści lat. Ida i Finbar byli w pokoju zabaw. Finbar pochłonięty był grą na swoim iPadzie, podczas gdy Ida wzięła lakier Ellen i malowała dłoń lalki, którą kilka lat temu schowała głęboko na półce z zabawkami.

Conor skradł jej na ganku ostatni pocałunek, zanim weszli do środka na herbatę.

- Masz zimne policzki - szepnął, delikatnie pocierając je kciukami.

- Rozgrzałyby się w twojej brodzie.

Uśmiechnęła się szeroko. Jej oczy iskrzyły z podekscytowania jak u uczennicy, która łamie szkolne zasady.

- Daj mi chwilę, a całą cię rozgrzeję.

- Lepiej wejdźmy do środka. Co będzie, jeśli twoja matka albo ciocia Peg zobaczą nas w takim stanie?

- To by dopiero było ciekawe. Nie wiem, kto byłby bardziej zszokowany: twoja ciotka czy moja matka.

Ściągnęli kurtki w korytarzu i poszli do kuchni. Conor zawołał Meg, ale było tam cicho, nie licząc Magnuma, który głośno chłęptał wodę ze swojej miski. Ellen nachyliła się nad kredensem i wyrzała przez okno na pogrążający się w ciemności ogród. Czują, jak kończy się popołudnie, i nagle owładnęło nią rozpaczliwe pragnienie, by powstrzymać piasek przed przesypaniem się w klepsydrze. Ile zostało czasu do jego wylotu do Dublina? Conor włączył czajnik. Kiedy podniósł wzrok, zauważył jej strapioną minę.

- Jakie masz plany na jutro? - zapytał.

- Och, jutro jestem bardzo zajęta - odpowiedziała, odwracając się od okna, za którym czaił się zmierzch. - Mam randkę z osłem i lamą.

- A potem?

- Z kurami i świnią - odparła z melodramatycznym westchnieniem.

Sięgnął za nią, by ściągnąć z haczyków dwa kubki.

- A potem?

Jego twarz znalazła się tak blisko, że serce nieomal wyskoczyło jej z piersi.

- Wtedy może znajdę czas dla ciebie - szepnęła, od suwając się.

Uśmiechnął się zadowolony i wrócił do czajnika.

- Spędźmy razem cały dzień. Co ty na to? Przejedziemy się po okolicy i pokażę ci więcej Irlandii. Znam pewien miły pub, gdzie moglibyśmy zjeść lunch bez nadzoru naszych rodzin.

- W Ballymaldoon trudno od niego uciec.

- Dla chcącego nic trudnego. - Uśmiechnął się do niej łobuzersko, a ona odwzajemniła jego uśmiech. - Powiedz mi więc, co lubisz robić.

Wzruszyła ramionami.

- Mnóstwo rzeczy.

- Mów.

- Lubię spacerować po opuszczonych plażach. Uwielbiam szwendać się po ruinach zamków.

- W Irlandii jest ich pełno.

- Lubię przebywać pośród natury.

Popatrzył na nią przez dłuższą chwilę.

- To tak jak ja. Dlatego właśnie kupiłem zamek Ballymaldoon. Chciałem przebywać wśród wzgórz, otoczony pięknem i spokojem. Pracuję w mieście, ale wieś mnie do siebie przyciąga, i za każdym razem, kiedy tu przyjeżdżam, zdaję sobie sprawę, jak bardzo za nią tęskniłem.

- Lubię proste życie. Gdybyś zapytał mnie o to dwa tygodnie temu, odpowiedziałabym pewnie całkiem inaczej.

- Co się zmieniło?

- To, że tu przyjechałam i spojrzałam na wszystko z dystansu. Zyskałam perspektywę. Nie chcę już życia, jakie prowadziłam do tej pory.

Nalał wrzątku do imbryka. W tej samej chwili do kuchni wpadli Ida i Finbar.

- Pomalujesz mi paznokcie u stóp? - zapytała dziewczynka.

Ellen rozbawił jej entuzjazm.

- Jeśli tata pozwoli, to oczywiście, że pomaluję.

- Mogę, tato? - zapytała mała błagalnym tonem, składając razem dłonie jak do modlitwy.

- Nie widzę powodu, by tego nie zrobić. Ale innym i razem, skarbie. Teraz dorośli mają czas dla siebie.

- Dostaniemy coś do jedzenia? - zapytał Finbar.

Conor zerknął na zegar na ścianie. Była prawie osiemnasta.

- Zapytaj babcię - powiedział, ale Finbar go nie posłuchał i ściągnął stół z ciasteczkami z wyspy stojącej na środku kuchni i uniósł wieko. Wetknął dłoń do środka i wyciągnął oblaną czekoladą herbatnik, po czym uśmiechnął się do Ellen

zwycięsko.

Poszli do saloniku, gdzie siedzące przy kominku I Daphne i Peg nadal rozmawiały. Ida w podskokach pobiegła do babci, prosząc, by zrobiła im coś do jedzenia. Peg zerknęła na zegarek.

- Kto by pomyślał, że to już ta godzina? Ależ przeleciało to popołudnie. Ellen i ja musimy już jechać. - Peg podniosła się z kanapy, nagle zawstydzona. - Mam nadzieję, że nie nadużyliśmy waszej gościnności.

- Ależ skąd - odparła Daphne zgodnie z prawdą. Nigdy nie spotkała osoby tak zasłuchanej w jej opowieści. - Musicie nas jeszcze odwiedzić. Niewielu tu mamy przyjaciół. Miło byłoby od czasu do czasu spędzić popołudnie w gronie dorosłych. Kiedy tu jesteśmy, zawsze zajmuję się tylko dziećmi. Twoje towarzystwo podziało na mnie ożywczo, Peg.

- Och, widzę, że zaparzyłeś świeżej herbaty - powiedziała Peg, dostrzegając Conora, który stał w drzwiach z tacą w dłoniach.

- Byłoby grzechem ją zmarnować, prawda? - zauważyła Daphne. - Może zostanieie jeszcze chwilkę? Potem zrobię dzieciom kolację. Wytrzymają jeszcze piętnaście minut.

Peg spojrzała na siostrzenicę pytającym wzrokiem, ale zauważywszy zarumienione policzki dziewczyny, podejrzliwie przymrużyła powieki.

- Co ty na to, Ellen? Nie powinnyśmy chyba zajmować wam więcej czasu.

- Nie mamy nic innego do roboty - powiedział Conor i odstawił tacę na stolik kawowy, tym samym kończąc dyskusję.

Ellen usiadła na sofie, a Peg klapnęła tuż przy niej. Conor dorzucił dREW do ognia, po czym zajął drugi fotel i powoli wyciągnął swoje długie nogi. Daphne usiadła na swoim miejscu, gdzie poduszki zdążyły się już odkształcić pod jej ciałem, i wszyscy napili się herbaty. Peg poczęstowała się kilkoma herbatnikami, które Conor wyłożył na talerzyk, a po chwili Finbar porwał kolejne dwa. Położył się potem na podłodze, żeby zjeść je z Magnumem, który wyciągnął się na dywanie jak rozleniwiony lew. Ida bawiła się błyskotkami, jakie Ellen pozostawiła jej na stoliku, cicho nucąc sobie pod nosem.

Był to miły obrazek, skąpany w złotym świetle lamp. Powietrze było ciepłe i pachniało dymem palonego drewna, które wesoło trzaskało w palenisku. Daphne zaciągnęła jasnożółte zasłony pasujące do ścian i zapaliła aromatyzowaną świecę, dzięki której w pokoju wydawała się migotać nieziemską poświatą. Rozmawiali jak bliscy przyjaciele i tylko Conor i Ellen czuli wzajemną fascynację, którą wciąż podsycali, wymieniając znaczące spojrzenia. Wspólny sekret wyłączał ich z grupy, jednocześnie ich do siebie zbliżając.

To było bardzo miłe popołudnie - powiedziała Peg, kiedy wąskimi drózkami wracały do domu. - Muszę ci się przyznać, że nie cieszyłam się na tę wizytę ze względu na to, co wiem o Macauslandzie, to znaczy o Conorze, ale był przemiły, tak samo zresztą jak jego matka.

Ellen patrzyła przez szybę. Nadal czuła jego brodę na swojej twarzy. W rozmarzeniu przejechała po ustach opuszkami palców.

- Nie chcę powiedzieć: „A nie mówiłam? , ale...

Peg zachichotała.

- Odpal mi papierosa, skarbie. Zauważyłam, że u nich w domu nie ma żadnych popielniczek. Chyba nie palą, prawda?

Ellen przeczesywała torebkę ciotki w poszukiwaniu jej rothmansów.

- Chyba masz rację. Cóż, bez dwóch zdań to paskudny nawyk. Ja rzucam od razu - zadeklarowała.

- Ja też kiedyś rzucę, ale nie dziś. - Ellen odpaliła ciotce papieros samochodową zapalniczką.

- Ale ty naprawdę masz zamiar przestać palić, ot tak? - upewniła się zaskoczona Peg. - Wydawało mi się, że mówiłaś, że musiałabyś mieć po temu poważny powód.

- Mam poważny powód: świeże wiejskie powietrze. Chcę się nim delectować.

Ellen odwróciła twarz do okna. Było już ciemno i w i działa jedynie własne odbicie, które patrzyło na nią nieobecny, roziskrzonym wzrokiem.

- Daphne wyjawiała mi mnóstwo ciekawych rzeczy - powiedziała Peg.

- Była bardzo niedyskretna?

- O tak, strasznie.

- Co więc powiedziała?

Peg opuściła szybę i wydmuchnęła smużkę dymu.

- Wiesz, odkąd Caitlin zmarła, Conor nie nakręcił ani jednego filmu. Problem podobno tkwi w tym, że brak mu inspiracji. Daphne powiedziała, że od samego początku ich związek był burzliwy i że żona go zawiodła. Nie powiedziała, w jaki sposób, ale po tym, jak uniosła brwi, poznałam, że musiała zrobić coś bardzo złego. Niezręcznie byłoby o to zapytać, ale zdecydowanie podcięło to skrzydła Conorowi. Daphne stwierdziła też, że z powodu urody Caitlin ludzie zawsze mówili, że była aniołem, a to nieprawda. Daphne powiedziała, że była bardzo zaborczą i

spragnioną uwagi kobietą, a nie żadnym aniołem. Mężczyźni nie lubią kobiet, które bez przerwy domagają się zainteresowania. Może na początku im to schlebia, kiedy jeszcze są zakochani. Po jakimś czasie traci to swój urok i robi się irytujące. Była zazdrosna o bliską więź Daphne z synem i o jego przyjaciół; chciała nawet, aby Conor pozbył się swojego psa. Potrafisz sobie wyobrazić, że ktoś może być tak niepewny siebie?

- Rany, Daphne naprawdę nie trzymała języka za zębami, co?

- Wydaje mi się, że od dawna chciała to z siebie wyrzucić, a ja nie należę do jej kręgów, więc ta wylewność nie ma znaczenia.

- Jestem przekonana, że Conor miałby jej za złe tę niedyskrecję.

- Ja również, ale nie było sposobu, by ją powstrzymać. Ledwie udało mi się wtrącić słówko. Mam wrażenie, że Daphne jest już tym wszystkim zmęczona. Pewnie wie, co mówią ludzie. Chyba chciała wykorzystać okazję do obrony syna.

- Wie, że wszystkim o tym powiesz po powrocie do domu.

- Cóż, nie myli się, ale myślę, że potrzeba będzie czegoś więcej niż zapewnień Daphne, aby przekonać Johnny'ego, Joego i Ronana, że Caitlin nie była taka święta.

- Jak ona to widzi?

- Rodzina Caitlin należała do klasy średniej. Dziewczyna wychowała się w Galway, ale nigdy nie przepadała za miastem. Marzyła się jej kariera aktorska, ale według tego, co mówiła Daphne, nie umiała się wybić poza Dublinem, bo była nieśmiała, brakowało jej pewności siebie i bała się wielkiego świata. Wiesz, że przez cały czas ich małżeństwa nigdy nie była za granicą? Czy to nie dziwne w dzisiejszych czasach? Przy takiej fortunie, bo Conorowi świetnie się powodzi, mogła pojechać, gdzie tylko chciała, a jednak wybrała Connemare. Założę się, że Conor się w niej zakochał i bardzo szybko się pobrali, po czym odkrył, jaka Caitlin była naprawdę. Daphne niewiele powiedziała na ten temat, ale między wierszami wyczytałam, że tak właśnie było. Oznajmiła, że Conor bardzo się starał ją uszczęśliwić. Naprawdę ją kochał, ale to nie wystarczyło. Najwyraźniej nie dało się jej zadowolić. Daphne stwierdziła, że zawsze miała jakieś nieobecne spojrzenie, jakby coś z nią było nie tak. Była roztargniona i kapryśna. I muszę przyznać, że Conor sprawia wrażenie, jakby przeszedł piekło. Wygląda strasznie.

Ellen nie zwlekała ani chwili, by go obronić.

- Moim zdaniem jest bardzo przystojny.

- Jeśli lubi się zapuszczonych i kudłatych facetów.

Dziewczyna uśmiechnęła się i znów odwróciła do okna, by ukryć purpurowe policzki.

- Sprawia wrażenie bardzo romantycznego.

- Co robiliście na spacerze?

- Pokazał mi przepiękne miejsce. Strumyk i stary kamienny most. Kiedyś prowadziła przez niego droga, ale teraz zarosła i pozostał tylko mostek. Jest bardzo romantyczny.

- Tylko mi się tu nie zakochaj, dobrze? Może i Conor jest przystojny, ale przede wszystkim to bardzo skomplikowany mężczyzna ze skomplikowaną przeszłością. Na twoim miejscu dałabym temu spokój.

Ellen nie miała serca okłamywać Peg - ciotka zasługiwała na lepsze traktowanie - nie powiedziała więc nic. Zamiast tego rozmawiały o dzieciach, o tym, jaki piękny jest ich dom, i zastanawiały się, dlaczego Conor zamknął zamek na cztery spusty i pozostawił w nim tylko portret Caitlin wiszący w korytarzu.

- Może kiedyś go zdejmie, kiedy będzie gotowy zacząć żyć dalej - zasugerowała Peg. - A może nigdy nie zacznie żyć dalej. Myślę, że w głębi serca nadal ją kocha i targa nim rozpaczliwe poczucie winy, że nie mógł jej uratować. Pewnie postanowił zostać w Ballymaldoon, bo chce być blisko niej, i może zostawił jej obraz na ścianie z tego samego powodu. Nie wydaje mi się, żeby tkwiła w tym jakaś tajemnica. To bardzo proste: chce pozostać z nią w bliskości. Jestem w stanie to zrozumieć.

Ellen miała wrażenie, że ciotka mówi bardziej o sobie niż o Conorze. Chciała ją zapytać o córeczkę, ale Peg wydawała się tak poważna, że postanowiła nie ryzykować. Zastanawiała się, czy ciotka zauważy, że na stoliku przy łóżku zgasła wotywna świeca. Powiedziała by to sama, ale nie chciała się przyznać, że myszkowała po jej pokoju. Zamiast tego splotła razem palce, położyła je na udach i przyglądała się ciągnącej się przed nią drodze, oświetlonej reflektorami auta. Kiedy wróciły do domu, zauważyły na podjeździe ciężarówkę Johnny'ego, tuż obok auta Desmonda.

- Proszę, proszę. Mamy publiczność - powiedziała Peg, parkując obok.

- Chcą wiedzieć, jak poszło.

- Najwyraźniej. - Peg wyłączyła silnik i postępując, wysiadła z auta. Nigdy nie narzekała na bolące kości, ale Ellen zauważyła, że chodzi, lekko utykając, a wstawanie z krzesła powoduje u niej dyskomfort. - Cóż, sami sobie otworzyli, więc chyba nie mamy wyjścia, tylko musimy do nich dołączyć. Naprawdę za dużo sobie pozwalają!

Jednak po słabym uśmiechu, jaki pojawił się na jej twarzy, można było poznać, że cieszy się z ich przybycia.

Ellen wolałaby od razu pójść do swojego pokoju i zamknąć drzwi, żeby położyć się na łóżku i odtworzyć w myślach moment, kiedy Conor ją pocałował. Nadal czuła motyle w żołądku. Nie miała wyrzutów sumienia, które wcześniej

niekiedy się pojawiały, bo teraz Conor przystonił Williama jak wielki, piękny księżyc.

Na dźwięk otwierających się kuchennych drzwi w pomieszczeniu zapadła cisza. Peg weszła do środka, zastając tam Joego, Johnny'ego, Desmonda i Alannę, którzy razem z Oswaldem siedzieli przy stole. Nachyliła się, żeby pogłaskać Pana Borsuka, jeszcze przez chwilę trzymając wszystkich w niepewności.

- Cześć, przyjacielu - powiedziała do psa, który machał ogonem i trącał ją mokrym nosem.

- Powiesz nam coś czy nie? — od razu warknął Desmond.

Ellen weszła do środka za ciotką i promiennie uśmiechnęła się do Joego, który uniósł brwi w sugestywnym geście.

- Może. Ale najpierw muszę się napić odrobinę Jamesona. - Podeszła do kredensu i zdjęła szklankę z górnej półki. - Mam nadzieję, że poczęstowałeś się winem - powiedziała do Oswalda.

- O tak, Peg. Doskonale podgrzało się na kuchence - odrzekł z uśmiechem.

- Czyli wszyscy się rozgościliście - stwierdziła, zerknąwszy na filiżanki z herbatą oraz talerzyki pełne herbatników i ciasta.

- Pomyśleliśmy, że zrobimy ci niespodziankę, Peggine - powiedział Joe.

- Bzdura odpaliła, nalewając sobie whisky do szklanki. - Przyjechaliście na plotki. Znam was. I zupełnie nie jestem tym zaskoczona!

- Tata przywiózł ciasto - dodał Joe.

- Kafka je lubi - oznajmiła Peg.

- Dziewczynka była zadowolona z paznokci? — zapytała Alanna.

- Nie mogła się nimi nacieszyć - odrzekła Ellen, stojąc zakłopotana przy drzwiach.

- Nie stój tak w progu. Usiądź z nami i opowiadaj - poprosił Joe, poklepując wolne miejsce na ławie. - Nie ugryziemy cię.

- Nie boję się twoich zębów - odpaliła Ellen. - Tylko twojego nieodpartego uroku!

Joe się roześmiał. Johnny pokręcił głową.

- Nieodparty urok! - prychnął. - Już i tak chłopak ma o sobie za duże mniemanie.

Ellen precyzyjnie się za stołem i usiadła obok Joego.

- Jak wygląda dom w środku? - zapytała Alanna.

- Jezu! Nie chcemy wiedzieć, jak wygląda dom! - oburzył się Desmond. - Peg, weź tu swojego drinka i skróć nasze cierpienia.

Ciotka wzięła swoją szklaneczkę i mały dzbanek wody, po czym usiadła na krześle Kafki. Ptak ani drgnął i nikt nie zwracał na niego uwagi. Peg westchnęła i

upiła łyczek whisky.

- Wypiłam całe morze herbaty - powiedziała. - Ach, jak mi dobrze.

- Conor ma oko na naszą Ellen, tak? - spytał Joe, uśmiechając się do niej znacząco. - Założę się, że był zaskoczony, kiedy pojawiłaś się u niego z Peggine!

- Pewnie tak - odrzekła Peg, zadzierając podbródek. - Choć nie powinien. Jaką byłabym ciotką, gdybym pozwoliła siostrzenicy samej udać się do domu obcego mężczyzny?

- Robił do ciebie maślane oczy przy stole? - prowokacyjnie zapytał Joe.

- Nie, Joe. Nie robił żadnych oczu - odparła Ellen.

- Siedziałaś między nimi, Peg, jak nasza ciotka Sheila, która przechodziła między nami podczas tańca, żeby się upewnić, że nie jesteśmy za blisko siebie? - zapytał Johnny.

- Ależ skąd. Usiadłam sobie z matką Conora, Daphne, i rozmawialiśmy.

- Aha, czyli teraz to dla ciebie Conor, tak? - droczył się Joe.

- A czemu nie - odparła Peg, nie potrafiąc zdusić małego uśmieszku, który rozpromienił jej twarz. Była kobietą, która lubiła z siebie pożartować. - Nie wypada mówić do niego: panie Macauslandzie, skoro do jego matki mówię Daphne.

- A jaka jest Daphne? - zapytała Alanna.

Peg się uśmiechnęła.

- Ach, jest przezabawna. Uwielbia plotki. Nagadałyśmy się za wszystkie czasy.

- O czym więc rozmawiałaś z panem Macauslandem, kiedy jego matka zabawiła Peg? - zapytał Desmond. W przeciwieństwie do swojego brata i bratanka wcale nie uważał sytuacji za zabawną.

Ellen wzruszyła ramionami.

- Nie wiem... o tym i owym. Malowałam jego córce paznokcie.

- A on robił do ciebie maślane oczy z za stołu — powtórzył Joe.

- Przestań pleść bzdury Joe - zgromił go ojciec. - Jestem bardzo ciekaw, czy chce się jeszcze z tobą spotkać.

- Bądź ostrożna, Ellen, bardzo cię proszę — przestrzegła ją Alanna. - Ten mężczyzna to same kłopoty.

- Lepiej nie włącz się z nim po okolicy. Nie wolno mu ufać - powiedział Desmond, a niemy zakaz w jego oczach sprawił, że Ellen była niemal skłonna całkowicie mu się podporządkować.

- On nie jest jednym z nas - stwierdziła Alanna.

- Co masz na myśli? - zapytała Ellen.

- Nie jest Irlandczykiem - stanowczym tonem wyjaśnił Desmond.

- To tak jak ja - zauważyła dziewczyna. - Nie zapominajcie, że mój ojciec

jest Anglikiem.

- I nie ma w tym nic złego - powiedziała Peg ostro. - Jeśli Ellen chce się włóczyć z Conorem po okolicy, to jej sprawa. Jest na tyle dorosła, że potrafi się o siebie zatroszczyć.

Ellen była wdzięczna ciotce za wsparcie, choć nieco ją zaskoczyło. Wcześniej Peg razem z pozostałymi ostrzegała ją przed Conorem.

- Jeśli ktoś zakazuje ci coś robić, to zwykle zaczynasz pragnąć tego bardziej - odezwał się Oswald z drugiego końca stołu, który do tej pory z lubością przysłuchiwał się ich utarczkom.

Desmond pochylił się nad herbatą z zagniewana miną.

- Powinna wiedzieć, co o tym myślimy.

- Czasem najlepiej niczego nie wiedzieć i samemu wyrobić sobie zdanie - mądrze skwitował Oswald. - Wiedza może być niekiedy bardzo kłopotliwa.

- Co więc powiedziała ci Daphne? - Alanna ponownie i pytała Peg, niecierpliwie bębniąc palcami o blat stołu.

Ciotka westchnęła, ale i tak im powiedziała.

- Ludzie uważają, że Caitlin była aniołem, a to nieprawda - oznajmiła w końcu.

- Stek bzdur! - oburzył się Johnny. Peg spodziewała się takiej reakcji. - Oczywiście, że powiedziała coś takiego, w końcu to jego matka.

- Nasza mamusia też by tak zrobiła. Broniłaby nas nawet wtedy, gdybyśmy popełnili morderstwo - powiedział Desmond.

- Conor nikogo nie zamordował - stwierdziła Peg ze znużeniem w głosie. - To był wypadek, nic więcej.

- Ale kto odpływał łodzią? - zapytał Joe tonem pełnym insynuacji.

- Skrzaty z wyobraźni Dylana - zażartowała sobie Peg. - Naprawdę nie wolno wierzyć w ani jedno jego słowo!

- Widzieliście go dzisiaj w tym garniturze? - zaśmiał się Joe.

- Nie wiem, co w niego wstąpiło - powiedziała Alanna. - Ledwie go poznałam, kiedy wszedł do mojego sklepu. Zaczesał nawet włosy do tyłu.

- A co, do licha, on robił w twoim sklepie? Kupił coś? - zapytał Desmond.

- Nie, tylko się rozglądał.

- Pewnie załał się w trupa, zabłądził i myślał, że wchodzi do pubu - zarechotał Joe.

Alanna pokręciła głową.

- Nie, nie był pijany. Dobrze się prezentował. Powiedziałabym nawet, że jest jeszcze całkiem przystojny.

- Miło słyszeć - rzekła Peg. - Za dawnych czasów zawsze nienagannie

wyglądał.

- Może w końcu pobierze się z Marthą - rzucił Desmond.

- Biedna Martha. - Alanna westchnęła. - Jest mu taka oddana. Gdybym tylko mogła, powiedziałabym jej, że marnuje czas. Nie sądzę, żeby Dylan kiedykolwiek się ustatkował.

- Może ona nie chce wychodzić za mąż, Alanno - zasugerowała Peg. - Chyba po prostu cieszy się, że może przy nim być.

- Żeby przy nim być, wystarczy przyjść do pubu - zarechotał Desmond.

- Lepiej, jak ludzie się pobierają, przynajmniej ja tak uważam - stwierdziła Alanna. - Nie wydaje mi się, żebyśmy byli stworzeni do życia w pojedynkę.

Na chwilę wszyscy umilkli. Ellen zastanawiała się, co Oswald i Peg myślą na ten temat. Wtedy Alanna znów zaczęła bębnić palcami w stół.

- Przyjdiesz na niedzielny obiad po mszy? Ksiądz Michael bardzo chce cię poznać. - Ellen się zawahała. - Przecież chodzisz do kościoła, prawda? - dodała Alanna i dziewczyna instynktownie wiedziała, że musi odpowiedzieć twierdząco.

- Oczywiście, z przyjemnością przyjdę. Mówiąc „obiad”, masz na myśli „lunch”, prawda?

- Ta nasza ptaszyna mówi jak dama! - zachichotał Joe.

- Daj spokój, Joe - zganił go ojciec. - Może sobie mówić, jak jej się podoba. Alanna promieniała z radości.

- No to świetnie. Będziemy mieli rodzinne spotkanie.

Rozmawiali dalej. Peg i Alanna przygotowały naprędce mięso i ziemniaki i wszyscy zostali na kolację. Było późno, kiedy ciotka w końcu wypchnęła wszystkich za drzwi. Oswald począpał do siebie, wypiwszy nieco więcej wina niż zwykle, a Peg wyprowadziła Bertiego i Pana Borsuka na szybki spacer wokół domu, zanim wszyscy poszli spać.

Ellen skończyła sprzątać po kolacji. Kiedy odstawiła sól i pieprz na półkę w kredensie, poczuła, że przynależy do tego miejsca. Znała teraz kuchnię Peg jak własną kieszeń. Czowała się w niej jak w domu. Była uczestnikiem rodzinnego spotkania przy stole i tym razem nie uważała się już za outsidera. Odczuwała przyjemność z tego, że wszyscy się o nią niepokoiili, kiedy Conor Macausland okazał jej zainteresowanie. Czowała ulgę na myśl, że Desmond, Joe i Johnny byli gotowi stanąć w jej obronie. Wyglądali jak grizzly i na pewno mogła czuć się bezpiecznie w ich towarzystwie. Mimo to Ellen była zdeterminowana, by znów zobaczyć się z Conorem, czy im się to podoba, czy nie. Będzie jednak musiała uważać, by się z tymi spotkaniami nie obnosić.

Peg zamknęła Bertiego i Pana Borsuka w kuchni. Obie kobiety szły po schodach, rozmawiając o minionym wieczorze jak dwie przyjaciółki. Ellen nie

mogła nie zauważyć, jak swobodna relacja łączy ją z ciotką. Czuła się tak, jakby zawsze były razem.

- Dobrze się wyśpij, Ellen.

- Tak zrobię, ciociu Peg. To był udany dzień.

- Na co masz ochotę jutro?

- Chyba pozwiedzam okolice.

- To bardzo dobry pomysł. Weź mój samochód i zwiedź kawałek Irlandii. -

Przez chwilę zwlekała na półpiętrze z pójściem do siebie. - Nie będzie ci smutno samej, prawda?

- Ani trochę. Świetnie sobie radzę. Lubię spokój, który łączy się z samotnością

- To dlatego, że jesteś pisarką. Potrzebujesz czasu z samą sobą, żeby zebrać myśli. Do zobaczenia jutro. Kolorowych snów.

Ellen patrzyła, jak Peg idzie korytarzem do swojej sypialni, i pomyślała o tym, jak na kolanach modli się przed zdjęciem swojego dziecka. Poczowała, jak coś dławi ją w gardle na myśl o osamotnieniu ciotki w żalu, którego nie może dzielić z mężem. Znów zaczęła się zastanawiać, czy kobieta zauważy wotywną świecę.

Ellen leżała w łóżku, bijąc się z myślami. Nie chciała myśleć o Williamie, ale ten wypływał na powierzchnię wzburzonego oceanu jej rozmyślań jak uparty korek. Widziała go w idealnie skrojonym garniturze, z blond włosami odgarniętymi z czoła i pytającym, oburzonym wzrokiem. Był młody i w formie; jego skóra była tak gładka, że prawie nie musiał się golić, a dłonie naturalnie miękkie i zadbane, bo nigdy nie pracował poza dzielnicą finansową. Jego śmiech był pogodny i beztroski, William nigdy nie martwił się niczym poza zagubionymi zaproszeniami, które jeszcze do niego nie dotarły, albo istotnym elementem garderoby, który zaginął w pralni. Był rozpieszczony, uprzywilejowany i w przeciwieństwie do Conora jego atrakcyjny wygląd wydawał się powierzchowny i łatwo nabyty.

Łatwo mogła zrozumieć, dlaczego William jej się podobał. Był czarujący i miły, ale Ellen wiedziała podświadomie, że jest również „odpowiedni” dla niej w oczach jej rodziców i przyjaciół. Byli tak oczywistą parą jak dwa rasowe psy przeznaczone do rozrodu. Przyszłość, która została dla nich przewidziana, biegła tymi samymi torami co jej dotychczasowe życie: wygodne, bezpieczne, przewidywalne jak wagon pierwszej klasy, ciągnięty przez dobrze naoliwioną lokomotywę. Jednak Ellen już dłużej tego nie pragnęła; nie wiedziała tylko, jak powiedzieć o tym Williamowi. Ucieczka wydawała się o wiele prostsza niż zmierzenie się z jej nowymi uczuciami. A jeśli ten mały bunt był tylko przejściowym etapem, jak bez wątpienia określiłaby to jej matka? Przedślubne nerwy? A jeśli jej zauroczenie Conorem wynika jedynie z faktu, że stanowi przeciwieństwo

Williama? A jeśli ta przygoda wkrótce się skończy, a Ellen koniec końców wróci do Londynu i dobrze naoliwionej lokomotywy, pełna skruchy i żalu? A jeśli podczas jej nieobecności William znalazł sobie kogoś innego, a ona resztę swoich dni spędzi jak Dylan na rozmyślaniu o utraconej miłości?

Jednak kiedy rano blade światło zaczęło przebijać się zza zasłon, Ellen czuła tylko podekscytowanie rozpoczynającym się dniem. Stała przy oknie i patrzyła, jak latarnia wyłania się spomiędzy mgieł jak nowy pęd przebijający się przez chłodną ziemię. William zatonął na dnie jej myśli. Było w nich miejsce tylko dla Conora.

Ellen jechała aleją pod konarami starych dębów do Reedmace House, modląc się, żeby Johnny i Joe nie zauważyli jej samochodu. Według wszelkiego prawdopodobieństwa byli dziś w zamku, a na ile się orientowała, do domu Conora prowadziła tylko ta jedna droga. Z pewnym niepokojem mijała więc zamek, gdzie na swoim zwyczajowym miejscu stała zaparkowana ciężarówka Johnny'ego. Skoro szef był w domu, Johnny i Joe na pewno się nie objali, a przy odrobinie szczęścia Ellen przejedzie koło nich niezauważona.

Mgła się rozproszyła, odsłaniając jasnoniebieskie niebo i promienne słońce. Ellen opuściła szyby, żeby posłuchać radosnego świergotu ptaków i sporadycznego stukania dzięcioła ukrytego w drzewach. Na poboczach lśniły przebiśniegi, a trawa cieszyła oko nasyconą zielenią. Niedługo zakwitną kwiaty i cała posiadłość wybuchnie cudownymi kolorami. Ellen głęboko wciągnęła powietrze w płuca i poczuła zapach wiosennej ziemi.

Kiedy zaparkowała przed domem, pożałowała, że zniszczyła swoje futerko i kozaczki, bo ubranie od Peg nie prezentowało się zbyt pociągająco. Przynajmniej dopasowane dzinsy i sweter z dekoltem w serek pochodziły z jej własnej szafy. Po raz ostatni sprawdziła w lusterku wstecznym, jak wygląda, i wysiadła na żwirowy podjazd. Serce zaczęło walić jej jak młotem, kiedy szła do drzwi. William nigdy nie wzbudził w niej takiego podekscytowania. Nie miała czasu zapukać do drzwi i zebrać się w sobie, bo otworzyły się od razu i stał w nich Conor z Magnumem przy boku.

- Dzień dobry - powiedział z uśmiechem pełnym czułości.

- Dzień dobry - odrzekła nieśmiało, bez powodzenia starając się zapanować nad nerwami. Conor zrobił krok do przodu, objął ją w pasie i pocałował w usta, rozpraszając jej zakłopotanie. Prychnęła przez nos.

- Tak lepiej - powiedział. - Chcesz się czegoś napić, zanim pójdziemy?

- Nie, dopiero co jadłam śniadanie.

- Racja, no to ruszamy. - Wypuścił psa, po czym zamknął za sobą drzwi.

Ellen poszła za Conorem do stajni za domem, gdzie otworzył tylne drzwi swojego range rovera i wpuścił psa do środka. - Magnum nie lubi, jak się go porzuca - wyjaśnił. - Nie ma też nic przeciwko byciu przyzwoitką. Jest niebywale dyskretny.

- Miło słyszeć. Obawiam się, że śledzi mnie już cała rodzina Byrne'ów.

- Zupełnie mnie to nie dziwi. - Otworzył jej drzwi i Ellen wsiadła do środka.

- Masz dużo szczęścia, że aż tyle osób się o ciebie troszczy.

Samochód ruszył, ale tym razem na wyjeździe z podjazdu Conor skręcił w lewo i oddalił się o prawie dwa kilometry od głównej drogi, gdzie dalej wjechał na wiejską ścieżkę prowadzącą za niepozorną bramę u podnóża wzniesienia.

- To tak na wszelki wypadek - powiedział z uśmiechem. - Nie chcę ci zepsuć reputacji.

- Nie jestem przekonana, czy już jakąś mam.

- Tym bardziej. - Przycisnął mocniej pedał gazu. - Twoja ciotka miała jakieś podejrzenia?

- Myślę, że tak miło rozmawiało jej się z twoją matką, że nie zwróciła na nas uwagi.

- To dobrze. Mama nie ma tu zbyt wielu osób do towarzystwa. Bardzo ucieszyła ją rozmowa z Peg.

- Muszę ci wyznać, że pierwszy raz w życiu przebywam u rodziny matki.

Conor nie wydał się tym zbytnio zaskoczony.

- Cóż, nigdy wcześniej nikt o tobie nie wspominał, a znam większość ludzi w Ballymaldoon.

- Prawda jest taka, że moja matka, a siostra Peg, uciekła z moim ojcem i nigdy nie wróciła. Ukrywam się tu, bo to jedyne miejsce, gdzie nie będzie mnie szukać.

Conor uniósł brwi.

- Czyli uciekłaś z domu, tak?

- Cóż, jestem już zbyt dorosła na ucieczki z domu, ale nie powiedziałam nikomu, gdzie się zatrzymam. Gdybyś znał moją matkę, zrozumiałbyś. Po prostu potrzebuję czasu bez całej rodziny nad głową. Moi rodzice poznali się w twoim zamku, jeszcze zanim go kupiłeś. Oczywiście matka nigdy mi o tym nie wspomniała. Wiem od Peg. Mam wrażenie, że mama wstydzi się tego, że pochodzi z robotniczej rodziny. Straszna z niej snobka.

- Nie ma się czego wstydzić. Byrne'owie to porządni ludzie.

- Wiem, właściwie czuję się trochę zawiedziona. Przez cały ten czas czekała tu na mnie wspinała rodzina, o której istnieniu nie miałam pojęcia.

- Musiała mieć jakiś dobry powód do zerwania z nimi kontaktu.

- Czy małżeństwo z angielskim protestantem wystarczy?

- Jeśli jej matka była bardzo religijną katoliczką, to może tak.

Ellen zmarszczyła nos.

- Po prostu wydaje mi się to dość drastyczne, żeby tak uciec od matki i rodzeństwa i już nigdy nie wrócić tylko dlatego, że zakochała się w niewłaściwym mężczyźnie.

- Mam wrażenie, że znasz tylko jedną stronę medalu. Nic nigdy nie jest

takie proste. - Uśmiechnął się do niej. - Powiedz mi, jaka jest twoja rodzina w Anglii?

Ellen powiedziała mu o Leonorze i Lavinii, opisała mu pokrótce ich powierzchowne życie, a z powodu jej bezlitosnych parodii siostr Conor rżał ze śmiechu.

- Mają wygląd po ojcu - powiedziała. - Jasna, nienaganna cera, wielkie niebieskie oczy, długie nogi. Są do siebie tak podobne, że czasem trudno je odróżnić, choć urodziły się w odstępie dwóch lat. Jestem czarną owcą rodziny. Ciemna i niespokojna. Im więcej dowiaduję się o matce, tym bardziej zdaję sobie sprawę, że pewnie dziedziczę charakter po niej. A niełatwo mi to przyznać. Moja matka jest nie do zniesienia!

- Poczujesz się szczęśliwsza, jeśli wyrwiesz się z ram i zaczniesz być sobą. Mam wrażenie, że zmagasz się z ambicjami swojej matki. Powinna odpuścić i pozwolić ci postępować po swojemu.

- Chcę, żebym w najgorszym wypadku wyszła za hrabiego.

- Współczesna pani Bennett.

- Wiem. Takie aspiracje wydają się trochę staromodne, prawda?

- O nie, są jak najbardziej aktualne. Zawsze znajdą się ludzie z ambicjami, żeby wspiąć się po społecznej drabinie, a najlepiej wskoczyć na samą górę przez intratne małżeństwo. Domyślam się, że twoja matka ani przez chwilę się nie zastanowiła, kogo ty chciałabyś poślubić. A co na to twój ojciec?

- Jestem przekonana, że nie miałby żadnych wymagań, pod warunkiem, że będę szczęśliwa, choć w głębi duszy pragnęłby pewnie, abym poślubiła kogoś takiego jak on: ze świadectwem z Eaton, lubiącego sport, bogatego i z koneksjami.

- Zamilkła na chwilę, zastanawiając się nad małżeństwem rodziców. Biorąc pod uwagę fakt, z jak różnych światów się wywodzili, cudem było, że ich związek przetrwał. - Wiesz, myślę, że moja matka tak długo i usilnie starała się dopasować do świata ojca, że straciła z oczu to, co tak naprawdę jest ważne w życiu. Kiedy dorastałam, przejmowała się tylko tym, co ludzie powiedzą. Tym, żebym wyglądała przyzwoicie, mówiła to, co trzeba, i była zapraszana na właściwe przyjęcia. Zmuszała mnie do udziału w balach debutantek, mimo że te imprezy były strasznie przestarzałe i pozbawione prestiżu. Rozpaczliwie chciała znaleźć mi odpowiedniego męża - tylko że wszyscy kandydaci mieli wklęste podbródki i byli nieporadni, zwłaszcza arystokraci! Chyba wszyscy pochodzili ze związków zawieranych w wąskim gronie. - Westchnęła i pokręciła głową w udawanej rozpacz. - Naprawdę, co ona sobie myśli? Właściwie to nie powinnam się śmiać, bo matka jeszcze nie odpuściła!

Zacząła bezlitośnie ją przedrzeźniać. Zawsze była świetną parodystką.

- Jesteś zabawna, Ellen - powiedział Conor, ocierając łzę z kącika oka. - Powinnaś zostać aktorką.

- Założę się, że mówisz to wszystkim dziewczynom - rzuciła oschle.

- Właściwie to nie. Ale nie polecałbym tego nawet komuś tak utalentowanemu jak ty. Lepiej ci będzie po drugiej stronie kamery jako pisarce.

- Nigdy nie chciałam być aktorką.

- Zawsze pisarką?

- Lubię słowa i wyrażanie siebie w ten sposób. Nie mam jednak pewności, czy jestem w tym wystarczająco dobra. Badam teren, starając się odkryć, jak w najlepszy sposób wyrazić swoją kreatywność. - Zaśmiała się. - Mam nadzieję, że się nie łudzę i jest we mnie jakiś twórczy duch!

- Oczywiście, że tak, inaczej nie brałabyś tego nawet pod uwagę. Ale gdybyś nie wybrała pisarstwa, kim byś została?

- Nie wiem. Choć może to zabrzmieć jak zdanie z poradnika psychologicznego, nie do końca wiem, kim chcę być. - Spojrzała na aksamitne zielone pola i szare kamienne mury, po czym powiedziała pierwsze, co przyszło jej do głowy: - Może ogrodnikiem?

- Orodnikiem?

Był zaskoczony.

- Tak. Moja matka pewnie nie mogłaby tego znieść! Chciałaby, żebym była wielką damą, która chodzi na lunchy i siedzi w zarządach komitetów organizacji charytatywnych. Ale chyba podobałoby mi się sadzenie roślin i obserwowanie, jak rosną. Nic nie wiem o pracy w ogrodzie, ale też dopiero kiedy tu przyjechałam, zdałam sobie sprawę, jak bardzo lubię przyrodę. Ale owszem, ogrodnictwo bardzo by mnie ucieszyło. - Zwróciła się do niego i uśmiechnęła. - Uważasz, że w Connemarze jest coś magicznego?

- Tak - odpowiedział, odwzajemniając uśmiech. - Ale tylko pod warunkiem, że chcesz, by rzucić na ciebie zaklęcie.

Po krótkiej przejażdżce samochodem Conor zaparkował w zatoczce na skraju wzniesienia.

- No dobrze, zaczynamy zwiedzanie zamków - oznajmił, wyłączając silnik.

- Jestem zaskoczona, że to lubisz, skoro masz własny.

- To nie to samo, zobaczysz. Ten tutaj jest w całkowitej ruinie. Będziesz zachwycona.

Wysiedli z auta i Conor otworzył bagażnik, żeby wypuścić Magnuma. Pies z nagłym podekscytowaniem wyskoczył z bagażnika i podniósł tylną łapę przy kole samochodu. Conor otworzył furtkę, wziął Ellen za rękę i poprowadził ją przez pole.

Na klifie, który wyglądał na ocean, stały kamienne ruiny niegdyś

wspaniałego zamku. Puste wieże i niszczące ściany to wszystko, co pozostało z potężnej fortecy, która chroniła tę ziemię przed najazdem od strony morza. Wiatr szalał, wpadając przez puste okna, i ze świstem hulał po opuszczonym przedmurzu, gdzie kiedyś żołnierze trzymali wartę, wyglądając wroga, a damy w wytwornych sukniach z aksamitu czekały na statki handlowe, które z zamorskich krain przywoziły przyprawy i jedwabie.

- Irlandia pełna jest ruin - powiedział Conor, kiedy szli w stronę zamku.

Ellen chciała porozmawiać o pewnych fascynujących ruinach, które widziała codziennie po przebudzeniu, ale instynktownie czuła, że Caitlin nie może dziś być tematem rozmów.

- Irlandia to bardzo romantyczny kraj - powiedziała zamiast tego.

Conor uśmiechnął się do niej i mocniej uściskał jej dłoń.

- Lubię cię, Ellen Byrne.

- Nazywam się Ellen Trawton.

- No tak. Podobasz mi się bez względu na to, jak się nazywasz. Jesteś jak promyk słońca.

Uśmiechnęła się do niego zagadkowo.

- Wiesz, że po grecku moje imię oznacza „jasne światło”?

- Nie, nie wiedziałem - odpowiedział. - W szkole nigdy nie szła mi greka. A widziałas kiedyś film Wiek niewinności z Danielem Dayem-Lewisem i Michelle Pfeiffer?

- Niestawna Ellen Olenska - powiedziała, powtarzając to, co już słyszała od Dylana.

- To był dopiero film.

- Ze wstydem przyznaję, że nigdy go nie widziałam, ani też nie czytałam książki.

Conor miał zadowoloną minę.

- W takim razie zdobędę DVD i obejrzymy go razem. Przypominasz hrabinę, twoją imienniczkę. To wspaniała posiać - bardzo tajemnicza, skłonna do manipulacji i fascynująca. To piękna i smutna historia miłosna.

Doszli do ruin i zaczęli po nich spacerować. Magnum węszył po ziemi, biegnąc śladami lisa. Oprócz nich i psa nie było tam nikogo. Zamek znajdował się z dala od drogi, a ci, którzy wiedzieli o jego istnieniu, nie zwracali sobie głowy oglądaniem sterty starych kamieni. Ellen poczuła nerwowe mrowienie w żołądku w oczekiwaniu na ich kolejny pocałunek.

- Wydaje mi się, że tu była bawialnia - oświadczyła, puszczać jego dłoń i swawolnie przeskakując przez sięgający do kolan murek na porośnięty trawą kwadrat, przy którego zewnętrznej ścianie widać było pozostałości komina.

- Tak sądzisz? - zapytał, idąc za nią.

- Tak, wyobrażam sobie, jak wszyscy siedzą tu razem, popijając wino, ty nie?

Conor się roześmiał.

- Mogła tu też być kuchnia. Czy nie pasowałby tu wielki i gruby kucharz, który obraca na różnie prosiaka?

- Nie, jest tu zbyt elegancko, by mogła to być kuchnia. - Przeskoczyła przez kolejny murek do mniejszego pomieszczenia, gdzie z okna zakończonego tukiem rozpościerał się widok na morze. - Tu mogła mieścić się biblioteka. Jak myślisz?

Podparł się pod boki i zmarszczył czoło.

- Albo gabinet.

- To prawda, nadawałby się na gabinet. Może był to mniejszy salonik. W tych wielkich domach zawsze jest tyle salonów. - Wyjrzała przez otwór, w którym kiedyś znajdowało się okno. — Ciekawe, kto przez nie wyglądał. Młoda dziewczyna zakochana w marynarzu, która czeka na jego powrót z morskiej wyprawy?

Kiedy się odwróciła, Conor stał tuż za nią.

- Udajesz trudną do zdobycia, Ellen Trawton? - zapytał, przyciskając ją do murku. Wstrzymała oddech.

- Ale teraz mnie złapałeś, Conorze Macauslandzie - odpowiedziała, imitując jego wyraźny irlandzki akcent.

- Nieźle jak na angielską ptaszynę! - zawołał, wpatrując się w nią natarczywie.

- Mówisz jak wujek Johnny.

Odgarnął za ucho kosmyk jej włosów.

- Nie musisz się przy mnie denerwować. Nie zjem cię.

- Myślę, że to przez tę brodę. Przy tobie czuję się jak Czerwony Kapturek.

Roześmiał się i przycisnął swoje wargi do jej warg.

- Miejmy nadzieję, że leśniczy ma dziś wolne.

Pocałował ją namiętnie i przez chwilę Ellen poczuła się zniewolona intensywnością tego pocałunku. Czuła ciepło emanujące przez ubrania Conora i seksualne napięcie, które między nimi narasta. Pachniał cytryną i przyprawami, i już sama jego męskość dziewczynę obezwładniała. Zapomniała o sobie i swoich zahamowaniach, świadoma tylko zmysłowych przyjemności, które rozchodziły się po całym jej ciele. Conor wtulił twarz w jej szyję i całował łuk ramienia, a gdy poczuła jego język na swojej skórze, głośno jęknęła, żałując, że nie ma tu łóżka, na które mogliby paść.

W końcu oderwał się od niej bez tchu.

- Doprowadzasz mnie do szaleństwa, Ellen - szepnął, znów całując jej usta,

tym razem z większą czułością.

- Jak nazywał się kochanek Ellen Olenskiej? - zapytała, starając się uciszyć kołaczące jej w piersi serce.

- Newland Archer.

- Czy ten film ma szczęśliwe zakończenie?

- Nie powiem ci.

- To nie fair - zaprotestowała.

- Jeśli ci to wyjawię, zepsuję całą przyjemność z jego oglądania.

- Chcę tylko wiedzieć, czy imię Ellen przynosi szczęście, czy nie.

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę, zastanawiając się nad jej pytaniem. Zmarszczka pomiędzy jego brwiami sugerowała, że odpowiedź nie była prosta.

- Nie mogę ci tego powiedzieć, jednocześnie nie zdradzając zakończenia. Mogę cię za to zapewnić, że ty masz szczęście, bez względu na imię.

Później przeszli się wzdłuż klifu, trzymając się za ręce. Magnum biegł przed nimi, ożywiony z powodu wiatru. Mewy skrzeczały żałośnie nad ich głowami, a z krzewów kolcolistu dobiegało ich ćwierkanie ptaków. Ocean buczał pod nimi, rozbijając się o skały małymi eksplozjami piany, a od czasu do czasu z niebieskich dziur w chmurach wyglądało słońce i zalewało ich falą optymizmu.

- Domyślam się, że ciocia Peg powiedziała ci o mojej żonie - rzekł cicho, mocno trzymając ją za rękę, jakby się obawiał, że ucieknie od niego na wzmiankę o jego małżeństwie.

- Troszkę. Bardzo współczuję tobie i dzieciom. To musiało być okropne.

Zerknął na nią i uśmiechnął się smutno.

- Było.

Przez chwilę szli w milczeniu. Ellen zastanawiała się, czy powie jej coś więcej o Caitlin, czy może tylko się upewnia, że dziewczyna zna jego przeszłość, tak jak ona zrobiła wcześniej, opowiadając mu o swojej matce.

- Nie wierz we wszystko, co ci mówią, dobrze? - dodał, lekko ściskając jej dłoń.

Nie była pewna, jak na to zareagować, bo nie chciała dać po sobie poznać, ile tak naprawdę już słyszała.

- Moja żona zginęła w wypadku i taka jest prawda.

- To właśnie słyszałam - odpowiedziała, pragnąc szybko rozchmurzyć jego pełną bólu twarz.

- Twoja ciotka Peg to dobra kobieta - przyznał. - Inni nie mają już takich dobrych intencji. Po Ballymaldoon krąży wiele małomiasteczkowych plotek. Zawsze tak było i zawsze będzie. Jednak do czasu, aż znowu wydarzy się coś dramatycznego, pozostaną ich ulubionym tematem. To dlatego nieczęsto sam

udaję się do miasteczka.

- Przyszedłeś do pubu.

Uśmiechnął się do niej szeroko i przyciągnął ją troszkę bliżej siebie.

- To dlatego, że chciałem cię odnaleźć.

- Mogłeś porozmawiać z Johnnym albo Joem, kiedy są w pracy.

- Zdążyli już sobie pojechać.

- Mogłeś wpaść do Peg.

Pokręcił głową.

- Nie, nie mogłem, nie po... - Przez chwilę się zawahał, po czym odrzucił jakąś myśl, pokręciwszy głową. - Wiedziałem że spotkam ciebie albo któregoś z Byrne'ów w Saganie Złota.

- Pewnie nieomal przyprawiliście ich o zawał, pojawiając się tak bez ostrzeżenia.

- To na pewno. - Zaśmiał się pod nosem. - Muszę przyznać, że widok ich zaszokowanych min był bezcenny.

Dotarli do małej starodawnej rybackiej wioski, osadzonej w zatoczce osłoniętej od wiatru. Conor znał tutejszy pub. Był mniejszy niż Sagan Złota i o wiele spokojniejszy. W środku siedziało tylko kilku starszych mężczyzn popijających Guinnessa, a przy jednym ze stolików pod i oknem cztery kobiety grały w karty.

Barman przywitał ich z typową irlandzką serdecznością i nalał Conorowi pintę. Ellen zamówiła colę i powiedziała Conorowi, że kiedy pierwszy raz w życiu spróbowała Guinnessa, aby zaimponować Johnny'emu, prawie wymiotowała.

- Jakaś ty odważna - drażnił się z nią, biorąc ich napoje do stolika po drugiej stronie pubu, z dala od grających w karty. - Wystarczy na ciebie spojrzeć, by wiedzieć, że nie jesteś amatorką Guinnessa.

- Wydaje mi się, że Johnny o tym wiedział. Musiał chyba myśleć, że postradałam rozum, skoro zamawiam piwo.

- Na pewno zaimponował mu twój hart ducha - powiedział życzliwie.

Upiła łyk coli.

- To mi znacznie bardziej smakuje.

- Pewnie plotkuje o tobie całe miasto, może nawet tyle samo, co o mnie.

- Tak sądzisz?

- Na pewno. Myślę, że nadal mówią o tym, jak twoja matka uciekła z Anglikiem tyle lat temu.

- Na drugi dzień po moim przyjeździe u cioci Peg na śniadaniu pojawili się Johnny, Joe, Craic, Desmond i Ryan.

Conor się roześmiał.

- Nic dziwnego. Potrafisz sobie wyobrazić, że nie widzieli twojej matki od

ponad trzydziestu lat?

- Dokładnie od trzydziestu czterech.

Spojrzał na nią pytająco.

- A ty ile masz lat?

- Trzydzieści trzy.

- Czemu więc matka tak usilnie próbuje wydać cię za męża? Jesteś młodzieńcem!

- Nie w ich oczach. Poślubiła mojego ojca, kiedy miała dwadzieścia pięć lat, i urodziła mnie w tym samym roku.

Conor przymrużył powieki, wpatrując się w nią.

- No to chyba wiesz, dlaczego uciekła. Prawda?

- Już ci mówiłam...

- Uciekła, bo była z tobą w ciąży. Niezamężna córka w ciąży wystarczyłaby chyba, żeby wpędzić twoją babkę do grobu.

Ellen otworzyła szeroko oczy. Nie mogła w to uwierzyć.

- Nie! Nie moja matka! - Wtedy jednak zmarszczyła czoło. Ostatecznie wszystko składało się w logiczną całość. - Tak sądzisz?

Chciała zaprotestować, ale nie mogła nic z siebie wydusić.

- Oczywiście. Dobrzy katolicy nie uprawiają seksu przedmałżeńskiego, a rozmawiamy o czasach sprzed ponad trzydziestu lat. Trzydzieści lat temu w Irlandii nadal panowały wieki ciemne i twoja babka należała do zupełnie innego pokolenia.

- Boże! Moja matka jest zagorzałą katoliczką i tak łatwo krytykuje innych za złe postęпки, o wiele mniejszej wagi niż to! - Upiła wielki łyk coli. - Myślisz, że moja babcia wiedziała o tej ciąży?

- Szczerze w to wątpię. Twoja matka na pewno zdawała sobie sprawę, że jak ogromny grzech uznałaby to babcia. Dziewczyny, które zaszły w ciążę przed ślubem, trafiały do zakonów, a po porodzie odbierano im dzieci. Jestem przekonany, że twoja matka nie wydałaby tego sekretu.

- Babcia musiała więc zachodzić w głowę, dlaczego jej córka nigdy nie wróciła.

- Być może. - Zamyślony, podrapał się po brodzie. - Jest jednak pewna osoba, która powinna wiedzieć o tym wszystko.

- Kto?

- Ksiądz Michael. Twoja matka była dobrą katoliczką...

- Ona nadal jest dobrą katoliczką. A przynajmniej chce, żeby ludzie w to wierzyli.

- Jeśli komuś powiedziała prawdę, to pewnie spowiednikowi. Jestem

pewny, że zna całą historię.

- A opowie mi ją?

Conor pokręcił głową.

- Mało prawdopodobne.

- A mógł powiedzieć babce? Byli kuzynami i Joe mówił mi, że ksiądz Michael jadał z nią lunch w każdą niedzielę. Myślisz, że mógł coś jej zdradzić? - Uśmiechnęła się szelmowsko. - W końcu pędzi swój jarzębiak.

- I to całkiem dobry! Może nie kontroluje się w pełni po alkoholu. Ale, niestety, nie znam księdza Michaela na tyle dobrze, żeby odpowiedzieć na to pytanie.

Ellen znów się napiła.

- No to fabuła się zagęszcza. Johnny mówił, że moja matka była nieokiełznana i z łatwością mogła popełnić jakieś głupstwo.

W oczach Conora błysnęła iskierka.

- Zakochała się. Nie ma w tym nic głupiego, Ellen. Kiedy się w kimś zakochasz, chcesz się z nim kochać. W tym też nie ma nic głupiego. - Ujął jej dłoń przez stół. - Chcę się z tobą kochać - powiedział, ścisząc głos.

Ellen poczuła, jak się czerwieni.

- Jesteś bardzo bezpośredni, Conorze - odrzekła. Jej uśmiech wystarczył jednak, by mu powiedzieć, że ona też go pragnie.

Zamówili posiłek i jedli powoli, opowiadając sobie swoje historie. Ellen nie wspominała o Williamie, a Conor o Caitlin. Na tym etapie to, czy skrywali jakieś sekrety, zupełnie się nie liczyło. Nie zapowiadało się, by te tajemnice mogły wpłynąć na ich rodzący się związek. Miłość sprawiła, że żyli teraźniejszością, i ani ich przeszłość, ani przyszłość nie miały najmniejszego znaczenia.

Przyglądam się, jak ze sobą flirtują, jednocześnie odczuwając ciekawość i gniew. Ellen wpatruje się Conorowi w oczy, przekonana, że widzi w nich miłość, a ja uśmiecham się na myśl, jak łatwo pomylić prawdziwe uczucie z pożądaniem. Conora nie tak łatwo zdobyć. Jest nieokiełznany i niezależny, samolubny i silny. Wiele pięknych kobiet bez powodzenia próbowało go usidlić, zanim ja się pojawiłam, więc i po mnie, i po Ellen nadejdą takie, które w zderzeniu z jego charakterem rozbiją się jak fale o skały.

Conor chce zaciągnąć Ellen do łóżka, ona zaś myśli, że jego pożądanie to fizyczny objaw pogłębiającego się uczucia. Gdybym tylko mogła, poradziłabym tej biedaczce, by brała nogi za pas, bo on z pewnością wkrótce pozbawi ją złudzeń i rozszarpie jej serce na kawałki. Nie mogę jednak tego zrobić i muszę przyznać, że czerpię pewną przyjemność z obserwowania rozwoju zdarzeń. W końcu za cały ten czas spędzony w zawieszeniu należy mi się odrobina rozrywki.

Prawda jest taka, że żadna kobieta nie może mi dorównać. Conor kocha tylko mnie i to się nigdy nie zmieni. Wszystkie Ellen na świecie nie byłyby w stanie zastąpić jedynej kobiety, której udało się pojąć jego serce. Wiem, że często się kłóciliśmy i że w okrutny sposób zmuszałam go do udowadniania mi swoich uczuć, ale pod burzliwą powierzchnią naszego wspólnego życia tkwiła jedna niezmienna prawda: potrzebowaliśmy siebie nawzajem, tak jak kwiat potrzebuje pszczoły, a pszczoła kwiatu.

Zmierzcha, kiedy wracają do Reedmace House. Daphne zabrała dzieci na plażę, gdzie budowały zamki z piasku i puszczały latawce z Ewanem, jednak teraz jest już w domu i piecze im ziemniaki na „herbatę”. Zauważa ich rumiane policzki i iskrzące spojrzenia, kiedy wchodzą do kuchni.

- Miło spędziliście dzień? - pyta i wiem, że chciałyby usłyszeć wszystko ze szczegółami. Bacznie obserwuje syna, wypatrując znaków, które mogłyby zdradzić jej coś więcej ponad to, co sam jej powie.

- Wspaniale - odpowiada Conor, wstawiając wodę na herbatę.

Daphne spogląda na Ellen, mając nadzieję usłyszeć coś więcej.

- Ładnie wyglądasz, moja droga. Dobrze ci z takimi zmierzwionymi włosami. Pewnie wiatr mocno was przewiał.

Ellen spogląda na Conora porozumiewawczo, próbując zdusić uśmiech.

- Było bardzo wietrznie - mówi. - Pojechaliśmy zobaczyć ruiny zamku na klifie, a potem zrobiliśmy sobie długi spacer i zjedliśmy lunch w pubie. Im więcej

Irlandii widzę, tym bardziej się w niej zakochuję.

Nachyla się i klepie po grzbiecie Magnuma, który powoli przeszedł koło niej zmęczony jak lew po całym dniu polowania. Zauważam, że Ellen przestała się bać psów. Ani razu też nie zapaliła. To ciekawe, do czego kobiety są zdolne z miłości - jednak żadna nie posunęła się tak daleko jak ja. Conor pewnie powiedziała by na to, że mój czyn był tak okropny, że nie mógł wynikać z miłości. Och Conorze, jak bardzo się mylisz. Gdybyś tylko wiedział. Wszystko, co zrobiłam, miało swe źródło w głębokiej miłości do ciebie - nawet to.

Ellen ściąga kurtkę i buty i stoi w skarpetkach, opierając się o kuchenny blat. Conor podaje jej kubek herbaty, aby się rozgrzała, podczas gdy Daphne krząta się po kuchni, czekając na znaki, które potwierdziłyby jej domysły, że syn w końcu się zakochał. Przysłuchuje się ich żartom. Zachowują się tak swobodnie i poufale jak para, która zna się od lat, nie od paru dni, a ich podniecenie jest wyczuwalne jak ciepło.

Dzieci zeszły na herbatę i Ida pokazuje Ellen paznokcie. Na kilku są odpryski po zabawie w piasku, podczas której moja córka budowała zamek. Ellen obiecuje pomalować je na nowo. Kolejny pretekst, by mogła znów pojawić się w moim domu. Zresztą wcale go nie potrzebuje - Conor pragnie jej towarzystwa. Właściwie to jest pijany żądzą. Widzę to w jego oczach. Od dawna żadna kobieta tak go nie podnieciła. Ciemność, która towarzyszyła mu przez ostatnich pięć lat jak żałobny całun, nagle zaczęła się rozpadać i przez powstałe w niej przesmyki do środka wpada światło, które uszczęśliwia go do szaleństwa. Nie może uwierzyć, że ta kobieta pojawiła się w jego życiu i tak szybko je odmieniła. Dzieci zdają się to zauważać i udziela im się dobrym nastrój ojca. Śmieją się i żartują z nim przy stole, opowiadając, co przydarzyło im się z Ewanem i Daphne na plaży, a Conor zanosi się śmiechem, zachwycony ich historyjkami.

Conor nie chce, by Ellen wracała do domu, ale robi się późno, a dziewczyna się martwi, że Peg będzie się o nią niepokoić.

- Mogę do ciebie zadzwonić? - pyta Conor, kiedy stoją w korytarzu i Ellen wkłada płaszcz ciotki.

Dziewczyna tłumaczy mu, że wyrzuciła telefon do morza.

- Czemu to zrobiłaś?

- Bo nie chcę rozmawiać z matką.

- Mogłaś ignorować jej telefony.

- Nie, nie mogłam.

Conor wzdycha z poirytowaniem.

- Kupię ci nowy.

- Nie trzeba - odpowiada Ellen ze śmiechem.

- Jutro wieczorem muszę wrócić do Dublina. W poniedziałek dzieci idą do szkoły. Kupię ci telefon i prześlę go tutaj.

Ellen blednie.

- Ale wrócisz?

Conor ciągnie ją za sobą do sieni i zamyka za nimi drzwi.

- Wrócę, jeśli tylko ty tu będziesz, Ellen - szepcze i całuje ją. Widzę, że dziewczyna jest tym trochę przestraszona. Conor potrafi być bardzo namiętny. Najwyraźniej nie jest przyzwyczajona do takich mężczyzn jak on, którzy nie boją się być męscy. - Chcę się z tobą jutro zobaczyć.

- Muszę iść na mszę i lunch z Desmondem i Alanną.

- Więc też przyjdę do kościoła.

- Będziesz musiał się zmierzyć z miejscowymi plotkarzami.

- Zrobię to dla ciebie. - Uśmiecha się od ucha do ucha z taką czułością, że jego twarz momentalnie łagodnieje. Taką minę widywałam u niego tylko wtedy, kiedy patrzył na dzieci. Nagle ogarnia mnie chorobliwa, wściekła zazdrość. - Chcę być z tobą sam na sam, Ellen. Chcę całować całe twoje ciało - mówi, a niecierpliwość w jego głosie sprawia, że dziewczynie zapiera dech. Prawie czuję bicie jej serca, które wrywa się pod kurtkę. Conor całuje ją jeszcze raz, głęboko i żarliwie, a jej ciało słabnie pod ciężarem jego namiętności. Jest jak szmaciana lalka obłapiana przez wilka. Ale podoba jej się to.

Mnie zresztą też się podobało. Przez chwilę czuję się tak, jakbym to ja opierała się tam o kurtki i płaszcze. Stoję w sieni, a Conor kocha mnie tak jak kiedyś, zanim... kocha mnie tak jak wtedy, gdy się poznaliśmy i nie pragnął nikogo prócz mnie. Och Ellen, Ellen. Wydaje ci się, że on pragnie tylko ciebie, ale to nieprawda. Byłam pierwsza i moje piętno nadal wypalone jest w jego sercu.

Conor odprowadza ją do samochodu i patrzy, jak odjeżdża. Stoi w miejscu jeszcze przez chwilę, śledząc znikające na drodze światła. Ellen postanowiła jechać obok zamku, ponieważ nie zna dobrze drugiej trasy. Jednak nie musi obawiać się już Johnny'ego lub Joego. Od dawna siedzą pewnie w pubie i popijają piwo z przyjaciółmi i rodziną, jak zresztą co wieczór. Lubiłam chodzić do pubu. Kiedy Conor wyjeżdżał, czułam się w zamku samotna. Lubiłam tłum, harmider rozmów i duszne powietrze, które przy rozpalonym kominku i zamkniętych oknach tworzyło się w środku. Rozkoszowałam się zainteresowaniem moją osobą. Byłam świadoma tego, że wszyscy się na mnie gapią, jakbym była egzotycznym ptakiem wśród kurcząt. A teraz intryguję ich bardziej niż kiedykolwiek. Jutro zobaczą Conora na mszy, co sprawi, że ludzie wezmą go na języki jeszcze szybciej niż po jego wizycie w pubie, ponieważ po raz ostatni pojawił się w kościele na moim pogrzebie.

Ellen dojeżdża do domu Peg. Ciotka siedzi z Oswaldem przy stoliku do kart.

W kominku płonie ogień. Pan Borsuk leży skulony na kanapie, a Bertie w kuchni przy kuchence. Kafka przysiadł na komodzie w salonie i przygląda się grze ze swojego stanowiska. Kiedy Peg słyszy warkot silnika, wyęcza słuch i unosi wzrok znad kart.

- To na pewno Ellen - mówi do Oswalda. - Nie było jej cały dzień.

Oswald upija łyczek wina.

- Jak myślisz, co robiła?

- Obawiam się, że się zakochała.

- W Conorze Macauslandzie?

- Miała to wymalowane na twarzy. - Peg bezradnie wzrusza ramionami. -

Nic nie mogę na to poradzić.

- Myślisz, że się przyzna?

- Nie sądzę, by skłamała. Wyznała mi uczciwie, że uciekła z domu, choć tego akurat się domyślałam. Chłopcy nie mogą się dowiedzieć. Desmondowi by się to nie spodobało, a wiesz, jaki potrafi być zawzięty.

- Ellen to dorosła kobieta. To chyba jej sprawa, z kim się spotyka.

- Nie, kiedy jej wybrankiem jest Conor Macausland. Nie mam nic przeciw niemu. Właściwie to współczuję biedaczysku. Stracić żonę to coś straszego, ale być podejrzanym o jej zamordowanie to już całkiem nie do zniesienia.

Jestem zadziwiona czułością, z jaką Oswald patrzy na Peg. Ona tego nie zauważa, bo wzrok ma utkwiony w kartach, choć wcale im się nie przygląda. Nie widzi więc jego spojrzenia. Twarz Oswalda jest pełna ciepła i współczucia. Wiem, że myśli o jej córeczce. Peg też o niej myśli. I oto pojawia się ona - jej córeczka stoi tuż obok. To niewiarygodne, że oblewa ją pełna miłości poświata jej dziecka, ale ona nic o tym nie wie.

Drzwi otwierają się i wchodzi Ellen. Policzki ma zaróżowione, oczy jej błyszczą.

- Halo! - woła. - Ciociu Peg?!

- Tu jesteśmy! - odkrzykuje ciotka.

Pan Borsuk podnosi uszy, ale nie ma zamiaru zejść z ciepłej kanapy. Kafka na tyle już przywykł do Ellen, że jej głos przestał go niepokoić. Rusza teraz głową z boku na bok, jakby przysłuchiwał się wszystkiemu z uwagą. Bertie zasnął tak kamiennym snem, że nie słyszy otwierających się drzwi i nie czuje zimnego podmuchu powietrza, który z dworu dostaje się do kuchni.

- Cześć - mówi Ellen, wchodząc do pokoju. Przynosi ze sobą chłód wieczoru i Peg zaczyna drzeć. Dziewczyna uśmiecha się, nie potrafiąc ukryć podekscytowania.

- Patrzcie państwo! Zadowolona jak kot, co zjadł kanarka - mówi Peg.

- Co porabiałaś cały dzień? - pyta Oswald, patrząc na nią znad oprawek niczym surowy belfer.

Ellen opada na krzesło, wydając z siebie pełne zadowolenia westchnienie. Na moment przymyka oczy i wiem, że zмага się z pokusą, by skłamać. Przez chwilę toczy walkę ze swoim sumieniem, które oczywiście zwycięża.

- Och Peg, szaleję za nim! - oświadcza i promiennie uśmiecha się do ciotki, która od razu mięknie.

- Rany boskie, nie mówisz chyba o Conorze Macauslandzie, prawda?!

Wzdycha, nie dzielając jej entuzjazmu.

- Wiem, że wszyscy mnie przed nim ostrzegaliście, ale nic na to nie poradzę. - Ellen unosi ręce na znak, że się poddaje. - Nie potrafię mu się oprzeć.

- No dobrze, tylko nie mów chłopakom. Desmond tego nie przełknie.

Ellen się śmieje. Nie może uwierzyć, że jej wuj mógłby mieć jakikolwiek wpływ na to, z kim będzie się spotykać.

- Ciociu Peg... przecież to absurd.

- Dla ciebie, owszem, ale my tu inaczej traktujemy takie sprawy. - Głęboko wciąga powietrze w płuca i jej duży biust na chwilę zajmuje większą część powierzchni stołu. - Nikomu się nie spodoba, że dziewczyna od Byrne'ów spotyka się z tym człowiekiem.

- Ale przecież wiesz, że on nie jest mordercą! - krzyczy Ellen.

- Oczywiście, że nie jest, skarbie.

- To plotka - spokojnie włącza się Oswald. - Ale nikt nie chce, żeby jego rodowe nazwisko było mieszane z błotem.

- Należę też do Trawtonów - ripostuje Ellen chmurnie.

- Ale nie tutaj. Tu jesteś w stu procentach nasza - poprawia ją Peg. Po chwili jednak łagodnieje i odkłada karty. - To gdzie pojechaliście?

- Do ruin zamku, a potem do pubu na lunch. Bardzo niewinna wycieczka.

- Na pewno - mówi Peg, uśmiechając się do siostrzenicy. - Bez względu na to, co o nim mówią, nikt nie ma wątpliwości, że Conor Macausland to dżentelmen.

W tym samym czasie mała dziewczynka podchodzi do kanapy i klęka przy Panu Borsuku. Pies otwiera oczy i strzyże uszami. Dziewczynka przystawia nos do jego nosa, tak że prawie się dotykają. Pan Borsuk zaczyna uderzać ogonem w poduszkę.

- Co w niego wstąpiło? - pyta Ellen, ale ani Peg, ani Oswald nie wydają się szczególnie zaskoczeni.

- Wróżka - mówi Oswald.

Peg uśmiecha się i z czułością kręci głową.

- Będziemy grać dalej czy masz zamiar opowiadać o wiejskich przesądach i

ludowych zabobonach?

- Twarda z ciebie sztuka, Peg Byrne - odpowiada Oswald, kręcąc głową.

Wracają do kart.

- Zrobię sobie coś do jedzenia. Przynieść wam coś? - pyta Ellen, wstając.

- Nie zapomnij zadzwonić do Londynu - przypomina jej Peg. - Taką mamy umowę, pamiętasz?

- Teraz już tak.

Ellen klepie psa po głowie, mijając go, ale on widzi tylko małą dziewczynkę.

Byłam w sypialni Peg i patrzyłam, jak klęczy i modli się przed wotywną świecą i zdjęciem swojego dziecka. Patrzyłam, jak to samo dziecko klęczy przy niej jak anioł stróż, wypełniając pokój światłem, którego ona nie dostrzega. Pozostaję blisko moich dzieci, ale nie w ten sam sposób jak ta radosna duszyczka. Jestem niespokojna i rozdarta. Sfrustrowana i smutna. Ona zaś ma w sobie łagodność i ukojenie, na które żałoba matki nie wywiera wpływu. Tak jakby posiadała wiedzę wykraczającą ponad ludzkie zmysły, jakby potrafiła spojrzeć na wszystko z szerszej perspektywy, której nie widzę ani nie rozumiem. Żal, rozpacz, szczęście, radość przypominają zmarszczki na wielkim jeziorze, które pojawiają się tam, gdzie wieje wiatr, pod spodem jednak znajduje się coś innego: głęboka, satysfakcjonująca świadomość. Chciałabym wiedzieć, czego dotyczy, i mieć do niej dostęp.

Ellen wyciąga z lodówki coś do jedzenia, po czym siada przy telefonie, wpatrując się w niego przez długą chwilę, pogrążona w myślach. Je, przeżuwa, patrzy. W końcu podnosi słuchawkę i wykręca numer. Słyszy kilka sygnałów, zanim ktoś odbiera.

- Emily?

- O Boże! To ty, Ellen?

- Tak, to ja.

- Od tygodnia próbuję się z tobą skontaktować.

- Przepraszam.

- No to jak ci się podoba na tej zapadłej irlandzkiej prowincji?

- Jest cudownie. Uwielbiam to miejsce!

- Dobrze słyszeć, że tak się świetnie bawisz, kiedy ja zostałam tutaj pod ostrzałem wszystkich swoich wrogów.

-Bardzo cię przepraszam. Mama daje ci się we znaki?

- Nie tylko twoja mama... ale owszem, dzwoniła już ze sto razy. Nie odbierasz żadnych wiadomości?

- Wyrzuciłam telefon do morza.

- No to mam odpowiedź. Leonora i Lavinia też mnie nagabują i wypytyują, gdzie jesteś, ale co ważniejsze, twoja matka chce wiedzieć, co z Williamem.

- Ach tak, William.

- Pamiętasz w ogóle, że masz narzeczonego? - Ellen wzdryga się lekko. Słowo „narzeczonego” wywołuje w niej odrazę. - Sądząc po tym, jak się zachowuje, chyba jeszcze nie oznajmiłaś mu, że zaręczyny zerwane - ciągnie Emily.

- Powiedziałam mu tylko, że potrzebuję trochę przestrzeni.

- Och Ellie, to żałosne!

- Wiem, ale nie mogłam się zdobyć na odwagę, by wszystko tak gwałtownie zakończyć. To miły gość. Nie chcę go zranić. - Głęboko wciąga powietrze w płuca i mówi półgłosem: - Nie wiem jeszcze, czy nie zdecyduję się w popłochu wrócić do Londynu i ostatecznie za niego wyjść.

Głos jej przyjaciółki ulega zmianie. Jest w nim więcej zrozumienia.

- Opowiadaj, jak tam jest.

- Pięknie.

- A w ogóle coś pisziesz?

- Nie.

- Tak myślałam. Co więc robisz całymi dniami? Poza wyrzucaniem komórek do morza!

- Przesiaduję w pubie z miejscowymi.

- Boże, Ellie...

- Nazywa się Sagan Złota.

- Jak uroczo. Wszyscy mają na imię Paddy i śpiewają rzewne pieśni?

- Nie wygłupiaj się!

- Nie tęsknisz do cywilizacji?

- Jest tu bardzo cywilizowanie.

- Zaskakujesz mnie. Myślałam, że nie jesteś w stanie mieszkać dalej niż w promieniu kilometra od porządnego domu towarowego.

- Ja też nie. Ale zakochałam się, Emily... w Connemarze. Nie mam teraz żadnego powodu, żeby wracać.

- Na mieście jesteś tematem numer jeden. Cały Londyn aż huczy od plotek. Dlaczego rzuciłaś pracę? Gdzie pojechałaś? Czy ktoś z tobą rozmawiał? Pokłóciłaś się z Williamem? Zerwaliście zaręczyny? Nie zerwaliście? Co na to twoja matka?

- A gdzie według nich pojechałam?

- Do Tajlandii.

Ellen wybucha śmiechem.

- Ale właściwie po co?

- Odprężyć się przed ślubem w jakimś spa.

- Naprawdę?!

- Wiem. Czy to nie głupie?! - Emily śmieje się chrapliwie. - Co mam więc

przekazać Williamowi?

- Co u niego słychać?

- Jest trochę zdezorientowany i zmartwiony. Wczoraj wieczorem wpadł na drinka.

- Wygląda fatalnie?

- Ani trochę. Tragedia najwyraźniej mu służy.

- Co powiedział?

- Że jeśli potrzebujesz czasu, to da ci go tyle, ile tylko zechcesz. Ale zdenerwował się, że nie powiedziałaś mu wszystkiego prosto w oczy i że nie wie, co się z tobą dzieje.

- Wiem, zachowałam się okropnie - odpowiada Ellen z zażenowaniem.

- Jest na ciebie porządnie wkurzony.

- Ma ku temu wszelkie prawo.

- Nie podoba mu się też, że wszyscy o tym rozmawiają. Wydaje mi się, że to zraniło jego dumę. Dlaczego nie wzięłaś urlopu na tydzień, zamiast rzucać pracę? Nie rozumiem. Po co to całe przedstawienie? Mówi o tobie cały Londyn, a nie minął jeszcze tydzień od twojego wyjazdu. W głowie się to nie mieści.

- Straciłam nad sobą kontrolę, okej? Nie myślałam. Po prostu musiałam wyjechać. A nie martwi się o mnie?

- Uważa, że to przedślubne nerwy i że to się zdarza wielu pannom młodym. Na pewno się trochę martwi.

- Nie wygląda na to.

- Mam mu powiedzieć, że z tobą rozmawiałam i że wszystko u ciebie w porządku? Stanie się coś strasznego, jeśli powiem mu, gdzie jesteś?

Na samą myśl o tym Ellen jeży się włos na głowie.

- Ani mi się waży powiedzieć mu, gdzie jestem. Mówię poważnie, Emily. Nie chcę, żeby ktokolwiek mnie teraz namierzył. Nie minął nawet tydzień, odkąd tu jestem. Możesz powiedzieć mamie, że ze mną rozmawiałaś i że wszystko w porządku. I nie wygadaj się, że jestem w Irlandii.

- Dobrze, dobrze, przestań się tak pieklić. Będę trzymać język za zębami, ale wiesz mi za to niemałą przysługę! Ja tu stoję na linii frontu, podczas gdy ty śpiewasz sobie wesołe piosenki w Saganie Złota! To nie takie proste odeprzeć taki atak. Lepiej byłoby, gdybyś im wszystkim powiedziała przed wyjazdem, że wymykasz się na krótkie wakacje gdzieś, gdzie nie ma zasięgu. Wtedy nikt by do mnie nie wydzwaniał, żeby się dowiedzieć, gdzie jesteś!

Rozmawiają dalej, ale to, o czym mówią, przestaje mnie ciekawić. W końcu, po złożeniu obietnicy, że wkrótce znów się odezwie, Ellen się rozłącza. Przez chwilę siedzi, myśląc o tym, co powiedziała jej Emily. Marszczy czoło, a z

twarzy znika wcześniejsza beztroska.

A więc Ellen jest zaręczona i ucieła z domu. To doskonała i jakże ważna wiadomość. Choć nie przebywam z Conorem i Ellen przez cały czas, jestem niemal przekonana, że mu o tym nie powiedziała. Doprowadziłoby go to do furii. Nie byłby w stanie więcej jej zaufać, a to mogłoby być moim najlepszym orężem. Jeśli Conor jest przewrażliwiony na jakimś punkcie, to właśnie zaufania. Zawiodłam go, ale tylko dlatego, że mnie do tego doprowadził, tak rozpaczliwa i głęboka była moja miłość, ale po raz drugi tego nie przeżyje. To zgubi Ellen.

Dziewczyna myje swój talerz i odkłada go na miejsce, po czym idzie do biblioteki. Z uwagą przeszukuje grzbiety książek, aż znajduje tę właściwą. Nie dziwi mnie, że sięga po Wiek niewinności Edith Wharton. Wyciąga książkę i gdy się jej przygląda, na jej twarz znów powraca radość. Wiem, dlaczego chce ją przeczytać - pragnie się dowiedzieć, czy książka kończy się szczęśliwie. Gdybym tylko mogła jej powiedzieć, że nie.

- Ależ się wystroiłaś do kościoła. Włóż do tego to swoje zabawne futerko. Bardzo ładnie wyszło.

- Myślałam, że całkiem je zniszczyłam.

- Niestety nie. Ale mimo wszystko jest lepsze od cienkiej kurtki, bo spodziewam się, że nawet mój najlepszy płaszcz będzie dla ciebie zbyt staromodny. - Peg usiadła na krześle Kafki i nakarmiła go z ręki kawałkiem chleba. - Zadzwoiłaś w końcu wczoraj do Londynu?

- Tak, zadzwoniłam do mojej przyjaciółki Emily. U matki wszystko w porządku. W ogóle się nie martwi.

Skrzywiła się, wypowiadając to kłamstwo, a jej głos zamarł w owsiance.

- Bardzo dobrze. Widzisz? To wcale nie było takie trudne, prawda? Po co martwić matkę, skoro można ją uspokoić jednym telefonem.

- Umówiłam się z Conorem w kościele - rzuciła Ellen, siląc się na swobodny ton.

Peg była zaskoczona.

- Conor wybiera się na mszę?

Zachmurzyła się i cała jej twarz zmarszczyła się jak włoski orzech.

- Tak. To takie dziwne?

- Dziwne? To nie do uwierzenia. Czemu naraża się na to po raz kolejny?

- Na co?

- Po raz ostatni był na mszy na pogrzebie Caitlin. Ceremonia odbywała się nie w dużym kościele, do którego dziś się wybierasz, ale w małej, niszczonej kapliczce na wzgórzu. Większość miejscowych i tak się tam wybrała. Szeptali między sobą takie oszczerstwa, że po mszy Conor pojechał prosto do domu, z nikim nie rozmawiając. To była straszna uroczystość. Ja nie poszłam, ale Johnny i Joe mówili później, że aż przykro było patrzeć.

- Minęło pięć lat. Chyba nie będzie już aż tak źle.

- Nie byłabym taka pewna. Nie wiem, czy jest odważny, czy głupi. Czemu w ogóle idzie?

- Nie wiem. Może ze względu na dzieci. W końcu ma prawo pójść z nimi do kościoła.

- Oczywiście, ale wydaje mi się, że to raczej dlatego, że chce cię zobaczyć.

- Żeby się ze mną zobaczyć, nie potrzebuje mszy. Wystarczy, że mnie do siebie zaprosi.

- W takim razie nie wiem, co nim kieruje. Ale uważaj. Nie zrób z siebie widowiska, dobrze? Chłopakom się to nie spodoba. Zachowuj się dyskretnie, Ellen.

- Peg zmierzyła siostrzenicę przeciągłym, świdrującym spojrzeniem. Dziewczyna odpieszała ją, patrząc na ciotkę z butą. - Jezu, czasem tak przypominasz matkę, że aż mnie to przeraża.

- Mnie też - odparła Ellen ze śmiechem. Nie chciała być taka jak ona, ale oglądając jej zdjęcia z lat młodości, zdała sobie sprawę, że przypomina Maddie bardziej, niż była tego świadoma. - Będę ostrożna, ciciu Peg, obiecuję.

Za kwadrans dziesiąta Joe podjechał po nią ciężarówką ojca. Ubrany w czyste spodnie i marynarkę, z włosami zaczesanymi do tyłu, robił zupełnie inne wrażenie.

- Dobrze się prezentujesz, Joe - powiedziała, wsiadając pospiesznie do środka, by schronić się przed deszczem.

- Ty też, Ellen - odpowiedział, uruchamiając silnik. - Świetnie się składa, bo wszyscy będą się dziś na ciebie lampić.

- Nie mów tak.

- A czemu nie? Taka jest prawda. Będzie tam cały klan Byrne'ów, oczywiście z wyjątkiem Peg. Wszyscy chcą ci się dobrze przyjrzeć.

Radość Ellen zakłócił nagle cień niepokoju.

- Szybko im się znudzę - powiedziała pogodnie.

- To ty tak myślisz. Ostatnio nie rozmawiają jednak o nikim innym.

- Tylko się droczysz!

Zerknął na nią poważnie.

- Nie droczę się, Ellen. Jesteś obiektem zainteresowania całego miasteczka.

- Nie wierzę, że nie macie żadnych innych tematów.

- Owszem, mamy. Problem polega na tym, że tyle mielimy ozorami, że potrzebujemy dwa razy więcej tematów niż inni. - Zaśmiał się. - Nie rób takiej przerażonej miny. Zaopiekuję się tobą.

Ellen przewróciła oczami.

- Dzięki, Joe, od razu mi lepiej - odpowiedziała z sarkazmem.

Joe wycofał auto z podjazdu i ruszył pod górę. Wycieraczki rytmicznie i głośno przejeżdżały po szybie, z trudem utrzymując jej przejrzystość. Krajobraz rozciągający się pod zawieszonymi nisko chmurami wyglądał ponuro, a morze, szare i wzburzone, uderzało w latarnię, która opierała się żywołom niczym ostatni żołnierz na polu walki.

Wjechali do miasteczka, gdzie mieszkańcy pod osłoną wielkich parasoli kierowali się ku kościołowi. Wszyscy ubrani byli odświętnie i Ellen w myślach pochwaliła samą siebie za to, że zapakowała na wyjazd parę eleganckich spodni i

butów, choć czuła się nieco absurdalnie w swoim futrzanym płaszczku. Przypomniała jej się matka, która zawsze ubierała się do kościoła tak elegancko, jak gdyby szła na ślub: nienagannie skrojona garsonka, stosowny gustowny kapelusz i niezmiennie buty na obcasie, które nadawały jej odpowiedniej postury, bo nie była kobietą wysoką. Ellen uważała, że matka celowo dodaje sobie powagi strojem i zaznacza nim swoją pozycję na najwyższych szczeblach londyńskiej socjety. I kto by podejrzewał, że pochodzi z tego maleńkiego miasteczka w najodleglejszym zakątku Connemary? A gdyby ktokolwiek się o tym dowiedział, czy miałoby to jakiegokolwiek znaczenie? Myśli, że ktoś mógłby się tym przejąć, wydała się jej nedorzeczna.

Ellen i Joe pędem rzucili się do kościoła, ponieważ chłopak nie zabrał parasola. Kiedy jednak dobiegli do wejścia, okazało się, że to na nic. Byli przemoczeni. Gdyby nie futerko, Ellen ociekałaby pewnie wodą. Ruszyła główną nawą, spoglądając po twarzach zebranych w świątyni osób w poszukiwaniu Conora, jednocześnie starając się nie zwracać na siebie uwagi. Ławki pełne były rozmawiających ze sobą ludzi, a w powietrzu panowała atmosfera oczekiwania i ekscytacji, zmieszana z wilgotnym zapachem mokrych ciał. Czuła ciężar ciekawskich spojrzeń, ale znosiła je odważnie, gdyż otuchy dodawała jej myśl, że gdzieś w kościele znajduje się Conor. Zauważyła Dylana ubranego w czarny kapelusz i garnitur. Pod szyją miał nawet krawat. Uśmiechnęła się do niego, na co twarz mężczyzny pojaśniała. Tylko gdzie jest Conor?

Rodzina Byrne'ów siedziała po lewej stronie nawy. Wraz z żonami i wszystkimi dziećmi zajmowali przynajmniej sześć ławek. Ellen przysiadła na skraju jednej z nich koło Alanny i cicho przywitała się z wujami. Ludzie wokół nie krępowali się odwracać w jej stronę i szeptać, aż w końcu w nawie pojawił się ksiądz i jak na komendę parafianie zamilkli.

Ojciec Michael, stary i o szpeceniastej brodzie, przypominał tłustego borsuka. Jego rzednące włosy były czarne na bokobrodach, a te nieliczne, które pozostały na czubku głowy - siwe. Zaczesał je na bok, żeby przykryć łysinę, ale smagający je wiatr sprawił, że stanęły dęba niczym pokrywa odstaniająca różową, obsypaną piegami koronę. Miał na sobie fioletowe szaty, które układały się na jego obszernym brzuchu i opadały na ziemię grubymi fałdami.

Kiedy ksiądz witał zebranych, Ellen zerknęła na drugą stronę nawy, gdzie w jednym ze środkowych rzędów zauważyła wyraźny profil mężczyzny w czarnym kapeluszu i grubym czarnym płaszczu. Jego wydatny nos, gładka cera i wyraźnie zarysowana szczęka sprawiały, że był niepokojąco przystojny. Dopiero kiedy dostrzegła obok dwójkę dzieci i Daphne, zdała sobie sprawę, na kogo patrzy, i na jej policzki powrócił rumieniec, rozpalając je zaskoczeniem gorącym jak lawa.

Conor zgolił brodę i ściął włosy.

W tym samym momencie Conor odwrócił się, jak gdyby siła jej wzroku przyciągnęła jego uwagę. Może i bez brody wyglądał zupełnie inaczej, ale jego oczy pozostały niezmiennie szafirowe. Kiedy zobaczył Ellen, kąciki jego ust uniosły się nieznacznie, za to spojrzenie złagodniało, a w oczach błysnęły figlarne ogniki, potwierdzając tym samym, że z nieskrywaną przyjemnością zauważył jej reakcję na zmianę w jego wyglądzie.

Odwróciła wzrok i spojrzała na modlitewnik, który trzymała w dłoniach, z nadzieją, że czerwień jej rumieńców nie ściągnie na nią niepożądaną uwagi. Starła się więcej na niego nie patrzeć, ale pragnienie, by to zrobić, było ponad jej siły. Raz czy dwa razy zerknęła na drugą stronę nawy, by po chwili odwrócić wzrok, jakby widok Conora ją oparzył. Była zaskoczona, że wygląda na znacznie młodszego i mniej udręczonego, jakby gniew opuścił go wraz z włosami. Już wcześniej uważała, że jest atrakcyjny, jednak teraz wydał się jej zniewalający. Poczowała, jak pod płaszczykiem robi się jej gorąco, aż musiała rozpiąć kilka guzików. Ile razy powinna zmówić Zdrowaś Mario, aby Bóg odpuścił jej nieczyste myśli i bezwstydnne obrazy, które stanęły jej teraz przed oczami?

Kiedy wierni wstali, by przyjąć komunię świętą, Ellen wyszła ze swojej ławki wprost na Conora. Podniosła wzrok zaniepokojona, nie wiedząc, jak się zachować, kiedy patrzy na nich tak wiele osób. On jednak uśmiechnął się do niej ze spokojem i gestem wskazał, by stanęła przed nim. Alanna wcisnęła się między nich jak kawałek drewna pomiędzy dwa przyciągające się magnesy. Ellen nie mogła się odwrócić, ale czuła jego spojrzenie na plecach i nerwowo zaczęła przygryzać skórę paznokcia. Kiedy w końcu uklękła przed ołtarzem, Alanna zajęła miejsce po jej prawej stronie, zostawiając Conorowi miejsce po lewej. Uklękła przy dziewczynie, czekając na podejście księdza. Nie spoglądali na siebie, bo oboje wyczuli, że to oni, a nie ksiądz Michael, znaleźli się w centrum uwagi zebranych. Ich ręce znajdowały się tak blisko siebie, że prawie się dotykały, a Ellen widziała Conora kątem oka. Jego twarz pozostała niewzruszona jak tafla spokojnego jeziora, jednak czuła, jak w dzielącej ich niewielkiej przestrzeni coś ciągnie ich do siebie jak podwodny nurt.

Ksiądz Michael podszedł do nich o wiele za wcześnie i podał im ciało i krew Chrystusa. Kiedy Ellen napiła się z kielicha i przyjęła opłatek, zerknęła na Conora, zanim wstała i wróciła do swojej ławki.

Jego nowe oblicze miało w sobie coś fascynującego. Zastanawiała się, jak to by było pocałować Conora teraz, kiedy nie ma brody, i bezwiednie przejechała palcem po wargach. Odwzajemnił jej spojrzenie, w którym Ellen dostrzegła błysk rozbawienia, jak gdyby czerpał przyjemność z jej zaskoczenia i z trudem próbował

ukryć zadowolenie.

Kiedy Conor wracał nawą do swojej ławki, Ellen zauważyła, że przykuwa uwagę zebranych. Przez kościół przeleciał szmer, przypominający rój brzęczących pszczoł. Dwie starsze panie w czarnych mantylach szeptały coś, zasłaniając się dłońmi w rękawiczkach i wydymając usta w kształt ciasnego „o”. Jeśli nawet Conor zauważył ich źle skrywaną ciekawość, nie dał tego po sobie poznać, trzymał podbródek uniesiony, a wzrok skierował powyżej głów zebranych; taką pozę bez trudu można było pomylić z arogancją. Nawet nie spojrział na Ellen i po kolejnym ukradkowym zerknięciu ona również już więcej na niego nie popatrywała. Co za dziecinne zachowanie dorosłych ludzi. Jakby byli parą uczniów, którzy buntują się przeciw rodzicom.

Kiedy msza się zakończyła, wszyscy wylegli przed kościół. Przystało padać i przez baldachim chmur na chwilę przebiły się promienie słońca, lśniące w kroplach deszczu na gałęziach sykomor obsypanych pąkami. Ellen dołączyła do rodziny. Czuła się jak płotka oblegana przez ławicę większych ryb, ledwie będąc w stanie dostrzec cokolwiek ponad ich głowami. Alanna zaczęła przedstawiać ją tym, których jeszcze nie poznała, i choć Ellen ścisnęła po kolei dłonie i uśmiechała się, czuła rosnące zniecierpliwienie i potrzebę, by się im wyrwać. Nad głowami Byrne'ów dostrzegła, że Conor i Daphne rozmawiają z Johnnym, dzieci zaś zmierzają dróżką w stronę samochodu, zaparkowanego niżej na porośniętym trawą poboczu. Za każdym razem, gdy podnosiła wzrok, tłum ścigał ją do siebie, jakby została schwytna w sieć, z której nie sposób się wyplątać.

- Tak się cieszę, że zjesz z nami obiad - powiedziała Alanna. - Johnny i Emer jadą z Joem. To będzie dobra sposobność do poznania reszty rodziny. Joe to nie jedyny kuzyn w twoim wieku.

Ellen słuchała jednym uchem, a po chwili do Alanny dołączyli inni Byrne'owie, bombardując ją pytaniami i nie dając nawet czasu na odpowiedź; wszyscy byli bardzo podekscytowani tym, że mogą poznać córkę słynnej Maddie Byrne.

Ellen zwróciła oczy ku niebu jak tonąca kobieta, która łapie oddech, i zauważyła stojącego nieopodal Dylana, który przeszywał ją chmurnym spojrzeniem. Nie patrzył na nią z zaciekawieniem, jak inni miejscowi. Było to spojrzenie człowieka przepelnionego tęsknotą. Odwróciła głowę, czując niepokój wywołany jego intensywnością; może i wygląda jak Maddie w młodości, ale nie jest nią - a gdyby Dylan teraz zobaczył swoją dawną ukochaną, wiedziałby, że i ona już nią nie jest.

W końcu ktoś zajął czymś Alannę i Ellen postanowiła wykorzystać szansę.

- Wrócę za chwilę - wymamrotała, przeciskając się przez tłum.

Pospiesznie ruszyła ścieżką, na której Ida i Finbar bawili się teraz na stopniach prowadzących w stronę drogi. Kiedy dziewczynka ją zobaczyła, jej buzia się rozpromieniła.

- Cześć, Ido - powiedziała Ellen, odwzajemniając uśmiech. - Chciałabym pomalować ci paznokcie, zanim wrócisz do Dublina. Nie możesz pokazać się z takimi odpryskami.

- Babcia mówi, że w szkole nie mogę mieć lakieru na paznokciach.

- Naprawdę? Kiedy zaczyna się szkoła?

- Jutro.

Ellen starała się nie okazywać rozczarowania.

- Ale niedługo wrócić, prawda?

- Może, nie wiem. - Dziewczynka wzruszyła ramionami. - Musisz zapytać tatusia.

Ida podniosła wzrok i po pełnej czułości minie, jaka pojawiła się na jej twarzy, Ellen wiedziała, że Conor idzie w ich stronę. Aż coś ścisnęło ją w dołku.

Odwróciła się do niego. Nic nie powstrzymywało teraz łobuzerskiego, śmiałego uśmiechu Conora. Pogładził się po brodzie.

- I co ty na to?

- Nie poznałam cię - odpowiedziała, odwzajemniając jego szeroki uśmiech.

- Tego się spodziewałem. Podoba ci się?

- Bardzo. Wyglądasz młodziej.

Puścił oko do córki.

- Ellen to dopiero potrafi prawić komplementy, prawda, Ido? Jesteś głodny, Finbarze?

- Tak, możemy już jechać do domu?

Chłopiec miał niezadowoloną minę.

Conor włożył ręce w kieszenie i zerknął za siebie na chmarę wiernych.

- Myślę, że przysporzyliśmy miasteczku tematów do rozmów - powiedział, zupełnie się tym nie przejmując.

- To dlatego, że zgolifeś brodę.

- Gdyby tylko. Przez pierwsze pół mszy nikt nie wiedział, kim jestem.

- Czujesz się inaczej?

Oczy mu zabłyśły i jeszcze raz pogładził się po podbródku.

- To ty powinnaś mi na to odpowiedzieć - rzekł cicho, tak by nie usłyszały go dzieci.

Zarumieniła się, ale dwuznaczny ton jego głosu wywołał u niej mimowolny uśmiech. Skrzyżowała ręce na piersiach, bo pragnienie, by go objąć, było niemal nie do zniesienia.

- Szkoda, że musisz dziś jeść z rodziną. Meg szykuje pieczeń.
- Ksiądz Michael tam będzie.
- A ty masz do niego mnóstwo pytań, wiem. Nie jestem jednak pewny, czy lunch to najodpowiedniejsza pora do ich zadania.

- Może uda mi się wziąć go na stronę.

- Na pewno. Może po kilku kieliszkach zrobi się bardziej gadatliwy.

Wtedy dołączyła do nich Daphne i formalny ton ich rozmowy stał się nie do zniesienia. Świadomi tego, że nadal spoczywają na nich ciekawskie spojrzenia mieszkańców, zastanawiających się, skąd się mogą znać, stali w bezpiecznej odległości. Conor nadal trzymał ręce w kieszeniach, a Ellen skrzyżowała ramiona na piersiach. Dzieci zaczęły się niecierpliwić.

- Dobrze, kochanie - powiedziała Daphne, biorąc Idę za rękę. - Lepiej chodźmy. Miło było znów cię spotkać, Ellen. Pozdrów ode mnie Peg, dobrze?

- Oczywiście, dziękuję - odparła Ellen i Daphne wraz z Idą ruszyły w stronę samochodu.

Conor ociągał się jeszcze przez chwilę.

- Nie mogę znieść tego, że nie wolno mi cię pocałować, Ellen - powiedział niskim tonem, nie spuszczać z niej wzroku.

- Moja nowa rodzina odesłałaby mnie prosto do Londynu. - Zaśmiała się, ale w głębi duszy poczuła niespodziewaną rozpacz. Conor wyjeżdżał, a ona nie wiedziała, kiedy znów go zobaczy. Gdyby nie zebrany tłum, który stał przed kościołem niczym stado cieląt, rzuciłaby się na niego i błagała, by nie wyjeżdżał.

- Chyba będę musiała poczekać, zanim się przekonam, jaka w dotyku jest teraz twoja twarz - powiedziała, starając się panować nad głosem, by nie wyjść na zbyt zdesperowaną.

- Ostatecznie wygrał leśniczy - rzekł Conor z szerokim uśmiechem.

Odwzajemniła jego uśmiech na to wspólne wspomnienie.

- O tak, rozprawił się ze złym wilkiem!

- Wymyślimy sobie własną bajkę, Ellen - powiedział, przybierając na chwilę poważny ton. - Chodź, Finbarze, jedziemy do domu. - Wziął synka za rękę, odwrócił się do Ellen i spojrzał na nią znacząco. - Wróć.

Patrzyła, jak idzie po stopniach do rangę rovera, gdzie czekały na niego Ida i Daphne. Chłopiec wydawał się bardzo mały w porównaniu z ojcem. Ellen żałowała, że nie wsiada z nimi do auta, ale obiecała zjeść lunch z Alanną i Desmondem. Nie pozostało jej nic innego, jak tylko patrzeć, kiedy odjeżdżają. Nie miała wątpliwości, że cała rodzina będzie ją wypytywać o Conora. Obiecała sobie, że nie ujawni swoich kart. Nie chciała, by Desmond stał się jeszcze bardziej podejrzliwy.

Lunch upłynął jej w radosnej atmosferze. Była tam siostra Joego, Ashley, z mężem i dwójką dzieci oraz brat Alanny, Patrick, z żoną Clare. Ksiądz Michael odmówił modlitwę przed posiłkiem, po czym wszyscy zasiedli przy długim stole w jadalni i zabrali się do obfitego niedzielnego lunchu. Ellen celowo posadzono przy księdzu Michaelu, ale dopiero pod koniec posiłku, kiedy ludzie zaczęli powoli przenosić się do salonu, padło imię jej matki.

- Jesteś do niej podobna? - spytał ksiądz cicho, jakby w sekrecie.

- Nie wiem. Może - odrzekła Ellen.

W Londynie nikt ani razu nie powiedział, że jest do niej podobna. Coraz lepiej zdawała sobie sprawę z faktu, że wiele lat temu, wraz z opuszczeniem Irlandii, Maddie Byrne musiała zrzucić skórę jak wąż i stała się zupełnie inną osobą.

- Według mnie jesteście podobne - ciągnął ksiądz melodyjnie, z irlandzkim akcentem. - Miała taki sam owal twarzy, uroczy uśmiech i twoje oczy. Nie są tego samego koloru ani kształtu; nie, twoje są większe, a jej były niebieskie, ale jest coś z niej w ich wyrazie. Trudno po nich przewidzieć, co zrobisz dalej.

Zachichotał, lekko podpity i zadowolony ze swojego wyводу. Ellen zastanawiała się, czy mówi o jej matce w czasie przeszłym dlatego, że myśli, że ona nie żyje.

- Myślę, że ksiądz mógłby jej teraz nie poznać - powiedziała, dając do zrozumienia, że Maddie nie umarła.

- Cóż, wszyscy dorastamy, a twoja matka była bardzo młoda, kiedy ją znałem.

Bawił się pustą szklaneczką po wódce z tonikiem jak łódką, która za chwilę może się wywrócić.

Ellen ściszyła głos w nadziei, że uda jej się nakłonić ojca Michaela do wyjawienia jej kilku sekretów.

- Wie ksiądz, że nawet nie wiedziałam o istnieniu rodziny matki? Kiedy się okazało, że ma braci, osłupiałam. Wiedziałam o Peg, ale o nikim więcej.

Jego brwi zbiegły się jak dwie puszyste stonogi.

- Tak, słyszałem. Cóż to za straszna rzecz nie znać własnej babki.

- Bardzo tego żałuję - powiedziała Ellen ze smutkiem.

- To była wspaniała kobieta. Najwspanialsza.

- Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Jak musiała być silna, skoro sama wychowała szóstkę dzieci i prowadziła gospodarstwo.

- Och, nigdy nie była sama. Należała do tej społeczności i wszyscy zawsze gromadzili się wokół niej; jednak myślę, że przyznanie się do przyjęcia od kogoś pomocy pewnie uraziłoby jej dumę. Była bardzo dumną kobietą.

- Kiedy moja matka uciekła, musiała się poczuć dotknięta.

Ksiądz Michael nisko opuścił głowę, zastanawiając się nad jak najlepszą odpowiedzią. Jego okrągłe jak pulpety policzki błyszcząły od whisky, którą wypił przed mszą, i dwóch ginów z tonikiem do obiadu. Głęboko oddychał przez nos.

- To wstrząsnęło całym miasteczkiem - powiedział łagodnym tonem. - Twoja babka była silną kobietą, ale Maddie powaliła ją tym na kolana.

Pokręcił głową, pogrążony we wspomnieniach.

Ellen postanowiła zaryzykować.

- Czy to... czy to z mojego powodu?

Na moment wstrzymała oddech, kiedy ksiądz ze zdziwieniem spojrzał na nią kaprawymi oczami. Zerknął pospiesznie w stronę salonu, nachylił się bliżej i szeptem, który tylko Ellen mogła usłyszeć, spytał:

- Ty wiesz?

- Wiem - odpowiedziała też szeptem.

- Maddie ci powiedziała?

- Nie, domyśliłam się.

Z powagą pokiwał głową.

- No tak, w końcu sprytna z ciebie dziewczyna.

Niepewnie poklepał ją po dłoni.

- Domyślam się, że nikt więcej o tym nie wie.

- Twoja babka dowiedziała się od Peg.

Ellen zacisnęła zęby, żeby z wrażenia nie rozdziawić ust. W głowie kłębiły jej się myśli i gorączkowo starała się ustalić, skąd matka dowiedziała się o zdradzie siostry. Ale ponieważ powiedziała księdzu Michaelowi, że o wszystkim wie, musiała ukryć swoje zaskoczenie i zawęzić pytania. Był zbyt podpity, by to zauważyć, i ściągnął usta w gorzkim wyrazie.

- Maddie wiedziała, jakie są konsekwencje urodzenia dziecka bez ślubu. Ale była zuchwałą ta Maddie Byrne. Zawsze była zuchwałą. - Westchnął głęboko. - Nadarzyła jej się okazja, więc z niej skorzystała.

- Nie miała chyba innego wyjścia.

- Według niej. Dla każdej młodej kobiety to byłby okropnie trudny wybór, ale dla niej chyba najgorszy. Z tylu rzeczy musiała zrezygnować. Biedny Dylan Murphy nadal żyje z konsekwencjami tej decyzji. Nie wiem, czy jej wybaczył. Staram się go do tego nakłonić, ale z mężczyznami nie rozmawia się łatwo. Jeśli zaś chodzi o twoją babkę, to zmagła się ze swoją wiarą, i obawiam się, że umarła, nie przebaczywszy córce. Pewnego dnia znów się spotkają i mam nadzieję, że będą wtedy w stanie sobie wybaczyć.

Ellen zmarszczyła brwi, patrząc na księdza.

- A co miała do wybaczenia moja matka?

Ksiądz Michael spojrział na nią z równie strapioną miną, jakby zaskoczony, że o tym nie wie.

- Bardzo dużo, Ellen, bardzo dużo.

Conor zgolił brodę, a matka przycięła mu włosy. Zachodzi jakaś poważna zmiana i wcale mi się to nie podoba. Patrzyłam, jak pasma jego włosów spadają na podłogę w łazience, i czułam się tak, jakby to mnie odcinano tymi nożyczkami i zamiatano za pomocą zmiotki i szufelki. Spod brody i czupryny wyłonił się młody i szczęśliwy mężczyzna, jakby jego żal zniknął wraz z włosami. Wyczuwam, że przepełniają go energia i natchnienie, i wiem, że nie mają one ze mną nic wspólnego. Chodzę za nim po domu i słucham, jak z zadowoleniem nuci pod nosem, wiedząc, że to inna kobieta, nie ja, zaraziła go tą radością.

Co takiego widzi w Ellen? Ona nawet się do mnie nie umywa. Byłam namiętna, porywcza i piękna. Byłam jak świetlik, jasna, fascynująca i nieprzewidywalna. Conor uwielbiał moją ekscentryczność. Uwielbiał moją romantyczną naturę. W Ellen nie ma nic osobliwego. Nie jest piękna ani ekscytująca. Jest zwyczajna.

Udałam się za nim na mszę. Pod eleganckim czarnym płaszczem miał garnitur i krawat, na głowie zaś kapelusz. Prezentował się doskonale i był dostojny jak dżentelmen z dawnych czasów, ale widziałam po nim, że się denerwuje, bo dłonie mu drżały. Dla Idy i Finbara przemiana ojca była szokująca, bo żadne z nich nie pamięta czasów, kiedy Conor nie miał brody. Nie potrafili przestać mu się przyglądać i nagle ogarnęła ich nieśmiałość, jak gdyby ojciec stał się kimś zupełnie innym. Daphne z dumą uniosła głowę, idąc główną nawą u boku syna, bo ostatni raz towarzyszyła mu w kościele na moim pogrzebie w kaplicy, gdzie Conor wyglądał jak Edmond Dantes po kilku latach w Chateau d'If. Wiem, że wydaje się jej, że odzyskała syna. Nie ma mnie już na ziemi, bym mogła go od niej odciągnąć, więc być może ma rację.

Dopiero kiedy Ellen i Conor spojrzeli na siebie z przeciwnych stron nawy, dostrzegłam, jak silne łączy ich uczucie. Zatopili w sobie wzrok i ich spojrzenia mówiły więcej niż słowa. Oczy Conora pełne były czułości. Cała twarz mu pojaśniała czymś innym niż samo pożądanie, i na ten widok owładnęła mną zazdrość. Miotalam się z wściekłości po całym kościele jak na swoim pogrzebie, ale na nic to się zdało. Nie zadrgał płomień ani jednej świecy, nie zaszleściła ani jedna kartka w modlitewniku. Nic. Jestem lekka jak powietrze, ale czuję ciężar ziemskich emocji. Jak to możliwe, że córka Peg może zdmuchiwać płomienie i głaskać psy, kiedy ja jedynie płoszę ptaki?

Przed kościołem uśmiechał się do niej, tak jak kiedyś uśmiechał się do

mnie. Conor ma tak obezwładniający uśmiech, że mógłby nim rozmiękczyć nawet najbardziej zatwardziałe serce. Nie zdaje sobie sprawy z jego mocy. Gdyby tylko uśmiechał się tak do mieszkańców Ballymaldoon, zaskarbiłby sobie ich miłość i zaufanie. Jednak tego nie robi. Należy do ludzi, którzy nie przejmują się tym, co myślą o nich inni. Jest w pełni niezależny i nie daje się nikomu szantażować. Mogłabym nawet powiedzieć, że ich zainteresowanie sprawiało mu przyjemność.

Ellen dodała mu pewności siebie i wydosłała go z grzęzawisk żalu. Dopóki jednak tam pozostawał, był mój. Choć nieszczęśliwy, należał do mnie. Byłam jego terażniejszością, tak jak on jest moją. Teraz jednak zepchnął mnie do swojej przeszłości i umarłam na nowo. Ale nie pozwolę na to. Znajdę sposób, by powstrzymać to uczucie, zanim zakwitnie. Zerwę ten pąk i Conor znowu będzie tylko mój. Myślałam, że Ellen stanie się moim wybawieniem, a okazała się przekleństwem.

Conor powraca więc do Dublina całkowicie odmieniony. Chodzi sprężystym krokiem i uśmiecha się do wszystkich, których mija po drodze. Gęsta atmosfera panująca w biurze znika jak letnia mgła rozproszona przez blask poranka. Jakby jego szczęście było słońcem, które wypełnia pomieszczenie radością. Conor dba o swój wygląd: użył nawet wody kolońskiej, która stała w łazience nieotwierana od lat. Wszyscy w jego biurze są zadziwieni niewiarygodną przemianą i zapachem werbeny, który za sobą pozostawia. Sekretarka młodnieje o lata, które na jej skórze wyrysował stres, choć nie może mieć do końca pewności, że sytuacja już się nie odwróci, tak bardzo nieustanna wściekłość szefa, która przez ostatnie pięć lat iskrzyła niczym samoczynny pożar, wykończyła ją psychicznie. Żle ją traktował i teraz chce jej to wynagrodzić. Chce to wynagrodzić wszystkim. Swojemu wspólnikowi Robertowi i całej ekipie dwudziestu kreatywnych pracowników, którzy wytrzymali ostatnie pięć lat piekła. Chce im powiedzieć, że to już przeszłość i że wrócił do siebie.

Wysłała sekretarkę, żeby kupiła Ellen nowy telefon. Chce do niej zadzwonić, ale nie pali się do wykręcenia numeru Peg. Rozumiem, dlaczego się ociąga. W końcu jest tylko człowiekiem, a ten nie może tak po prostu wszystkiego przebaczyć. Jednak jego pragnienie jest silniejsze niż niechęć, więc w końcu do niej dzwoni. Siedzi w swoim biurze z widokiem na rzekę i wykręca jej numer. Ma go zapisany w telefonie, ponieważ syn Peg, Ronan, pracował dla nas, kiedy jeszcze żyłam, i urzeczywistniał wszystkie moje pomysły za pomocą sosnowego i dębowego drewna. Wtedy mieszkał jeszcze z matką. Lubiłam jego towarzystwo, bo wielbił mnie bezwarunkowo jak szczeniak swojego pana. Zrobiłby dla mnie wszystko. Absolutnie wszystko.

- Witaj Peg. Tu Conor - mówi, kiedy kobieta podnosi słuchawkę.

- Och, witaj - odpowiada zaskoczona. - Pewnie chcesz rozmawiać z Ellen.
- Tak.
- Poczekaj chwilkę. Zawołam ją.

Conor rozsiada się w fotelu i przeczesuje palcami włosy. Nadal są gęste i błyszczące jak włosy młodego mężczyzny, choć nieco posiwiały na skroniach, nieopodal kurzych łapek, które głębokimi zmarszczkami rozchodzą mu się po twarzy. Z wiekiem Conor staje się coraz przystojniejszy.

Ellen podchodzi do telefonu i z podekscytowania brakuje jej tchu.

- Halo? - mówi do słuchawki.
- Tęsknisz za mną? - pyta Conor.

Ma uwodzicielski niski głos. Gdyby mogła go teraz zobaczyć, dostrzegłaby szeroki uśmiech i rozentuzjasmowany wzrok.

- Troszkę - droczy się z nim.
- Czyli o mnie nie zapomniałaś?
- Jeszcze nie.
- No to powinienem szybko wracać.

- Na twoim miejscu tak właśnie bym zrobiła. W Ballymaldoon jest tylu przystojnych mężczyzn... - Roześmiała się. Oboje wiedzą, że żaden z nich nie dorasta Conorowi do pięt.

- Mam tu do załatwienia kilka spraw, ale w czwartek wrócę. Nic nie jest w stanie utrzymać mnie z dala od ciebie. Zostawię tu dzieci z matką.

- To dobrze - odpowiada, co jest niedomówieniem, ale najwyraźniej nie chce pokazać, jak bardzo jej zależy.

- Będę cię miał tylko dla siebie - mówi, ścisząc głos. Bierze do ręki długopis i przekłada go pomiędzy palcami. - Odkąd wróciłem do Dublina, nie jestem w stanie myśleć o niczym innym.

Ellen głęboko wciąga powietrze w płuca.

- Mam nadzieję, że uda ci się trochę popracować.
- Jestem dobry w robieniu kilku rzeczy na raz. Moja sekretarka Julia właśnie poszła kupić ci telefon.

- A co jest nie tak ze stacjonarnym?

- Chcę móc do ciebie zadzwonić, kiedy zapragnę, bez witania się z twoją przyzwoitką.

- A tak, no cóż...

- Mam w nocy przyjechać na koniu pod twoje okno, żeby cię wykraść?

- Nie, jeśli będziesz chciał, żebyś ładnie wyglądała, kiedy dojedziemy do domu.

- No tak, przecież masz alergię. Zapomniałem. Będę samochodem. Nie jest

tak romantyczny i tak cichy.

- Nie musisz skradać się przy Peg na palcach. Ona wie. Byłam z nią szczerą.

Muszę uważać na innych, nie na nią. W szczególności na Desmonda.

Conor chichocze, bo zupełnie nie obchodzi go zdanie Desmonda Byrne'a.

- Myślę, że na nikogo nie musisz uważać, Ellen. Nie jesteś im nic winna.

- Wiem, ale muszę być delikatna.

- Jak ci poszło z księdzem Michaeliem? - pyta, zmieniając temat.

Zniża głos.

- Miałaś rację. Mama wyjechała z Irlandii, bo była ze inną w ciąży.

- Czyli udało ci się go przyszpilić?

- Chyba czekał, aż będzie mógł sobie na ten temat porozmawiać.

- Jest w końcu tylko człowiekiem, a to emocjonująca historia.

- Wiesz, mama musiała zwierzyć się Peg, bo ksiądz Michael powiedział, że to ciocia wygadała się ich matce. Wyobrażasz sobie? Nie wiem, jak matka się o tym dowiedziała, ale to może być powód, dlaczego nie rozmawiały ze sobą od ponad trzydziestu lat.

- Dlaczego Peg miałyby wyjawić to matce?

- Musiała mieć jakiś dobry powód. Nie jest złośliwa. Ale to straszne, co zrobiła, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, jak pobożna była ich matka. Musiała wiedzieć, że tak zareaguje.

- Byłaby oburzona, że córka zaszła w ciążę bez ślubu. To ciężki grzech.

- W dzisiejszych czasach wydaje się to takie małoduszne, nie sądzisz?

- Możesz mi wierzyć, wokół nas nadal żyje mnóstwo osób, które zachowują się podobnie. Pochodzisz z Londynu, gdzie życie wygląda zupełnie inaczej. Ludzie są bardziej tolerancyjni. W Londynie możesz być, kim chcesz, ale nie w Irlandii. A już z pewnością nie w takim małym miasteczku jak Ballymaldoon. Tu ludzie są bardzo staromodni i przyzwyczajeni do swoich zasad. Nic dziwnego, że twoja matka nigdy tu nie wróciła. Może już nie wróci.

- Czas leczy rany - mówi Ellen.

Conor wzdycha i uśmiecha się filozoficznie.

- To prawda - odpowiada i wiem, że myśli o mnie.

Dalej rozmawiają o niczym, jak para zakochanych, flirtują i drocą się, i żadne z nich nie chce zakończyć tej rozmowy. Oboje marzą, żeby to już był czwartek. Rozmowa musi się jednak kiedyś skończyć.

- Przyjadę po ciebie w czwartek po południu, dobrze? - pyta.

- Nie mogę się doczekać - odpowiada Ellen, niczego już nie ukrywając.

- Nie wiem, czy jestem w stanie znieść to czekanie.

Dziewczyna się śmieje.

- Jesteś, jesteś, Conorze Macauslandzie. Cierpliwy z ciebie mężczyzna.
- Pewnie masz rację. Bądź grzeczna.
- Próbuję pisać.
- Napisz historię, którą będę mógł sfilmować.
- To się nazywa zero ciśnienia!
- Mówiłaś, że czujesz tam przyływ weny.
- To prawda.
- Napisz o ruinach zamku, które razem zwiedziliśmy.
- Przyznaj się, że chcesz, bym pisała o tobie.
- To chyba jasne, że jestem twoim bohaterem.
- Jak słońce.
- A więc do czwartku.
- Do czwartku, Conorze.
- Całuję cię po całym ciele - mruczy.

Ellen nie odpowiada, ale słyszę delikatny chichot, który w słuchawce brzmi jak szept.

Conor uśmiecha się i odkłada słuchawkę. Przez chwilę wygląda przez okno na rzekę, nad którą stoi jego budynek, i rozmyśla o kobiecie, która tak nieoczekiwanie zjawiała się w jego życiu. Nie może się nadziwić, jak ogromna zaszła w nim zmiana w tak krótkim czasie. Mogłabym mu powiedzieć, że czas nie ma znaczenia. Na ziemi mierzy się go w minutach, godzinach, tygodniach - z miejsca, gdzie teraz się znajduję, widzę, że istnieje tylko jedna wieczna terażniejszość. Nie ma znaczenia, że znają się tylko kilka dni, bo miłość nie jest ziemskim uczuciem: pochodzi z wiecznej terażniejszości, której nie można zmierzyć. Jeśli ich miłość jest prawdziwa, to znają się od zawsze.

Powinnam być zadowolona z tego, że Conor w końcu znalazł kogoś, przy kim czuje się szczęśliwy, ale nie jestem. Zazdrość zżera moją duszę jak pasożyt. Żywi się mną i rośnie w siłę. Tu, gdzie jestem, czuję się bezsilna, nie potrafiąc wpłynąć na to, co się dzieje, ani nawet sprawić, by ludzie zauważyli moją obecność. Choć wyczuwają mnie tylko ptaki, mam w sobie determinację, by odkryć, jak zwiększyć swoją moc. Najwyraźniej wszystkie stworzenia są w stanie zauważyć obecność córki Peg, jak gdyby była żywa. Skoro ona potrafi to zrobić, to ja z pewnością też. Z tą myślą udaję się więc do Connemary i jej szukam.

Bez problemu odnajduję dziewczynkę; chyba spędza przy matce większość czasu. Nigdy jeszcze z nią nie rozmawiałam. Tak przywykłam, że sama tkwię w tym zawieszeniu - ani w niebie, ani na ziemi - że boję się do niej podejść. Wygląda jak anioł i im jestem bliżej niej, tym bardziej czuję, jak jasność, która ją otacza, sprawia mi ból. Nie mam takiego wzroku jak kiedyś, więc i ból nie jest taki jak wtedy, kiedy

patrzy się prosto w słońce po godzinach spędzonych w ciemności. Trudno opisać ten dyskomfort tym, którzy nigdy nie opuścili swoich ciał. Mogę jedynie powiedzieć, że światło, z którego jest stworzona, staje się dla mnie nie do zniesienia.

A jednak uśmiecha się do mnie, a wraz z tym jej blask rozszerza się w moją stronę. Chcę być w nim skąpana, ale nie potrafię. Jestem zbyt mroczna i krucha. Mam wrażenie, że ta jasność strawiłaby mnie jak płomień świecy ćmę.

- Caitlin - mówi.

- Znasz moje imię? - odpowiadam zadziwiona.

- Na imię mi Ciara.

- Jesteś aniołem.

Dziewczynka się śmieje.

- Nie, nie jestem. Ludzka dusza nie może przemienić się w anioła.

- Czym więc jesteś?

- Duszą, tak jak ty.

Jak to możliwe, że jest duszą taką jak ja, skoro jaśniej takim światłem?

Dlaczego ja nie mam takiej poświaty?

- Skąd więc ta jasność?

- Nie wiem, taką już mam - odpowiada, wzruszając ramionami.

Może jednak jest aniołem, tylko o tym nie wie?

- Czemu tu przebywasz? - dopytuję się.

- Bo moja matka nie jest jeszcze gotowa na moje odejście.

- Wie, że zawsze przy niej jesteś? - pytam z nadzieją, że jeśli tak, to może

Ciara powie mi, jak przekazać tę wiadomość moim dzieciom.

- Nie - odpowiada bez żalu w głosie. - Ale stąd, gdzie jestem, mogę jej pomagać w inny sposób.

- Jak?

- Miłością. - Kiedy wypowiada słowo „miłość”, jej światło znów się wzmacnia.

- Wszyscy powstaliśmy z miłości. Taka szkoda, że zapominamy o tym, kiedy tu trafiamy. Zapominamy, kim jesteśmy naprawdę.

- Czujesz się samotna? - pytam, choć wiem, że to głupie pytanie, bo widać, że nie.

Marszczy brwi.

- Samotna?

- Tak. Bo ja jestem samotna. Bardzo samotna.

Słowa wyrwywają się ze mnie w pełnym rozpaczym pośpiechu.

Dziewczynka patrzy na mnie ze współczuciem.

- Ale nie jesteś przecież sama - odpowiada.

Wygląda na zdziwioną tym, że uważam się za samotną. Omiata mnie wzrokiem, jakby rozmyślała nad innymi bytami, których nie mogę dostrzec.

- Właśnie, że jestem - mówię jękliwie i wyznanie tego na głos sprawia, że czuję się jeszcze bardziej osamotniona niż zwykle. - Widziałam, jak głaszczesz psa - ośmielałam się powiedzieć. - Jak to zrobiłaś? Mnie wyczuwają chyba jedynie ptaki.

- Wszystkie zwierzęta są świadome twojej obecności. Tylko ludzie zatracili zdolność wyczuwania tego, czego nie widzą.

- Ale kiedy dotknęłaś psa, widziałam, jak kładzie się jego sierść. Naprawdę go dotknęłaś, jakbyś miała prawdziwą dłoń. Jak to zrobiłaś?

- Też to potrafisz - mówi, śmiejąc się. - Musisz się skupić. Twój umysł jest teraz mocniejszy niż ręce. Były ograniczone, niezręczne. To niesamowite, czego możesz dokonać siłą umysłu, jeśli tylko się skoncentrujesz.

- Gdzie się tego wszystkiego nauczyłaś? - pytam, bo dziewczynka wcale nie mówi jak dziecko.

- Kiedy postanowisz przejść dalej, to też tam trafisz, a wtedy zdasz sobie sprawę, że nigdy nie miałaś domu tu, na ziemi. Przybędziesz z domu.

- Ale ja boję się opuścić rodzinę.

- Nigdy ich nie opuścisz, Caitlin.

- Nawet gdybym chciała udać się do tego nowego domu, nie wiedziałabym, jak tam trafić.

- Wiedziałybyś. To miłość, Caitlin. Tylko tyle. Miłość.

Zostawiam ją u Peg i przenoszę się na pastwisko owiec. Ciara ma rację w sprawie umysłu: to niebywałe, że bez ograniczeń ciała z krwi i kości mój umysł może mnie zabrać, gdzie tylko zechcę. Myśl jest czynem i oto jestem pośród owiec. Stoję między nimi, próbując się przekonać, czy zauważają moją obecność. Oczywiście przechodzą wprost przeze mnie, bo nie mam stałej postaci, tak jak światło. Na początku ogarnia mnie frustracja, ale przypominam sobie słowa Ciary i próbuję się skupić. Kładę dłoń na ich futrzanych grzbietach, ale niczego nie czuję. Nadal jedzą trawę, nie mając pojęcia, że jestem obok nich. A wtedy przychodzi mi do głowy, że może są tego świadome, ale w podobny sposób, jak świadome są wiatru czy deszczu - przyjmują mnie za element natury. Czy to możliwe?

W pełni koncentruję się na grzbiecie owcy. Próbuję wyobrazić sobie fakturę wełny. Wyteżam umysł. Przyklękam i spoglądam zwierzęciu prosto w oczy, pocierając palcami jego długi czarny pyszczek. Robię to bez ustanku - nie wiem, jak długo. Nie mam już poczucia czasu. Wtedy nagle i bez ostrzeżenia owca zauważa mnie i potrząsa głową. Co za uczucie! Od tak dawna nikt nie dostrzegł mojej obecności. Przechodzi mnie dreszcz emocji i próbuję raz jeszcze. Na początku metoda nie działa; muszę skupić się jak wcześniej i trenować. W końcu jednak

opanowuję tę sztukę. Dzięki sile woli wszystko okazuje się proste.

Jeśli mogę pogłaskać owcę, to z pewnością muszę być w stanie pogłaskać głowy moich dzieci, prawda? Skoro potrafię wpływać na żyjących, to na pewno uda mi się powstrzymać ledwie kwitnący romans Conora i Ellen. Jestem w stanie rozdzielić ich siłą woli, choć pewnie istnieją jakieś ograniczenia. Gdyby wpływanie na żyjących z miejsca, w którym się znajduję, było takie proste, to zazdrosne, wściekłe, pełne niechęci duchy wywołałyby prawdziwy zamęt. Raniłyby i mordowały bez opamiętania. Nie, muszą istnieć jakieś ograniczenia mojej mocy, ale posunę się tak daleko, jak tylko będę mogła. Nie proszę o wiele. Chcę tylko tego, co moje.

Ellen siedziała przed pustym ekranem monitora i podpierając dłońią brodę, marzyła o Conorze. Jak dotąd nie napisała ani słowa. Była zbyt podekscytowana, żeby się skupić. Wyobrażała sobie jego szlachetne rysy, szeroki, zaraźliwy uśmiech, i zorientowała się, że i na jej twarzy pojawia się uśmiech, gdy słowo po słowie odtwarza w głowie ich rozmowę telefoniczną. Wydawało jej się, że nie da rady wytrzymać do czwartku.

Sfrustrowana brakiem inspiracji, poszła poszukać ciotki. Peg wraz z Panem Borsukiem przeganiała owce na sąsiednie pastwisko.

-Wydawało mi się, że miałaś pisać! - zawołała do niej.

- Nie jestem w stanie wymyślić fabuły - odpowiedziała dziewczyna.

- Coś innego zaprzęta ci myśli - skwitowała Peg, uśmiechając się znacząco. - Może pójdziesz na spacer, żeby uwolnić umysł od Conora Macauslanda?

- Nie mogę, Peg - odpowiedziała Ellen z uśmiechem.

- Cóż, siedzenie przed komputerem też ci nie pomoże. Przynajmniej zaczerpniesz świeżego powietrza.

- Boję się, że znów się zgubię.

- A tym razem nie uratuje cię twój rycerz w lśniącej zbroi, co? Dam ci radę: idź wzdłuż wybrzeża, a na pewno nie zabłądzisz.

- Dobry pomysł.

- Trzymaj się ścieżki, mając morze w zasięgu wzroku, a zawsze będziesz wiedzieć, gdzie się znajdujesz.

- Tak zrobię - radośnie odpowiedziała Ellen. - Do zobaczenia.

- Jeśli długo cię nie będzie, wyślę Oswalda na poszukiwania. I włóż kurtkę, skarbie. Ta ściana chmur nadciąga w naszą stronę.

Ellen skierowała się w stronę wzgórza za domem Peg i weszła na dobrze udeptaną ścieżkę, która przecinała trawy jak stara blizna. Dzień był wilgotny. Bryza niosła ze sobą lekką mżawkę i od czasu do czasu przez otwór w warstwie chmur przedzierało się słońce, zalewając tafłę morza snopami delikatnego światła. Słuchała śpiewu ptaków i patrzyła na krążące nad nią mewy, pozwalając myślom uspokoić się w ciszy swojego odosobnienia. Im więcej czasu spędzała na wsi, tym stawała się pogodniejsza. Jej serce wypełniała niczym niezmacona radość, jakiej nigdy wcześniej nie czuła w betonowej dżungli Londynu. Tu, pośród wzgórz, naprawdę wierzyła, że wszystko jest możliwe, nawet napisanie przez nią powieści, kiefkujący związek z Conorem, wspaniała niezależność, szczęście. Była przekonana,

że wszystko samo się ułoży.

Po pewnym czasie dróżka skręciła, a na horyzoncie ukazała się śliczna kaplica. Z miejsca, gdzie stała Ellen, wydawała się stara i opuszczona. Otaczały ją płyty nagrobne oraz kamienny mur, który miał chronić budynek przed wiatrem znad morza. Ścieżka prowadziła w dół z boku do drewnianej furtki, która raz za razem otwierała się i zamykała. Kierowana ciekawością Ellen postanowiła podejść bliżej.

Kiedy przechodziła przez furtkę, zauważyła kilka kosów skaczących po kamieniach do połowy wkopanych w ziemię i wystających spomiędzy wysokich traw. Słońce oświetlało kaplicę snopem promieni i dziewczyna zauważyła, że ktoś nieopatrznie nie domknął wejściowych drzwi. Spojrzała na niebywałą panoramę oceanu, który rozciągał się w dół bezkresny aż po horyzont, gdzie połykały go chmury. Było to piękne i spokojne miejsce i Ellen pomyślała, że to ogromna strata, że kaplica jest taka zaniedbana, podobnie zresztą jak wiele zamków i domów rozrzuconych jak stare kości po okolicznych wzgórzach.

W tej samej chwili przed oczami mignęło jej coś szkarłatnego. Wyróżniało się jaskrawą barwą spośród zielonych traw i żółtych wrzośców. Spostrzegła, że to bukiet czerwonych róż w słoiku. Ellen zaskoczyło to, że kogoś złożono do grobu na tym zapomnianym skrawku irlandzkiej ziemi. Kwiaty stały oparte o kamień nagrobny niedaleko murku niewątpliwie już od kilku dni, bo ich kielichy szeroko się rozłożyły, a niektóre płatki opadły na ziemię, rozsypując się po niej niczym uronione łzy. Podeszła bliżej, żeby lepiej przyjrzeć się nagrobkowi. Jej zaskoczenie jedynie się spotęgowało, kiedy przeczytała wyryte w kamieniu nazwisko CAITLIN MACAUSLAND. Nachyliła się i przeczytała epitafium. A więc to ta mała kapliczka, gdzie odbył się pogrzeb Caitlin i gdzie miejscowi odrzucili Conora.

Nagle ciszę przerwał znajomy głos, a Ellen ze strachu niemal wyskoczyła ze skóry.

- To grób Caitlin Macausland.

Dylan schodził do niej ze wzgórza.

Wyprostowała się.

- Cześć, Dylanie - odpowiedziała, dłonią trzymając się za serce. - Nieźle mnie wystraszyłeś.

- Wybacz, nie chciałem się tak zakradać.

- Co tu robisz?

Włożył dłonie w kieszenie płaszcza i omiótł wzrokiem morze.

- Lubię spokój. W tej kaplicy nikt mi nie przeszkadza. Jest w niej coś inspirującego - powiedział, po czym spojrzał na dziewczynę, uśmiechając się do niej ciepło swoimi brązowymi oczami. - Zawsze podobały mi się romantyczne ruiny.

- Mnie też - odrzekła. - Dopiero co się na nią natknęłam.

- Caitlin Macausland też ją uwielbiała. Od czasu do czasu spotykałem ją tu przypadkiem. Zwykle siedziała na ławce i rozmyślała nad życiem.

- Ty też tak robisz?

- Oczywiście. Czasem też piszę. Tu, przy tym widoku, powstały niektóre z moich najlepszych wierszy. Myślę, że ciebie też to miejsce mogłoby zainspirować.

- Jestem o tym przekonana. Teraz nikt z tej kaplicy nie korzysta, prawda?

- Nie, po raz ostatni odprawiono w niej nabożeństwo na pogrzebie Caitlin pięć lat temu. Wcześniej nie używano jej chyba przez sto lat.

- Jakie to smutne.

- Wszystkie ruiny są smutne. Są jak skorupy, świadectwa niegdyś istniejącego w nich życia, które nie zdradzają jednak żadnych szczegółów. Podsycają naszą ciekawość. Chcemy wiedzieć o nich więcej. - Wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów i włożył sobie jednego do ust. Osłaniając się od wiatru, przypalił go zapalniczką. - Poczujesz się?

- Nie, dziękuję, próbuję rzucić.

- Brawo.

Wypuścił obłok dymu w wilgotne powietrze.

- Dlaczego pochowano ją tu, a nie w Ballymaldoon? - zapytała Ellen.

- Bo jej miejsce jest w tak romantycznym miejscu jak to. Nie chciałyby spoczywać w mieście. To ja opowiedziałem jej historię marynarza ze złamanym sercem, który wybudował tę kapliczkę dla młodej żony zmarłej tragicznie dzień po ich ślubie. Caitlin uwielbiała romantyzm tej opowieści, nawet jeśli nie ma w niej krzty prawdy. - Wzruszył ramionami i uśmiechnął się zawadiacko. - Nie wiem. To ciekawa historyjka, a ona należała do kobiet, które potrafią ją docenić. Conor wiedział o tym najlepiej. Żona żeglarza jest pochowana na szczycie, o tam. - Pokazał. - Żeglarz chciał, żeby nad nim czuwała, gdy wypływa w morze.

- Piękna historia.

- Caitlin też tak uważała.

- Dobrze ją znałeś?

- Chyba nikt nie był w stanie kiedykolwiek poznać Caitlin Macausland. Nie jestem nawet przekonany, czy jej własny mąż mógł to o sobie powiedzieć. Było w niej coś nieodgadnionego. Czuła się samotna w zamku, kiedy Conor wyjeżdżał, więc przychodziła tu, gdzie od czasu do czasu się widywaliśmy. Cieszyła się, że ma

z kim porozmawiać.

- Musiał ją kochać. Nadal zostawia kwiaty na jej grobie, choć od jej śmierci minęło już pięć lat.

Ellen starała się ukryć rozczarowanie. Miała dziwne przeczucie, że Dylan potrafi czytać w jej myślach, kiedy patrzy mu w oczy, więc spuściła wzrok.

- Być może - odparł. - Zabawne jest to, że tu zawsze stoją róże.

- Co w tym zabawnego?

- Cóż, Conor większość czasu spędza w Dublinie, zgadza się?

- Może płaci komuś, żeby stawiał tu kwiaty, kiedy go nie ma.

- Być może. Mnie wydaje się jednak, że ta historia jest bardziej tajemnicza.

Ellen uśmiechnęła się w odpowiedzi na figlarny błysk w jego oku.

- Jesteś zwolennikiem teorii spiskowych?

- Tylko starym romantykiem.

- Uważasz, że jeszcze ktoś był w niej zakochany?

- Tak.

- Kto?

Pokręcił głową i zaciągnął się głęboko, zanim wypuścił nosem dym niczym stary smok.

- Nie chcę wsadzać kija w mrowisko - odpowiedział w końcu.

Ellen przypomniała sobie, że widziano kogoś płynąc ego łódką z latarni w stronę brzegu w noc śmierci Caitlin, i chciała, żeby Dylan powiedział jej, kogo o to podejrzewa, ale wiedziała, że jako nowej w miasteczku nie wypada jej za bardzo się tym interesować.

- Fabuła się zagęszcza - powiedziała tylko, i to zamknęło temat.

- Chodź, chcesz zobaczyć, czym się ostatnio zajmuję? - Wyrzucił niedopałek na trawę i ruszył ku kaplicy.

- Jasne - odparła, choć ani trochę nie była ciekawa.

Weszła za nim do środka. Wnętrze kaplicy wyglądało standardowo - kamienna podłoga, drewniane ławki, szyby wstawione w grube mury, żłobiona drewniana ambona i malowidła o religijnej tematyce otaczające łukowe okno za ołtarzem. Powietrze było zastane i chłodne, jak zawsze w kościołach.

Dylan wziął do ręki gitarę, która leżała w pierwszym rzędzie ławek.

- Znów komponuję - powiedział z dumą.

- Czyli poczułeś natchnienie.

- O, tak.

Uśmiechnął się znacząco, jak gdyby strzegł jakiegoś sekretu.

- Zagrasz mi coś?

- Jeśli chcesz. - Usiadł i oparł sobie gitarę na udzie. Ellen zajęła miejsce w

ławce po przeciwnej stronie nawy i przyglądała się, jak Dylan wygrywa kilka akordów, żeby poprawić strojenie. Dźwięk rozniósł się po kaplicy. - Zagram ci jedną z moich starych piosenek - zaproponował.

- Czemu nie tę, którą teraz piszesz?
- Bo nie jest jeszcze gotowa.
- Dobrze. To zagraj jedną ze starych.
- Nosi tytuł Utracona.

Ellen zmarszczyła czoło.

- Już jest mi smutno, a jeszcze nie zacząłeś śpiewać.

Z jakiegoś powodu zaskoczyło ją, jak pięknie zaczął grać. Spodziewała się, że odczuje lekkie zakłopotanie i będzie musiała udawać podziw dla jego występu. Nie wątpiła, że umie grać na gitarze, ale to, że ludzie śmiali się z niego, mogło sugerować, że jest raczej do niczego. Nie spodziewała się, że dobrze zagra, mimo że Peg wspominała, że w przeszłości odnosił sukcesy, a jedna lub dwie jego piosenki stały się w Irlandii przebojami. Śpiewał pewnie, jak gdyby od dawna przywykł do publiczności, a jego głos był głęboki, z domieszką smutnego, tęsknego tonu, który chwycił słuchaczy za serce.

Śpiewał o swojej utraconej miłości i Ellen od razu pojęła, że słowa mówią o jej matce. Tworzył obrazy tak piękne, jakby wypłynęły z czystej, najgłębszej rozpacz. Chłoneła każde słowo, nie ośmieliwszy się nawet drgnąć. Bez względu na to, co ludzie o nim mówili, był niezwykle utalentowanym artystą.

Dylan śpiewał, a Ellen stawała się coraz poważniejsza. Na nowo patrzyła na mężczyznę, którego wszyscy wytykali palcami jako miejscowego pijaczka, obiekt kpin. On jednak nie był ani trochę szalony - cierpiał.

Wygrał ostatni akord i dziewczyna czekała, aż dźwięk echem odbije się od ścian i ucichnie, po czym zaczęła bić brawo.

- To było piękne, Dylanie. Nawet więcej. To było boskie - powiedziała z przyjemnością, ponieważ była to szczerą prawdą.

- Dziękuję - odrzekł cicho, po czym spuścił wzrok, jakby nagle zawstydziło go, że tak bardzo się przed nią utworzył.

Wpatrywała się w niego z nowo odnalezioną sympatią.

- Napisałeś to dla mojej matki, prawda?
- Najwspanialsze dzieła powstają czasem z największego smutku.
- Nadal ją kochasz?

Na chwilę pogrążył się w zadumie, wpatrując się w kamienną podłogę pod ich stopami. Potem zmierzył ją wzrokiem i powiedział:

- Myślę, że jeśli kogoś tak się kochało, to nigdy nie można przestać.
- Nawet jeśli to nie jest już ta sama osoba?

- W głębi serca zawsze będzie tą samą Maddie.

Ellen wyczuła nadzieję w jego głosie, jakby nie potrafił znieść myśli, że ukochana mogłaby się zmienić.

- Życie może boleśnie rozczarować - powiedziała, chcąc mu pokazać, że go rozumie.

Twarz Dylana jednak pojaśniała; uśmiechnął się z zadowoleniem.

- I wtedy dzieje się coś, dzięki czemu odzyskujesz wiarę. Kiedy wydaje ci się, że nie masz już niczego, los zostawia ci na progu niespodziewany prezent, aby ci pokazać, że nie wszystko stracone. Czasem czeka się na to całe życie, ale trzeba być cierpliwymi i wierzyć, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

Ellen nie do końca wiedziała, o czym mówi i czy ma na myśli siebie, czy kogoś innego.

- Miejmy nadzieję, że masz rację - skomentowała, nie chcąc wnikać w szczegóły. - Kiedy byłam w liceum, sama uczyłam się grać - wyznała.

- Chcesz spróbować? - Podał jej instrument.

- Chyba niewiele już zostało mi w pamięci.

- Spróbuj.

- Mama nie chciała, żebym traciła czas na muzykę. Bała się, że zacznę grać w jakimś zespole i zniszczę rodzinie reputację.

- Uczyłaś się sama?

- Tak, i stworzyłam nawet zespół. - Uśmiechnęła się z dumą. - Nie byliśmy żadną znaną grupą, ale miałam z tego mnóstwo frajdy.

- Kto pisał piosenki?

- Ja, a przynajmniej próbowałam. - Zaśmiała się, marszcząc nos. - Nawet ich już chyba nie pamiętam. To było tak dawno temu.

- Pobzdąkaj sobie. Sprawdź, jak się teraz czujesz z gitarą w dłoniach.

Oparła instrument na kolanie. Ustawiła palce na strunach i zagrała dość nerwowy akord G. Z G przeszła do D i do F, czując przyływ pewności siebie, kiedy powoli wszystko zaczęło jej się przypominać.

- Widzisz! Twoje palce pamiętają.

- Zobaczymy, czy pamiętam którąś z moich dawnych piosenek.

Nie mogła przywołać słów, ale pamiętała melodię jednej z piosenek, którą grała wraz z zespołem jeszcze w szkole. Dylan szybko ją podłapał i zaczął nucić, a po chwili muzykowali już razem. Po kilku minutach ułożyli wspólnie chwytliwy refren. Powtarzali go raz za razem, a Dylan akompaniował im, wystukując rytm o drewnianą ławkę, jednocześnie podrygując. Uśmiechali się do siebie we wzajemnym podziwie. Ich muzyka wypełniała kapliczkę i odbijała się od ścian donośnym echem.

Tak dobrze się bawili, że nie zauważyli, jak szybko upłynął czas. Dopiero kiedy żołądek Dylana dołączył się do piosenki niczym kolejny instrument, postanowili, że czas coś zjeść.

- Daj się zaprosić na obiad w pubie - zaproponował. - Zasłużyłaś sobie na to rozweseleniem staruszka!

- Przecież nie jesteś stary. - Ellen się zaśmiała, oddając mu gitarę. - I grasz rewelacyjnie.

- Ty też mogłabyś tak grać, gdybyś tylko pozwoliła mi trochę cię poduczyć.

- Tak myślisz? Nie jestem jednak pewna, czy umiałabym tak komponować jak ty.

- Oczywiście, że tak. W dodatku masz przepiękny głos.

- Muszę chyba poczekać, aż posmutnieję. Może tworzyć da się tylko wtedy, kiedy jest się nieszczęśliwym.

- Komponować można na wiele sposobów i nie wszystkie piosenki muszą być smutne. Tak się po prostu składa, że inspiracją do wszystkich moich piosenek była twoja matka. Gdybyśmy zaczęli grać razem, może zainspirowałby mnie twój optymizm.

Włożyli kurtki i wyszli na mżawkę. Chmury znad morza przesunęły się nad ląd i teraz ciężko wisiaty nad linią brzegu.

- Zmokniesz. Chcesz mój kapelusz? - zapytał Dylan.

- Nie, ty go włoż. Nie przeszkadza mi deszcz. Właściwie to tu, na wsi, nawet go lubię. Woda wydaje się czysta i dobrze mi robi.

- O tak, czystej deszczówki nam nie brakuje.

Raźnym krokiem ruszyli ścieżką w dół, mijając stoik z różami i grób Caitlin Macausland, aż na końcu przeszli przez drewnianą furtkę.

- Jak ci idzie pisanie? - zapytał Dylan.

- Nie napisałam jeszcze ani słowa - odrzekła z westchnieniem.

- Dlaczego?

- Nie mam pojęcia. Czuję w tym miejscu przyptyw natchnienia, ale nie wymyśliłam jeszcze fabuły.

- Może włączysz sobie jakąś muzykę, zapalisz świecę, stworzysz w swoim pokoju sprzyjający nastrój, a potem uspokoisz myśli i zobaczysz, co się stanie?

- Czy wszyscy ludzie tak piszą, czy tylko ty? Wydawało mi się, że najpierw powinno się wymyślić jakiś schemat.

Dylan się uśmiechnął.

- Każdy pracuje inaczej, ale mam wrażenie, że posłużyłaby ci taka metoda. Aby dać ujście inspiracji, trzeba opróżnić umysł z innych myśli i poczekać, aż zacznie przez ciebie przemawiać.

- Czyli mam za dużo nie teoretyzować, tak?
- Właśnie. Za dużo myślisz. - Na chwilę się zamyślił. - Musisz pozwolić, by muzyka zabrała cię w jakieś nieoczekiwane miejsce.
- Dobrze, poproszę ciocię Peg o jakieś płyty.
- Masz iPoda?
- Tak.
- Daj mi go, a ułożę ci jakąś playlistę.
- Naprawdę? - zapytała zaskoczona.
- A czemu nie?
- Nie wiem, to po prostu sporo pracy.
- Nie dla mnie. Kocham muzykę. Wszystko i tak mam już w komputerze. To naprawdę nic takiego.

- Byłoby wspaniale. Bardzo ci dziękuję.
- Pozwól więc inspiracji wyjść z twojego wnętrza, nie z płytkich kalkulacji umysłu. Jeśli czujesz, jak głowa się trudzi, znaczy to, że pomysły nie pochodzą z twojego wnętrza. Rozumiesz różnicę?

- Tak mi się wydają.
- Spróbuj, zobaczysz, co się wydarzy.
- Tak zrobię. Dam ci iPoda dziś wieczorem w pubie.
- Doskonale.
- Dziękuję, Dylanie. Jesteś dla mnie taki miły.
Zaśmiał się pod nosem.
- Dawno już nikt tego o mnie nie powiedział. Ale przyjemnie jest być miłym, Ellen Olenska.

Kiedy doszli do Sagana Złota, włosy Ellen ociekały wodą, a jej kurtka była mokra jak biedny osiołek Peg. Już wcześniej planowała kupić nowe okrycie, nie wiedziała tylko, czy w Ballymaldoon uda się jej znaleźć coś odpowiedniego.

W środku było ciepło. Ogień trząsał w palenisku, a przy stolikach i barze siedziało kilku miejscowych, jedząc lunch i popijając piwem. Na widok Ellen z Dylanem Craic przerwał prowadzoną rozmowę i zadziwiony zmierzył ich wzrokiem. Ellen zauważyła jego reakcję, ale postanowiła ją ignorować.

- Cześć, Craic - powiedziała nonszalanckim tonem, podchodząc do baru.
- Wyglądacie jak dwie zmokłe kury - odparł na powitanie.
- Byliśmy na wzgórzach - odrzekła, jakby to, że spędza czas z Dylanem, było czymś najzupełniej normalnym.

- Co tam robiliście?
Elen przechwyciła spojrzenie Dylana i uśmiechnęła się, jakby skrywała jakąś tajemnicę.

- Spacerowaliśmy.

- Ach tak. Co podać?

- Dla Ellen cola. Dla mnie też coś bez alkoholu - wtrącił się Dylan, nachylając się nad barem i kładąc na nim swój kapelusz. - Zjemy też coś. Na co masz ochotę, Ellen Olenska?

To, jak wymówił jej imię, sprawiło, że Ellen zrobiło się ciepło w środku.

- Na coś gorącego - odpowiedziała. - Zamów mi coś.

Wzięła swoją szklanekę i poszła do wolnego stolika pod ścianą.

Już po chwili Dylan zaczął opowiadać Ellen o jej matce. Wszelkie zastrzeżenia, jakie dziewczyna miała wobec niego, zniknęły, gdy usłyszała w kaplicy, jak pięknie gra. Jeśli zaś Dylan starał się wcześniej zachować ostrożność, by nie ujawnić zbyt wiele ze swojej przeszłości, teraz czuł, że może jej zaufać. Muzyka stała się łączącym ich ogniwem, a ich wspólne zainteresowanie Madeline Byrne zbliżyło ich do siebie.

- Zawsze miałem słabość do twojej matki - powiedział, przeżuując kiełbasę. - Była inna od wszystkich. Miała w sobie wytworność hrabiny.

- Nawet wtedy? - Ellen zachichotała.

- Nawet wtedy. Matka ją rozpieszczała.

- Myślałam, że nie miała pieniędzy.

- To prawda, ale jeśli trafiło się jej trochę grosza, wydawała wszystko na Maddie. Biedna Peg musiała zadowalać się używanymi ubraniami, ale Madeline brzydziła się nimi. Uosabiała powiedzenie, że ci, którzy krzyczą najgłośniej, najwięcej dostają. Maddie była dziewczyną, dla której wszyscy chcieli poruszyć niebo i ziemię, żeby tylko ją zadowolić.

- Ty też?

- Oczywiście. Skoczyłbym za nią w ogień.

- Ale była też niepokorna, prawda?

- Niewiele robiła sobie z przestrzegania reguł. Dla Maddie zasady były po to, żeby je łamać, bez względu na to, czy chodziło o wagary, przekazywanie sobie liścików w kościele, czy o uniki przed pomaganiem matce. Była niekonwencjonalna. - Spojrzał na nią wielkimi, smutnymi oczami. - Dlatego mówiłem na nią Ellen Olenska.

Ellen wpatrywała się w niego zdumiona.

- Nazywałaś ją Ellen Olenska?

- Tak. Przeczytałem tę książkę, a potem dałem jej. Obojgu nam bardzo się podobała.

- Więc dała mi na imię Ellen po bohaterce książki, bo tak zwykłeś ją nazywać?

Dylan pokiwał głową. Dziewczyna poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy. Upiła duży łyk coli.

- Boże, ona nadal cię kochała, Dylanie.

- Na to wygląda.

- Nie wiedziałeś?

- Skąd miałem wiedzieć? - odpowiedział szybko. - Zniknęła z twoim ojcem i więcej jej nie widziałem.

Ellen poczuła, jak nagła fala emocji niszczy jej spokój.

- Dała mi to imię z twojego powodu. Boże, to niewiarygodne.

W głowie jej się nie mieściło, że matka mogła mieć w sobie coś z romantyczki.

Dylan położył szorstką dłoń na jej dłoni. W porównaniu z jej białą skórą jego wydawała się brązowa.

- Wpakowała się w tarapaty, Ellen. Twój ojciec ją z nich wybawił. Przebaczyłem jej, ale nigdy nie przestałem o niej myśleć. - Jego oczy zrobiły się wielkie i błyszczące, a ból, który wyrażały, był zbyt szczery, by Ellen mogła go znieść. Te oczy przyciągały ją jednak jak niebezpieczna przepaść przyciąga człowieka stojącego na krawędzi klifu. - Zniszczyła we mnie miłość. Po niej nie potrafiłem pokochać już nikogo innego - dodał półgłosem.

Wpatrywali się tak w siebie jeszcze przez chwilę, która wydawała się bardzo długa. Dylan nie cofnął dłoni i Ellen przykryła ją swoją, ściskając ze współczuciem.

- Nie możesz pozwolić, by romans sprzed lat zniszczył ci życie, Dylanie. Musi istnieć jakiś sposób, by to przeżyć. By odzyskać spokój ducha.

Miał minę, jakby nagle wrócił z dalekiej podróży, i mrugnął powiekami.

- Daję temu upust w mojej muzyce i poezji.

- Ale masz teraz dziewczynę, prawda?

- Mówisz o mnie, jakbym był nastolatkiem. Mam kochankę, Ellen. Jest wdową. Straciła męża jakiś czas temu. To dobra kobieta, ale to nie Maddie.

Cofnął dłoń i dokończył lunch.

- Maddie to już też nie Maddie. Twoje wspomnienia nie przekładają się na rzeczywistość i nie da się ich odzyskać.

Jego uśmiech był dla niej zaskoczeniem.

- Nie? Nie byłbym taki pewien. Mogę je odzyskać, ale nie tak, jak się spodziewałem. - Zmarszczyła czoło, ale nie wyjaśnił, o co mu chodzi. - Napijesz się jeszcze?

- Nie, dziękuję, wystarczy - odpowiedziała, zastanawiając się, czy może w jakimś stopniu Dylan nie postradał jednak zmysłów.

- Nie wydaje mi się, żeby ojciec miał jakiegokolwiek pojęcie, skąd takie imię. Imiona Leonora i Lavinia bardzo się od niego różnią, prawda? Ellen chyba nie pochodzi z angielskiego.

Nie odpowiedział.

- Jakie to dziwne, że to ja jestem dzieckiem, które najbardziej ją przypomina. Leonora i Lavinia są bardzo podobne do ojca. - Uśmiechnęła się promiennie. - Obie mają cofnięte podbródki, więc chyba powinnam się cieszyć.

- Masz wyraziste cechy Ellen... i... - Uśmiechnął się do siebie, jak gdyby nagle, wbrew swej gadatliwej naturze, postanowił nie zdradzić już nic więcej. - Twój uśmiech też mi ją przypomina. Ale ty to ty. Nie jesteś jej wierną kopią. Jesteś wspaniała na swój sposób.

Wieczorem Ellen zabrała swojego iPoda do pubu i przekazała go Dylanowi. Siedział przy barze z Ronanem, który przywitał ją bez uśmiechu. Patrzył na nią ciemnymi, pełnymi niechęci oczami. Był najwyraźniej bardzo niezadowolony z powodu jej pogłębiającej się przyjaźni z Conorem, Ellen usiadła więc z Alanną, Desmondem, Joem i Johnnym przy stoliku pod ścianą i przyglądała się wchodzącym do środka ludziom. Nadal wzbudzała ciekawość miejscowych - domyślała się tego po tym, jak nagle odwracali wzrok, kiedy udało się jej przechwycić ich spojrzenia, jak ściszczyli głośnie i nachylali głowy w trakcie rozmowy. W otoczeniu rodziny czuła się jednak bezpiecznie. Nikt nie chciał zadzierać z Desmondem ani Johnnym. Ellen domyślała się, że jeśli ktoś ich sprowokuje, są w stanie zaatakować jak niedźwiedzie. Po chwili pojawił się Ryan z kolejnymi Byme'ami i klan zdominował pub donośnym, radosnym gadulstwem.

- Co ty na to, że Macausland zgolił brodę? - zapytała Alanna. - Zapomniałam, jaki jest przystojny. Jak aktor filmowy, prawda?

Ellen się zarumieniła.

- Na początku w ogóle go nie poznałam.

- Nikt chyba go nie poznał. Minęło z pół mszy, zanim ktokolwiek się zorientował.

- Teraz wygląda lepiej.

- Masz rację. Lubię brody, ale zasłanianie takiej twarzy powinno być karane.

- A jak Desmond wygląda bez brody?

Alanna zaśmiała się głośno i z czułością spojrzała na męża, który rozmawiał z Johnnym przy drugim końcu stołu.

- Nie przypomina Macauslanda, ale jest na swój sposób przystojny. Myślę, że bez brody wyglądałby młodziej, ale tak do niej przywykłam, że pewnie bym za nią tęskniła. Teraz stanowi jego część.

- Brody są modne wśród tutejszych mężczyzn.

Alanna rozejrzała się po twarzach zebranych. Jej oczy błyszczały od alkoholu i gorąca.

- Pewnie masz rację. Nigdy właściwie o tym nie myślałam. Czy w Londynie mężczyźni nie noszą bród?

- Nie aż tylu. Może zauważyłam to tylko dlatego, że w Ballymaldoon wszyscy brodacze zbierają się w jednym miejscu. A Irlandkom brody nie

przeszkadzają?

Alanna zachichotała.

- Łaskoczą - powiedziała, po czym wychyliła kieliszek wódki.

Na wspomnienie brody Conora na swoim policzku i szyi Ellen przeszedł dreszcz podniecenia, wywołując uśmiech.

- To pewnie musi być miłe - powiedziała.

- Bardzo miłe - przytaknęła Alanna. - Gdyby Desmond pozbył się swojej, byłabym rozczarowana.

Nagle dziewczyna usłyszała, jak przez harmider głosów przebijają się dźwięki akordeonu. Jeden z miejscowych uciszył zebranych. Alanna delikatnie szturchnęła ją w bok.

- Jezu, to Dylan - syknęła. - Chyba będzie śpiewał.

Ellen wyciągnęła szyję i dostrzegła Dylana, który przysiadł na barowym krześle z akordeonem opartym o kolano. Uśmiechał się zawadiacko i z wyzywającym błyskiem w oku błądził wzrokiem po twarzach zebranych. Wyglądał tak, jakby się cieszył, że ich zaskoczył. Pomyślała, że w jego wyglądzie jest coś szalonego. Przez chwilę ludzie patrzyli na niego tępo jak stado cieląt. Potem akordy przeszły z durowych w molowe, inicjując pieśń dobrze wszystkim znaną. Zaczął śpiewać, ale zanim skończył pierwszą linijkę, cały pub zaczął mu wtórować, jakby robili to każdego wieczoru.

W lewo i w prawo, w lewo i w prawo

Celnicy w tańcu kotyszają się żwawo

Do rana herbaty wypiją sporawo

Pośród wzgórz Connemary.

Ellen uśmiechała się od ucha do ucha, aż rozboleły ją policzki. Była dumna z Dylana i z radości zaczęła gorąco go okłaskiwać. Przy kolejnej piosence Ellen nie potrafiła już dłużej wytrzymać na siedząco. Skoczyła na równe nogi, Alanna za nią, i choć nie знаła słów, włączyła się do śpiewu. Ellen rozejrzała się dookoła i zobaczyła, że tylko najstarsi bywalcy pubu siedzą na krzesłach. Wszyscy pozostali przytupywali do rytmu, wznosząc szklanice ciemnego piwa i śpiewając, ile sił w płucach.

Było późno, kiedy wszyscy rozeszli się do domów, na odchodne poklepując Dylana po plecach, jakby się cieszyli, że wrócił z długiej podróży.

- Ktoś odwiezie cię do Peg? - zapytał Ellen, kiedy podeszła do niego, by się pożegnać.

- Tak, Johnny - odpowiedziała. W jej oczach błyszczały czułość i sympatia. - Byłeś dziś wspaniały. Wszystkich porwałeś do śpiewu.

- Tak jak dawniej - stwierdził z dumą, której nie był w stanie ukryć.

- To było niebywałe. Nie wiedziałam, że grasz na akordeonie.

- Nie ma instrumentu, na którym bym nie zagrał. Jeśli opanujesz grę na jednym, to jakbyś znała wszystkie.

Dotknęła jego ramienia.

- Miło spędziłam dziś z tobą czas, Dylanie. Dzięki za lunch.

Wyglądał jak zadowolony z siebie chłopczyk, który w końcu znalazł kolegę do zabawy.

- Dobrze się bawiliśmy, prawda, Ellen Olenska?

- Pożyczyłam sobie od Peg Wiek niewinności. Zacznę czytać.

- Spodoba ci się. Twoja matka uwielbiała tę książkę.

- Chyba powinna ponownie ją przeczytać - powiedziała, rzucając mu znaczące spojrzenie. - Najwyższa pora, by matka przypomniawszy sobie o swoich korzeniach.

Następnego ranka Ellen dostarczono telefon od Conora wraz z wiadomością, by zadzwoniła do niego, kiedy tylko go otrzyma.

- Co tam masz, skarbie? - zapytała Peg, zaskoczona, że pod jej adres przyszła paczka dla Ellen.

- To telefon od Conora.

- Czy teraz już nikt nie jest w stanie wytrzymać bez jednego z tych paskudztw przyklejonego do ucha? Dawniej jakoś wszyscy dawaliśmy sobie bez nich radę.

- Nikomu nie podam tego numeru. Nie na darmo wyrzuciłam mój do morza.

Peg nachyliła się, żaby pogłaskać Bertiego po plecach.

- To kiedy przyjeżdża?

- Jutro.

- Rozumiem.

Jeśli nawet Peg miała zastrzeżenia, była na tyle rozsądna, by nie wypowiadać ich na głos.

Ellen wróciła do swojego saloniku. Napaliła w kominku i siadła wygodnie w fotelu z Wiekami niewinności na kolanach. Zanim jednak zagłębiła się w lekturę, postanowiła zadzwonić do Conora. Uśmiechała się, wybierając jego numer z listy - zdążył już zapisać go w jej telefonie.

- A więc go dostałaś - powiedział, kiedy odebrał połączenie.

Jego głos był delikatny i ospały. Ellen miała wrażenie, że on też rozsiadł się wygodnie w fotelu.

- Nie musiałam nawet wystukiwać numeru.

- Zawsze świadczę usługi najwyższej jakości - powiedział prowokującym

tonem i dziewczyna poczuła, jak jej ciało przeszywa dreszcz podniecenia. - Nadal za mną tęsknisz?

- Może - odpowiedziała ze śmiechem.

- Myślę, że tęsknisz.

- Odrobinę.

- Twoja powściągliwość jest bardzo brytyjska. Będę musiał coś na nią poradzić.

- Myślisz, że ci się uda?

- Przy odpowiedniej dawce irlandzkiego uroku.

- Co nieco wiem o twoim irlandzkim uroku, więc myślę, że masz całkiem spore szanse.

- A to było, kiedy jeszcze miałem brodę - odpowiedział. Na myśl o całowaniu jego gładkiej skóry Ellen stanęły włoski na rękach. - O czym myślisz? - zapytał. Wyczuwała, że jego usta są bardzo blisko słuchawki.

- Wyobrażam sobie, jak cię całuję.

- Tylko całujesz?

- Jeśli zacznę myśleć o czymś więcej, to nie będę w stanie spokojnie dokończyć tej rozmowy.

- Chcę całować całe twoje ciało.

Ellen zerknęła na drzwi z nadzieją, że Peg nie nasłuchuje.

- Jaka szkoda, że musimy czekać aż do jutra.

- Dziś mam kilka spotkań. Ostatnio jestem dość rozkojarzony, więc muszę nadrobić trochę spraw.

- Nie uschniesz do jutra z tęsknoty - powiedziała optymistycznie.

- Za to na pewno jeszcze bardziej się napalę. Dziewczyno, nie wiem, co ze mną robisz, ale to niezła karuzela. - Ellen zaśmiała się zachwycona. - Chcę być przy tobie - szepnął.

- A ja przy tobie - odrzekła tęsknym głosem, który zadał kłam jej brytyjskiej powściągliwości.

- Jeszcze będzie z ciebie Irlandka. - Conor zaśmiał się pod nosem.

Rozmawiali przez niemal godzinę, podczas której Ellen z niecierpliwością zaczęła chodzić po pokoju. W jednej chwili siedziała, w kolejnej stała, wyglądając przez okno, potem znów siedziała. Nie była w stanie wytrzymać bez ruchu, bo Conor budził w niej emocje, z którymi nie potrafiła sobie poradzić. W końcu się pożegnali, choć oboje wiedzieli, że porozmawiają jeszcze wieczorem, przed pójściem spać. Rozłączyła się i siedziała przez pewien czas, wpatrując się w telefon z uśmiechem na ustach. W jej uszach nadal brzmiał tembr jego głosu.

W końcu otworzyła książkę i przewróciła pierwszą stronę. Ledwie zaczęła

czytać, a poczuła w kącikach oczu piekące łzy.

Mojej Ellen Olenskiej. Zawsze pozostań dzika i ciekawa świata, a Twój duch nieskrępowany. I niech Twe serce zawsze będzie moje. Dylan. Czerwiec 1977.

Okazało się, że trzyma w dłoniach tę samą książkę, którą Dylan podarował Maddie wiele lat temu. Teraz nie tylko była jej ciekawa - czuła do niej szacunek. Zastanawiała się, czy Peg zdaje sobie sprawę z tego, jak ważny jest ten egzemplarz. Dylan z pewnością nie wiedział, że właśnie tu się znajduje. Nie przyszło mu do głowy, kiedy Ellen wspomniała, że zacznie czytać tę powieść, że książka z biblioteczki Peg to ta sama, którą dał Maddie. Dziewczyna postanowiła, że odda mu ją, kiedy tylko skończy czytać.

Przewróciła kolejną stronę i od razu dała się pochłonać dziewiętnastowiecznemu Nowemu Jorkowi. Jaką miała przyjemność z tej książki: pięknej i lirycznej, okraszonej cierpkim, bystrym poczuciem humoru. O matce i Dylanie przypominała sobie dopiero wtedy, kiedy pod koniec pierwszego rozdziału w loży w operze pojawiła się tajemnicza hrabina Olenska. Ellen uśmiechnęła się na myśl, że jej matka czytała tę samą książkę. Po chwili jednak uśmiech zastąpił grymas: co matka powiedziała by na to, że Ellen siedzi w domu jej siostry i czyta książkę, którą ofiarował jej Dylan w tym samym roku, kiedy uciekła z domu?

Ellen przez cały ranek czytała Wiek niewinności. Zrobiła sobie przerwę na lunch, który zjadła w kuchni z Peg i Oswaldem. Malarz wprosił się do nich, twierdząc, że sam ze sobą „nudzi się jak mops”. Po południu ciotka nakłoniła ją, by pomogła jej zająć się osiołkiem, któremu pod lewym okiem wyskoczyła paskudna wysypka. Ellen domyślała się, że Peg po prostu chciała wyciągnąć ją z domu na świeże powietrze. Należała do pokolenia rozsądnych kobiet, którym się wydaje, że przesiedzenie całego dnia w domu jest czymś nienaturalnym. Ellen pomogła jej więc uwiązać osiołka do płotu i przemyć jego oko specjalnym płynem, którym nasączyły wacik. Gładziła go po karku, podczas gdy ciotka mówiła do niego kojącym tonem:

- Dobry osiołek, dobry. Widzisz, to nie takie straszne, prawda? Polepszy ci się. Peg cię wyleczy. Ot co.

Ellen bawiło to, że ciotka mówi do zwierząt jak do ludzi. Tak samo zwracała się do Pana Borsuka, Bertiego, a nawet Kafki.

- Słyszałam, że wczorajszy dzień spędziłaś z Dylanem - powiedziała Peg, przecierając oko osiołka suchą szmatką. - Johnny i Joe wpadli dziś rano po drodze do pracy. Spałaś, więc cię nie wołałam. Pewnie spotkałaś go podczas spaceru, bo Craic mówił, że weszliście do pubu mokrzy jak topielce.

Dziewczyna nie mogła się nadziwić, jak błyskawicznie działa w Ballymaldoon poczta pantoflowa.

- Tak, wpadliśmy na siebie przy kapliczce na wzgórzu. Wiesz, o której mówię?

- Oczywiście. Jest tam pochowana Caitlin Macausland.

- Dylan grał mi na gitarze. Jest niesamowity. Ma wielki talent.

Peg się zaśmiała, ale nie tak jak inni. Jej śmiech był pełen czułości.

- Zaśpiewał ci?

- Tak. Piosenkę, którą - jak sądzę - napisał dla matki.

- Nie wątpię.

- Będzie mnie uczył grać. Wiesz, że wczoraj w pubie przygrywał na akordeonie? Rozruszał cały Sagan Złota.

- Słyszałam. Cieszę się, że wychodzi do ludzi. Myślę, że to przez picie, a właściwie jego brak. Craic mówi, że wytrzeźwiał.

- Na pewno nie był pijany, kiedy siedzieliśmy razem w kaplicy. Nie pił też podczas lunchu.

- To dobrze. I już, osiołkowi lepiej. - Pogładziła go pod brodą, aż wydał z uciechy górną wargę. - Nic ci nie będzie, prawda? Wyjdiesz z tego, mój biedaczku.

- Dylan pożyczył mojego iPod'a, żeby wgrać mi muzykę, przy której dobrze będzie mi się pracowało.

- Nadal nie zaczęłaś?

- Nadal.

- Naprawdę, Ellen, napiszesz kiedyś choć słówko?

- Jestem trochę rozkojarzona.

- Nigdy niczego nie napiszesz, jeśli nie usiądziesz za biurkiem. Napisz cokolwiek, nieważne co, ale, na miłość boską, chociaż zacznij, bo inaczej będziesz się tak miotać do Bożego Narodzenia.

- Za dużo się dzieje - odpowiedziała dziewczyna z radosnym uśmiechem.

- Cóż, uważam, że to naprawdę wspaniale, że ty i Dylan się zaprzyjaźniliście. Nie wiem, co by na to powiedziała twoja matka, ale moim zdaniem można się z tego tylko cieszyć. To dobry człowiek, ma wielkie serce i niewątpliwą słabość do ciebie.

- Myślę, że lubi ze mną przebywać, bo przypominam mu jego Maddie.

- Och, na pewno. Przy tobie robi się szczęśliwy. Craic powiedział, że wczoraj wieczorem powrócił Dylan, którego znaleźliśmy. Grał piosenki i wszyscy śpiewali jak za dawnych lat.

- Zanim mama wyjechała.

- Tak. Po tym wszystko się zmieniło.

Peg odwiązała osiołka i nęcąc go marchewką, wyprowadziła z powrotem na pastwisko.

- Mogę cię o coś spytać, ciociu Peg?

- Oczywiście.

Peg podniosła miskę z płynem antyseptycznym i stanęła przed nią w wyczekującej pozie.

- Dylan zwykł mówić na mamę Ellen Olenska.

Peg patrzyła na nią obojętnie.

- Ellen Olenska? Dlaczego?

- To bohaterka powieści, którą teraz czytam, Wieku niewinności Edith Wharton.

- Aha.

Peg najwyraźniej nigdy nie słyszała o książce.

- A mama nazwała mnie Ellen.

- Och! - Peg westchnęła z zaskoczoną miną.

- To bardzo romantyczne, prawda? Otrzymałam imię, którym nazywał ją tylko Dylan.

-No cóż, to trochę zaskakujące - powiedziała zdumiona ciotka.

- Mama nadal myślała o Dylanie, kiedy się urodziłam. Może i stąd uciekła, ale jej serce pozostało w Connemarze.

- Na to wygląda - zgodziła się Peg, zadzierając podbródek. - Cóż, zawsze mogła wrócić - dorzuciła wyzywająco.

- A mogła?

- Jako mężatka? Oczywiście, że tak.

Peg zaniósła miskę do domu. Ellen poszła za nią.

- Może sobie nie ufała - ciągnęła temat.

- Co przez to rozumiesz?

Peg wylała płyn i odstawiła puste naczynie do zlewu.

- Nie była pewna, co mogłaby zrobić, gdyby znów spotkała Dylana. Może się bała, że zapragnęłaby do niego wrócić.

- Co za bzdura. Wiedziała, co robi, kiedy uciekała z tym angielskim lordem.

- A jeśli potem żałowała?

- Ellen, nie możesz tak mówić o swoim ojcu - upomniała ją ciotka stanowczym tonem.

- Nie mówię, że teraz nie są ze sobą szczęśliwi. Zastanawiam się tylko, czy mama nie żałowała tego, że uciekła, kiedy już się urodziłam. Bo jeśli nie, to mogła mi wybrać inne imię. Przecież jest ich tyle. Jakiegokolwiek inne oprócz Ellen. Nie widzisz tego? Nadal musiała czuć coś do Dylana.

- Pewnie po prostu podobało jej się to imię. - Peg niepewnie wzruszyła ramionami.

- A jednak myślę, że to coś więcej. Kiedyś ją o to zapytam.

Peg pokręciła głową.

- Cóż, prędzej ty niż ja, skarbie. Ale myślę, że powinnaś o tym wszystkim zapomnieć.

Obie kobiety jednak wiedziały, że to niemożliwe. Ellen za bardzo chciała poznać tę historię, by mogła się teraz od niej całkowicie odciąć.

- Czuję się Irlandką, ciociu Peg - stwierdziła. - Matka nie może zanegować tego, co mam w genach.

- Oczywiście, że nie, skarbie. A może teraz wstawimy wodę na herbatę?

Tego wieczoru Ellen leżała w łóżku, rozmawiając z Conorem. Wydawał się tak blisko, że kiedy zamykała oczy, mogła sobie wyobrazić, że leży tuż obok niej. Rozmawiali na tak wiele nieistotnych tematów, że kiedy się rozłączyli, nie mogła sobie przypomnieć żadnych szczegółów - czuła tylko przyjemne ciepło na skórze, jakby Conor muskał ją delikatnie czułymi słowami.

Kiedy zgasiła światło, jeszcze przez chwilę patrzyła na okrawek srebra, który przedostawał się do sypialni przez szparę między zasłonami, i myślała o matce. Wiele lat temu słuchała huku tych samych fal, tego samego wycia wiatru, tych samych nocnych dźwięków co ona teraz. Jak bardzo musiała się zmienić od czasów swej młodości, spędzonych tu, w Connemarze. Jak radykalnej metamorfozie uległo jej życie w chwili, gdy poślubiła Anthony'ego Trawtona i przeprowadziła się na Eaton Court pod numer 12. Czy dlatego z taką determinacją i zacięciem podjęła się tej transformacji, że gdzieś po drodze zgubiła siebie? Czy nieokiełznana i rozbrykana Maddie Byrne nadal tkwiła gdzieś w jej wnętrzu, czy może matka pozbyła się jej jednym zdecydowanym ruchem?

Komunikować się z owcami to jedno. Komunikować się z ludźmi, gdy nie są nawet w stanie wyczuć, że jestem w pobliżu, to zupełnie co innego. Zdaję sobie sprawę, że wszystkie istoty mają szósty zmysł, ale ludzi tak bardzo pochłoneły ich codzienne problemy, że stracili zdolność widzenia duchów. To wszystko kwestia koncentracji. Jeśli skupisz się mocno na swojej lewej ręce, szybko możesz zapomnieć o prawej, jak zresztą o każdej innej części ciała. Nawet więcej: można skoncentrować się na swojej ręce z taką uwagą, że będzie się tylko tą ręką. Ludzie tak bardzo skupiają się na swojej fizyczności, że zapominają, kim są naprawdę. Nie mam pojęcia, skąd o tym wszystkim wiem. Może stąd, że z powodu mojego dziwnego położenia patrzę na życie z innej perspektywy. Teraz zdaję sobie sprawę, jak krucho jest ludzkie ciało i że nasz umysł je przeżywa. Zastanawiam się, czy zwierzęta wiedzą o tym instynktownie.

Jestem więc zdeterminowana, by dać Idzie i Finbarowi znać, że tu jestem, że patrzę, jak rosną, świętuję ich sukcesy i otaczam miłością, kiedy coś idzie nie po ich myśli. Zawsze jestem przy swoich dzieciach, tak jak powinna być każda matka. Ćwiczyłam na owcach. Teraz sprawdzę, czy jestem w stanie zwrócić na siebie uwagę Idy i Finbara. Nie obchodzi mnie, jak długo to zajmie. I tak nie mam nic innego do roboty.

Wiem, że jestem w stanie szarpać za klamki i zdmuchiwać świece - skoro duchy to potrafią, czemu ze mną miałyby być inaczej? Jednak choć bardzo się staram, nie potrafię wpływać na przedmioty, nawet jeśli skoncentruję na nich całą swoją energię. Szybko się męczę, ale jestem przekonana, że nabiorę wprawy. Ostatecznie pogłaskałam tę owcę, prawda?

Patrzę na moją małą Idę, kiedy śpi. W świetle księżyca jej twarz wydaje się biała, a skóra przejrzysta jak płatek lilii. Oddycha spokojnie, a jej powieki drgają, gdy coś się jej śni. Gładzę palcami jej policzek, tak jak głaskałam owcę, choć niczego nie czuję. Próbuje sprawić, by się obudziła i zobaczyła mnie w półmroku, tak jak kiedyś Finbar, ale moja córka ani drgnie. Postanawiam więc obudzić synka - skoro już raz mnie widział, może zobaczyć mnie i po raz drugi. Jednak i on się nie porusza. Gdyby choć jedno z nich otworzyło oczy, na pewno byłabym w stanie się z nimi porozumieć.

Nie poddaję się. Jestem przekonana, że jeśli tylko będę ćwiczyć, sprawię, że poczują moją obecność. Wpatruję się w ich twarze, bez końca powtarzam im, że jestem z nimi i że nigdy nie odejdę. Jestem ich matką, a oni częścią mnie. Moja miłość łączy mnie z nimi niezniszczalną więzią.

Wraz z nadejściem świtu ogarniają mnie frustracja i rozpacz. Skoro teraz wiem, że mam możliwość porozumiewania się z nimi, moja porażka jeszcze bardziej rozdziera mi serce. Czuję się żałosna, bezsilna.

I wtedy, ku mojemu zaskoczeniu, Finbar oświadcza przy śniadaniu, że mu się śniłam. Conor wyjechał już do Connemary, więc w ich miejskim domu w Dublinie przebywają tylko Daphne i dzieci.

- Czy to był miły sen? - pyta Daphne.

- Siedziała przy moim łóżku i mówiła mi, że jest przy mnie i że nigdy nie odejdzie - mówi. Słyszając te słowa, czuję, jak coś się we mnie zmienia, i nagle wypełnia mnie światło. Czuję się lekka jak piórko, z radości kręci mi się w głowie.

- To rzeczywiście bardzo przyjemny sen - przyznaje Daphne. - Na pewno mamusia jest przy tobie, kochanie.

- Chciałabym, że mnie się coś takiego przyśniło mówi Ida ze smutną buzią.

- Kiedyś, gdy byłeś malutki, obudziłeś się i powiedziałaś, że widziałaś mamę siedzącą przy twoim łóżku Pamiętasz? - pyta Daphne Finbara. Chłopiec przecząco kręci głową i wgryza się w tosta posmarowanego dżemem. - Moim zdaniem wasza mama jest aniołem i opiekuje się wami.

- Ja też tak myślę - deklaruje Ida.

Ale Finbara to nie przekonuje.

- Nie jest wcale aniołem, nadal jest naszą mamą oznajmia stanowczo, i za to, że dobrze wie, kim jestem, kocham go jeszcze mocniej.

Moje całe istnienie wibruje szczęściem. Tańczę w kuchni. Nieważne, że nikt mnie nie widzi, bo wiem teraz, że jestem w stanie przebić się do snów mojego syna. Jeśli będę wytrwała, być może przedrę się i do snów Idy. Ciekawe, czy Conor jest aż tak pochłonięty Ellen, że będzie głuchy na moje subtelne próby dotarcia i do niego.

Z tą myślą kieruję uwagę na Ellen i wracam do domu Peg. Świt zalał wzgórze białym, płynnym światłem, a nad wyspą, na której umarłam, całymi stadami zbierają się mewy, bo po ostatnim odpływie w małych jeziorach pomiędzy skałami znajduje się mnóstwo jedzenia. Upiorna latarnia wyłania się spośród porannej mgły niczym statek powracający do portu po walce stoczonej z morzem i przypominam sobie chwilę, kiedy wspierałam się na jego maszt i rzuciłam się w dół na pokład, jakbym to nie była ja, a ktoś inny, opętany zazdrością, oszalały z miłości.

To właśnie dziś Conor przyjeżdża zobaczyć się z Ellen, nic więc dziwnego, że dziewczyna jest podekscytowana. Kiedy staje przed młodą kobietą, która chce mi wykraść serce mojego męża, opuszcza mnie wcześniejsza radość. Jeśli Ellen się wydaje, że jest w stanie go zdobyć, to się myli. Nie pozwolę na to. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by temu zapobiec. I nie cofnę się przed niczym.

Moje myśli stają się czarne, tracę więc to jasne uczucie, które wprawiało moją duszę w drżenie. Wibrowanie spowalnia, a wraz z nim świat wokół mnie pogrąża się w cieniu. Mogę jednak myśleć tylko o Conorze i moich dzieciach, o tym, jak pragnę, by wszystko było tak, jak przed moją śmiercią. Mogłabym się zmienić, jestem tego pewna. Nie powtórzyłabym już tych samych błędów. Gdybym tylko dostała drugą szansę. Gdybym mogła wytłumaczyć Conorowi, że wcale go nie opuściłam, że choć nie może mnie zobaczyć, nadal tu jestem i kocham go, będąc w innym wymiarze. Nie potrzebuje nikogo poza mną.

Śledzę Ellen jak mroczny, złowieszczy cień. Radość dodaje lekkości jej krokom, ale moje mściwe serce sprawia, że staję się gęsta jak mgła. Dziewczyna siada z książką w saloniku przy kominku, a pod jej stopami na dywaniku drzemie Bertie, pochrząkując przez sen. Włóczę się po domu Peg i niemal przyprawiam Kafkę o zawał. Spłoszony ptak wylatuje przez okno i nie wraca. Przepętniają mnie zazdrość i rozgoryczenie. Skupiam się na gałce w drzwiach, z całych sił starając się nią szarpnąć, nic się jednak nie dzieje oprócz tego, że tracę energię na tę daremną i frustrującą czynność.

Spodziewam się, że spotkam Ciarę, ale nigdzie jej nie ma. Pewnie poszła gdzieś z Peg. Czuję ulgę z tego powodu, bo byłoby mi wstyd, gdyby ta słodka i pełna miłości istotka zobaczyła mnie w takim stanie - kipiącą nienawiścią.

Kiedy przed dom podjeżdża Conor, Ellen stoi przy kuchennym oknie. Czekala tam od ponad godziny. Przez całą godzinę przymierzała wszystkie swoje ubrania, choć z Londynu nie przywiozła ich zbyt dużo. Zdecydowała się w końcu na sięgającą do kolan sukienkę w kwiatki w hipisowskim stylu, którą rozpięła nieco przy dekolcie, i ciasny rozpinany sweterek z cyrankowego kaszmiru. Ma długie, szczupłe nogi i smukłe kostki, które eksponuje tym strojem jako jeden ze swoich atutów, choć wkłada też czarne rajstopy i baleriny z fioletowego aksamitu. Gdybym jej dobrze życzyła, odradziłabym jej te buty. Jej włosy, długie i błyszczące, opadają kaskadami na ramiona. Conorowi podobają się kobiety z bujnymi włosami. Kiedyś uwielbiał moje: rude jak u lisa, których jedwabiste kosmyki prześlizgiwały się mu przez palce. Myślę, że jeszcze je wspomina, kiedy zagłębia palce we włosach Ellen.

Z obrzydzeniem patrzę, jak dziewczyna otwiera drzwi i czeka przez chwilę, aż silnik umilknie i z samochodu wysiądzie Conor. Ona uśmiecha się szeroko, ale

widzę, że całe jej ciało drży, jakby była koniem w bloku startowym. Adrenalina sprawia, że jej policzki płoną, aż musi głęboko wciągnąć powietrze w płuca, żeby się uspokoić. Widzę białe zęby Conora przez szybę samochodu. Po pięciu latach bez uśmiechu zdaje się szybko nadrabiać zaległości. Otwiera drzwi auta i wysiada. Ośmielona jego promienną miną Ellen podbiega i rzuca mu się w ramiona. Conor obejmuje ją mocno i podnosi z ziemi, a stopy dziewczyny w maleńkich bucikach bujają się jak merdający ogon wesołego psa. Conor wtula twarz w szyję Ellen i obraca dziewczyną dookoła. Po chwili jej stopy lądują na ziemi. Ellen i Conor całują się długo i namiętnie. Tym razem ona nie jest już zaskoczona jego żarliwością. Przyciska do Conora swoje ciało i obejmuje go w pasie pod kurtką, chłonąc jego pożądanie i równie mocno je odwzajemniając.

- Czyli jednak za mną tęskniłaś. - Conor się śmieje, ujmując jej twarz w dłonie i patrząc na nią z czułością.

- Tęskniłam - odpowiada.

- To dobrze. Ja za tobą też. Tych ostatnich kilka dni tak bardzo mi się dłużyło, że myślałem, że nie doczekam się dzisiejszego spotkania. A teraz wsiadaj do samochodu. Nie chcę już marnować ani chwili dłużej.

Jadą do Reedmace House, cały czas trzymając się za ręce na drążku zmiany biegów. Conor ledwie jest w stanie oderwać od niej wzrok, a ona powtarza mu nieustannie, by patrzył na drogę. Atmosfera wokół nich jest pełna napięcia, jakby przepływały między nimi fale elektryczne. Rozmawiają i się śmieją. Przepętnieni pożądaniem, niecierpliwi, ledwie są w stanie nad sobą panować. Kiedy stają pod domem, Conor wyskakuje z samochodu i otwiera Ellen drzwi. Bierze ją za rękę i biegiem ciągnie za sobą na górę. Dziewczyna jest krok za nim i śmieje się z jego entuzjazmu. Po chwili jednak przestaje jej być tak wesoło. Conor zrywa z niej ubrania jak płatki kwiatu i całuje jej ciało.

Nie mogę już dłużej na to patrzeć. To uwłacza mojej godności. Uciekam do ogrodu i przemierzam go tam i z powrotem, krążąc pomiędzy jabłonkami i wymachując rękami w stronę ptaków, aby je spłoszyć. Szkoda, że nie mogę w ten sposób wypłoszyć Ellen.

Dotyk porośniętego zarostem policzka na jej szyi bardzo się różnił od dotyku jego brody. Ellen zadrżała i wydała z siebie westchnienie rozkoszy, czując na skórze falę ciepła, która rozeszła się od jej głowy po pępek. Kiedy zamknęła oczy i uniosła podbródek, dotknęła policzkiem jego włosów, pozwalając, by pieścił jej szyję. Conor, niczym oswojony lew, bawił się jej ciałem, sprawiając, że dziewczynie miękły kolana.

- Twoja skóra tak wspaniale smakuje - powiedział, odrywając się od niej na chwilę. - Chcę smakować każdy skrawek twojego ciała.

Uśmiechnął się do niej, jakby zasiadał do uczyty. Ściągnął z niej sweterek, po czym rzucił go na podłogę. Następnie powoli rozpiął sukienkę i zsunął ją z ramion dziewczyny. Zatrzymała się na biodrach, odsłaniając nagi brzuch Ellen i zmysłowy koronkowy stanik. Conor uśmiechnął się z zachwytem, badając oczami i dłońmi wydatne piersi kochanki, zatrzymując się na wgłębieniu tuż nad koronką, gdzie skóra była ciepła i wilgotna. Jej piersi unosiły się z każdym oddechem, który wkrótce stał się sapliwy. Oszołomiona jego zmysłowym dotykiem i pobudzona jak nigdy wcześniej, Ellen mogła jedynie słuchać głosu instynktu, bo żadne z wcześniejszych doświadczeń jej na to nie przygotowało.

Conor przycisnął usta do delikatnego miejsca pod jej uchem. Śledził palcami kształt jej obojczyków i ramion, aż dotarł do pleców, gdzie rozprawił się z zapięciem stanika, odsłaniając piersi. Dziewczyna jęknęła zmysłowo i zamknęła oczy. Słyszała jego oddech, płytki i ciężki, dobiegający zza jej ucha, oraz bicie własnego serca i pulsującą w skroniach krew. Wtedy Conor zahaczył kciukami o brzeg jej fig i sukienki i jednym zwinnym ruchem ściągnął z niej resztę ubrania. Ellen stała przed nim naga i pozbawiona wstydu. Pożądanie, które czuła, wypaliło wszelkie ślady jej wcześniejszej powściągliwości.

- Teraz jesteś cała moja - zaśmiał się Conor, biorąc ją w objęcia i zanosząc do łóżka.

Zaśmiała się.

- Z przyjemnością, Rhettie Butlerze - odpowiedziała, myśląc o tym, czy nie jest zbyt ciężka.

- Cała przyjemność po mojej stronie, Scarlett.

Położył ją na łóżku i ukląkł nad nią, po czym zaczął rozpinać koszulę, odsłaniając swoje wyrzeźbione, atletyczne ciało. Może i przez ostatnie pięć lat Conor zarósł krnąbrną czupryną i zapuścił dziką brodę, nie zaniedbał jednak

swojego ciała. Rzucił koszulę na dywan i rozpiął spodnie.

- Jesteś bardzo atrakcyjnym mężczyzną, Conorze Macauslandzie - powiedziała, wodząc wzrokiem po jego muskularnym brzuchu.

- Nieźle jak na czterdziestodwulatka - odrzekł.

- Naprawdę nieźle. Chodź tu i pozwól mi się przyjrzeć z bliska.

Już prawie położył się na Ellen, ale w ostatniej chwili zawisł nad nią, podpierając się rękami.

- A teraz ja lepiej przyjrę się tobie - powiedział i zanim zdążyła wydusić z siebie słówko, znów całował ją mocno i namiętnie, w sposób, który wcześniej wywołał u niej niepokój.

Sycił się nią centymetr po centymetrze, robiąc to tak powoli, że nie mogąc wytrzymać tej tortury, zaczęła go ponaglać.

- Po co ten pośpiech? Mamy całe popołudnie - mruknął, całując ją pod pępkiem.

- Nie mogę znieść tego napięcia - jęknęła, czując, jak nagły dreszcz przeszywa jej podbrzusze.

- Dopiero zacząłem - droczył się.

Jego oddech na skórze Ellen wydawał się gorący, kiedy rozsunął jej nogi i przejechał językiem po wewnętrznej części jej uda. Gdy dobrnął do jego szczytu, wyciągnęła za siebie ręce i odchyliła głowę, zapominając się w tej najwspanialszej ze zmysłowych przygód jej życia.

Jakiś czas później leżeli spleceni ze sobą w uścisku, zmęczeni i oszołomieni, ale usatysfakcjonowani, jak gdyby ich akt miłości uleczył wszystkie bolączki świata. Nie istniało nic innego, tylko ich dwoje w domu pośród dzikich wzgórz Connemary, choć równie dobrze mogliby wznosić się na chmurze wysoko ponad troskami codziennego życia, bo nic nie wydawało się teraz istotne poza ich wzajemnym pragnieniem. Błądzili dłońmi po swoich ciałach, nadal czując na skórze fale przyjemności, które całkiem ich opanowały, i szeptali sobie do uszu czułe słówka.

Ellen nigdy wcześniej nie miała do czynienia z prawdziwym mężczyzną, bo William był w porównaniu z Conorem tylko chłopcem. W Conorze wszystko było niebywale męskie, od ogorzałej twarzy po muskularne ciało. W dodatku w jego oczach kryło się coś mrocznego i niepojętego, co przyciągało ją jak płomień przyciąga dłoń ciekawskiego dziecka. Wiedziała, że mógłby ją pokochać, ale była też świadoma, że nigdy nie będzie do niej należał i że ona nigdy go nie oswoi. Był zbyt dojrzały, by się zmienić, i zbyt długo żył sam.

Wiedziała, że powinna powiedzieć mu o Williamie, ale szybko sobie wytłumaczyła, że przyznanie się do swoich zaręczyn przyda im znaczenia, którego już przecież nie miały. Od chwili, gdy poznała Conora, wiedziała w głębi serca, że

nawet gdyby nic z tego nie wyszło, nie może już wrócić do Williama. Nie po tym, ile stracił w porównaniu z Macauslandem. Ellen w końcu zdała sobie sprawę, że ma drugie, nietypowe oblicze, którego William nigdy nie zrozumie i z którego powodu pewnego dnia zacząłby ją pewnie gardzić. Dopiero fascynacja Conorem pozwoliła jej dostrzec w sobie tę część jej natury - odbijała się ona w jego obliczu. Conor nie tylko ściągnął z niej ubranie - odarł ją też z pozorów. Wiedziała w końcu, kim jest i czego chce.

Postanowiła w duchu pożegnać się z Williamem w sposób zdecydowany, ale pełen życzliwości. Spodziewała się, że konsekwencje tej decyzji będą ogromne, ale dzięki Conorowi i Byrne'om da sobie radę. Była przecież wystarczająco silna. Podparła się na łokciu i przejechała palcem po jego twarzy. Odwrócił się do niej i zmarszczył brew.

- O czym myślisz, Sokratesie? - zapytał.

Pogrążyła się w jego szafirowym spojrzeniu i cicho odpowiedziała:

- O tobie.

- A konkretnie?

- O tym, jak znalazłam cię na wzgórzach.

- Poprawka: to ja znalazłem ciebie i gdyby tak się nie stało, to pewnie nadal nie wróciłabyś do domu.

Zaśmiała się głośno.

- Ale to ja na ciebie wpadłam.

- I prawie zrzuciłaś mnie z konia.

- Och, masz zbyt dużą wprawę, żeby do tego dopuścić.

Pogładził jej policzek i westchnął.

- Wiedziałem, że jesteś wyjątkowa, mimo że wyglądałaś koszmarnie.

- Wcale nie wiedziałeś.

- Gdybym nie wiedział, pokazałbym ci, którądy iść, i zostawił na pastwę losu.

- Ani odrobinę w to nie wierzę. Pod tą szorstką zewnętrzną powłoką jesteś staromodnym dżentelmenem.

W jego oczach pojawiła się czułość.

- Bo oczy miałaś pełne łez, buzię czerwoną i wyglądałaś na taką zagubioną i przestraszoną. Domyśliłem się, że nie bez powodu stanęłaś na mojej drodze.

- A jaki to niby miałby być powód?

- Jesteś promykiem słońca w moim mrocznym świecie.

Uniosła brwi.

- Cóż za odmiana.

- Za to prawdziwa.

- Jesteś kochany, Conorze, ale przecież żaden ze mnie aniołek.

- Anioły pojawiają się na ziemi w różnych przebraniach. - Błysnął szelmowskim uśmiechem, a w jego oczach na powrót pojawiła się pożądana iskra.
- Ale robię, co w mojej mocy, żeby ściągnąć cię z nieba na mój poziom.

Było już ciemno, kiedy Conor odwiózł ją do Peg. Wcześniej posilili się zapiekanką pasterską, którą Meg zostawiła w lodówce, a Conor otworzył butelkę wina. Później udał się do stajni, by przyprowadzić Magnuma, którego Robert zabrał na długi spacer po wzgórzach. Pies położył się na podłodze przed łóżkiem, gdy jego pan z nową dziewczyną baraszkowali w pościeli. Conor poprosił Ellen, żeby została na noc, i choć bardzo tego chciała, wiedziała, że Peg by tego nie pochwaliła. Dziewczyna nie chciała też, aby następnego ranka jej wujkowie, zawitawszy na nieplanowane śniadanie, odkryli, że nie wróciła do domu.

Ruszyli więc w drogę powrotną, trzymając się za ręce na drążku zmiany biegów.

- Będę się dziś czuł samotny w swoim łóżku - powiedział, przelączając światła na krótkie, kiedy zza zakrętu wyłoniło się inne auto. Popatrzył na nią i jego oczy momentalnie zabłystry w oślepiającym świetle. Ellen pomyślała, że Conor jest niebywale przystojny, a ona ma wielkie szczęście, że na niego trafiła.

- Chciałabym, żebyś przy mnie przestał się czuć samotny - odrzekła cicho. - I chciałabym budzić się przy tobie każdego ranka.

- Zaproszenie jest nadal aktualne. W każdej chwili mogę zawrócić samochód.

- Nie, nie mogę tego zrobić Peg. To po prostu nie w porządku.

Zaśmiał się pod nosem.

- Nie jesteś już małą dziewczynką, Ellen.

- W domu mojej ciotki jestem.

- No dobrze, nie będę cię namawiał. Ale przyjadę po ciebie jutro i spędzimy razem cały dzień.

- Chętnie.

- Skończyłaś czytać Wiek niewinności?

- Jeszcze nie.

- Poczekam więc, aż skończysz, zanim obejrzymy rano film.

- To taka wspaniała książka. Przenosi mnie w zupełnie inny świat. Fascynujący.

Ścisnęła jego dłoń.

- Ten konkretny egzemplarz należał do mojej matki. Jest w nim wypisana dedykacja od Dylana, która brzmi: Mojej Ellen Olenskiej. Zawsze pozostań dzika i ciekawa świata, a Twój duch nieskrępowany. I niech Twe serce zawsze będzie

moje. Dylan. Czerwiec 1977.

Conor uniósł brew.

- Dylan zwracał się do niej Ellen Olenska. Bardzo ciekawe.

- Poszłam z nim do... - miała mu już powiedzieć o spacerze do kapliczki, ale w porę przypomniała sobie, że tam pochowana jest żona Conor a - ...do pubu i zjedliśmy tam razem lunch. Powiedział mi, że dał tę książkę mojej matce. Nie spodziewałam się, że odnajdę ją w bibliotece Peg. Byłam zdziwiona, kiedy mi powiedział, że moje imię to młodzieńcze przydomko matki.

Conor przez chwilę patrzył na nią zamyślony, zanim znów zerknął na drogę.

- I co ci to mówi?

- Że nadal go kochała, kiedy się urodziłam.

Pokiwał głową.

- Tak, ale czy nie uważasz, że...

Ellen przerwała mu, pochłonięta własnymi domysłami:

- Zastanawiam się, czy żałowała ucieczki z moim ojcem. Może nadal kochała Dylana?

- Gdyby go już nie kochała, to dostałabyś na imię Elizabeth albo Alexandra.

- To może uciekła wbrew swojej woli, jakby to było jedyne wyjście. O Boże, a jeśli ona zawsze go kochała i dlatego trzymała swoje dzieciństwo w Irlandii w sekrecie, bo nie zniosłaby nawet rozmowy o tym miejscu? To mogło być dla niej zbyt bolesne.

Uśmiechnął się do niej pobłaźliwie.

- Jesteś niepoprawną romantyczką, prawda, Ellen?

- Tak, ale ta historia sama w sobie jest romantyczna, jeśli spojrzysz na nią z tej perspektywy. Możesz mi wierzyć, moja matka to najmniej romantyczna osoba na świecie, a przynajmniej tak o niej myślałam. Nabieram przekonania, że w ogóle jej nie znam. Wyjechała, kiedy była młoda. Może życie, które wybrała, sprawiło, że stała się taka nieczuła. Kobieta, którą opisał Dylan, z pewnością nie przypomina kobiety, którą znam ja.

- Będziesz musiała ją o to wszystko wypytać.

- Nie mogłabym. Za żadne skarby - odpowiedziała, kręcąc głową i odwracając się do okna.

- W takim razie możesz nigdy się nie dowiedzieć.

- Może niektóre rzeczy najlepiej zostawić bez zmian - powiedziała cicho.

Poczuła nagle przeszywający ją chłód. Conor miał rację to było znacznie bardziej skomplikowane, niż sobie wyobrażała.

Wyczuwając jej obawy, Conor uściśnął jej dłoń.

- Masz rację, Ellen, lepiej nie wiedzieć.

Kiedy podjeżdżali pod dom, zauważyli na podjeździe jakiś samochód. Nie należał do żadnego z wujków Ellen.

- Może to Ronan - powiedziała.

Conor zacisnął szczęki.

- To nie będę wstępował - odparł, parkując obok.

Przygryzła dolną wargę.

- Co mam im powiedzieć?

- Że najlepszą część dnia spędziłaś w łóżku ze mną.

Uśmiechnął się do niej figlarnie.

- Jesteś okropny, Conorze. Zabiliby mnie, gdybym powiedziała coś takiego.

- Nie będziesz musiała. Zorientują się po twojej twarzy.

- A co jest z nią nie tak? - Ellen przejechała palcami po skórze. - Dostałam przez ciebie wysypki?

- Nie jestem koniem!

- To prawda, ale masz kłujący zarost - odparła, śmiejąc się.

- Mówię o tym, jak promieniejesz. Obawiam się że twoja mina zdradza wszystkie wcześniejsze bezwstydnne postępy.

Ellen zalotnie klepnęła jego dłoń.

- Ale mi dokuczasz!

- Tylko odrobinę. Twoja reakcja jest bezcenna.

- Czyli nie ma wysypki, tak?

- Przynajmniej ja nic nie widzę. Ale jest ciemno. To jak? Z brodą czy bez brody? - zapytał, w oczywisty sposób starając się odwlec rozstanie.

- Podobaś mi się i tak, i tak. Ale gdybym miała wybierać, powiedziałabym, że bez brody. Widzę wtedy większą część twojej twarzy. Jesteś bardzo przystojny. Po co to ukrywać?

Błysnął w uśmiechu białymi zębami.

- Przyjadę po ciebie rano.

Położył dłoń na jej karku i nachylił się, by ją pocałować. Jego usta, pełne i miękkie, były rozchylone w oczekiwaniu głębokiego pocałunku. Ellen zamknęła oczy, by móc się nim delektować, zapominając o niepokoju, jaki wywoływały u niej światła domu, skierowane na nich jak reflektory na aktorów na scenie. Kiedy się od niej oderwał, długo jeszcze utrzymywał jej spojrzenie. Po chwili uśmiechnął się do niej z niedowierzaniem, jakby i on był zadziwiony, że odnaleźli siebie nawzajem.

- Śpij dobrze, Ellen.

- Na pewno. Przez ciebie padam z nóg.

Zachichotała nieśmiało, nie potrafiąc wytrzymać intensywności jego spojrzenia bez zaczerwienienia się.

Delikatnie uniósł jej podbródek i znów ją pocałował.

- Chyba już za późno na nieśmiałość.
- Wiem, odarteś mnie z wszelkiej skromności.
- Tak się cieszę. Gdybym przeoczył choć kawałek, byłby wstyd.
- Nie, rozprawiłeś się z nią w całości.

Oboje się roześmiali. Conor znów ją pocałował. W końcu Ellen wysiadła z samochodu, co wymagało niemałej siły woli.

Kiedy tylne światła auta zniknęły w ciemności, Ellen spojrzała na rozpościerające się przed nią morze. Mająca sylwetka latarni wyróżniała się na tle nieba. Woda pobłyskiwała, jakby spadły do niej gwiazdy, które rozrzuciły fale, a przez mglistą aurę przebijał się profil półksiężyca. Ellen się zastanawiała, czy pytania dotyczące śmierci Caitlin kiedykolwiek doczekają się odpowiedzi, czy może Conor najzwyczajniej wymaże całe to zdarzenie ze swojego życia i już nigdy więcej o nim nie wspomni. Jego zdaniem nie istniała żadna tajemnica, był tylko tragiczny wypadek, z którego miejscowi z nudów stworzyli mroczną zagadkę. Ellen była pewna, że nigdy nie będzie mogła go o to zapytać. Upewniał ją w tym mrok w jego oczach. Mogła sobie wyobrazić, jaki się robi porywczy, kiedy coś go rozżłości. Twarz, na której tak łatwo gościło rozbawienie, mogła równie szybko skamienieć w gniewie. Była o tym przekonana. A mimo to ciekawość nie dawała jej spokoju. Miała nadzieję, że z czasem Conor sam jej wszystko wyzna.

Kiedy weszła do domu, zastała Peg przemierzającą kuchnię tam i z powrotem. Ronan i Oswald, usadowieni za stołem, próbowali coś jej wyjaśnić. Kiedy Ellen pojawiła się w progu, wszyscy utkwili w niej wzrok. Dziewczyna od razu zauważyła cierpienie ciotki. Jej twarz była czerwona, a oczy błyszczały od łez.

- Co się stało? - zapytała, ignorując Pana Borsuka, który poczłapał w jej stronę, żeby wywęchać zapach Magnuma na jej nogach.

- Kafka zniknął - oznajmił Oswald smętnym głosem.

Ellen zerknęła z przerażeniem na krzesło kawki.

- Od frunął?

- Nie wiemy, co się stało - odrzekł Ronan. - Często odlatuje...

- Ale zawsze wraca - z żalem dopowiedziała Peg. - Nie rozumiem.

- Czy mógł go zaatakować jakiś drapieżny ptak? - zasugerowała Ellen, ale od razu tego pożałowała.

Ciotka zbladła, po czym otarła oczy chusteczką.

- Jezu, to dopiero okrutna myśl, Ellen.

- Nie chciałam cię zdenerwować.

- Wiem, skarbie. Oby wrócił rano.

- Czy kiedykolwiek spędził noc poza domem?

- Nie, nigdy. Zamartwiam się na śmierć. Nie sądzę, bym zmrużyła dziś oczy.

Dziewczyna zauważyła, że wszyscy piją. Domyślała się, że Peg rozpaczliwie pragnęła zapalić. W tych okolicznościach Oswald nie miałby pewnie nic przeciwko temu. Odkąd Ellen poznała Conora, jej ciało w ogóle nie łaknęło papierosów. Pewnie ciągły przyptyw adrenaliny maskował jej nikotynowy głód.

- Najlepiej będzie, jeśli położysz się do łóżka, mamó - powiedział Ronan z czułością. - Chcesz, żebym został na noc?

- Mam tu Ellen. Nic mi nie będzie. Nie martw się.

- A ja jestem tuż obok, gdybyś potrzebowała towarzystwa - dodał Oswald. - Wiesz, że nie śpiam najlepiej, więc możesz śmiało zapukać o każdej porze. Zawsze jestem chętny na późną kolację albo partyjkę szachów.

- Nie ma chyba powodu, żeby się nie kłaść. Kafka nie wróci już dziś do domu. Miejmy nadzieję, że znalazł sobie jakieś ciepłe lokum na tę noc. - Po poszarzałych policzkach Peg popłynęły łzy. Wytarła twarz chusteczką. - To takie głupie przejmować się jakimś ptakiem.

Oswald patrzył na nią ze współczuciem.

- Nie, Peg. To wcale nie jest głupie - powiedział, a jego głos, życzliwy i łagodny, sprawił, że Ellen dostała gęsiej skórki. Myślała, że może doda, iż zwierzęta Peg są jak jej dzieci. Słowa jednak wisiały w powietrzu niewypowiedziane. Oswald nie musiał tego mówić. Wszyscy to czuli, a Peg dobrze o tym wiedziała - w końcu dlatego płakała.

- Straciłam moją córeczkę, Ellen - powiedziała nagle i spojrzała na nich zaskoczona, jakby te słowa wypowiedział kto inny.

Oswald i Ronan patrzyli na nią z rozdziawionymi ustami, nie wiedząc, jak zareagować. Czuli się tak, jakby po wielu latach zawalił się wielki mur, który bronił i Peg przed atakiem niezmiernego bólu. Ciotka głęboko wciągnęła powietrze w płuca, co przypominało raczej skowyt zranionego zwierzęcia.

- Och, straciłam ją - zawodziła. Podbródek trząsał się jej jak galareta. - Straciłam ją... prawda? Nie wiem, jak... moje dziecko... moja córeczka Ciara.

Ellen zakryła dłonią usta, a oczy wypełniły się jej łzami na widok straszliwej rozpaczyci ciotki.

Już po chwili Oswald obejmował jej skuloną postać, przytulając ją mocno, by przestała się trząść, cały czas mówiąc do niej uspokajającym tonem:

- Już dobrze, moja droga. Nic ci nie będzie. To dobrze, bardzo dobrze. Lepiej to z siebie wyrzucić niż dusić w środku.

Ronan wstał z miejsca i niezręcznie stanął przy nich. Ellen widziała, że chłopak chce pocieszyć matkę, ale nie wie jak. Ona sama czuła się podobnie bezsilna. Ich spojrzenia spotkały się na chwilę. W tym momencie poczuła więź z

jedynym członkiem rodziny, który do tej pory był jej całkiem obojętny. Posłała mu słaby, pełen współczucia uśmiech. Ronan wzruszył ramionami i bezradnie westchnął.

- Śmiało, droga Peg, wypłacz to całe nieszczęście - mówił Oswald.

Szloch cichł i drgawki powoli ustawały. Oswald miał rację, lepiej było wyrzucić ten żal, niż go w sobie dusić. Ronan nieznacznie uśmiechnął się do Ellen.

W końcu Oswald posadził Peg na krześle. Upiła duży łyk czystego Jamesona i wytarła oczy trzęsącymi się dłońmi. Wszyscy usiedli przy stole, czekając, aż Peg coś powie. Długo milczała, ale kiedy w końcu otworzyła usta, wszystko wylało się z niej w długim, rozdzierającym serce monologu.

Nie przerywali jej, kiedy mówiła. Ciszę w pomieszczeniu zakłócało jedynie głośne pochrapywanie Bertiego. Opowiadała o wydarzeniach, jakie rozegrały się od chwili, kiedy zorientowała się, że Ciara zaginęła, aż do momentu, kiedy odnaleziono ją z twarzą w wodzie. Opowiedzenie o tym było oczyszczającym doświadczeniem, choć grającym na wszystkich emocjach. Peg podarła swoją chusteczkę na strzępy, nieświadoma kompulsywnych ruchów własnych palców. Oswald uspokajająco położył na nich dłoń. Wtedy Peg rozluźniła ramiona i głęboko, powoli wciągnęła powietrze w płuca.

- Co wieczór się za nią modlę - mówiła dalej, już spokojniejsza. - Zapalam świeczkę, klękam przy łóżku i modlę się o to, żeby anioły miały ją w opiece. Modlę się o spokój jej duszy. Modlę się też, żeby nigdy mnie nie opuściła, bo nie mogłabym bez niej żyć. - Jej rozgorączkowane spojrzenie znów przysłoniły łzy. - Nie jesteś szalony, Oswaldzie, ale to nie skrzaty czy wróżki zdmuchują świece i przenoszą różne rzeczy z miejsca na miejsce.

- Wiem.

Oswald uśmiechnął się czule.

- Wiesz?

- Oczywiście, moja droga Peg.

Ciotka spazmatycznie zaczerpnęła powietrza.

- Tak bardzo chcę, żeby to była ona, że aż całe ciało boli mnie z tęsknoty. Czasem wydaje mi się, że tracę rozum, kiedy słyszę różne dziwne dźwięki.

- Ona nadal jest z tobą jest, Peg - oznajmił Oswald, i pewność w jego głosie była dla ciotki jak ciepły koc zimną nocą.

- Tak uważasz, Oswaldzie? Naprawdę?

- Jestem o tym przekonany - odpowiedział. Szczerość malująca się na jego twarzy była tego potwierdzeniem.

Ellen postanowiła, że to dobry moment, by powiedzieć ciotce o świece. Peg była zdumiona.

- Czyli to nie tylko ja? - Uśmiechnęła się nieśmiało. - Wydawało mi się, że tracę rozum.

- Myślisz, że ona próbuje ci powiedzieć, że nadal jest przy tobie? - zapytała Ellen.

- Nie wiem. - Peg patrzyła na Oswalda, szukając odpowiedzi.

- Oczywiście, że tak - odrzekł. - I nie opuści cię, dopóki nie będziesz gotowa, żeby pozwolić jej odejść.

- Skąd to wiesz?

- Zawsze wiedziałem.

- Zawsze?

- Zawsze miałem nader rozwinięty szósty zmysł - powiedział nonszalancko.

- A widzisz duchy?

- Och, na pewno widziałem je jako dziecko, teraz już nie. Za to wyczuwam różne rzeczy. - Uśmiechnął się do niej. - Skrzaty i wróżki.

Peg odwzajemniła jego uśmiech.

- Tylko że to nie są skrzaty ani wróżki, prawda?

Oswald znów uśmiechnął się do niej jak do dziecka, które odkryło jakiś sekret.

- Nie, staruszeko, nie są.

Peg westchnęła i spojrzała na Ronana, który w ciszy przysłuchiwał się każdemu słowu matki.

- Dobrze, że tu jesteś, Ronanie. Powinam porozmawiać ze wszystkim moimi synami o waszej siostrze. Powinam się z wami nią podzielić. Bądź co bądź ona należała również i do was.

Ronan pokiwał głową. Jego twarz była napięta, jakby z trudem starał się kontrolować emocje.

- Od czasu do czasu myślę o niej - powiedział cicho. - Była pogodnym dzieckiem, prawda?

- O tak - odparła Peg. - Miała radosną, świetlistą duszę aniołka.

Rozmawiali tak aż do późnej nocy. W końcu jednak powieki Peg zaczęły robić się ciężkie ze zmęczenia. Oswald i Ronan życzyli jej dobrej nocy, zapewniając, że obaj pomodlą się o bezpieczny powrót Kafki o świcie.

Ellen już miała zaprowadzić ciotkę na górę, kiedy Peg zatrzymała się w progu. Odwróciła się do siostrzenicy i chwyciła ją za ramię.

- Zapalmy sobie, zanim pójdziemy spać, dobrze? Skoro chłopcy już sobie poszli.

- Nie jesteś zbyt zmęczona?

- Nie, skarbie. Miałam ochotę zapalić przez całą wieczór.

- W takim razie dotrzymam ci towarzystwa - odpowiedziała Ellen, wracając do kuchni po torebkę ciotki. W obliczu zniknięcia Kafki i niespodziewanego wyznania Peg wszyscy zapomnieli zapytać, gdzie ona się podziewała. Dziewczyna była z tego bardzo zadowolona.

- Odkąd poznałam Conora, nie zapaliłam ani jednego papierosa - oznajmiła, otwierając paczkę.

- Nie powinnaś więc chyba palić, prawda? - odparła Peg.

- Jeden nie zaszkodzi.

Ciotka zabrała jej papierosy.

- Nie, Ellen, nie mam zamiaru ci na to pozwolić. Byłaś silna. Nie chcę być powodem, dla którego złamiesz swoje postanowienie.

- Chyba masz rację. Będę grzeczna.

- Jeśli zaś o mnie chodzi...

- Dziś zasługujesz na tyle papierosów, na ile tylko będziesz miała ochotę - zapewniła ją Ellen.

Peg włożyła papieros między wargi i go zapaliła. Zaciągała się głęboko i wypuszczała dym długimi, leniwymi wydechami, pozwalając rozluźnionym ramionom opaść z ulgą.

- Przepraszam, że nigdy nie wspomniałam ci o Ciarze - powiedziała.

- Nic się nie stało. Alanna mi to wyjawiała.

- Rozumiesz więc, dlaczego nie chodzę do pubu.

- Ale z pewnością ludzie już o tobie nie plotkują.

- Zbyt długo nie pokazywałam się wśród ludzi. Gdybym znów pojawiła się w pubie, zaczęliby od nowa. Nie chcę tego na siebie ściągać. Po śmierci Ciary pokłóciłam się z księdzem Michaeliem. Widziałam ją, widziałam moją córeczkę w noc po jej utonięciu, i to bardzo wyraźnie. Stała w mojej sypialni i uśmiechała się do mnie w taki mądry, wyrozumiały sposób. Źle zrobiłam. Powiedziałam o tym księdzu Michaelowi, a on stwierdził, że sobie to zmyśliłam. Że to był wytwór mojego pogrążonego w żalobie umysłu. Ten głupiec nie wierzy w podobne historie. Nadęty bufon! Przez niego zwątpiłam w to, co widziałam. Przestałam więc chodzić do kościoła. Przestałam chodzić do pubu. Wycofałam się. Jeśli teraz wychyłam głowę, wszyscy zastanawiają się dlaczego. Nie, nie chcę utrudniać sobie życia.

Ellen zastanawiała się, czy ta obronna postawa wynika lęku ciotki przed plotkami, czy przed tym, że ktoś może okazać jej współczucie.

Peg zgasiła papierosa i uśmiechnęła się do siostrzenicy.

- Przyjemnie znowu mieć w domu jakąś dziewczynę - powiedziała cicho. - Jesteś już wprawdzie dorosła, ale dla mnie pozostajesz moją małą siostrzenicą.

Cieszę się, że przyjechałaś.

Ellen położyła dłoń na jej ramieniu.

- Miło mi to słyszeć, ciociu Peg. Ja też się cieszę, że tu jestem.

- Idziemy spać?

- Najwyższa pora.

Ciotka się uśmiechnęła.

- Nie myśl, że nie zauważyłam, jaką masz rozpromienioną buzię.

Zalękniona Ellen dotknęła twarzy.

- Jak to: rozpromienioną?

Ciotka pokręciła głową.

- Dziecko, kogo ty próbujesz nabrać?

- Chyba nikogo - odparła Ellen z uśmiechem.

- Miło spędziłaś popołudnie?

- O tak - stwierdziła dziewczyna, kiwając głową.

- To dobrze. - Peg sztywno poniosła się z krzesła. A teraz do łóżka.

Pomodlisz się za Kafkę? Im więcej modlitw, tym lepiej.

- Oczywiście.

- Dziękuję ci, kochanie.

Ellen poszła za ciotką na górę. Rozstały się w korytarzu.

- On wróci, ciociu Peg - powiedziała dziewczyna, choć sama w to nie wierzyła.

Peg pokiwała głową i uśmiechnęła się smutno, a po chwili zamknęła za sobą drzwi sypialni. Ellen wyobraziła sobie, jak modli się na kolanach przed świeczką. Zastanawiała się, czy to naprawdę Ciara zdmuchuje świece, by dać matce znać, że nadal tu jest.

Conor się zakochał, a ja nie potrafię tego znieść. Obserwuję, jak coraz bardziej się ode mnie oddala, i nic nie mogę na to poradzić. Pogwizduje sobie, jakby nie miał żadnych zmartwień, jak gdyby pięć lat temu w strasliwym pożarze wcale nie stracił ukochanej żony. Chodzi dziarskim krokiem, a kąciki ust ma zawsze podniesione, jakby ledwie był w stanie opanować radość. Czuję, jak moja wściekłość rośnie i otacza mnie gęstą, szarą mgłą. Muszę coś zrobić, by Conor znów zaczął żyć wyłącznie żalem. Wolałam, kiedy miał brodę i galopował konno po plaży, przeklinając los za to, że zabrał mu żonę, zostawiając go samego i bezradnego. Wolałam, kiedy był nieszczęśliwy.

Mam za złe Ellen, że zajęła moje miejsce, że pozwoliła Conorowi się objąć i kochać z nią tak, jak kiedyś kochał się ze mną. Czułości, które mylnie wzięłam za pożądanie, były wyrazem miłości. Widzę to po tym, jak na nią patrzy. Jego oczy mówią wszystko, a ja nie mogę już tego zanegować. Jego miłość do niej wzrasta. Gdybym miała gardło, te słowa pewnie by mi przez nie przeszły. Udaję się więc do Peg z jednym tylko zamiarem – skrzywdzić Ellen. Nie wiem, jak mogę to zrobić, ale jeśli jestem w stanie szeptać do ucha mojego synka, to być może potrafię nawiązać kontakt i z nią.

Zaczyna świtać i nad morzem wisi półprzejrzysty woal światła. Latarnia morska sprawia wrażenie opustoszałej jak wrak starego statku maltretowany przez fale. Uciekam od bolesnych wspomnień i dostrzegam Peg w płaszczu, która rozgląda się raz w jedną, raz w drugą stronę. Zastanawiam się, na co czeka. Pies siedzi przy jej nodze. Uszy ma postawione i gotów jest wypełnić każdą komendę, ale żadnej nie dostaje. Peg wypatruje swojego ptaka. Tego, którego wypłoszyłam.

Dopiero kiedy zauważam znajomą złotą poświatę Ciary, ogarnia mnie wstyd. Razem z nią pojawia się, machając skrzydłami, skąpana w przepętnionym miłością blasku kawka. Peg wydaje okrzyk radości, widząc, jak ptak kieruje się w jej stronę. Rozpościera ramiona, a jej twarz zamienia się w jeden wielki uśmiech, na policzki zaś spływają łzy radości.

- Kafka! - krzyczy, na co nad jej głową otwiera się okno, z którego wygląda zaspana Ellen. - Och Ellen. On wrócił. Nasze modlitwy zostały wysłuchane. On wrócił!

Ciara z radością przygląda się, jak ptak przysiada na ramieniu matki. Peg pospiesznie wchodzi do środka wraz z psem i zatrząskuje za sobą frontowe drzwi. Ellen zamyka okno. Wyobrażam sobie, że tego ranka w kuchni odbędzie się mała

uroczystość. Patrzę na Ciarę i wiem, że dziewczynka widzi mój wstyd. Ale uśmiecha się też do mnie z tą samą miłością, z jaką uśmiechała się do matki. Nie rozumiem. Jeśli nawet Ciara potrafi dostrzec złe zamiary, jakie skrywam w sercu wobec Conora i Ellen, nie okazuje mi tego. Patrzy tylko na mnie z wyrazem wszechwiedzącej, wyrozumiałej miłości, przez co jeszcze bardziej mi wstyd.

I wtedy coś mi świta w głowie. Jeśli mogę podróżować w myślach, co się stanie, jeśli zapragnę odwiedzić rodzinny dom Ellen w Londynie? Czy to może być aż takie proste? Nie potrafię sobie wyobrazić, dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałam. Tu, na miejscu, niewiele mogę zrobić, ale instynktownie czuję, że w Londynie zdziałam znacznie więcej.

Nigdy nie byłam w wielkiej metropolii, ale siłą woli przenoszę się do domu Ellen z takim samym skupieniem, z jakim zwykle przedostaję się do Dublina. Wydaje mi się to proste i naturalne, jakbym robiła to od wieków. I oto jestem w korytarzu wystawnie urządzonej kamienicy, gdzie szczeka na mnie pies nie większy od szczura. Jest mały, ale zawzięty i za jego wykrzywionymi wargami widzę ostre jak igły zęby. Macham na niego rękami jak na kawkę, na co on ucieka w popłochu, stukając pazurami o marmurową podłogę.

- Wafel! Przestań ujadać bez powodu. - Z innego pokoju dobiega mnie czysty angielski akcent. - Ktoś przyszedł?

W korytarzu pojawia się młoda blondynka i zerka przez judasza.

- Naprawdę, Wafel! Chyba ci odbiło. Nikogo tam nie ma.

Przechodzę za elegancko ubraną kobietą przez wielkie podwójne drzwi do przestronnej jadalni ozdobionej ładną tapetą w ptaki i gałęzie, a stamtąd do gabinetu urządzonego w limonkowym kolorze. Jest w nim zielona pluszowa sofa, fotel z wysokim oparciem i stolik kawowy, na którym leży wysoka sterta katalogów domu aukcyjnego Christie's.

- O co mu chodziło? - pyta druga kobieta.

Siedzi przy biurku ubrana w granatową spódnicę, z jedwabną apaszką pod szyją. Ma starannie uczesane, sięgające do ramion włosy. Widzę jej paznokcie w kolorze krwistej czerwieni oraz złotą bransoletkę z diamentami na nadgarstku. Kiedy się odwraca, poznaję, że to Maddie Byrne, matka Ellen. Nie da się zaprzeczyć, że są podobne do siebie, choć łączy je tylko karnacja, kształt podbródka i ust. Oczywiście mają różne: u Maddie są niebieskie jak u Peg, a nie brązowe jak u Ellen. Przyjrząwszy się im bliżej, widzę, że są zaczerwienione i pełne niepokoju.

- Nie wiem - mówi dziewczyna, siadając koło swojej szefowej.

- Ujadał jak szalony. Gdzie teraz pobiegł?

- Mam go zawołać, lady Trawton?

- Tak, poszukaj go, Janey. - Wzdycha i kręci głową ze znużeniem. - Zniknięcie Ellen wszystkich nas w końcu doprowadzi do obłądu.

Janey znika w korytarzu i zaczyna gwizdać na psa, Madeline wraca do swojej listy. Zerkam jej przez ramię i widzę, że planuje obiad dla gości. Jej długopis nie dotyka jednak kartki. Zastanawia się nad czymś, a ja przeczuwam, że myśli o Ellen. Po chwili do pokoju powraca asystentka z psem pod pachą.

- Chował się w oranżerii - oświadcza.

- Co tam robiłeś, Wafelku? - pyta Madeline, nieco się rozchmurzając. Pies jednak patrzy na mnie i warczy. Jego pani wygląda na zdziwioną. - Niemądry psiak. Co dziś w ciebie wstąpiło? Hmm?

Nudzi mnie straszenie zwierząt, więc ignoruję go i po chwili Wafel się uspokaja i pozwala Madeline położyć go na kolanach niczym futrzaną serwetkę.

- Dobrze, na czym stanęliśmy, Janey? - mówi, znów zerkając na listę.

Już mają zabrać się do pracy, kiedy rozlega się dzwonek telefonu. Madeline patrzy na niego, jakby się bała, że za chwilę ją ugryzie. Janey wierci się nerwowo, myśląc najprawdopodobniej, że wołałaby być wszędzie, tylko nie tutaj. W końcu lady Trawton podnosi słuchawkę i przystawia ją do ucha.

- Halo? - mówi. - Och, witaj, Williamie.

Jej ramiona opadają w geście rozczarowania. Macha wymanikiowaną dłońią na Janey, która wychodzi z pokoju

- Jakież wieści?

- Nie, nie dzwoniła - odpowiada Madeline. - Nie wiem niczego nowego.

- To śmieszne - mówi William z westchnieniem. - Jak długo jeszcze ma zamiar nie wracać?

- Nie mam pojęcia. Bóg jeden wie, co w nią wstąpiło. W jednej chwili jest na przyjęciu u Herringtonów i świetnie się bawi ze swoją przyjaciółką Emily, a w następnej czytam liścik, który zostawiła mi w korytarzu. Mogę jedynie zgadywać tak samo jak ty.

Jestem zaskoczona, że w jej głosie nie ma ani śladu irlandzkiego akcentu, tylko pewna ostrość przypominająca północny wiatr.

- Myślę, że Emily coś wie, ale nam nie mówi - oświadcza William.

- To całkiem prawdopodobne. Wiele razy próbowałam coś z niej wyciągnąć, ale trzyma język za zębami. Gdyby Ellen przyszła do mnie i powiedziała, że chce wyjechać na kilka dni, bo denerwuje się przed ślubem, pochwalilibym to. Kupiłabym jej bilet, gdziekolwiek by chciała. Ta cała ucieczka to jakiś absurd. Za kogo ona się uważa? Myśli, że wolno jej tak nas niepokoić? Jak można być tak bezmyślnym!

- Wysłałem jej mnóstwo esemesów i maili. Jeśli mam być szczerzy,

Madeline, naprawdę zaczynam się martwić.

- To w pełni rozumiałe, Williamie. Ale ona wróci. Jako dziecko była straszną buntowniczką. Staralam się ze wszystkich sił, by to w niej wytepić, i wydawało mi się, że osiągnęłam swój cel. Obawiam się jednak, że ta dziecięca buta powróciła. Ale kiedy Ellen wyjdzie za mąż, na pewno się uspokoi.

- Jeśli w ogóle się pobierzemy - kwituje rozdrażniony William.

- Oczywiście, że się pobierzecie. Nie przejmuj się za bardzo. Ellen niedługo wróci, zawstydzona i przepełniona poczuciem winy, a wtedy wybaczymy jej ten wybryk i puścimy sprawę w niepamięć.

- Rzuciła pracę. Ludzie, którzy zamierzają wrócić, nie zachowują się w taki sposób.

- Ellen chce być pisarką, czy coś w tym stylu. Czuje się niespełniona. Ale kiedy będzie już miała męża i - z Bożą pomocą - dzieci, zapomni o takich bzdurach. Obiecuję, niedługo wszyscy będziemy siedzieć razem przy stole i głośno się z tego śmiać.

- Nie jestem przekonany, czy będzie mi do śmiechu, Madeline. To najbardziej samolubna rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiła Ellen, a w dodatku zupełnie nie w jej stylu. Rozmawiamy o dziewczynie, która dzwoniła do mnie przynajmniej dwa razy dziennie. Dziewczynie, która prawie ze mną mieszkała. Spakować się i wyjechać bez słowa to po prostu wstrętne.

Madeline wzdycha ze zniecierpliwieniem.

- Jak ci się więc wydaje, co mogło być tego powodem?

- Nie mam pojęcia - odpowiada William. - W kółko myślę o dniach poprzedzających jej ucieczkę i nie przychodzi mi do głowy ani jedna rzecz, która wskazywałaby na to, że nie była do końca szczęśliwa z powodu naszych zaręczyn.

- Więc w takim razie nie masz się o co martwić.

- Czy to możliwe, by uciekła z innym? - Głos Williama robi się bardziej stanowczy. - Nie mógłbym jej tego wybaczyć.

- Ależ skąd. - Madeline odpowiada szybko, przerażona jego słowami. - Nie zrobiłaby ci tego. A poza tym ona cię kocha.

- Więc dlaczego nie oddzwania i nie zapewnia mnie, że wszystko w porządku? Zaczynam tracić cierpliwość.

Na te słowa Madeline sztywnieje, ale jej głos przyjmuje pojednawczy ton.

- Postaraj się o jeszcze odrobinę cierpliwości, Williamie. Wszyscy nie możemy się doczekać, kiedy staniemy się jedną wielką, szczęśliwą rodziną. Ellen też. Po prostu trochę się przestraszyła. Rzeczywiście, na kilka dni przed wyjazdem zrobiła się nieco nerwowa. Domyślam się, że próbuje sobie to wszystko jakoś poukładać. Małżeństwo to bardzo poważny krok, a Ellen zawsze przerażała

zobowiązania. Właściwie to zanim cię poznała, z nikim nie związała się na dłużej. Poskromiłaś ją, a to nie lada osiągnięcie.

- Cóż, wygląda na to, że nie najlepiej mi to wyszło.

- Jeszcze raz zadzwonię do Emily i wyduszę z niej informacje o Ellen. W końcu to moja córka i mam prawo wiedzieć, gdzie jest. Osobiście po nią pojedę.

- Jeśli do tego dojdzie, to jadę z tobą - mówi William niecierpliwym tonem. - Znajdę ją i przemówię jej do rozsądku. Będzie się musiała gęsto tłumaczyć.

- Jestem przekonana, że ma to jakieś rozsądne uzasadnienie. Przecież ją kochasz, prawda?

- Oczywiście, że tak, i mam zamiar się z nią ożenić.

- To dobrze. Na pewno wspólnie pokonamy tę przedślubną przeszkodę. Zostaw to mnie. Zaraz zadzwonię do Emily.

- Obyś miała więcej szczęścia niż ja.

- Nie obawiaj się. Nie dam się zbyć.

Jestem przekonana, że tak właśnie będzie.

- Dziękuję, Madeline - mówi William.

- Nie, to ja tobie dziękuję za to, że jesteś taki cierpliwy. Będziesz wspomniałym mężem. Ellen ma wielkie szczęście.

Po odłożeniu słuchawki Madeline na chwilę pogrąża się w myślach i pociera grzbiet nosa kciukiem i palcem wskazującym. Wafel nadal leży w bezruchu na jej kolanach mimo mojej obecności. Chwilę później powraca Janey.

- Zakończmy tę sprawę. Zaproszenia muszą zostać wysłane dziś po południu. Motyw przewodni ustalimy następnym razem. Niestety, muszę jeszcze zadzwonić, zanim udam się na spotkanie. Daj mi znać, kiedy podjedzie samochód. Wydrukowałaś mi protokół?

- Tak, lady Trawton, jest w pani torebce.

- Świetnie. Wyprowadzisz Wafla na spacer podczas mojej nieobecności?

- Oczywiście.

Janey przywołuje psa i rażnym krokiem wychodzi z pokoju. Wafel jeszcze raz na mnie spogląda i biegnie w te pędy za asystentką, jakby palił mu się ogon. Madeline wybiera numer - domyślam się, że do Emily - ale od razu zgłasza się automatyczna sekretarka. Madeline się rozłącza, wydając pełne frustracji prychnięcie. Nadal nie wstaje zza biurka i obraca w palcach długopis, zastanawiając się, co robić dalej. Spogląda na zegarek, odkłada długopis i wstaje. Idę za nią do sypialni.

Jest to jasny i przestronny pokój z wielkimi oknami, zza których widać zieloną ulicę pełną otynkowanych na biało kamienic. Madeline wchodzi do

wykończonej marmurem łazienki i zaczyna się malować. Następnie przygląda się sobie w lustrze, jakby patrzyła na obcą osobę. Stoi tak przez dłuższy czas. Zastanawiam się, o czym myśli. Bardzo chciałabym wiedzieć, nie potrafię jednak czytać w ludzkich myślach. Ma ładne niebieskie oczy, blade jak turkus, i kiedy tak się jej przyglądam, zauważam, że ciemnieją i stają się smutniejsze.

Nagle wpada jej do głowy jakaś myśl, idzie więc z powrotem do sypialni i przeczesuje torebkę w poszukiwaniu telefonu. Staje przy oknie i wykręca numer. Kiedy włącza się automatyczna sekretarka, pozostawia oschłą wiadomość:

- Witaj, Emily, mówi Madeline. Minęły niemal dwa tygodnie, odkąd Ellen uciekła, i żądam od ciebie informacji, gdzie teraz przebywa. Jestem jej matką i nie dam się zbyć. Jeśli nie oddzwonisz, będę musiała porozmawiać z tobą osobiście. Do południa będę na spotkaniu, ale pozostawię telefon na wibracji, więc możesz do mnie oddzwonić w każdej chwili.

Rozłącza się i wrzuca telefon z powrotem do torebki. Do sypialni puka Janey.

- Samochód czeka, lady Trawton.

- Zaraz zejdę.

Siada na łóżku i głęboko wzdycha. Jest wyraźnie zmartwiona. Ma w sobie pewną szorstkość, ale jednocześnie, gdy samotna i zgarbiona siedzi w sypialni, robi się łagodniejsza. Jakby dopiero tu, w zaciszu swoich prywatnych pokoi, mogła być sobą.

Zauważam zdjęcia rodzinne: dwie córki blondynki w dniach swoich ślubów, wnuki Trawtonów i Ellen z narzeczonym, uśmiechnięta, jakby był on ucieleśnieniem jej wszystkich marzeń. Przyglądam mu się bliżej. Ma jasne włosy i chłopięcą urodę, jasne oczy i karnację. Przypomina młode i gładkie warzywo z najlepszej szklarni. Nic dziwnego, że Ellen zakochała się w Conorze. Wymieniła chłopca na prawdziwego mężczyznę, w którego oczach widać doświadczenie. Conor ma szorstką, ogorzałą skórę, jego twarz pokrywają zmarszczki, a oczy są ciemne i strapione. Jest przeciwieństwem tego uprzywilejowanego chłoptasia, którego powierzchowna uroda zdradza brak charakteru i apetytu na życie. Widzę, że William nie jest głodny życia.

Madeline patrzy prosto na mnie. Przez chwilę ogarnia mnie podekscytowanie, ale nie trwa ono długo - kobieta patrzy przede mną na zdjęcie Ellen. Wstaje i podnosi je, przyglądając się twarzy córki, która uciekła. Jej wzrok łagodnieje; Madeline marszczy czoło i ledwie zauważalnie kręci głową, zastanawiając się, dlaczego Ellen to zrobiła.

Wie, że musi już wyjść, bierze więc torebkę leżącą na łóżku i kieruje się do drzwi. Patrzą, jak wychodzi. Nie mam po co za nią iść. Szepnę jej coś do ucha,

kiedy zaśnie, jej podświadomość się otworzy, a umysł wyciszy. Nie napotkam wtedy żadnego oporu. Wiem, że szanse, by mnie usłyszała, są niewielkie, ale się nie poddam. To jedyny sposób. Muszę powstrzymać Conora i Ellen, a Madeline i William to jedyni ludzie, którzy mogą mnie w tym wyręczyć.

Kręcę się więc po domu, czekając, aż nadejdzie noc. Nie mam ochoty się przyglądać, jak kwitnie uczucie pomiędzy Conorem a Ellen. Nie chciałabym też, żeby zobaczyła mnie Ciara, bo jej świat stworzony jest ze światła, a mój robi się coraz bardziej mroczny. Tak bardzo się wstydzę tej ciemności. Wiem, że nie wróży mi ona niczego dobrego - każdy głupiec wie, jaka jest różnica między jasnym a mrocznym duchem. Ostatnio zauważyłam, że staję się ciężka, jakbym była z gęstej mgły, która ciągnie mnie w dół. Czuję się przykuta do ziemi. Niebo wydaje się tak daleko, że wątpię, czy kiedykolwiek je odnajdę. Może na wieczność pozostanę w tym zawieszeniu, błądząc po omacku wśród cieni? Odpowiedź jest prosta, a mimo to, myśląc tylko o moim złowieszczym planie, nie jestem w stanie jej dostrzec.

Ellen w pośpiechu włożyła dzinsy i sweter, po czym zbiegła na dół do kuchni, gdzie zastała Jacka na powrót na swoim krześle i Peg napełniającą czajnik wodą.

- To cud - powiedziała Ellen do ciotki, w zadziwieniu wpatrując się w ptaka, który mimo nocy spędzonej na zimnie nie prezentował się ani odrobinę gorzej.

Peg, której oczy przepęłniała radość, uśmiechnęła się i wyrzuciła przez okno.

- Proszę, proszę - oznajmiła, chichocząc pod nosem. Mamy towarzystwo!

Czując podekscytowanie, Ellen dołączyła do niej, spodziewając się, że zobaczy wysiadającego z samochodu Conora. Jednak zamiast lśniącego rangę rovera pod domem stoją podrdzewiała ciężarówka Johnny'ego i czarny peugeot Desmonda pełne jej wujków i kuzynów. Ellen zamarła w panice.

Conor miał przyjechać po nią dziś rano. A jeśli zostanie w kuchni cały klan Byrne'ów? Co wtedy? Czy dojdzie do awantury? Czy Desmond będzie na nią krzychał: Musiała natychmiast zadzwonić do Conora i powiedzieć mu o zmianie planów, zanim jednak zdążyła wybiec z kuchni, w korytarzu stało pięciu krzepkich mężczyzn: Johnny, Joe, Ronan, Desmond i Craic.

- Wrócił! - powiedziała Ellen, maskując swoje obawy promiennym uśmiechem.

- Naprawdę? - spytał Johnny, mijając ją. - To prawda, Peg?

- To cud - odparła ciotka. - Siadajcie wszyscy, a ja zaraz podam wam coś do jedzenia. Dziś będziecie mieli najlepsze śniadanie w życiu.

- Jezu, tu siedzi! - powiedział zaskoczony Desmond. - Myślałem już, że przepadł jak kamień w wodę.

- Ja też - przytaknął Joe, zacierając ręce na myśl o śniadaniu. - Jest co świętować, Peginne. Co nam podasz?

- Masz świętą rację, Joe. Siadaj przy stole i mów, na co masz ochotę. Ciocia Peggine spełnia dziś wszystkie życzenia!

- To wspaniale, Peg - powiedział Craic, klepiąc ją po ramieniu szorstką dłonią. - Domyślałam się, że w nocy nawet nie zmrużyłaś oka.

- To prawda, nie najlepiej spałam, ale teraz nie ma to już znaczenia. Jestem taka szczęśliwa.

- Przyjechaliśmy pomóc ci go szukać - dodał Craic.

- Tak pomyślałam. Bardzo się o mnie troszczycie.

- Cieszę się, że ptaszyna wróciła. - Spojrzał na kawkę, która przycupnęła na

środku stołu, dziobiąc nasiona rozsypane przez Peg. - Bóg tak chciał - dodał poważnym tonem.

- Bez dwóch zdań - zgodziła się Peg. Odsunęła się, by wstawić wodę na herbatę. - Bądź tak dobry, Ronanie, i pójdz po Oswalda. Na pewno chce znać dobre wieści.

- Kiedy wrócił Kafka, mamó? - zapytał Ronan.

- Wczesnym rankiem. Po prostu przyleciał. Bóg raczy wiedzieć, gdzie się podziewał, ale jak na noc spędzoną w dziczy nie wygląda najgorzej.

Johnny, Joe, Desmond i Craic usadowili się wokół kuchennego stołu, podczas gdy Ellen pomagała Peg przygotować śniadanie. Kiedy nakrywała do stołu, Desmond poprosił ją o przysługę.

- Alanna potrzebuje pomocy w sklepie, Ellen. Nie może liczyć na Mary. Dziewczyna musiała zostać w Waterford, więc Alanna jest zdana na siebie. Pomyślała, że gdybyś miała ochotę, mogłabyś ją poratować. Co ty na to? Oczywiście ci zapłaci.

Myśl o tym, że mogłaby zarobić jakieś pieniądze, przypadła dziewczynie do gustu, zwłaszcza że w niedzielę Conor wróci do Dublina.

- Z przyjemnością - odpowiedziała. - Co ty na to, ciociu Peg?

- Myślę, że to doskonały pomysł. I tak nie idzie ci pisanie, prawda? Ellen podeszła do kredensu po talerze.

- Prawda, nie idzie mi - odrzekła krótko, nie chcąc drażnić tematu.

- W dodatku wpadnie ci trochę grosza, a na to nie można narzekać - dodała

Peg.

- Kiedy miałabym zacząć?

- Od jutra? - zaproponował Desmond.

- W sobotę? - Ellen się zawahała.

- To może lepiej od poniedziałku. W końcu trochę cię zaskoczyliśmy.

- Poniedziałek bardziej mi odpowiada - powiedziała dziewczyna. - Jeśli Alannie to nie przeszkadza. Bo... mam coś do zrobienia w ten weekend.

Postawiła talerze na blacie przy kuchence, gdzie ciotka zajęła się wbijaniem jajek na patelnię.

- Kury niosą się ostatnio jak oszalałe - oznajmiła. - Nie wiem, co na to poradzić. W końcu mam okazję, żeby zużyć jajka.

Skwierczały na patelni i kuchnię wypełnił zapach smażonego bekonu.

Po chwili Ronan przyprowadził Oswalda, który wszedł do kuchni, rozkładając ramiona.

- Niech na własne oczy zobaczę ten cud! - krzyknął. - A niech mnie! Toż to drogi Kafka wrócił na łono rodziny. Niegodzien jestem oglądania tego cudu!

Peg szczyrzyła do niego zęby w pełnym sympatii uśmiechu.

- Och Oswaldzie, nigdy nie przestajesz się droczyć!

Objął ją ramieniem i przyciągnął bliżej siebie.

- Zawsze robię to z wielkiej sympatii - powiedział półgłosem.

- Wiem o tym doskonale, drogi Oswaldzie. - Na jej policzkach pojawił się przelotny rumieniec. - A teraz powiedz mi, na co masz ochotę.

- Śniadanie już jadłem, ale filiżanki herbaty na pewno nie odmówię.

Spojrzała na niego zdumiona.

- Przecież ty nie lubisz herbaty!

- Wolę clareta, ale na wino jeszcze za wcześnie. - Podeszedł do stołu i spojrzał na ptaka. - Zdaje się, że bardzo go ożywiła ta nocna przygoda. Spójrzcie tylko na niego. Dawno nie widziałem bardziej zadowolonego z siebie ptaszka.

- Ominął cię wczoraj wspaniały wieczór w pubie - powiedział Joe do Ellen, gdy stawiała przed nim talerz pełen jajecznicy, bekonu i kiełbasek. - Dylan znów grał na akordeonie. Nie wiem, co w niego wstąpiło, ale robił to jak natchniony! Wszyscy śpiewali.

- Ma wielki talent - odpowiedziała dziewczyna z dumą, czując się częściowo powodem tej przemiany. - Będzie mnie uczył gry na gitarze.

- Nieźle się dogadujecie - zauważył Desmond.

Wzruszyła ramionami.

- Lubię Dylana. To myśliciel.

Johnny parsknął śmiechem.

- Na pewno kiedy zagląda na dno kufła - powiedział, co rozbawiło Desmonda i Joego.

- Ani razu nie widziałam go jeszcze pijanego. - Ellen wzięła go w obronę. - Właściwie to był trzeźwy podczas każdego naszego spotkania.

- To by się zgadzało - potwierdził Craic. - Ja też od jakiegoś czasu nie widuję go podchmielonego.

- To chyba dobrze, prawda? - zauważyła Peg.

- Stara się wyjść na prostą - powiedział Ronan, wgrzyzając się w grzanekę. - Myślę, Ellen, że to z twojego powodu.

- Mojego?

- Oczywiście. Przed twoim przyjazdem to był zupełnie inny człowiek.

Desmond spojrzał na Johnny'ego i obaj zrobili zakłopotane miny.

- Skoro Ellen pomaga Dylanowi uporać się z przeszłością, to chyba dobrze?

- wtrąciła ciotka. - Kto się jeszcze napije herbaty?

- Ja poproszę, moja droga Peg! - radosnym tonem zawołał Oswald, wyciągając swój kubek. Postał Ellen porozumiewawczy uśmiech. - Dylan odnalazł w tobie coś, co stracił dawno temu.

Desmond i Johnny znów na siebie spojrzeli. Sprawiali wrażenie zdenerwowanych.

- A co takiego właściwie, Oswaldzie? - zapytał Joe.

- Powód, by żyć - odparł zapytany, siląc się na mądrość.

Ellen nie była do końca pewna, jaki dała Dylanowi powód, poza tym że przypominała mu młodą kobietę, którą kiedyś kochał. Wzruszyła ramionami i upiła łyczek herbaty.

- To chyba muzyka daje mu ten powód - powiedziała.

- Ellen ma rację - z zapałem przytaknął Johnny. - Gdybyś go tylko wczoraj słyszała. Śpiewał z takim uczuciem!

Wszystkie talerze i kubki błyskawicznie opustoszały.

- Lepiej się zbierajmy - powiedział Johnny, odsuwając krzesło. - Widziałem wczoraj samochód pana Macauslanda zaparkowany pod domem, więc lepiej, żebyśmy robili dobre wrażenie.

- Macausland się za tobą ugania, Ellen? - zapytał Joe.

Dziewczyna spłonęła rumieńcem.

- No...

- Ellen nie jest głupia! - odpowiedział za nią Desmond głosem, który przypominał ryk. - Przecież o wszystkim wie.

- Czy ty siebie słyszysz, Desmondzie Byrne? - spytała Peg, biorąc się pod boki. - Ellen jest dorosła i sama może o sobie decydować, więc w ogóle co ci do tego?

Twarz Desmonda spochmurniała.

- Należy do Byrne'ów.

- W połowie - wtrącił Oswald. - Tylko w połowie.

- Nie pozwolę, by ktokolwiek z naszej rodziny zadawał się z tym człowiekiem.

Przeszył Ellen wzrokiem.

- Chyba nie chcesz skończyć jak Caitlin, prawda? - włączył się do sprzeczki Ronan.

- Dacie sobie w końcu spokój? - zapytała Peg, wyraźnie poirytowana. - Zostawcie biedaka w spokoju.

- Czemu tak mu współczujesz, mamó? - powiedział Ronan stanowczo. Zrobił się czerwony jak burak. - To nie on leży w ziemi.

Peg przewróciła oczami i podeszła do stołu, by pogłaskać Kafkę. Nie miała zamiaru marnować na ten temat ani minuty dłużej.

- To nie jego wina, Ronanie, jeśli to właśnie sugerujesz.

Ton Desmonda przypomniał Ronanowi, że to on jest głową rodziny i nie znosi sprzeciwu.

- Zgadza się z Desmondem - powiedział Joe. - On nie jest mordercą.

Desmond wyprostował się i szybko skinął głową w stronę Ellen.

- Po prostu trzymaj się od niego z daleka. To człowiek, który zawsze dostaje to, czego chce. Ale nie jest jednym z naszych.

- Wydaje mi się, że już na to za późno - stwierdziła Peg, wyglądając przez okno. Gdy wszyscy zamilkli, usłyszeli dźwięk zatrzymującego się przed domem samochodu.

- Idealne wyczucie czasu - powiedział Oswald.

Serce Ellen zaczęło walić jak młotem. Odstawiła kubek.

- Nie jest taki, jak myślisz, wuju Desmondzie - rzekła cicho. - Szanuję twoje zdanie, ale się nie zgadzam. To mój przyjaciel i nie przestanę się z nim spotykać.

Wszyscy patrzyli, jak Ellen idzie do drzwi i wkłada kurtkę. Chwilę później tłoczyli się przy oknie, gapiąc się zdumieni, jak wsiada do samochodu.

- Nic dobrego z tego nie wyniknie - powiedział Desmond złowieszczo.

- Myślę, że trzeba być otwartym na różne możliwości - poradził mu Oswald.

- Wydał mi się bardzo czarujący, choć w życiu bym się tego po sobie nie spodziewała - oznajmiła Peg.

Desmond podrapał się po brodzie.

- To właśnie ten czar mnie martwi - stwierdził. - Miejmy nadzieję, że dziewczyna wie, co robi.

Ellen wsiadła do range rovera.

- Nie całuj mnie, tylko jedź. Jesteśmy obserwowani.

- Dużo wymagasz od namiętnego mężczyzny - odpowiedział Conor z uśmiechem i wyjechał na drogę.

Ten żart podziałał na nią uspokajająco; nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Boże! Właśnie miałam starcie z wujkiem Desmondem i chyba wygrałam.

Conor wziął dziewczynę za rękę i pogładził ją kciukiem.

- Co takiego powiedział?

- Nie chce, żeby ktoś z jego rodziny zadawał się z tobą.

- Nie przebiera w słowach - odparł Conor, unosząc brew.

- Dlaczego?

Nie udzielił konkretnej odpowiedzi.

- Ja też mógłbym się sprzeciwić mieszaniu się Macauslandów z Byrne'ami.

- Moja rodzina zrobiła coś nie tak?

- Każdy człowiek to wyspa - odpowiedział, kręcąc głową. - Nie oceniam ludzi po czynach ich rodzin, ale po ich własnych. - Westchnął i zerknął na nią oczami w kolorze indygo. - Lubię cię, Ellen. Bardzo cię lubię. Może nawet najbardziej ze wszystkich ludzi w moim życiu. Nie obchodzi mnie, skąd się wywodzisz. Ważna jesteś tylko ty. Nie liczy się nic oprócz ciebie.

Chciała zapytać go jeszcze raz, ale wyczuła, że nie chce więcej o tym mówić. Ścisnęła jego dłoń.

- Opinie Desmonda nie mają dla mnie znaczenia. Zawsze miałam w sobie coś z buntowniczką. - Uśmiechnęła się nieśmiało. - Ja też cię lubię, Conorze.

Dopiero później, kiedy leżeli nadzy w pościeli, Conor postanowił opowiedzieć Ellen o Caitlin. Przytuliła się do jego piersi, podczas gdy on bawił się jej włosami, jeszcze ciepłymi po tym, jak się kochali.

- Musisz o czymś wiedzieć, Ellen - zaczął. Znieruchomiła, z uchem przyciśniętym do jego piersi, w której rozbrzmiewał niski i poważny głos. Conor przestał bawić się jej włosami i pogładził ją po głowie. - Nie kochałem mojej żony - powiedział bez ogródek.

Jego słowa były tak zaskakująco szczere i niespodziewane, że oparła się na łokciu i utkwiała w nim wzrok pełen niedowierzania.

- Nie kochałeś Caitlin?

Skinął głową.

- Z początku kochałem, ale później już nie.

- Co się stało?

- Zniechęciła mnie do siebie.

- Jak?

Westchnął, jak gdyby ujawnienie prawdy na temat swojej żony bardzo dużo go kosztowało.

- Ona nie była całkiem normalna, Ellen. Dopiero po naszym ślubie zdałem sobie sprawę, że ma ze sobą problem. Na pewno istnieje na to jakaś fachowa nazwa, ale Caitlin nie chciała, żeby ktoś jej pomógł.

- Pomógł w czym?

- Miała huśtawki nastrojów. Straszne huśtawki. Była wręcz obsesyjnie zazdrosna. W jednej chwili kochała mnie z całych sił, a za chwilę agresywnie oskarżała o wszelkiego rodzaju zdrady. Była niezrównoważona, rozpaczliwie niepełna siebie, potrzebująca ciągłej uwagi. To nas od siebie oddaliło.

- Ale był czas, kiedy ją kochałeś?

- Na początku, ale ona cały czas żądała ode mnie dowodów miłości, a mnie już nic nie zostało. Nie znosiła miasta, więc większość czasu spędzałem w Dublinie

i podróżowałem, podczas gdy ona przebywała w zamku, to było dla niej najlepsze miejsce. Nie chciała nigdzie wyjeżdżać. Podróże ją przerażały. Potrzebowała otaczać się tym, co zna.

Ellen pocałowała go w skroń.

- Biedaku. Musiałeś bardzo cierpieć. Nie mogłeś się z tego wyplątać?

- Rozwód nie wchodził w grę. Panicznie się bałem, że zrobi sobie krzywdę, i czułem się za nią odpowiedzialny. Była matką moich dzieci, a one ją kochały. Nie mogłem im tego zrobić bez względu na to, jak było źle. - Spojrzał na nią oczami winowajcy. - Moje zachowanie też pozostawiało dużo do życzenia. Wiele razy traciłem do niej cierpliwość. Nigdy jej nie uderzyłem, ale chciałem. Nienawidziłem mężczyzny, jakim się stałem, gdy byliśmy razem. Myślałem, że przez nią oszaleję.

- Miejscowi ludzie uważają, że była aniołem.

- Niech sobie myślą, co chcą, choćby ze względu na Idę i Finbara. Nie chcę, żeby kiedykolwiek dowiedzieli się, że ich matka nie była ideałem.

- Była bardzo piękna.

- Była olśniewająca.

- Muszę ci wyznać, że Johnny i Joe pokazali mi jej portret w zamku.

Przez chwilę wydawało się jej, że go rozgniewała, bo jego szczęka nagle się napięła. Conor zmierzył Ellen wzrokiem, przyglądając się jej twarzy, jakby próbował się zdecydować, czy może jej ufać. Po chwili westchnął i odwrócił wzrok.

- Widzisz więc, dlaczego wszyscy się w niej zakochiwali, zwłaszcza ci, którzy jej nie znali. Ci, którzy znali, wiedzieli, co przechodzę.

- Dlaczego nie szukała pomocy?

- Uważała, że wszystko z nią w porządku.

- Na pewno istnieje na to jakieś lekarstwo. Na wszystko jest lekarstwo.

- Oczywiście, ale nigdy by go nie wzięła. Była jak dziecko, a wraz z wiekiem coraz głębiej pogrążała się w świecie swoich wyobrażeń. Nie mogłem pozwolić, by zostawała sama z dziećmi, więc wysyłałem do pomocy matkę. Caitlin nie mogła jednak znieść tego, że ktoś ją obserwuje. Wiedziała też, że Daphne jest odporna na jej urok, więc tak uprzykrzyła jej życie, że mama się poddała i wróciła do Dublina. Zatrudniłem więc nianię. Caitlin ją tolerowała, bo dziewczyna była w nią wpatrzona jak w obrazek. Tak długo, jak Caitlin adorowano, wszystko było w porządku.

- Więc kiedy umarła... - Ellen się zawahała.

- Więc kiedy zmarła, to była dla mnie ulga. - Conor usiadł prosto i schował twarz w dłoniach, pocierając czoło. - Bardzo się wstydziłem, że po takiej tragedii czuję ulgę. Nienawidziłem się za to. Chciałem czuć żal. Chciałem ją opłakiwać, ale nie potrafiłem. Nienawidziłem jej. Nienawidziłem jej za tę lekkomyślność, bo

złamała serca naszym dzieciom. Nigdy jej tego nie wybaczę. Porzuciła je.

Ellen przyklękła przy nim i objęła go, rozpaczliwie próbując przejąć jego ból, aby już dłużej nie cierpiał.

- To nic, Conorze. Rozumiem cię. Jesteś tylko człowiekiem. Starateś się, jak mogłeś.

- Nienawidziłem tego, że zapuszcza się łodzią do latarni. Robiła mi to na złość. Chciała, żebym przyszedł ją ratować. Była to kolejna rozpaczliwa próba zwrócenia na siebie mojej uwagi. To absurdalne, ile razy musiałem po nią płynąć. Ale tej nocy posunęła się za daleko. O wiele za daleko. Doszło między nami do strasznej awantury i Caitlin uciekła do latarni, gdzie na schodach porozstawiła małe świece. - Potarł brew, jak gdyby starał się wymazać ten obraz z pamięci. - Zarzuciła mi, że już jej nie kocham. Miała rację. Nie kochałem jej. Chciałem, żeby zniknęła z mojego życia. Chciałem już nigdy więcej jej nie widzieć. Chciałem z tym skończyć. I stało się. Pewnie jej sukienka zapaliła się od jednej ze świec, bo kiedy dotarła na górę, cała była w płomieniach. Niczego nie mogłem zrobić. Zanim zdążyłem do niej dobiec, rzuciła się na skały.

- A ty poczułeś się wolny - cicho powiedziała Ellen.

- Tak, poczułem się wolny. Czułem mieszankę grozy i ulgi. - Patrzył na nią, przerażony własnym wyznaniem. - A teraz krążą pogłoski, że jestem mordercą.

- Ludzie niczego nie wiedzą

- Równie dobrze mogłem ją zabić.

- Ale tego nie zrobisz.

Spojrzał na nią smutnymi oczami.

- Wiem, że nie zabiłem, ale życzyłem jej śmierci.

Objął dziewczynę i pocałował ją żarliwie.

- Dzięki tobie, Ellen, o wszystkim zapomniałem – powiedział odrywając się od niej i pogrążając w jej spojrzeniu. – Dałaś mi siłę, by zapomnieć. Nie sądziłem, że jeszcze ośmielę się kogoś pokochać. Nie wiem, co masz w sobie takiego, ale przy tobie czuję się lżejszy.

- Ale przecież... - zaczęła, nagle zbierając się na odwagę, by powiedzieć mu o zaręczynach. Jednak nie zdołała dokończyć zdania, bo Conor całował ją namiętnie, była zupełnie obezwładniona.

Conor i Ellen mieli cały weekend dla siebie, bo Daphne została z dziećmi w Dublinie. Spacerowali po wzgórzach z Magnumem, kochali się aż do utraty tchu i oglądali przez całą noc filmy. Byli tak uszczęśliwieni swoim towarzystwem, że nie potrzebowali niczego więcej.

Ellen wiedziała, że sprawy z Conorem posunęły się za daleko, by mogła mu teraz swobodnie powiedzieć o Williamie. Zastanawiałby się, dlaczego nie zrobiła tego wcześniej, skoro on wyznał jej całą prawdę o Caitlin. Musiała po prostu zerwać zaręczyny tak szybko, jak to tylko możliwe, i mieć nadzieję, że Conor się nie dowie. Uważała jednak, że to nie w porządku rozstać się z kimś przez telefon. Będzie musiała wrócić do Londynu i zrobić to jak trzeba, choć myśl o opuszczeniu Irlandii wcale się jej nie podobała. Odkładała to tak długo, jak tylko była w stanie. Gdyby mogła odłożyć to na wieki, pewnie tak by zrobiła. Wiedziała, że niedługo będzie musiała wrócić do domu i zmierzyć się nie tylko z Williamem, ale i ze swoją matką, co przytłaczało ją jeszcze bardziej. Kiedy była z Conorem w Connemarze, zapominała o ich istnieniu. Tu, w ukryciu, znalazła się całkowicie poza ich zasięgiem. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, Conor nigdy się nie dowie. Zresztą to nie miało znaczenia, bo Ellen nie kochała Williama. Nie miał nic wspólnego z teraźniejszością, w której całe serce oddała Conorowi.

Peg tak się ucieszyła z powrotu Kafki, że na rodzący się związek siostrzenicy zareagowała z entuzjazmem i zachwytem. Ciotka opłakiwała niejedną śmierć, wiedziała więc, że w życiu liczy się tylko miłość. Jej zdaniem Conor zasługiwał na szczęście, a zastrzeżenia Desmonda zupełnie do niej nie przemawiały. Może i był głową ich rodziny, ale Ellen nie była jego córką. Ledwie ją znał i nie miał prawa decydować, z kim może się spotykać. Desmond jednak traktował Byrne'ów jak swoje plemię, a Ellen była jego krewną, i zdawało się, że nic nie mogło zmienić jego zdania na temat mężczyzny oskarżanego o zabicie żony.

W niedzielny poranek Conor i Ellen nie poszli na mszę. Zamiast tego zostali w łóżku. To, że ich wspólny czas dobiegał końca, sprawiało, że jeszcze namiętniej się kochali, a ich wzajemne uczucia rosły w siłę. W niedzielne popołudnie Conor w końcu wyjechał do Dublina. Miał sporo pracy związanej z nowym projektem, w który z zapałem się zaangażował. Po długich jałowych latach znów czuł się sobą, miał głowę pełną pomysłów i wypełniła go energia do ich realizacji. Wczesnym popołudniem odwiózł Ellen do domu. Ujął jej twarz w swoje wielkie dłonie i pocałował ją płomiennie na pożegnanie. Dziewczyna syciła się zapachem jego

skóry i smakiem ust. Kiedy odjechał, poczuła nagłą pustkę. Tak jakby cały jej świat istniał w odjeżdżającym samochodzie. Z żalu chciało się jej płakać.

Tego wieczoru dokończyła czytać Wiek niewinności i nie mogła powstrzymać łez. Zakończenie było przepiękne, ale też niewyobrażalnie smutne. Podobieństwo zdarzeń nie mogło umknąć jej uwadze. Hrabina Olenska i Archer Newland nie mogli być ze sobą, ponieważ May, żona Archera, spodziewała się dziecka. Związek Dylana i Maddie również był skazany na klęskę z powodu dziecka. Tym dzieckiem była Ellen. Dziewczyna pogrążyła się w rozmyślaniach. Daty sugerowały, że Madeline zaszła w ciążę, nie będąc mężatką, i uciekła do Anglii z ojcem Ellen, Anthonyem. Ale jeśli nadal kochała Dylana? Z tego powodu ochrzciła córkę sekretnym imieniem Ellen, które znaczyło coś tylko dla niej i Dylana. Dziewczyna próbowała sobie przypomnieć, czy Dylan wyglądał na zaskoczonego, kiedy mu się przedstawiła. Podczas ich pierwszego spotkania wyglądał dość dziwnie. A jeśli zawsze wiedział o tym symbolu ogromnej miłości, który podsycił jego nieprzemijającą tęsknotę?

Najbardziej zaprzętała sobie głowę pytaniem, czy jej matka kiedykolwiek kochała ojca. Pomyślała o jego pełnej dobroci twarzy oraz bezgranicznej cierpliwości i zaczęła mu współczuć. W przeciwieństwie do matki ojciec nigdy jej nie osądzał i nigdy nie sprawił, by poczuła się gorsza, nawet gdy nie dorastała do ich wysokich wymagań. Zawsze uśmiechał się z pobłażaniem, jakby jej wpadki wydawały się mu zabawne. Zamknęła książkę z nadzieją, że może matka kochała ich obydwu.

Ellen podzieliła się tymi przemyśleniami z Conorem, kiedy zadzwonił o północy. Zasugerował, by zapytała Dylana. W końcu zdawał się dość chętnie opowiadać jej o matce. Kiedy następnego dnia Ellen wyszła ze sklepu Alanny na lunch, udała się prosto do Sagana Złota, licząc na to, że zastanie tam Dylana. Tak jak się spodziewała, siedział przy barze ubrany w czarny marynarski płaszcz i rozmawiał z Craicem, trzymając w dłoni szklanekę gazowanego napoju z limonką. Kiedy ją zobaczył, twarz pojaśniała mu w szerokim uśmiechu, a w jego brązowych oczach pojawiło się zadowolenie.

- Ellen - powiedział, kładąc dłoń na jej ramieniu. - Słyszałem, że jesteś teraz pełnoprawną członkinią społeczności.

- Zgadza się - odrzekła z dumą.

- To znaczy, że z nami zostajesz, tak?

- Pracuję nad tym - odparła, życząc sobie, by jej problemy zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, a ona mogła na zawsze zostać w Ballymaldoon.

- Grzeczna dziewczyna - powiedział pogodnie. - Napijesz się czegoś?

- Z przyjemnością.

- Masz przerwę na lunch? - zapytał Craic, ściągnając szklankę.

- Zrobiłam sobie kanapkę w domu. Nie będziesz miał nic przeciwko temu, jeśli zjem ją tutaj?

- Oczywiście, że nie.

- Zjem razem z tobą - powiedział Dylan. - Poproszę stek i cynaderki. - Uśmiechnął się i pogładził po brzuchu. - Cały czas rosnę.

Usiedli przy stoliku w rogu sali. Dylan ściągnął płaszcz i powiesił go na oparciu krzesła. Kiedy zdjął wełnianą czapkę, kosmyki czarnych włosów sterczały mu dęba. Nawet ich nie przygładził.

- Jak ci mija pierwszy dzień w pracy? - zapytał.

- Powoli - odpowiedziała. - Alanna nie ma chyba zbyt dużego utargu poza sezonem.

- W lecie roi się tam od klientów - zapewnił ją. - Turyści mrowią się na ulicach, aż trudno się przecisnąć.

- Dla interesów to świetnie.

- O tak, nie ma co narzekać.

Spojrzała na jego uradowaną twarz i doszła do wniosku, że nie wypada pytać go teraz o matkę. Mógłby pomyśleć, że przyszła do niego tylko po to, by rozwikłać tajemnice przeszłości Maddie, co nie było prawdą. Lubiła jego towarzystwo. Lubiła je na tyle, że nie chciała, by myślał, że jej przyjaźń jest interesowna.

- Pamiętasz, że obiecałeś nauczyć mnie grać na gitarze, Dylanie?

- Owszem, i mówiłem poważnie. Kiedy chcesz zacząć?

- Dziś wieczorem?

Uśmiechnął się z zadowoleniem.

- To wpadnij do mnie. Upieczemy sobie kartofelki.

- Nie chcę ci sprawiać problemu.

- A co to za problem? - Zaśmiał się. - Zawsze tak robię, kiedy Martha mi nie gotuje.

- Martha jest dobrą kucharką? - zapytała Ellen.

- Mało powiedziane. Zasluguje na kogoś lepszego niż ja.

- Myślę, że ma sporo szczęścia, że jesteście razem.

- Myślę, że niewiele osób by się z tobą zgodziło, Ellen.

- Chciałabym ją poznać.

- Jeśli zostaniesz w Ballymaldoon.

- Martha z tobą nie mieszka?

Pokręcił głową, jakby powiedziała coś głupiego.

- To pobożna katoliczka.
- O rany, z religią nie ma u was żartów.
- Religia jest ważna. Nietzsche powiedział kiedyś, że ludzie, którzy w coś wierzą, są w stanie wszystko przetrzymać, czy coś w tym rodzaju.

- Nietzsche chyba nie był katolikiem.
- Nie, nie był. Właściwie to chyba w ogóle w nic nie wierzył. Był filozofem. Ale jeśli powiedział coś takiego, to był bardzo mądry. Ludzie muszą wiedzieć, że ich cierpienie ma jakiś cel, inaczej życie byłoby nie do zniesienia.

- A ty jesteś głęboko wierzący?
- Lubię pójść na mszę. Pewnie dlatego, że to dla mnie takie naturalne. Moja matka była bardzo pobożna. Kiedy jest mi ciężko, wiara przynosi pocieszenie. Wierzę, że jesteśmy na ziemi, by się uczyć i rozwijać, a pewnego dnia, kiedy umrzemy, wrócimy tam, skąd pochodzimy.

Ellen przypomniała sobie silne uczucia, jakie zawładnęły nią na plaży.

- Przed przyjazdem tutaj nigdy się nad tym nie zastanawiałam - powiedziała. - W spokoju tego krajobrazu jest coś, co sprawia, że zaczynam myśleć o tym, jaki jest cel tego wszystkiego.

Dylan uśmiechnął się do niej porozumiewawczo.

- To dlatego, że pośród natury odczuwasz odwieczną część siebie samej.

- Mówisz o mojej duszy?

- Oczywiście.

- To nie po katolicku.

- Religie są jak kluby, Ellen. Żeby do jakiegoś przynależeć, trzeba przestrzegać pewnych zasad, które nie mają tyle wspólnego z Bogiem, ile z ludźmi. To mentalność tłumu nastawia jedną religię przeciw drugiej. Twój klub ma rację, co znaczy, że wszyscy pozostali się mylą. A kto wymyśla zasady? Ludzie. Nie zgadzam się z wieloma zasadami, sam ich nie przestrzegam, ale Bóg jest ze mną każdego dnia. Nie sądzę, aby Jezus chciał nastawiać ludzi przeciw sobie. Chciał ich raczej jednoczyć w miłości. Jak zwykle przekaz ten został trochę przeinaczony, by można go było politycznie wykorzystać. Gdyby Jezus teraz zstąpił na ziemię, czułby się lepiej w synagodze niż w kościele. Można mi za to wymierzyć baty, ale taka jest prawda.

- Mama jest bardzo pobożna. Codziennie chodzi do kościoła - powiedziała Ellen.

- Tak jak jej matka. Stara Megan bardzo przestrzegała wszelkich zasad.

Ellen wyczuwała, że Dylan nie ma najlepszego zdania o jej babce.

- Jaka była Megan?

- Twarda jak kamień i sztywna jak pień.

- Ach, musiała być rozkoszna. - Ellen zachichotała.

- Była dogmatyczna w najgorszym tego słowa znaczeniu. Należała do tych, którzy religijne zasady stawiają ponad zdrowy rozsądek.

- Masz na myśli moją matkę?

Skinął głową.

- O tak, gdyby nie stara Megan, sprawy potoczyłyby się inaczej. A przynajmniej wierzę, że tak by się stało, choć nigdy nie będę tego pewien.

- Czyli gdyby moja babka nie była taka religijna, ty i moja matka miałibyście szansę na jakąś wspólną przyszłość? - Ellen spochmurniała. - Nie do końca rozumiem.

Dylan spojrzał na nią oczami głębokimi jak studnie. Położył szorstką rękę na jej dłoni i westchnął.

- Jeśli nie zjesz zaraz tej kanapki, będziesz głodna. - Odchylił się na krześle, kiedy kelnerka przyniosła jego zamówienie. - Wygląda smakowicie.

- Przyniosę musztardę - powiedziała kelnerka, odchodząc.

- Co masz w tej kanapce?

Dylan zerknął na zawartość brązowej torebki, gdy dziewczyna wyciągała swój lunch.

- Sałatkę z kurczakiem. Wiedziałaś, że mam na imię Ellen, zanim się poznaliśmy?

Spojrzał na nią przeciągle zatroskanym wzrokiem, po czym odłożył nóż i widelec.

- Tak, wiedziałem.

- Od kiedy?

Ellen widziała, że nie w smak mu wyjawiać kolejne informacje.

- Twoja matka napisała do mnie, kiedy się urodziłaś.

- Naprawdę? I co było w tym liście?

- Że dała ci na imię Ellen.

Włożył do ust widelec pełen jedzenia.

- To wszystko? - Pokiwał głową. - Musiało być coś jeszcze.

Dylan myślał przez chwilę, przeżuając jedzenie. Potem napił się owocowego napoju. Przez moment wyglądał jak szczur zagnany w ślepy zaułek.

- Dylanie, obiecuję, że to zostanie między nami. Możesz mi zaufać.

Obrzucił ją nieufnym spojrzeniem i powiedział półgłosem:

- Twoja matka uciekła z tym angielskim lordem, kiedy była z tobą w ciąży. Pragnęła innego życia. Takiego, którego ja nie mogłem jej dać. Wykorzystała okazję i wyszła za mąż za mężczyznę, który, jak wierzyła, spełni wszelkie jej zachcianki. Jednak po twoich narodzinach zdała sobie sprawę, że w życiu liczą się

też inne rzeczy oprócz pieniędzy i wygód. Poprosiła mnie, żebym po nią przyjechał.

Serce Ellen najpierw na chwilę przestało bić, a potem zaczęło łomotać jak oszalałe.

- Ale tego nie zrobisz?

- Zrobiłem - odpowiedział, kręcąc głową.

- I co się stało?

- Pojechałem do Londynu. Stałem przed jej domem. Patrzyłem, jak wychodzi gdzieś razem z mężem. Nie tylko jej śmiechu wtedy nie rozpoznałem... Nie rozpoznałem jej całej. Była zupełnie kimś innym.

- I jak wtedy postąpiłeś?

- Wróciłem do domu.

- Wiedziała, że ty...

- Nigdy się nie dowiedziała.

- Pomyślała, że zignorowałeś jej list.

- Pewnie tak.

- Och Dylanie, to straszne.

Poklepał jej dłoń.

- Było, minęło.

Nagle serce Ellen zaczęło bić bardzo mocno.

- Czy ja byłem pomyłką? - Na policzkach Dylana Ellen zauważyła czerwone rumieńce. - To znaczy wiem, że byłem pomyłką. To chyba jasne. Chcę wiedzieć, czy... Wiem, nie byłem planowana i dziecko bez ślubu to przecież straszny grzech, jeśli jest się gorliwym katolikiem, ale czy to ja byłem powodem tego, że nie mogliście z mamą być razem? Gdyby nie zaszła w ciążę, to być może nie poślubiłaby mojego ojca, a wówczas mógłby to być tylko letni romans i nic więcej. Może wtedy wyszłaby za ciebie.

Kiedy to mówiła, Dylan skulił się w sobie, jakby to, że nie wykorzystał szansy, nadal sprawiało mu ból. Ellen zrobiło się przykro, więc by ulżyć jego cierpieniu, dodała:

- Musiała cię bardzo kochać, skoro nazwała mnie Ellen.

Wtedy jednak poczuła w dołku dziwne i nieprzyjemne ukłucie. Wpatrywała się w Dylana i widziała, jak jeszcze bardziej różowieje mu twarz. Poczuła, że i ją policzki zaczynają piec, ale starała się ignorować dziwne uczucie w żołądku, a przynajmniej odepchnąć na bok myśli, które mogły być jego powodem.

- Kto wie, Ellen? Tak jak mówiłem, to już minęło.

Dziewczyna nie miała wątpliwości, że Dylan nie chce już na ten temat rozmawiać.

- Gdybym cię nie znała, na tej opowieści osnułabym fabułę książki -

zadeklarowała, pragnąc zmienić temat. Dlaczego skoro kilka minut wcześniej ta historia wzbudzała jej największą ciekawość, teraz ją odpychała?

Dylan nieco się opanował i zaczął kroić jedzenie.

- Możesz, jeśli chcesz. Ja zmieniłem ją w piosenki.

- Chciałabym je usłyszeć.

- Zagram ci dziś ze dwie, jeśli będziesz grzeczna.

- Moglibyśmy zaśpiewać na głosy - powiedziała z entuzjazmem.

- Dobrze nam to wychodzi - odparł, uśmiechając się do niej z sympatią.

Poczuła, jak klucie w żołądku powoli znika.

Po lunchu Ellen wróciła do sklepiku. Alanna się roześmiała, kiedy powiedziała jej, że jadła lunch z Dylanem.

- Wygląda mi to na mały romansik.

- Daj spokój, Alanno. Nie mam żadnego romansu z Dylanem.

- Spokojnie, tylko sobie żartuję. Wiem, na kogo masz oko.

- Jestem pewna, że Desmond wprowadził cię w temat.

Alanna wzruszyła ramionami.

- Desmond ma dużo do powiedzenia na wiele tematów. Nie zwracaj na niego uwagi. To i tak nie jego sprawa.

- Conor to dobry człowiek - powiedziała Ellen zdecydowanym głosem. - Ina pewno nie jest mordercą.

- Jestem pewna, że wiesz, co robisz.

- Wiem.

- I bardzo dobrze. A teraz ometkujesz mi towar? Kiedy cię nie było, miałyśmy dostawę.

- Z radością pomogę ci, w czym tylko zechcesz.

- Podoba mi się to nastawienie. - Alanna przepchnęła pudełko na środek sklepu. - Wyświadczasz mi wielką przysługę. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

- Mogłabym powiedzieć to samo. Nie chcę cały czas żyć na koszt cioci Peg.

Muszę się jakoś dorzucić.

- Ale ona nie ma nic przeciwko temu.

- Wiem, ale to jedynie bardziej mnie motywuje. - Obserwowała, jak Alanna przejeżdża nożem po pokrywie pudła. - Oswald płaci jej obrazami, kiedy nie ma na czynsz. Chciałabym coś jej dać.

- Możesz podzielić się z nią wpływami, kiedy opublikują twoją książkę.

Ellen pomyślała o pustej stronie w laptopie.

- Nie wiem, czy ciocia dożyje - zachichotała. - Nie wiem, czy ja dożyję.

- Napisałaś już coś?

Na ustach Ellen pojawił się skruszony uśmiešek.

- Ani jednego słowa.
- Cóż, jestem przekonana, że to się wkrótce zmieni.
- Mam taką nadzieję.
- Inspiracja może nigdy nie nadejść, jeśli będziesz tylko na nią czekać. Może

po prostu zacznij.

To wydawało się takie proste. Alanna nie zdawała sobie sprawy, jak trudno jest „po prostu zacząć”.

- Masz rację, Alanno. Tak zrobię. A teraz powiedz, co jest w pudle.

Wieczorem Ellen zostawiła Oswalda, Peg, Ronana i Joego w salonie przy partyjce brydża i pojechała samochodem ciotki do Dylana. Kazali jej skierować się na nabrzeże, gdzie zobaczy jego bladoniebieski domek wciśnięty pomiędzy bladoróżowy i jasnożółty, rzut kamieniem od Sagana Złota. Joe żartował sobie, że Dylan tak często jest zawiany, że to cud, że jeszcze nie wpadł po pijaku do morza. Ellen jednak nigdy nie widziała Dylana pijanego i przewróciła oczami na uszczypliwości kuzyna. Zaczęła darzyć Dylana ogromną sympatią i głupie żarty Joego już jej nie bawiły.

Pojechała do Ballymaldoon i zaparkowała samochód na nabrzeżu, tuż przed uroczym niebieskim domkiem Dylana. Na morzu kołysały się łódeczki, srebrząc się w świetle księżyca, a wzdłuż ściany przechadzał się czarny kot, którego oczy jaśniały w ciemności jak żółte płomienie. Ellen wciągnęła w płuca ożywczy zapach morskiego ozonu i westchnęła, z przyjemnością wsłuchując się w plusk fal i wpatrując w granatowe niebo, na którym od czasu do czasu zamigotała gwiazda. Z tego miejsca ledwie widziała latarnię. Wyglądała melancholijnie jak nocny strażnik, który rozmyślając, wyczekuje świtu. Nie mogła sobie wyobrazić, jak Caitlin wyskakuje z okna ani jak Conor patrzy na jej ciało spadające na skały, bo piękno scenerii czyniło tę śmierć łagodną i mniej straszną. Piękno wszystko łagodziło, nawet jej własne lęki.

Ellen nie tęskniła za Londynem. Nie tęskniła za sznurami aut i pomarańczową łuną nad miastem, które nigdy nie kładło się spać. Lubiła ciszę panującą w Ballymaldoon. Nigdy nie widziała tak jasnych gwiazd ani tak wielkiej wody. To, że Conor był częścią tego romantycznego miejsca, sprawiało, że Ellen kochała je jeszcze bardziej. Uśmiechnęła się na myśl o nim. W ciągu dnia rozmawiali ze sobą kilka razy przez komórkę. W pewnym momencie zadzwonił tylko po to, by usłyszeć jej głos, i po minucie się rozłączył, bo zaczynał spotkanie. Ellen przycisnęła wtedy telefon do piersi, jakby w jakiś dziwny sposób zawierał

jego istotę. Kiedy nie rozmawiali, wysyłali sobie wiadomości. Esemesy Conora były zarówno naładowane erotycznym napięciem, jak i czułością, i Ellen nie mogła się już doczekać weekendu, kiedy znów się zobaczą.

Pełna pogodnych myśli, zadzwoniła do drzwi Dylana. Niemal natychmiast jej otworzył. Spomiędzy jego nóg wyłonił się jasnobrązowy kundel i z podekscytowaniem zaczął obwąchiwać kostki dziewczyny.

- Myślę, że wyczuwa Pana Borsuka - powiedział Dylan.

- Nie wiedziałam, że masz psa.

- Wabi się Finch. To dobry kompan. Martha i ja zawsze się o niego kłócimy i ona zwykle wygrywa.

- Ale pies mieszka z tobą.

- Mieszka z nami obojgiem.

- Jakbyś mówił o dziecku rozwiedzionych rodziców.

Zaśmiał się pod nosem.

- Trochę tak. To kundelek. Nie ma dla niego większego znaczenia, gdzie przebywa, pod warunkiem że jest najedzony i napojony. - Dylan usunął się z progu.

- Daj jej przejść, Finch. Zapraszam do środka. Specjalnie dla ciebie kupiłem colę.

- Dziękuję. A jak tam kartofelki?

- Bardzo dobrze - odpowiedział, idąc za nią w głąb domu.

Salon Dylana był bardzo męskim pokojem. Stał w nim wielka, sfatygowana skórzana sofa i dwa fotele o rudobrązowym, przetartym obiciu. W kominku strzelał ogień, wypełniając pokój przyjemnym aromatem palonego drewna. Na stoliku przy sofie stała popielniczka pełna niedopałków, a półki ugięły się od książek. Pod jedną ze ścian dziewczyna dostrzegła pianino z pod niesioną klapą, która odsłaniała pożółkłe ze starości klawisze. Wszystkie przedmioty zaścielały zapisane ręcznie kartki pięciolinii i gazety. W pokoju panował chaos a mimo to miał on w sobie nieodparty urok.

- Czyli tu właśnie tworzysz - powiedziała Ellen, zauważając gitarę opartą o jeden z foteli.

- Tak sądzisz? - Dziewczyna zerknęła na Dylana i zobaczyła, że szeroko się uśmiecha. Podrapał się po gęstej brodzie. - Zastanawiam się, po czym to widać.

- Ten pokój jest uroczy. Pasuje do ciebie. Założę się, że Martha nie może tu niczego dotykać.

- Nie mylisz się, Ellen. Ledwo wolno jej wejść do domu. Spotkał cię nie lada zaszczyt. Przyniosę coś do picia i zaczniemy grać. Jesteś głodna?

- Nie bardzo.

- W porządku. Kartofle posiedzą jeszcze w piekarniku.

Wyszedł z pokoju.

Ellen przeszła się po pokoju, rozglądając się wokół. Spodziewała się zdjęć ukochanej Maddie, ale żadnych nie zauważyła. Zastanawiała się, czy ukrył je gdzieś z szacunku dla Marthy. Usłyszała, jak nuci w kuchni, i uśmiechnęła się do siebie. Cieszyła się, że tu jest i że po dziesięcioletniej przerwie znów będzie grać. Matka zrobiła wszystko, co w jej mocy, by powstrzymać ją od grania w zespole, a mimo to Ellen właśnie miała zacząć improwizować z prawdziwym muzykiem, który tylko przypadkiem był dawną miłością Maddie. Ironia całej sytuacji czyniła ją jeszcze bardziej fascynującą.

Ellen podeszła do ustawionej pod oknem komody i wzięła do ręki odręcznie zapisane nuty zatytułowane Niebo nad Connemara. Pod nutami znajdowała się niedbale ułożona sterta płyt CD. Wzięła do ręki jedną z nich. Na początku wydawało się jej, że na okładce znajduje się zdjęcie Ala Pacino, ale kiedy przyjrzała się bliżej, zdała sobie sprawę, że to młody Dylan. Peg miała rację - kiedyś, na swój mroczny, fascynujący sposób, był bardzo przystojny.

Usłyszała, jak wraca, i w pośpiechu odłożyła nuty. Nie chciała, by przytapał ją na myszkowaniu. Podał jej szklankę coli.

- Skończyłem zgrywać twojego iPod'a - powiedział, biorąc do ręki gitarę. - Masz teraz na nim świetny zestaw do pisania. Przypomnij mi tylko, żebym ci go oddał, dobrze?

- Dasz mi też do posłuchania kilka swoich starych płyt?

Przez chwilę patrzył na nią rozbieganym wzrokiem.

- Może gdzieś tu leżą. Nie jestem pewien - odparł wymijająco.

- Ale... - Już miała mu powiedzieć, że przed chwilą trafiła na całą stertę różnych albumów na blacie komody, ale coś w jego zachowaniu zdradzało niechęć. A to, że Dylan nie chciał, by Ellen słuchała piosenek z jego albumów, tylko wzmoгло jej ciekawość. - Gdybyś znalazł jakiś wolny egzemplarz, chętnie pożyczę.

- Musiałabyś ściągnąć z niego pajęczyny.

- Przecież to nie było tak dawno temu!

- No dobrze, siadajmy i zacznijmy grać. Najpierw chwyt G.

W trakcie uczenia się gam pod ciepłym okiem Dylana wszystko zaczęło powoli wracać do Ellen jak wtedy, gdy grali w kaplicy. Czarne nuty na kartkach, które przed nią kładł, nagle nabierały sensu, a palce wykonywały znane kiedyś ruchy, które, jak jej się wydawało, już dawno zapomniała. Kiedy grała piosenkę Beatlesów, Dylan usiadł przy pianinie i zaczął jej akompaniować. Później zdała sobie sprawę, że tak naprawdę w ogóle nie potrzebowali nut. Kiedy Dylan usłyszał jakąś melodię, potrafił ją doskonale odtworzyć na każdym instrumencie. Muzyka była językiem, którym płynnie się posługiwał, i po kolacji, kiedy zagrał jej kilka swoich piosenek, Ellen zdała sobie sprawę, że to jego sposób, by w pełni siebie

wyrazić.

Śpiewali w naturalnej harmonii, ich głosy się zlewały, tworząc bogaty, poruszający dźwięk. Patrzyli przy tym na siebie z zachwytem, świadomi magii, jaką wywoływały ich brzmiające razem głosy. Grali jedną piosenkę za drugą, aż w końcu zaczęli razem komponować, przerzucając się pomysłami, jakby byli parą zawziętych tenisistów, którzy ledwie nadążają za piłką. Ellen czuła, że jej duszę przepełnia szczęście, jak tego ranka na plaży, kiedy wyrzuciła swój telefon do wody. W końcu dała upust swojej uwięzionej i tłamszonej kreatywności.

Było już późno, kiedy postanowiła wrócić do domu. Gdyby nie to, że ciotka na pewno nasłuchiwała odgłosów samochodu, chętnie zostałaaby do rana. Było już jednak po północy i Ellen zdawała sobie sprawę, że jeśli zostanie, dostarczy miasteczku kolejnych tematów do plotek. Wystarczyło już, że widywała się z Conorem - nie chciała, aby oskarżono ją też o romansowanie z Dylanem.

Zanim pojechała, Dylan poszedł na górę po jej iPoda. Wyciągnięcie jednej z płyt spod nut na komodzie było kwestią chwili. Nie czuła wyrzutów z tego powodu, bo przecież Dylan miał ich tak dużo. Jego niechęć odczytała jako zażenowanie faktem, że tak wiele piosenek, które napisał, wiąże się z Maddie. Może odstaniały więcej, niż chciał jej powiedzieć. Tak czy inaczej postanowiła przesłuchać płytę, a potem ukradkiem odłożyć ją na miejsce. Co do iPoda, była ciekawa, czy ta muzyka wzbudzi w niej taki sam entuzjazm, jak ich wspólna wieczorna sesja.

Wróciła do Peg z lekkim sercem. Ciotka nie wyszła z sypialni, ale Ellen wyczuła, że nie śpi, czuwając jak matka czekająca na córkę. Kiedy w końcu położyła się do łóżka, zadzwoniła do Conora.

- Witaj, kochanie - powiedziała zasnany głosem. - Gdzie się podziewałeś?

Lord Anthony Trawton nie jest taki, jak się spodziewałam. To wysoki i szczupły mężczyzna o jasnych, siwiejących włosach i błękitnych oczach, które kolorem przypominają angielskie niebo o świcie. Ma długi, prosty nos, ale jego usta są cienkie, a podbródek wklęsły, co nie wpływa na jego atrakcyjność, choć pewnie dodaje mu arystokratycznego wyglądu, który wpadł w oko Maddie Byrne. Jest lekko przygarbiony, ma łagodne, niemal przeprasające spojrzenie, i zastanawiam się, czy to nie wpływ wielu lat małżeństwa z ambitną, nieugiętą kobietą. Przypomina płaski strączek fasoli, podczas gdy jego żona jest ponętną i jędrną śliwką.

Lady Trawton to olśniewająca kobieta. Ma czarne, sięgające do ramion, perfekcyjnie uczesane włosy i grube czarne rzęsy, które okalają przebiegłe kocie oczy. Jej skóra jest blada, a policzki purpurowe, w obyciu jednak jest szorstka, onieśmielająca i zarozumiała. Zachowuje się jak kobieta, która zawsze była piękna. Wiem, bo sama byłam piękna i umiałam wykorzystać to do swoich celów.

Madeline jest przyzwyczajona do tego, że ma kontrolę nad światem. Dom urządzony został z przepychem, ale sprawia nieprzytulne wrażenie niczym wewnątrz muzeum. Wszystko wydaje się sztuczne, jak gdyby kupiła meble po to, by stworzyć wizerunek, a nie dom. Te aksamitne sofy wyglądają pięknie, ale są zbyt puchate, by na nich wygodnie usiąść. Na stołach zgromadzono piękne bibeloty, które nic nie mówią o kobiecie, która je kupiła. Nawet donice orchidei wyglądają sterylnie, jak sprawiające wrażenie sztucznych tropikalne rośliny w lobby hotelowym, które widziałam w gazetach. Pokoje są bogato urządzone i przestronne, ale jest w nich coś, co trąci fałszem. Widzę też, że na jedynym regale ustawione są książki w twardych oprawkach, które bez wątplenia zostały zakupione razem i nikt ich nigdy nie czytał. Conor i ja wszystko wybieraliśmy z miłością, nie przywiązując wagi do tego, czy rzeczy do siebie pasują. Stworzyliśmy z nich pyszną miksturę kolorów i faktur i przez lata obserwowaliśmy, jak harmonijnie ze sobą współgrają. Nasz zamek naprawdę był naszym domem, bo każdy bibelot, każdy obraz i każdy mebel znalazł się tam z naszego wyboru, Conor przeczytał zaś każdą książkę w naszej bibliotece. Ten dom jest jednak płytki jak fontanna, a woda, która w niej płynie, zimna.

Lavinia i Leonora są wysokie i tyczkowate, mają długie blond włosy i wielkie niebieskie oczy po ojcu. Sprawiają wrażenie kobiet roszczeniowych, co wynika pewnie z ich fortuny i społecznego statusu. Takie kobiety - pewne siebie,

wymanikiurowane i powolne - nie robią nic oprócz chodzenia na lunchy w eleganckich restauracjach i stania jak mimozы na wieczornych przyjęciach. Ellen nie ma może ich sylwetki czy klasycznej urody, ale przynajmniej nie brak jej charakteru. Bez dwóch zdań ma w sobie ducha irlandzkiej kobiety. Nie brak jej poczucia humoru, jest błyskotliwa i inteligentna, podczas gdy te dwie istoty mają w sobie tyle życia co wystawowe manekiny. Trudno uwierzyć, że wychowały się w tym samym domu.

Wszyscy są bardzo rozemocjonowani zniknięciem Ellen. Madeline nie znosi tego najlepiej, bo przyzwyczajona jest do tego, że to ona pociąga za sznurki. Jednak raz, kiedy jedna z jej marionetek uciekła, nie wie, co ze sobą zrobić. Jest niespokojna, rozdrażniona i zła. Anthony jest bardziej flegmatyczny. Powtarza jej, że dziewczyny nie ma dopiero od dwóch tygodni. Mówi, że w końcu córce wróci rozsądek i pokaże się w domu, kiedy będzie gotowa. Madeline wyczuwa jednak, że za całą sytuacją kryją się poważniejsze problemy, zagrzebane pod powierzchnią niczym splątane węże, które żywiąc się niezadowoleniem Ellen, stają się coraz groźniejsze.

Madeline jest więc osamotniona w swoim niepokoju ponieważ jej mąż nie dostrzega prawdziwych przyczyn ucieczki ich dziecka. Według niego Ellen próbuje uwolnić się od stresu związanego ze zbliżającym się ślubem. Jednak w oczach Maddie jej córka robi dokładnie to, co ona sama trzydzieści trzy lata wcześniej, i swoją ucieczką mąci ułożone życie matki, przywołując wspomnienia, których ta wolałaby się pozbyć.

Dotarcie do jej podświadomości nie sprawia mi więc problemu, ponieważ i tak pewne podejrzenia, wywołane poczuciem winy, zaczęły już kiełkować w jej głowie. Myśli o Irlandii, która pojawia się w jej snach. Po tym, jak wierci się i mamrocze przez sen, wiem, że sceny z dawnych lat dochodzą do głosu i zaczynają ją prześladować niczym duchy przeszłości. Ja się tylko dołączam. Bez ustanku szepczę Maddie do ucha słowa, które przynoszą jej największy ból: Dylan, Ellen Olenska, Dylan, Ellen Olenska. Czas nie stanowi dla mnie problemu. Mogę całymi dniami stać jej nad uchem, nie męcząc się ani nie nudząc. Tak więc robię i kropla za kroplą podlewam nasionko, które rośnie i rośnie, aż pojawiają się pierwsze zielone pędy moich wysiłków.

- Irlandia! - Madeline wydaje z siebie stłumiony okrzyk, siadając pewnego ranka wyprostowana na łóżku i ściągając z oczu maseczkę do spania. - Irlandia! - Szturcza śpiącego przy niej męża. Za oknem świta i z oddali dochodzą odgłosy samochodów przypominające huk odległego morza. - Anthony, obudź się. Wiem, gdzie ona jest.

Madeline włącza lampkę na stoliku nocnym.

Anthony przewraca się na plecy i otwiera oczy, pomrukując.

- Jak to wiesz? - mruczy, zerkając na zegarek. - Skąd?

- Wyczuwam. Nie wiem, dlaczego wcześniej nie przyszło mi to do głowy.

- Kochanie, niby po co miałyby pojechać do Irlandii? Nikogo tam nie zna.

- Bo wie, że to jedyne miejsce, gdzie nie będę jej szukać.

Anthony kładzie jej dłoń na ramieniu. To jego pierwszy czuły gest, jaki widzę.

- Doprowadzisz się do obłądu, Madeline. Musisz przestać się o nią martwić.

Nie jest dzieckiem. Wróci.

- Nie, jestem pewna, że mam rację.

- Śniła ci się Irlandia?

- Tak - odpowiada jękliwie, jakby mąż dotknął właśnie otwartej rany.

- Chodź, zjedźmy śniadanie.

Madeline wstaje z łóżka i biegnie do łazienki.

- Potrzebuję potwierdzenia. Wiesz, że ta głupia Emily nie oddzwoniła?

Sama więc do niej pojedę. Góra pójdzie do Mahometa.

- Jeśli tego chcesz, kochanie - odpowiada Anthony ze znużeniem.

- Właśnie tego chcę. Wydostanę to z niej w ten czy inny sposób. To się musi skończyć. Mam już dość. - Patrzy na swoją twarz w lustrze, przez chwilę przerażona jej stanem. Już dawno zauważyła, że jej wiek najbardziej jest widoczny o poranku. - Jak Ellen może być taka samolubna i skazywać mnie na to wszystko?! Zniszczy moją urodę!

Wieczorem podążam za nią do białego budynku w dzielnicy Pimlico. Jest ciemno i wietrznie, a chodniki lśnią od deszczu. Siedzi w bentleyu prowadzonym przez szofera i zerka przez okno niczym złodziej czekający na okazję. Jest zimno. Spaliny samochodowe rozpraszają się w lodowatym powietrzu jak mgła. Lampy uliczne otacza szary smog. Czuję, jaka ciężka i ciemna jest moja dusza, jak gdyby noc jakoś przenikała moje istnienie i ciągnęła mnie głębiej w stan zawieszenia, byle dalej od światła, które gdzieś tam jest, choć poza zasięgiem mojego wzroku.

W końcu młoda kobieta ubrana w płaszcz przewiązany paskiem i wełnianą czapkę wyłania się z ciemności i szybko idzie po schodkach do frontowych drzwi. Szuka w torebce kluczy. Madeline nie czeka, aż dziewczyna otworzy drzwi i zniknie w środku. Jest na to zbyt przebiegła. Wysiada z auta, zanim szofer zdąży otworzyć jej drzwi, i już po chwili stoi za plecami dziewczyny.

- Emily!

Ta się odwraca, jej twarz w kontraście z czarną czapką wygląda na białą jak śnieg.

- Lady Trawton!

Emily jest zaskoczona. Wygląda, jakby zobaczyła ducha. Nawet gdybym się jej ukazała, nie mogłaby chyba zrobić bardziej przestraszonej miny.

- Nie oddzwoniłaś, więc postanowiłam cię odwiedzić.

- Ja...

- Może wejdziemy do środka? Jest za zimno, żeby sterczeć na dworze.

Emily otwiera drzwi trzęsącymi się rękami i obie wchodzi na klatkę schodową. Mieszka na pierwszym piętrze, ale po drodze na górę obie milczą. Madeline rozgląda się po niewielkim mieszkaniu obojętnym wzrokiem. Nie jest nim w ogóle zainteresowana. Na pewno ma ono więcej uroku niż kamienica w Eaton Court. Emily ściąga płaszcz. Ma na sobie modną spódnicę do kolan i ładne skórzane kozaki. W domowym świetle widzę, że jest ładną i młodą kobietą o jasnobrązowych włosach, wysokich kościach policzkowych i intensywnie brązowych oczach. Jest za chuda, co zdaje się chorobą współczesnych dziewczyn, i gdybym tylko była jej matką, na okrągło piekłabym ziemniaki, żeby trochę ją podtuczyć. Madeline staje na środku salonu i nie ściąga płaszcza. Nie ma zamiaru długo tu zostać. Tylko tyle, by potwierdzić swoją teorię. Widzę, że Emily nie ma szans z Madeline Trawton. Nikt by nie miał.

- Wiesz, dlaczego przyszłam - oschle zaczyna Madeline.

Emily przestaje się trząść. Idzie do kuchni połączonej z salonem i wyciąga z lodówki butelkę chardonnay.

- Nie wiem, jak pani, lady Trawton, ale ja potrzebuję kieliszka wina na koniec dnia.

- Wiem, gdzie ona jest, Emily.

Dziewczyna nalewa wina do kieliszka i pije łapczywie, zanim jeszcze odstawi butelkę na blat.

- Jest w Irlandii - oświadcza Madeline z pełnym przekonaniem. - Nie rób takiej zaskoczonej miny. Od razu było wiadomo, że w końcu się o tym dowiem. Nie urodziłam się wczoraj.

- Kto pani powiedział? - pyta Emily, nie zaprzeczając.

- Obawiam się, że nie mogę tego ujawnić.

Dziewczyna wlewa w siebie haust wina i przetyka go głośno.

- Chcę, żebyś do niej zadzwoniła i powiedziała, że ma wracać.

- Nie mogę tego zrobić. Nie mam jej numeru.

- Na pewno masz gdzieś numer jej komórki. Od ciebie odbierze.

- Ellen wyrzuciła telefon do morza.

Madeline jest poirytowana.

- Co za głupota. Co w nią wstąpiło?

Emily robi strapioną minę i nagle mówi:

- Ona nie chce wyjść za Williama.

Madeline jest zaszokowana.

- Oczywiście, że chce - odpowiada szybko.

- Nie, naprawdę nie chce. - Emily opuszcza ramiona u geście rezygnacji, jakby wiedziała, że zdradza przyjaciółkę, i czuje się winna.

- To na pewno tylko przedślubne nerwy.

- To coś więcej. Ona go nie kocha.

- Ellen nie wie, czego chce.

Emily opróżnia kieliszek i napełnia go ponownie, po i czym opiera się o kuchenny blat.

- Powiedziała mi, że zakochała się w Connemarze i nie chce stamtąd wracać.

Madeline robi się czerwona jak burak ze złości. Emily otrząsa się jak sportowiec, który po potknięciu kontynuuje wyścig.

- Co to znaczy, że zakochała się w Connemarze? Nie ma jej dopiero od dwóch tygodni.

Dziewczyna wzrusza ramionami.

- Nie wiem, powiedziała mi tak tydzień temu. Śpiewa z miejscowymi ludowe piosenki w jakimś pubie. Nazywa się Sagan Złota.

Madeline wygląda, jakby za chwilę miała się przewrócić.

- I powiedziała, że nie chce wracać?

- Tak

- To niedorzeczne.

Z głosu Madeline zniknął jad. Wydaje się pokonana.

- Ale to prawda. Mogę panią zapewnić, że siłą nie zaciągniecie jej przed ołtarz.

- To nie będzie konieczne. Nie po tym, jak sobie z nią porozmawiam. Sama po nią pojedę.

- Jakie to ma znaczenie, skoro Ellen nie chce być żoną Williama? To jej życie.

Zauważam, jak misternie skonstruowana fasada Madeline lekko pęka, jakby była porcelanową lalką. Jej skóra robi się bardzo biała, a dla kontrastu usta wydają się krwistoczerwone. Zastanawiam się, czy Emily widzi, jak ta sztywna, nieustraszona kobieta nagle przyjmuje postawę zagubionego dziecka. Próbuje ubrać swoje myśli w słowa, ale nie brzmią one tak, jak powinny. Dziewczyna upija kolejny łyk, najwyraźniej nieświadoma bólu, który maluje się w oczach jej gościa. Tak jakby udręczona dusza Madeline krzyczała z całych sił, ale tylko ja jestem w stanie ją usłyszeć. Emily stoi bez ruchu w triumfującej pozie, bo ugodziła matkę

Ellen w najczulszy punkt.

Madeline bez słowa ucieka. Nie umie wytłumaczyć dziewczynie, co czuje. Nie wydaje mi się, by potrafiła to wytłumaczyć komukolwiek. Coś nią wstrząsnęło i nie jest to żadna błahostka. Niemal zrywa się do biegu. Mówi szoferowi, żeby pojechał bez niej. Chce pójść do domu pieszo. Szofer nie ma nawet okazji nakłonić jej, by wsiadła do samochodu, bo Madeline od razu odchodzi. Noc jest zimna i bardzo wietrzna, ale kobieta nie zwraca na to uwagi. Auto zaczyna powoli jechać za nią na wypadek, gdyby lady Trawton zmieniła zdanie. Nic takiego się jednak nie dzieje i po jakimś czasie bentley ginie wśród innych samochodów.

Wraz z pierwszymi kroplami deszczu Madeline zaczyna płakać. Idzie powoli chodnikiem z rękami w kieszeniach, plecy ma przygarbione, a mokre włosy lepią się jej do twarzy. Jak zranione zwierzę w poszukiwaniu odosobnionego miejsca, w którym mogłoby się położyć, by wylizać rany, skręca z głównej ulicy w alejki i wąskie przesmyki, aż natrafia na mokrą ławeczkę. Siada na niej i kryje twarz w dłoniach. Szloch wstrząsa całym jej ciałem. Zastanawiam się nad tym, co myśli. Bardzo się skupiam i chyba wiem.

Powinam jej współczuć, ale zamiast tego odczuwam jedynie triumf, bo teraz pojedzie do Irlandii i sprowadzi córkę do Londynu. Rozdzieli Ellen z Conorem i mój mąż znowu będzie należał do mnie. Nie sądzę, żeby dziewczyna sprzeciwiła się matce. Widziałam, co Madeline potrafi zdziałać, i wiem, że nie da się lekceważyć. Ellen wyjdzie za Williama. Koniec końców to odpowiedni dla niej mężczyzna. Irlandia pozostanie jedynie słodko-gorzkim wspomnieniem. Czy Ellen naprawdę uważa, że tam pasuje?

Obserwuję Madeline, która ocieka deszczem. Jej szloch słabnie do okazjonalnego pociągnięcia nosem, czasem przebiegnie ją dreszcz. Siedzi tak dość długo, patrząc przed siebie, jakby wspomnienia przewijały się jej przed oczami. Jest pogrążona w myślach, a ja próbuję rozszyfrować, co widzi. Co dziwne, gdy tak siedzi z przemoczonymi włosami i rozmazanym makijażem, wygląda jak Ellen. Pod nienaganną maską lady Trawton kryje się załamana kobieta. Domyślam się, że tak właśnie będzie wyglądać Ellen, kiedy Conor ją wrzuci do tego samego worka co wszystkie poprzednie kochanki.

Czuję, jak robi mi się niedobrze. To wrażenie, choć nie wiem, co je wywołało, przepętnia mnie smutkiem. Wiem, że to współczucie, i gardzę sobą za tę słabość. Nie osiągnę nim tego, czego chcę. Przez współczucie stracę wszystko, co dla mnie cenne. Koncentruję się na swoim celu i po chwili wyczuwam obecność znajomego mroku, który osłania mnie jak peleryna. Odpycham współczucie ogromną nienawiścią do Ellen.

Nagle zza zakrętu wyłania się bentley i jego przednie reflektory oświetlają

nieszczęsną kobietę siedzącą samotnie na ławce. Samochód zatrzymuje się obok niej. Madeline wyrywa się z transu i głęboko wciąga powietrze

Ellen miała teraz wrażenie, jakby od zawsze mieszkała z ciotką Peg w Ballymaldoon. Choć była u niej dopiero od ponad dwóch tygodni, czuła się tu jak w domu. Znali ją wszyscy ludzie w miasteczku. Miejscowi witali się z nią, kiedy przyjeżdżała po zakupy dla ciotki albo gdy siedziała w Saganie Złota z Johnnym, Joem lub Dylanem. Ludzie już się na nią nie gapili, jakby przybyła z księżycą, bo uznali ją za członkinię klanu Byrne'ów. Dopilnowali tego jej wujkowie, otaczając ją opieką i wysyłając miejscowym bardzo jasny komunikat, że jest jedną z nich.

Lubiła pomagać Alannie w sklepie. Nie miały zbyt wielu klientów, ale od czasu do czasu znajomi i rodzina wstępowali do nich na krótką pogawędkę, więc nigdy się nie nudziła. Poza tym lubiła towarzystwo Alanny. Jej ciotka była prostą kobietą o wspaniałym poczuciu humoru i bardzo dobrym sercu. Zawsze docierały też do niej wszelkie miejscowe ploteczki, którymi ochoczo się dzieliła. Umiały sobie czas trwającymi w nieskończoność rozmowami nad niezliczonymi kubkami herbaty.

Wieczorami, kiedy Ellen nie grała z Dylanem, rozgrywała z Oswaldem partyjkę szachów albo wraz z Oswaldem, Peg i Joem grała w brydża. Dni wyznaczały wizyty w Saganie Złota, gdzie zawsze spotykała swoich wujów i kuzynów, i gdzie czekał na nią Dylan z nowym pomysłem na piosenkę.

Do piątku jej tęsknota za Conorem stała się niemal nie do zniesienia. Codziennie rozmawiali i wysyłali sobie wiadomości, ale Ellen strasznie brakowało jego fizycznej obecności. William i matka zostali wyparci w bardzo odległe zakamarki jej pamięci, więc prawie się nimi nie martwiła. Conor wypełniał każdą jej wolną myśl i tak w nich dominował, że Ellen brakowało miejsca na cokolwiek innego.

Kiedy wrócił z Dublina w piątkowe popołudnie, przyjechał po Ellen do domu Peg, ale zamiast zabrać ją do Reedmace House, zatrzymał się przed zamkiem.

- Co tu robimy? - zapytała, podekscytowana myślą, że będzie mogła wejść do sanktuarium, które do tej pory było poza jej zasięgiem.

- Przywiozłem ze sobą mamę i dzieci. Pomyślałem, że to też jest mój dom. Nie ma tu zbyt wielu mebli, ale nie widzę powodu, dlaczego mielibyśmy ich nie użyć. - Wsunął dłoń pod włosy dziewczyny i objął ją za kark. - Tutaj będziemy zupełnie sami.

Chciała mu przypomnieć, że uważała zamek za nawiedzony, ale to

przemilczała. Wpatrywał się w nią rozradowanymi oczami, wyrażającymi jego kosmate myśli, więc szybko zapomniała o duchu jego żony.

- Chcę zabrać cię na górę i się z tobą kochać - powiedział, nachylając się nad nią, by musnąć jej wargi. Muśnięcie przerodziło się w żarliwy pocałunek i na chwilę oboje zapomnieli o zamku i łóżku, które czekało na nich na górze. Ellen zamknęła oczy, wciągnęła nosem znajomy zapach ukochanego, który działał na nią jak narkotyk, i z radością dała się ponieść chwili.

Niechętnie się od niej oderwał.

- Chodźmy stąd, zanim się zagalopuję i zafunduję Johnny'emu, Joemu i innym przedstawienie, jakiego w życiu nie zapomnę!

Ellen się roześmiała i wysiadła z samochodu, biegnąc za Conorem do wejściowych drzwi. Przekręcił klucz w zamku. Wielkie drzwi otworzyły się z łatwością i weszli do środka. Conor zamknął je za nimi i zaryglował. W korytarzu było ciemno, ale portret Caitlin zdawał się łąpać niewielką ilość światła, jaka wpadała przez okna, tworząc wokół niego niesamowitą poświatę. Conor nie mieszkał w zamku, ale szybko wziął Ellen za rękę i poprowadził po szerokich schodach. Zastanawiała się, dlaczego nie ściągnął obrazu. Jeśli Caitlin tak bardzo go dręczyła, dlaczego nadal tu wisiła? By kontynuować dzieło?

Jej uwagę jednak od razu przykuły uroki starej, pięknej budowli, kierując myśli w inną stronę. Choć meble i inne obrazy zostały zabrane, podłogi nadal przykrywały szkarłatne dywany, a karnisze i boazerie pozostały na swoich miejscach. Zamek miał piękną strukturę, tak jak kobieta, której uroda nie wymaga wielu ozdób, by uwydatnić jej naturalne piękno. Ellen mogła sobie jedynie wyobrazić, jak wspaniale wyglądało to miejsce, kiedy było czymś domem.

Conor nie ociągał się i szybkim krokiem przemierzył długi korytarz, półpiętro i kolejny pokryty dywanem hol, aż w końcu otworzył małe drewniane drzwi znajdujące się na końcu, tak niskie, że musiał się przygarbić. Po drugiej stronie znajdowała się wąska klatka schodowa. Drewniane stopnie były wytarte pośrodku przez chodzące po nich całe wieki stopy.

- Dokąd mnie zabierasz? - zapytała Ellen, oczarowana niezwykłością tego miejsca.

- Na wieżę, gdzie mam zamiar cię więzić i robić z tobą wszystko, na co tylko będę miał ochotę.

- Nie mogę się doczekać!

Znów się roześmiała i pobiegła za nim po schodach. Na ich szczycie znajdowało się wąskie, zakratowane okno.

Conor otworzył jeszcze jedne drzwi.

- A tu, moja księżniczko, jest twoja cela.

Ellen weszła do okrągłej sypialni wypełnionej rzeczami Conora. Znajdowało się tu łóżko z baldachimem, nakryte kotarami z haftowanego niebieskiego jedwabiu i szkarłatną lamówką. Drewnianą podłogę przykrywały perskie dywany, na biurku piętrzyły się książki i gazety, a pod ścianą stała stara szafa, specjalnie zaprojektowana tak, by pasowała do zaokrąglonych murów pomieszczenia. Na ścianach wisiały obrazy. W sypialni znajdowały się dwa okna z ławkami na drewnianych parapetach, gdzie można było czytać w naturalnym świetle, i z ciężkimi jedwabnymi zasłonami, które miały chronić przed chłodem. Obok znajdowała się śliczna mała łazienka. Wieża wyglądała tak, jakby Conor mieszkał w niej na stałe.

Wziął ją w ramiona.

- Podoba ci się?

- Bardzo. Jak często tu przychodzisz?

- Za każdym razem, kiedy potrzebuję побыć sam. - Pocałował ją w skroń. - Jesteś jedyną kobietą, którą kiedykolwiek tu przyprowadziłem. Nie da się już wejść głębiej w mój prywatny świat. Chciałem się nim z tobą podzielić.

- Och Conorze... Nie wiem, co powiedzieć.

- Więc nic nie mów. - Uniósł palcem jej podbródek. - Pozwól mi się tylko tobą nacieszyć. Czekałem na to cały tydzień.

To miejsce było bardziej romantyczną scenerią do kochania się niż Reedmace House. Tu nikt nie mógł ich znaleźć. Tu byli zupełnie sami. Ellen czuła się tak, jakby zajrzała w duszę Conora. Atmosferę miejsca przesycały emocje - nieważne, czy był to żal, wściekłość, szczęście, czy miłość. Ellen wyobrażała sobie, że Conor szukał tu schronienia przed każdym atakiem.

Nie spieszyli się. Nie mieli powodu. Czuli się tak, jakby byli w chmurach, gdzie nie mógł dopaść ich czas. Zgłębiali swoje ciała, jakby kochali się po raz pierwszy i delectowali każdym odkryciem.

Chemia między nimi była tak doskonała, że każdy dotyk zdawał się odkrywać przed nimi kolejne warstwy doznań i pogłębiał ich wzajemne zaufanie. Kiedy Ellen patrzyła w oczy Conora, nie widziała mroku, tylko przejrzysty błękit letniego nieba.

Potem leżeli i rozmawiali. On opowiadał jej o nowym pomysle ekranizacji powieści przygodowej, którą uwielbiał jako dziecko. Był tym bardzo podekscytowany. Ona opowiedziała mu o Dylanie i muzyce, którą razem tworzyli.

- Kiedy śpiewamy razem, coś niezwykłego dzieje się z naszymi głosami.

- Jak w ABB-ie - drażnił się z nią, uśmiechając czule.

- Nawet lepiej - odpowiedziała. - Okazuje się, że w młodości Dylan był dość sławny.

- Wiem. Mam nawet chyba jakieś jego płyty.
- Jedną mu ukradłam, choć wolę myśleć, że ją pożyczyłam.
- Czemu po prostu nie zapytałaś, czy ci jej nie da?
- Z jakiegoś powodu nie chciał. Prosiłam go, a on zaczął udawać, że nie wie, gdzie są. Ale wiedziałam, że kłamie, bo kiedy wcześniej był w kuchni, a ja rozglądałam się po salonie, natknęłam się na całą ich stos.
- I jak ci się podoba?
- Jeszcze jej nie słuchałam.
- A masz ją przy sobie?
- Tak, jest w mojej torebce.
- W takim razie ją włączmy.
- Dobrze. Na pewno jest bardzo dobra. Dylan ma przepiękny głos.

Ellen odszukała swoją torebkę pod stertą ubrań, które rzucili na podłogę, i wyciągnęła płytę. Przeczytała tytuł.

- Głos ciszy. Czuję, że nie będzie wesoło.
- Nic w tym dziwnego. Pewnie napisał te piosenki o twojej mamie.
- A ona o niczym nie wie.

Ellen westchnęła ze zniecierpliwieniem na myśl o swojej matce i podała mu płytę.

Mierzył wzrokiem jej nagie ciało.

- Niezła z ciebie ślicznotka, Ellen.
- Dzięki, Conorze - odparła i zalotnie zatrzęsa pupą w drodze do łóżka.
- Włączył płytę i położył się na Ellen.
- Trzęsienie w ten sposób pupą to jakby prowokowanie płachtą byka.

- Czyli jesteś bykiem? - Zaśmiała się chrapliwie. - Nie za bardzo sobie schlebiasz?

Uciszył ją pocałunkiem wraz z pierwszymi delikatnymi dźwiękami gitary, które dobiegły ich z głośników. Na chwilę zatracili się w sobie, gdy Dylan śpiewał o miłości i stracie. Żadne z nich jednak nie skupiało się na tekście piosenki. Melodie okazały się chwytliwe, śpiewał głębokim i chwytającym za serce głosem, ale byli zbyt zajęci sobą, by zauważyć motyw przewijający się przez wszystkie utwory. Dopiero kiedy chwilę później przytulili się do siebie, skupili się na słowach.

Dłoń, którą Conor gładził Ellen po włosach, nagle się zatrzymała. Ciało dziewczyny, ciepłe i zrelaksowane przy jego boku, zamarło. Żadne z nich nie powiedziało ani słowa. Słuchali. Im dłużej Dylan śpiewał, tym bardziej stawało się dla nich jasne źródło jego nieszczęścia. W końcu Ellen usiadła i spojrzała na Conora. Była blada jak kreda.

- On śpiewa o mnie - powiedziała.

- Wiem - odparł łagodnym tonem.

Zakryła dłonią usta.

- Od jakiegoś czasu miałam dziwne przeczucie, ale nie wiedziałam, co to było. Powinam się domyślić.

- Niby jak?

- Ty się domyśliłeś. Widzę po tym, jak na mnie patrzysz. Wpadłeś na to już wcześniej, prawda?

- Kochanie, dlaczego matka dałaby ci na imię Ellen, gdybyś nie była dzieckiem Dylana?

- O Boże, jestem dzieckiem Dylana. Nie jestem córką mojego taty. - Jej twarz przybrała gwałtownie strapiony wyraz. - Nie chcę być dzieckiem kogoś innego. - Fala emocji uniosła się z jej brzucha i eksplodowała gigantycznym szlochem. - Chcę być córką taty!

Conor usiadł i mocno ją objął, po czym czule pocałował w głowę.

- Zastanawiałem się, czy kiedykolwiek się o tym dowiesz.

- Powiedziałbyś mi?

- Oczywiście, że nie. Niektórych rzeczy lepiej nie wiedzieć.

- No, ale mleko się rozlało. Nie mogę udawać, że o niczym nie wiem. Nic już nie będzie takie samo.

- Co masz zamiar zrobić?

- Nie wiem. To taki straszny szok. Nie mam pojęcia, co robić. - Pociągnęła nosem i dała się opanować kolejnej fali rozpacz. - Zupełnie nie przypominam mojego ojca, prawda? To znaczy Anthony'ego...

Conor zrobił oburzoną minę.

- Ellen, on jest twoim ojcem bez względu na to, czy cię spłodził, czy nie - powiedział stanowczo.

- Wiem, ale teraz to brzmi tak dziwnie.

- Nieprawda. To tylko biologia. Twój ojciec poświęcił ci swój czas, miłość i troskę.

- Myślisz, że mama oszukała też i tatę? Myślisz, że on wie? Na pewno nie. Nigdy nie przeszło mi przez myśl, że mogę nie być jego. Nigdy. - Pokręciła głową. - On na pewno nie wie.

- Jeśli tak, to twoja matka działała z szybkością błyskawicy.

- Dlaczego nie wyszła za Dylana? Skoro jestem jego dzieckiem, to czemu matka nie wyszła za niego?

- Będziesz musiała ją o to zapytać.

- Gdybyś znał moją matkę, wiedziałbyś, że to niemożliwe. Nie mogłabym o to zapytać. Padłaby trupem.

- Wcale nie padnie trupem, a ty się dowiesz prawdy. Musicie chyba wszyscy popracować nad komunikacją w rodzinie.

Odwróciła się do niego, by móc mu spojrzeć w twarz.

- Musiała zająć się ciężko z Dylanem, a potem wmówić ojcu, że to jego dziecko. Dlatego pobrali się w takim pośpiechu.

- Zastanawiam się, skąd Dylan wiedział, że jesteś jego córką.

- Dostał list od matki po moich narodzinach. Poprosiła go w nim, żeby po nią przyjechał. Pewnie wtedy mu powiedziała.

- I co zrobił?

- Pojechał do Londynu, ale kiedy zobaczył, jak się różni od dziewczyny, którą znał, wrócił do Irlandii.

- I spędził kolejne trzydzieści trzy lata na rozpamiętywaniu tego wszystkiego.

- Właśnie.

Patrzyła na Conora wielkimi, mokrymi od łez oczami.

- Powiedz prawdę, Conorze. Widzisz Dylana w mojej twarzy?

Przyjrzał się jej.

- Kolor włosów i karnacja są takie same. A twoje oczy? Cóż, też są jego. - Uśmiechnął się do niej życzliwie. - Ale ty jesteś ładniejsza.

- To czyste szaleństwo!

Znow ją pocałował.

- Twoja matka nieźle się spisała, ukrywając to przed tobą przez te wszystkie lata. Gdybyś nie przyjechała do Irlandii, nigdy byś się nie dowiedziała.

- Dlatego nigdy nie chciała, żebym tu przyjechała. Biedny Dylan. Stracił swoje dziecko.

Conor pokręcił głową.

- To naprawdę okrutne. Sam jestem ojcem i mogę ci przysiąc, że gdyby żona uciekła mi z dzieckiem, to... to chyba bym zwariował.

- Z tego, co słyszę, Dylan też trochę stracił rozum.

- Cóż, wyraził wszystko, co mu leżało na sercu, w swoich piosenkach.

- Są piękne.

Westchnęła ze smutkiem.

- Piękne i o tobie, Ellen. Wydaje mi się, że on bardziej tęsknił za tobą niż za twoją matką.

- Nic dziwnego, że chciałam grać w zespole. Mam to w genach. - Jej twarz się ożywiła. - Nic dziwnego, że matka próbowała mnie powstrzymać. Zakazywała mi wszystkiego, co mogłoby zasugerować ludziom, że nie należę do rodziny. Starła się, żebym była taka jak moje siostry. Teraz wiem, dlaczego nigdy jej się nie

udało. Jestem Ellen Murphy, a Leonora i Lavinia nie są moimi siostrami. W głębi duszy jestem zwykłą i prostą Ellen Murphy!

- Wolę Ellen Murphy niż Ellen Trawton - stwierdził Conor. - Co za pretensjonalne nazwisko.

Objęła go za szyję i pozwoliła się mocno przytulić.

- Dzięki Bogu, że cię mam, Conorze - powiedziała.

Przycisnęła wargi do delikatnej skóry jej szyi.

- Dzięki Bogu, że ja mam ciebie, Ellen Murphy.

Później ubrali się i zeszli wąskimi schodkami do wyłożonego szkarłatnym dywanem korytarza.

-Nie chcę się z tobą rozstawać dziś wieczorem, Ellen. - Conor zatrzymał się na szczycie schodów i wziął ją za rękę. - Dasz sobie radę?

- Muszę się rozmówić z Dylanem. Pojedziesz ze mną?

- Oczywiście. Chcesz, żebyśmy pojechali teraz?

- Wydaje mi się, że sprawa nie może czekać.

- W takim razie jedziemy. - Wziął ją za rękę. - Załatwimy to razem.

Kiedy jechali drogą, Ellen zdała sobie sprawę, że Irlandia całkowicie ją zmieniła. Teraz nie było już odwrotu. Zrzuciła skórę jak wąż i okazała się zupełnie inną osobą. Już nie była Ellen Trawton. Czuła się, jakby Londyn był sceną, a Connemara jej prawdziwym życiem. Rzeczywistość cały czas cierpliwie tu na nią czekała, wiedząc, że głębokie nurty życia pewnego dnia zawiodą ją do domu, i właśnie tak się stało. Tu czuła się w pełni sobą. Nie było dla niej innego miejsca na ziemi.

Connor wziął ją za rękę i uścisnął.

- Dasz sobie z tym radę, Ellen - powiedział.

- Czy nie powinnam teraz wycić z żalu i zaciskać zębów? Czuję się dziwnie spokojna.

- Jesteś w szoku.

- Być może, ale z drugiej strony teraz mam odpowiedź na najbardziej nurtujące mnie przez całe życie pytanie: Dlaczego czuję się inna?

- Ellen, czujesz się inna, bo matka chciała z ciebie zrobić kogoś, kim nie jesteś. W ten sposób cały czas podkreślała, jak bardzo się różnisz od sióstr. Gdyby tylko pozwoliła ci być sobą, nigdy nie czułabyś się jak odmieniec.

- To prawda. Całe życie próbowałam się gdzieś dopasować. Zawsze czułam się tak, jakbym grała jakąś rolę.

- Może masz w sobie więcej z Murphych niż Byrne'ów.

- O Boże, jestem stuprocentową Irlandką!

- To o pięćdziesiąt więcej niż ja.

- Mam nadzieję, że Dylan się nie zdenerwuje, że ukradłam mu płytę.
- Zwariowałaś? Jesteś jego córką. - Pokręcił głową. - Czekał na to od ponad

trzydziestu lat.

Conor zaparkował na tyłach Sagana Złota. Dopiero kiedy Ellen wysiadła z samochodu, poczuła, jak bardzo trzęsą jej się nogi. Serce zaczęło jej łomotać i nagle poczuła w gardle wzbierające emocje, które zaczęły tworzyć wielką gulę. Conor wziął ją za rękę.

- Jesteś pewna, że chcesz to zrobić właśnie teraz?
- Całkowicie.
- W środku jest pewnie mnóstwo ludzi.
- Wiem. Poproszę go, żeby wyszedł na zewnątrz, i wtedy mu powiem.
- Może ja pójdę za ciebie?
- Nie, zrobię to sama - uparła się.
- W porządku - powiedział, kierując się w stronę drzwi. - Zrobimy to razem.

Conor pchnął drzwi i oboje weszli do środka. Pub był pełen stałych bywalców. Gdyby Ellen pojawiła się tam sama, nikt nie zwróciłby na nią najmniejszej uwagi. Ale ponieważ weszła z Conorem, w Saganie Złota zapanowała grobowa cisza i wszystkie oczy zwróciły się w ich stronę. Conor przystąpił do działania, ignorując nieskrywaną ciekawość tłumu. Zaczął rozglądać się po twarzach w poszukiwaniu Dylana. Dostrzegł go siedzącego na końcu stolika pod ścianą, obok Jimmy'ego i Joego. Nie puszczając dłoni Ellen, poprowadził ją przez tłum.

Dylan wyprostował się, widząc, że idą do niego. Na jego twarzy pojawił się cień niepokoju. Na moment w jego oczach błysnęło to samo szaleństwo co podczas ich pierwszego spotkania, i Ellen poczuła w sercu nagły przyptyw współczucia. Dylan wstał. Miała tylko go poprosić, aby wyszedł z nią na zewnątrz, ale poczuła, że niosą ją fale emocji, nad którymi nie panuje. Oto stał przed nią mężczyzna, który dał jej życie, a mimo to nigdy jej nie znał. Jak matka mogła zrobić mu coś takiego? Jak mogła to zrobić jej? Ellen starała się zdusić w sobie łzy. Nie chciała rozpłakać się przy wszystkich w pubie, ale czuła w piersi ból i ledwie była w stanie trzymać emocje na wodzy.

- Wszystko w porządku, Ellen? - zapytał Dylan, patrząc na nią badawczym wzrokiem. Wyglądał na tak zmartwionego, że dziewczyna go przytuliła.

- Ja wiem - szepnęła mu do ucha i mocniej przycisnęła do siebie. Minęła chwila, zanim dotarło do niego, co powiedziała, i Ellen poczuła, jak jego ramiona przytulają jej trzęsące się ciało.

- Och Ellen! - jęknął.
- Ukradłam jedną z twoich płyt i przepraszam cię za to. - Odsunęła się od

niego i przyjrzała się mu, jakby widziała go po raz pierwszy. - Powinnam się domyślić, prawda?

Dylan się wyprostował, słysząc, jak po pubie rozchodzi się szmer. Zwrócił się do Conora.

- Chodźmy się napić herbaty. Umieram z głodu, zjadłbym konia z kopytami. Joe przyglądał się im z zaciekawieniem.

- Jezu, o co w tym wszystkim chodzi? O czymś nie wiem?

Jego ojciec, który przybrał bardzo poważną minę, uciszył go jednym spojrzeniem, mocnym jak policzek. Nie odezwał się słowem, tylko w zamyśleniu patrzył, jak Conor, Dylan i Ellen wychodzą w ciemną noc.

Kiedy znaleźli się na zewnątrz, Conor wziął Ellen za rękę.

- Chcesz, żebym sobie poszedł i zostawił was samych? Chyba nie powinienem się narzucać.

- Nie, chcę, żebyś poszedł z nami - odpowiedziała. - Nie masz nic przeciwko temu, Dylanie?

- Chodźmy. Nie wiem, jak ty, Conorze, ale ja muszę się napić whisky. Dla małej złodziejki mam coś bez procentów. Tych lepkich palców nie masz po mnie, Ellen.

- Chciałam tylko posłuchać twoich piosenek - wyjaśniła mu, idąc za nim uliczką. Nadal mocno trzymała Conora za rękę, żeby ulżyć swoim trzęsącym się nogom, które zdawały się dziwnie niezależne od jej ciała.

- Jezu, co na to wszystko powie twoja matka? - mruknął Dylan, wkładając rękę do kieszeni.

- Nic jej nie powiem.

- Tak ci się teraz wydaje, ale w końcu i tak wszystko wychodzi na jaw.

- Mam prawo wiedzieć, kto mnie spłodził.

- To na pewno skomplikuje wiele rzeczy - uprzedził ją Dylan.

Ellen wiedziała, że to nie jedyna komplikacja, o jakiej wkrótce powie matce.

- Mam ci do zadania tyle pytań - zaczęła.

- Daj się przynajmniej człowiekowi napić, zanim rozpoczniesz przesłuchanie - upomniał ją Conor.

- Mądrze powiedziane - skwitował Dylan, zatrzymując się przed drzwiami swojego domu.

- Jak na społeczność, która tyle plotkuje, nieźle ci się udało utrzymać to w tajemnicy - powiedziała Ellen.

Kiedy weszli do środka, Finch skoczył na Conora, wyczuwszy zapach Magnuma na jego ubraniach, i jednocześnie z zapalem zamerdał ogonem.

- Siad! - nakazał Dylan, ściągając płaszcz i czapkę, które powiesił potem w korytarzu.

Conor pomógł Ellen zdjąć kurtkę i powiesił ją razem ze swoją, po czym, kładąc dłoń na jej plecach, poszedł z nią do salonu, gdzie Dylan nalewał już dwie duże whisky. Upił tyk i podał drugą szklankę Conorowi.

- Pójdę po colę - powiedziała Ellen, udając się do kuchni. Dobiegała ją

rozmowa mężczyzn w salonie, ale nie słyszała dokładnie, o czym mówią. Otworzyła lodówkę. Oprócz kilku butelek gazowanych napojów i coli nie było tam dużo jedzenia. W szafce nad kredensem znalazła szklankę i przelała do niej puszkę coli. Rozejrzała się wokół, myśląc o mężczyźnie, który okazał się jej ojcem. Nie mogła jeszcze w pełni sobie tego wszystkiego przyswoić. Oczywiście wydawało się to logiczne. Otrzymywała też dzięki temu odpowiedzi na wiele dręczących ją pytań. Ale gdzie sytuowało ją to w rodzinie, której nie czuła się częścią? Co to znaczyło dla jej ojca? Nic się nie zmieniło oprócz samej świadomości, ale w dziwny sposób już sama ta wiedza wszystko zmieniała. Ostatnich trzydziestu trzech lat nie można było wymazać, ale teraz Ellen patrzyła na nie inaczej. Mrowienie, jakie czuła w całym ciele, potwierdzało jej szok, ale nie takiego zachowania się po sobie spodziewała. Dlaczego nie darła włosów z głowy, nie oskarżała matki o zdradę i nie płakała nad swoim życiem zbudowanym na kłamstwie? Wraz Dylanem mieli pełne prawo zdemolować z wściekłości cały dom.

Kiedy wróciła do pokoju, Dylan siedział w fotelu i palił rothmansa, Conor zaś rozsiadł się na sofie. Ich szklanki były już do połowy puste. Żłocisty płyn połyskiwał w żółtym świetle lamp. Ellen usiadła na kanapie pomiędzy nimi i pomyślała, jakie to niezwykle, że ci dwaj mężczyźni, których ledwie co poznała, są teraz najważniejszymi ludźmi w jej życiu. Dwa tygodnie temu nie znała żadnego z nich, a jej życie było nieporównywalnie uboższe.

Dylan uśmiechnął się do niej z czułością. Elen wiedziała teraz, że to czułość ojcowska.

- A więc wiesz - powiedział zwyczajnie.
 - Wiem - odparła, czując nagły przyptyw nieśmiałości. - Twoje piosenki są bardzo piękne.
 - Dziękuję. Miałem dobre natchnienie.
 - Z pewnością gdybyś zaśpiewał o dziecku, z którym cię rozdzielono, wszyscy, którzy znali ciebie i mamę, od razu by się domyślili.
 - Nikt nie wiedział, że jest w ciąży - odparł.
 - A ty wiedziałeś? - zapytał Conor.
 - Wtedy jeszcze nie. - Dylan znów upił łyk. Jego jabłko Adama uniosło się i opadło zdecydowanym ruchem, kiedy przetykał. - Dowiedziałem się z listu.
 - Z listu, który mama wysłała ci po moich narodzinach?
 - Zgadza się.
 - Nadal go masz? - zapytał Conor.
- Dylan pokiwał twierdząco głową.
- Tak. Sentymentalny ze mnie głupiec. Ellen, podaj mi to pudełko - powiedział, pokazując na górę wysokiej komody. - Będziesz musiała stanąć na

krześle.

Dziewczyna ledwie widziała pudełko, które wystawało zza ozdobnej listwy wysokiego mebla.

- Pozwól - wtrącił się Conor, odstawiając na stolik swoją szklankę. - Jestem wyższy.

Ellen patrzyła, jak staje na krześle i sięga po pudełko. Ściągnął je i podał Dylanowi. Ten położył je sobie na kolanach i podniósł pokrywę. Dziewczyna była ciekawa, co jest w środku.

Dylan przeszukiwał jego zawartość, aż znalazł list. Przytrzymał papierosa między wargami i wyciągnął z koperty złożoną kartkę papieru. Ellen rozpoznała jasnoniebieski papier listowy matki i herb rodzinny wytłoczony na złoto na skrzydełku koperty. List również zaczynał się złotymi literami, którymi wypisany był adres w Eaton Court. Dylan przez chwilę patrzył na kartkę, po czym podał go Ellen. Przeczytali go razem z Conorem.

Najdroższy Dylanie,

Nie wiem, co powiedzieć, poza tym że przepraszam Cię, że wyjechałam bez pożegnania. Musisz mnie nienawidzić za to, że uciekłam, i wcale ci się nie dziwię. Ja też siebie za to nienawidzę. Chciałabym móc powiedzieć, że nie miałam wyboru, ale zawsze jakiś mamy; ja podjęłam złą decyzję, której teraz gorzko żałuję. Mam nadzieję, że kiedy przeczytasz ten list, zrozumiesz. I mam nadzieję, że siedzisz.

Mam córkę. Ona ma Twoje oczy, Dylanie. Dałam jej na imię Ellen, choć Anthony chciał nazwać ją Leonora albo Lavinia po swojej babce i prababce. Te wytworne angielskie rodziny mają hopla na punkcie imion. Walczyłam jednak i wygrałam.

Pamiętasz nasze ostatnie lato, kiedy cały czas było mi niedobrze, a Ty ułożyłeś tę śmieszoną piosenkę „Rzygam jak kot”, żeby poprawić mi humor? Nie poczułam się dzięki niej lepiej, ale z pewnością nieźle się uśmiełam! Niedługo potem zdałam sobie sprawę, że muszę być w ciąży. Anthony chodził za mną krok w krok. Ty szalałeś z zazdrości, ale mnie to schlebiało. Chyba źle się zachowałam, zachęcając go. Nie myślałam o Twoich uczuciach. Przepraszam, Dylanie. Byłam egoistką, teraz to wiem. Tak czy inaczej bałam się i nie wiedziałam, co robić, więc powiedziałam Peg. Ona też się przestraszyła. Pamiętasz Emer Callaghan? Wszyscy się zastanawialiśmy, dlaczego zniknęła na jakiś czas, i Johnny rozpuścił plotkę, że zamknęli ją w więzieniu za kradzież. Peg powiedziała mi, że Emer zaszła w ciążę i wysłano ją do zakonu. Kiedy wróciła, nie była załamana z powodu pobytu w więzieniu, tylko przez to, że musiała oddać dziecko. Nie chciałam, żeby to stało się i ze mną. Wiesz, że mama nigdy nie pozwoliłaby mi zatrzymać dziecka, które dla niej byłoby bękartem. Boję się myśleć, co mogłaby zrobić. Tylko Bóg mógłby mnie

rozdzielić z moją śliczną córeczką. Za moje grzechy jestem pewnie skazana na wieczne piekło, ale to jest tego warte. Ucieczka była więc moim jedynym wyjściem. Byłeś biedny jak mysz kościelna, a Anthony miał mnóstwo pieniędzy, więc postanowiłam z nim uciec. Powinnam Ci powiedzieć, ale wiedziałam, że będziesz próbował mnie powstrzymać. Wiedziałam, że bym Ci na to pozwoliła.

Och Dylanie, codziennie za Tobą tęsknię. Mam wszystko, czego mi trzeba, a mimo to poza moją Ellen nie mam niczego, czego pragnę. Fantazjuję o naszym wspólnym życiu i zastanawiam się, jak by to było, gdybyśmy stworzyli razem dom, daleka od Ballymaldoon i Byrne'ów, gdzie moglibyśmy wychować nasze dziecko. Tęsknię za Irlandią. Tęsknię za moimi krajanami. Brytyjczycy są tacy oziębli. Anthony i ja nie śmiejemy się tak jak my. Jeśli zostanę tu dłużej, to chyba na zawsze zapomnę, co to śmiech.

Proszę Cię więc, żebyś po mnie przyjechał, Dylanie. Kiedyś mnie kochałeś i modłę się, żeby nadal tak było. Kocham Cię i zawsze kochałam. Teraz kocham Cię nawet bardziej, bo wiem, jaką torturą jest życie bez Ciebie.

Proszę, zabierz mnie do domu.

Twoja na zawsze,
Ellen Olenska

- Czy to może być odpowiedź na twoje pytania? - zapytał Dylan, kiedy dziewczyna skończyła czytać.

- Tak - odparła cicho. - Ten list zupełnie nie jest w stylu mamy.

Conor zauważył, jaka Ellen jest czerwona, i wziął ją za rękę.

- Dlaczego jej tu nie przywiozłeś? - zapytał.

Dylan wypuścił z ust chmurę dymu.

- Nie miałem pieniędzy. Co mogłem jej dać? Co mogłem dać tobie? - powiedział, zwracając się do córki.

- Nie wydaje mi się, żeby to miało dla niej jakieś znaczenie - zauważyła.

- Może nie w chwili, kiedy pisała ten list, ale znałem twoją matkę.

- Ellen Olenską u Edith Wharton nie obchodziły pieniądze - wtrącił Conor.

- Tę Olenską obchodziły - odpowiedział Dylan. - Postuchajcie, ona była już mężatką. Była lady Trawton. Długo o tym myślałem. Anthony nie miał wątpliwości, że jesteś jego córką. Gdybym nagle tam wparował, twierdząc, że to ja jestem ojcem, wywołałbym skandal. Nie mogłem tego zrobić Maddie. Podjęła decyzję. Nie jestem pobożnym człowiekiem, ale nie mogłem rozbić rodziny.

- Czyli się usunąłeś? - zapytał Conor.

- Tak. Maddie nigdy się nie dowiedziała, że pojechałem ją zobaczyć.

- A teraz pojawiłam się ja - nieśmiało wtrąciła Ellen.

Dylan uśmiechnął się z niedowierzaniem.

- Właśnie. Zupełnie niespodziewanie.

- Kto jeszcze o tym wie? - zapytał Conor.

- Twoja babka, bo Peg jej powiedziała, co oznacza, że wie też ksiądz Michael, bo on wie wszystko.

- No tak, ksiądz Michael wie - przerwała mu Ellen, przypominając sobie ich rozmowę w domu Desmond i Alanny. - Kiedy siedziałam z nim podczas lunchu, był pewny, że już wszystkiego się domyśliłam. Nie wspomniał o tym, że jestem twoją córką, Dylanie. Najwyraźniej uznał, że już o tym wiem. Tylko jedna rzecz mnie zastanawia. Zasugerował, że moja matka ma coś do wybaczenia swojej matce. Spojrzał na mnie porozumiewawczo, kiedy to mówił. Tylko co niby ona miałaby wybaczyć babci?

Dylan miał skonsternowaną minę.

- Nie wiem.

- Mogłabyś zapytać Peg - zasugerował Conor.

- No jasne, ciocia musi przecież coś wiedzieć - rzekła Ellen.

- Ale jesteś tutaj - powiedział Dylan, a jego wielkie, sentymentalne oczy szklily się z emocji. - Marzyłem, by móc kiedyś cię poznać, i oto jesteś w moim salonie. W moim życiu. Kto by uwierzył! - Broda mu drżała, a usta rozciągnęły się w niepewny uśmiech. - W jednej chwili miałem tylko wspomnienia, a w następnej mam córkę, która śpiewa jak anioł.

Jakiś czas później przygotowali wspólny posiłek i usiedli przy małym kuchennym stole. Dylan wyciągnął skądś ser i wędlinę. Wypytywał Conora o jego nowy projekt i rozmawiali o kompozytorach, którzy mogliby napisać ścieżkę dźwiękową do jego filmu. Ellen słuchała z zadowoleniem, jak analizują najlepszych autorów i filmy, do których tworzyli.

- Wiesz, że ścieżkę do Wieku niewinności skomponował Elmer Bernstein?

- Pamiętam, że był nominowany za nią do Oscara - odpowiedział Conor. -

Ale przegrał z...

- Listą Schindlera - dokończył Dylan. - Wiek niewinności to był doskonały film i choć rzadko zdarza mi się to powiedzieć, dorównał książce.

- Masz rację - odrzekł Conor. - To jeden z moich ulubionych filmów. Ellen nigdy go nie widziała.

- Ale przeczytałaś powieść, prawda? - zapytał Dylan.

- Niedawno skończyłam - odpowiedziała. - Ma smutne zakończenie - dodała, zerkając na Conora. - Ellen to jednak nie jest najszcześliwsze imię.

Uścisnął jej dłoń.

- Nie ograniczaj się jedynie do bycia bohaterką powieści.

- Twoje imię wyraża nadzieję i miłość - wtrącił Dylan. - Zresztą co, jak nie

szczęście, doprowadziło cię do mnie?

- I do mnie - przyłączył się Conor.

Dylan uniósł szklaneczkę whisky.

- Chciałbym wznieść toast.

- Z przyjemnością - powiedział Conor.

- Zdrowie Ellen, która pojawiła się w moim życiu niczym wiosenny powiew optymizmu. Dzięki tobie przyszłość rysuje się w jasnych barwach. - Oczy zaszły mu łzami i zaczął mrugać, zawstydzony. - Nigdy nie sądziłem, że to powiem.

Conor również uniósł swoją szklanę.

- Za Ellen. - Uśmiechnął się szeroko. - Sam bym nie wznosił lepszego toastu, Dylanie.

Rozeszli się dopiero po północy. Wiatr niósł znad morza drobny deszcz, a niebo zrobiło się ciemne. Ellen objęła Dylana. Mocno się przytulali, zdeterminowani, by nie dać się rozdzielić na kolejne lata. Potem Dylan stał w progu i patrzył, jak idą uliczką, trzymając się za ręce, aż zniknęli za rogiem. Wtedy wrócił do domu i zamknął za sobą drzwi.

Conor odwiózł Ellen do Peg.

- Dziękuję, że ze mną pojechałeś - powiedziała, kiedy zatrzymał się przed domem.

- Cieszę się, że pojechałem. Uszczęśliwiłaś dziś Dylana. Ale jak ty się czujesz?

- W porządku. Powinnam być zrozpaczona, ale nie jestem.

- To nadal szok - stwierdził. - Nie bądź zaskoczona, jeśli rano emocje uderzą cię z pełną siłą.

- Postaram się.

- Zadzwoń, gdybyś zaczęła się czymś martwić, dobrze? Bez względu na porę.

Ellen go objęła.

- Dziękuję.

- Przyjadę po ciebie jutro. - Wtulił twarz w jej szyję. - Szkoda, że nie mogę zabrać cię teraz do domu. Nie chcę, żebyś była tej nocy sama.

- Nic mi nie będzie, obiecuję.

- Pojedź ze mną do Dublina - zaproponował niespodziewanie.

- Kiedy?

- W przyszłym tygodniu. Wynajmę ci pokój w luksusowym hotelu...

- Ale obiecałam Alannie.

- Odkręć to.

- Nie mogę. To nie byłoby w porządku. Pojadę do Dublina, kiedy wróci

sprzedawczyni, która na stałe u niej pracuje.

- A dokąd wyjechała?

- Nie wiem. Ale na pewno wróci.

- Niech nawet nie próbuje się rozmyślić. Kiedy przyjedziesz, oprowadzę cię po moim mieście.

- Miałam pisać książkę - zaprotestowała, chcąc, by żarliwiej ją namawiał.

Roześmiał się czule.

- Jesteś moja, więc musisz być tam, gdzie ja.

- Dobrze, pojedę z tobą do Dublina.

Uśmiechnęła się.

- Obiecujesz?

- Obiecuję.

Pocałował ją.

- A więc do jutra.

- O tej samej porze?

- Tak. Stajesz się moim nawykiem.

Uśmiechnęła się do niego szeroko.

- Obyś miał fascynującą osobowość.

Znow ją pocałował.

- Mam, nie obawiaj się. Ty za to możesz sprawić, że całkiem się od ciebie uzależnię.

Machała Conorowi, kiedy odjeżdżał, po czym pobiegła do domu, by nie zmoknąć w mżawce. W kuchni paliło się światło. Poszła je wyłączyć, kiedy zza stołu usłyszała czyjś głos. Na krześle Kafki z kubkiem herbaty w ręku siedziała Peg.

- Chyba nie czekałaś na mnie, ciciu? - zapytała Ellen, widząc zdenerwowanie na twarzy kobiety.

- Usiądź przy mnie, skarbie - powiedziała kobieta delikatnym tonem.

Ellen bardzo chciała się położyć. Wiedziała, że powinna omówić z Peg to, czego się dowiedziała, ale nagle poczuła się wyczerpana, jakby w końcu uderzyła ją fala emocji. Zrobiła jednak to, o co poprosiła ją ciotka. Peg westchnęła głęboko i Ellen nie miała już wątpliwości, że to nocne czuwanie ma poważną przyczynę.

- Napijesz się herbaty? - zapytała Peg.

- Nie, dziękuję. Już na to trochę za późno - odpowiedziała dziewczyna, próbując wyczytać z oczu ciotki, o co jej chodzi.

- Jimmy wstąpił do mnie dziś wieczorem. Powiedział, że widział cię w pubie z Conorem.

- Tak, przyszliśmy szukać Dylana. - Ellen zmrużyła oczy. - Jeśli chodzi o Conora, to nie mam zamiaru tłumaczyć się jak nastolatka. Nie obchodzi mnie, co

myśli Desmond...

- Nie, nie chodzi o Conora, tylko o Dylana.

- Aha. - Ellen poczuła, jak skacze jej puls.

Peg się zawahała. Temat najwyraźniej nie był dla niej łatwy.

- Chciałam wiedzieć, czy wszystko u ciebie w porządku.

- Tak, w jak najlepszym - odrzekła dziewczyna, ale wiedziała, że ciotka jest zbyt spostrzegawcza, by dać się zwieść jej pozornej obojętności.

- Chodzi o to, że Johnny powiedział, że zachowywałaś się... trochę dziwnie.

- Poszliśmy do Dylana na herbatę.

- Rozumiem.

- Jedliśmy zapiekane ziemniaki. Nie sądzę, by Dylan umiał robić co innego.

- Pewnie masz rację. Martha jest doskonałą kucharką. Powinien się z nią ożenić. - Peg spojrzała na siostrzenicę i zmarszczyła brew. - Myślałam o tym, co mówiłaś, Ellen. O tym, jak Maddie wybrała dla ciebie imię, którym nazywał ją Dylan.

- Tak?

W tonie Ellen pobrzmiwało pytanie, ale dziewczyna wiedziała dobrze, co się szykuje.

- Chyba wiesz, co chcę powiedzieć.

- Dylan jest moim ojcem - powiedziała dziewczyna spokojnie i usiadła.

Choć Peg już się tego domyśliła, słowa Ellen odebrała jak cios. Jęknęła i upiła duży łyk herbaty, grając na zwłokę. W końcu odstawiła kubek.

- Czyli to prawda. Nigdy nie przyszło mi to do głowy. Ani razu! Przez te wszystkie lata nigdy nie pomyślałam, że to w ogóle możliwe. Aż do dzisiaj. Przez Johnny'ego zaczęłam się zastanawiać.

- Czy on też się zorientował?

- Tak. Pojęliśmy to w tym samym momencie. A właściwie Desmond już od jakiegoś czasu to podejrzewał, ale dopiero dziś się upewnił. Naprawdę jesteś do niego podobna.

- To wszystko ma sens, prawda? - powiedziała Ellen z westchnieniem. Czują się jeszcze bardziej zmęczona.

- Domyślałam się, że twój ojciec o niczym nie wie.

- Nie mam zamiaru mu mówić. Nie potrafiłabym. - Ellen przygryzła wargę. Na myśl, że mogłaby go skrzywdzić, coś ją zabolalo. - Kocham moją tatę.

- Tak będzie najlepiej. To pewnie dlatego Maddie nigdy nie wróciła do Irlandii. Zawsze się nad tym zastanawiałam.

- Dlaczego? Bo mogłaby uciec z Dylanem?

- Wszystko jest możliwe. Nasza matka przewróciłaby się w grobie, gdyby o

tym wiedziała. Maddie zaszła w ciążę nie jako mężatka, ale pewnym pocieszeniem było to, że przynajmniej poślubiła ojca dziecka. Mama byłaby wstrząśnięta, gdyby się dowiedziała, że to Dylan jest ojcem.

- Gdyby mama jej powiedziała, że jest w ciąży, to czy babcia wysłałaby ją do zakonu, a mnie oddała?

Twarz Peg wykrzywiło cierpienie.

- Obawiam się, że tak, moja kochana. Chciałabym móc powiedzieć, że jest inaczej, ale w kwestiach moralności choćby najmniejsze zboczenie z wyznaczonej ścieżki było dla twojej babci nie do przyjęcia. Urodzenie dziecka poza związkiem małżeńskim było grzechem i wstydem. Maddie postąpiła słusznie, uciekając. - Peg położyła rękę na dłoni Ellen. - Zrobiła to, żeby móc cię zatrzymać. Ja postąpiłabym dokładnie tak samo. Ale w końcu powiedziałam mamie, bo biedna nie mogła zrozumieć, dlaczego dziecko, które najbardziej kochała, uciekło.

- Na pewno nie kochała jej najbardziej - wtrąciła Ellen życzliwie.

- Oczywiście, że kochała, i wszyscy o tym wiedzieli. Kiedy Maddie zniknęła, matka się załamała. Musiałam jakoś zaradzić jej nieszczęściu. Ale tylko dołożyłam jej smutku. Kiedy matka się dowiedziała, co naprawdę zaszło, straciła serce dla Maddie i nigdy już nie wspominaliśmy w domu jej imienia. Matka umarła z zadrą w sercu. Nigdy nie wybaczyła córce.

- To takie smutne.

- Tak, to bardzo smutne. Mnie morze zabrało dziecko. Po czymś takim patrzy się na życie z innej perspektywy. Ja nie mogę już odzyskać Ciary. Ale Maddie i mama mogły się pogodzić i powinny to zrobić. Widzisz, jest coś, czego nie potrafię zrozumieć. Matka zachowywała się tak, jakby Maddie umarła, choć mogła ją odzyskać, gdyby tylko chciała. Ja nigdy nie odzyskam Ciary, nieważne, jak bardzo bym tego pragnęła. Dlaczego mama nie spróbowała? Czemu ją pogrzebała, skoro nie musiała? - Peg pokręciła głową, rozdrażniona nawrotem tłumionych w sobie wspomnień. - Bóg uczy nas miłości, a Jezus przebaczenia. To niebywałe, jak wielu chrześcijan odrzuca te dwie podstawowe nauki... Jak więc odkryłaś, że Dylan jest twoim prawdziwym ojcem? - zapytała.

- Podkradłam mu jedną z płyt i słuchałam jego starych piosenek. To było dość oczywiste.

- Tak mi przykro. Co za straszny szok.

- Wydaje mi się jednak, że już wcześniej to wyczułam. Od momentu, kiedy zdałam sobie sprawę, że nadano mi to imię z jakiegoś głębszego powodu. Chyba tylko za bardzo się bałam zmierzyć z prawdą - powiedziała Ellen ze smutkiem. - Próbowałam sobie wmówić, że zrobiła to, bo nadal była w nim zakochana. I na kilka dni naprawdę mi się to udało, aż do tej płyty. Gdy ją usłyszałam, musiałam to

już zaakceptować.

Ziewnęła, a jej oczy zaszyły łzami.

- Jesteś biała jak kreda. Powinnam cię puścić do łóżka. Chciałam się tylko upewnić, że nic ci nie jest.

- Dziękuję, ciociu Peg. Właściwie to nie wiem, jak się czuję - odrzekła Ellen.

- Jestem chyba trochę otępiała.

- To zrozumiałe, skarbie. Chodź, zaprowadzę cię do łóżka. Rankiem wrócę ci siły. - Peg wyłączyła światło i zamknęła za nimi drzwi do kuchni. - To takie poruszające, że Dylan dla ciebie wytrzeźwiał. Chce, żebyś była z niego dumna.

- To dobry człowiek. Bardzo go lubię. - Ellen weszła na schody. - To ciekawe, jak świadomość, że jest moim ojcem, nagle nas do siebie zbliżyła. To przecież tylko myśl. A jednak ta myśl zmieniła to, co do niego czuję. Zmieniła to, co czuję do Ballymaldoon.

- W jaki sposób, skarbie?

Ellen stanęła w drzwiach sypialni.

- Chcę tu zostać - odpowiedziała stanowczo.

- Nikt ci tego nie broni - rzekła Peg. - Ja bardzo chciałabym cię tu mieć.

- Jest kilka spraw, które muszę zamknąć w Londynie.

- Oczywiście.

- Ale wrócę.

- Dobrze.

- To oznacza, że będę musiała powiedzieć mamie, gdzie jestem. Boję się tego. Teraz znam prawdę...

- Nie zastanawiaj się teraz nad tym, skarbie. Jest późno. Wyśpij się.

Ellen poszła więc do łóżka, ziewając ze zmęczenia. Dylan, rodzicie i Conor przez chwilę walczyli o jej uwagę, ale widząc, że to na nic, zaprzestali, bo dziewczyna była zbyt zmęczona, żeby nawet śnić.

Kiedy Ellen obudziła się następnego ranka, nadal było ciemno, a kogut jeszcze nie zapał. Leżała w ciszy, zdziwiona chłodem, jaki czuje w sercu, i samotnością. Powoli wróciły do niej wydarzenia z poprzedniego wieczoru. Nie była córką swojego ojca. Była córką Dylana.

Usiadła spanikowana i po omacku zaczęła szukać lampy. Kiedy tylko ją znalazła, włączyła światło i potarła oczy. Wczoraj czuła niewiele, ale dziś przepełniała ją ogromna pustka. Patrzyła przed siebie, starając się domyślić, jaka jest tego przyczyna. Zastanawiała się nad tym przez pewien czas i ostatecznie doszła do wniosku, że przez tyle lat we własnej rodzinie czuła się jak wyrzutek. Ale teraz fakt, że do niej jednak nie należała, uświadomił jej, jak bardzo chciała być jej częścią. Co za ironia, że przez cały ten czas przeklinała matkę za to, że chciała ją do nich dopasować, choć głęboko w środku naprawdę tego pragnęła.

Oczy wypełniły jej się łzami, kiedy pomyślała o ojcu i o tym, czy znał prawdę. Nigdy nie traktował jej inaczej niż Leonory czy Lavinii. Nie poświęcał Ellen więcej czasu, by wynagrodzić jej to, że nie jest jego dzieckiem - ani też mniej, podążając za naturalnym instynktem, by faworyzować własne dzieci. Był zawsze sprawiedliwy, kochający i szczery. To, że Ellen nie była do niego podobna, nigdy nie stanowiło problemu. Wiele dzieci nie jest podobnych do swoich rodziców. Ellen, tak jak inne dzieci, nigdy się nad tym nie zastanawiała. To dorośli rozprawiają o sile genów i w jej przypadku rodzice doszli do wniosku, że wygrały geny matki.

Czy matce udało się więc ukryć swój sekret zarówno przed mężem, jak i przed córką? Jeśli tak, to w jaki sposób? Ellen nie była pewna, czy miałaby odwagę zapytać. Przeszłość matki zawsze była tematem tabu. Teraz rozumiała, dlaczego Irlandia została wymazana z historii jej rodziny. Dylan pozostał w Connemarze niczym żyjący dowód jej kłamstwa. Ale teraz, skoro Ellen знаła prawdę, czy matka była jeszcze w stanie ją ukryć?

Spojrzała na zegarek. Była szósta rano. Nie czuła się ani odrobinę śpiąca. Właściwie to była pobudzona jak przed pójściem do szkoły w dzień klasówki. Na zewnątrz panował mrok, ale Ellen pragnęła znaleźć się na plaży. Wiedziała, że tam lepiej się poczuje. Włożyła więc dżinsy i bluzę, po czym zeszła na dół, starając się ominąć kuchnię, żeby nie obudzić Bertiego. Nie chciała go przestraszyć. Włożyła kurtkę Peg, wełnianą czapkę i gumowce, i zeszła po zboczu różnym krokiem.

Panował nieznośny chłód. Powietrze było wilgotne od mżawki, a znad

morza wiał lodowaty wiatr. Ellen wcisnęła ręce głęboko w kieszenie kurtki Peg i skuliła ramiona, idąc pod wiatr. Zastanawiała się, jakie to uczucie być owcą, spędzającą na dworze noc za nocą, zdaną na pastwę żywiołów. Wiedziała teraz, dlaczego Peg liczyła je każdego ranka - sprawdzała, czy żadnej z nich nie porwał wiatr.

Zaczynało świtać i wschodni skrawek nieba zrobił się blady, rozjaśniając zimowy krajobraz. Światło brzasku wystarczyło, by Ellen mogła bezpiecznie podążać ścieżką prowadzącą do plaży. Ryk oceanu i wściekłe, nieprzewidywalne podmuchy wiatru szalejącego na wzgórzach sprawiały Ellen przyjemność. W dziwny sposób kołły jej duszę i uspokajały nerwy, niemal tak, jakby burza na zewnątrz przyćmiewała tę wewnątrz niej.

Szła po piasku. Fale spieszyły, by zmoczyć jej buty, a ona patrzyła w ciemność, jak gdyby stała u progu nowego życia. Widok nie był jeszcze wyraźny. Ellen nie miała pewności, dokąd idzie, ale wiedziała, że obecna zmiana bez wątpienia wpłynie na jej przyszłość - nie miała tylko pojęcia, w jaki sposób.

Pozostała na plaży do czasu, aż słońce zaczęło wschodzić za wzgórzami i latarnia wyłoniła się zza chmury, której jasne obrzeża prześwietlane przez promienie przywiodły jej na myśl Conora. Patrzyła, jak słońce staje się jaśniejsze, i czuła, że to symbol jej przyszłości. A w takim wypadku tragiczna śmierć Caitlin stanowiła dla niej zrzędzenie losu. Przyszłość Ellen była tu, z Conorem.

Wiatr przycichł i w końcu nastał dzień. Ellen szła po plaży, czując się o wiele lepiej. Jej myśli się rozjaśniły, serce wydawało się lżejsze. Postanowiła myśleć pozytywnie. W końcu niewiele dziewczyn mogło się cieszyć z posiadania dwóch ojców.

Kiedy doszła do domu, ciotka była na pastwisku i dokładała paszy owcom, przygotowując je na nadchodzący okres jagnienia.

- Wcześniej wstałaś, Ellen - powiedziała zaskoczona.

- Musiałam się przejść.

- Pewnie jesteś głodna. Domyślam się, że nie zajrzałaś do kuchni, by nie budzić Bertiego.

- Po tym, jak pokieroszował Oswalda, nie ośmieliłabym się.

- Chodź. Zrobimy sobie śniadanie. - Poszła za siostrzenicą do domu. - Jak się dziś czujesz?

Ellen westchnęła.

- Jeśli mam być szczerą, trochę się tym wszystkim niepokoję. To bardzo dużo informacji do przyswojenia. Na plaży jednak poczułam się lepiej.

- Pewnie nieźle cię tam wywiało.

- Oj, tak.

Ściągnęły kurtki i czapki, a Peg postawiła na kuchence czajnik z wodą. Ellen przemarżała na kość. Położyła się na pufie Pana Borsuka i skryła dłonie w jego futrze, żeby się rozgrzać.

- Nie bądź zaskoczona, jeśli Johnny wpadnie do nas dziś rano w drodze do pracy - powiedziała Peg, wyciągając kubki z kredensu.

- Myślę, że większość tutejszych już wie, że Dylan jest moim ojcem.

Peg szybko rozproszyła jej obawy.

- Och, Johnny nikomu by nie powiedział. Nie o czymś takim.

- Wydaje mi się, że nie mógłby się powstrzymać.

- Owszem, ale nie kiedy chodzi o dobre imię rodziny - odparła Peg stanowczym tonem. - Wystarczy, że Maddie uciekła z Anglikiem, ale jeśli nosiła dziecko Dylana... - Westchnęła ciężko. - Jezu, matka się w grobie przewraca! Dzięki Bogu, nie dożyła, by poznać prawdę. Nie, Johnny nikomu by nie powiedział, mogę ci to obiecać. - Wyjrzała przez okno. - Ale na pewno tu zajrzy.

Wypiły herbatę i zjadły owsiankę, rozmawiając w kółko na ten sam temat i zadając te same pytania, na które odpowiedzieć mogła tylko Madeline. Wkrótce usłyszały warkot samochodu, który parkował pod domem.

- A nie mówiłam - powiedziała Peg, po czym wstała, by zerknąć przez okno. Z zaskoczeniem skonstatowała jednak, że przed domem stoi range rover Conora.

- Twój adorator - oznajmiła, patrząc, jak twarz siostrzenicy się rozpromienia. - Może zaprosisz go do środka na herbatę?

Ellen wybiegła na zewnątrz, żeby się z nim przywitać. Nie wsiadła do auta, tylko podeszła do okna po stronie kierowcy i nachyliła się do środka, by go pocałować. Spojrzał na jej rozwichrzone włosy i zarumienione policzki i uśmiechnął się z lubością.

- Gdzie się rano włóczyłaś? - zapytał.

- Po plaży.

- Już?

- Obudziłam się z paskudnym uczuciem. Wiatr rozwiał moje problemy.

Wyglądał na zmartwionego.

- Powinnaś po mnie zadzwonić.

- Na dworze było ciemno.

- I co z tego? Magnumowi spodobałby się taki wczesny spacer.

- W środku czeka Peg. Wie o Dylanie. Rozmawiałyśmy o tym wczoraj wieczorem. Może wejdiesz i napijesz się z nami herbaty? Sprawiłbyś jej tym wielką przyjemność. - Przez chwilę Conor miał zakłopotaną minę. - Przrzekam, nie czeka tam na ciebie cały klan Byrne'ów - dorzuciła.

Zanim jednak zdążył odpowiedzieć, ich uwagę zwrócił błyszczący czarny

samochód, który powoli toczył się po wiejskiej drodze ku domowi Peg.

- Kto to? - zapytał Conor.

- Na pewno nie Johnny - odpowiedziała Ellen.

Peg, która w tym czasie stała przy oknie, wyszła na zewnątrz.

- Spójrzcie tylko na to eleganckie auto! Ktoś się pewnie zgubił. Nie spodziewasz się nikogo, Conorze?

- Nic mi na ten temat nie wiadomo - odrzekł.

Samochód zwolnił, zbliżając się do domu. Za szybami dostrzegli kierowcę i kobietę na tylnym siedzeniu w grubym płaszczu, rękawiczkach i kapeluszu.

Ellen wstrzymała oddech i pobladła.

- To moja matka - wydusiła z siebie, zanim kierowca wysiadł z samochodu i obszedł go, by otworzyć drzwi lady Trawton.

Peg opuściła ręce i patrzyła z niedowierzaniem i zdziwieniem na dziwną kobietę, która stała przed nią - piękną, ale niepewną mimo wytwornego stroju. Przez - jak się zdawało - trwającą w nieskończoność chwilę nikt się nie odezwał. Wszyscy z rezerwą mierzyli się wzrokiem jak kowboje w starym westernie, którzy czekają, aż ktoś w końcu wyciągnie broń.

W końcu Madeline przerwała ciszę.

- Witaj, Peg - rzekła.

- Maddie? - odpowiedziała Peg, szukając w twarzy kobiety dziewczyny, którą kiedyś znała. - To naprawdę ty?

- Przyjechałam po córkę - oznajmiła chłodnym tonem. - Twój liścik był niedopuszczalny, Ellen. Wrócisz do domu, wyjdiesz za Williama i skończymy z tymi głupstwami.

Teraz Conor zrobił zaskoczoną minę. Spojrzał na Ellen.

- Wychodzisz za męża?

- Miałam ci powiedzieć - zaczęła.

- Oczywiście, że wychodzi za męża! - weszła jej w słowo matka. Zacisnęła zęby i spojrzała na przystojnego mężczyznę w samochodzie. - Kim pan jest?

- Conor Macausland - odpowiedział chłodno, ale nie wyciągnął ręki ani nie wysiadł z auta.

Po minie córki lady od razu pojęła rodzaj łączącej ich relacji.

- Ellen jest zaręczona z Williamem Sackville'em. Nie powiedziała?

Twarz Conora zrobiła się czerwona i poważna. Na chwilę przymknął oczy, powoli wciągając powietrze przez nos.

- To dlatego uciekałam - powiedziała Ellen. - Bo nie chciałam za niego wyjść.

Kiedy Conor otworzył oczy, były ciemne i obce. Serce Ellen nagle stało się ciężkie.

- Powinnaś mi powiedzieć - szepnął.

- Miałam taki zamiar.

Zacisnęła ręce na kierownicy.

- Na pewno? - Przekręcił kluczyk w stacyjce i na ryk silnika Ellen zrobiła krok do tyłu. - Najlepiej będzie, jak zostawię was same.

- Miałam zamiar ci powiedzieć, Conorze, przyrzekam - zapewniała go dziewczyna.

- Kiedy? Dziś? Jutro? - Nie odpowiedziała. Conor pokręcił głową, a jego usta wykrzywiły się z rozczarowaniem. - Ufałem ci, Ellen. Ufałem ci.

Nie wiedziała, co powiedzieć. Miała tyle okazji, by wyznać Conorowi prawdę, a jednak tego nie zrobiła. Wydawało się jej, że te zaręczyny nie będą mieć znaczenia. A mimo to liczyły się teraz bardziej niż co innego.

- Błagam, Conorze, nie odjeżdżaj - wykrztusiła, ale dodał gazu i po chwili samochód zniknął za rogiem, a wraz z nim przyszłość Ellen.

Dziewczyna odwróciła się do matki.

- Jak mogłaś?! - wrzasnęła. - Nie chcę wyjść za Williama! Nie kocham go! Kocham Conora! Uciekłam, bo nie chcę życia, które sobie dla mnie wymyśliłaś!

Peg dostrzegła, co się święci, i postanowiła wkroczyć.

- Wejdźmy do środka i porozmawiajmy spokojnie - powiedziała pospiesznie.

Madeline jednak ani drgnęła.

- Idź się spakować. Poczekaam w samochodzie.

- Wydaje ci się, że możesz mnie traktować jak dziecko?! Myślisz, że potulnie pójdę na górę, spakuję manatki i spokojnie pojedziemy do domu?! Mam trzydzieści trzy lata, do cholery! Będę robić, co mi się podoba!

- Bądź rozsądna. Co w ciebie wstąpiło?

- Proszę was, chodźmy do środka - nalegała Peg. Zerknęła na kierowcę, który przysłuchiwał się każdemu ich słowu, choć udawał, że jest głuchy.

- Nie, Peg, nie wejdę - odpowiedziała Madeline wyniosłym tonem. - Przyjechałam po Ellen, to wszystko.

- Nie przywitasz się z Dylanem? - rzuciła córka.

Peg zeszywniała.

- Na miłość boską, posłuchacie mnie w końcu?! Obie do środka, natychmiast!

Usta Madeline drgnęły na dźwięk imienia Dylana i kobieta zaczęła nerwowo przebierać palcami. Niechętnie poszła za siostrą i córką do domu.

Peg podeszła do kuchenki, wzięła czajnik i zaczęła przygotowywać herbatę. Madeline stanęła skrzepowana na środku kuchni i ściągnęła tylko kapelusz i

rękawiczki. Rozejrzała się po domu siostry z rosnącym zaciekawieniem. Ellen chciała wskoczyć do samochodu i pojechać za Conorem, wiedziała jednak, że najpierw musi rozmówić się z matką. Czuła, jak mdli ją ze strachu. Jak matka dowiedziała się, gdzie przebywa?

- Musimy się wszystkie uspokoić - powiedziała Peg, trzęsącymi się dłońmi stawiając czajnik na kuchni. - Ściągnij płaszcz, Maddie, zgrzejesz się.

Madeline rozważała to przez chwilę, po czym powoli rozpięła płaszcz. Pod spodem ubrana była w szarą jedwabną bluzkę, spodnie z szarej flaneli i czółenka z lakierowanej skóry. W kuchni Peg wydawała się nie na miejscu, niczym porcelanowa lalka w stodole. Ellen usiadła na krześle Kafki i kiedy Bertie trącił ją swoim mokrym rykiem, z sympatią pogładziła go po szorstkich włosach.

- Wiem o Dylanie - powiedziała delikatnie.

Tym jednym zdaniem znokautowała matkę. Maddie opuściła ramiona w geście przegranej, tak jak kowboj rzuca pistolet, kiedy widzi, że jego przeciwnicy są lepiej uzbrojeni.

- Wiem, dlaczego dałaś mi na imię Ellen - mówiła dalej. Patrzyła, jak matka odsuwa sobie krzesło po przeciwnej stronie stołu i siada.

- To mój ojciec, prawda? - Madeline zerknęła na Peg, która przerwała przygotowywanie herbaty i przestraszonymi oczami patrzyła na siostrę. - Niczego już nie ukryjesz, mamo. Znam prawdę.

Madeline wyglądała na udręczoną.

- Tak - odezwała się w końcu. - Jest twoim biologicznym ojcem.

Peg odstawiła czajnik i przez chwilę podpierała się o blat kredensu. Choć już to słyszała, prawda wypowiedziana z ust siostry sprawiła, że nogi się pod nią ugięły.

- Matko boska, Maddie! - jęknęła.

Kiedy Madeline znów się odezwała, w jej głosie nie pobrzmiwał już oschły ton.

- Przepraszam.

- Czy tata wie? - zapytała Ellen.

Przez długą chwilę, zanim matka się odezwała, zastanawiała się, jaką odpowiedź wołałaby usłyszeć. Doszła do wniosku, że zarówno na „tak”, jak i na „nie” zareagowałaby takim samym przerażeniem.

Madeline spuściła wzrok na dłonie i zmarszczyła czoło.

- Nie wiem - odparła.

Oczy Ellen wypełniły się łzami i pochyliła głowę. Peg postawiła przed nią kubek herbaty, kolejny podała siostrze i usiadła między nimi.

- Jak nas znalazłaś? - zapytała.

- Przyleciałam wczoraj wieczorem i zatrzymałam się w hotelu, żeby się do tego wszystkiego psychicznie przygotować. Potem przyjechałam do Ballymaldoon, bo musiałam zapytać, gdzie mieszkasz. Kobieta, która wyprowadzała psa, wskazała mi drogę. - Omiotła wzrokiem pokój. - Masz ładny dom, Peg.

- Dziękuję. Bardzo go lubię.

- Bill jest w domu? - zapytała Madeline, mając na myśli męża Peg.

- Odszedł ode mnie dawno temu - odpowiedziała Peg. - Rozwiedliśmy się.

- Przykro mi to słyszeć. Pamiętam twoich synków Declana i Dermota. Są już pewnie dorośli.

- Och tak, jestem już nawet babcią. Nigdy nie poznałaś Ronana. To mój najmłodszy, też jest już dorosły - odparła Peg łagodnie.

Nastąpiła niezręczna cisza. Napili się herbaty. Pan Borsuk westchnął ciężko na swojej pufie i przytknął oczy.

- Wygląda tak samo? - zapytała Peg.

- Mówisz o Ballymaldoon? Tak, miasteczko się nie zmieniło.

- Tęsknisz za tym miejscem, Maddie?

Madeline upiła łyk herbaty. Jej usta przelotnie zadrżały.

- Na początku tęskniłam. Potem przywykłam.

- Mówisz jak Angielka.

- Chyba tak.

- Naprawdę. Ani śladu Irlandii w twoim głosie.

Madeline zacisnęła zęby i spojrzała w oczy siostry swoim żelaznym wzrokiem.

- Dokonałam wyboru, Peg, i musiałam z nim żyć. To oznaczało, że musiałam zapomnieć o przeszłości i zacząć od nowa. Nie miałam wyjścia, jak tylko wymazać Irlandię z mojego życia.

Spojrzała na córkę i jej twarz złagodniała.

- Nie mogłam powiedzieć Anthony'emu, że nie jesteś jego dzieckiem. Wtedy by się ze mną nie ożenił, a ja nie mogłam sobie na to pozwolić. Był moim ratunkiem. Jedynym ratunkiem.

- Kochałaś go? - zapytała Ellen. Ze względu na ojca miała nadzieję, że matka przytaknie.

- Nie tak jak Dylana. Ale on szalał na moim punkcie i dzięki niemu mogłam się uratować.

- Dlaczego nie uciekałaś z Dylanem? Ożeniłby się z tobą bez wahania.

- I z czego byśmy żyli? Nie miał żadnych pieniędzy. Ja też nie. Matka by mnie wydziedziczyła. Była straszną dewotką. Żylibyśmy w nędzy. Nie tego chciałam dla mnie i dla mojego dziecka. Ale pojawił się Anthony, zamożny człowiek, który

mógł mi zapewnić bezpieczną przyszłość z dala od Ballymaldoon. Wiedział, że jestem w ciąży, i błagał mnie, żebym za niego wyszła. Byłabym głupia, gdybym się nie zgodziła.

- A co z Dylanem? - zapytała Ellen. - Jak to się miało do niego? To on był ojcem!

Madeline zaśmiała się cynicznie.

- I jaki byłby z niego ojciec?

- A mimo to napisałaś do niego, żeby po ciebie przyjechał - powiedziała dziewczyna.

Madeline była wyraźnie zaskoczona tym, ile wie jej córka. Przymrużyła oczy i zadarła podbródek.

- Tak, przez krótką chwilę żałowałam, ale to minęło.

Zaczęła się bawić uchem kubka.

- Dylan po ciebie pojechał.

- Nieprawda. Kłamie - odpowiedziała natychmiast Madeline. Jej głos był pełen urazy.

- Nie, nie kłamie. Pojechał po ciebie, kiedy się dowiedział z twojego listu, że jest moim ojcem. Ale kiedy zobaczył, gdzie mieszkasz i że jesteś szczęśliwa, wiedział, że nigdy nie będzie w stanie zapewnić ci takiego życia. Nie chciał rozbijać rodziny, choć byłem jego dzieckiem.

- Powiedział ci to? - cicho zapytała Madeline.

- Tak.

- Czyli jednak przyjechał.

- Zgadza się. Cierpiał latami, a ty tak po prostu rzuciłaś go w ką.

Madeline zdawała się ignorować informacje, które właśnie podała jej córka.

- A co według ciebie miałam zrobić? - warknęła. - Rzucić twojego ojca i uciec z Dylanem? Zapewniłam ci wygodne życie, Ellen. Nie wiesz, ile mnie to emocjonalnie kosztowało.

- Dlaczego nigdy nie wróciłaś? - Peg w końcu znalazła w sobie odwagę, by o to zapytać. - Kiedy wyjechałaś, złamałaś matce serce.

- Bo powiedziałaś jej, dlaczego wyjechałam! - prędko odrzekła Madeline.

- Skąd wiesz, że to zrobiłam? — Peg nie potrafiła ukryć w głosie wyrzutów sumienia.

- Poprosiłam cię, żebyś dotrzymała mojego sekretu, a ty jej go wyjawiałaś. - Madeline westchnęła. - Nie dziwię ci się. To nie było fair z mojej strony oczekiwać od ciebie, że dochowasz tak wielkiej tajemnicy, zwłaszcza przed naszą matką.

- Musiałam jej powiedzieć - stwierdziła Peg. - Z żalu odchodziła do

zmysłów. Umarła, nie mając szansy, by ci wybaczyć.

Twarz Madeline poczerwieniała z oburzenia.

- Ona nie chciała mi wybaczyć, Peg. Wydaje ci się, że nie próbowałam przyjechać do domu?

- A próbowałaś? - Twarz zdumionej Peg się zachmurzyła.

- Oczywiście, że tak. Rozpaczliwie pragnęłam przyjechać, ale mama nie chciała mi na to pozwolić.

- Ale byłaś już przecież mężatką. Miałaś męża i dziecko. Dlaczego nie chciała, żebyś przyjechała?

- Bo powiedziałam jej prawdę.

- Powiedziałaś jej, że Ellen jest córką Dylana? - Madeline skinęła głową, a Peg zrobiła wielkie oczy. - Mama wiedziała, że Ellen jest córką Dylana?

- I powiedziała mi, że mam się więcej nie pokazywać w Ballymaldoon. Wyrzekła się mnie, Peg. - Oczy Madeline błyszczały od łez, a usta drżały, choć kobieta próbowała kontrolować emocje. - Chciałam wrócić do domu, ale nie mogłam. Nie pozwoliła mi na to.

Twarz jej siostry przepełniało współczucie.

- Och Maddie, nic o tym nie wiedziałam. Wszyscy tutaj cię obwinialiśmy, nie wiedząc, że to nie była twoja wina. Wstyd mi za nas wszystkich.

- Skąd mogliście wiedzieć?

- Powinniśmy bardziej w ciebie wierzyć. Przepraszam, Maddie. Tak bardzo cię przepraszam.

Po raz pierwszy od przyjazdu Madeline się uśmiechnęła.

- Dziękuję, Peg, nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy.

Kiedy Ellen usłyszała warkot silnika za oknem, jej serce zaczęło gwałtownie bić. Miała nadzieję, że to może Conor przyjechał ją przeprosić. Pan Borsuk obudził się i pobiegł do drzwi. Bertie chrząknął i udał się za nim. Peg z niepokojem zerknęła na Madeline, ledwie ośmielając się odetchnąć. Obie spodziewały się swoich braci.

Żadna z nich nie oczekiwała Dylana.

Mój świat staje się coraz ciemniejszy. Tkwię w nieprzeniknionym mroku, chociaż wiem, że niebo jest niebieskie, a powietrze przejrzyste. Jestem też ciężka, jakbym powstała z chłodnych oparów zimowej mgły, która utrzymuje się w dolinie i nie może się unieść. Miejsce przyjemności, jaką czerpałam z przebywania pośród natury, zastąpiła perwersyjna przyjemność pochodząca z mojej misji. Nie zwracam już uwagi na dęby stojące wzdłuż alei, lustrzaną taflę jeziora i śliczny żółty wrzosiec, który porasta wzgórze, bo jestem świadoma tylko mojego celu i tego, jak się do niego zbliżam.

Conor wie już, że Ellen jest zaręczona. To, że nie chce Williama i że nie ma zamiaru iść z nim do ołtarza, ma, jak widać, niewielkie znaczenie. Conor wie, że Ellen go kocha, ale liczy się tylko to, że mu nie powiedziała. Ma to ogromne znaczenie. Dla niego nie ma nic ważniejszego od zaufania, a Ellen właśnie je zawiodła.

Conor nie wraca do Reedmace House, bo nasze dzieci są tam z Daphne. Na miejscu pewnie osiodłałby konia i pogalopował po wzgórzach, by dać upust wściekłości. Zamiast tego jedzie do zamku i staje przed moim portretem. Spoglądam na niego przez oczy obrazu. On wpatruje się we mnie z nienawiścią. Nie jestem zaskoczona jego miną, bo miłość i nienawiść to awers i rewers tej samej monety. Zawiodłam go, ale teraz mu to wynagradzam.

Stoi tak przez kilka chwil i wpatruje się we mnie, nie zdając sobie sprawy, że jestem w zasięgu jego wzroku. Siada na schodach i chowa twarz w dłoniach. Siadam koło niego. Jestem z nim zawsze i zawsze z nim będę. Conor nie potrzebuje nikogo poza mną.

Podczas gdy Conor cierpi, siedząc na schodach zamku, ja wracam do Peg i obserwuję dramat rozgrywający się w jej kuchni. Dylan na własne oczy zobaczył kobietę, którą kochał i stracił. Stoi w drzwiach z kapeluszem w dłoni. Jego gruby płaszcz sprawia, że wydaje się większy niż w rzeczywistości. Madeline Trawton jest tak zaskoczona jego widokiem, że nie wie, co robić. Jej fryzura i mocny makijaż powodują, że sprawia wrażenie silnej kobiety, ale kiedy w końcu robi krok w stronę Dylana, widzę, że trzęsą jej się nogi. Jej niebieskie oczy wpatrują się w jego brązowe i Madeline bez wątpienia rozpoznaje w nich chłopca, którym kiedyś dla niej był.

- Maddie, to naprawdę ty - szepcze Dylan.

Jest zbyt zaskoczona, by mówić. Jej twarz łagodnieje, kiedy mu się

przygląda.

- Przyjechałeś po mnie - mówi i wyczuwam w jej głosie nutkę irlandzkiego akcentu.

- Ellen ci powiedziała.

- Tak.

- Oczywiście, że po ciebie przyjechałem, Maddie. - Dylan uśmiecha się smutno.

- Nie wiedziałam.

- Bo miałaś się nie dowiedzieć.

- Myślałam, że mnie nie chcesz. Wydawało mi się, że nie chcesz Ellen.

Jego wzrok spoczywa na córce, która razem z ptakiem siedzi na krześle. Nie rusza się, jakby była meblem.

- Jezu, Maddie, co ty musiałaś o mnie myśleć? Kochałem cię wtedy i już zawsze będę.

Madeline wydaje się nieco zaskoczona jego niespodziewaną deklaracją. Dylan spogląda na nią swoimi wielkimi, sentymentalnymi oczami, a ona nie wie, co ze sobą zrobić.

- Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

- Na świecie jest tylko jedna kobieta w eleganckim samochodzie, która mogłaby pytać o drogę do domu Peg. - Madeline spogląda na niego, marszcząc brwi. - Zapytałaś o drogę moją Marthę, a ona mi powiedziała.

- Ach tak. - Madeline przypomina sobie kobietę z pieskiem. - Tak, rzeczywiście pytałam.

Nastaje chwila niezręcznej ciszy: Dylan i Madeline patrzą na siebie przez przepaść, którą postawił między nimi czas. Stoją tak blisko siebie, ale równie dobrze mogliby być na innych kontynentach. Żadne nie wie, jak ją pokonać ani jak ukoić ból, który spowodowała. Być może zbyt głęboko tkwi w ich sercach, by można go było uleczyć.

Dylan robi zdecydowany krok w przepaść. Maddie wygląda na przestraszoną jak wyczesany pudelek, w którego stronę zmierza zdziczały pies. On jednak o to nie dba. To kierujący się instynktem, impulsywny mężczyzna. Pokonuje dzielący ich dystans i obejmuje Maddie. Kobieta sztywnieje, zaskoczona, ale na to Dylan przytula ją jeszcze mocniej. Ellen i Peg są poruszone. Gdybym nie miała tak twardego serca, też bym się wzruszyła. Ale interesuje mnie tylko to, czy dziewczyna wróci do Londynu z matką.

Madeline Trawton w końcu rozluźnia się w objęciach dawnego kochanka. Odwzajemnia uścisk. Peg szybko przechwytuje spojrzenie bratanicy i obie dyskretnie wychodzą do saloniku, w którym Ellen każdego wieczoru nie pisze

swojej książki. W momencie, gdy kobiety znikają w drzwiach, Madeline zaczyna płakać. Jeszcze zachłanniej obejmuje Dylana i nie ma zamiaru go puścić.

- Już dobrze, Ellen Olenska. Jestem przy tobie - mówi Dylan i zastanawiam się, czy w tej kobiecie rozpoznaje dziewczynę, którą znał przed laty. Myślę, że jej łzy są łzami Maddie Byrne. To ona jest w ramionach Dylana, a lady Trawton zniknęła.

W końcu odrywa się od niego i uśmiecha nieśmiało.

- Nadal jesteś moim Dylanem, prawda? - pyta, a jej głos jest teraz pełen czułości.

- Nigdy nie przestałem nim być - odpowiada, a jego wielkie brązowe oczy błyszczą ze wzruszenia.

- Nie miałam zamiaru tu przyjeżdżać. Bałam się. Ellen była wymówką. W głębi serca chciałam powrócić do mojej przeszłości.

- Ellen jest tak samo piękna jak jej mama.

Oczy Madeline znowu wypełniają się łzami.

- Przepraszam cię, Dylanie. Opanowała mnie mania wielkości. Chciałam lepszego życia niż to, którym mogliśmy żyć razem.

- Nie bądź dla siebie zbyt surowa... - zaczyna, ale Madeline mu przerywa.

- Nie, mówię szczerze, Dylanie. Pozwól mi przynajmniej wyznać ci prawdę. Wiedziałam, że uciekłbyś ze mną, gdybym cię poprosiła. Nie dałam ci jednak szansy. Uciekłam z Anthonym, bo dostrzegłam u jego boku lepszą przyszłość dla siebie i dziecka. - Usta jej drżą, a twarz zalewa wstyd. - Tuż po narodzinach Ellen zdałam sobie jednak sprawę, że nie pasuję do mojego nowego życia. Usychałam z tęsknoty za tobą i Irlandią. Czułam się uwięziona pośród betonu i tęskniłam za wzgórzami i morzem. Żałowałam swojej decyzji, a moje kłamstwo zżerało mnie od środka, więc za każdym razem, kiedy Anthony brał Ellen na ręce i ją całował, z powodu wyrzutów sumienia czułam do niego odrazę. Nie był ojcem Ellen, a ja nie mogłam mu powiedzieć. Było za późno. Więc napisałam do ciebie. Chciałam, żebyś przyjechał i mnie stamtąd zabrał. Chciałam zacząć od nowa. Kiedy nie przyjechałeś, zadzwoniłam do matki i wyznałam jej prawdę.

- Jezu, Maddie. To dopiero odwaga.

- Wyrzekła się mnie, Dylanie.

- Spodziewam się.

- Nie mogłam więc przyjechać do domu. Nigdy.

Dylan ujmuje dłoń Madeline, bo na jej twarzy rysuje się teraz prawdziwa rozpacz.

- Myślałaś, że wszyscy cię opuściliśmy, ale nic bardziej mylnego.

- Poddałam się więc i rzuciłam w wir nowego życia. Postanowiłam nigdy

więcej nie wspominać o Irlandii. Próbowalam wymazać ją z pamięci. A potem Ellen przyjechała tutaj i zadomowiła się w moim dawnym życiu jak kukułka. Jest częścią Ballymaldoon jak ja kiedyś. Nawet nie wiesz, jak bardzo to boli. Ellen przywołała te wszystkie wspomnienia.

- I sprowadziła tu ciebie.

- Tak, to prawda.

- Dobrze się stało.

- Nie wiem.

- Ależ tak - mówi Dylan zdecydowanym tonem. - Obie jesteście teraz w domu.

Siadają przy stole i Madeline ociera oczy chusteczką, którą podał jej Dylan, pozostawiając mokre plamy na materiale.

- Co masz zamiar zrobić z Ellen? - pyta delikatnie. - Dzikie konie same nie pójną do ołtarza.

Madeline opuszcza ramiona w poczuciu porażki.

- Wiem.

- Więc niech robi, co chce. Po co ją zmuszać, żeby była kimś innym niż jest?

- Dylan uśmiecha się szeroko. - Ellen bardziej cię przypomina, niż ci się wydaje.

Madeline skręca róg chusteczki.

- Tak się martwiłam, że Anthony zgadnie, że Ellen nie jest jego dzieckiem. Chciałam, by polubił ją na siłę. Ale ona nie dała się urobić i za każdym razem, gdy się buntowała, widziałam w niej ciebie, jak patrzysz na mnie wyzywająco tymi wielkimi brązowymi oczami. Był w nich ten sam upór. Pod ich spojrzeniem czułam się winną, bałam się.

- Pozwól więc zdecydować jej samej, kim chce być. Twoja matka mylnie cię osądziła i źle zrobiła, nie pozwalając ci wrócić do domu. Nie bądź taka jak ona.

Madeline kiwa głową i wzdycha z rezygnacją.

- Jaki jest ten mężczyzna?

- Conor Macausland? To porządny człowiek.

- Obawiam się, że ich poróżniłam.

- Jak?

- Wściekł się i odjechał, kiedy mu powiedziałam, że Ellen jest z kimś zaręczona w Anglii. Oskarżył ją o kłamstwo.

Dylan kręci głową.

- Szkoda.

- Jak mogę to naprawić?

- Nie możesz. Ellen sama musi mu to wyjaśnić.

- Myślisz, że jej wybaczy?

- To człowiek ze skomplikowaną przeszłością, Maddie. Nie wiem, co robi. Tak czy inaczej Ellen musi z nim porozmawiać.

Idą więc do salonu, gdzie Peg i Ellen siedzą zaniepokojone na krzesłach. Wstają na ich widok.

- Zrobić jeszcze herbaty? - pyta Peg, która najwyraźniej znajduje spokój w tym prostym rytuale.

Madeline wygląda teraz inaczej. Jej twarz nie jest już zaciekła. Pod oczami zaschły jej zacieki makijażu. Włosy są w nieładzie i pofalowały się z powodu wilgotnego irlandzkiego powietrza. Wygląda na młodszą i kruchą.

- Ellen, myślę, że powinnaś pojechać wytłumaczyć wszystko Conorowi - zaczyna.

- Nie wracam do domu - przerywa jej Ellen, próbując się bronić.

- Wiem i przyjmuję to. Mam nadzieję, że się pogodzicie mimo tego, co zrobiłam. Dylan mówi, że Conor to porządny mężczyzna.

Ellen jest zaskoczona. Nie spodziewała się, że matka tak szybko zmieni zdanie.

- Naprawdę jest dobrym człowiekiem - mówi Peg. - Weź mój samochód, skarbie, i jedź go odzyskać.

Kiedy Ellen wychodzi, Pan Borsuk zaczyna szczekać i machać ogonem.

- Matko Boska i święty Józefie! - krzyczy Peg do psa. - Kolejny dramat.

Otwiera kuchenne drzwi i Pan Borsuk wybiega na zewnątrz, by przywitać Desmonda, Johnny'ego, Craica i Ryana, którzy wysiadają z samochodów. Jak zawsze w Ballymaldoon wiadomość szybko się rozniosła i wszyscy przyjechali spotkać się z siostrą.

Peg jest tak zdenerwowana, że od razu idzie do kuchenki robić herbatę. Kiedy wyciąga kubki z kredensu, jej ręce znów zaczynają się trząść. Madeline i Dylan długo i intensywnie patrzą na siebie. Myślę, że oboje wiedzą, że będą musieli powiedzieć braciom całą prawdę.

Ellen mija ich w pośpiechu i wsiada do samochodu Peg. Wszystkie auta stoją zaparkowane blisko siebie przed jej domem, ale dziewczyna ma wystarczająco dużo miejsca, by wycofać samochód i wyjechać na drogę. Patrzy na nich przez chwilę, kiedy wchodzi do domu. Scena przywodzi mi na myśl Złotowłosą i trzy niedźwiedzie, tylko że w tej bajce są cztery niedźwiedzie, a Złotowłosa wróciła.

Ellen zauważa samochód Conora zaparkowany przed zamkiem. Parkuje przy nim i wysiada. Jej twarz otoczona czarnymi włosami jest blada i przerażona. Nic dziwnego. Conor ma porywczy temperament i nic nie doprowadza go do większej pasji niż kłamstwo. Zaufał jej, a ona tego nadużyła. Nie sądzę, by

kiedykolwiek jej to wybaczył. Właściwie to wiem, że jej nie wybaczy.

Patrzę, jak idzie do drzwi wejściowych. Ellen otwiera je powoli, jakby się bała, że znajdzie mnie w środku. Conor nadal siedzi na schodach. Nie rusza się z tego miejsca już od jakiegoś czasu. Na jej widok wstaje. Wkłada ręce w kieszenie i z zadowoleniem widzę, że otoczył się tym samym murem, który tak dobrze znam. Niewidzialnym murem nie do przebiccia, którym tak szczelnie oddziela się od ludzi. Ellen znajduje się po jego drugiej stronie i nie może dotknąć mojego męża. Czuję jej rozpacz. Conor jest teraz dla niej obcym człowiekiem, nie kochankiem. Straciła go, ale jeszcze o tym nie wie. Myśli, że nadal ma szansę. Mogłabym jej powiedzieć, że teraz nie wystarczą błagania, aby mur się rozpadł.

- Nie sądziłam, że to ma jakieś znaczenie - zaczyna cicho. Jego zimny wzrok przeszywa ją beznamiętnie, ale Conor nic nie mówi. Więc ona bezradnie się tłumaczy.

- Nie kocham go, dlatego uciekłam. Przyjechałam tutaj, żeby się schronić przed nim i matką. Nie chciałam zrywać zaręczyn przez telefon, a nie chciałam też wracać do Londynu. Więc schowałam głowę w piasek, a wszystkie moje myśli zajęteś ty. William się nie liczy, Conorze. Musisz to zrozumieć. Liczysz się tylko ty.

Conor wciąga powietrze przez nos.

- Powinnaś mi powiedzieć, Ellen.

- Wiem, przepraszam.

- Zaufałem ci w tylu sprawach. Otworzyłem się przed tobą i co dostałem w zamian? Policzek.

- Nie, to nie tak. William już dla mnie nie istnieje. W moim odczuciu nie byłam już zaręczona. Zakochałam się w tobie i wszystko inne przestało się liczyć.

- To bezduszne porzucić mężczyznę w taki sposób. Powinnaś powiedzieć mu, co czujesz, zamiast trzymać go w niepewności jak idiotę. Biedny gość. Myślisz o nim czasem?

- Nie, bo cały czas myślę o tobie.

- Cóż, możesz teraz mu o tym powiedzieć.

- Tak zrobię.

- Chyba że cały czas się wahałaś, chcąc sprawdzić, czy warto kontynuować nasz związek.

- Przez cały ten czas wiedziałam, z kim chcę być.

- Teraz nie ma to już znaczenia. Z nami koniec, Ellen.

Dziewczyna robi się biała jak kreda.

- Nie mów tak, Conorze!

- Nie chcę być z kobietą, której nie mogę ufać. W życiu już tyle razy się zawiodłem, że wiem, jak ważna jest szczerłość.

- Więcej cię już nie okłamię. - Ellen trzyma się okruchów ich rozbitego związku niczym marynarz szczątków statku. - Proszę cię, musisz mi wybaczyć.

Conor śmieje się pustym śmiechem.

- Och Ellen, myślałem, że jesteś inna. Wierzyłem, że do siebie pasujemy. - Dziewczyna zaczyna płakać, ale on jest niewzruszony, a ja mu szepczę, by pozostał nieugięty, żeby nie dał się złamać. Kobiece łzy potrafią być bardzo silną bronią i Conor musi skupić się na tym, czego naprawdę chce, i nie dać się od tego odwieść. Patrę przez oczy mojego portretu i gdy Conor unosi wzrok, nasze spojrzenia się spotykają. Widzę w nich mocne postanowienie i wiem, że wygrałam.

Odprowadza Ellen do drzwi.

- Czyli to już koniec? - pyta zdziwiona. - Rzucasz mnie, bo nie powiedziałam ci, że jestem zaręczona? Nawet jeśli nie miałam zamiaru za niego wychodzić?

- Nie. Robię to dlatego, że nie jesteś kobietą, za jaką cię miałem.

Ellen z trudem próbuje powiedzieć coś przez łzy.

- Więc ty nie jesteś mężczyzną, za jakiego ja cię miałam!

Wsiada do samochodu i odjeżdża, nie odwracając się za siebie. Conor stoi w miejscu jeszcze przez kilka chwil i patrzy, jak samochód znika w oddali. Spogląda na aleję drzew, jakby się spodziewał, że zawróci. W końcu, kiedy nic takiego się nie dzieje, wsiada do rangę rovera i odjeżdża w przeciwną stronę. Zwyciężyłam. Mimo mgły, która mnie otacza, triumfuję. Conor znów jest mój. Tym razem będę go lepiej pilnować.

W ciężkiej atmosferze mojego świata odkrywam, że jednak nie jestem sama. Widzę twarze w oknach mojego zamku, które patrzą na mnie. Inne nieszczęśliwe duchy tkwiące we własnych mrocznych czyścach gapią się jak więźniowie zza krat. Wiem, dlaczego wcześniej ich nie widziałam - tworzyły mnie wyższe wibrowania. Zdaję sobie sprawę, że teraz jestem jedną z nich. Opadłam nisko i sięgam ich poziomowi. Ale nie żałuję. Zaślepią determinacją mojego zaborczego serca, czuję euforię z powodu bitwy, którą właśnie wygrałam. Ochroniłam swoją rodzinę przed atakiem z zewnątrz, co jest moim obowiązkiem jako żony i matki, a temu mogę poświęcić duszę. Jestem skazana na tę niską egzystencję. Niebo jest teraz tak daleko, że nie znalazłabym do niego drogi, nawet gdybym chciała. Ale nie chcę. To tu są Conor, Ida i Finbar. Dopóki tu będą, ja też tu zostanę. A kiedy odejdą, mam nadzieję, że znajdą sposób, by zabrać mnie ze sobą. Nie opuszczę ich. Dopóki istnieję, nie opuszczę ich.

Ellen zaparkowała w zatoczce i rozplakała się z głową opartą o kierownicę. Była to ta sama zatoczka, w której zatrzymała się zaledwie kilka tygodni temu, kiedy po raz pierwszy spotkała Conora. Nie pomyślałaby wtedy, że będzie tu kiedyś płakać rzewnymi łzami.

Powinna powiedzieć mu o Williamie. Wiedziała to. Powinna być szczerą z Williamem w liściku, który mu zostawiła, albo zachować się uczciwie i powiedzieć mu prawdę prosto w oczy. Wszystko zrobiła nie tak i żałowała, że nie może cofnąć czasu i zacząć od nowa. Conora zawiodła jego żona, a teraz ona zrobiła to samo. Ellen bardzo tego żałowała. Rozumiała jego wściekłość, ale nie jego odejście. Przecież darzył ją uczuciem. Jak to możliwe, że tak nagle się to zmieniło? Czy ich związek naprawdę był dla niego tak mało ważny, że mógł go zakończyć po jednym potknięciu?

Myślała o swojej matce i Dylanie, którzy siedzą u ciotki Peg z wujkami, i wiedziała, że nie chce tam wracać. Pojechała więc dalej i zaparkowała u stóp wzgórza, gdzie stała kaplica z widokiem na morze, przy której pochowano Caitlin. Wiedziała, że znajdzie tam jakąś pociechę.

Opatuliła się kurtką i poszła do góry ścieżką prowadzącą między wrzosem i wysokimi trawami. Wiatr osuszył jej łzy, a piękno okolicy wypełniło bolesne poczucie pustki. Doszła do furtki i ją otworzyła. Na grobie Caitlin, pod marmurowym nagrobkiem, znajdował się stoik z czerwonymi różami. Tajemnica, kto zostawia tu kwiaty, na chwilę pomogła jej zapomnieć o własnym nieszczęściu. Zamyśliła się nad zmarłą i sekretami, które zabrała ze sobą do grobu. Może ktoś, kto zostawiał tu kwiaty, spowodował, że Caitlin zawiodła Conora. Może zakochała się w kimś innym i dlatego kłócili się tej nocy, kiedy zginęła w pożarze.

Ellen wróciła na ścieżkę i po chwili dotarła do drzwi kaplicy. Otworzyła je. W środku było zimno i mokro, ale przynajmniej nie był tam wiatr. Przeszła główną nawą i siadła w pierwszej ławce, zwrócona ku ołtarzowi. Wnętrze kaplicy było słabo oświetlone dziennym światłem, które dostawało się do środka przez okna pokryte szadzią. Ten półmrok jedynie potęgował jej samotność. Wciągała w płuca stęchłe powietrze i żałowała, że nie ma ze sobą papierosów. Jeśli kiedykolwiek naprawdę potrzebowała zapalić, to właśnie teraz. Jej smutek wzbierał nagłą falą żalości nad własnym losem i Ellen znów zaczęła płakać. Czy może zostać w Connemarze bez Conora? Czy wystarczy jej rodzina? Dlaczego los jedną ręką dawał, a drugą zabierał? Dlaczego na każde dobre zdarzenie przypadało jedno złe?

Długo pozostała w kaplicy. Spokój i cisza pomagały jej ocenić swoją sytuację na chłodno, a kiedy znów wzbierała w niej fala żalu, przypominała sobie Dylana i wspaniałe chwile, kiedy siedzieli tu razem, a ich głosy odbijały się echem od starych kamiennych murów, i uśmiechała się przez łzy.

Kiedy w końcu zaczęło burczeć jej w brzuchu, postanowiła wrócić do Peg. Powoli schodziła ze wzgórza. Nigdzie się nie spieszyła, nikt na nią nie czekał. Nadal mżyło. Ciężkie szare chmury pędziły po niebie, gnane w głąb lądu lodowatymi podmuchami wiatru. We wspaniałym widoku morza znalazła pewne pocieszenie. Latarnia morska stała niewzruszona wobec ataków wiatru i fal jak rycerz w białej tunice, który nie chce się poddać, mimo że dosięgają go kule. Przystanęła na chwilę i przyglądała się mewom, krążącym nad nią jak anioły czekające, kiedy będą mogły zaprowadzić jej duszę do nieba. A mimo to biała wieża nadal stała na wyspie, zdeterminowana by nie dać się pokonać i z całych sił trzymać się życia. Nagle Ellen przyszedł do głowy pomysł na piosenkę. „O dzielna morska latarnio, co wzrastasz nad morza brzegi, wojna twa już skończona, czas wstąpić w anielskie szeregi”. Przez chwilę nuciła melodię, czując kroplę miodu w swoim złamanym sercu. Pokręciła głową i oparła dłonie na biodrach. Co za ironia, że czuła natchnienie tylko wtedy, kiedy miała ochotę uciec.

Kiedy wróciła do Peg, ciężarówka Johnny'ego i samochód Desmonda nadal stały zaparkowane obok auta Dylana. Kierowca wynajętego samochodu matki czytał w środku gazety. Ellen wyłączyła silnik i głęboko wciągnęła powietrze w płuca, by dodać sobie otuchy. Absolutnie nie miała ochoty z nikim rozmawiać. Jak pies chciała się schować pod łóżkiem i wylizać rany. Kiedy jednak stanęła na żwirowym podjeździe, podbiegł do niej Oswald.

- Wielkie nieba, co się dzieje?! - zapytał, patrząc ze zdumieniem na wszystkie auta.

- Moja matka przyjechała - odpowiedziała.

- Boże słodki! Peg jakoś to zniósła?

- Jest nieco zaskoczona, ale dobrze się trzyma.

Oswald spojrzał na jej zapłakaną twarz i uśmiechnął się współczująco.

- Ale ty chyba nie masz się najlepiej.

- Nie bardzo. - Ellen bezradnie wzruszyła ramionami. - Sprawy przyjęły zły obrót, Oswaldzie. Wszystkich okłamałam i płacę za to teraz straszną cenę.

- Jestem pewien, że miałaś ku temu powody.

- Tak mi się wydawało, ale Conor nie chce mnie już znać.

Oswald rzucił okiem ku kuchennym drzwiom Peg.

- Na pewno chcesz tam wchodzić?

- Raczej nie.

- To chodź do mnie i wszystko mi opowiedz. Niegłupi ze mnie staruszek i mam więcej doświadczenia w miłości, niż przypuszczasz.

Weszła za nim do nienagannie urządzonego saloniku. W kominku płonął ogień, pod oknem stała rozstawiona sztaluga, na drewnianym stolyczku leżały porządnie ułożone farby i pędzle.

- Jest tu bardzo schludnie jak na dom artysty - pochwaliła go, podchodząc bliżej, by zobaczyć, nad czym pracuje. Kiedy z płótna spojrzała na nią jej ciotka, Ellen wstrzymała oddech.

- Boże, to przecież Peg!

Oswald uśmiechnął się tajemniczo.

- Nie mów jej. To prezent.

- Ale będzie zaskoczona. To naprawdę dobry portret. Nie mówię, że inne twoje obrazy są złe, ale tu podobieństwo jest ogromne.

Oswald nie czuł się urażony. Poszedł wąskim korytarzem do kuchni. Ellen podeszła bliżej do obrazu, by spojrzeć na skromny uśmiech Peg i ciepło emanujące z jej oczu, które wyrażały zarówno żal, jak i radość. Oswald uchwycił więcej niż jej wygląd - namalował ją taką, jaką ją widział, gdy na niego patrzyła, a patrzyła na niego inaczej niż na pozostałych. Portret zdawał się oddawać ducha Peg i jej urodę, której Ellen wcześniej nie zauważyła. Zdała sobie wtedy sprawę, że Oswald musi kochać jej ciotkę, i uśmiechnęła się, czerpiąc przyjemność z tej myśli. Zastanawiała się, czy Peg również sobie to uświadomi, kiedy dostanie ten obraz.

Chwilę później Oswald powrócił z tacą, na której znajdowały się dwie filiżanki kawy, dzbanuszek mleka i cukiernica.

- Peg robi zdecydowanie za dużo herbaty - powiedział, stawiając tacę na małym stolyczku przed kominkiem. - Na moje oko wyglądasz na kawoszkę.

- Nie piłam kawy, odkąd tu przyjechałam. Jak miło. Marzyło mi się coś na rozgrzanie.

- I na pocieszenie - powiedział. - A teraz, jakie to było kłamstwo?

Ellen usiadła i wsypała sobie do kawy łyżeczkę cukru. Nie było sensu niczego ukrywać. Zastanawiała się, dlaczego w ogóle coś ukrywała.

- Oficjalnie jestem zaręczona z pewnym Williamem Sackville'em - wyznała.

- Aha, a jak Conor się o tym dowiedział?

- Matka mu powiedziała.

- A ona chce, żebyś wyszła za tego Williama?

- Tak. Uważa go za świetną partię, bo ma majątek i tytuł szlachecki, a to według niej jedyne ważne przymioty każdego mężczyzny.

- Rozumiem. Czyli to dlatego dałaś nogę?

- Wtedy nie byłam jeszcze pewna, czego chcę. Po prostu uciekłam od

mamy, Williama i przyszłości, która mi nie odpowiada.

- I Conor się wściekł, że nic mu nie powiedziałaś?

- Powiedział, że nie może mi ufać.

- Przejdzie mu.

Ze smutkiem pokręciła głową.

- Nie, nie sędzę.

- Jest zły. Daj mu trochę czasu.

- Wydaje mi się, że nigdy mi nie wybaczy. Powinieneś widzieć jego minę.

Miał kamienną twarz. Nieustępliwą. Straszłą. Caitlin w jakiś sposób go zawiodła, a teraz ja zrobiłam to samo. Jestem teraz taka jak i ona, a on nią przecież gardził.

- Naprawdę?

- Tak, nie znosi nawet jej wspominać. A teraz mnie też nienawidzi.

- Ale Caitlin nie żyje, moja droga, podczas gdy ty wręcz przeciwnie.

- To nie koniec. Dylan jest moim prawdziwym ojcem.

Oswald niemal upuścił filiżankę.

- Wielkie nieba! Tego się nie spodziewałem.

Na wszelki wypadek odstawił swoją kawę na stolik.

- Ja też nie, a jednak. - Wzruszyła ramionami. - Puszka Pandory została otwarta. Właśnie o tym rozmawiają teraz w kuchni. O kłamstwach. Jestem równie okropna jak moja matka.

- Będziesz musiała opowiedzieć mi wszystko od początku. - Ściągnął z nosa okulary i z butonierki wyciągnął chusteczkę, którą zaczął je czyścić. - Pozwól, że oszacuję stopień tego okropieństwa.

Ellen opowiedział mu całą historię od dnia, kiedy matka opuściła Irlandię, aż do jej powrotu trzydzieści trzy lata później. Oswald słuchał w milczeniu i patrzył na nią ze współczuciem swoimi mądrymi oczami. Kiedy skończyła, z powrotem włożył okulary.

- Gdzie chcesz być, Ellen? - zapytał delikatnie.

- Tutaj. Ale nie jestem pewna, czy chcę tu być bez Conora.

- Rozumiem. - Oswald wyglądał jak lekarz zbierający wywiad od pacjenta przed postawieniem diagnozy. - A co masz zamiar zrobić w kwestii ojca? Porozmawiasz z nim? Mówiłaś, że twoja matka nie wie, czy jej mąż zna prawdę.

- Nie wiem, co z tym robić. - Patrzyła na niego z bezradnością w oczach. - Jak myślisz?

Złożył splecione dłonie na kolanach.

- Powiem ci, co myślę, ale koniec końców sama musisz zdecydować, co powinnaś robić.

- Zgoda.

Zaczęła nerwowo obgryzając skórkę paznokcia.

- Myślę, że powinnaś z nim porozmawiać. Inaczej do końca życia będziesz żyła w kłamstwie, a moim zdaniem najwyższa pora, żeby wszyscy przestali się oszukiwać. - Ellen pokiwała głową, zgadzając się, choć nie miała najmniejszej ochoty rozmawiać o tym z ojcem i sprawiać mu przykrość. - I powinnaś też jak najszybciej powiedzieć Williamowi, że zrywasz zaręczyny. Zrób to uprzejmie, ale stanowczo.

- A potem?

- Potem powinnaś tu wrócić.

- Ale co z Conorem?

- Czas pokaże. Ale pasujesz tu, Ellen. Masz pracę w sklepie Alanny, miejsce w domu Peg i ojca, który chce cię poznać. Masz Irlandię we krwi, i to po oboju rodzicach. Nic dziwnego, że twoje serce wije tu sobie gniazdo.

Ellen dopiła kawę i odstawiła filiżankę na stolik.

- Nie wiem, czy potrafię - odrzekła. - Nie wiem, czy jestem w stanie to znieść. Wszystko mi go tu przypomina. Widzę go wszędzie.

- Jeśli jesteś tego pewna, to z przykrością cię pożegnamy - powiedział Oswald ze smutkiem w głosie. - Zwłaszcza Peg. I Dylan, jak sądzę. Zostawisz w naszych sercach wielką pustkę.

- Och Oswaldzie, nie mów tak. - Ellen znów się rozplakała.

-Ale to szczerą prawdą. - Czule poklepał ją po dłoni. - Czy nie postanowiliśmy już więcej nie kłamać?

Niedługo potem, kiedy Oswald i Ellen weszli do kuchni Peg, zastali Byrne'ów stłoczonych wokół stołu razem z Madeline, Dylanem i gospodynią. Atmosfera była ciężka, ale nie niezręczna. Rozmawiali półgłosem i wyczuwało się, że stanowią pewną jedność. Przypominali raczej szajkę złodziei niż rozdzieloną rodzinę, która spotyka się po trzydziestu latach rozłąki. Przez chwilę Ellen poczuła, jak słabnie w swym postanowieniu. Pomyślała o chłodnej kuchni w Eaton Court i ogarnął ją smutek. Bardzo przywiązała się do Peg, Pana Borsuka i Bertiego. Nie poznała nawet jeszcze Reilly'ego, wiewiórki, która spała w bieliźniarce na piętrze. Czuła się swobodnie przy swoich wujach - ich szerokie ramiona i chmurne twarze już jej nie niepokoiły. W Dylanie zaś znalazła bratnią duszę.

W kuchni zapadła cisza. Madeline z troską popatrzyła na córkę.

- I co powiedział? - zapytała.

- Wracam do domu - oznajmiła Ellen zwyczajnie.

Peg była przerażona.

- Wyjeżdżasz?! - krzyknęła.

- Ale dopiero co przyjechałaś - powiedział Dylan. Ellen nie mogła spojrzeć

mu w twarz i spuściła wzrok na podłogę. - Chyba nie wracasz, żeby wyjść za tego człowieka?

- Oczywiście, że nie.

- Ale wrócisz do nas, prawda? - dopytywała się Peg.

- Nie wiem - odrzekła Ellen, przełykając łyżę.

Spojrzenie Dylana było tak intensywne, że musiała podnieść wzrok. Jego twarz poszarzała, a wielkie brązowe oczy napełniły się smutkiem.

- Nie możesz pozwolić, żeby Conor Macausland przegonił cię z Irlandii, Ellen - powiedział.

- Zgadzam się z Dylanem - zawtórował mu Johnny. - Skończony idiota!

- Mamy sobie z nim porozmawiać? - zapytał Desmond i Ellen zaskoczyła ta niespodziewana propozycja wsparcia.

- Nie - odpowiedziała szybko. Nie chciała, żeby jej wujkowie pogorszyli sprawę. - Nie trzeba.

- A ty co teraz zrobisz? - zapytała Peg siostrę. - Nie możesz w jednej chwili tu wejść, a po chwili, ot tak sobie, wyjechać.

- Miałam zamiar od razu wracać do domu - powiedziała zmieszana Madeline.

- Teraz? - zapytał Dylan.

- Cóż, teraz nie mam już nic do ukrycia, więc...

- Zostań przynajmniej na noc - zaproponowała Peg.

- Dobrze, zostanę - odpowiedziała, po czym zwróciła się do córki, która wraz z Oswaldem stała na środku kuchni. - Jeśli nie masz nic przeciwko temu, Ellen.

- Możemy zostać, ile zechcesz - odparła dziewczyna, kiwając głową. - Masz wiele lat do nadrobienia.

- No to ustalone - stwierdziła Peg. - Przynajmniej będziemy się tobą cieszyć o jeden wieczór dłużej, Ellen.

Ellen zauważyła, jak Peg dzielnie uśmiecha się do Oswalda. Nie mogła zostać w tej kuchni ani minuty dłużej, skoro wiedziała, że wkrótce będzie musiała ją opuścić, zostawiła więc wszystkich przy stole i pobiegła na górę. Miała nadzieję, że może Conor zadzwonił, ale kiedy sprawdziła telefon, który jej dał, nie miała żadnych nieodebranych połączeń. Nie wysłał jej też żadnego esemesa. Ellen rzuciła się na łóżko i z żalnością patrzyła na sufit.

Zastanawiała się, czy do niego nie napisać, znów przepaszając i błagając, żeby jeszcze raz się zastanowił. Jednak wspomnienie jego zimnej, niewzruszonej twarzy przypomniało jej, jaki był zły, postanowiła więc już bardziej go nie rozwścieczać. Wszyscy ją przed nim ostrzegali. Wszyscy mówili, że łąduje się w

tarapaty.

Jednak każda komórka jej ciała tęskniła za Conorem. Przewróciła się na bok i rozżalona przytuliła się do poduszki.

Musiła zasnąć na chwilę, bo kiedy otworzyła oczy, na brzegu łóżka siedziała jej matka.

- Nie chciałam cię obudzić - powiedziała łagodnym tonem.

- Nie szkodzi - odrzekła Ellen, siadając.

- Conor na pewno zmieni zdanie. Nie zrywa się z kimś z tak banalnego powodu.

- Nie znasz go, mamo.

- Dużo o nim słyszałam.

- Pewnie nic dobrego.

- Właściwie to Dylan miał o nim do powiedzenia same dobre rzeczy. Jeśli cię kocha, to wróci.

- Nie wiem, czy kocha mnie na tyle mocno. Nie znamy się aż tak długo.

Madeline uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

- Miłość nie potrzebuje czasu, Ellen.

- Dziwnie było znowu zobaczyć Dylana? - zapytała jej córka, zmieniając temat.

Madeline westchnęła.

- Nic się nie zmienił. To nadal ten sam Dylan, którego znałam i kochałam.

- Graliśmy razem na gitarze i śpiewaliśmy. Ma ogromny talent.

- Wiem. - Spojrzała na córkę w zamyśleniu. - Tak bardzo go przypominasz.

A kiedy jesteście razem, wasze podobieństwo staje się jeszcze bardziej oczywiste.

- Czy tata kiedykolwiek poznał Dylana?

- Tak, ale nie sądzę, żeby to pamiętał. To było bardzo dawno temu.

- Mam zamiar mu powiedzieć.

Twarz Madeline skamieniała.

- Nie musisz tego robić, Ellen.

- Myślę, że starczy już tych kłamstw - odparła dziewczyna zdecydowanym tonem.

- Po co go unieszczęśliwiać?

- Mogę cię zapewnić, że zanim wyjedziemy z Ballymaldoon, plotka obiegnie całe miasteczko i wszyscy będą wiedzieć, że jestem córką Dylana. Zapomniałaś już, jacy oni wszyscy są? Założmy, że plotka jakoś przedostanie się do taty. Nie, mamo.

On musi to usłyszeć od ciebie albo ode mnie. I wydaje mi się, że to będę ja.

- Nie podejmuj pochopnych decyzji. Przemyśl to dobrze. To wszystko stało się tak dawno temu.

- To się nadal dzieje, mamó! Jestem tego dowodem. Nie możesz schować mnie gdzieś w przeszłości.

- Oczywiście, że nie, ale zanim pozwolisz przeszłości zatruć teraźniejszość, pomyśl, jak to na niego wpłynie. Zastanów się. Tu nie chodzi tylko o ciebie, mnie i Dylana. Twój ojciec cię kocha.

- I zasługuje na to, żeby znać prawdę - skwitowała Ellen.

Usta matki się zacisnęły i kobieta zadarła głowę do góry. Ellen zobaczyła dziś w swojej matce cień Maddie Byrne, ale w roli lady Trawton żyła znacznie dłużej. Była za stara i zbyt przyzwyczajona do swoich nawyków, by na powrót stać się młodą dziewczyną.

- Jeśli mu powiesz, będzie bardzo zawiedziony - oświadczyła lady Trawton. Jej głos odnalazł swoją twardą zewnętrzną powłokę. - Mnie powinnaś ukarać za to, że cię okłamałam, że nie powiedziałam ci o Dylanie i że dałam ci życie i luksusy, jakich nigdy byś tu nie miała, ale nie karz Anthony'ego. Zawsze był dla ciebie dobrym ojcem, a dla mnie dobrym mężem. A teraz: wybieramy się na lunch do pubu. Craic chce mi go pokazać, zresztą lepiej, żeby zobaczyła się z resztą rodziny. Wyjście z nami dobrze ci zrobi. Nie możesz tu przeleżeć całego dnia. To ci nie przywróci Conora, prawda?

Choć Ellen nie miała ochoty z nikim się widzieć, musiała przyznać, że rodzinny lunch w Saganie Złota poprawi jej nastrój. Nawet Peg, która nigdy nie zaglądała do pubu, dała się namówić Oswaldowi i poszła razem z nimi. Dziewczyna się ucieszyła, kiedy ciotka ostatecznie opuściła ramiona, poddając się, i wzięła Oswalda pod rękę. Na pewno wiedziała, że w towarzystwie siostry nikt jej nawet nie zauważy.

Wiść o powrocie Maddie Byrne rozeszła się po miasteczku lotem błyskawicy i do pubu zaczęły ściągać tłumy, by móc rzucić okiem na dziewczynę, która wiele lat temu wywołała skandal w Ballymaldoon, uciekając z angielskim arystokratą. To był powrót córki marnotrawnej, traktowanej przez rodzinę, przyjaciół i obcych, którzy ledwie znali tę historię, jak prawdziwa królowa.

Madeline czerpała wyraźną przyjemność z tego powszechnego zainteresowania jej osobą. Kiedy piła wino i coraz bardziej spoufalala się z rodziną, wydawało się, że nieco zlągodniała. Od wilgotnego powietrza jej włosy się zmierzwiły, a ubranie pomięto. Policzki zaróżowiły się z emocji. Uśmiechała się szeroko, a ciało straciło swoją sztywność. Jej śmiech, zwykle poskramiany, był teraz ochryply i niepohamowany. Wyglądała młodziej. Ellen patrzyła na Maddie

Byrne z czasów, zanim sprawy przybrały zły obrót, a życiowe rozczarowanie uczyniło ją nieczułą. Wiedziała jednak, że ten stan nie potrwa długo. Zastanawiała się, czy Dylan też jest tego świadomy. Lata spędzone w Londynie były zbyt długie, by tak łatwo się rozpuścić.

Ellen czuła pustkę w środku. Im dłużej przyglądała się rodzinie, Oswaldowi i Dylanowi, tym bardziej cierpiała na myśl, że ma ich zostawić. Zauważyła, że wśród twarzy szuka Conora, i za każdym razem, gdy otwierały się drzwi, jej serce na chwilę przestawało bić, a ona w katuszach modliła się, by w nich stanął. Za każdym razem spotykało ją jednak rozczarowanie. Istniała duża szansa, że już nigdy nie przekroczy tego progu. Ellen wiedziała, że nie mogłaby tak żyć. W Londynie przynajmniej nie spodziewałaby się go spotkać za każdym rogiem. Tam szanse na to, że zapomni, były większe. W końcu skoro jej matce się udało, to i jej się uda.

Nieszczęście Conora jest oznaką mojego sukcesu. Powinnam cieszyć się ze zwycięstwa, ale tak nie jest. Coś w jego tragedii budzi mój niepokój. To inny rodzaj żalu niż ten, który uprzykrzał mu życie po mojej śmierci. Miał w sobie wtedy coś mrocznego i gburowatego, jakby był winien skrywania wielkiego sekretu. Teraz nie ma w nim ani nic mrocznego, ani tajemniczego. Jest po prostu zrozpaczony i oszołomiony swoją stratą. Obdarzył Ellen miłością, ale przede wszystkim zaufaniem, a ona go zdradziła. Jest chory z żalu. Wcześniej byłam zazdrosna o jego szczęście. Teraz jestem zazdrosna o jego cierpienie.

Kiedy Ellen odjeżdża z zamku, Conor patrzy na samochód, aż znika pod dębami, i stoi tak jeszcze przez chwilę, jakby spodziewał się, że zawróci. Na próżno. Ellen odjechała, a ja mam nadzieję, że uda się do Londynu i już tam zostanie. Czas uleczy złamane serce Conora, zda on sobie sprawę, że miłość, którą do mnie czuje, jest głębsza niż powierzchowne uczucie do Ellen. Kobiety mogą pojawiać się jego życiu i znikać niczym lilie na tafli stawu, ale ja jestem prądem płynącym pod spodem, który jest niezmienny.

Conor opiera ręce na biodrach i przez chwilę zachmurza twarz, jak gdyby nagle pomyślał o czymś, co doprowadza go do pasji. Odwraca się i idzie zdeterminowany do drzwi zamku. Kiedy jest w środku, znów wpatruje się w mój obraz. Spoglądam na niego przez oczy portretu i czuję się, jakbyśmy patrzyli na siebie jak dawniej, twarzą w twarz. Ogarnia mnie nagła fala ekscytacji, bo jestem niemal pewna, że nie patrzyłby na mnie w taki sposób, gdyby nie wyczuwał, co znajduje się za obrazem. Jego grymas się pogłębia, jakby rozważał coś niemożliwego do zrobienia. Nie jestem czymś niemożliwym, najdroższy. Jestem tu duchem, prawdziwsza niż za życia. Conor kręci głową i przypatruje się mojej pięknej twarzy. Podziwia moją urodę i wiem, że moja śmierć rozdziera mu serce. Śmierć to jednak iluzja, Conorze. Jestem tu. Jeśli zamkniesz oczy i zaufasz zmysłom, poczujesz mnie.

- Och Caitlin - jęczy. - Coś ty zrobiła?

Nie wiem, co ma na myśli. Chciałabym wierzyć, że żałuje naszej awantury w latarni, mojej spontanicznej ucieczki po schodach i śmierci. W jego twarzy jest jednak coś, co mówi mi co innego. Jest na mnie wściekły. Jego oczy wypełnia nienawiść. Jestem tym zaskoczona i zataczam się w tył, w ciemniejszą sferę mojego zawieszenia niż ta, w której byłam wcześniej. Conor kręci głową i uśmiecha się cynicznie.

- To twoja wina - oskarża mnie i widzę, jak jego twarz zastyga w rozgoryczeniu. - Powinienem się domyślić. Byłaś zazdrosna o mnie, kiedy żyłaś, a teraz jesteś o mnie zazdrosna po śmierci. Musisz dać mi odejść, Caitlin.

Przeczesuje dłonią włosy i śmieje się gorzko, spuszczać wzrok na kamienną podłogę. Jest świadom tego, że mówi do siebie i musi przez to wyglądać jak szaleniec. Mnie jednak nie wydaje się szalony.

Jego słowa są jak sztylety, które przeszywają moje serce i zabijają mnie na nowo. Czy on nie wie, że wszystko, co zrobiłam, było z miłości? Gdybym tylko mogła wyjaśnić, że to przez niego dopuściłam się mojego ostatecznego czynu - że gdybym była pewna jego miłości, nie doprowadziłabym do tego i nie zawiodłabym go. Nadal bym żyła i cała ta historia z Ellen by się nie wydarzyła.

Zostawia mnie w zamku, ale nie jestem sama. Odwracam się i widzę szare, nieszczęśliwe istoty, które wcześniej patrzyły na mnie z okien na piętrze, i zdaję sobie sprawę, że jestem szara i nieszczęśliwa jak i one. Dociera do mnie, że wszechświat naprawdę tworzy wibrowania - im szybsze, tym lżejsza istota. Te biedne dusze są powolne i ciężkie jak ja. Myślę o Ciarze i jej jasnej energii, i zastanawiam się, jak przyspieszyć wibrowanie i osiągnąć szczęśliwy poziom istnienia, taki, jaki się stał jej udziałem. Nie wiem. Może moim przeznaczeniem jest skrywanie się tu przez całą wieczność. Zastanawiam się, dlaczego poświęciłam swoją radość w niebie. Dla męża, który mnie nie kocha, i dzieci, które ledwie wiedzą, że przy nich jestem. Rozglądam się i pogrążam jeszcze głębiej na myśl, że miałabym spędzić całą wieczność z tą żalospną bandą duchów.

Conor powraca do Reedmace House w paskudnym nastroju i wyładowuje się na Finbarze, gdy ten pyta go, czy zagrają w szachy.

- Wyjeżdżamy - warczy, po czym woła swoją matkę.

Daphne jest zdumiona zmienionym tonem syna, ale zna go bardzo dobrze. Twarz ma ponurą, oczy przenikliwe, serce mu krwawi. Daphne nie pyta go, co się stało, bo Conor powie jej wtedy, kiedy będzie gotów, i ani chwili wcześniej. Wie jednak, że powodem tego jest Ellen, i jej serce też krwawi, bo wiązała z nią ogromne nadzieje, które teraz przepadły.

Lecą do Dublina helikopterem, ale ja jestem tak zaskoczona i zraniona tym, jak Conor mnie odtrącił, że zostaję w Connemarze. Pragnę teraz przejść na kolejny etap istnienia. Chcę pozostawić mroczny stan zawieszenia, ale jest za późno. Światło zniknęło, a ja opadam w mrok, jakby nad ziemią wisiła gęsta mgła. Ledwie przez nią widzę. Pragnę znaleźć się na plaży. Zbierając w sobie odrobinę energii, jaka mi pozostała, przenoszę się nad morze. Atmosfera, którą wytwarzam, jest zbyt ciemna, bym mogła dostrzec latarnię, ale wiem, że tam jest. Unoszę się nad tym skrawkiem wybrzeża, szybując w górę i w dół jak liść, i czuję się wstrętne.

Mam wrażenie, że straciłam wszystko i jestem w piekle. Wiem, że sama do tego doprowadziłam, i nie mam pojęcia, jak to odwrócić. Zdaję sobie jedynie sprawę, że moja tęsknota za światłem jest silniejsza niż tęsknota za Conorem i moimi dziećmi. Czuję się strasznie, bo w głębi duszy trawi mnie tęsknota za domem. Chcę iść do domu.

Wtedy widzę na plaży dwie osoby. Nie wiem, czy jest dzień czy noc, bo trwam teraz w nieustannej ciemności. Kiedy podchodzą bliżej, rozpoznaję Peg i Madeline. Co za dziwna para. Peg jest niska i okrągła jak główka kapusty, a Madeline wysoka i chuda jak pałka selera. Zapominam o sobie i swoim nieszczęściu i patrzę, jak podchodzą bliżej. Rozmawiają, trzymając dłonie schowane w kieszeniach płaszczy, z wełnianymi czapkami naciągniętymi głęboko na czoła. Stają przy krawędzi wody. Panuje zupełna cisza, jeśli nie liczyć żałosnego zawodzenia mewy, kołującej nad ich głowami. Stoją tak przez chwilę, patrząc na morze. Po chwili Peg wzdycha i bierze siostrę pod rękę. Madeline kładzie swoją dłoń na jej dłoni i poklepuje ją w pełnym otuchy geście.

- Już dobrze, Peg - mówi łagodnie. - Ona jest już z Bogiem.

Oczy jej siostry wypełniają się łzami.

- Wiem, ale tęsknię za nią.

- To zrozumiałe.

- Mam w sercu dziurę, której nie da się załatać, i cały czas wieje przez nią zimny wiatr.

- Och Peg. Pomyśleć tylko, że przez cały ten czas nie wiedziałam, jak bardzo cierpisz. Zawsze byłyśmy sobie tak bliskie.

- A ja nie wiedziałam, jak ty cierpisz, Maddie. Myślałam, że masz wszystko, czego chciałaś. Powinnyśmy pozostawać w kontakcie. Powinnyśmy się wzajemnie wspierać.

- Ale teraz będziemy, prawda?

- Oczywiście. Tak się cieszę, że wróciłaś.

Madeline uśmiecha się smutno.

- Ja też - odpowiada.

- A co z Dylanem? - pyta Peg.

- Oboje wiemy, że to, co nas łączyło, to rozdział zamknięty dawno temu. Nie możemy tak po prostu do niego powrócić. Tak się w życiu nie dzieje. Oboje się zmieniliśmy. Cieszę się jednak, że mogliśmy porozmawiać. Kocham go, ale myślę, że bardziej kocham wspomnienie o nim niż jego samego.

- A Dylan? Co on czuje?

- Odzyskał córkę - mówi Maddie poważnym tonem.

- Ellen wróci, prawda?

Peg jest pełna niepokoju na myśl, że straci siostrzenicę.

- Nie wiem. Ten cały Conor bardzo ją zranił, i to wszystko moja wina. Powinnam porozmawiać z nią na osobności. Ale byłam taka wściekła. Nie myślałam racjonalnie. Zobaczyłam go, domyśliłam się, kim jest, i chciałam się go pozbyć, żeby wszystko mogło być jak wcześniej.

- To wspaniała dziewczyna, Maddie.

- Wiem. Ale zawsze była trudnym dzieckiem.

- Tak jak ty.

- Ja byłam trudna?

Madeline oburza się na chwilę, ale zaraz zaczyna się uśmiechać, bo wie, że siostra ma rację.

- Oj, tak. Mama... - Peg waha się, po czym spogląda na Maddie. - Nie sądzisz, że powinnaś udać się na grób matki, żeby okazać jej szacunek?

- Nie - szybko odpowiada Madeline. - Nie jestem na to gotowa.

- Ale Jezus uczył przebaczenia.

- Nie jestem gotowa do przebaczenia. Nie ma sensu tego robić, skoro nie czuję tego w głębi serca. Czuję do niej tylko niechęć, Peg. Nic na to nie poradzę. - Zauważam, że od czasu do czasu Madeline zaciąga po irlandzku. Dziewczyna, którą była kiedyś, próbuje przebić się przez kobietę, którą się stała. Jest to jednak niemożliwe, lady Trawton zrobiła się zbyt twarda. - Za to ty, Peg, musisz wybaczyć sobie.

- Och Maddie. - Peg wzdycha i widzę, jak przebiega ją dreszcz przerażenia. Wzdryga się. - Nigdy sobie nie wybaczę - syczy, jak gdyby jej nienawiść do siebie samej była wężem, który nagle przejmuje nad nią kontrolę. Wychyla swoją obrzydliwą głowę, a kochana i dobra Peg kuli się ze strachu.

- To nie była twoja wina, Peg. To nie była niczyja wina. Bóg powołał do siebie Ciarę. Nie możesz kwestionować jego działań. Musisz przyjąć to, co nam zsyła.

- Ale nie mogę - jęczy Peg. - Gdybym była bardziej czujna...

- Nie ma żadnego gdybania, są tylko fakty. To już się stało, a ty musisz żyć dalej.

W tym samym momencie oślepia mnie białe światło. Wiem, że jest nim Ciara, choć nie mam w sobie tyle siły, by móc na nią spojrzeć. Mgła wokół mnie momentalnie rozprasza się pod wpływem jej pełnego miłości blasku i widzę, jak Madeline obejmuje siostrę i mocno ją przytula.

Światło zdaje się przenikać Peg na wylot i kobieta wydaje z siebie głośny lament, jakby razem z nim wyrzuciła z siebie cały swój żal. Wtedy milknie. Siostry trzymają się w objęciach, wokół nich hula wiatr, a fale rozbijają się o piasek jak

rozbitkowie, którzy przeżyli sztorm.

W końcu siostry odstępują od siebie i Madeline bierze Peg za rękę. Patrzy w jej zaczerwienione oczy i uśmiecha się do niej pokrzepiająco.

- Jeśli spróbujesz sobie wybaczyć, Peg, ja spróbuję wybaczyć mamie.

Peg z entuzjazmem potakuje.

- Rozsądny układ - odpowiada.

Wiem wtedy, że światłem Ciary jest miłość na tyle silna, by zgładzić węża. Wiem też, że w moim sercu jest niewiele miłości, której nie splamiła zazdrość. Zdaję sobie wtedy sprawę, że jednak mam moc, by podnieść poziom moich fluidów, bo zło pokonać można jedynie miłością.

- Wrócisz, prawda? - pyta Peg.

- Wrócę - odpowiada Madeline. - Wrócę i być może będę się czuła na tyle silna, by odwiedzić grób mamy.

- Mam nadzieję, że Ellen też wróci - mówi Peg.

Ruszają plażą w stronę domu.

- Ellen zrobi, co zechce - odpowiada Madeline. - Co za ironia. Całe życie próbowałam ukryć przed nią Irlandię, podczas gdy ona, ot tak, sama ją sobie odkryła.

- Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu - mądrze kwituje Peg.

- Masz rację. Może przyjazd tutaj był jej przeznaczeniem. Będzie miała to, co mnie odebrano, a ja postaram się nie mieć jej tego za złe.

- I Dylan będzie blisko córki, która nie dorastała na jego oczach.

- To też.

- Przykro mi, że tu przyjechała i ktoś złamał jej serce.

- Wygoi się — mówi Madeline. - A przynajmniej dziewczyna nauczy się żyć z tą stratą i zacznie od nowa jak ja.

- Naprawdę chce powiedzieć o wszystkim ojcu?

Madeline robi pełen bólu grymas.

- Tak. Nie mogę jej powstrzymać.

- To nie będzie łatwa rozmowa.

- Błagałam ją, by tego nie robiła. Przeszłość w końcu wychyli swój paskudny łeb i mnie ugryzie. Powinam się domyślić. Prędzej czy później wszystko wychodzi na jaw.

- Będę się za ciebie modlić - mówi Peg zdecydowanym tonem.

- Dziękuję, choć obawiam się, że modlitwy nie wystarczą.

Dochodzą do domu, gdzie na pastwisku stoi Ellen z osiołkiem i patrzy na latarnię. Spotykają się przy furtce.

- Co tam robiłaś? - pyta Madeline.

- Żegnałam się z osiołkiem - mówi dziewczyna i wypuszcza powietrze z płuc. Jej policzki są mizerne i blade.

- Chodź na śniadanie - proponuje Peg.

- Jeszcze chwilę.

- Zrobię ci owsiankę. Nie chcę, żebyś mi całkiem wychudła.

- To nie ma znaczenia - odpowiada Ellen ponuro, lekko wzruszając ramionami. - Conor wyjechał. Nie przyjedzie już po mnie. To koniec.

- Och Ellen - mówi Madeline. W jej głosie jest ciepło, które zaskakuje córkę.

- Chodź do środka, wyglądasz na zmarzniętą.

- Przyjdę do was za chwilę - powtarza dziewczyna, odwracając wzrok, bo jej oczy wypełniają się łzami.

Siostry idą do kuchni, zostawiając ją na pastwisku z osiołkiem. Mija parę chwil, po czym dziewczyna odwraca się i idzie za nimi.

Niedługo potem pojawiają się Dylan, Johnny, Joe, Ryan, Desmond i Craic, by się pożegnać. Oswald przychodzi ze swojego domku i wszyscy piją wspólnie ostatni dzbanek herbaty w ciepłej kuchni Peg. Mają posępne, smutne miny, najsmutniejszy jest jednak Dylan. Rozmowa się nie klei. Joe rzuca kilka nieudanych żartów, ale wszyscy i tak się śmieją. Starają się być radośni, choć serca mają ciężkie jak ołów.

W końcu nadchodzi pora pożegnań. Samochód Madeline czeka na zewnątrz, by zabrać je na lotnisko. Pospiesznie przytula braci i Peg, żeby nie dać się obezwładnić emocjom. Ostatecznie jest w końcu Angielką i jej irlandzka pasja została uwięziona pod trwałą stalową powłoką, którą Maddie zbudowała wokół siebie niczym zbroję. Wtedy przytula Dylana. Mężczyzna ściska ją mocno, ale nawet ja widzę, że i dla niego ta powłoka jest nie do pokonania. Widział okruchy Maddie, ale ostatecznie jest skazany na Angielkę, która zajęła jej miejsce.

Pożegnanie z Ellen wygląda zupełnie inaczej. Czuję w piersi dziwny ból, kiedy ujmuję jej młode dłonie. Zauważam, że jego dłonie się trzęsą. Nie jest w stanie nic z siebie wydusić, tylko kładzie jej w nich swoją płytę. Córka obejmuje go mocno i wydaje z siebie stłumiony szloch. Stoją przytuleni, a ból w mojej piersi narasta. Wtedy go rozpoznaję. Ból, który osłabia moją zazdrość, to współczucie.

Ellen wróciła do Londynu i do swojego dawnego życia jak zrezygnowany korsarz, którego wyprawa zakończyła się klęską. Nie było jej tu jedynie przez kilka tygodni i wszystko wyglądało tak, jak przed wyjazdem - tylko ona się zmieniła. To już nie było jej miejsce. Czowała się jak outsider w mieście, które - jak sądziła wcześniej - należało do niej. Mimo zerwania zaręczyn z Williamem, który nie był z tego powodu aż tak niezadowolony, jak się obawiała, odkryła, że matka oczekuje od niej, że wszystko wróci do normy. Ellen nie lubiła jednak dziewczyny, którą była przed wyjazdem, i nie miała zamiaru do niej wracać. Irlandia bezpowrotnie coś zmieniła w jej świadomości.

Po dość niezręcznym lunchu w towarzystwie Williama, który przypominał raczej rozwiązanie biznesowej umowy niż zerwanie zaręczyn, wróciła do domu. Nie czuła się w nim już jak u siebie. Miała wrażenie, jakby z niego wyrosła; nawet łóżko wydawało się jej za małe. Położyła się i słuchała płyty Dylana, tęskniąc za krajem, który w duszy uznała za swój dom. Gdy usłyszała tekst piosenki Ellen za morzem, nie była w stanie dłużej powstrzymać łez.

Postanowiła, że nie będzie już więcej kłamać, choć matka z całych sił starała się ją do tego zniechęcić. Wiedziała, że jeśli chce żyć uczciwie, musi wyjawić ojcu prawdę o swoich narodzinach. Na początku matka nie wierzyła, że Ellen się na to zdobędzie. Była przekonana, że kiedy córka wróci do domu, ich życie będzie się toczyć jak dawniej i dziewczyna zapomni o Irlandii. Zadzwoiła do Emily i poprosiła, żeby skrzyknęła znajomych i zabrała Ellen na wieczór na mieście. Jednak nic nie było w stanie sprawić, by zapomniała o Irlandii. Na myśl o niej z oczu dziewczyny łzy płynęły z byle powodu.

Mimo wysiłków Madeline nie mogła powstrzymać córki od tego, by wykorzystwała dogodny moment, kiedy znajdzie się z ojcem sam na sam w jego gabinecie.

- O co chodzi, córeczko? - zapytał z uśmiechem znad numeru „The Timesa”.

- Musimy porozmawiać, tato - odparła, zamykając za sobą drzwi.

- Oczywiście - odpowiedział, odkładając gazetę na ławeczkę przy kominku.

Usiadła na fotelu naprzeciw niego i złożyła ręce na kolanach. Nie zapytał jej, jak się czuje, odkąd zerwała z Williamem, nie pytał też o Irlandię. Żył tak, jakby nic się nie stało. Jak gdyby wyjechała z przyjaciółmi na długi weekend. Nie wiedziała, jak mu powiedzieć, że grzebała w przeszłości matki i odkryła, że jest dzieckiem innego mężczyzny.

- Więc? - zapytał, unosząc brwi.

- Chcę ci opowiedzieć o Irlandii - zaczęła.

- Ach tak - odrzekł i Ellen wydało się, że wyczuwa u niego jakieś skrępowanie. - Jak było?

- Kocham to miejsce.

- To piękna część świata.

- Mama nigdy o niej nie mówiła, więc możesz sobie wyobrazić, jaka byłam zaskoczona, kiedy odkryłam, że mam ciotkę i wujków.

- Domyślałam się, że oni byli równie zaskoczeni - powiedział, wydając z siebie zdławiony chichot.

Ellen zrobiło się niedobrze.

- Naprawdę czułam się tam jak w domu, tato. Miałam wrażenie, że tam jest moje miejsce.

- Masz to w genach.

- Tak, irlandzkie geny są we mnie bardzo silne.

Obserwowała go w nadziei, że zauważy jakąś reakcję, ale patrzył na nią tymi samymi szczerymi niebieskimi oczami i z niewinną twarzą.

- Poznałem twoją matkę, kiedy przebywałem w przepięknym zamku, którego właścicielem był wtedy niejaki Peter Martin.

- Byłam w tym zamku - powiedziała Ellen. - Jest bardzo romantyczny.

- Martinowie nadal są jego właścicielami?

- Nie. Sprzedali go i przeprowadzili się do Australii.

- Dobry Boże, to szmat drogi. Często się zastanawiałem, co się z nimi stało. Po tamtym lecie już nigdy ich nie widziałem. - W zamyśleniu pogładził podbródek.

- Syn Petera, Lorcan, i ja kolegowaliśmy się w Eaton i Oxfordzie. Wspaniały człowiek i jaki miał forehand! Zawsze będę to pamiętać.

- A poznałeś kiedyś niejakiego Dylana Murphy'ego? zapytała.

Obserwowała ojca uważnie, czekając na jego reakcję, ale on pokręcił tylko głową i powiedział, że chyba nie. Pomyślała wtedy, że pewnie nie wie o dawnym kochanku matki, bo zupełnie nie umiał udawać.

Wstała, czując nagłe poruszenie.

- Tato, mam ci do powiedzenia coś strasznego, ale nie mogę już dłużej dusić tego w sobie i muszę być z tobą szczerą.

Czuła okropny ucisk w dołku. Teraz już nie mogła się wycofać.

- Czy to ma związek z Irlandią? - zapytał i kiedy na niego spojrzała, jego oczy były w dziwny sposób ciemniejsze i głębsze niż wcześniej.

- Tak, z Irlandią i Dylanem.

Powoli pokiwał głową, oddychając przez nozdrza, i ponownie potarł

podbródek.

- Czy ten Dylan ma brązowe oczy?

Ellen zmarszczyła brew.

- Tak, czemu pytasz?

Nie spuszczał z niej wzroku.

- Co ci powiedział ten Dylan?

Jego głos zrobił się poważny. Ellen poczuła, jak przyspiesza jej tętno.

- Nic - odpowiedziała pospiesznie. - Sama się dowiedziałam. - W oczach wzbierały jej łzy. - I wtedy wszystko zaczęło jakoś składać się w całość.

- Usiądź, Ellen - powiedział spokojnie.

Zrobiła, co kazał, i przysiadła na krawędzi fotela.

- Mama błagała mnie, żebym ci nie mówiła, ale straciłam mężczyznę, którego kocham, bo okłamałam go w kwestii moich zaręczyn. Nie chcę już więcej żadnych kłamstw. Nie chcę już żadnych sekretów. I nie mogę żyć ze świadomością, że nie wiesz tego co ja. Że ty o niczym nie masz pojęcia. I że możesz się sam dowiedzieć albo że ktoś ci powie, a wtedy znów bym skłamała, a przynajmniej nie wyznała...

Mówiła bez opamiętania, wykręcając spocone dłonie.

- Ellen, ja wiem - powiedział delikatnie.

Patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Wiesz? Co wiesz?

- Nie jestem twoim biologicznym ojcem. To właśnie próbujesz mi powiedzieć, prawda?

Jej uczucie ulgi było obezwładniające.

- Skąd wiesz?

- Córeczko, naprawdę uważasz, że nie zauważyłbym, że moja córka ma brązowe oczy? Nawet przy mojej ograniczonej wiedzy w kwestii genetyki wiem, że to niemożliwe, aby dwoje niebieskookich rodziców miało brązowookie dziecko.

- Naprawdę? Nie wiedziałam.

- I pomyśleć, że tak się wykosztowaliśmy na twoją edukację w prywatnych szkołach! - Uśmiechnął się życzliwie. - To musiał być dla ciebie wielki szok, kiedy się dowiedziałas.

- Tak.

- To jednak niczego nie zmienia, chyba że tego chcesz.

- Nie zmienia?

- A czemu miałoby zmienić? Przeszłość jest przeszłością i nic się już z nią nie robi. Jest taka, jaka jest. To, że wiesz, kto cię spłodził, nie zmienia faktu, że od trzydziestu trzech lat jestem twoim ojcem. Nie zmienia to faktu, że cię kocham,

Ellen. Ani trochę.

Nigdy wcześniej nie słyszała, by jej ojciec mówił o miłości. Nagle poruszyło ją to do tego stopnia, że poczuła ucisk w piersi i gardle. Zawsze niezręcznie rozmawiało im się o uczuciach i Ellen nigdy go do tego nie zmuszała. Teraz otworzył przed nią świat swoich emocji i zapraszał ją do środka. Dla obojga były to nieznane tereny.

- Co pomyślałaś, kiedy się urodziłam? - zapytała cicho.

- Że jesteś najśliczniejszą dziewczynką na świecie i mam ogromne szczęście, że jesteś moja.

- Naprawdę?

- Oczywiście. Kochałem twoją matkę. To, czy była w ciąży z innym, nie miało znaczenia, bo pragnąłem być z nią bez względu na wszystko. Uciekła ze mną z Irlandii, a ja cieszyłem się, że jestem jej rycerzem w lśniącej zbroi.

- Nie zdziwiło cię, że dała mi na imię Ellen?

Zachichotał na to wspomnienie.

- Cóż, to nie był mój wybór, ale twoja matka się uparła. Myślałem, że może to imię jej babki albo jakiejś krewnej.

- Tak ją nazywał Dylan. Ellen Olenska.

- Ach, Wiek niewinności. - Pokiwał głową. - Cóż, w pewnym sensie zostałaś poczęta w wieku niewinności. Później wszystko zaczęło się komplikować.

- I nigdy ci nie powiedziała?

- Nie. Pewnie myślała, że bym się z nią nie ożenił, gdyby wyjawiała mi prawdę. Nigdy nie poruszyłem z nią tego tematu, bo nie chciałem siał zamętu. Jeśli o mnie chodzi, nie miało to żadnego znaczenia.

- Zastanawiałaś się kiedyś, kim on jest?

- To też się dla mnie nie liczyło.

- Mama myśli, że nie wiesz. Błagała mnie, bym ci nie mówiła. Pewnie uważa, że to mogłoby zrujnować wasze małżeństwo.

Ojciec się uśmiechnął.

- Nic nie jest w stanie zrujnować naszego małżeństwa, Ellen. Ani wtedy, ani teraz.

- Kiedy dorastałam, zawsze czułam się inna - wspomniała. - Teraz wiem dlaczego.

- Nie byłaś inna, Ellen. Byłaś sobą. Nie jesteś jedynie tworem dwojga ludzi, jesteś indywidualnością, wyjątkową, niepowtarzalną duszą. Zawsze byłaś naszą córką i ważną częścią tej rodziny. Pasujesz tu bez względu na to, jaka jesteś, bo to twój dom. Nic nie może tego zmienić oprócz twoich negatywnych myśli. Jeśli będziesz sobie powtarzać, że tu nie pasujesz, w końcu sama w to uwierzysz. -

Uśmiechnął się do niej z czułością. - To dzięki swojej inności jesteś tak ciekawą osobą, Ellen. To ci nadaje wyjątkowości.

- Nigdy nie czułam się wyjątkowa.
- Jeśli tak, to nasza wina, nie twoja.
- Żałuję, że nigdy wcześniej o tym nie rozmawialiśmy.

- Nie sądzę, żeby wcześniej było to możliwe. Dopiero teraz nastąpiła odpowiednia pora. Musiałaś pojechać do Irlandii, żeby zrozumieć motywy matki. Sama nigdy by ci o tym nie powiedziała. Obawiam się, że to była jedyna droga.

- Myślę, że będziesz musiał jej powiedzieć, że od początku o wszystkim wiedziałeś - rzekła Ellen, wstając.

- Tak. Może nie być tym zachwycona.
- W takim razie postaram się nie być wtedy w domu.

On też wstał.

- Córeczko, byłaś bardzo dzielna. - Objął ją i bardzo delikatnie uściśnął. Oparła głowę o jego silną, mocną pierś. - Chciałbym, żebyś została w Eaton Court, ale jeśli postanowisz wrócić do Irlandii, zrozumieć to. Nie daj sobie wmówić, że nie masz prawa robić, co chcesz.

- Jesteś zawiedziony, że nie wyjdę za Williama? - zapytała.

- Odrobinę - odpowiedział, a jej serce na chwilę stanęło. - Nie widziałem tak rewelacyjnego forehandu, odkąd grałem z Lorcanem Martinem.

- Czyżby? - Zaśmiała się i odsunęła od niego.

- Nie, nie jestem zawiedziony. Byłbym o wiele bardziej zawiedziony, gdybyś wyszła za kogoś tylko dlatego, że czułaś się do tego zmuszona.

Patrzyła na niego, ciesząc się, że jego oczy znów są jasne i pogodne.

- Dziękuję, tato - powiedziała.

Pocałował ją w czoło.

- Jesteś moją córką, Ellen, i jestem z ciebie bardzo dumny.

Mimo poprawy stosunków Ellen z rodzicami kolejne tygodnie bardzo jej się dłużyły. Tęskniła za Irlandią i Peg. Tęskniła też za Conorem, aż w końcu miała wrażenie, że tęsknota przeżarła jej serce na wylot. Miała już pewność, że on do niej nie zadzwoni, nie była jednak w stanie przeciąć ostatniej nici kontaktu z nim. Dlatego też na wszelki wypadek nosiła w torebce telefon, który jej kupił. Nieustanne rozczarowanie powodowane brakiem wiadomości od niego przypominało dziewczynie o jej głupocie i dodawało powodów do zmartwień.

Emily nie odstępowała od niej, ale nawet ona po tygodniach organizowania wspólnych obiadów i wyjść do kina straciła cierpliwość. Zaproponowała, że w tym roku wcześniej weźmie urlop i obie polecą gdzieś w tropiki, ale Ellen odmówiła. Chciała schować się pod kołdrą i nigdy spod niej nie wyjść. Matka kazała jej szukać pracy. Nic tak nie niszczyło ludzkiego ducha jak bezczynność.

- Musisz czymś się zająć - zachęcała córkę. - Rób coś. Może pomożesz mi w jednej z organizacji charytatywnych? Zawsze szukamy ludzi do kopertowania.

Matka miała rację - Ellen potrzebowała jakiegoś zajęcia. Z łomoczącym sercem wyciągnęła laptopa i postawiła go na biurku w sypialni. „Może włączysz sobie jakąś muzykę, zapalisz świecę, wprowadzisz w swoim pokoju sprzyjający nastrój, a potem uspokoisz myśli i zobaczysz, co się stanie” - mądrze poradził jej Dylan. Zapaliła więc świecę i włączyła playlistę piosenek na swoim iPodzie. Muzyka była poruszająca i jej serce wypełniła miłość i tęsknota, a palce rwały się, by przekazać twórczego ducha, który z niej wyptywał.

O dzielna morska latarnio,
co wzrastasz nad morza brzegi,
wojna twa już skończona,
czas wstąpić w anielskie szeregi.
Czas w końcu się poddać,
odejść w białe światło,
wznieść się ponad ciało,
zakończyć walkę niełatwą...

Pisała całe strony piosenek: o Conorze, o Dylanie, o latarni morskiej, której symboliki do końca nie rozumiała. Słowa zalewały jej świadomość, wydobywając się ze spokojnego, wiecznego miejsca w jej wnętrzu, które odkryła tego pierwszego ranka na plaży w Ballymaldoon. Potem kupiła sobie gitarę i

komponowała muzykę, tak jak nauczył ją Dylan. Piosenki, które pisała, poprawiały jej nastrój, dawały ujście smutkowi. Teraz rozumiała, dlaczego Dylan wyrażał swój smutek w muzyce. Przynosiło mu to ulgę. Piosenki Ellen dawały jej to samo, aż w końcu znad jej przyszłości uniosła się mgła i dostrzegła ją w jaśniejszych barwach.

Zdała sobie sprawę, że nigdy nie będzie szczęśliwa, jeśli zostanie w Londynie. Nie będzie szczęśliwa bez Conora - taka była prawda. Woląta jednak usychać za nim z tęsknoty w Connemarze niż tu, w Londynie, gdzie czuła się odizolowana i samotna. Tam przynajmniej mogła wpaść na niego przypadkiem. Tak czy inaczej mogła tam pracować u Alanny, pisać piosenki i grać je z Dylaniem. Pomagałaby Peg w zakupach i nauczyłaby się opiekować zwierzętami. Z wigorem rzuciłaby się w swoje nowe życie, bo Connemara stałaby się jej domem. Myśl o powrocie napełniła ją energią i entuzjazmem. Zeskoczyła z łóżka i wyciągnęła spod niego walizkę. Pierwszy raz od wielu tygodni czuła się szczęśliwa.

Czas powoli płynie naprzód. Nie wiem, ile tygodni upłynęło, ale teraz jest wiosna. Widzę kwitnące jabłonie za oknami Reedmace House mimo gęstej mgły, która podąża za mną krok w krok. Wyobrażam sobie, że słońce grzeje, a wzgórza jaśnieją żółtym i fioletowym wrzosem. Pamiętam most trolla i jezioro, nie mam jednak ochoty odwiedzać tych miejsc. Snuję się korytarzami zamku z innymi duchami, których nieszczęście skazuje na najbardziej godny politowania poziom istnienia. Nie jest to miejsce, w którym chciałabym być, ale czuję, że nie mam siły z niego ulecieć. Moja zazdrość okradała mnie z wolności. Zabrała mi wszystko i teraz jestem jeszcze bardziej samotna niż wcześniej.

I wtedy Conor powraca do Connemary. Jestem przerażona jego wyglądem. Nie zapuścił brody ani nie pozwolił włosom sięgnąć do ramion, ale jego oczy są pełne smutku, a policzki zapadnięte. Odczuwam ten sam ból w sercu co wtedy, kiedy Dylan i Ellen się żegnali. Moja dusza wypełnia się nim i czuję w sobie ciepło, którego nie zaznałam od bardzo dawna. Staje się jeszcze silniejszy i uporczywy, kiedy idę za Conorem do zamku, do jego wieży.

Kiedy żyłam, ta wieża służyła za schowek. Conor nie potrzebował wtedy tego pokoju. Kiedy umarłam, zrobił sobie tutaj swój azyl. Kryjówkę, w której krył się przed światem i mógł być całkiem sam. Teraz szuka tu schronienia przed swoim cierpieniem, ale nie może go odpędzić, bo ono jest jak cierni w jego sercu, który mogłaby wyciągnąć tylko Ellen. Leży na łóżku i przyciska poduszkę do piersi. Wiem, że nie myśli o mnie. Tęskni za Ellen i po raz pierwszy od śmierci pragnę jego szczęścia bardziej niż swojego. Pragnę go tak bardzo, że jestem skłonna zrobić dla niego wszystko.

To tęskne pragnienie, by ulżyć mu w cierpieniu, sprawia, że czuję się dziwnie lekka. Nie jestem w stanie wyciągnąć jego ciernia ani przywrócić mu Ellen, ale mimo wszystko pragnienie, by to zrobić, napełnia mnie radością. Jakie to dziwne czuć przyjemność z czegoś takiego. Zawsze myślałam tylko o sobie. Moja miłość była egoistyczna, a przez to wcale nie była miłością, tylko zachłannym pragnieniem uwagi. Teraz zdaję sobie sprawę, że całe moje życie napędzała ta rozpaczliwa potrzeba, a moja śmierć jest jej wynikiem. Och, czemu wcześniej o tym nie wiedziałam? Dlaczego dopiero teraz, kiedy moje istnienie ogranicza się do ciemnego, dusznego zawieszenia? Czy naprawdę musiałam tyle wycierpieć, by pojąć coś tak prostego?

Każdą cząstką duszy pragnę wyciągnąć Conora z jego żałoby, nawet jeśli to

oznacza, że po drodze zatracę siebie. Gdybym mogła za pomocą czarodziejskiej różdżki przywieść Ellen z powrotem do niego, zrobiłabym to, mimo że odepchnąłby mnie wtedy gdzieś, gdzie trzyma niechciane wspomnienia. Jakie to miało znaczenie? Co-nor nie chce o mnie pamiętać. Po tym, co zrobiłam, wcale mu się nie dziwię. Jak mogłam wierzyć, że tak okrutny czyn wymusi na nim miłość do mnie? Powinnam być zadowolona z miłości, którą obdarzył mnie wcześniej, ale nie byłam.

Chciałam więcej, więcej i więcej, i uciekałam się do dramatycznych środków, żeby to osiągnąć. Nigdy nie czułam się wystarczająco kochana. Ale gdybym okazywała mu czystą miłość, otrzymywałabym taką w zamian. W tym cała ironia. Gdybym myślała o tym, co mogę dać, zamiast o tym, ile chcę dostać, byłabym szczęśliwa. Dlaczego nie wiedziałam o tym, kiedy żyłam? Dlaczego pozwoliłam zazdrości zniszczyć moje małżeństwo? Dlaczego pozwoliłam jej zniszczyć Conora? Patrzę, jak ten silny, dzielny człowiek płacze jak dziecko, leżąc na łóżku, i zdaję sobie sprawę, że to z mojego powodu. To ja mu to zrobiłam. Robiłam to za życia i nie przestałam po śmierci. Czas wszystko naprawić. Czas pozwolić mu odejść.

Co jednak mogę zrobić? Na pewno coś leży w mojej mocy. Kiedy myślę o rzeczach, które mogłyby sprawić, aby Conor i Ellen wrócili do siebie, zauważam, że moja dusza staje się nieco jaśniejsza, a mgła wokół mnie lekko się przersedza. Czuję w sobie więcej energii, więcej życia. Wraz z nowym poczuciem bezinteresowności opuszczam zamek i siłą umysłu przenoszę się do Londynu, by szeptać Ellen do ucha. Mogłabym jej mówić, że Conor ją kocha, i podpowiedzieć jej, by wróciła do Ballymaldoon. Mogłabym odnaleźć Ciarę i zapytać ją, co robić. Mogłabym skorzystać z jej pomocy. Na pewno nie jestem tak bezsilna, jak wcześniej mi się zdawało. Mam w sobie siłę, jeśli moimi czynami kieruje prawdziwa miłość. Nie mam pojęcia, skąd to wiem. Po prostu wiem.

Jestem kompletnie zaskoczona, widząc Ellen na plaży z Peg i Panem Borsukiem. Idą po piasku i rozmawiają, jakby dziewczyna nigdy nie wyjechała. Zastanawiam się wtedy, czy na pewno jestem sama. Może ktoś się mną opiekuje, czuwa nade mną z wyższych poziomów istnienia? Skoro istnieją niskie poziomy, muszą być też i te wysokie, gdzie mieszkają anioły. Poziomy, których nie widzę. Z tą myślą czuję, jak staję się odrobinę lżejsza, a w rezultacie trochę szczęśliwsza. Patrzę na Ellen i wiem, że istnieje coś, co mogę zrobić, by jej pomóc. Nie wiem tylko, co to jest.

Idę więc za nią do domu i patrzę, jak piją z Peg herbatę i rozmawiają. Patrzę, jak wieczorem Oswald przychodzi na karty. Patrzę, jak Dylan i Ellen grają na gitarach w salonie i wspólnie śpiewają. Patrzę, jak Johnny i Joe wpadają na

śniadanie. Patrzę, jak Ellen pracuje w sklepie Alanny, a potem je lunch z Dylanem w pubie. Patrzę, jak życie płynie w jednym celu - złączyć skłóconych kochanków. Wiem, że mogę to zrobić. Czuję, jak coś mnie prowadzi, moje zmysły są otwarte i wyczuwane, bo już dłużej nie pochtania mnie egoizm. Wiem, że nadejdzie moja szansa, i oczekuję jej z radością.

Czekam - w końcu nie mam nic innego do roboty, a to czekanie sprawia mi przyjemność. Zauważam piękno okolicy, kiedy w świetle mojej miłości unosi się mgła. Cieszę mnie dłuższe dni i sezon lęgowy ptaków. Słucham ich ćwierkania i patrzę, jak latają po niebie. Zauważam trzepoczące skrzydłami motyle i pracowite pszczoły i moje serce wypełnia podziw dla wspaniałości stworzonego przez Boga świata.

I wtedy wiem. Jestem tak podekscytowana, że ledwie mogę w to uwierzyć. Pewnego popołudnia Ellen samotnie siedzi przy stoliku w salonie Peg. Pan Borsuk śpi na dywaniku przed kominkiem, w którym dziewczyna napaliła, bo przez cały dzień łało, a powietrze jest mokre i zimne.

Ellen zapala zapachową świecę i włącza piosenki nagrane przez Dylana. Pokój wypełnia słodki zapach fig i poruszająca skrzypcową muzyka. Dziewczyna znajduje się w innym miejscu. Jej umysł jest otwarty, pusty i płodny jak najżyźniejsza ziemia. Łatwo mi zasadzić w niej moje ziarno. Ellen wydaje się, że napisze piosenkę, ale ja mam zamiar podpowiedzieć jej opowiadanie.

Poddaję jej swoje słowa, a ona bezwiednie przelewa je na papier. Pisze szybko i sprawnie, a jej inspiracja jest stała i nieprzerwana. To takie proste. Obie drżymy z radości i zaskoczenia, zbyt podekscytowane, by pytać, dlaczego i skąd.

8 października 2007

Jeszcze nie zapadł zmrok. Żółta luna tliła się za wzgórzami, gdzie zachodziło słońce, nadając niebu bladoróżowego koloru. Gdy płynęliśmy małą łódką, którą tak dobrze znamy, latarnia górowała nad nami swą ciemną sylwetką. Łódka zdecydowanie pokonywała fale jak odważny, lojalny służący. Uśmiechnęłam się zachęcająco do mojego kochanka, kiedy wiosłował. Był silny, miał potężne ramiona i szeroki, masywny tors. Odwzajemnił mój uśmiech. Jego twarz pełna była uwielbienia, a ja poczułam, jak w moim sercu wzbiera uczucie rozkoszy. Jak wspaniale być kochanym z takim oddaniem.

Płynęliśmy tak już wiele razy, choć ja robiłam to częściej niż on. Latarnia była moim sekretnym miejscem, gdzie zapuszczałam się małą łódką, z głową pełną marzeń. Lubiałam leżeć pod gwiazdami i wyobrazić sobie istniejące na nich inne światy w niezmiernych czeluściach kosmosu. Słuchałam chłopotu fal i krzyków mew, i cieszyłam się z niebezpieczeństwa, w jakim się znajdowałam, wiedząc, jaką wywołałabym wściekłość, gdybym została przyłapaną. Dziś było jednak inaczej. Nie

płynełam sama. Byłam z moim kochankiem i miałam plan. Gdyby tym razem ktoś mnie przyłapał, jego wściekłość miała sięgnąć zenitu. Czułam, że dzisiejszego wieczoru wydarzy się coś dramatycznego. Dziś miałam dać mu szansę, by raz na zawsze udowodnił, że mnie kocha.

Dotarliśmy do wyspy i przycumowaliśmy łódkę do skał. Przyptyw się skończył i małe, płytkie zatoczki pełne były krewetek i krabów. W tę nastającą noc wiatr był miękki jak jedwab. Wziął mnie za rękę i oboje podążyliśmy ścieżką wśród traw ku latarni. W środku na drewnianych schodach stały świece. Mój kochanek zapalił je jedną po drugiej, a one płonęły jasno w półmroku. Szliśmy po schodach przez alejkę świec, aż dotarliśmy do pokoju na samej górze, okrągłego jak gniazdo.

Pokój był wyjątkowy jak grotta Aladyna. Na ścianach zawiesiłam kotary w kolorze purpury i zieleni, a na podłodze rozłożyłam wielobarwne dywany i aksamitne poduszki. W środku nie było elektryczności, bo latarni nie używano już od lat. Jedyne światło dawały niezliczone rzędy świeczek najróżniejszych kształtów i rozmiarów, które rozstawione były w pokoju i wypełniały powietrze swoim aromatem.

Otworzyliśmy butelkę wina i wypiliśmy za nasze zdrowie i przyszłość. Zatraciliśmy się w sobie. Szeptał, że mnie kocha i że umarłby beze mnie, że jestem tlenem, którym oddycha. Powiedziałam, że mu nie wierzę, więc pocałował mnie jeszcze mocniej, starając się udowodnić mi, jaki jest oddany. Upajały mnie jego śmiałe deklaracje, że jego serce jest w moich rękach. Pławiłam się w ciepłe jego entuzjazmu.

- Kocham cię, kocham cię, kocham cię - szeptał, rozpaczliwie starając się pojąć moje ciało i duszę.

-Kocham cię, kocham cię, kocham cię - pomrukiwał. Ale ja go nie kochałam. Nie mogłabym. Istniał tylko jeden mężczyzna, którego darzyłam takim uczuciem, i nie był nim on.

Mój kochanek pierwszy usłyszał odgłos silnika. Dochodziłam do siebie po jego uderzających do głowy pochlebstwach, które dawały mi większe spełnienie niż fizyczny akt miłości. Usiadł wyprostowany i unióś nos jak pies, który wyczuwa w powietrzu niebezpieczeństwo.

- Słyszysz? - zapytał, nasłuchując.

Miał rację. Dźwięk silnika łodzi przebijał się przez odgłosy morza. Usiadłam prosto, udając zaskoczoną.

- To on - powiedziałam, zrywając się na nogi i szukając ubrań pomiędzy poduszkami.

- Jezu, musisz mnie jakoś ukryć! - krzyknął, wciągając spodnie.

- Nie ma gdzie - odpowiedziałam i patrzyłam, jak jego twarz wykrzywia się

ze strachu.

- Co on zrobi?

- Zostaw to mnie.

- Mówiłaś, że jest w Dublinie! - syknął.

- Tak mi się wydawało - odpowiedziałam, zapinając guziki sukienki. - Może to nie on - dodałam.

Wiedziałam jednak, że to kłamstwo. Przecież dokładnie tak to wszystko zaplanowałam.

- To naprawdę on - stwierdził mój kochanek, a jego wielkie oczy patrzyły na mnie pełne przerażenia. - Co mu powiesz?

- Że go kocham.

- To nie wystarczy! - rzucił. - Nie uwierzy ci.

Była to jednak jedyna prawda. Zrobiłam to dla niego, dla nas. Z pewnością się zorientuje, jak bardzo go potrzebuję; że za każdym razem, kiedy mnie zostawia, jestem rzucona na pastwę drapieżnych mężczyzn, którzy mnie pożądają. Zda sobie sprawę, że nie może mnie tak zostawiać. Potrzebowałam go, potrzebowałam jego miłości. Jeśli to go nie przekona, to już nic innego nie jest w stanie.

- Uwierz mi - odpowiedziałam. - Możesz być spokojny.

Zbiegłam po schodach, mijając płonące świece i uważając, by rąbek sukienki nie zajął się od płomieni. Na zewnątrz byłoby zupełnie ciemno, gdyby nie skrawek księżyca wystający zza chmury, który wąską łuną srebrzył się na wodzie. Mój mąż cumował łódź do skał. Spojrzał na latarnię i zobaczył mnie w drzwiach. Czekałam na jego gniew i strach tak jak dziecko, które czeka, aż w końcu przytuli je zdenerwowany rodzic. Przeszedł przez skały i ścieżką wśród traw podszedł do mnie.

- Co to ma znaczyć? - zapytał.

Jego oczy nie były przepełnione gniewem ani strachem, ale znużeniem i irytacją. Nagle zauważyłam, jaki wydał się zmęczony i nieszczęśliwy.

- Myślałam, że jesteś w Dublinie - odparłam.

- Gdzie on jest? - zapytał władczym tonem.

Nie było gdzie się schronić i mój kochanek stanął za mną ze zmieszaną, przestraszoną miną. Twarz mojego męża poczerwieniała z zaskoczenia.

- Jak mogłaś, Caitlin? Przecież to dzieciak!

- Jestem mężczyzną - powiedział odważnie mój kochanek, prostując ramiona. W porównaniu z Conorem był jednak nadal młokosem.

- Nie masz wstydu, Ronanie Byrne?

- Kocham ją - oświadczył Ronan.

- Co na to powie twoja matka? Czy nie dość już przeszła?

- Nie wciągaj w to mojej matki.

- To dobra kobieta, Ronanie. Nie zasługuje na to, by znów łamać jej serce. - Ronan stanął jak wryty, niczym koń przed płotem, kiedy nagle zda sobie sprawę, że jest on zbyt wysoki, by go przeskoczyć. - Idę do domu - powiedział Conor zmęczonym głosem. - Peg nie może się o tym nigdy dowiedzieć, zrozumiałaś? - W jego głosie pobrzmiwało ostrzeżenie, na dźwięk którego dostałam gęziej skórki. - Zabiorę Caitlin moją łodzią.

Ronan nie wiedział, co ze sobą zrobić. Widziałam, jak panikuje, jednocześnie myśląc o mnie i o swojej matce. Ugrzązł między skałami jak wyrzucony przez fale mały krab.

Mój gniew gotował się w wulkanie zazdrości.

- To właśnie cały problem. O to przecież chodzi. Nie obchodzę cię, Conorze. Nie przeszkadza ci, że sypiam z innym mężczyzną. Już mnie nie kochasz. Chciałbyś, żebym umarła.

Twarz Conora przybrała bolesny grymas.

- Dość mam twoich przedstawień, Caitlin. Doprowadzasz mnie do ostateczności i sama jesteś sobie winna.

Zaczęłam łkać.

- Nie kochasz mnie - zawodziłam.

- Ja cię kocham - wtrącił Ronan, ośmielony moimi łzami. - Ucieknij ze mną, Caitlin.

Conor przerwał mu zniecierpliwiony.

- Nie wygłupiaj się, Ronanie. Idź do domu do matki i zapomnij o całej sprawie.

- Caitlin mnie kocha - zaprotestowałam żywo.

- Nie, nie kocha cię - zaprzeczył spokojnie Conor. - Jesteś tylko pionkiem w jej grze.

- To nieprawda. Nie kochasz jej - oskarżył go Ronan, teraz jeszcze bardziej pewny siebie. - Ona nic cię nie obchodzi. Nigdy cię tu nie ma. Ja jestem. Opiekuję się nią. Daję jej to, czego ty nie możesz. - Odwrócił się do mnie. W jego oczach tlił się pewien pomysł. - Ucieknij ze mną, Caitlin. Teraz. Nigdy nie będziemy musieli tu wracać.

- Nie kocham cię, Ronanie - powiedziałam mu. - Kocham Conora. Zawsze tak było.

Ronan jednak myślał, że kłamię, aby go chronić.

- Rozumiem - powiedział po cichu.

- Nie, mówię poważnie, Ronanie. Nie kłamię. Było nam razem dobrze, ale kocham Conora. Kocham go całym sercem i umrę, kochając go.

Ronan wyglądał na załamane szczerością moich słów, jakby nagle dostał bolesny cios.

- To nieprawda, Caitlin. Nie wierzę ci. Mówisz tak, żeby mnie chronić.

- Nie - upierałam się. - Przepraszam.

- Ale możemy być szczęśliwi razem daleko stąd, Caitlin. Możemy zacząć od nowa. Wiem, że to możliwe. Pokażę ci, jacy możemy być szczęśliwi.

Uśmiechnęłam się do niego smutno.

- Nigdy nie porzucę mojego domu i dzieci, Ronanie. Zrób, co mówi Conor, wracaj do domu. - Po czym nachyliłam się w jego stronę i powiedziałam tak, żeby tylko on usłyszał: - Proszę, najdroższy, nie bądź głupi. Idź, zanim się na ciebie rzuci.

Zdesperowany, spojrzał na mnie przeciągle, po czym poszedł ścieżką do łodzi, którą przycumował pośród skał. Miałam nadzieję, że nic mu się nie stanie, gdy po ciemku będzie wśród nich wiosłował. Zerknęłam na niebo i zobaczyłam księżyc, teraz wielki i okrągły jak kryształowa kula. Zdałam sobie sprawę, że wystarczy to Ronanowi, by bezpiecznie doплыł do brzegu.

- Chodź, Caitlin - powiedział Conor, wyciągając do mnie rękę.

- Uważasz, że to wszystko jakaś gra? - zapytałam.

- Sama powiedziałaś, że go nie kochasz. Wykorzystałaś go, żeby się na mnie odegrać, ale nie robi to na mnie wrażenia, Caitlin. Najmniejszego.

- Od miesiący jest moim kochankiem - przechwalałam się prowokująco. - Kiedy byłeś w Dublinie i Ameryce, ja kochałam się z Ronanem. Jakie to ma znaczenie, że go nie kocham? On kocha mnie. Słyszałeś go! Kocha mnie całym sercem.

- Jakie to ma znaczenie? - powtórzył przerażony moim bezlitosnym brakiem szacunku do Ronana. - Caitlin, czyś ty straciła rozum? To chłopiec, a ty łamiesz mu serce.

- Chciałam, byś mi pokazał, że ci na mnie zależy.

- Prowokując moją zazdrość? - Patrzył na mnie zdumiony. - Posunęłaś się tak daleko, żeby mnie sprowokować?

- Nie rozumiesz mnie. Po tych wszystkich latach małżeństwa zupełnie mnie nie znasz.

- Tak - powiedział cicho. - Chyba cię nie znam.

W tym momencie nie byłam już w stanie pohamować swojej frustracji.

- Co mam zrobić, żebyś mnie pokochał, Conorze?! - krzyczałam zrozpaczona.

- Kochałem cię, Caitlin, ale wysłałaś ze mnie to uczucie do ostatniej kropli! Nie mam ci już czego dać. - Zaczął na mnie krzyczeć. Jego głos był pełen irytacji. - Potrzebujesz pomocy! Profesjonalnej pomocy, bo nie wiem, co jeszcze mogę zrobić! Masz nie po kolei w głowie. Powinienem zdać sobie z tego sprawę wiele lat temu, zamiast udawać, że nic się nie dzieje, i ignorować twoje wołania o pomoc. Byłem nieczuły, wybaczone, najdroższa. Nie potrzebujesz mnie, ale doktora, który wie, jak ci pomóc.

- Uważasz, że jestem obłąkana?

- Nie, nie jesteś obłąkana, jesteś niestabilna. Wiem, że mogę znaleźć dla ciebie pomoc.

- Już mnie nie chcesz! Powiesz wszystkim, że oszalałam, i zamkniesz mnie w jakimś zakładzie.

- Wcale tego nie powiedziałem.

- Chcesz mnie gdzieś odesłać!

- Nie.

- Chcesz, żebym umarła - szepnęłam, z zaskoczeniem zdając sobie sprawę, że Conor na pewno chce się mnie pozbyć w taki właśnie sposób.

- Nie, Caitlin, tego nie powiedziałem.

Wyciągnął do mnie rękę, ale się cofnęłam. Nagle odniosłam wrażenie, jakby cały świat się ode mnie oddalał. Czułam się oddzielona od ciała i unosiłam się nad wyspą i latarnią, wiele kilometrów nad rzeczywistością. Wydawało mi się, że jestem o krok od utracenia wszystkiego, co mam, ale nie mogę się od tego powstrzymać.

- Chcesz, żebym umarła - powtórzyłam i spokój w moim głosie mnie przeraził. - Mimo że tak cię kochałam. - Odwróciłam się na pięcie i zaczęłam uciekać po schodach.

Spojrzałam za siebie i zauważyłam, że nie idzie za mną. Chciałam, aby za mną pobiegł, wziął mnie w ramiona i błagał o wybaczenie. Tak się jednak nie stało. Byłam sama na schodach. Samotna jak przez całe nasze małżeństwo. Zaczęłam rozpaczliwie szlochać i pobiegłam na samą górę. Dopiero gdy znalazłam się na balkonie, zdałam sobie sprawę, że moja sukienka zajęła się ogniem. Płomienie pożerały materiał w takim tempie, że nie mogłam jej z siebie zedrzeć. Zanim się zorientowałam, co się dzieje, płonęłam. Oszalała z przerażenia, pomyślałam jeszcze tylko o jednym, zanim rzuciłam się w dół: Conor zda sobie sprawę, że mnie kocha, gdy już będzie za późno, i nie przestanie tego żałować przez resztę życia.

Chwilę potem znajdowałam się nad sobą i patrzyłam, jak moje ciało uderza o skały. Zobaczyłam na balkonie Conora, który spogląda w dół z przerażeniem i niedowierzaniem. Koniec końców, jednak za mną pobiegł.

Teraz wszystko jest dla mnie takie oczywiste. Kochał mnie, ale tego nie dostrzegałam. Jak niemądrze zachowujemy się w zaślepieniu. Dlaczego potrzeba aż tyle nieszczęść, byśmy zdali sobie sprawę, że w życiu nie liczy się nic oprócz miłości? Tylko tyle. Tylko tyle zabieramy ze sobą, kiedy umieramy. I to jedyne, co wezmę ze sobą, kiedy przejdę dalej. Miłość, wszystko, czym jestem, tylko nigdy wcześniej o tym nie wiedziałam.-

Ellen przestała pisać. W zadziwieniu patrzyła na monitor. Fala natchnienia, która przez nią przebiegała, ustała jak za pstryknięciem palców. Nie miała już nic więcej do dodania. Ani słowa. Pokój wydał jej się dziwnie chłodny, choć w palenisku płonął wesoły ogień. To z pewnością nie były jej słowa. Nie mogła po prostu tego napisać, nawet gdyby chciała. Nie były to też jej myśli. Kiedy w narracji pojawiły się imiona Ronana, Caitlin i Conora, była tak zaskoczona, że prawie przerwała pisanie, ale coś dyktowało jej tę historię z taką siłą, że nie miała wyboru i musiała pisać dalej. Czy to możliwe, by w jakiś sposób Caitlin przekazała jej tę historię? A jeśli tak, to dlaczego?

Nie marnując ani chwili na rozmyślenia o rzeczach, o których nie ma pojęcia, Ellen wydrukowała tekst i wyszła z pokoju. Peg była w ogrodzie z Reillym, który niedawno wybudził się z zimowego snu, starając się przysposobić go do nowego domku, który Ronan zbudował mu z sosnowego drewna. Ellen pobiegła po żwirowym podjeździe do domu Oswalda. Zastała go w salonie, kończącego portret Peg.

- Oswaldzie - syknęła dyskretnie, wchodząc do pokoju i zamykając za sobą drzwi. - Musisz szybko przeczytać, co napisałam.

Spojrzał na nią znad okularów.

- No, w końcu siadłaś do pracy.

- Nie do końca. Przeczytaj to po prostu i powiedz, co o tym myślisz.

- Ale ty to napisałaś?

- Tylko teoretycznie.

Zmarszczył brew.

- Skrzaty - powiedział, porozumiewawczo kiwając głową. - Typowe.

Podsunał okulary wyżej i usiadł. Przeczytanie tekstu nie zajęło mu dużo czasu, ale Ellen wiedziała, że rozumie, o co jej chodzi, kiedy ręce zaczęły mu się trząść. Gdy skończył, upuścił kartki na kolana.

- Zdajesz sobie sprawę, że miałaś natchnienie? - powiedział, kładąc nacisk na ostatnie słowo. - I to nie za sprawą skrzatów?

- Jeśli masz na myśli, że mówiła przeze mnie Caitlin, to tak - odrzekła Ellen podekscytowanym głosem. - Czy to możliwe, by nadal tu była?

- Tylko jedna osoba wie, czy ta wersja zdarzeń jest prawdziwa - powiedział Oswald.

Ellen zbladła.

- Conor i ja nie rozmawiamy ze sobą, więc jak mam go o to zapytać?

Oswald zdjął okulary i założył nogę na nogę.

- Moja droga, to wyraźna wiadomość z zaświatów. Caitlin chce, żebyś się z nim skontaktowała.

Oczy dziewczyny zrobiły się wielkie jak spodki.

- Naprawdę?

- Ależ oczywiście. Duchy nie zadają sobie tyle trudu bez powodu.

- Dlaczego miałyby to robić?

- Może chce wynagrodzić coś Conorowi. - Pomachał do niej kartkami. -

Wszystko wskazuje na to, że to prawdziwa relacja z tego, co zdarzyło się w noc jej śmierci. Muszę przyznać, że to ma sens. Dylan się nie mylił, kiedy mówił, że widział kogoś wioślującego do brzegu w środku nocy. Biedny Ronan. Władował się w niezłą historię. Lepiej zatrzymajmy to między nami, Ellen. Peg miała ostatnio zbyt wiele niespodzianek.

- Conor najwyraźniej nigdy nikomu nie powiedział, że Ronan tam był, nawet policji.

- Gdyby ludzie o tym wiedzieli, wszyscy przyznaliby, że Conor jest lepszym człowiekiem, niż sądzą.

Ellen opadła na fotel, czując nagły odpływ sił.

- Nic dziwnego, że Ronan nie lubi o niej rozmawiać. Kochał ją.

- A ona wykorzystała go w bardzo okrutny sposób.

- Conor wspominał mi, że Caitlin była niestabilna. Teraz wiem, w jaki sposób.

- Domyślam się, że tam, gdzie jest teraz, nabrała pewnej perspektywy.

- Nie jestem żadnym jasnowidzem, więc dlaczego to mnie wykorzystała jako swój przekaznik?

- Oczywiście, że jesteś jasnowidzem. Wszyscy jesteśmy - stanowczo zadeklarował Oswald. - Większość ludzi tłumaczy to sobie jako zbieg okoliczności albo szczęście, kiedy przydarza się im coś dziwnego, a im bardziej negują istnienie szóstego zmysłu, tym mniej są w stanie z niego korzystać.

- Jeśli Caitlin może przeze mnie pisać, dlaczego Ciara nie napisze czegoś przez Peg?

- Bardzo dobre pytanie. Obawiam się, że nie znam na nie odpowiedzi. Zdmuchuje świece, przesuwając przedmioty, brzęczy i stuka nimi, Bóg raczy wiedzieć, co jeszcze robi, czego nikt nie zauważał. Musisz pamiętać, że duchy stworzone są z lekkich wibracji, więc niełatwo im wpływać na materialne przedmioty na naszym gęstym poziomie. To musi być nieznośnie frustrujące, kiedy ktoś próbuje dać komuś znać, że nadal tu jest. - Zastanowił się przez chwilę, po

czym dodał: - Ludzie po naszej stronie muszą być bardzo otwarci, żeby móc odebrać komunikat. Może Peg z jakiegoś powodu nie pielęgnowała w sobie tego szczególnego zmysłu. Po kłótni z księdzem Michaelem być może przestała wierzyć w to, co widziała, gdy odeszła Ciara. Musisz być bardzo wyczulona, skoro odebrałaś od Caitlin tę wiadomość.

- To przez nieszczęście - powiedziała Ellen, śmiejąc się gorzko.

- I tęsknotę - z życzliwością dodał Oswald. - To coś, co cię łączy z Caitlin: rozpaczliwa tęsknota za Conorem.

Po delikatnych sugestiach Oswalda Ellen postanowiła przekazać Conorowi wiadomość od Caitlin. Tak bardzo za nim tęskniła, że miała wrażenie, jakby jej serce wcale nie było organem, lecz otwartą raną, która nie może się zagoić. Myślała o nim nieustannie i w jakiś dziwny sposób znajdowała pocieszenie we wszystkim w Connemarze, co jej o nim przypominało: morze, plaża, wzgórza. Dzięki nim czuła się lepiej, mimo że wspomnienia, które wywoływały, drażniły i rozdrapywały jej ranę, a czasem sprawiały, że krwawiła. Przekazanie wiadomości od Caitlin opatrzonej liścikiem od niej nic nie kosztowało, bo i tak już wszystko straciła.

Napisała prostą i krótką wiadomość:

Drogi Conorze, miałam napisać piosenkę i oto, co się stało. Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale to nie ja jestem autorką tego tekstu. Po prostu spisałam coś, co zostało mi podyktowane. To bez wątpienia dla Ciebie. Jestem w Connemarze i mieszkam u cioci Peg. Mam nadzieję, że jesteś szczęśliwy.

Ellen

Chciała dopisać, jak bardzo za nim tęskni i że ledwie potrafi bez niego żyć, ale się powstrzymała. Nie było nic gorszego od zrozpaczonej kobiety, która błaga o wybaczenie. Miała swoją godność. Tylko ona jej pozostała. Rozważała, czy nie zostawić mu koperty w skrzynce na listy, ale zawsze istniała możliwość, że jest w domu, a myśl o przypadkowym spotkaniu napęłniała ją przerażeniem. Dała ją więc Oswaldowi, który z radością zabawił się w listonosza. Pożyczył samochód Peg i wrócił niedługo później z wiadomością, że Conor przebywa w Dublinie, ale gospodyni zapewniła go, że dopilnuje, by otrzymał wiadomość. Ellen postanowiła więcej o tym nie myśleć. Conor nie kontaktował się z nią od tygodni i istniała niewielka szansa, że to się teraz zmieni.

Życie wróciło do normy. W ciągu dnia Ellen pracowała w sklepie, na lunch jadła kanapki lub udawała się do Sagana Złota, by zjeść z Dylanem i rodziną. Wieczorami, kiedy Peg i Oswald grali w karty albo szachy, Ellen wracała do swojego saloniku i pisała smutne piosenki, które później śpiewała z Dylanem. Ich głosy wspaniale łączyły się ze sobą, niczym słońce i deszcz, które tworzą niebywałe

spektrum kolorów.

I wtedy pewnego ciepłego letniego wieczoru, po wyjątkowo pysznym obiedzie w ogrodzie, Oswald udał się na chwilę do swojego domu i wrócił z obrazem nakrytym prześcieradłem.

- Co tam masz, Oswaldzie? - zapytała Peg, wstając, by zebrać talerze.

- Prezent - odpowiedział z dumą.

- Zapłaciłeś przecież za czynsz - zdziwiła się.

- To nie czynsz, Peg. To coś innego. - Oparł portret o ścianę domu. Ellen poczuła, jak świat wokół nich staje w miejscu, a mina Oswalda daje Peg do zrozumienia, że nie jest to zwykły prezent. - To dla ciebie - powiedział.

Ciotka zakryła usta dłońmi, a jej oczy zabłyśły.

- W takim razie pokaż - poprosiła.

Powoli uniosła prześcieradło i odsłoniła swój portret.

Szeroko otworzyła usta i jęknęła z wrażenia. Przyglądała się sobie, a jej rumieńce robiły się coraz żywsze.

- Ale ja nie jestem piękna - stwierdziła, przełykając łzy.

- Dla mnie jesteś - powiedział delikatnie.

- Och Oswaldzie, ja nie...

- Oczywiście, że nie wiedziałaś - rzekł, uśmiechając się do niej z czułością. - Ale jesteś dla mnie najpiękniejszą kobietą na świecie.

Podszedł bliżej i ujął jej dłonie. Ellen zupełnie zdrętwiała; wołała być gdzieś indziej, żeby nie przeszkadzać w tak intymnym momencie, ale nie mogła się ruszyć. Oni jednak zdawali się jej nie zauważać, pochłonięci tą nagłą deklaracją wzajemnych uczuć.

- Kocham cię, Peg.

- Naprawdę? - zapytała, spoglądając na niego spod zmarszczonych brwi.

- Naprawdę. Bardzo cię kocham. Kocham cię już od dawna.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Wystarczy, że powiesz „tak”, i uczynisz mnie najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi.

Peg mrugała, ale nie mogła powstrzymać łez; starała się coś powiedzieć, ale słowa grzęzły jej w gardle. Pokiwała tylko głową, uśmiechnęła się, a potem zachichotała skrępowana. Oswald wziął ją w objęcia i mocno uściskał. Ellen odzyskała władzę w nogach i na palcach poszła do domu. Udała się do swojej sypialni i wzięła ze stolika nocnego komórkę, którą dostała od Conora. Kilka minut później szła ścieżką nad morze.

Stała na piasku, patrząc na latarnię, która w miękkim wieczornym świetle wydawała się zupełnie niegroźna. Pomyślała o Caitlin w jej ostatnich chwilach i o

Conorze, oszukany i nieszczęśliwym. Przyglądała się, jak światła dnia bledną, a na niebie nad latarnią migocze pierwsza gwiazda jak anioł, który oświetla drogę do domu. Myślała o śmierci i celu życia, i wiedziała, że Caitlin miała rację. Tylko miłość się liczy. Bez niej nasze życie nie ma sensu.

Trzymała w dłoni telefon i przypomniała sobie, jak kiedyś wyrzuciła do morza iPhone'a. Tamta chwila tak dramatycznie zmieniła jej życie, że stała się symbolem jej przemiany. Cóż, znów musiała zamknąć jakiś etap i zacząć żyć dalej, przynajmniej emocjonalnie. Conor nie miał zamiaru wrócić, nie było więc sensu trzymać telefonu, który nigdy nie dzwonił, i żywić płonne nadzieje. Nie chciała zmarnować sobie życia, usychając z tęsknoty jak Dylan. Musiała otworzyć serce na przyszłość: w końcu jej matka się otrząsnęła, zaczęła żyć dalej i znalazła szczęście w ramionach ojca. Ona też powinna.

Już miała cisnąć telefon do wody, kiedy niespodziewanie zadzwonił. Zdążyła się zamachnąć, ale w porę zacisnęła palce na komórce i nie wypuściła jej z dłoni. Zaskoczona ujrzała na małym ekranie jego imię.

- Halo? - odebrała.

Nikt się nie odzywał. Mimo to czuła jego obecność po drugiej stronie słuchawki.

- Ellen - odezwał się zdecydowanym głosem.

- Tak? - Bała się nawet oddychać.

- Dostałem twój list.

- To dobrze.

Starła się mówić normalnym tonem. Powiedziała sobie, że ten telefon nic nie oznacza. Conor po prostu dzwonił w sprawie historii Caitlin.

- Nie jestem szczęśliwy - oznajmił.

- Przykro mi.

Poczuła wyrzuty sumienia, które ciągnęły jej serce jak ołowiany odważnik.

- A ty jesteś szczęśliwa?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie chciał jej, więc jakie to miało dla niego znaczenie, czy była szczęśliwa, czy nie?

- Jest okej - odrzekła. - Wiesz, życie toczy się dalej.

Zamilkła. Cóż mogła dodać? Czuła, jak serce wali jej o żebra, jak słowa powstrzymywane przez jej powściągliwość rozpaczliwie starają się wydostać na wolność i przemówić do niego z miłością. Zagryzła wargę, starając się nie rozplakać.

- Gdzie jesteś? Słyszę wiatr.

- Na plaży.

- Co tam robisz?

- Lubię tu przychodzić. Jest piękny wieczór.

- Przeczytałem twoje opowiadanie, Ellen.

Miał bardzo poważny głos. Nagle pożałowała, że mu je wysłała.

- Przepraszam, może nie powinnam ci go dawać. To było wścibskie i nietaktowne.

- Możesz przyjechać do zamku?

- Tak, kiedy?

- Teraz.

- Teraz?

- Chyba że zamierzałaś całą noc spędzić na plaży.

Roześmiała się, choć nie miała takiego zamiaru.

- No cóż, w którymś momencie chciałam wrócić.

- Chcę ci coś pokazać. To ważne.

- W porządku.

Jego głos zrobił się bardziej pogodny.

- Świetnie. Do zobaczenia niebawem. Będę na ciebie czekał przed wejściem.

Ellen pobiegła po plaży tak szybko, na ile tylko pozwoliły jej rozdygotane nogi, rozpaczliwie próbując nie za wiele sobie obiecywać po jego nagłej chęci zobaczenia się z nią. Wytłumaczyła sobie, że Conorowi najzwyczajniej w świecie chodzi o opowiadanie Caitlin. Gdyby chciał, by do niego wróciła, po prostu by powiedział. Wyznałby, że za nią tęskni. Może nawet by ją przeprosił. Ale jednak tego nie zrobił. Powiedział jedynie, że nie jest szczęśliwy, ale równie dobrze mógł odnosić się do tego, że go okłamała.

Kiedy dobiegła do domu Peg, ciotki i Oswalda nie było w zasięgu wzroku, napisała im więc krótki liścik, że jedzie do zamku zobaczyć się z Conorem, i zostawiła go na stole w kuchni. Samochód stał na żwirowym podjeździe. Ellen pomyślała, że to mało prawdopodobne, aby Peg go teraz potrzebowała, a nie chciałyby pewnie, by zaczęła za nią wołać po całym gospodarstwie, chcąc się upewnić. Wsiadła do środka i trzęsącą się dłonią przekręciła kluczyk w stacyjce. Chwilę później jechała do zamku Ballymaldoon, zmagając się optymizmem, który w sposób niekontrolowany wzbierał w jej sercu.

Jechała pod drzewami, których konary ozdobione były teraz błyszczącymi liśćmi, między którymi kryły się ptaki. Na polach rosły wysokie trawy, a dalej rozciągały się wspaniałe wzgórza, których kontury odznaczały się na tle zmierzającego nieba. Ellen próbowała sobie wmówić, że to, czy Conor nadal ją kocha, nie ma znaczenia, bo już sam fakt, że może mieszkać na tej pięknej, dzikiej ziemi, bardzo ją uszczęśliwiał. Nie potrzebowała niczego więcej niż swojej rodziny i

Connemary.

Kiedy w zasięgu wzroku pojawił się zamek, jej puls zaczął przyspieszać. Zauważyła samochód Conora, a potem jego samego stojącego z rękami w kieszeniach. Ubrany był w niebieską koszulę, marynarkę i dżinsy. Włosy miał nieco dłuższe, a na twarzy zarost. Był chudszy i nieco zgarbiony. Jej zdenerwowanie zniknęło, gdy rozproszyło je współczucie.

Zaparkowała obok i wysiadła z samochodu. Conor podszedł do niej, uśmiechając się niepewnie. Zmierzył ją wzrokiem, ale bez zwyczajowej arogancji.

- Świetnie wyglądasz, Ellen - powiedział.

- Dzięki - odrzekła. - Ty też.

Nie było to do końca prawdą. Stracił swój blask, ale jego niebieskie oczy były zachwycające jak zawsze.

- Więc przeprowadziłaś się tu na dobre?

- Tak. Jestem tu szczęśliwsza niż w Londynie. - Odwróciła wzrok. Wzmianka o Londynie przypomniła jej o zerwanych zaręczynach i kłamstwie. - U cioci Peg czuję się jak w domu.

- Co robisz całymi dniami? - zapytał.

- Pracuję w sklepie Alanny. Dobrze się razem bawimy. Zaczęłam też grać z Dylanem.

- A co się stało z książką?

- Jestem lepsza w pisaniu piosenek.

- Ty i Dylan na pewno wspaniale się uzupełniacie.

Przestępował nerwowo z nogi na nogę i Ellen pomyślała, jakie to dziwne, że kiedyś tak swobodnie czuli się w swoim towarzystwie. Teraz po przepaści, która ich dzieliła, hulał zimny wiatr. Była szeroka jak kanion.

- Jak się mają dzieci?

- Wspaniale. Szybko rosną, wiesz, jak to jest. Ida pyta o ciebie.

Ellen się uśmiechnęła.

- Mogę pomalować jej paznokcie, kiedy tylko będzie chciała.

- Dziękuję. Będzie zachwycona.

Znów zapadła między nimi niezręczna cisza i oboje z trudem próbowali przywyknąć do tej formalnej relacji.

- Mówiłem, że mam ci coś do pokazania. Jest w środku.

- Świetnie - odpowiedziała, idąc za nim do drzwi.

Patrzyła, jak je otwiera. Przypomniła sobie, jak kiedyś wbiegli tu razem po schodach i udali się do jego sekretnego schronienia w wieży. Teraz było inaczej. Byli sobie obcy. Ich krótki romans został wymazany, jakby był zawstydzający i zły. Przełknęła z trudem ślinę, kiedy świadomość, że między nimi wszystko naprawdę

się skończyło, uderzyła ją jak policzek.

- Musisz mi pomóc ściągnąć ten obraz - powiedział.
- Zdejmujesz go?
- Chcę ci pokazać, co jest pod nim.
- Aha.
- I dlatego muszę go ściągnąć.
- W porządku.

Patrzył na nią odrobinę za długo i Ellen mogłaby przysiąc, że dostrzegła w jego oczach cień tęsknoty. Odwrócił się do obrazu, a ona się zastanawiała, czy naprawdę to widziała, czy może było to jedynie odbicie jej własnych uczuć.

- Chwyć z lewej strony, a ja z prawej. Kiedy powiem: „pchaj”, popchnij obraz do góry, dobrze? Wszystko jasne?

Ellen położyła dłonie na ramie i czekała na znak.

- Jasne - odpowiedziała.
- Ostrożnie. Nie chcę, żebyś zrobiła sobie krzywdę.
- Dam radę. Obraz wygląda na cięższy, niż jest w rzeczywistości.
- W porządku, a teraz pchaj. Świetnie, jeszcze trochę. A teraz ostrożnie postawmy go na ziemi. O tu, pod ścianą.

Postawili obraz i Ellen dobrze mu się przyjrzała. Z bliska nie wydawał się taki niepokojący. Zastanawiała się, czy wyobraziła sobie tylko drzemającą w nim postać, czy może obraz naprawdę był nawiedzony. Teraz, oparty o ścianę, wyglądał całkiem zwyczajnie. Spojrzała na miejsce po nim. Pomiedzy cegłami i gipsem wbudowany był sejf. Conor stał na krześle i go otwierał.

- Dlaczego zostawiłeś obraz na ścianie? - zapytała go bezceremonialnie.

Otworzył metalowe drzwiczki, sięgnął do środka i wyciągnął z niego stertę książek. Zeskoczył na posadzkę.

- Nie wiedziałem, gdzie indziej mógłbym je umieścić - powiedział, pokazując jej jeden z grubych notatników w twardej oprawie.

- Co to?
- Jeden na każdy rok naszego małżeństwa.
- Pamiętniki?
- Pamiętniki Caitlin.
- Rany, naprawdę aż tyle napisała?
- Pisała codziennie.
- Wszystkie przeczytałeś?

Pokręcił głową, przerażony tą myślą.

- Skąd! Tylko fragmenty tu i ówdzie. Umiała łać wodę.
- Więc trzymałeś je tu, za jej portretem? Czemu nie schowałeś ich gdzieś

indziej?

- Nie wiem, po prostu nie mogłem. Czułem się taki winny. Doprowadziłem do jej śmierci. Nie mogłem tak po prostu spakować jej rzeczy, jakby nic nie znaczyła. Pomyślałem, że zasługuje na lepsze traktowanie. To matka moich dzieci i kiedyś ją kochałem. - Jego twarz wykrzywiła się z bólu. - A potem dostałem twój list. Chodź.

Poszedł usiąść na schodach. Ellen usiadła obok niego, tak zafascynowana ostatnimi wydarzeniami z życia Caitlin, że nie zauważyła, jak powietrze w kanionie między nimi stawało się cieplejsze. Otworzył jeden z dzienników na ostatniej stronie.

- Przeczytaj. Siódmy października dwa tysiące siódmego roku.

Ellen nachyliła się nad dziennikiem i zaczęła czytać. Z każdym kolejnym słowem jej serce zaczynało bić mocniej. Słowa te napisane były dokładnie tym samym stylem co relacja z ostatnich godzin Caitlin. Zdania były długie i poetyckie, a opisy marzycielskie. Wpis zakończyła słowami: „Jutro wszystko się rozstrzygnie. Jutro sprawdzę miłość Conora. Jutro dowiem się, czy mu na mnie zależy. Mam gorącą nadzieję, że tak”.

Kiedy Ellen skończyła czytać, Conor wyciągnął z wewnętrznej kieszeni opowiadanie. Przyłożył je do dziennika dla porównania.

- Widzisz, jak się łączą?

- Tak. To niezwykle.

- Ona naprawdę tu jest - powiedział cicho.

- Dlaczego?

- Bo chce, bym wiedział, że nic jej nie jest. Myślę, że chce, bym wiedział, że mi wybacza. Może to zabrzmieć dziwnie, ale jestem pewien, że przez ostatnie pięć lat wiele razy czułem jej obecność, zwłaszcza w sypialni dzieci. Nie wiem, może mi się przywidziało. Ale przysięgam, były takie noce, kiedy budziłem się przekonany, że leży koło mnie i szepcze mi do ucha.

- Oswald uważa, że Caitlin próbuje ci coś przekazać.

Spojrzał jej głęboko i szczerze w oczy.

- Ellen, ona chce, żebym żył dalej. Czy inaczej opowiedziałaby ci historię swojej śmierci, którą mi przekazałaś? Ja ją przecież znam. Byłem tam. Myślę, że zrobiła to, bo...

Zawahał się, jakby nie ufał swojemu tokowi myślenia. Wtedy spojrzał na kartkę.

- „Zda sobie sprawę, że mnie kocha, gdy będzie już za późno, i będzie tego żałował przez resztę życia”. - Jeszcze raz na nią spojrzał. - Nie chcę zdać sobie sprawy z tego, że cię kocham, gdy będzie już za późno, Ellen, i żałować tego do

końca życia. Jeśli Caitlin cokolwiek mnie nauczyła, to właśnie tego. Myślę, że przekazała przez ciebie tę historię, bo chce, abyśmy byli razem.

Patrzyli na siebie przez dzielącą ich przepaść.

- Tęskniłam za tobą, Conorze - szepnęła, a jej brązowe oczy zaszkliły się łzami. Nie potrzebowała dalszej zachęty. Ujęła jego twarz w dłonie, łącząc krawędzie kanionu zdecydowanym, lecz delikatnym pocałunkiem.

- Przywiozłem z Dublina kilka fantastycznych filmów - mówi Conor, odrywając się od Ellen i z radością dając się pochłonać jej pełnemu miłości spojrzeniu. - Masz ochotę obejrzeć je ze mną w domu?

Ellen się uśmiecha.

- Z przyjemnością - odpowiada, biorąc jego dłoń i przyciskając ją do swojego mokrego policzka.

- Chcesz zadzwonić do ciotki i dać jej znać?

- Myślę, że jest zbyt zajęta, aby się mną przejmować - mówi, uśmiechając się znacząco. - W końcu nie jestem już dzieckiem. Mogę robić, co mi się podoba.

- Czy to znaczy, że rano obudzę się przy tobie?

Jego uśmiech jest szeroki i łobuzerski jak w najlepszych chwilach ich związku.

- Chyba tak - odpowiada.

- Nie marnujmy więc czasu.

Wstaje i pomaga jej się podnieść.

- Co chcesz zrobić z obrazem?

- Powieszę go gdzieś indziej, żeby dzieci mogły patrzeć na swoją matkę. A zamiast niego zawieszę nowy. Myślę, że świetnie wyglądałabyś na płótnie.

Ellen reaguje śmiechem na ten absurdalny pomysł.

- Nie, myślę, że powinieneś wynająć kogoś, kto namaluje dzieci. W ten sposób uhonorujesz Caitlin. Nie mogłabym jej zastąpić i wcale bym nie chciała.

- Dobrze, skoro nalegasz. Ale jeśli znów się tu wprowadzę, to razem z tobą, dobrze? - Ellen głęboko wciąga powietrze w płuca, starając się nadążyć za nagłym obrotem spraw. - Mogłabyś urządzić tu ogród i grać razem z Dylanem. Możesz sobie wybrać pokój, w którym będziesz pisać piosenki.

- Proponujesz, żebyśmy razem zamieszkali?

- Proponuję, żebyśmy spędzili razem resztę naszego życia. - Ucałował jej skroń i przytulił policzek do jej włosów. - Wiem jedno. Bez ciebie nie mam przyszłości, Ellen. Nigdy więcej nie chcę się z tobą rozstawać. Wybaczysz mi?

- Jeśli ty mi wybaczysz.

Patrzy na nią z uczuciem, upajając się jej urodą i urokiem oczami mężczyzny spragnionego miłości.

- Nie ma czego wybaczać.

Jestem szczęśliwa. Wszystko we mnie buzuje, czegoś takiego nigdy dotąd nie doznałam. To lekkie i żywe uczucie, jak gdyby składało się z czystej radości. Unosi mnie, aż od tych nowych wrażeń kręci mi się w głowie. Conor jest szczęśliwy, a mnie cieszy jego szczęście, bez względu na to, jak to na mnie wpłynie. Jak wspaniale jest być altruistką, jak cudownie rozkoszować się czyjąś euforią. Zmieniło mnie to z mrocznej i żalosnej istoty w jasną i pogodną duszę. Żałuję, że kiedy żyłam, nie wiedziałam tego, co wiem teraz. Zdaję sobie jednak sprawę, że nasz ziemski pobyt to nauka i że cały czas ewoluujemy, zbliżając się w stronę najwyższej miłości. Moje życie nauczyło mnie bardzo dużo i gdziekolwiek teraz pójde, wezmę ze sobą tę wiedzę w postaci przejrzystych i pełnych miłości fluidów. Nie mam pojęcia, skąd to wiem, ale jestem tego pewna.

Kiedy wznoszę się nad latarnię morską, zauważam, że już jej nie ma. Fale zgarnęły ją do morza. Jej ruiny leżą jak kości na dnie, a ja w końcu mogę ruszyć dalej. Światło wokół mnie staje się jaśniejsze i widzę coś cudownego. W zachwycie przyglądam się pięknym anielskim istotom, które zawsze ze mną były - wytrwale, cierpliwie i z miłością od początku wiodły mnie ku temu miejscu. Nigdy nie byłam sama, tylko o tym nie wiedziałam.

W świetle rozpoznaję Ciarę. Zbliża się i bierze mnie za rękę.

- Zawsze z nimi będziesz - mówi z mądrością dojrzałej duszy. - Ale pora, abyś wróciła do domu.

- Jestem gotowa - odpowiadam i wiem z całą pewnością, że to prawda. - Jak tam jest? - pytam.

Ciara śmieje się i prowadzi mnie ku wielkiej jasności.

- Od czasu, gdy byłaś tam po raz ostatni, nic się nie zmieniło.

- Jak ci się podoba? - zapytała Daphne, robiąc krok w tył, by spojrzeć z podziwem na obraz dzieci namalowany przez Darragha Kelly'ego, który Joe i Johnny powiesili nad kominkiem w holu.

- Wspaniały - powiedział Conor, obejmując Ellen. - Podobieństwo jest ogromne, prawda?

- Doskonale uchwycił rozmarzoną buzię Idy - odparła dziewczyna.

- A co myślisz o tym Magnum? - zapytała Ida.

- Merda ogonem, więc chyba mu się podoba - odrzekł Finbar.

Magnum leżał przed kominkiem, zmęczony długim spacerem po wzgórzach.

- To piękny obraz - powiedział Johnny, trzymając ręce na biodrach. - Ten Kelly to świetny malarz.

Daphne uśmiechnęła się na znak, że podziela tę opinię.

- Och, jest ogromnie utalentowany. Chciałabym umieć tak malować, ale nie radzę sobie z twarzami. Za to psy wychodzą mi bardzo dobrze.

- Znam takie ptaszyny, co są brzydkie jak psy; umiałaby pani takie namalować? - wygłupiał się Joe.

- A może byś sobie w końcu schwytał jakąś ptaszynę? - odpalił Conor. - Najlepiej taką, która nie ma psiej gęby.

Joe pokręcił głową i uśmiechnął się łobuzersko.

- A po co chwycić jedną, skoro na drzewie całe stado?

- Zmądrzejesz, Joe - powiedział jego ojciec. - Każdy w końcu mądrzeje.

- Powiesiłeś obraz Caitlin w saloniku dzieci? - zapytała Ellen.

- Jeszcze nie - odrzekł Johnny. - Chodź, Joe. Skończmy robotę. Zgłodniałem.

Przyjdziecie na piwo? - zapytał Conora i Ellen.

- Nie dziś. Mamy film do obejrzenia - odparł Conor i uśmiechnął się do Ellen. Zdziwiona dziewczyna zmarszczyła brwi.

- W porządku, następnym razem - powiedział Johnny.

- Możecie przekazać coś ode mnie Dylanowi? - zapytała Ellen. - Powiedźcie mu, że w końcu napisałam wesołą piosenkę.

- Zaśpiewacie ją dla nas w pubie? - zapytał Joe. - Mam już dość tych irlandzkich ballad.

- Może damy się namówić - obiecała. - Pod warunkiem, że nie będziesz się potem z nas naśmiewał.

- Oj Ellen, skąd ten pomysł?

- Bo matolek z ciebie, Joe - wtrącił żartobliwie ojciec. - Dość już tego.

Skończmy robotę i chodźmy do pubu.

Obaj zniknęli w korytarzu.

- To co oglądamy? - zapytała Ellen, kiedy Daphne i dzieci poszły na górę.

- Wiek niewinności. Obiecałem ci, że obejrzymy go razem, ale nigdy nam się nie udało.

- Tak dużo się działo, że zupełnie o tym zapomniałam.

- Dziś jest nasz wieczór.

Uśmiechnęła się szeroko i dodała chropawym głosem:

- Każdy wieczór to nasz wieczór.

Conor się roześmiał.

- Wiesz, co zrobić, by wprowadzić mnie w dobry nastrój.

- Bycie tutaj wprowadza mnie w dobry nastrój - powiedziała poważnie. -

Czuję, że teraz oboje należymy do tego miejsca. A przynajmniej ja teraz tu należę, bo to zawsze był twój dom.

- Nie, przy Caitlin nigdy nie czułem się jak w domu. Teraz tak. - Objął ją. -

Dzięki tobie jestem bardzo szczęśliwy. Byłem głupi, że pozwoliłem...

Położyła mu palec na ustach, żeby go uciszyć.

- Nie, nie wracajmy już do przeszłości. Liczy się teraźniejszość i lata przed nami.

Ucałował jej skroń, potem policzek, muskając jej twarz nosem, aż dotarł do ust.

- Kocham cię bardziej niż wczoraj - szepnął.

- A ja kocham cię mniej niż jutro - odpowiedziała zamykając oczy i mocno go obejmując.

Niedługo potem Ellen siedziała na łóżku dzieci i czytała im bajkę. Miała tytuł Zupa z kamieni i opowiadała o trzech chińskich mnichach, którzy dzięki prostej czynności, jaką jest wspólne gotowanie zupy z kamienia, uczą swoich wrogo nastawionych sąsiadów w górskiej wiosce, by dzielić się tym, co mają. Kupiła ją specjalnie dla dzieci i za każdym razem, kiedy ją czytała, myślała o Trawtonach, Byrne'ach i o tym, jak pewnego dnia spotkają się wszyscy przy jednym stole.

- Myślisz, że mama patrzy na nas z nieba, Ellen? - zapytała Ida, kiedy dziewczyna układała ją do snu.

Ellen spojrzała w pytające oczy dziecka i czule się uśmiechnęła.

- Kochanie, wiem to na pewno.

- Skąd wiesz?

- Nie mam pojęcia, ale wiem. - Położyła dłoń na sercu dziewczynki. - Czasem czujemy w tym miejscu rzeczy, których nie umiemy wytłumaczyć. Mamy pewność, ale nie wiemy skąd. Jestem przekonana, że mama jest z tobą cały czas, Ido. Z tobą, Finbarem i tatusiem. Myślę, że kiedy umieramy, zabieramy naszą miłość ze sobą.

Ida uśmiechnęła się zadowolona.

- Dobranoc, Ellen.

Dziewczyna pocałowała ją w czoło.

- Dobranoc, Ido.

Już miała wyjść, kiedy zawołał ją Finbar. Odwróciła głowę.

- A według ciebie co ona myśli o tym, że z nami mieszkaś? - zapytał.

Było to śmiałe pytanie i Ellen spodziewała się go już od jakiegoś czasu.

- Myślę, że się cieszy, że się wami opiekuję, i gdziekolwiek teraz przebywa, też nad wami czuwa, tylko nie możecie jej zobaczyć.

- Myślisz, że cię lubi?

- Mam taką nadzieję. A co twoim zdaniem o mnie myśli?

Nie odpowiedział, pogrążony w myślach.

- Myślę, że cię lubi - odpowiedziała Ida bez wahania.

Finbar nadal leżał nieruchomo. Bardzo skrupulatnie rozważał tę kwestię, próbując przypomnieć sobie mamę. Po chwili przekręcił się na bok i przytulił do siebie pluszowego królika.

- Chyba uważa, że jesteś w porządku - powiedział i zamknął oczy.

Ellen się roześmiała.

- To mi wystarczy. Dobranoc, Finbarze. Słodkich snów, Ido.

Po południu następnego dnia, gdy Conor miał rozmowę konferencyjną z Los Angeles, Ellen zabrała Magnuma na spacer. Chłód był przeszywający. Wiatr zacinał lodem, a na ziemi leżały grube warstwy zasklepionego śniegu. Ellen uwielbiała połyskujący w słońcu śnieg; ten widok był bardzo romantyczny. Ale dziś słońce przykryła kołdra z chmur. Rozejrzała się po ponurym krajobrazie i szarym morzu, odnajdując w ich pustce zapadające w pamięć piękno.

Chodziła po wzgórzach ciepło opatulona płaszczem z owczej skóry, przyglądając się, jak jej oddech zamienia się w mgłę w mroźnym powietrzu. Magnum biegł przed nią, podążając za tropem wywączanym w śniegu. Wkrótce dotarli do kaplicy, przy której pochowana była Caitlin. Kaplica wydawała się samotna i opuszczona, jak gdyby obserwowała morze, wyczekując na horyzoncie kogoś, kto miał wrócić do domu.

Kiedy otworzyła drewnianą furtkę, po lewej stronie zauważyła szarą postać pochyloną nad grobem Caitlin. Przyglądając się uważniej, Ellen zauważyła, że

osoba ta wymienia zwiędłe róże na nowe.

- Ronan?! - zawołała.

Mężczyzna się odwrócił. Ku swojemu zaskoczeniu pod brązowym kapeluszem nie dostrzegła twarzy Ronana, a Johnny'ego.

- Johnny, co ty tu robisz?!

Stanął wyprostowany.

- Kochałem ją.

Wzruszył ramionami i wcisnął dłonie w kieszenie.

- Ty też?

Zmarszczył czoło.

- Ronan jej nie kochał. Złamała mu serce. Ledwie jest w stanie wytrzymać, jak ktoś wspomni jej imię, bez robienia krzywej miny.

- Wiesz o Ronanie i Caitlin?

- Oczywiście. Widziałem, co się dzieje, i od samego początku przewidywałem, że to się źle skończy. Choć takiego zakończenia nie założyłem.

- Wiesz, że Ronan był tamtej nocy na wyspie? - Johnny pokiwał głową. - Skąd?

- Dylan widział go, jak płynie do brzegu, ale ja znalazłem go zapłakanego, kiedy wracałem do domu od Peg. Wszystko mi powiedział. Biedny chłopak, był w strasznym stanie.

- A ty nadal ją kochasz?

Spojrzał na Ellen pewnym wzrokiem.

- Kocham ją mimo jej wad, Ellen. Ona nie była w pełni stabilna. Była krucha i zagubiona. - Spojrzał na morze. - Ale teraz jej nie ma, nie ma też latarni. Nic już po nich nie pozostało.

- Czy ktoś jeszcze wie o tym oprócz ciebie i Dylana?

- Nie, i nie mam zamiaru jeszcze kogoś w to wtajemniczać. - Spojrzał na nią z rezerwą. - To musi zostać między nami, rozumiesz?

- Oczywiście.

- Po prostu podziwiałem ją daleka. - Spojrzał na grób Caitlin. - Wiem, że jej tam nie ma. Jest w niebie z Panem, ale lubię ją tu wspominać. - Uśmiechnął się smutno. - Stary, śmieszny romantyk. To wszystko.

- Nie jesteś śmieszny, Johnny. Uważam, że to piękne, że przychodzisz tu, by uczcić jej pamięć. To miejsce ma swój urok. Dylan przychodził tu pisać piosenki o miłości, a ja zaglądałam tu, kiedy zerwaliśmy z Conorem. To miejsce poprawiało mi nastrój. Kaplicę zbudował żeglarz dla zmarłej żony. Wzniósł ją z miłości i można powiedzieć, że w taki czy inny sposób wspiera ona miłość.

- Masz wyobraźnię pisarki. - Johnny zaśmiał się i podrapał po brodzie.

- Ale to prawda. Im więcej życie mnie uczy, tym bardziej zdaję sobie sprawę, że miłość to jedyne, co się liczy.

Johnny wziął ją pod ramię i zeszli ze wzgórza, Magnum za nimi.

- Ty i Conor jesteście udaną parą - powiedział. - Jak to mówią: wpadła śliwka w kompot.

- Jestem bardzo szczęśliwa - stwierdziła.

- To dobry człowiek. Ale jeśli zajdzie ci za skórę, wiesz, kogo wołać.

- Oczywiście.

- Nie jesteś samotną wyspą, Ellen. Jesteś z Byrne'ów.

Roześmiała się.

- I z Murphych.

Pokiwał głową.

- Nie mogło być lepszej kombinacji. Napijemy się czegoś na rozgrzewkę?

- Jasne. Już stąd widzę zachęcająca poświatę Sagana Złota. Szepce do mnie.

- Zaśmiała się i przytuliła do Johnny'ego z sympatią.

- Widzisz, naprawdę jesteś z Byrne'ów i z Murphych. - Na moment zachmurzył czoło, po czym uśmiechnął się do niej szeroko. - Nikogo nie cieszy to tak jak Dylana.

- Kochany Dylan. - Ellen westchnęła. - Myślisz, że kiedyś ożeni się z Martha?

- Dylan nigdy się nie ustatkuje. Nie teraz. Za długo był sam.

- Czy Martha nie chce wyjść za mąż?

- Można powiedzieć, że przestała się tym przejmować. Zna swojego chłopca.

Wie, że nie da się go oswoić, i myślę, że nawet jest z tego zadowolona. - Pociągnął nosem. - Gdybym był kobietą, nie chciałbym mieszkać z Dylanem. To, że mieszkają osobno, sprawia, że mogą być razem.

- Pewnie masz rację.

- Pójdziemy go poszukać?

- To nam nie zajmie wiele czasu.

Oboje się roześmiali.

- Nie o tej porze dnia - powiedział Johnny.

Magnum usadowił się na miejscu pasażera w ciężarówce Johnny'ego i cała trójka powoli pojechała oblodzonymi drózkami w stronę miasta. Słońce zachodziło za wzgórzami, nasycając śnieżny krajobraz miękkim różowym odcieniem. Stado małych ptaków zerwało się w powietrze, odznaczając się na tle ciemniejącego nieba jak pociski. Po lewej stronie aż po horyzont rozciągało się kapryśne morze. Pod falami na wieczne czasy spoczywała latarnia. Cicha, nieruchoma i w spokoju ducha.

Zaparkowali samochód i poszli naokoło do Sagana Złota. Magnum

posłusznie ruszył za nimi.

- Zadzwoń do Conora, żeby do nas dołączył - powiedziała Ellen, kiedy Johnny otwierał drzwi.

Na chodnik wylało się żółte światło lamp wraz z harmidrem ożywionych głosów. Na widok Ellen twarz Dylana pojaśniała. Pomachał do niej, a ona precyzyjnie się przez tłum w jego stronę. Przy stołach siedziało mnóstwo Byrne'ów, a w przeciwnym rogu przycupnęli Oswald, Peg i Ronan oraz ładna kobieta, której Ellen nie widziała nigdy wcześniej.

- Czego się napijesz? - zapytał Dylan. - Tego, co zwykle?

- Tak, tego, co zwykle - odpowiedziała z uśmiechem pełnym zadowolenia. Było w tych słowach coś, co pobrzmiwało błogo i przyjemnie. Tak jak słowo „dom”.

Epilog

Poranek w dzień ślubu nie mógł być piękniejszy. Wiosna natchnęła swoim ciepłym oddechem żółte i fioletowe kwiaty, które otworzyły kielichy, przyciągając motyle i pszczoły fruujące nad wrzoścem. Słońce świeciło ciepło na bezchmurnym niebie, a zachłanne mewy krążyły nad długimi stołami w zamkowych ogrodach, na których piętrzył się weselny poczęstunek. Na trawniku przed domem, który Johnny i Joe przycięli wcześniej równiutko jak od linijki, postawiono wielki biało-żółty namiot, a na podjeździe ciągnęła się aleja czerwonych tulipanów, żółtych żonkili i pachnących słodko wawrzyneków. Tam, gdzie zza dębów wyłaniał się zamek, mury, które kiedyś wyglądały groźnie, teraz, w świetle poranka, sprawiały wrażenie radosnych i gościnnych. Okna zostały otwarte na oścież, a z wieżyczek gruchały gołębie, przyglądające się trwającym poniżej przygotowaniom. Cień smutku dawno zniknął, rozproszony przez światło miłości, które teraz jaśniało w każdym zakątku zamku.

Ellen biegała podekscytowana w wałkach na głowie i szlafroku między kuchnią, korytarzem a ogrodem, starając się dopilnować, by w ten ważny dzień wszystko było jak trzeba. Kucharze uwijali się w kuchni, szykując ucztę dla dwustu osób, a floryści, którzy na tę okazję zostali sprowadzeni z Dublina, kończyli dekorować namiot żółtymi różami i zabierali się do osiołka. Ronan skonstruował mały powóz dla dzieci, ale na pytanie, czy osiołek zechce go pociągnąć, nawet Peg nie umiała odpowiedzieć. Wszystko zależało od jego dzisiejszego nastroju. Na razie stał ospały, chrupiąc marchewkę od jednego z florystów i co jakiś czas machając ogonem, żeby przegonić zabłąkaną muchę. Ellen westchnęła uradowana tym

wspaniałym widokiem, a jej oczy zaszkliły się łzami szczęścia. I pomyśleć, że ledwie rok temu wydawało się jej, że straciła Conora na zawsze. Głęboko wciągnęła powietrze w płuca i cicho podziękowała Bogu za to, że przywiódł ją w to miejsce i zesał jej całe to szczęście. Bóg hojnie ją teraz obdarzał. Zerknęła na zegarek. Już niedługo zaczną przyjeżdżać goście, musiała więc skończyć się szykować. Pospiesznie wbiegła po schodach, przeskakując co dwa stopnie.

W jej sypialni panował spokój. Roztaczał się w niej zapach z bukietu białych róż i frezji, który Conora podarował jej przy śniadaniu. Przytknęła nos do jednego z pąków i wciągnęła jego słodki, pudrowy zapach. Słyszała na dole Finbara i Idę wraz z Daphne. Salwy ich śmiechu wypełniały zamek radością. Ellen na chwilę się zatrzymała i zaczęła nasłuchiwać. Patrząc przed siebie roztargnionym wzrokiem, delikatnie położyła dłoń na brzuchu.

Jej rozmarzenie przerwały odgłosy pierwszych aut nadjeżdżających aleją starych dębów i parkujących przed zamkiem. Zerknęła przez okno, przyglądając się, jak goście weselni zmierzają ku namiotowi. Kiedy się odwróciła, w drzwiach stała Ida i patrzyła na nią wielkimi oczami.

- Gdzie twoja sukienka? - zapytała dziewczynka.

-Pomożesz mi się ubrać? - zaproponowała Ellen i twarz Idy się rozpromieniła. - Wyglądasz prześlicznie Tata będzie taki dumny, kiedy cię zobaczy!
- Ida była zawstydzona i jednocześnie uszczęśliwiona komplementem, i zerknęła na błyszczące różowe buciki, które Ellen kupiła jej w Dublinie. - Chyba powinnam się pospieszyć prawda? Przecież nie możecie z Finbarem na mnie czekać. Pomożesz mi ściągnąć wałki?

Conor serdecznie witał gości, a Joe i trzech jego kuzyn pomagali wskazywać im miejsca. W krótkim czasie namiot zapełnił się po brzegi ludźmi ubranymi w odświętne garnitury i sukienki. Każdy rząd krzesel zwieńczony był bukietem żółtych róż, a po obu stronach ołtarza w wielkich wazonach stały wykwiłtne kwiatowe aranżacje, które napełniały powietrze słodkim zapachem wiosny. Byrne'owie zajmowali pierwsze osiem rzędów po prawej stronie ołtarza. Najstarsi synowie Peg, Declan i Dermot, przybyli z żonami i dziećmi, a ich rozmowy przebijały się przez cichy szmer oczekiwania reszty zebranych. Anglicy siedzieli razem po przeciwnej stronie i wyróżniali się z tłumu swoimi frakami.

Anthony i Madeline Trawton siedzieli z Leonorą i Lavinią oraz ich arystokratycznymi mężami. Leonora i Lavinia, ubrane w suknie od projektantów i kapelusze od Philipa Treacy'ego, wyglądały i czuły się zupełnie nie na miejscu. Były przyzwyczajone do formalnego wystroju kościołów, a rustykalna improwizacja w namiocie wydała im się osobliwa i jednocześnie krępująca. Kiedy rozglądały się wokół, z rosnącym niepokojem zauważyły, że nie znają tu nikogo. W Londynie

znały wszystkich, tych zaś, których nie znały, nie warto było znać. Ich mężowie szeptali do siebie z powodu programów uroczystości, wyniośle obserwując prowincjuszy, którzy również przypatrywali się im z podejrzliwością i lekką zazdrością.

W końcu pan młody zajął miejsce przy ołtarzu, ubrany w nienagannie wyprasowany frak i błyszczące czarne buty. Rozmawiał z księdzem, który przybył z sąsiedniej parafii, by udzielić im ślubu, od czasu do czasu zerkając na kieszonkowy zegarek i wyglądając z niecierpliwością swojej przyszej żony.

Chwilę później główną nawą przeszli Ellen, Finbar, Ida i Conor. Ellen miała na sobie bladoniebieską sukienkę w haftowane żółte kwiaty, a paznokcie Idy pobłyskiwały różowym lakierem pasującym do jej różowej satynowej sukienki. Finbar trzymał ojca za rękę i Conor uśmiechał się do niego z dumą, bo w marynarce i długich spodniach był bardzo przystojny. Uśmiechnęli się do Oswalda, dodając mu otuchy, i zajęli swoje miejsca w pierwszym rzędzie. Serce Oswalda biło coraz szybciej. Czuł, że zbliża się jego wybranka, i utkwiał wzrok w kotarach namiotu.

Nagle kotary rozsunęły się, ukazując Peg wraz z Ronanem. Zebrani goście wstali i odwrócili się, by po raz pierwszy spojrzeć na pannę młodą. Peg ubrana była w prostą sukienkę w kolorze kości słoniowej, którą Ellen pomogła jej wybrać w Dublinie. Ozdobiona była koralikami z macicy perłowej, które połyskiwały w delikatnym świetle wnętrza namiotu. Głęboko odetchnęła, zaskoczona widokiem tak wielu ludzi i pięknych kwiatów, po czym wzięła syna pod rękę, spoglądając mu w oczy, by dodać sobie otuchy. Ronan nachylił się do niej i szepnął jej coś do ucha, co sprawiło, że policzki matki zaróżowiły się ze szczęścia. Wtedy podniosła wzrok i zobaczyła Oswalda czekającego na nią na końcu alei z żółtych róż i zachwyty tak wyraźnie malujący się w jego szerokim, pełnym miłości uśmiechu. Nieśmiało odwzajemniła ten uśmiech i zrobiła pierwszy krok ku niemu oraz ich wspólnej przyszłości.

Kiedy Peg i Ronan szli w stronę ołtarza, Dylan grał utwór muzyki klasycznej, który Oswald wybrał dla przyszej żony. W namiocie zapadła cisza i wszyscy wsłuchiwali się w udaną interpretację Dylana, jednocześnie patrząc, jak panna młoda zbliża się do swego wybranka. Ronan pocałował matkę, zanim oddał ją Oswaldowi.

- Witaj, kochana staruszkko - szepnął czule Oswald i Peg uśmiechnęła się do niego promiennie, ciesząc się, że jest kochana, i zupełnie nie przejmując się tą staruszką.

Msza była nietypowa. Peg nie chciała prawdziwego nabożeństwa, ale pragnęła, by Bóg był przy nich obecny. Wszyscy śpiewali religijne pieśni, odmawiali modlitwy, Dermot i Desmond weszli na ambonę z wybranymi czytaniem, a ksiądz

wygłosił inspirujące kazanie. Pod koniec mszy Ronan wstał i trzęsącymi się rękami rozwinął kartkę papieru. Zwrócił się do matki i już miał przemówić, ale gdy zobaczył, jaka jest szczęśliwa z Oswaldem, słowa ugrzęzły mu w gardle. Przetknął ślinę, starając się opanować wzruszenie.

- Chciałbym odczytać błogosławieństwo, które wszyscy dobrze znacie, a które - jeśli mam być szczery - aż do tej chwili niewiele dla mnie znaczyło. - Zamilkł na moment i głęboko zaczerpnął powietrza, by uspokoić nerwy. Wtedy spojrzął w oczy matki, w których odnalazł otuchę i wsparcie. - Wiem, że Ciara jest tu z nami. Wiem, mam, że ty też o tym wiesz. Towarzyszy nam codziennie, ale dziś jest wyjątkowo obecna. Miłość łączy nas wszystkich i z tego powodu wiem, że Ciara zawsze będzie z nami.

Peg otarła łzę z policzka, ściskając rękę Oswalda, podczas gdy Ronan czytał słynne irlandzkie błogosławieństwo.

Niech rozpościerają się przed tobą drogi,

Niech wiatr zawsze dmie ci w plecy,

Niech słońce ogrzewa ci twarz,

A deszcz podlewa twoje pola.

A do czasu, gdy znów się spotkamy,

Niech Bóg chroni cię swoją dłońią.

Niech Bóg będzie z tobą i ci błogosławi;

Niech dane ci będzie doczekać swych wnuków, Niech nieszczęście cię

omija,

Dotyka samo szczęście,

A poczynając od dzisiejszego dnia,

Obyś znała tylko radość

Niech rozpościerają się przed tobą drogi,

Niech wiatr zawsze dmie ci w plecy,

Niech na twój dom padają ciepłe promienie słońca,

A dłoń przyjaciela zawsze będzie blisko.

Niech zielona będzie trawa, po której stąpasz,

Niech niebieskie będzie niebo nad twą głową,

Niech otacza cię czysta radość,

A serca, które cię kochają, zawsze będą szczere.

Głos Ronana osłabł przy ostatniej linijce, ale chłopak zdołał wypowiedzieć ją do końca. Kiedy wrócił na swoje miejsce, Dylan zaczął głośniej grać na pianinie.

Oswald wziął żonę za rękę i ją ucałował.

- Mówiłem ci, jaka jesteś piękna? - zapytał.

Oczy Peg błyszczały ze szczęścia.

- Och, ty mój łobuzie. - Zaśmiała się. - Jestem już za stara na takie komplementy.

Oswald widział jednak, jak rozpromienia się jej twarz, kiedy uśmiecha się przez łzy. Odwrócili się do zebranych, którzy, jak można się było spodziewać, zaczęli entuzjastycznie bić brawo. Lekkim krokiem nowożeńcy wyszli z namiotu, szeroko uśmiechając się do przyjaciół i rodziny, których mijali po drodze.

Goście wyszli na trawnik. Dzieci pobiegły pogłaskać osiołka i przejechać się w małym powoziku pod czujnym okiem matek. Ku ich radości osiołek posłusznie przechadzał się po trawie, szukając marchewek, które Ronan porzucił mu wszędzie dla zachęty. Dorośli poszli na weselną ucztę, do której podano wino. Ellen z zainteresowaniem obserwowała Anglików i Irlandczyków. Na początku trzymali się w swoim gronie, podzieleni na grupy we frakach i w garniturach. Na razie nikt nie odważył się wmieszać w drugą grupę, jednak po kilku kieliszkach szampana i doskonałym poczęstunku stopniowo lody zaczęły pękać. Ellen przypomniała sobie bajkę o zupie z kamieni, którą czytała dzieciom na dobranoc. W tym wypadku ludzi zjednoczyła weselna ucztą i sympatia dla Peg i Oswalda.

Zauważyła, że Conor i Ronan rozmawiają o czymś na uboczu, skryci w cieniu cedrowego drzewa. Upiła łyk soku z dzikiego bzu, patrząc na nich z niepokojem. Z pewnością w tak szczególny dzień byli w stanie zawrzeć rozejm.

- Cemu masz taką zaniepokojoną minę, Ellen Olenska? - zapytał Dylan.

- Popatrz tam. Ronan i Conor.

- Chyba nie ma wątpliwości, o czym rozmawiają.

- Wygląda to dla ciebie na niegroźną pogawędkę? - zapytała z obawą.

- Nie. Przypominają dwa psy, które zaraz zaczną się gryźć.

- Przecież nie będą się kłócić w taki dzień. To niemożliwe, by Ronan nadal wierzył, że Conor zabił żonę!

- Oczywiście, że nie, zresztą chyba nigdy w to nie wierzył. Po prostu był tak zazdrosny, że musiał znaleźć powód do zniechęcenia Conora. W głębi serca wiedział, jak było naprawdę.

- Że Caitlin nigdy go nie kochała?

- Tak, a trudno się z czymś takim pogodzić. Zostawmy ich z tym samych. W końcu się dogadają.

- Mam nadzieję.

- Oswald poprosił, żebyśmy zaśpiewali - powiedział.

Spojrzała na ojca z przerażoną miną.

- Ty i ja?

- Ja i ty. - Uśmiechnął się łobuzersko. - Najwyższa pora, żebyśmy wystąpili przed publicznością, prawda? W końcu jesteśmy całkiem niezli.

Objął ją w talii i poprowadził do namiotu.

Miała już wejść do środka, ale odwróciła się i zobaczyła, jak Conor obejmuje Ronana w ojcowski sposób.

W środku zrobiło się ciepło od oddechów gości, a cały namiot pachniał kwiatami i perfumami. Krzesła odsunięto, tworząc na środku miejsce do tańca. Oswald i Peg byli jak król i królowa, otoczeni tłumem szczęśliwych dworzan. Kiedy zobaczyli Ellen i Dylana, przywołali ich do siebie.

- Zagrajcie nam jedną ze swoich piosenek - poprosił Oswald. - Chcielibyśmy usłyszeć, nad czym pracowaliście przez ostatnie miesiące.

- Macie jakieś radosne melodie? - zapytała Peg z nadzieją w głosie.

Dylan szepnął coś do córki, po czym usiadł do pianina i położył palce na klawiszach.

- Gotowa? - zapytał.

Skinęła głową, czując, jak serce łomocze jej pod gorsetem sukienki. W duchu modliła się, by nie zawieść Dylana. Rozbrzmiały pierwsze takty muzyki i Ellen głęboko wciągnęła powietrze w płuca. Wszystkie spojrzenia skupione były na niej, kiedy stała przy pianinie obok ojca; cieszyła się, że on nie widzi, jak trzęsą jej się nogi, a dłonie zaczynają się pocić z nerwów. Dylan uśmiechnął się do córki, dodając jej otuchy, i harmonia ich głosów wypełniła powietrze magiczną barwą. Peg oniemiała, a Oswald szepnął jej coś do ucha, na co kobieta energicznie pokiwała głową. Ellen zaczynała czuć się coraz pewniej. Kiedy już zaczęła śpiewać, nie czuła się tak skrępowana. Rozglądała się po twarzach zebranych, aż odnalazła matkę. Od razu zauważyła, że trzyma ojca za rękę. Dostrzegła też, że oczy błyszczą jej z dumy.

Conor i Ronan, wraz z innymi gośćmi, którzy stali na zewnątrz, weszli do namiotu zaciekawieni dobiegającymi z niego dźwiękami. Chwilę później zebrani zaczęli klaskać, na co Oswald podprowadził żonę na środek parkietu i zaczął tańczyć z nią do radosnej melodii. Peg uśmiechnęła się i zarumieniła, podskakując tym żywiej, im głośniejsze stawało się rytmiczne klaskanie. Dylan zagrał po chwili piosenkę, którą wszyscy znali, i na parkiecie pojawiły się kolejne pary. Conor wziął Ellen za rękę i powiódł ją między roztańczonych gości. Nawet Leonora i Lavinia ruszyły w tany ze swoimi mężami, którzy ściągnęli eleganckie fraki, nie przejmując się, że ze spodni wystają im koszule. Muzyka jednoczyła wszystkich, lecz nikt spośród zebranych nie bawił się lepiej niż nowożeńcy.

Conor przyciągnął Ellen do siebie.

- Wyprawiłaś Peg wspaniałe wesele - powiedział, przytulając swój zarośnięty policzek do jej gładkiej skóry.

- Bez ciebie nie dałabym rady.

Czuła ciepło jego twarzy.

- Co byś powiedziała na to, gdybyśmy także urządzili sobie taki dzień?

Uniosła głowę i spojrzała na niego zdecydowanym wzrokiem.

- Proszę mnie o rękę, Conorze Macauslandzie?

- Tak. W głębi serca jestem tradycjonalistą.

Na jej twarzy pojawił się nieśmiały uśmiech.

- Cóż, myślę, że tak by wypadało.

Nacisk, z jakim wypowiedziała słowo „wypadało”, wzbudził jego podejrzenia.

- Co masz na myśli, Ellen?

- Biorąc pod uwagę, że...

Uśmiechnęła się, zadowolona z siebie, a w jej oczach zabłysła matczyzna duma.

Przestał tańczyć i spojrzał na nią.

- Chcesz mi powiedzieć, że...

- Tak, to właśnie mówię.

- Naprawdę? - Rozemocjonowany, uśmiechnął się szeroko. - Mam nadzieję, że nie żartujesz ze mnie, Ellen Trawton.

- Nie żartuję sobie, najdroższy. Znów będziesz ojcem.

- O Matko Boska i święty Józefie. - Zaśmiał się i mocno ją objął. - To lepiej zrobimy, co należy, zanim twoja babka znów zacznie przewracać się w grobie.

- Przewróciła się już tyle razy, że musi się jej nieźle kręcić w głowie - odparła Ellen, chichocząc.

- Kiedy wszystkim powiemy?

- Jeszcze nie teraz. Nie dziś. To dzień cioci Peg.

- A więc jutro?

- Jutro.

Ucałował ją w skroń.

- Pomyśleć, że mamy przed sobą wszystkie jutra aż do końca naszych dni.

- A jeśli Caitlin czegokolwiek nas nauczyła, Conorze, mamy też i wszystkie jutra, które nastąpią później.

Podziękowania

Pisałam tę książkę z wielką przyjemnością. Od chwili, kiedy postanowiłam umiejscowić akcję mojej powieści na zachodnim wybrzeżu Irlandii, byłam urzeczona dzikimi, poszarpanymi wzgórzami, podupadłymi farmami, na których mieszkały tylko owce i hulał wiatr, i plejadą wspaniałych postaci, które poznałam po drodze. Zakochałam się w Ballymaldoon i godziny spędzone tam w mojej wyobraźni dały mi mnóstwo przyjemności. Nie czułam, że to praca. Mimo to potrzebowałam pomocy, ponieważ nie chciałam, by moi bohaterowie mówili tak, jakby pochodzili z Chelsea! Za to jestem ogromnie wdzięczna mojej irlandzkiej przyjaciółce Jane Yarrow, która śmiała się do rozpuku z niektórych kwestii moich bohaterów. Nieźle się przy tym ubawiłyśmy. Jane ma talent komiczny i nie minęło dużo czasu, gdy głosy Dylana, Conora i Peg wyraźnie rozbrzmiały w mojej głowie. Stali się dla mnie prawdziwymi ludźmi i jestem przekonana, że kiedy następnym razem pojedę do Connemary, na pewno ich spotkam.

Na szczęście moja agentka Sheila Crowley jest Irlandką. Była bardzo dobrą doradczynią i kilka jej pomysłów miało ogromny wpływ na tę powieść. Jestem ogromnie wdzięczna za jej fachową wiedzę, ale również za jej przyjaźń i inspirację. Optymistycznie patrzę w przyszłość i jestem w pełni świadoma, że nie miałabym tyle szczęścia, gdyby nie ona. Na moje podziękowania zasługują też Katie McGowan i Rebecca Ritchie z agencji Curtis Brown.

Dzięki wydawnictwu Simon & Schuster zawędrowałam na listy bestsellerów i jestem mu za to ogromnie wdzięczna. To niesamowity zespół: dynamiczny, pełen entuzjazmu, energii i pomysłów, który przede wszystkim rozumie moje powieści i wie, jak je prezentować. Okładki są zawsze zachwycające. To piękne okna, przez które czytelnika może przenieść do świata mojej wyobraźni. Wszyscy autorzy chcą, aby okładki dobrze oddawały zawartość ich książek, i to niezwykle, jak często do tego nie dochodzi. Dziękuję zespołowi Simon & Shuster za to, że mnie rozumie.

Dlatego też spieszę podziękować Suzanne Baboneau, mojej redaktor naczelnej, Kerrowi MacRae, mojemu „Svengali”, Clare Hey, która niezwykle starannie redagowała tekst linijka po linijce, oraz fantastycznemu zespołowi specjalistów, którzy służyli wiedzą przy produkcji i sprzedaży moich książek.

Wszyscy świetnie się spisują. Dziękuję Jamesowi Horobinowi, Dawn Burnett, Maxine Hitchcock i Hannah Corbett.

Amerykański oddział Simon & Shuster po drugiej stronie oceanu również posiada imponujący zespół, który kontroluje ogromne terytorium. Kiedy jestem w Nowym Jorku, moja redaktorka Trish Todd to jedyna osoba, która potrafi wyciągnąć mnie z Saks! Z ogromnym entuzjazmem czekam na nasze wspólne lunche i żałuję, że Atlantyk jest taki wielki. Stanowi dla mnie wielkie wsparcie i mam szczęście, że jestem pod jej opieką. Na podziękowania zasługują również: mój wydawca Jonathan Karp, Kate Gales, Alicia Samuels, Andrea DeWerd i Molly Lindley.

Jak zawsze chciałabym podziękować mojej mamie za jej poprawki. Jako pierwsza otrzymuje manuskrypt i w ogromnej mierze wpływa na jego jakość, oceniając go bezwzględny okiem, które wyłapie każde źle dobrane słowo i gramatyczny błąd. Przede wszystkim jednak doskonale potrafi analizować postawy ludzi i ich związki, i myślę, że przekazała mi trochę tego talentu.

W powieści tej występuje silny wątek duchowy, co stanowi ogromną część moich doświadczeń. Dziękuję mojemu ojcu za to, że wiele lat temu wzbudził moje zainteresowanie i starał się je podtrzymać podczas naszych długich spacerów po wsi i na wielu wyciągach krzeselkowych w Klosters. Ostatnich piętnaście lat to fascynująca duchowa podróż dzięki mojej bliskiej przyjaciółce, niezwykle mądrej Susan Dabbs, ale to tata był moim pierwszym guru.

Dziękuję moim dzieciom Lily i Sashy za dar ich miłości oraz mojemu mężowi Sebagowi za dodawanie mi otuchy, pomysły i rady. Jest moim mistrzem i niewyczerpanym źródłem radości. Dzięki niemu wierzę, że jestem najlepszą wersją siebie.

